

Anne Rivers Siddons

**DOM NAD
OCEANEM**

Przełożyła Monika Ruiz

Rozdział 1

O miejscowości Outer Banks w Północnej Karolinie krąży wiele opowieści. Wszystkie one mówią o statkach, które w czasie jesiennych sztormów tonęły nie opodal tych zdradliwych wybrzeży. Przez wiele stuleci uzbierała się ich dosyć pokaźna ilość — dlatego też Banks stało się powszechnie znane jako Cmentarzysko Atlantyku. Większość wraków spoczywa przy Diamentowym Wybrzeżu, tuż obok Przylądka Hatteras. Pozostałe ponad sto mil wybrzeża także kryje wiele tajemnic licznym wrakom statków i ciał marynarzy. Mity, duchy i zjawy są tu tak samo oczywiste i normalne jak gęsta, morska mgła. Najlepiej pamiętam legendę opowiedzianą nam wszystkim — Cecie, Fig, Paulowi Sibleyowi i mnie — przez Ginger Fowler, kiedy byłam w ostatniej klasie szkoły średniej. Przyjechaliśmy wtedy odwiedzić ją w przerwie międzysemestralnej we wrześniu.

— Podobno kiedy jakiś statek ma zatonać, słyhać coś podobnego do śpiewu syren — powiedziała. — Mieszkańcy wybrzeża twierdzą, że są to nimfy, które w ten sposób wołają żeglarzy. Wiele osób je słyszało. Kiedy słyszysz ten śpiew, jesteś jak zaczarowany — idziesz za nim, aż wpadasz w zdradliwe fale morskie. Kilku żeglarzom udało się jakoś wyratować i przysięgają, że jest to święta prawda, a nie legenda.

Siedzieliśmy na werandzie przed domem Fowlerów, położonym tuż przy plaży w Nag's Head, i obserwowaliśmy zachód słońca nad Atlantykiem. Ze wszystkich stron otaczały nas wielkie, podniszczone już wilgocią i wiatrem dwu- i trzypiętrowe kamienice, które okoliczni mieszkańcy nazywali osiedlem „Nie umalowanej arystokracji”.

Była to długa uliczka otoczona dużymi, drewnianymi domami letni-
mi, które zostały wzniesione na początku wieku przez bardzo bogate
rodziny. Początkowo były to jedyne domy w tej okolicy i dlatego mo-
gły górować nad otoczeniem i zawładnąć całą pobliską dziką plażą.
Obecnie jednak otoczone są większymi lub mniejszymi domkami,
chatami rybaków, warsztatami naprawy sprzętu rybackiego. Pomi-
mo to, nawet gdy siedzi się na werandzie lub w ogrodzie, człowiek
nie zdaje sobie w ogóle sprawy z tego mało interesującego otoczenia.
Pozostaje przecież wiatr, słońce, pozorna pustka i bezkresne morze.

Pamiętam, jak poczułam mały *frisson*, który podobny był do
nocnego powiewu wiatru na opalonym ciele. Dotknęłam dłoni Pau-
la. Odwzajemnił mi uścisk, lecz nie spojrzął na mnie. Z uwagą
patrzył na słodką twarzyczkę Ginger, pięknie opaloną, oświetloną
czerwonymi promieniami zachodzącego za naszymi plecami słońca.

Outer Banks przypomina jesienną krainę stworzoną, zda się,
przez czarnoksiężnika: powietrze jest tak przejrzyste, że na roz-
ległych wydmach widać wszystkie ziarenka piasku, skąpane
w świetle, którego nie da się opisać. Przez ostatnie cztery dni byli-
śmy na plaży od świtu do zmroku. Każda z nas była opalona, lecz
tylko Ginger miała ładny, brązowy kolor skóry. Piegi na jej twarzy
zlały się z opalenizną w jedną całość, a brwi i włosy rozjaśniły się.
W wypłowiałym bawełnianym kostiumie kąpielowym i z tymi jej
chłopięcymi, nieco krzywymi nogami wyglądała jak starożytna
figurka Majów.

Pomyślałam sobie, że idealnie pasuje do tego starego domu
i jeszcze starszego wybrzeża, ale, prawdę mówiąc, jej ojciec kupił tę
posiadłość zaledwie dwa lata wcześniej od jakiejś przedsiębiorczej
wdowy, która miała się przeprowadzić, aczkolwiek niechętnie, do
swych dzieci w Wilmington. Do tej pory Ginger spędzała letnie
wakacje w Gulf Shores, na wybrzeżu w Alabamie, gdzie mieszkała
wraz z rodzicami w małym miasteczku zwanym Fowler (bardzo
odpowiednia nazwa, nieprawdaż?). Była tam fabryka odzieżowa,
młyn i sklep — wszystko to należało do ojca Ginger. Państwo Fowle-
rowie stali się właśnie bardzo bogaci, jak dla nas wprost niewyobra-
żalnie. Pomimo to Ginger pracowała bardzo ciężko, aby nie dać po
sobie poznać, że jest bogata. Udało jej się to znakomicie, przynaj-
mniej w naszym przypadku. Nic nie wiedzieliśmy o jej fortunie aż
do momentu, gdy pojechaliśmy odwiedzić ją w Outer Banks i po
raz pierwszy zobaczyliśmy jej dom. Nie mieściło się nam w głowie,
że można być tak bogatym. Kiedy Fig zaproponowała Ginger człon-
kostwo w „Tri Omega”, dowiedziała się, że ma ona swoje własne

konto na sumę pięciu milionów dolarów. Była to suma dla nas niewyobrażalna. Ale ponieważ zwykle nie zwracaliśmy szczególnej uwagi na to, co mówiła Fig, albo zapomnieliśmy o tym, albo też nie uwierzyliśmy jej w ogóle. Koniec końców Ginger i tak stała się członkiem „Tri Omega”, bo kochaliśmy ją wszyscy. Chyba nikt nie może jej nienawidzić. Jest tak miła, sympatyczna i słodka, że nie można oprzeć się jej urokowi.

— Poza tym — stwierdziła zamyślona Cecie — nie wygląda wcale na rozpuszczoną bogatą panienkę.

W gasnących promieniach słońca Paul uśmiechnął się do Ginger i powiedział: — Czy słyszałaś kiedy śpiewające syreny, Ginger?

— O Boże! Nie! — odpowiedziała. — Chyba bym umarła. Mam nadzieję, że nigdy ich nie usłyszę.

— A ja chciałbym posłuchać ich głosu — powiedział, spojrzał na mnie i ścisnął mi rękę. — Byłoby to najciekawsze doznanie w całym moim życiu.

Przeszedł mnie dreszcz. Wydawało mi się, że wiatr wiejący dokoła nas ma określoną wagę i znaczenie, a każdy poruszający się atom — namacalną budowę i siłę. Byłam w Paulu zakochana na śmierć, tak mocno, że wydawało mi się, iż w jakiś sposób zależę od wszystkiego, co mnie otacza, i ulegam jakimś zamierzonym wpływom.

— Chyba pójde zrobić herbatę — powiedziała Cecie, spojrzawszy najpierw na mnie, potem na Paula. Wstała i powoli poczłapała do domu. Patrzyłam na nią, dopóki nie zniknęła mi z pola widzenia. Po raz kolejny pomyślałam sobie, że wygląda jak młody, szczupły chłopak. Ależ żałowałam wtedy, że nie darzy Paula większą sympatią! Cecie była moją najbliższą przyjaciółką, jedną z dwóch wielkich miłości w moim życiu. Dlatego chciałam, aby i tę miłość dzieliła ze mną. Marzyłam, abyśmy w trójkę stanowili zgodną całość. Jednakże Cecie, która zawsze była powściągliwa w uczuciach i niełatwo się zakochiwała, nie zamierzała najwyraźniej oddać swego serca Paulowi Sibleyowi. Już od pierwszego momentu, gdy się poznali, starała się być jak najdalej od niego; jeśli nie fizycznie, to przynajmniej emocjonalnie. Gdyby dotyczyło to kogoś innego spośród moich znajomych, spowodowałyby moją zazdrość, ale w przypadku Cecie wszystko było jak najbardziej w porządku. Tak naprawdę sama nie wiedziałam, co było między nami, i jakoś nie mogłam nawet z nią o tym porozmawiać. Ona też nie próbowała poruszać tego tematu. Paul wiedział, że go nie lubi, ale okazał się na tyle mądry, że tego nie okazywał. Dlatego też spotykali się niezbyt często.

Prawdę mówiąc, ten tydzień we wrześniu był ostatnim okresem, jaki Cecie zgodziła się spędzić w jego towarzystwie. Ale i tak nie miało to znaczenia. Tego weekendu bowiem straciłam go dla nowych pieniędzy Ginger, lecz wiele czasu musiało jeszcze upłynąć, zanim się o tym dowiedziałam.

Miałam wtedy w szkole kurs poezji współczesnej. Czytaliśmy między innymi wiersze T.S. Eliota. Najbardziej spodobała mi się *Pieśń miłosna J. Alfreda Prufrocka*. Do dziś pamiętam, jak pani profesor odczytała nam na głos dwie linijki tego wiersza, wyjątkowo piękne:

*• Nasłuchując, jak syreny śpiewem zwołują się gdzieś.
Nie sądzę, aby dla mnie zaśpiewały.*

Nagle zaczęłam po cichu płakać i wyszłam z sali. Cała zalana łzami wzruszenia i egzaltacji poszłam do budynku „Tri Omega”. Płakałam i wtedy, gdy po lekcji historii nadeszła Cecie, a za nią Fig i Ginger, by zaprosić nas na wcześniejszą kolację.

— Kto to był? Yeats? Dylan Thomas? — zapytała Cecie, która miała kurs poezji współczesnej w poprzednim roku. Dobrze znała moje humory i skłonność do nagłych wybuchów płaczu. Było to spowodowane przede wszystkim głęboką miłością do Paula, z której powodu byłam bezbronna i narażona na wszelkie przeciwności losu niczym na zarazki szybko przenikające do organizmu człowieka. Najprzeróżniejsze rzeczy wywoływały we mnie wtedy wzruszenie i doprowadzały do obfitych łez. Prawdę mówiąc, poezja zawsze miała na mnie duży wpływ. Cecie i ja często siadywałyśmy razem do późnego wieczora i czytałyśmy dla siebie — były to najczęściej piękne, bezpośrednie wiersze z przełomu XIX i XX wieku. Jeśli nawet nie płakałyśmy przy tym, to przynajmniej miałyśmy łzy w oczach. Nigdy nie widziałam Cecie płaczącej głośno, jednakże w czasie naszej lektury poezji nierzadko była tego bliska.

— Eliot... — zaszlochałam. — O śpiewających syrenach, ale nie dla niego... Nic nie wiem. Zgłupiałam. Przypomniała mi się opowieść Ginger w Nag's Head — o tych syrenach i statkach, a wtedy... No cóż, myślę, że to po prostu bardzo smutny werset. Smutny, smutny... Ale takie jest życie. Zawsze tak powinno być, ale nie jest... To znaczy, kiedy już wiesz, że tak nie będzie...

— Co ty wygadujesz? — zapytała Ginger, marszcząc w osłupieniu brwi. Ona i Fig mieszkały razem z nami w apartamencie, w którym miałyśmy wspólną łazienkę. Czasami siadywałyśmy rano

z Cecie u siebie w pokoju i czytałyśmy wiersze. Ginger wsuwała swoją świeżo umytą głowę przez otwarte drzwi i mówiła: — Słyszałam, że wczoraj w nocy było spotkanie Towarzystwa Intelktualnego w „Tri Omega”. — Uśmiechała się przy tym głupio, pokazywała nam język i, zanim zdążyłyśmy rzucić w nią jakąś pluszową maskotką lub książką, uciekała, zatrzaszkując za sobą drzwi. Ginger była równie niechętna do nauki, jak skora do śmiechu, w związku z czym jej oceny — nawet te z najłatwiejszych przedmiotów — zawsze balansowały na granicy niedostatecznych. Wszystkie szkolne koleżanki angażowały się w wyciąganie jej pod koniec roku. A i tak zawsze z trudem przechodziła z jednej klasy do drugiej. Nikt nie miał jej tego za złe, bo przecież wszyscy ją ubóstwiali.

— I dlatego tak ryczysz? — zapytała, gdy tylko przeczytałam jej *Pieśń miłosne*.

— Myślę, że to najbardziej romantyczna rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam — przyznała Fig.

Jej oczy energicznie poruszały się w lewo i w prawo za grubymi szklami korekcyjnymi i przypominały oczy zachwyconej pluskwy. Oddychała bardzo głośno, jakby właśnie przebiegła dłuższy dystans. Często straszyłyśmy ją, tak jak straszy się psa, którego potem nikt naprawdę nie zamierza bić czy atakować, a ona w szerokim uśmiechu pokazywała nam swoje dziąsła, chowała głowę w tłuste ramiona i patrzyła na nas spode łba.

— I smutna — dodała. — Naprawdę smutna.

Gdybym powiedziała, że jest to najśmieszniejszy wiersz, jaki przeczytałam w swoim życiu, uśmiełaby się do łez. Gdybyśmy się za nią nie wstawiły, mieszkałaby przez te wszystkie lata spędzone w Randolph w jednym z żeńskich internatów.

— Gdyby tak któraś z nas miała usłyszeć syreny, to która? — dopytywała. Zawsze zadawała takie idiotyczne, oderwane od rzeczywistości pytania w rodzaju: „Gdybyś miała być kwiatkiem, to jakim?”, „Gdyby Kate miała być zwierzęciem, to jakim?”, „Gdybym miała być znaną kobietą z historii, to jak myślisz, Kate, którą kobietą bym była?”.

— Matką Grendela — odpowiedziała zgryźliwie Cecie.

— Wspaniale, Cecie! Wpiszę to do swojego pamiętnika! — powiedziała Fig. Jej pamiętnik stał się już bardzo znany wśród wszystkich członkiń „Tri Omega”. Prawie cały czas pisała w nim coś bardzo zamasyżcie i ostentacyjnie. Spotkania klubu nierzadko kończyły się ożywionymi dyskusjami, podczas których Fig siedziała

spokojnie i wszystko skrętnie notowała. Kiedy zapytałaś ją, co tam wypisuje, lub gdy zażartowałaś, że chcesz jej odebrać ten drogocenny zeszyt, udawała przestraszoną i mocno przyciskała kajet do swego dojrzewającego łona. Czasami, kiedy siedziałyśmy z koleżankami w naszym pokoju i rozmawiałyśmy o różnych głupstwach, czułam oczy Fig utkwione we mnie. Spoglądałam na nią, a ona siedziała, gapiąc się na mnie z rozdziawioną buzią, potem tajemniczo się uśmiechała, schylała głowę i ponownie przystępowała do spisywania cennych uwag. Tej zimy zapisała w ten sposób cztery czy pięć tomów grubaśnych jak hipopotam. Trzymała je zamknięte na klucz w metalowym, przenośnym sejfie pod łóżkiem. Twierdziła, że są tam same bardzo ważne skarby.

Wiedziałam, że ona wie, kim była matka Grendela. Zdaje się, że Fig była na swój sposób dość bystrą uczennicą. Kierowała się prawie zawsze niezawodną intuicją, miała bardzo dobrą pamięć i uczyła się jak nikt inny. Zawsze miała średnie oceny, ale i tak przyjęłyśmy ją do naszego towarzystwa „Tri Omega”. W angielskim była na poziomie szkoły średniej, z historii — na poziomie podstawówki. Nie było żadnego kółka naukowego, do którego by nie należała. Chciała być w przyszłości pisarką. Kiedy czasami ktoś zapytał ją, o czym pisze w swoim pamiętniku, odpowiadała: — Piszę o was wszystkich i o tym, jak jestem dumna, że należę do „Tri Omega”. — Wyglądała przy tym tak słodko i tak się do wszystkich wdzięczyła, że ten, kto zadał jej to nierozważne pytanie, zmieszany odwracał się od niej z pogardą. Fig była tak dumna z tego, że była jedną z nas, i tak się nam narzucała, że w końcu zaczęłyśmy jej unikać. Tylko my trzy — Cecie, Ginger i ja — byłyśmy nieco lepiej do niej nastawione. Jedyne Ginger nigdy nie powiedziała o Fig złego słowa. Bo, prawdę mówiąc, Ginger nie była w stanie zrobić komuś na złość. Dostała się do „Tri Omega”, kiedy była w drugiej klasie, została zaprotegowana przez Montevallo Women's College. O dziwo, sponsorowała ją Fig, która całe swoje życie spędziła w cieniu fabryki ojca Ginger w Fowler. Do Randolph dostała się dzięki temu, że w odpowiednim czasie otrzymała stypendium naukowe Fowler-Kiwanis. Rodzina Fig była równie biedna, jak rodzina Ginger bogata. Tak się składało, że obydwie mieszkaly obok siebie w naszym segmencie w akademiku.

Biedna Fig. Naprawdę nazywała się Georgine Newton, ale chyba wszyscy nazywali ją Fig już od urodzenia. Była zawsze blada, dość „puszysta”, piegowata, o rozwichrzonych włosach, z lekkim zezem, który krył się za grubymi okularami. Zawsze miała na ustach szeroki uśmiech, przypominający jednak wyraz pyska zbesztanego

psa. Miała chroniczne zapalenie zatok i astmę, i dlatego tak głośno chrapała w nocy, że aż dyrektorka internatu pozwoliła jej wyjątkowo mieszkać samej. Kiedy dostałyśmy razem ten segment, zrobiliśmy losowanie (zapałkami), która z nas będzie z nią w pokoju, a kiedy wybór padł na Ginger, próbowałyśmy wróżyć, jak długo zdoła wytrzymać owo charczenie i chrapanie. Ale „na szczęście” Ginger doznała kilka lat wcześniej kontuzji w czasie meczu baseballa i nie słyszała na jedno ucho. Ustawiły sobie więc łóżka w ten sposób, aby Fig chrapała jej w to głuche ucho. Dzięki temu, wbrew wszelkim oczekiwaniom, nie przeszkadzało im dzielenie pokoju. To właśnie ja i Cecie wysłuchiwałyśmy koncertów przez ścianę, łazienkę i dwie pary zamkniętych drzwi.

— O Boże! — mówiła Cecie, gdy ktoś zaczynał mówić o Fig. Dobrze wiedziałam, że nie lubi Fig, chociaż właściwie nie miała żadnych ku temu powodów. Cecie była „uczulona” na kilka osób i dlatego starała się je omijać, jednak nie mogła tak po prostu ominąć Fig. Te trzy lata wspólnego mieszkania z nią musiały być dla niej katogą. Nigdy o tym nie rozmawiałyśmy, z wyjątkiem tych chwil, gdy przestrzegała mnie przed nią. Dostyc szybko nauczyłam się nie zwracać uwagi na ciężkie dowcipy Fig i jej nieustającą adorację, a przede wszystkim na naśladowanie mojego głosu, gestów i stylu ubierania się. Sama byłam jak obcokrajowiec w jakimś dziwnym kraju i wiem, jak ona mogła się czuć w naszym towarzystwie. Ja też zaczęłam ją naśladować, szczególnie wtedy, gdy już leżałyśmy w łóżkach, księżyc zaglądał przez okno, a my gadałyśmy i gadały bez końca.

— Cicho! — mówiła Cecie z trudem tłumiąc śmiech. — Może cię usłyszeć. Przystawiła swoje wyrko tuż obok ściany i może podsłuchiwać, co mówisz.

— Jak może nas podsłuchiwać, skoro oddziela nas jeszcze łazienka i podwójna ściana?

— Nie próbowałabym z nią zadzierać — twierdziła Cecie. — To cicha woda, co brzegi rwie.

— O Boże, Cecie, to po prostu Fig. Nie jest nikim więcej.

— Nie wiem. Kimkolwiek by była, w gruncie rzeczy nie wiesz, jaka ona jest naprawdę. Gdzie się podziała twoja słynna intuicja?

— Głupia jesteś! — odpowiadałam i próbowałam powiedzieć coś miłego o naszej sąsiadce, chociaż nieźle śmiałyśmy się z niej każdej nocy.

Tak więc Cecie znosiła jej obecność w milczeniu, kiedy tylko nie udało się jej uniknąć. To był niezły numer! Czasami, kiedy

rozmawiając z Cecie spoglądałam na nią, zdawałam sobie nagle sprawę z tego, że patrzę teraz nie na prawdziwą Cecie, zupełnie nieobecna duchem, lecz na jakąś malutką, bezradną i rudą dziewczynkę, Cecilie Rushton Hart z Wirginii. Najdziwniejsze w tym było to, że cały czas można było z nią rozmawiać — przytakiwała i mamrotała stosowne odpowiedzi w odpowiednim czasie. Z czasem „powracała do swego ciała” i znowu była sobą. Często zastanawiałam się, jakież to wewnętrzny świat sobie stworzyła. Tak dobrze się w nim czuła! Ciekawe, co tam robiła i z kim? Pomimo naszej cielesnej bliskości w świadomości Cecie istniały jakby drzwi pancerne, przez które nawet mnie nie wolno było przejść. Właśnie tam, za tymi drzwiami, chowała się wtedy, gdy w jej świadomość i fizyczną bliskość wkraçała Fig.

— No, która z nas? — dopytywała się bezmyślnie Fig wówczas, gdy odkryłam Eliota. — Dla której z nas zaśpiewają syreny morskie? Chyba dla ciebie, Kate. Chyba tylko ty usłyszysz ich śpiew. Założę się, że już je słyszałaś.

Cecie zaczęła się śmiać.

— A może dla ciebie, Fig — powiedziałam wiedząc, że się tym ucieszysz.

I rzeczywiście. Zarumieniła się i odpowiedziała:

— Naprawdę tak myślisz? Bardzo bym chciała. Ale to raczej ciebie wybiorą. Czasami wyglądasz tak, jakbyś już je słyszała...

— Nie — zaprotestowała Ginger, co nas bardzo zaskoczyło. Spojrzałyśmy na nią.

— One wybiorą Cecie — powiedziała. — Nie rozumiecie? Przecież to może być tylko Cecie.

Uśmiechnęłam się bezwiednie, bo przecież Ginger miała rację. Właśnie dla Cecie zaśpiewają. Za jej grubymi okularami krył się dym, lekka bryza morska, ogień i wszelkie inne żywioły. Dlatego właśnie Cecie pierwsza usłyszy śpiew syren.

Może już je słyszała. A może one wszystkie już słyszały ten śpiew?

Jednego jestem pewna — nigdy nie śpiewały one dla mnie.

Rozdział 2

Gdybym miała inny nos i inne nazwisko, na pewno miałabym też inne życie. Doszłam do tego genialnego wniosku dopiero wtedy, gdy już porządnie się zestarzałam. Mój ojciec, od którego zależało i mój nos, i nazwisko, był tak zadowolony ze swego dzieła, że zachowywał się, jakby wyskoczył prosto z którejś powieści Scotta Fitzgeralda... I w pewnym sensie tak było. Ja natomiast spędziłam dzieciństwo i okres dorastania, usiłując sprostać jego wymaganiom, a dorosłe życie — wyzbywając się złudzeń co do ich słuszności.

Mój nos był i jest mały i dość garbaty — typ, który ludzie często nazywają „arystokratycznym”. Dokładnie tak jak u mojego ojca. Nos Lee — jak często go nazywał, wypowiadając te słowa swym dziwnym akcentem z Wirginii. Nie przypominam sobie, aby ktokolwiek dopytywał się, co tak naprawdę miał na myśli, nazywając w ten sposób mój szanowny nos.

Nazywam się Katherine Stuart Lee, lecz w środowisku bogatych mieszkańców Południa, gdzie mój ojciec dość szybko znalazł dom i małżonkę (jak to jest napisane w *Księdze Modlitw*), przezywali mnie też „Arystokratką”. Chyba zastrzeliłby się — gdyby tego już wcześniej nie zrobił — jeśli usłyszałby tylko, że wspominam tutaj o Abrahamie i o Biblii.

Tatusz rzeczywiście nosił nazwisko Lee i naprawdę studiował na uniwersytecie w Wirginii. Jednakże nazywał się Charles Horace Lee i pochodził z miejscowości Canton w Indianie (2465 mieszkańców), a nie w Wirginii. A wielka plantacja na południu USA, którą miał rzekomo odziedziczyć po swoich przodkach, istniała jedynie w powieściach, które pochłaniał, odkąd nauczył się czytać, oraz

w wybujałych marzeniach. Nazwisko Stuart, którym obdarzył swoją jedyną pociechę, czyli mnie, nie miało nigdy żadnego związku ani z jego rodziną, ani z rodziną mojej matki. Jakiś idiota ze Sweet Briar powiedział mojemu ojcu na pierwszym roku studiów, że jest bardzo podobny do generała Jeba Stuarta. W ten to sposób rozwinęła się w zawrotnym tempie cała genealogia tej części „rodziny”.

Moja matka nie była pięknoscią z Missisipi, chociaż Charles Lee zawsze ją tak przedstawiał (i nawet w to wierzył), lecz córką właściciela wiejskiego sklepu spożywczego w Slattery w Missisipi. Ojciec jej miał taki temperament, że Lonnie Mae Coolidge uciekła z domu już w wieku piętnastu lat razem z pewnym kolejarzem, który rychło puścił ją kantem w Lynchburg w Wirginii. Charles Lee poznał ją, gdy zaczął pracować w wakacje przy zmywaniu naczyń w kawiarni, w której Lonnie zatrudniona była jako kelnerka. Zawsze uwielbiał powtarzać, że „tak długo kręciła się po Lynchburg, aż w końcu zdecydował się ją poślubić”. Wszyscy przyjęli za rzecz oczywistą, że kręciła się w pobliżu szkoły żeńskiej Randolph Macon Women's College, a nie kawiarni „Virginia Belle Cafe”. Kiedy ktoś zapytał ją o klasę, do której chodziła, mrużyła tajemniczo oczy, marszczyła brwi i drapała się w nos, odziedziczony zapewne po jakimś żądnym przygód Francuzie, który ze dwieście lat temu wypuścił się w górę rzeki w Nowym Orleanie. Odpowiadała przy tym niezbyt wyraźnie: „Tak właściwie, to nigdy nie ukończyłam szkoły. Charles ożenił się ze mną i wywiózł do Alabamy, gdy miałam zaledwie osiemnaście lat. Mój tatuś o mało co nie umarł, gdy się o tym dowiedział”.

Osoby słuchające jej uśmiechały się i przytakiwały. W tym okresie niewiele dziewczyn z Południa kończyło szkoły — chodzi tu przede wszystkim o te ładne, a wysoki i szczupły Charles Lee o dużych, szarych oczach i wielkich, namiętnych ustach, wskazujących na ogromną drzemiacą w nim żądzę, zawrócił jej w głowie, ożenił się z nią i porwał do swojego domu. Wszyscy mieszkańcy Kenmore, małego miasteczka położonego sześćdziesiąt mil na południe od Montgomery, w samym sercu Black Belt, gdzie osiedlili się przykładowie, twierdzili, że Charles Lee ma wiele cech wspólnych ze swoim dziadkiem, Robertem E. Niektóre starsze kobiety, które umiały czytać, doszły do wniosku, że jest bardzo podobny do wspaniałego oficera o nazwisku Fitzgerald, który uprowadził najstarszą córkę sędziego Sayre'a z Montgomery. Chociaż i tak wszyscy byli zgodni co do tego, że May Lee jest o wiele ładniejsza i słodsza niż ta dzika, rozbustwiona Zeldą.

Mój ojciec nie zaprzeczał żadnemu z tych porównań. I rzeczywiście, jego życie także polegało przede wszystkim na pogoni za miłością i przygodami. Próbował zrobić karierę jako agent ubezpieczeniowy, lecz jego skromne zarobki wystarczały zaledwie na wynajęcie walącego się przedwojennego domu i wyposażenie go w podstawowe meble. Była to posiadłość nad rzeką Santee na zachód od Kenmore. Przez całe moje dzieciństwo była taką samą ruiną, jak w dniu moich urodzin. Moja matka nie należała do żadnego z damskich kółek brydżowych, które organizowały sobie regularne spotkania w salonach. Rodzice nigdy nie wydawali wystawnych kolacji przy świecach, a ja nigdy nie zaprosiłam żadnej mojej koleżanki ze szkoły, aby przyszła do nas do domu i pobawiła się ze mną po lekcjach. Cały czas mam przed oczyma ten dom pokryty grubą warstwą kurzu, szary i cichy, gdzie nawet moje kroki na schodach wywoływały echo.

— Kiedy już się urządzimy, przygotujemy wielkie obławanie domu i zaprosimy wszystkich mieszkańców miasteczka. Tak ich zaskoczmy, że aż zaniemówią z wrażenia — mówił mój ojciec, gdy siadywaliśmy wieczorami na tylnym ganku, odgrodzonym szczelnie od wścibskich sąsiadów. Razem z matką popijali sobie martini, a ja czytałam. Podobnych komentarzy słuchałam również, gdy siedzieliśmy przy kominku w pokoju za kuchnią. W tym domu był to jedyny pokój, który nie miał wysokiego sufitu i mógł być ogrzany nawet jedną bryłą węgla. Kiedyś była tam chyba spiżarnia. Oni — jak zwykle — pili martini, a ja czytałam. Czytałam zawsze wszystko, wszędzie i kiedykolwiek tylko mogłam. Trzy razy w tygodniu chodziłam do biblioteki publicznej w Kenmore i wracałam do domu obładowana różnymi książkami. Czytanie to spalało mnie i jednocześnie chroniło. Nie pamiętam, abym kiedykolwiek w okresie dzieciństwa czuła się nieszczęśliwa lub samotna. Uczucie to przyszło później, gdy cały świat mi się zawalił i sama musiałam sobie radzić. Kiedy to wspominam, zaczynam się dziwić, dlaczego zaskakuje mnie świat wewnętrzny, jaki stworzyła sobie Cecie Hart. Mój był przecież tak samo bogaty jak jej.

Kiedy nie czytałam ani nie byłam w szkole, uczył mnie ojciec. Nie książkowej wiedzy, ale czegoś, co nazywał „światowym sposobem na życie”: jak mówić, jak rozmawiać, jak spotykać ludzi, jak jeść i chodzić, jak odpowiednio pisać listy, jak zamawiać potrawy z bardzo bogatego menu, jak wybierać i serwować wina, jak zachowywać się w obecności prezesa Banku Kenmore, a jak Murzynki, która przyszła posprzątać mieszkanie. Uświadamiał mi również, dlaczego najdrobniejsze szczegóły są niemal ważniejsze.. Często powtarzał:

„Jeśli spotkasz pana McClure i powiesz mu, że widziałas jego bystrą córeczkę w aptece, będzie to dla niego komplement, ale jeśli powiesz to samo Essie — będzie to zbyt poufałe. Prawdziwa dama tak nie postępuje”.

— Ja nie jestem damą — odpowiadałam.

— Ależ, kochanie, jesteś — protestowałam. — Urodziłaś się już jako dama. Dama z krwi i kości. Nie pozwolę, abyś o tym zapomniała. Przyda ci się to w świecie.

Ponieważ byłam młoda i kochałam swojego przystojnego ojca-szarlatana, nie dopytywałam się, o którym świecie mówi. Chyba istniał on raczej w jego umyśle. Po prostu uczył mnie, a ja te nauki przyjmowałam.

Tatuz postanowił też, że poświęci prawie wszystkie swoje oszczędności na wykupienie majątku rodzinnego w Wirginii, który jego perfidny brat odsprzedał kiedyś jakiemuś biznesmenowi, Jankesowi. Kiedy już będzie go stać na ten krok — mówił — zabierze mnie i matkę do Wirginii, gdzie jest nasz prawdziwy dom. Całe Kenmore podziwiałło jego wspaniały charakter, cierpliwość i spryt. Nikt nie zwracał nawet uwagi na to, że nie wywiązywał się ze swych obowiązków w Country Club, oszukiwał w sklepie spożywczym lub nie wnosił w terminie opłat na rzecz Kościoła Episkopalnego pod wezwaniem Świętego Łukasza. Ludzie robili dla niego wyjątki i dyskretnie mu pomagali. Nikt nie komentował faktu, że moja matka znalazła bardzo dobrą pracę sekretarki dyrektora szkoły średniej w Atwater. Wszyscy z podziwem wyrażali się o podjęciu przeze mnie w wieku trzynastu lat prac letnich, sezonowych czy podczas weekendów, które polegały na pomocy w różnych pracach biurowych. W ten sposób pomagałam rodzicom finansować zakupy przeróżnych materiałów, z których miałam szyte wszystkie ubrania.

— Wasza mała Kate jest taka słodka i taka zaradna — mówiły różne matrony z Kenmore moim rodzicom. — Same piątki w szkole, potem wieczorami pracuje jak mrówka i nigdy nie opuści ani jednej mszy niedzielnej czy zajęć w szkółce kościelnej. A wygląda jak bardzo bogata księżniczka. Na pewno będzie kiedyś sławna i wszyscy będą ją podziwiali. Na pewno zostanie nauczycielką. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

— Nie byłbym zdziwiony, gdyby tak się stało — twierdził mój ojciec i uśmiechał się czarująco, acz skromnie.

Zapewne pod wpływem tego typu uwag i komentarzy na mój temat pewnego kwietniowego dnia, gdy byłam w drugiej klasie

szkoły średniej, ojciec wyrwał mnie z romantycznego nastroju wywołanego poezją Edith Wharton i poinformował o swoim planie dotyczącym moich nadchodzących wakacji.

— Moja córko, w tym roku nie będziesz traciła czasu w aptekach czy podrzędnych sklepikach — powiedział, popijając martini. — Będziesz pracowała w Cape lub w Nantucket. — Spojrzał na mnie badawczo. — I myślę, że zgodzimy się, abyś zapuściła włosy i odpowiednio je upinała. Niektórzy nazywają to warkoczem francuskim. Nie wszystkie kobiety mogą sobie na to pozwolić, ale ty należysz do tych, które mogą. Będziesz wyglądała przepięknie.

Położyłam sobie rękę na głowie, aby poczuć krótką, polakierowaną czuprynę, najmodniejszą tego lata wśród nastolatek na południu USA.

— Czy ktoś ci płaci za organizowanie mi czasu? — zapytałam uszczypliwie. — Bo jeśli tak, to popieram. Nie musiałabym wtedy pracować ani w Cape, ani gdzie indziej. Nie chcę nigdzie wyjeżdżać w te wakacje sama. Mam przecież dopiero szesnaście lat.

— Dziewczyny z najlepszych wschodnich rodzin biją się niemal, aby dostać pracę kelnerek w Cape, Vineyard czy w Nantucket — powiedział mój ojciec. — Nawet córki znanych multimilionerów pracują tam każdego lata. Spotykają się z chłopakami z Ivy League i z innymi dziewczynami z dobrych szkół, takich jak na przykład Szkoła Siedmiu Sióstr. Nawiązują kontakty towarzyskie, które mogą im się przydać w dorosłym życiu. Dzięki tej letniej pracy wiele z nich dostaje się później do Vassar, Wellesley czy Smitha. Poznają funkcjonowanie świata, w którym przyszło im żyć. Jesteś trochę młodsza od nich, ale i tak nie widzę powodu, abyś nie mogła się koło nich kręcić. Przystaniesz myśleć jak wszyscy w Kenmore. I dopiero wtedy w pełni skorzystasz z życia. Uwierz mi, że tak będzie. Będziesz miała więcej randek i chłopaków niż którakolwiek inna dziewczyna od Bar Harbour aż po Rehoboth Beach.

— Dlaczego miałabym mieć tam tylu chłopaków, skoro nie mam ich tutaj? — zapytałam bezmyślnie. — Nigdy w życiu nie byłam na prawdziwej randce z chłopakiem, z wyjątkiem tego zasmarkanego braciszka Carolyn Crenshaw. Przecież wiesz o tym, że wyglądam śmiesznie. Zupełnie jak struś. I tam też będę wyglądała jak struś.

Uśmiechnął się.

— Doskonale wiesz, że tak nie jest — zapewnił mnie. — Tutaj wszyscy boją się twojego wyglądu, bo ich przewyższasz o całą klasę. Ale tam... będziesz wyglądała jak wszyscy pozostali i nie będziesz się wyróżniać. Jedyne problem to fakt, że jesteś jeszcze trochę za

młoda jak na to bardzo wschodnie i bardzo dobrze urodzone towarzystwo. Jesteś wysoka i szczupła. Masz kształtną głowę, ręce i nogi, masz piękne, lecz nie wyzywające rysy twarzy, ładne zęby... a twój uśmiech mógłby oświetlić cały pokój, gdybyś tego zechciała. Pilnujesz się, aby nie wykorzystywać tego zbyt często, ale wiesz, że daje to wspaniałe wyniki. Masz nienaganne maniery i zawsze wiesz, jak się zachować. Cieszę się, że wcześniej zaczęliśmy cię w tym szkolić. Chciałbym też, abyś dokładnie przyjrzała się innym dziewczynom i ich ubiorom. Będziemy mogli w ten sposób zainwestować twoje pieniądze w najbardziej modne stroje. Szybko zauważysz, że wszelkie krynoliny i te brzęczące bransolety wcale nie są teraz w modzie.

Nagle wszystkie stawiane wymagania wydały mi się tak ciężkie, jakbym miała na barkach cały świat. Byłam już na sto procent pewna, że wchłoną mnie one jak powódź.

— Tatusiu — • powiedziałam — nie należę do tamtego środowiska. Nic nie wiem o tym miejscu ani o tych ludziach. Nic nie wiem o czymkolwiek innym niż Kenmore. Nie będę tam pasować. Proszę, nie każ mi tam jechać.

Złapał mnie za ramiona i podniósł z fotela. Zaprowadził do dużej łazienki na parterze, która zawsze skąpana była w jasnozielonym świetle — zupełnie jak jakiś podwodny pałac — i postawił mnie przed wielkim lustrem zawieszonym na drzwiach. Stał za mną i cały czas trzymał ręce na moich ramionach.

— Popatrz! — powiedział.

W zielonym, wodnistym świetle zobaczyłam dwoje ludzi o prostych, renesansowych rysach, bujnych popielatych włosach wokół długich owalnych twarzy i o wątych ciałach, dwoje ludzi o gładkiej, trwałej opaleniznie. Nie była to ani twarz, ani ciało, które zawsze rano spotykałam przed lustrem. Był to ktoś inny, ktoś, kto nosił ubrania Ann Fogarty i Capezio, które kupiłam w Fashion Den za pieniądze zarobione w aptece. Nie znałam tej osoby. Dopiero po jakimś czasie zorientowałam się, że wtedy po raz pierwszy ujrzałam siebie samą oczyma ojca. Zawsze tak dla niego wyglądałam i zawsze tak będę wyglądać.

— Popatrz, ta dziewczyna nie należy do tego miasta — stwierdził.

W tym momencie zrozumiałam, że tego lata wyjadę z Kenmore i — w pewnym sensie — już nigdy tu nie powrócę.

Być może sieć kontaktów z czasów szkolnych mojego ojca utkana była z pajęczyny lub z kłamstw, ale i tak sięgała dość daleko. Do końca maja zapewnił mi pracę kelnerki w jednym z letnich hoteli w Cape Cod.

— No, w porządku — powiedział, kiedy otrzymał list z potwierdzeniem. — Pięćdziesiąt pokoi tuż nad samą wodą, wszystkie posiłki, oddzielne sypialnie dla chłopców i dziewcząt i całkiem dobra pensja. Będziesz pracowała od piątej rano do drugiej po południu. Nie umrzesz więc z przepracowania. A poza tym będziesz mieć wszystkie wieczory wolne — właśnie wtedy wszyscy się spotykają. Ogniska na plaży, pieczenie kiełbasek. Przecież to lubisz. W dodatku wszystkie niedziele wolne. Będziesz też mogła popływać łódką. Musisz nauczyć się żeglować. Nie będziesz musiała pracować w kuchni, ale mogą kazać ci podciąć włosy albo upiąć je z tyłu. Nie chciałbym też, abyś biegała po hotelu z włosami pachnącymi wodą morską. Harbour House jest dość spokojny i od dawna przynosi pieniądze właścicielom. Beauchamp Childs co roku spędza tam wakacje ze swoją rodziną, a nawet jego córka, Sydney, kiedyś tam pracowała. Zdaje mi się, że będzie teraz pracować w Sweet Briar. Koniecznie musisz poznać Beauchampa, bo to właśnie on załatwił ci tę pracę w tak ekspresowym tempie. Postaraj się dobrze ułożyć stosunki z Childsami.

— To stara, bogata rodzina? — zapytałam, gdyż w Kenmore, jeśli już ktoś był bogaty, to musiał pochodzić ze starej rodziny z tradycjami.

— Wystarczająco stara i bogata — odparł mój ojciec. — Rodzina Champsów miała sieć kamieniołomów. Jego ojciec przekształcił to w Southern Cyanamid, a Champs zrobił z tego międzynarodową firmę. Kiedyś, tuż po ukończeniu uniwersytetu, zastanawiałem się, czy nie przyłączyć się do niego, jednak w końcu zdecydowałem się na swój własny interes. Chyba nigdy mi tego nie wybaczył. W Wirginii ćwiczyliśmy razem biegi przez płotki. Był lepiej zbudowany niż ja, ale ja byłem od niego szybszy...

Ojciec zamyślił się na chwilę i w jego szarych oczach widać było, że cofnął się myślami do tych starych, dobrych czasów.

— Czy on też był w tej studenckiej organizacji, do której i ty należałeś? — zapytałam grzecznie wiedząc, że sprowadzi go to z powrotem na ziemię. Do tej pory miał jeszcze odznak stowarzyszenia — złotą „Alfa Kappa” — swoją największą chlubę. Zawsze przechowywał ją w specjalnym pudełku obitym pięknym aksamitem. Wyjmował to trofeum tylko wtedy, gdy szedł do kościoła lub na jakieś ważne przyjęcie. Czasami, kiedy po dwóch lub trzech kieliszkach martini zaszumiało mu w głowie, zaczynał snuć swoje sentymentalne opowieści o bractwie studenckim. Zawsze wtedy musiał uczynić zastrzeżenie: „Kate, May, pamiętajcie o tym.

Kiedy umrę, macie mnie pochować w Shield. Nie chcę, aby ktokolwiek o tym zapomniał. Wszyscy kumple z uniwerku tak postanowili".

Czułam coś w rodzaju głębokiej czci dla tej odznaki. Nigdy nie pozwolił mi jej założyć, ale cały czas powtarzał, że może kiedyś, gdy podrosnę, zasłużę sobie na nią i będę mogła nosić ją przy specjalnych okazjach.

— Niewiele kobiet może dostąpić tego honoru, Katie Stewart — mówił i ciągle popijał gin. — Dziewczyny, które nosiły na piersi tę odznakę w Wirginii, były księżniczkami, najpiękniejszymi na całym Południu. Musisz więc sobie zasłużyć na ten zaszczyt.

Milczałam, bo i tak wiedziałam, że chyba nigdy nie będzie mi dane dostąpić tego honoru. Często myślałam o budynku Alfa Kappa w Wirginii, który ojciec ciągle opisywał mi ze wszystkimi szczegółami. Robił to tak dokładnie, że widział? n w wyobraźni każdy cal lakierowanych parkietów, błyszczącą poręcz przy schodach i tłum młodzieńców pachnących drogimi wodami kolońskimi. Był to pałac z białymi kolumnami zamieszkanym przez wysokich, leniwych książąt o blond włosach, wszystkich podobnych do mojego ojca. Nosili ubrania ze złotymi szlifami, typowe dla sił Konfederacji z okresu wojny secesyjnej.

Kiedy dwa lata później odszedł, ułożono go w zamkniętej trumnie i nie pozwolono nikomu tam zajrzeć ze względu na to, że kula poważnie uszkodziła głowę. Kiedy wróciłam ze szkoły do domu, wieko było już zamknięte. Tak więc nie wiedziałam, czy pochowano go z jego odznaką, dopóki kilka dni później nie odnalazłam jej w górnej szufladzie jego biurka. Mama poprosiła mnie, abym tam posprzątała. Zdziwiona byłam pustką panującą w jego gabinecie. Mama natomiast spędzała całe dni w opustoszałym salonie w otoczeniu całych szwadronów dam należących do St. Rhoda's Altar Guild. Na pewno wiedziały, że ta mrożona herbata, którą zawsze stawiała obok siebie, była zaprawiona ginem Kentucky Gentleman, ale oczywiście udawały, że nie mają o tym pojęcia.

Tego wieczoru, zanim pojawiła się „nocna zmiana” z St. Rhoda, przeprowadziłam z nią poważną rozmowę.

— Nie wierzę, abyś zapomniała — powiedziałam — że zawsze chciał, aby go tam pochować. Wiesz też na pewno, jak wiele znaczyła dla niego ta odznaka.

Podniosła głowę i po raz pierwszy w życiu zobaczyłam twarz Lonnie Mae Coolidge ze Slattery w Missisipi.

— Nie, chyba nie wiem, ile to dla niego znaczyło — powiedziała słabym głosem (tego tonu też nigdy do tej pory nie słyszałam). — Twój tatuś jeden jedyny raz wszedł do tego sławnego budynku Alfa Kappa, w dodatku tylko po to, żeby tam pozmywać naczynia. Wszedł wtedy tylnymi drzwiami od kuchni. Nie mam pojęcia, skąd dorwał ten znaczek.

Gdyby nie to, że i tak znajdowałam się wtedy na skraju przepaści i czułam, jak grunt usuwa mi się spod nóg, takie okrutne słowa i brak zrozumienia dla moich uczuć załamałyby mnie.

Jeszcze nie wiedziałam, jak ten stan nazwać, lecz byłam przekonana, że pod moimi stopami jest tylko otchłani. Czułam, że nawet powietrze wokół mnie jest inne — zimne i wilgotne, takie, jakie na pewno dobywa się ze starej opuszczonej studni. Czułam ten zapach wokół siebie i wokół innych. My, przebywający w otchłani, mamy swoje zrzeczenie. W naszych oczach cały świat stanowią bezdenne przepaście. Ludzie dzielą się tylko na dwie grupy: tych, którzy mogą jakoś przejść przez chwiejące się nad tymi przepaściami mosty, oraz tych, którzy tego nie potrafią. Wszyscy się znamy. Wiedza ta chyba nie jest czymś świadomym, a przynajmniej nie przez cały czas, bo staralibyśmy się uciec od siebie jak od potworów. Zupełnie jak w świecie zwierząt. Wszyscy jesteśmy dzicy. Czasami, aczkolwiek nie często, ktoś spoza naszej grupy ludzi-otchłani pozna kogoś z nas. Może czasami sama miałaś takie odczucie, może spotkałaś kogoś zupełnie innego od ciebie i czułaś to przez skórę, choć nie potrafiłaś tego nazwać. Jeśli przeżyłaś już coś takiego, to jesteś jedną z nas. A może i tak jesteś jedną z nas, gdzieś w głębi swej duszy, i nawet o tym nie wiesz. Pewna stara kobieta z Kenmore przyznała mi kiedyś, że trzeba sporo czasu, aby kogoś poznać. I wcale nie trzeba czuć tak jak on. Druga połowa świata, ci solidni „nie-otchłaniowcy”, czują pod swoimi nogami jedynie solidny grunt. Oni chyba dziedziczą ziemię. A my dziedziczymy wiatr.

Vladimir Nabokov rozpoczął *Mów, pamięci* słowami: „Nad przepaścią kołysz się kołyska”. Kiedy po kilku latach ponownie czytałam te słowa, schowana w zaciszu ogrodu na Long Island, rozpłakałam się. Mężczyzna, który mnie tutaj sprowadził, podniósł wzrok znad swojej książki i uśmiechnął się.

— Już? — zapytał. — Dopiero co otworzyłaś tę książkę.

Były to łyzy zrozumienia i usprawiedliwienia. Przypominał mi się lekarz, który powiedział kiedyś do swojego pacjenta: „Cały czas miał pan rację, a my się myliliśmy. Tu nie chodzi o pańską głowę. Tu

chodzi o prawdziwą chorobę. Przepraszam". Rosjanin, przebywający na wygnaniu, nazwał pustkę po imieniu i dowiódł, że ona rzeczywiście istniała i istnieje tuż pod naszymi nogami. Rosjanin ten był człowiekiem, który znał swoją drogę poprzez otchłania. Ja też mogę przemierzyć tę próżnię, ale tym razem on będzie mi towarzyszył, a wraz z nim całe towarzystwo „otchłaniowców”. Szkoda, że nie spotkałam go, gdy po raz pierwszy spojrzałam w dół i pode mną... nie było nic.

Doszłam do tego wniosku w przeciągu zaledwie ośmiu dni, kiedy miałam szesnaście lat. Było to raczej zaskakujące odkrycie, zwłaszcza biorąc pod uwagę sposób, w jaki wychowali mnie rodzice. Niemniej jednak trzeba przyznać, że do tej pory nigdy nie byłam poza Kenmore, a Kenmore było i jest niezaprzeczalnie krainą marzeń. Wszystko wydaje mi się tam jakieś nierealne. I na odwrót, w Cape Cod czy w jakimkolwiek innym miejscu nie ma nic marzycielskiego. Tak więc w przeciągu pięciu minut spadłam z obłoków prosto na twardą ziemię.

Aż do tego momentu wszystko szło dokładnie tak, jak zaplanował mój ojciec. Przyjechałam do Cape Cod w stanie prerażenia i paraliżu świadomości. Cały pierwszy wieczór spędziłam w odrętwieniu, ale nikt chyba nie zauważył mojego stanu. Na zebranie informacyjne przyszły różne młode dziewczyny, które pod żadnym względem nie przypominały ich rówieśnic z Kenmore, ale skoro żadna z nich nie wpatrywała się we mnie z zaciekawieniem czy zdumieniem, stwierdziłam, że może ojciec miał rację i moja blada cera i nieciekawe rysy twarzy oraz mój znieawidzony wzrost i szczupłość były przynajmniej trochę wschodnie, więc chyba będę pasować do tego towarzystwa, chociażby tylko pozornie. Żadna ze zgromadzonych dziewczyn słuchających twardego głosu żony właściciela hotelu, która zapoznała nas z naszymi obowiązkami, nie wyglądała jak piękności z Kenmore. Żadna z nich nie była dojrzała, żadna nie była pełna życia, zuchwała czy nawet sprytna. Wyglądały raczej na prostackie. Była to grupka dziewczyn o porządnie wymytych opalonych twarzach, prostych i czystych włosach oraz zimnych błyszczących oczach, podobnych do moich. Ubrane były w proste, bawełniane bluzki i wytarte bermudy. Nie miały żadnych ozdób, nie licząc małych spinek we włosach. Przeszły chyba same siebie, zakładając do tego trampki.

Prawdę mówiąc, wszystkie one od szyi wzwyż wyglądały zupełnie tak samo jak ja. A ja wyglądałam jak one. Już od momentu, gdy nadszedł list powiadamiający mnie o przyjęciu do pracy,

, poczułam, jak mój gorset rozluźnia się na piersi i mogę trochę swobodniej oddychać.

Tej nocy cały personel zaproszony został na pieczonego homara i miałam okazję spotkać tam chłopaków z obsługi hotelowej, pierwszy raz spotkałam wtedy niedbałych, energicznych i pewnych siebie członków Ivy League, z powodu których zostałam posłana przez ojca właśnie na Wschód. Poczułam wtedy, że gorset znowu się zaciska. Wszyscy oni byli wyzywający, buńczuczni i dziwnie ostrzyżeni. Mieli na sobie obcisłe dżinsy i podkoszulki, które uwydatniały ich bicepsy. Żadnych sprężynowych noży. Żadnych butów do jazdy na motorze. Ich podkoszulki w kolorze khaki były wygniecione, niektóre z nich stanowiły część ich szkolnych mundurków. Chłopcy z Kenmore nie podobali mi się, a oni — tym bardziej. Wszyscy zaczęli się przedstawiać. Kiedy nadeszła moja kolej i musiałam odezwać się tym swoim okropnym południowym akcentem, jeden z nich podszedł do mnie i objął mnie ramieniem.

— Hej, mała! — powiedziała. — A skąd ty się tu wzięłaś?

I w tym momencie odezwał się we mnie charakter ojcowski i odparłam mu pewna siebie: — Pochodzę z Wirginii, ale obecnie mieszkamy w Alabamie.

— PRW, nie? Wiesz co? Jesteś czarująco skromna. PRW oznacza Piękną Rodzinę z Wirginii. Nazwę cię Effie. Może być?

Tak więc na całe wakacje zostałam Effie, zarówno dla chłopaków, jak i dla dziewczyn. Chociaż udawałam, że tego nienawidzę, uwielbiałam, gdy mnie tak nazywali. Oszczędziło mi to zresztą wielu kłopotów. Potem, przez wiele jeszcze lat domagałam się, aby wszyscy tak właśnie się do mnie zwracali. Ten chłopak nadał mi wtedy tożsamość, historię życia, dał klucz do królestwa, pseudonim. Nikt wcześniej nie obdarzył mnie pseudonimem.

— O.K., w porządku — powiedziała do ojca, który zadzwonił do mnie w pierwszy weekend mojego pobytu w Cape Cod, aby sprawdzić, jak mi idzie. — Praca jest okropna, jedzenie złe, a pogoda jeszcze gorsza, ale towarzystwo w porządku. Nazywają mnie Effie. Pewien chłopak tak mnie przezwiał. Spędzamy razem dosyć dużo czasu.

— Jak on się nazywa? — dopytywał się ojciec.

— Hmm... wszyscy nazywają go tutaj Stick. Jest wysoki i chudy... Chyba nie pamiętam, jak on się naprawdę nazywa... Aaa, już mam! Peter. Peter Chapin. Chodzi do Amherst, ale nie pamiętam, gdzie mieszka...

— Nieważne, gdzie mieszka — powiedział ojciec. W jego głosie słychać było radość z odniesionego triumfu. — Nazwisko Chapin i szkoła w Amherst na razie wystarczą. Tak trzymaj, Katie. Effie. Effie Lee. Wspaniale sobie radzisz. Nawet chyba mówisz troszkę inaczej niż zazwyczaj. A teraz posłuchaj mnie, Kate. Pamiętasz, jak ci mówiłem, abyś nie śmiała się zbyt często? No więc nie rób tego i broń cię Panie Boże, abyś chichotała. Uważaj też na picie. Dobrze wiem, jak wyglądają imprezy na plaży i co później mówią o dziewczynach, które za dużo sobie pozwoliły. Jeśli już musisz, to możesz sobie zapalić od czasu do czasu czy wypić ze dwa piwa. Ale nie więcej! I Katie... żadnego obściskiwania się! Na pewno będzie na to, i na jeszcze więcej, wiele okazji i będą cię do tego nakłaniać, ale nie daj im się. Będiesz tą jedyną, która nie będzie tego robić. Po pierwsze, jesteś jeszcze na to za młoda. Po drugie, będziesz jedną z dziewczyn, o której wszyscy będą pamiętać nawet w zimie, kiedy zaczną się rozsyłać zaproszenia na Nowy Rok. Effie Lee, mała słodka dziewczyna z Wirginii, która nie chciała. W ten sposób jest bezpieczniej... i bardziej prowokująco. Wszyscy będą na ciebie patrzeć jak na Królową Śniegu. A ty swoją słodką tajemnicę zachowaj na później. W te wakacje musisz nabrać doświadczenia... No, dobra! Może czegoś potrzebujesz? Przyślemy ci. Ciuchy? Pieniądze?

— Mogłabym wydać trochę forsy na ciuchy — powiedziałam. — Nie potrzebuję tutaj dużo ubrań, ale to co mam, zupełnie mi się nie przydaje. Potrzebowałabym bermudów i kilku podkoszulków. Ach! I jakiś fartuszek.

— No tak — odparł. — Nadal wkłada się napiwki do kieszonki fartuszka?

— O Boże! Nie! — powiedziałam i od razu uchwyciłam w swoim własnym głosie pewną zmianę. Ojciec zaśmiał się.

— Dobrze sobie radzisz, córko! — stwierdził. — Jestem z ciebie dumny. Czyż nie mówiłem ci, że ta dziewczyna nie należy już do Kenmore?

Ósmego dnia pobytu w Cape Cod w mojej części hotelu zatrzymała się pewna rodzina. Na wizytówce widniało nazwisko Childs z Richmond, Wirginia, więc od razu zorientowałam się, że jest to mój dobroczyńca, który załatwił mi tę pracę.

Kiedy weszli do jadalni i rozsiedli się w fotelach, wygładziłam swój fartuszek i z uśmiechem na ustach podeszłam do stołu.

— Witam w Harbour House — powiedziałam, a serce podskoczyło mi do gardła. — Jestem Katherine Lee.

Spojrzeni na mnie. Mężczyzna był wysoki i siwy. Nosił sportową bluzę i flanelowe spodnie. Miał oczy jak sokół wędrowny i rzeczywiście był podobny do mojego ojca. Obok siedziała niska kobieta w letniej lnianej sukience w kolorze różowym, bardzo ładnie opalona, dorastający chłopak w białej koszuli i krótkich spodenkach oraz nadąsana dziewczyna, młodsza ode mnie o kilka lat, która mogłaby być jedną z moich współlokatorek w internacie szkolnym. Musiała to być ta słynna Sydney Childs. Popatrzyli na mnie przyjaźnie, z wyjątkiem Sydney. I wtedy odezwała się kobieta: — Witaj, Katherine Lee. Jesteś tutaj nowa, prawda? Na pewno pamiętałabym twoją piękną buzię, gdybym cię już tu widziała. I czy przypadkiem nie słyszę u ciebie południowego akcentu?

Wyciągnęła rękę, aby wziąć ode mnie kartę. Podałam jej. Ponownie zapadła cisza. Może nie skojarzyli mojego nazwiska.

— Jestem Katherine Lee, Kate — powtórzyłam. — Córka Charlesa Lee.

Mężczyzna i kobieta spojrzeli na siebie.

— Charles Lee... — powiedziała niepewnie kobieta. — Nie jestem pewna, o którego Lee chodzi.

— Był z panem w AK w Wirginii, panie Childs, i w drużynie lekkoatletycznej — powiedziałam. Zaczęło mi szumieć w uszach, a całe ciało ogarnęła fala gorąca. — On... pan... zdaje się, że pan był na tyle uprzejmy, że załatwił mi tę pracę na lato. Wiem, że pisał do pana. Chciałam tylko podziękować...

Głos mi się załamał. Najwyraźniej ci ludzie w ogóle mnie nie znali. Nie znali też mojego ojca.

— Przepraszam bardzo, ale praktycznie całą wiosnę i lato byłem nieobecny w biurze — stwierdził Beauchamp Childs i spojrzął na żonę, a potem na zaferowane menu. — Widocznie moja sekretarka...

— O Boże! Champ! Ty byś chyba zapomniał swojej własnej głowy, gdyby nie była porządnie nasadzona na kark — przerwała pani Childs. — Wybacz mu, kochanie, on ma dobre intencje, ale najczęściej zapomina nawet o własnych dzieciach. Jesteś tutaj bardzo mile widziana i cieszymy się, że mogliśmy ci pomóc. Na pewno spodoba ci się Harbour House. Sydney też tutaj kiedyś pracowała w wakacje, gdy zagroziliśmy jej, że jeśli nie pójdzie do jakiejś porządnej pracy na lato, to wyrzucimy ją z naszej rodziny. Ale i tak nie przyniosło to oczekiwanych rezultatów...

Uparta Sydney spojrzała na matkę z wyrzutem. Jej idealna cera i starannie utrzymane dłonie i paznokcie dowodziły, że nigdy **nie** pracowała tutaj dłużej, niż musiała.

— ...więc znów zaczęła się włóczyć gdzieś po nocach, aby potem spać w dzień. Twój tatuś powinien być z ciebie dumny. Pozdrów go od nas, dobrze? No, a teraz zaczniemy chyba od świeżego ananasa. Jak zawsze...

Dokładnie zapisałam ich zamówienie w notesie i odeszłam. Cały czas coś mi huczało w uszach, a nogi miałam jak z waty. Nagle poczułam, jakbym stąpała po kruchym lodzie. Z tyłu dobiegł mnie zdziwiony i przyciszony głos Beauchampa Childsa: — ...zielonego pojęcia. To Helen musiała napisać ten list. Nie pamiętam go ani z naszego domu klubowego, ani z wyścigów...

Ziemia zapadła się pode mną, a wraz z nią — ojciec, dom AK, Uniwersytet Wirginia, skąpana w słońcu bieżnia na boisku i wszystko, co do tej pory wydawało mi się realne i pewne. Nie, nie pomyślałam sobie, że mój ojciec kłamał. Przynajmniej nie wtedy. Jeszcze wiele czasu upłynęło, zanim to zrozumiałam. Pomyślałam tylko, że on przecież tam był, ale nikt nawet nie zauważył jego obecności, nikt go nie pamiętał. Było to gorsze niż kłamstwo — coś w rodzaju śmierci. Nagle odniosłam wrażenie, że przez szesnaście lat mieszkałam jedynie z duchem przystojnego, pełnego wigoru mężczyzny. Czyżbym była jedyną osobą, która dostrzegąca jego obecność? Żadne dziecko nie mogłoby tego znieść, jeśli okazałoby się, że jego ojciec po prostu nie istnieje, jest niczym. Dla takiego dziecka byłaby to śmierć jeszcze przed urodzeniem.

Weszłam do kuchni i minęłam się z Bopsym Sturtevantem z Colby, któremu przydzielono stoliki po drugiej stronie sali, w o wiele mniej atrakcyjnym miejscu.

Po tym niezbyt przyjemnym spotkaniu z rodziną Beauchampa Childsa nie widziałam ich więcej, nie licząc kilku momentów, kiedy z dala mignęli mi przed oczyma. Chyba nigdy już nie zapomnę tamtego dnia. Dla mnie był to koniec poczucia bezpieczeństwa.

Tamtej nocy pożyczyłam od Bopsy'ego świetną koszulkę, wypijałam pięć piw, wypaliłam jednego pall maila i pozwoliłam, aby Stick Chapin pocałował mnie w cieniu przystani przy Harbour House. Kupiłam sobie spodnie bermudy i okrągłą spinkę do włosów, która wyglądała, jakby była zrobiona ze szczerzego złota. Nauczyłam się też wierszy *Lord Jeffrey Amherst, Powrót do starego Nassau* oraz *Rycz, lwie rycz*. Pomimo że napawało mnie to nienawiścią, a nawet obrzydzeniem, nauczyłam się wtedy żeglować na „Beetle Cat” i grać w tenisa. Wiedziałam już, kiedy można flirtować, a kiedy trzeba być enigmatyczną, kiedy powiedzieć nie, a kiedy tak. I rzeczywiście, powiedziałam kiedyś tak — tylko raz — pod koniec wakacji. Siedzieliśmy

wtedy ze Stickiem na tylnym siedzeniu w mercedesie jego ojca, ale Bóg okazał się przewidujący i zanim dopełniony został ów Czarny Akt, Stick musiał już jechać. Nauczyłam się też dosyć dobrze tańczyć i kojarzyć różne przezwiska i imiona z poszczególnymi osobami. Ojciec byłby bardzo zadowolony. Wyrzuciłam także swój „Revlon” i „Maxa Factora”, a przeszłam na „Chapstick”. Niekończące się godziny przesiadywałam na słońcu z sokiem cytrynowym na głowie, rozjaśniającym włosy. Pod koniec tamtego lata właśnie to było w modzie wśród dziewczyn na Wschodnim Wybrzeżu.

Wszystko to robiłam jakby półświadomie. Czułam się jak żołnierz, który szuka drogi przez zaminowane pole. Ale takie podejście do życia okazało się całkiem trafne. Wróciłam do domu z notesem pełnym adresów osób, o których właśnie chodziło mojemu rodzicelowi. Do domu powróciła młoda bywalczyzna Wschodniego Wybrzeża. Tak więc moi rówieśnicy w Kenmore spojrzeli na mnie tylko raz, po czym nerwowo odsunęli się jak najdalej, podobnie jak zwierzęta chowają się przed groźną panterą. Bali się mnie i pogardzali mną. Jednakże czekały na mnie zawsze wierne książki, które podtrzymywały mnie przy życiu.

Ojciec był w euforii. Nie mogłabym zrobić mu większej przyjemności, nawet wtedy, gdyby zbudował mnie całą swymi własnymi rękoma, cal po calu, komórka po komórce.

— No i widzisz, jakie to proste? — powtarzał ciągle, jeżeli nadchodziła jakaś pocztówka z Dartmouth lub gdy ktoś dzwonił do mnie z Northampton.

Taka była jego siła przekonywania, że wkrótce pamiętałam jedynie o tym, jak mi tam było łatwo i przyjemnie. O wiele prościej jest zacząć żyć kłamstwem, niż przyznać się do zniechęconej, okropnej prawdy. Doświadczyło tego także wielu innych ludzi, których znałam. Mówiłam już wcześniej, że wszyscy znamy się nawzajem i jakoś odnajdujemy się w tłumie.

Jak na razie jest nam całkiem dobrze żyć z tym wielkim kłamstwem, choć może ono omamić lub zabić. Spośród ludzi mi najbliższych aż sześcioro padło jego ofiarą. Między innymi moja matka i ojciec. Zabrało ono też Ginger i uwięziło ją w wiecznym okresie młodości, a mnie — w nieskończonej, bliżej nieokreślonej terażniejszości zamkniętej w zatrutym ogrodzie, jak córkę Rappaciniego. Zrobiło z Fig potwora i rozbiło Cecie jak kruche jajko. Z naszej grupy jedynie Cecie mogła pozbierać się i powrócić przemocą do rzeczywistości, zgodzić się na zwykłą i szarą codzienność. I tylko ona wygrała. Naprawdę wygrała.

Wraciałam do Harbour następnego lata, podobnie jak następnego i jeszcze następnego, i tak aż do roku, kiedy dostałam się do Randolph Macon. Do tej pory byłam już tak przerobiona na wschodnią modłę, że na swój nowy, chłodny i grzeczny sposób zdenerwowałam się, iż nie mogę iść do szkoły Wellesley, Vassar lub Smitha. Ojciec nigdy o tym nie mówił, ale chyba nie byłoby go stać na wysłanie mnie na naukę do Seven Sisters. Jednakże moje oceny w P. Folsom High w Kenmore były wystarczające, aby uzyskać całkiem pokaźne stypendium do którejkolwiek z tych szkół. Dowiedziałam się już o wszystkich szczegółach, ale ojciec nie chciał słuchać o żadnych stypendiach czy jakiegokolwiek formie pomocy finansowej.

— To nie dla ciebie, Effie — tłumaczył. — Są to szkoły dla dzieci fryzjerów i szewców. Randolph Macon jest dobrą placówką. Spotkasz tam dziewczyny z twojej sfery. Poza tym spędzisz przecież całe swoje życie na Południu, więc musisz poznać najlepszych chłopaków z Wirginii. Właśnie tam twoja matka pobierała nauki, kiedy była w twoim wieku. Musisz też nauczyć się jeździć konno. Nie możesz mieszkać w tak dzikim kraju, nie umiając nawet dosiąść konia.

Tak więc po ostatnim lecie spędzonym w Harbour House, gdzie ostatecznie utrwaliłam swoje wschodnie wzorce zachowania i upodobań, tłumiąc w sobie krzyk zranionego serca wyjechałam do żeńskiej szkoły w Lynchburg. Podjechałam pod budynek szkolny swoim własnym, odrestaurowanym samochodem sportowym MG w kolorze zielonym i z opuszczanym dachem. Byłam ładnie opalona i dumna z siebie; miałam wytworne maniery i chłodne spojrzenie. Natychmiast jednak przestałam się wyróżniać z tłumu nowych studentów i studentek. Było tam niezłe, lecz najlepsza była „Tri Omega”. Już ojciec mówił mi, że jest to najlepsze spośród trzech żeńskich kół studenckich w tej szkole. Bóg jeden tylko wie, z kim mój przedsiębiorczy tatuś rozmawiał (nawet ci z „Tri Omega” nigdy mi tego nie zdradzili), ale jedno jest pewne, że kiedy już zostałam wpisana na listę studentek pierwszego roku, znalazłam się zarazem na preferencyjnej liście kandydatów do „Tri Omega”. Nie wpłynęły chyba na to moje nowe drogie ciuchy i MG. Ojciec twierdził, że zakup samochodu i tych ubrań będzie mi przydatny głównie w przyszłości. MG kosztował go o wiele taniej niż nowiutki chevrolet, ale z drugiej strony żadna piękność z Kenmore nie pojechałaby takim gratem na uniwersytet, na Auburn ani Randolph. Żadna nie pojechałaby też nawet na walki psów. Charlie Culpepper próbował przekonać ojca, aby nie kupował tego samochodu. Jednakże

wprawne oko Charlesa Lee nigdy go nie zawodziło. Tak też było i tym razem — MG okazał się bezbłędną inwestycją.

Nie mam zielonego pojęcia, ile kosztował go ten samochód, nowe ubrania dla mnie, opłata za pierwszy rok studiów, składka na „Tri Omega”, złoto-perłowa spinka do włosów, opłaty za akademik i wszystko inne. Na pewno bardzo się zapożyczył na ten cel. Joe McClire z banku w Kenmore sam przygotowywał wszystkie formalności związane z udzieleniem mu pożyczki.

Kiedy tego wrześniowego dnia odjeżdżałam z naszego starego domu w Santee, matka płakała i całowała mnie na przemian. Ojciec też mnie całował, ale nie płakał. W jego szarych oczach było coś z błazeństwa i wariackiej radości.

— Niech cię Bóg błogosławi, Effie Lee — powiedział wzniosłym tonem. — Nie wracaj tutaj bez odznaki Alfa Kappa. Napisałem kilka listów do braci z towarzystwa, których synowie są teraz w Wirginii, więc powinnaś dostawać wiele telefonów.

Serce aż ścisnęło mi się z bólu, ale zmusiłam się, żeby się do nich uśmiechnąć; pomachałam im dłońią i stwierdziłam, że na pewno będę się o to starała. Kiedy dojechałam do Lynchburg, już o tym zapomniałam.

Był to dobry rok. Samochód, ciuchy i towarzystwo „Tri Omega” były podstawą, na której wznosiłam solidną nadbudowę. Pracowałam bardzo ciężko. Uczyłam się nader sumiennie i pierwszy rok zaliczyłam z wyróżnieniem. Chętnie też przyjmowałam propozycje randek z latoroślami byłych członków AK z Wirginii, którzy rzeczywiście zaczęli do mnie wydzwaniać. Rzadko się śmiałam i nigdy nie pozwoliłam się objąć. Całkiem dobrze radziłam sobie na koniu, aby nie przynieść wstydu ojcu. Kiedy przyjechał z matką odwiedzić mnie w Święto Zmarłych i zobaczył mnie na koniu na boisku szkolnym, był tak zadowolony, że podarował mi specjalne ubranie do jazdy konnej i buty. Nadal je mam — leżą w jednej ze skrzyń na strychu. Alan bardzo się śmieje, kiedy je od czasu do czasu przymierzam. Nazywa mnie wtedy „Effie Lee Abrams, narzeczona całego pułku”.

Randolph Macon był światem, który zdawał się doceniać moje wartości i manieri, nos i nazwisko Lee. Nie było ważne, czy mam coś przeciwko niemu czy nie. Nauczyłam się tam wielu wspaniałych rzeczy oraz naprawdę pokochałam sam proces uczenia się. Zaprzyjaźniłam się z kilkoma osobami i prawdopodobnie wyszłabym też za jakiegoś dobrze urodzonego młodzieńca, który zapewniłby spokojną przyszłość memu wymagającemu ojcu, ale po

prostu nie było na to czasu. Późną wiosną, pod koniec mojego pierwszego roku, przestałam nagle otrzymywać z domu pieniądze. Joe McClure zaczął poszukiwać ojca, aby oddał pożyczkę. Dołączyły się do niego lokalny klub i lokalne stowarzyszenie rzemieślników. Wszyscy zaczęli na niego polować. Pewnego chłodnego majowego wieczoru ojciec wsiadł do swego lincolna i pojechał wzdłuż brzegów Santee, dosyć daleko od domu. Strzelił sobie prosto w usta z pistoletu Smith and Wesson, kaliber 32. Odnaleziono go dopiero następnego dnia. Samochód był bardzo zniszczony i Charlie Culpepper, który z niechęcią myślał o długu, nigdy nie zdołał go sprzedać.

— Skąd on wziął ten pistolet? Nigdy nie miał żadnego pistoletu. Nigdy w domu nie widziałam żadnej broni, a przecież mieszkaliśmy razem tyle lat — matka ciągle to powtarzała, raz po raz wybuchając gwałtownym płaczem. Była już słaba, zgięta prawie wpół z bólu po stracie męża i jak gdyby zaślepiona. — Musiał go chyba od kogoś pożyczyć. Jak on mógł to zrobić...

Ja natomiast miałam suche oczy, trzymałam ją za rękę i pocieszałam, chociaż moje serce nieomal skamieniało. Lepiej znałam powody. Kilka razy czytałam napisaną przez Andrew Turnbulla biografię Ernesta Hemingwaya, która stała na półce w gabinecie ojca (ojciec też czytał ją wiele razy i na pewno znał ją prawie na pamięć). Był to ten sam typ i model pistoletu, z którego zastrzelił się ojciec Hemingwaya, a który przysłała mu jego okropna matka. Mój ojciec użył więc pistoletu Hemingwaya. Być może użył go też z tego samego powodu. Myślę, że wszystko to długo, starannie planował i przygotowywał.

Mój biedny ojciec! Nawet jego śmierć była kłamstwem.

Tylko raz rozpłakałam się w te okropne dni, chociaż moja matka i chyba wszystkie kobiety z Kenmore płakały nieprzerwanie. Tuż po pogrzebie J.R. Phipps, agent firmy ubezpieczeniowej ojca, zatrzymał mnie, aby powiedzieć, że ojciec wykupił małą polisę, ażeby sponżytkować ją na moją edukację. Za te pieniądze mogłabym nawet ukończyć jakiś państwowy uniwersytet. Płakałam wtedy gorzko przez wiele godzin, przejęta brakiem wszelkich nadziei, zamknięta w swoim pokoju. Rozpaczałam nad beztroskim ojcem i nad sobą samą. Żał mi było Randolph Macon i utraconego Wschodu. Płakałam nad utratą tego życia, którego zaznałam, i nad rzeczami, których nigdy już nie będę miała. Nie przypominam sobie, abym płakała też za zmarłym ojcem. Przez cały następny rok chyba ani razu nie wspomniałam o jego tragicznej śmierci.

Wiele razy płakałam za Randolph Macon i za Wschodem. Początkowo byłam ogromnie nieszczęśliwa na Uniwersytecie Randolph. Wybrałam go, gdyż przypominał mi nazwą szkołę, którą bardzo kochałam, ale musiałam opuścić. Dostałam się na wydział projektowania wnętrza. Jednakże ani nowa szkoła, ani towarzystwo nie przyjęły mnie serdecznie. Stowarzyszenie „Tri Omega” musiało mnie po prostu przyjąć, gdyż przeszłam do tej szkoły z bardzo dobrymi wynikami z poprzedniego roku, ale wyraźnie było widać, że nikt tam nie wie, co ze mną zrobić. Wiedziałam, że moje nowe koleżanki mają mnie za dziwaczkę. Z powodu mojego wysokiego wzrostu i smukłej sylwetki kojarzyłam im się zapewne z żyrafą. Odróżniałam się od dziewczyn o taliach jak u os i filigranowej budowie ciała. Były to tzw. *cheerleaders* i lokalne królowe piękności. Moją nieśmiałość, rezerwę i głęboki smutek odbierały jako zarozumiałość. Nigdy mi tego nie powiedziały prosto w oczy, ale widać to było po ich minach. Przy moich niewyszukanych, konserwatywnych strojach z tweedu i bawełny ich suknie wyglądały raczej andetnie. Nie odważyłam się nawet rozpakować stroju i bawołu do jazdy konnej. Znałam piosenki z Yale i Amherst i pisywałam listy do dziewczyn o imieniach Muffy i Smithy z takich szkół jak Wellesley czy Sarah Lawrence; znałam teatry Nowego Jorku, umiałam jeździć konno i miałam nawet shaker do koktajli z nalepką Hasty Pudding. Sama słyszałam pogłoski, że wiem, jak przygotowywać martini oraz że pochodzę z bardzo bogatej rodziny i płynię we mnie błękitna krew. Dziewczyny naśladowały mój niedbały i chłodny głos oraz nawyk chodzenia bez jakiegokolwiek makijażu. Ale wszystko to robiły za moimi plecami.

Przydzielono mi pokój tuż obok ATO. Większość czasu spędzałam na nauce, pętając się po różnych pokojach i zakątkach. Wracałam do swojego pokoju późnym wieczorem, gasiłam światła i po ciemku kładłam się spać. Mieszkałam z dziewczyną, która zawsze miała zajęcia dopiero około jedenastej rano, a ja musiałam wstawać bardzo wcześnie. Ubierałam się po ciemku i wychodziłam, zanim moja współlokatorka zdążyła się obudzić. Gdyby nie zaszła w ciążę i nie zrezygnowała ze szkoły, by poślubić swojego adoratora z ATO, i gdyby nie udała się z nim na letnią wyprawę ROTC, nie wytrzymałabym chyba w tym akademiku. Naprawdę nie wiem, co by się ze mną stało.

Jednakże uczyniła to wszystko i pewnego pięknego poranka pod koniec października, kilka dni po jej wyjeździe, ktoś zapukał do

moich drzwi. Do pokoju zajrzała czyjaś głowa o bujnej, rudej czuprynie, z szerokim uśmiechem na twarzy oraz dołeczkami w policzkach. Powiedziała wyraźnie:

— Czyż to jest ta straszliwa Świątynia Nieczystych?

— Zgadza się. Porzuć wszelką nadzieję, o ty, która tu wchodzisz! — powiedziała.

— No, powiedzmy, że porzuciłam — odrzekła Cecie i wpakowała cały tobół ubrań, po czym sama weszła do pokoju. Na szczęście wszystko ułożyło się jak najlepiej.

Rozdział 3

W południe ostatniego Święta Pracy Alan przyszedł do mnie do ogrodu, gdzie właśnie pielęgam naszą małą plantację maku. Najbardziej znienawidzonym przeze mnie chwastem rosnącym na wybrzeżu jest kania — wygląda tak delikatnie, a może całkowicie zniszczyć jedwabiste maki, zanim one jeszcze zdążą zrzucić płatki. W tym roku mam je we wszystkich możliwych kolorach: liliowe, purpurowe, pasowe, różowe, białe, żółte, pomarańczowe. Posiałam je wszędzie. Skoro nie potrafię planować wykorzystania ogrodu na dłuższą metę, po raz kolejny zdecydowałam się posiać tylko rośliny jednoroczne.

Alan miał na sobie stare, wypłowiałe kąpielówki, które kupił sobie chyba wtedy, gdy jechaliśmy na Bermudy, kiedy Stephen miał dwa lata. Było to dwadzieścia pięć lat temu. Trudno w to uwierzyć, ale Alan, stojący tu przede mną, prawie nagi, na bosaka, sam wyglądał na dwudziestopięciolatka, a ma przecież czterdzieści osiem lat. Pomyślałam sobie, że przypomina jakiegoś rosyjskiego tancerza lub akrobatę z carskiego cyrku. Porównanie to przyszło mi do głowy, kiedy go po raz pierwszy zobaczyłam tylko w slipkach. Był i jest śniady, mały, energiczny i idealnie ukształtowany: cienki pas, szerokie bary oraz muskularne, misternie rzeźbione bicepsy. Do dziś lubię dotykać jego ciała. Chyba większy facet nie spodobałby mi się. Jest tak samo wysoki jak ja, kiedy nie noszę butów na wysokim obcasie, i dopiero teraz na głowie i na brodzie zaczynają pojawiać mu się pojedyncze siwe włosy. Jego piwne oczy lśnią jak u nastolatka. W jego ciele — kościach, tkankach, krwi i mięśniach — jeszcze nic nie zaczęło poddawać się nadchodzącej starości. Alan tłumaczy to

swoim pochodzeniem ze wschodniej Europy. Jest Żydem z Mińska, ale wychowywał się w Brooklyn Heights.

— W naszej rodzinie ów specyficzny kolagen zawsze był przekazywany z pokolenia na pokolenie — mówił o swojej wspaniałej cerze, bystrych oczach i płynnych ruchach. — Mój dziadek, Mojżesz, potrafił całować się w łokieć, a przy tym podskakiwać w wieku stu ośmiu lat, natomiast babcia Vera wykonywała taniec brzucha na dworze carskim jeszcze gdy miała lat dziewięćdziesiąt.

Usiadł przede mną na leżącej na ziemi skrzyni i zamilkł. Milczenie przedłużało się. Zaczęłam się denerwować, słońce grzało mnie w plecy i głowę, a morze szumiało w uszach. Pozwoliłam się opanować tym doznaniom. Upalne letnie dni w naszym ogrodzie na Long Island powodują utratę poczucia czasu, ale trzymają mnie przy życiu jak woda czy powietrze. W końcu nie wytrzymałam i nie odwracając się do niego, powiedziałam: — O co chodzi?

— Przyszedł do ciebie list — odrzekł. — Pomyślałem więc, że może chciałabyś go przeczytać.

— Nie w tej chwili — stwierdziłam. — Połóż go na stole. Przeczytam go, gdy przyjdę na lunch. Odpowiada ci sałatka z krabów? Kupiłam ją w Silver's Iron Horse.

— Chyba jednak powinnaś przeczytać go teraz — zaczął nalegać, więc odwróciłam się i spojrzałam na niego. Skoro uśmiechał się, nie było powodu do alarmu.

— Nie ma żadnego adresu zwrotnego na kopercie? — zapytałam.

— Owszem, jest. Pani P.C. Sibley, Croatan Cottage, Nag's Head, Północna Karolina. Czyż nie jest to przypadkiem ta twoja przyjaciółka Ginger Fowler?

Powróciłam do moich chwastów.

— Doskonale wiesz, że to ona — powiedziałam.

Znów wzięłam się za pielienie i kopanie, lecz Alan nie odchodził. W końcu powiedziałam: — Alanie, nie chcę go czytać właśnie teraz. Przygotuj dla nas krwawą Mary, zaraz zrobimy lunch i wtedy go przeczytam. Jeśli tego świństwa nie usunę z ogródka, zniszczy moje ostatnie maki.

— I tak to robi pierwszy mróz. No, chodź już, Kate. Uciekałaś przed nią przez dwadzieścia osiem lat. Przed nim też. Chcę dowiedzieć się, co ma ci do powiedzenia, nawet jeśli ciebie to nie interesuje.

— Więc otwórz list i powiedz mi, o czym pisze — stwierdziłam, zdając sobie sprawę, że nagle serce zaczyna mi mocniej uderzać. Okropne jest takie uczucie. Ostatnie cztery i pół roku spędziłam na

zwalczaniu tego straszego, zapierającego dech w piersiach bicia serca.

— W porządku — powiedział Alan i usłyszałam za sobą szelest rozdzieranego papieru. Potem nastała cisza.

— Cholera by to wzięła! — powiedziałam w końcu, wstałam i wytarłam ręce o dżinsowe spodnie. — No dobra, miejmy to już za sobą. Nienawidzę takich intryg. Co ma do powiedzenia moja dobra przyjaciółka Virginia Sibley, z domu Fowler?

— Pisze, że chciałyby, abyś odwiedziła ją w ich domu w Outer Banks w ostatnim tygodniu tego miesiąca. Pisze, że zaprasza też inne dziewczyny, które mieszkały razem z wami w Randolph — wszystkie cztery... Zdaje się, że tego boskiego Paula nie będzie wtedy w domu, więc dałaby wszystko, abyś mogła przyjechać. Twierdzi, że minęło ponad dwadzieścia pięć lat, odkąd ostatni raz słyszała coś o tobie. Gdyby miała twój adres, na pewno napisałyby do ciebie lub zadzwoniła, ale nikt nie wiedział, gdzie mieszkasz, co nie powinno cię zanadto dziwić. Znalazła twój adres w nowej książce adresowej wszystkich absolwentów Randolph. Pamiętasz, jak posłałem tam nasz adres w zeszłą zimą?

Znowu odwróciłam się do moich chwastów. Niektóre z nich mają takie długie, białe korzenie (zupełnie jak włosy), a te rozrastają się pod ziemią i wysysają wszelkie składniki odżywcze, niszcząc tym samym wszystkie inne rośliny. Chociaż nienawidzę chwastów w ogrodzie, jestem im wdzięczna, że tego lata było ich aż tyle, gdyż miałam w ten sposób nie lada problem i zajęcie na całe dni.

— Czy chciałybyś do niej pojechać? — zapytał Alan po chwili milczenia.

— Nie — odpowiedziałam.

— Ale powinnaś, Kate.

— Nie powinnam. Mam teraz za dużo roboty w ogródku. Proszę, nie nalegaj. Nic mnie z nimi teraz nie wiąże. To odległa przeszłość i całkowicie zapomniana. Wszystko, co jest dla mnie w życiu ważne, jest tutaj. Tylko ty mnie teraz interesujesz.

Zrobił głęboki wdech i wydech, a potem powiedział: — Wcale tak nie jest. Nie chodzi tu o mnie. To ta twoja choroba. Przez tyle już lat żyjemy tą chorobą, zupełnie jak ludzie pod wodą. Toniemy już. I utopimy się, jeśli z tego nie wyjdiesz. Chcę, abyś tam pojechała. Katie, przecież kiedyś bardzo lubiłaś tę dziewczynę...

Nic nie odpowiedziałam.

„Proszę, przestań”, myślałam sobie w duchu, z całej siły wbijając w ziemię łopatę. „Proszę, zamknij się. Zamilcz wreszcie”.

— Będzie tam też i Cecie — powiedział Alan. — Nie chciałybyś spotkać się z Cecie po tylu latach? Z tego, co mi opowiadałaś, nigdy już nie będziesz miała takiej przyjaciółki.

Odwrociłam się do niego tak gwałtownie, że straciłam równowagę i usiadłam. Byłam bardzo zdenerwowana. Złamałam naszą podstawową zasadę. Nad moją głową podniosło krzyk stado mew, a na rozplamionych policzkach czułam powiew orzeźwiającego wiatru, który oznaczał nadchodzący przypływ.

— Przede wszystkim nie chciałam spotkać się z Cecie — powiedziałam. — A dlaczego niby miałabym chcieć? Wystarczająco jasno mi udowodniła, że to ona nie chce się ze mną widzieć. Nie pojawiła się nawet na przyjęciu wydawanym przeze mnie z okazji ukończenia studiów. Nigdy do mnie nie napisała ani jednego zdania. Nigdy nie zadzwoniła. Ani razu, przez całe te dwadzieścia osiem lat. Więc dlaczego miałabym teraz chcieć się z nią spotkać?

— Ty też do niej nie pisałaś — tłumaczył Alan. — I też nie dzwoniłaś. Może ona także nie wiedziała, gdzie mieszkasz, podobnie jak Ginger...

— Kiedyś do niej dzwoniłam... a ona nie oddzwoniła. Napisałam do niej list... bez odpowiedzi. Poza tym zawsze mogła mnie odnaleźć, gdyby tylko chciała. Wiedziała przecież, gdzie mieszka moja matka — stwierdziłam. — Musiała wiedzieć, jak jestem o to na nią wściekła i na pewno wiedziała, dlaczego się z nią później nie próbowałam skontaktować...

— Jak mogła o tym wiedzieć, skoro nigdy jej nie mówiłaś? — Alan nie ustawał. — Prawda jest taka, Kate, że po prostu uciekłaś. Wstałaś, uciekłaś i nawet nie obejrzałaś się za siebie. Może nie mogła do ciebie zadzwonić, a może coś jej się nie układało w życiu. Miała kilka strasznych ataków, ale nie ty jedna cierpisz na tę chorobę. Każdemu coś kiedyś nie wychodzi. Ginger napisała, że Cecie miała do tej pory bardzo trudne życie.

Zagapiłam się na pęczek biało-zielonych chwastów, które trzymałam w dłoni. Nagle przestałam widzieć przed sobą jedynie zabójców moich ukochanych maków. Przypominały mi żywe, rudawe włosy Cecie Hart, do których próbowałam przymocować koronę z białych świec. Świece te paliły się, a Cecie wybuchała śmiechem, gdy tylko kolejna kropla roztopionego wosku spadała jej na nos. Ja też się nieźle przy tym uśmiełam. Właśnie ubierałyśmy się na bal przebierańców Beaux Arts Bali. Było to na początku naszej kariery w Randolph. Ja przebrana byłam za Szeherezadę, a ona — za Królową Śniegu z bajki Andersena.

— Stój spokojnie, Cecie, bo się zapalisz — mówiłam swoim młodzieńczym głosem i jakby z zaświatów usłyszałam jej odpowiedź: — Och, życie jest taką wspaniałą mieszanką przeróżnych piosenek i pełne jest improwizacji — zaczęła mówić śpiewnym głosem. Czytałyśmy wtedy poezję Dorothy Parker. — *Miłość to coś, co nie może pójść źle, a ja jestem królową Marię Rumuńską* — krzyknęłyśmy obie z zapałem.

— Ale to nie wszystko, co pisze Ginger — przerwał mi Alan. — Napisała: „Chciałabym, abys przyjechała, bo muszę ci dowieść, jak bardzo jest mi przykro z powodu tego, co się stało. Od dawna wiedziałam, że źle zrobiłam i dlatego chciałabym jakoś to naprawić. Chciałabym się upewnić, że masz szczęśliwe życie. Tęsknię za tobą. Myślę, że właśnie ty byłaś najlepsza z nas wszystkich”.

Zamilkłam i wiedziałam, że czeka teraz, abym coś powiedziała. Ale nie odezwałam się. Ciszę w mojej głowie wypełniły inne głosy.

...i miłość to coś, co nie może pójść źle, a ja jestem Marią Rumuńską.

Och, Cecie...

Kiedy spotkałam ją po raz pierwszy, pomyślałam, że wygląda jak ogrodowy elf, jak typowy bohater filmów Disneya, który wygląda zza krzaków lub kwiatków, by podejrzeć, co się dzieje. Nie chodzi o to, że była tak groteskowa, lecz o to, że taka energiczna i pełna życia, a przy tym — taka filigranowa. Cecie miała tak idealne wymiary, że wszystkie głowy w miasteczku akademickim odwracały się za nią. Małe dziewczyny były u nas czczone jak kieszonkowe figurki bogini Wenus, a wyższe nieszczęsnice spuszczały głowy, zakładały tenisówki i nawet w styczniu biegały, by zwrócić na siebie uwagę potężnie zbudowanych, muskularnych i koślawych piłkarzy uniwersyteckich. Jej rozmiary szły w parze z wyraźnym brakiem jakiegokolwiek sprytu. Chociaż mierzyła zaledwie 152 centymetry, mogła każdego głupka wprawić w osłupienie — wystarczyło tylko, by skierowała na niego spojrzenie swych błękitnych oczu, rzadko spotykane nawet u rasowych księżniczek. Wszystkie koleżanki zawsze chciały obciąć jej włosy, które grubymi rudymi lokami okalały jej małą głowę niczym strzecha i upodabniały ją do jakiejś starożytnej bogini. Do tego trzeba dodać niebieskie oczy powiększone do rozmiarów bratków przez grube szkła okularów, oprawione w jeszcze grubsze oprawki. Wszystko to sprawiało, że wygląd Cecie był wręcz idealny.

— Wyglądałabyś wspaniale, gdybyś podcięła sobie włosy i nosiła trochę biżuterii — powiedziała kiedyś do niej Sookie Carmichael tuż po spotkaniu klubowym. — Nie chodzi o to, że czasami chowasz

się jak gdyby pod wielkim kloszem. — Sookie nigdy nie zrozumiała, co wtedy było w tym złego. — A te buty, zupełnie jakby do jazdy konnej, i te grube tweedowe spódnice nie dodają ci wcale uroku. Dlaczego nie pozwolisz mnie i Fixy odpowiednio cię ubrać? Musiała-bys wtedy opędzać się kijem od chłopaków jak od wściekłych psów.

— Wystarczyłyby wąż do podlewania ogrodu — stwierdziła Cecie swym wyraźnym głosem, typowym dla mieszkańców Wirginii. Zawsze uwielbiałam słuchać jej głosu. — Poza tym, gdybym wyglądała tak jak wy, przypominałybyśmy raczej jakieś plemię Pigmejów. Żadni chłopcy nie zdobyliby się na odwagę, aby podejść do nas w obawie, abyśmy ich nie pożarły na obiad. I tak chyba się nas boją. Przecież potrzebujecie mnie takiej, jaka jestem, chociażby po to, aby ktoś tworzył kontrast. Wtedy i wy wyglądacie lepiej.

Mówiąc to uśmiechnęła się swym kocim uśmiechem, a na policzkach pojawiły się jej dwa dołki.

— No dobrze — stwierdziła Sookie, choć nie była pewna, czy została delikatnie zbesztana czy też był to raczej komplement.

— Aleś jej docięła — zachichotałam później. — Ona chciałaby, żebyś codziennie wieczorem miała jakąś randkę, dopasowała się do reszty dziewczyn, była szczęśliwa i tak dalej.

— Po prostu nie chce, abym przynosiła wstyd naszemu towarzystwu. Ma pretensje, że nikt się nigdy ze mną nie umówił na randkę — stwierdziła Cecie. — Och, Boże! Ależ ona jest głupia! Możesz mnie sobie wyobrazić w okularach typu arlekin, z oprawkami z rogu koziorożca?

Nie mogłam. Oprócz drobnej figury, lekkiego, słodkiego głosu, w Cecie Hart nie było nic pospolitego. Była miła, ale czasami potrafiła być twarda i nieustępliwa. Jeśli chodzi o naukę, zawsze okazywała się trzeźwo myśląca i trudno jej przychodziło zmienić zdanie. Ciągłe ślęczała nad książkami i uzyskiwała bardzo dobre wyniki. Była jedną z niewielu (oprócz mnie samej i Fig Newton), które naprawdę lubiły już sam proces uczenia się, zbierania samych piątek, dostawania się na listę najlepszych studentów i otrzymywania w nagrodę stypendiów. Jej stroje rzeczywiście były proste i przede wszystkim miały nie sprawiać kłopotów; dlatego też nosiła głównie tweedowe i flanelowe spódnice, eleganckie swetry, szyte na miarę bluzki i podkoszulki oraz ciężkie buty. Miała też jeden płaszcz z wielbłądziej wełny, stary kozuch, płaszcz przeciwdeszczowy i jesionkę w kolorze khaki. Rzeczy więc miała niewiele, ale za to bardzo o nie dbała. Była jedyną z nas, która nigdy nie posyłała swych ubrań do prania w domu. Czasami, kiedy się nie uczyła, szyla

dla siebie różne rzeczy. Robiła to tak dokładnie, że nie można było znaleźć ani jednego źle skrojonego brzegu czy zwisającej nitki.

— Nauczyłam się szyć w zakonie. Gdy opuszczaliśmy tę szkołę, wszystkie umiałyśmy szyć jak prawdziwe krawcowe — mówiła. — Siostry bardzo dobrze nas nauczyły.

Rodzice Cecie i jej starszy brat zginęli w wypadku samochodowym, kiedy ona była jeszcze zbyt mała, aby ich pamiętać. Babcia i całe trio ciotek, starych panien wychowało ją w wielkim domu rodzinnym na Wschodnim Wybrzeżu. Wszystkie cztery były katoliczkami-dewotkami. Uczyły ją muzyki, szycia i czegoś, co nazywały „zachowaniem właściwym dla dam”. Kiedy miała niespełna dziewięć lat, posłały ją do szkoły zakonnej. Chroniły ją i ubóstwiały, podobnie jak zakonnice, dlatego też można powiedzieć, że miała szczęśliwe dzieciństwo, nawet jeśli nie miała okazji do poznawania świata czy bycia w towarzystwie. Jej rodzina była bardzo bogata duchowo, lecz materialnie — biedna jak mysz kościelna. Z trudem mogły sobie pozwolić na wysłanie jej do jakiejś niepaństwowej szkoły, nawet gdy otrzymała stypendium i odpowiednie wsparcie finansowe. Cecie chciała iść po ukończeniu szkoły średniej na prawo i wiedziała, że sama musi na to zarobić, bo nikt jej pieniędzy nie da. Tak więc bieda była jednym z czynników, które połączyły nas już od pierwszego momentu. Podobnie jak pieniądź rodzi pieniądź, tak ubóstwo pociąga za sobą ubóstwo. Stanowiło ono podstawę więzi między nami.

Drugim spoiwem był fakt, że obydwie nie bardzo umiałyśmy się orientować w otaczającej nas rzeczywistości. Cecie była pragmatyczna i twarda, jeśli chodzi o jej samodyscyplinę, ale na otaczający ją dotychczas mikrokosmos składało się towarzystwo naiwnych, starych kobiet i zakonnice, wśród których czuła się samotna. W każdym calu odpowiadało to moim gustom i przekonaniom. Żadna z nas nie potrafiła dokładnie określić, co oznacza „prawdziwe życie”, lecz może wtedy nie było to takie ważne, jak jest obecnie. Niewiele młodych kobiet pod koniec lat pięćdziesiątych tego stulecia naprawdę wiedziało, na czym to prawdziwe życie polega. „Bądź realistką” było zdaniem, które każda z nas najczęściej słyszała od swoich rodziców i innych znajomych. Cecie i ja poświęciłyśmy całe trzy lata w Randolph na staranne unikanie wszystkiego, co rzeczywiste. Wyśmienicie nam się to udawało. Czasami myślę, że była to najgorsza rzecz, jaka mogła przydarzyć się Cecie Hart. Ja uciekałam od życia, lecz w jej płonącej duszy było coś, z czego nie zdawała sobie sprawy, a co skłaniało ją ku codzienności. Wielokrotnie zastanawiałam się,

czy gdyby mnie tam wtedy nie było, Cecie mogłaby dojść do tego wcześniej i z lepszymi wynikami. Lecz byłam tam i w ów dzieri listopadowy, kiedy wrzuciła do pokoju swoje rzeczy, zrodziła się wielka przyjaźń i, chociaż żadna z nas tego nie nazwała — wielka miłość.

Te wczesne, zaślepienie przyjaźnie są przecież miłością. Nie każdy ich doświadcza, a prawie nikt — więcej niż raz w życiu. Następne, późniejsze przyjaźnie nie są już takie. Te pierwsze wyrastają tylko w krainie młodości. Tylko tam są one możliwe do spełnienia, gdyż liczy się nie upływ czasu, lecz bliskość i odkrycia nowych wrażeń, których wpływ zmniejsza się wraz z przemijaniem. Nie mają w sobie nic z seksu, przynajmniej większość z nich, chociaż — jak twierdzi Freud — między ludźmi nie istnieją żadne bliższe związki nie oparte na pożądaniu. Nie wydaje mi się jednak, by mój związek z Cecie miał coś w sobie z tej sfery. W tym okresie obydwie byłyśmy przerażone myślą o jakiegokolwiek miłości fizycznej. Jednakże nasza przyjaźń miała o wiele więcej elementów niż typowa miłość: oczarowywała nas, uspokajała, karmiła, spalała. Odkryłyśmy w sobie całe galaktyki, wszechświaty. Według mnie odkrycie jest jednym z głównych filarów rozwoju. Niestety, większość z nas po osiągnięciu wieku dojrzałego rezygnuje z dokonywania nowych kolejnych odkryć. Czasami przyjaźnie te trwają dłużej niż pierwsza młodość, ale nie zdarza się to często. Ich podstawowym atutem jest nieujarzmiona siła ognia poznania i badania. Przyjaciel czy przyjaciółka staje się twoim przewodnikiem, który dociera wraz z tobą do najgłębszych pokładów duszy, odsłania jej głębię i tajemne, nie poznane dotąd obszary. Wszystkie twoje zmysły działają w całej pełni, twój umysł rozwija się bardzo szybko, wszystkie siły witalne skoncentrowane są na działaniu. Taka przyjaźń jest jak początek nowego życia, kiedy to dziecko zdoła nauczyć się więcej przez kilka miesięcy niż potem przez całe życie. Dokładnie tak było ze mną i z Cecie. Nie mogłyśmy żyć bez siebie, nie mogłyśmy nacieszyć się sobą, chociaż było to życie wciąż w tym samym kręgu.

Od samego początku wszyscy przewalali nas Mutt i Jeff. Nie mogli inaczej nas nazwać, przede wszystkim ze względu na moje długie włosy i jej dziecinną błogość ducha — cechy, które podkreślały naszą inność i odgradzały od reszty. Nie ma też wątpliwości, że należałyśmy do grupy „otchłaniowców”. Obydwie. Z rozmów odbywanych w naszym towarzystwie mogłybyśmy się nauczyć wielu pożytecznych rzeczy, lecz myśmy się ciągle śmiały. Właśnie ten nieopanowany śmiech najbardziej utkwiał mi w pamięci. Śmiałyśmy się prawie ze wszystkiego. Był to śmiech lekki i radosny,

jak głębokie wdechy i wydechy na lekcjach wf, na których ćwiczyłyśmy nasze płuca skurczone w zbyt małych klatkach piersiowych. Nie pamiętam, aby jakieś wspólnie spędzone dni nie zaczynały się lub nie kończyły wybuchami śmiechu.

Nieważne, jak daleko byliśmy od siebie podczas dnia: wieczorami zawsze znajdowałyśmy wspólną płaszczyznę do rozmów. Po zajęciach chodziłyśmy razem na obiad, uczyłyśmy się razem, chodziłyśmy na spacer, na kawę lub coca-cola do kawiarni. Kiedy rozstawałyśmy się, wyjeżdżając na wakacje lub ferie, codziennie pisałyśmy do siebie listy. W pokoju słuchałyśmy płyt lub czytałyśmy na głos różne rzeczy, śmiałyśmy się i czasami rozmawiałyśmy o fragmentach poezji lub prozy, które wywarły na nas szczególnie wrażenie. Nierzadko zalewałyśmy się rzewnymi łzami przy czytaniu jakiejś romantycznej powieści. Przeczytałyśmy wszystkie książki Dorothy Parker. Całym sercem podziwiałaśmy jej cynizm, na którym zaczęłyśmy się wzorować. Często też śpiewałyśmy sobie: *Gdzież jest ten mężczyzna, który potrafi wyleczyć zranione serce* lub *Słońce pociemniało, za to księżyc zbladł, ja jego pokochałam, a on był jak gładz* oraz *Pokłóć się z przyjacielem, a stanie się on twoim wrogiem* i *Karabiny nie są straszne, stryczki też, chociaż gaz ma straszny zapach, możesz jeszcze żyć*. Chyba nigdy nigdzie nie było dwóch młodych kobiet, które byłyby tak niezmordowane w wymyślaniu sobie różnorodnych zajęć.

Czytałyśmy też i inną poezję – irlandzką i angielską. Wszystkie wiersze należały do tzw. „czarnego romantyzmu”, który rozwinął się w okresie międzywojennym. Pamiętam, jak po raz pierwszy zetknęłyśmy się z twórczością powojennych poetów: Cecie zbladła z oburzenia i odrazy. Ja też podzielałam te uczucia. Czułam się wystraszona i oszukana, jakbym została zwabiona do jaskini węży. Skierowałyśmy wtedy naszą uwagę na utwory Szekspira, Dickensa i Kiplinga, nasze pierwsze miłości. Przyniosłam też Maupassanta i Conan Doyle'a oraz mity starożytnych Greków i wikingów. Kładłam jej te książki na kolanach i zaczynałyśmy czytać. Cecie natomiast odkryła przede mną *Dzieci wodne* i *Wierzy płaczące* oraz *Królewska droga do romansu* Richarda Halliburtona.

– Nic nie jest warte w życiu tyle, co pływanie łódkami – mówiła parafrazując Rat, która opowiadała o swoim dzieciństwie spędzonym nad płytkimi, ciepłymi wodami zatoki Cheasapeake.

– *Płyń, głęboki i ciemny oceanie, płyń* – mówiłam, opowiadając jej o wielkim, zimnym morzu w Cape Cod.

Zawsze otaczała nas muzyka.

Przyszło nam żyć w świecie niczym, ale za to atrakcyjnym i pociągającym, w czasach, w których nastąpił wybuch rozwiąłości seksualnej idącej w parze z murzyńskimi rytmemi i bluesem. Ojciec określał to jako „murzyński bal”. Nad całą ziemią zapanowały melodie młodych zbuntowanych. Connie Francis ciągle powtarzała, że wszyscy są takimi samymi głupcami oraz że aby być szczęśliwą, wystarczy iść tam, gdzie są chłopcy. Brenda Lee nie była zadowolona z tego wszystkiego i zawsze chodziła naburmuszona. Siostry Shirelles też miały twarde orzechy do zgryzienia — ciągle zastanawiały się, czy w ogóle znajdzie się ktoś, kto je pokocha.

Do dalekiego Południa Stanów Zjednoczonych nie doszły jeszcze najnowsze nurty w modzie. Nie znaleźliśmy jeszcze mistrzów rock and rolla z San Francisco czy tych pyzatyh Anglików. W Randolph wszyscy zachwycali się twistem, quick- i slow-stepem i tańczyli przy takich wykonawcach, jak Dion, the Belmonts, the Four Seasons, the Drifters, the Everly Brothers czy Buddy Holly. Cecie i ja potrafiłyśmy zatańczyć twista, ale nie podobała nam się spec'alnie ta muzyka. Był to według mnie pewien rodzaj hałasu, nieustanny, podziemny puls mojego pokolenia, prekursor bardziej cywilizowanego hałasu, modnego w latach siedemdziesiątych. Natomiast naszą muzyką — moją i Cecie — była muzyka, której można było posłuchać, porozmawiać o niej czy nawet przy niej popłakać, muzyka kryjąca w sobie swoisty smutek, łagodna jak muśnięcie skrzydeł ptaka z jakiegoś romanisu. Pierwszą rzeczą, jaką robiłyśmy zaraz po wejściu do pokoju, rzucając naszych teczek na łóżko i przebraniu się w dresy lub bermudy, było kolejne przejście wszystkich płyt ustawionych w rzędzie na parapecie, wybraniu jednej i puszczeniu jej na moim starym adapterze. Od tej chwili cokolwiek robiłyśmy w pokoju przed pójściem spać, było niejako podporządkowane muzyce, której słuchałyśmy.

Jedną z piosenek, łzawa ballada pod tytułem *Kiedy jesteśmy młodzi* stała się naszym nieoficjalnym hymnem. *Piosenki napisano, aby je śpiewać, kiedy jesteśmy młodzi* — śpiewał jakiś drżący sopran — *Wiosna jest codziennie, kiedy jesteśmy młodzi...*

Nie chodzi tutaj o „młodych” z lat sześćdziesiątych, których wielka kultura zaczynała się właśnie tworzyć — była ona wstrząsem dla wszystkich, rozdarła dotychczasową kulturę i stworzyła dzieci miłości, narkomanów, wolną miłość, gołe stopy, drapieżne jastrzębie i równie dzikie gołębie. Był to swego rodzaju sposób na młodość: bicie serca, nierówny puls, drżenie ciała, rozpierająca radość, chęć, głupota i delikatność, i łzy, i śmiech, i gęsia skórka z podniecenia, i zwykłe wrażenia zmysłowe... Nazywaliśmy to Impulsem. Czasami

Romanssem. Był to jednak zawsze, niezależnie od nazwy, stan młodości w okresie beczczasowym. A nasza muzyka przepływała przez to wszystko jak rozlane wino po majowej trawie.

Chodziłyśmy też posłuchać innej muzyki, innych głosów w innych pokojach. Muzyka z tamtych krótkich lat spędzonych w Randolph wydaje mi się teraz jakaś płytka, płaska, nawet trywialna. Nigdy więcej nie puszczałam tych płyt i nie słuchałam tych piosenek. Ale nawet teraz, kiedy usłyszę w radiu lub w telewizji piosenkę *Na ulicę, na której mieszkasz*, melodie z Czajkowskiego czy piosenki Percy Faith, wracam pamięcią do Cecie Hart i wspominam sobie, jak siedziałyśmy razem na naszym podwójnym łóżku w Randolph, Alabama, w pewną majową noc, księżyc zaglądał nam do okien i oświetlał pokój, gdzie rozchodził się przepiękny zapach kwiatów kwitnących właśnie w ogrodzie. A my gadałyśmy i gadałyśmy. Albo słuchałyśmy Mendelssona w tym samym pokoju, o tej samej późnej godzinie, ale stałyśmy przy elektrycznym kaloryferze, który zawsze bardzo głośno pracował, miałyśmy na sobie grube swetry, patrzyłyśmy przez zamarznięte okna i popijałyśmy słabą rozpuszczalną kawę Maxwell House zalaną gorącą wodą z kranu.

— Uch! — mówiła Cecie, potrząsając głową jak mokry pies. — Kawa zawsze tak ładnie pachnie i powinna być mocna i dobra jak czekolada na gorąco, a ta zawsze ma taki obrzydliwy smak... jak końskie siuśki.

Wtedy wyszukiwała w swojej portmonetce jakieś drobne, schodziła do piwnicy i kupowała w automacie puszkę coca-coli i Baby Ruth, do tego paczkę chipsów, i znowu miałyśmy o czym gadać w nieskończoność.

Zawsze, zawsze, gadanie w rytm muzyki.

A rozmawiałyśmy na wszystkie tematy popularne wśród dziewczyn w internatach i akademikach: o tym, kto z kim chodzi, kto z kim zerwał i która para wyglądała na najbardziej trwałą. Mówiłyśmy o tym, kogo lubimy, a kogo nie, kogo kochamy i nie-nawidzimy, kto jest wyjątkowo antypatyczny i kto jest wart jedynie pogardy. Skoro prawie nie było rzeczy, o których nie mogłybyśmy sobie opowiadać, bez żenady przyznawałyśmy, iż niektóre z członkiń „Tri Omega” należały do tych ostatnich kategorii.

— Można by pomyśleć, że ona jest dumna z tej swojej dupy jak szafa trzydrzwiowa, bo zawsze paraduje po pokoju tak, jak ją Pan Bóg stworzył. Brakuje jej tylko bocianiego gniazda na łbie — śmiała się Cecie z którejś koleżanki. Cecie zawsze była aż przesadnie

skromna — niewątpliwie stanowiło to cechę wyniesioną ze szkoły zakonnej. Nie pamiętam nawet, abym kiedykolwiek widziała ją całkiem nago.

— Jeśli ona jeszcze raz pocałuje mnie na dobranoc, aby sprawdzić, czy nie piłam, chyba ją trzepnę — zastrzegałam się. Lub: — Nigdy by nie zdała tego kobylastego egzaminu z socjologii, gdyby nie podrywała tego starego głupka, profesora. W zeszłym tygodniu spędzała całe popołudnia na przepisywaniu dla niego czegoś na maszynie. A ta brązowa plama na jej policzku, na pewno nie jest od nadmiaru nikotyny.

Spojrzałyśmy na siebie i jednocześnie zaczynałyśmy śpiewać tę samą piosenkę: *A ona ma w nosie brązowy pierścień, który rośnie jej z dnia na dzień...*

Wybuchaliśmy potem szalonym śmiechem, aż łzy zaczynały nam płynąć z oczu. Czasami podtrzymywałam ten śmiech po to tylko, aby dłużej posłuchać, jak śmieje się Cecie. Było to coś czarującego, czystego jak kryształ, narastającego w napięciu, by po chwili zmienić się w typowy chichot. Zawsze wszyscy dookoła śmiali się, kiedy śmiała się Cecie, nawet wtedy, gdy nie wiedzieli, co jest powodem takiej radości. Którejś nocy śmiała się tak żywiołowo, że nie mogła się opanować przez dłuższy czas, aż wszystkie dziewczyny mieszkające w pobliżu zeszły się do naszego pokoju sprawdzić, co się dzieje. Przecierały zaspane oczy, ziewały, ale były zbyt ciekawe, by nie sprawdzić, co wprawiło ją w ten śmiech. Nie zawsze mogłyśmy im wytłumaczyć, a one nie zawsze rozumiały, o co nam chodzi.

Często też rozmawiałyśmy o sobie. Po kilku miesiącach mieszkania w jednym pokoju moja powściągliwość rozpułnęła się gdzieś całkowicie i opowiedziałam Cecie rzeczy, których nigdy dotąd nikomu nie opowiadałam, i potem jeszcze wiele czasu musiało upłynąć, zanim znowu się z kimś nimi podzieliłam. Nigdy jednak nie odsłoniłam jej niektórych rzeczy w stu procentach, gdyż pewna przepaść między nami jednak zawsze istniała, a czarne, zimne morze otaczającej nas rzeczywistości było zbyt wzburzone. Nigdy też nie zrobiłam nic, aby zatamować ów wyciek moich tajemnic, chociaż jestem pewna, że Cecie wykorzystywała każdy najdrobniejszy szczegół, aby dowiedzieć się o mnie jak najwięcej. Myślę, że lepiej znała mój prawdziwy charakter niż ja sama, i na odwrót. Zaufanie, jakie żywiłyśmy do siebie wzajem, było o wiele głębsze, ale też i bardziej nietrwałe, niż nam się wydawało.

— Nie jestem Virginią Lee — powiedziałam nagle pewnej nocy, co nie było w ogóle związane z tematem naszej rozmowy. —

VV ogóle nie jestem z Wirginii. I nie mam żadnych pieniędzy. Cały ten cyrk był pomysłem ojca.

Nawet nie mogłam na nią spojrzeć, a moje serce chyba nigdy dotąd nie biło tak mocno. Świadomość otaczającej mnie otchłani całkowicie mnie opanowała.

— No tak. I tak wiedziałam wszystko o rodzinie Lee — stwierdziła Cecie, również na mnie nie patrząc. — Wiedziałam, że nie jesteś z Wirginii. Moje ciotki znają każdego Lee z tego stanu, czy to żywego czy umarłego. Nie kojarzyły jednak twojej rodziny. Mam nadzieję, że nie będziesz żałować, że powiedziałaś mi o tym. Jeden Bóg wie, że pieniądze są ostatnią rzeczą potrzebną w domu i wszystko mi jedno, co mówi twój ojciec na ten temat, chociaż, nawiasem mówiąc, musi być chyba interesującym facetem.

— Był — sprostowałam. — Nie żyje. Ale masz rację, był bardzo interesującym człowiekiem.

— Przykro mi — powiedziała. — Na pewno trudno jest nie mieć rodziców, nawet wtedy, gdy wszyscy inni dookoła są niezmiernie mili.

Nigdy nie mówiła o swoich własnych przeżyciach i uczuciach związanych z utratą kogoś bliskiego. Stanowiło to terytorium położone za szczelnie zamkniętymi drzwiami, przez które nawet ja nie mogłam przejść. Coś się we mnie jak gdyby skurczyło i zadrżało. Nie było to uczucie żalu. Było to coś silniejszego i czystsze.

— Ojciec zastrzelił się — stwierdziłam — w zeszłym roku, kiedy stracił cały swój majątek. Dlatego też jestem tutaj. Ta cała gadka o tym, że Randolph ma lepszy wystrój wewnątrz, to tylko mydlenie innym oczu.

Powiedziałam to, aby odwdziżyć się jej, podziękować za wysłuchanie i zrozumienie prawie całej prawdy o mnie, a także za to, że powiedziała mi też o sobie. Poza tym stanowiło to dla mnie pewnego rodzaju zabezpieczenie. Wydawało mi się, że dzielenie z kimś tajemnic serca oznacza także związywanie się z nim. Zgadzało się to w przypadku Cecie. Jednak dopiero po pewnym czasie zrozumiałam, że nie zawsze bywa to prawdą, a co więcej — najczęściej w ogóle nie jest prawdziwe.

— Chciałabym, abyś pamiętała o dwóch rzeczach — powiedziała głosem, jakim zawsze mówiła „dzień dobry” czy komentowała pogodę za oknem — a wtedy nie będziemy już do tego powracały, bo nie ma takiej potrzeby. Po pierwsze, nigdy nikomu nie opowiem o tym, co mi przed chwilą powiedziałaś. Po drugie, nigdy tak naprawdę nie było mi przykro, że moi rodzice i brat zginęli w tym

wypadku. W pewnym sensie podobało mi się to. W ogóle ich nie pamiętam, a w dzieciństwie byłam takim centrum uwagi, zyskiwałam sobie taką miłość i prezenty, jakich nigdy bym nie miała, gdyby oni żyli. Ludzie zawsze ustępowali mi miejsca, bo było im mnie żal. Nigdy nie doszłabym nawet do szkoły średniej, gdyby żył Bobby — nie starczyłoby pieniędzy, a poza tym w rodzinie Hartsów zawsze tak jest, że wykształcenie zdobywają synowie, a nie córki. No, starczy tego dobrego. Chodźmy do sklepiku i kupmy sobie coś. Dziś ja stawiam, moja kolej.

Dzieliłyśmy się ze sobą wszystkim. Opowiedziała mi o dziwnych przypływach i odpływach, o wielkiej zatoce, o porach roku i o niebieskich, połyskliwych krabach, które wyciągała z wody na plażę przed domem babci, o ptactwie morskim i o wielkich kluczach dzikich gęsi, które regularnie odbywały swoje wędrówki z północy na południe i z powrotem, na wiosnę i na jesieni. Kiedyś szła właśnie na mszę niedzielną i zobaczyła na niebie taki klucz gęsi. Zapatrzyła się na lecące ptaki tak, że w ogóle zapomniała, iż powinna iść do kościoła.

— Babcia dowiedziała się o tym i zrobiła mi taką awanturę, że wydawało mi się, iż za chwilę zostanę wtrącona do piekła. I tak przecież wszystkie msze są takie same i nie ma w nich nic ciekawego.

Opowiedziała mi też o wielkim, bogatym ekosystemie wód przybrzeżnych, o gwiazdach na nocnym niebie, chmurach i wszelkich innych rzeczach nad Chesapeake. Cecie zawsze bardzo interesowała się naukami przyrodniczymi i kilka razy opowiadała mi o swoim wspaniale wypielęgowanym ogrodzie. Była to jej pasja. W naszym pokoju stały więc niezliczone donice i doniczki z przeróżnymi kwiatami i innymi roślinami. Cecie była jedyną osobą spośród moich znajomych, która potrafiła wyhodować wspaniałe okazy avocado jedynie ze starej pestki. Często przemawiała do swoich roślinek, czasami nawet udawało jej się mówić płynnie i szybko po francusku.

W zamian za to opowiedziałam jej o żeglowaniu, tenisie, koniach i o całym Wschodzie. Ale i tak nigdy jej nie dorównałam w tych opowieściach. Nigdy nawet nie pomyślałam, że mogłabym opowiedzieć jej o swoim życiu w Kenmore. Był to dla mnie etap życia tak mało realny jak fragment książki, którą przeczytałam już dawno, dawno temu.

Jedyną rzeczą, o której nie mogliśmy swobodnie rozmawiać ze sobą, był seks. Byliśmy pod tym względem jedynymi dziewczynami, przynajmniej w obrębie Uniwersytetu Randolph. Wszędzie dookoła nas, w pokojach w akademiku, u dziewczyn i chłopców, w samochodach i na kocach nad jeziorem rozmawiało się o tym, a niektórzy nawet to praktykowali. Pomimo tego, że groza ciąży zawsze wisiała nad wszystkimi niczym kara boska i po każdym semestrze kilka dziewczyn zniknęło raz na zawsze ze szkoły lub wychodziło pośpiesznie za mąż, próbując wmówić wszystkim, że to szaleńcza miłość, która nie może czekać, seks nadal pozostawał powszechną obsesją wszystkich i zawsze krył się za każdą imprezą, muzyką, tańcem. W końcu dla wielu z nas był to przecież główny powód wstąpienia na ten uniwersytet.

W każdą noc całe miasteczko akademickie dygotało niczym pani Bovary. Nawet pojawienie się kilka lat później słynnej pigułki nie mogło już zwiększyć ilości popełnionych Czarnych Aktów ani Brudnych Grzechów. Myślę, że zmniejszyło to jedynie comiesięczny lęk dziewczyn. Nie zawsze można było zgadnąć, kto to robi, bo nikt się przecież otwarcie nie przyznawał. Jednakże czasami widać to było po wypiekach na twarzy czy rozmazanej szmince, które najczęściej oznaczały tak zwany zp — zaawansowany petting, czyli zło dozwolone tylko dla dziewczyn, które już wpadły i nic nie mogą na to poradzić, oraz dla zaręczonych par. Chłopakom w Randolph nie groziły za to żadne sankcje. Wiadomo było, że kiedykolwiek chłopak chce lub musi to zrobić, robi to. Skoro jednak większość dziewczyn nie zgadzała się na takie praktyki, myślę, że większość chłopaków zaspokajała swe potrzeby w ramionach małej grupki cichodajek, lecz jakoś nigdy sprawa ta nie wyszła na światło dzienne. Chłopcy raczej nie kryli się z tym, ale my, dziewczyny, nie robiłyśmy tego... albo robiłyśmy, ale nie przyznawałyśmy się. *Simplis in extremis*.

Cecie i ja po prostu nigdy o tym nie rozmawiałyśmy. Owszem, nauczyłyśmy się kilku sprośnych piosenek i kiedy byłyśmy w towarzystwie rozmawiającym właśnie na ten temat, potrafiłyśmy wydawać z siebie odpowiednie dźwięki naśladowcze. Wcześniej czy później każda rozmowa w każdej grupie schodziła na temat seksu. Cecie wypuszczała przy tym nosem dym z papierosów pall mail (kilka miesięcy musiała poświęcić, aby nauczyć się zaciągać papierosami bez kaszlu i krztuszenia się), kiedy na przykład Ginger wpadała do pokoju. Miała rozwiane włosy i całą twarz umazaną szminką; — O Boże! Ale ci z SAE to byczki!

— Ty naprawdę poszłaś dziś w nocy na całego, Fowler — mówiła Cecie, a Ginger wybuchała śmiechem. Podobało jej się już samo fizyczne dotykanie i pieszczoty, tak jak kot lubiła głaskanie, i myślę, że podchodziła do tego w bardzo niefrasobliwy sposób. Nigdy nie mogłyśmy skontrolować, jak daleko się posuwa, podobnie jak nie można zabronić psu wychodzącemu z wody, aby się nie otrząsał.

Kiedy któraś zaczęła nieśmiało opowiadać o wieczorze spędzonym gdzieś z chłopakiem, odzywałam się głosem ociekającym wprost znudzeniem:

— Jeszcze lepiej jest robić to na piasku na plaży Bailey.

Wszyscy zaczynali się wtedy śmiać, a spojrzenia kierowane na mnie wskazywały, że traktują mnie jako osobę wyjątkowo doświadczoną w tym zakresie, niemalże weterankę, która z pewnością wie nawet, jak wygląda sztuka miłosna *Kamasutry*.

Nawet Fig Newton sama kiedyś tego doświadczyła, o czym nas poinformowała w sposób pośredni. A zrobiła to z gracją szarżującego hipopotama. Pewnej nocy wpadła do nas do pokoju, pod tykając nam pod nos swoje stopy, i śpiewnym głosem stwierdziła: — Popatrzenie, ogoliłam nogi. Ale mają radochę, kiedy mogą mnie polizać.

— Jezu, Fig! Jesteś obrzydliwa! — krzyknęłyśmy na nią.

— Przecież nie tylko ja tak robię — próbowała się bronić.

— Raczej possałabym już sobie zgniłego daktyla — powiedziała Cecie wieczorem, kiedy już kładłyśmy się spać. — Naprawdę myślisz, że ona goli sobie nogi?

— Chyba tak — odparłam.

— A Franklin naprawdę... no wiesz, ssie je?

— Chyba tak. A niby dlaczego miałyby to robić, jeśli nie dlatego?

Cecie cała zadrżała, co oznaczało obrzydzenie i wstręt.

— Zdaje mi się, że w klasztorze było o wiele lepiej — powiedziała na koniec.

Chyba niezupełnie miała na myśli to, co powiedziała. Raczej trudno jest określić, jak edukacja w klasztorze wpływa na najgłębsze warstwy psychiki młodych kobiet. Później spotkałam wiele takich dziewczyn i każda z nich miała trochę zwichrowane podejście do życia. Nie było też wątpliwości, co ten typ edukacji zrobił z Cecie, przede wszystkim jeśli chodzi o seks, a także i o inne rzeczy. Była ona czysta i odległa od takich problemów. Może czasami tego żałowała. Kiedy przeczytałyśmy (tym razem po cichu) *Kochanka Lady Chatterley* i *Zwrotnik Raka* powiedziała:

— Byłoby straszne, gdyby koniecznie trzeba było wydawać te wszystkie dźwięki... podczas Tego. Jeszcze gdyby nie można Tego było robić w całkowitej ciemności i odosobnieniu, i nie rozmawiać o Tym aż tyle. Ale wygląda To na bardzo głośną, publiczną sprawę, która nie może być osobista i prywatna. Jakaż szkoda, że nie można mieć dzieci w inny sposób!

— Nie musisz obnosić się z tym publicznie — powiedziałam. — Nikt ci nie każe. Jest to równie piękne jak *Jeziro łabędzie*. Skąd wiesz, jak to wygląda naprawdę?

— Bo wiem — odparła. — Jest to coś podobnego do tego, co opisywał w którejś książce Henry Miller, kiedy jego bohaterka podniosła spódnicę i zrobiła to sobie na środku ulicy Tottenham Court palcami. O Boże! To nie dla mnie! Dziękuję bardzo!

I rzeczywiście chyba tak myślała. Nigdy nie rozmawiałyśmy ani o małżeństwie, ani o dzieciach, ani o niczym, co mogło być z tym związane. Czasami jednak schodziłyśmy na temat Wielkich Miłości i związanych z nimi cierpień. Kiedy zaczynałyśmy dochodzić do szczegółów, wkraczałyśmy na silnie zaminowaną i niepewną drogę, która zawsze prowadziła do Grzechu, więc zmykałyśmy stamtąd jak najszybciej. Ona uciekała od kłopotów z tym związanych, a ja — od zażenowania i strachu przed odpowiedzialnością. Według mnie To oznaczało zawsze małżeństwo, co z kolei oznaczało dziwny, dwuznaczny taniec w otchłani, który związał na zawsze mego ojca i matkę.

Tak więc potrafiłam odpowiedzieć na jej „Nie, dziękuję” „Amen”, ale i tak ciągle, codziennie, zastanawiałam się nad seksem; stało się to niemal moją obsesją. Wieczorami, kiedy już leżałyśmy w łózkach i gasiłyśmy światła, moje myśli krążyły wokół dwóch bezimiennych osób, podobnych do wyciętych z papieru lalek. Usiłowałam dociec, jaką muszą one przybrać pozycję i co właściwie powinny wtedy robić. Kto na kim leży? Jeśli on, to czy nie zgniecie jej swoim ciężarem? A jeśli ona, to jak to jest, że w nią wchodzi? Męskie genitalia widziałam tylko na rysunkach i rzeźbach — były małe, włochate i luźno zwisające w dół. Nawet jeśli on leży na niej, jak to robi, że w nią wchodzi? A potem co się dzieje? Czy owa ciecz wchodzi od razu w nią, czy też trzeba czekać? Może wyciska się ją jak krem do golenia z tubki? Czy oni się ruszają? On? Ona? Skąd wiadomo, że już po wszystkim?

No i podstawowe, najczęstsze pytania: Czy to boli? I czy będę chciała?

Nie wydawało mi się wtedy prawdopodobne, że kiedykolwiek poznam odpowiedzi na te pytania, chociaż zdrowy rozsądek

podpowiadał mi, iż pewnego dnia przekroczyć tę dziwną granicę między tymi, którzy tego jeszcze nie robili, a tymi, którzy ów pierwszy raz mają już za sobą. Jednak w głębi duszy nie wierzyłam, że to kiedykolwiek nastąpi. Na szczęście był wtedy jeszcze Romans i Impuls oraz piosenki do śpiewania... dopóki byliśmy młode...

Kolejnym częstym tematem rozmów była nasza przyszłość i wybór zawodu. Chciałam pojechać do Nowego Jorku, by wkręcić się jakoś do tego ezoterycznego świata mebli Eames, Bertoia czy Saarinen, bogatych grubych tkanin, jasnych abstrakcyjnych obrazów oraz zimnych rzeźbionych białych willi nad brzegiem oceanu. Cecie natomiast chciała wziąć się za prawo. Interesowało ją przede wszystkim *Duke Law* i przepisy obowiązujące w Wirginii. Zamierzała też poświęcić kilka lat na objechanie całego świata, by potem osiedlić się gdzieś na stałe i rozpocząć praktykę prawnika. Chciała kupić jakiś stary dom na wybrzeżu, gdzie promienie słoneczne odbijałyby się od lustra wody i wpadały do pokoju, a fale przypływu biłyby o brzeg na przystani. Żadna z nas nie wiedziała, w jaki sposób spełnimy te wspaniałe marzenia, ale byliśmy pewne, że świat dekoratorów wnętrz i prawników przyjmie nas z otwartymi ramionami. Przecież nawet nasze oceny na świadectwach były celujące.

— Jedź ze mną do Europy, zanim zaczniesz pracować — namawiała mnie. — Nic by nas to nie kosztowało. Spakowałybyśmy plecaki i ruszyłybyśmy razem w podróż. Najwyżej mogłybyśmy gdzieś pracować, gdyby zaszła taka potrzeba.

— A może ty pojechałabyś ze mną do Nowego Jorku? — odpowiadałam jej. — Mogłabyś przyjechać na praktykę zawodową do Long Island, jeśli koniecznie musisz mieszkać nad morzem, a ja mogłabym wtedy wpadać do ciebie na weekendy. Zarobiłybyśmy trochę pieniędzy i pojechałybyśmy w wielkim stylu do Europy.

— Zawsze będziesz szczęśliwa, jeśli znajdziesz jakieś fajne miejsce do zamieszkania, Kate. Bo ja zawsze będę ciekawa, co jest za następnym zakrętem.

Choć była to bardzo uproszczona przepowiednia, od razu zauważyłam w niej ziarenko prawdy. Byłam też przekonana, że kiedy zdobędę stałą pracę i założę rodzinę, Cecie i ja na zawsze pozostaniemy bliskimi przyjaciółkami. Zwykle tak myślą wszyscy, którzy właśnie nawiązali bardzo bliską przyjaźń. Nie wyobrażają sobie, aby małżeństwo, dzieci czy nawet śmierć mogły ich rozłączyć z przyjaciелеm lub przyjaciółką.

Lecz Cecie zawsze miała co do tego wątpliwości.

— Poznasz kogoś, wpadniesz i wyjdiesz za niego — mówiła. — Widać to po prostu w twoich oczach, nieważne, co mówisz. Nie chodzi o to, że teraz nie umawiasz się nikim na randki. Nie spotkałaś jeszcze nikogo, kto by ci odpowiadał. Ale poczekaj, sama jeszcze zobaczysz.

— Nie teraz — powiedziałam. — Jeszcze nie. Teraz chodzę na randki tylko dla przyjemności. W Randolph nie ma nikogo, kto by mnie zainteresował. Poza tym ty też przecież chodzisz na randki.

Umawiała się z różnymi chłopcami, więc i ja również, pomimo — czy też nawet z powodu — mojego nosa, rodu Lee i wschodniego charakteru. W większości były to znajomości przelotne, lekkie, zrodzone w wybuchach śmiechu, wśród tonów muzyki lub też przesadnie i ostentacyjnie romantyczne. Pewnej nocy tańczyliśmy na trawniku przed biurem dziekana przy dźwiękach *Moonglow* dochodzących z odtwarzacza samochodowego i zakochałyśmy się... ale nie w chłopakach, którzy nas tam przyprowadzili, lecz w samym pomysle takiego organizowania czasu. Piłyśmy wino Lancer, Mateuse i Rhine, siedząc na kocach rozłożonych nad jeziorem Randolph, odbijającym wszystkie gwiazdy, jakie świeciły na niebie. Chodziłyśmy też na oficjalne przyjęcia do akademika chłopców, ćwiczyłyśmy hoola-hoop i w weekendy, kiedy odbywały się mecze piłki nożnej, dostawałyśmy ogromne żółte chryzantemy. Jeździliśmy do Destin i Panama City na prywatki, śmiałyśmy się beztrosko, śpiewałyśmy piosenki, tańczyłyśmy i niewinnie całowałyśmy się z chłopcami. Żaden z nich nigdy nawet nie próbował nas obmacywać. Tak więc życie miało nam lekko, łatwo i przyjemnie jak ulotny powiew letniego wietrzyka.

Kilka razy przeżyłam to nawet dość poważnie. Był to samotny, zamyślony student wydziału architektury w G.I. Bill. Innym razem przez cały semestr chodziłam z przewodniczącym samorządu studentów w Randolph. Byłam wtedy taka dumna z siebie, że nawet zaczęłam myśleć o życiu Pierwszej Damy, co potwierdziłam kupieniem szminki o nazwie „Róż Pierwszej Damy”. Cecie tylko raz to skomentowała i od razu wyleczyła mnie z owej choroby, tak że natychmiast wyrzuciłam szminkę do kosza.

Ale gdy cały romans się skończył, bo tak to zresztą musiało być zapisane w gwiazdach, byłam tak zrozpaczona, że w listopadowe noce zaczęłam długie samotne spacerować. Snułam się po miasteczku akademickim z dłońmi ukrytymi w kieszeniach przeciwdeszczowego płaszcza. Cecie nie wtrącała się, chociaż na pewno bardzo ją korciło. Którejś nocy łączyłyśmy się z Cecie po ulicach w strugach

deszczu. W ogóle się nie odzywała. Po prostu starała się dotrzymać mi kroku, co — biorąc pod uwagę jej krótkie nóżki — było dla niej nie lada wyczynem. Żadna z nas nie była w pełni świadoma tego, co się wokół nas dzieje. W końcu odwróciłam się do niej i powiedziałam:

— To jest naprawdę idiotyczne, no nie? — Woda spływała mi strumieniami po policzkach.

— Owszem — odparła. — Ale i tak lepsze to niż rak.

Spojrzałam na nią ponownie i zobaczyłam jej twarz ukrytą pod specjalnym przeciwdeszczowym kapeluszem. Nagle zaczęłyśmy się śmiać jak szalone. Tak zanosiłyśmy się od śmiechu, że musiałyśmy się nawzajem podtrzymywać, aby nie upaść w błoto. W końcu poszłyśmy do kawiarni „Pennington” i wypiliśmy po gorącej czekoladzie. W drodze powrotnej do akademika znowu musiałyśmy się kilka razy zatrzymywać ze względu na powracające ataki śmiechu. Śmiałyśmy się jeszcze i wtedy, gdy całe przemoczone, przemarzniete i zmęczone kładłyśmy się spać. Stało się to naszym credo, kiedy nachodził nas smutek, rozpacz czy otaczała otchłań:

— Lepsze to niż rak.

Och, Cecie! Jest to najprawdziwsza prawda! Najprawdziwsza!

Rozdział 4

Alan poszedł do domu, a ja zostałam w ogrodzie jeszcze godzinę. Cały ogród jest teraz odgradzony od świata: od plaży, od sąsiednich domów stojących po obu stronach naszej posiadłości, od drogi. Granicą dla gęstych krzewów i innych roślin, jakie udaje mi się utrzymać przy życiu na nędznej glebie zawierającej coraz więcej soli z Atlantyku, jest wysoki płot, na którym widać już wszelkie wpływy zjawisk atmosferycznych. Zaczęłam pielęgnować ten ogród, gdy tylko wprowadziliśmy się tu w rok po ślubie. Była to wtedy mała osada nad porośniętą dziką roślinnością plażą. Ale mieliśmy za to wspaniały widok na prawie całe Południowe Wybrzeże. Tak więc zaczęłam pielęgnować ten ogród, zanim jeszcze ostatecznie się wprowadziliśmy.

Na granicy między wydrami a plażą posadziłam początkowo wiele różnych bylin. Wyeksponowałam je w taki sposób, aby ludzie przychodzący na znajdującą się poniżej plażę dokładnie widzieli moje rośliny, niczym proporce powiewające na wysokim maszcie. Zasadziliśmy też czarne sosny, rozchodniki, jałowce i ligustry, aby chroniły ogród i dom przed słonym wiatrem znad Atlantyku. Bardzo o nie dbałam. Poza ogrodem, na wydmach, gdzie królowała przede wszystkim wysoka trawa, mchy i inne dzikie rośliny, wszystko miało kolor szarozielony... Na takim tle moje byliny prezentowały się wyśmienicie. W ciągu jednego zaledwie lata sprowadziłam czarnoziem, kompost i różne nawozy, a rok później w ogrodzie zakwitły pierwsze krwawniki, dzwonki, ostróżki, lilie, irysy, pelargonie, maruny i cała gama różnych maków. Uwielbiałam te kwiaty, a jeszcze bardziej uwielbiałam pokazywać je ludziom. Zaczęliśmy więc

organizować całe serie tzw. *garden-parties*, zanim jeszcze wykończyliśmy w nowym domu kuchnię. Przez trzy lata zwoziłam do Sagaponack jedzenie, napoje i kostki lodu z pobliskiego Bridgehampton, a czasami nawet z Manhattanu. Wszyscy, których znaleźliśmy i których nie znaleźliśmy, przychodzili do naszego ogrodu nad morzem napić się czegoś i porozmawiać. Najbardziej podobały mi się moje kwiaty, kiedy oświetlały je czerwone promienie zachodzącego słońca, przydające mi pięknego blasku. Właśnie wtedy urodził się Stephen i wraz z ogrodem stał się głównym sensem mojego życia. Nawet nie zauważyłam, gdy moja wychuchana willa stała się prawdziwą fortecą.

Kiedy przebyłam pierwsze poronienie, przestałam organizować regularne przyjęcia i zaniedbałam ogród. Długo nie mogłam odzyskać sił do pracy. Dwa lata później urodziłam martwą córeczkę. Wejście z ulicy do ogrodu obsadziłam wtedy żywopłotem z lingustrów tak, aby wciąż jeszcze było widać piękne kolory moich kwiatów. A więc wróciłam do ciężkiej pracy w ogrodzie — teraz już tylko dla nas trojga — i zawsze upewniałam się, czy przechodnie dobrze widzą wypielęgnowane roślinki wokół domu. Od czasu do czasu organizowaliśmy jednak małe przyjęcia i nadal cieszyło mnie, kiedy goście podziwiali moją pracę.

Kiedy zmarł Stephen, w ogóle przestałam zajmować się ogrodem; czarne sosny wybujały wysoko w górę i całkowicie zdziczały. Przestaliśmy też zapraszać gości. Potem lekarze wykryli u mnie raka jajników i poddałam się pierwszej w życiu operacji. Po powrocie do domu zlikwidowałam skrzynki i donice z kwiatami, które były widoczne z plaży, wybudowałam wyższe ogrodzenie i całkowicie odgrodziłam się od świata. Wyrzuciłam też wszystkie byliny i zaczęłam siał wyłącznie rośliny jednoroczne. Przeszłam jeszcze dwa specjalistyczne badania lekarskie, oba z negatywnym wynikiem, a strach, jaki odczuwałam na początku, przekształcił się wpięrow w chroniczną nadpobudliwość, a potem w błogi, pozorny spokój, którego najczęściej doświadczałam, kiedy spędzałam czas w ogrodzie. Wkrótce zaczęłam spędzać tam niemal całe dni. Zimą natomiast przesiadywałam na sofie, skąd mogłam obserwować prawie cały uśpiony ogród. Było to nieomal pięć lat temu i do tej pory zdążyłam polikwidować wszystkie wcześniejsze rośliny, z wyjątkiem maków. Teraz hoduję jednoroczne floksy, gazanie, lantany, gerbery, stokrotki, portulaki, ostróżki polne, cynie, nagietki i wspaniałe rzędy słoneczników, które wyglądają jak strażnicy ogrodu, jak szwajcarska lub watykańska gwardia honorowa. Wyrrywam je każdej jesieni, by ponownie zasiać na wiosnę.

— Czy nie myślisz, że przydałoby się planować trochę bardziej na przyszłość, a nie tylko na nadchodzące trzy miesiące? — zapytał Alan, kiedy wróciłam ze szkółki z całym naręczem sadzonek różnych kwiatków. — Trwa to już cztery i pół roku. W październiku będziesz już oficjalnie wyleczona. Możesz teraz patrzeć w przyszłość. Tęsknię już za irysami i liliami i za oglądaniem ich z plaży, pójdź na plażę, a przekonasz się, że nic stamtąd nie widać, jakby za wydmami nic nie było. Te kwiatki zawsze tak pięknie wyglądały. Niech wszyscy patrzą: tutaj mieszkają Kate i Alan Abramsowie.

— Czy rzeczywiście sądzisz — zapytałam — że nie chcę myśleć o przyszłości?

— Wiem, że tak jest — powiedział. — Robisz tak już od pięciu lat. Przez jakiś czas mogłem to sobie wytłumaczyć, nawet jeśli mnie to nie przekonywało. Ale teraz nie widzę w tym żadnego sensu. Jesteś już zdrowa. Powinnaś teraz radzić sobie w życiu. Musimy zrobić jakieś plany, by przywrócić ci światu żywych i wyrwać z tej fortecy. Owszem, ładnie tu jest, ale nie można spędzić całego życia w ten sposób, Kate.

Nagle owiał mnie zimny wiatr z otchłani, w której, w grobie ułożonym z kwiatów i samotności, pochowałam ostatnie lata.

— Nie poganiaj mnie, Alanie — protestowałam słabo. — Chcę jeszcze trochę poczekać. Nie minęło nawet pięć lat.

— Katie, kochanie, przez ostatnie cztery i pół roku wszystko było w porządku. Będzie tak nadal. Jak to się dzieje, że o wiele łatwiej przyjąć ci do wiadomości złe wieści niż dobre?

— Poczekamy, zobaczymy — powiedziałam, by zakończyć tę rozmowę. Alan należy do tej drugiej części społeczeństwa, która nigdy nie przechodziła przez most nad otchłanią. Słucha mnie z uśmiechem, gdy opowiadam mu o tym i próbuję wytłumaczyć. Całym swoim dobrym sercem usiłuje przekazać mi trochę optymizmu i radości życia, ale po prostu nie wie tego, co wiedzą wszyscy ci, łącznie ze mną, którzy zetknęli się bezpośrednio z otchłanią.

Odkąd tylko wykryli u mnie raka, byłam pewna jednej rzeczy — że odejdę z tego świata raczej wcześniej niż później. Zawsze wyobrażałam sobie rakotwórcze komórki rozwijające się we mnie jako złe chochliki opętane manią rozmnażania się. Ich kragłe, puste głowy — zupełnie jak figurki w głupich grach komputerowych — składają się wyłącznie z wiecznie głodnych ust. Początkowo byłam nawet przekonana, że czuję je w sobie, że poruszają się w moim organizmie z dużą prędkością i wnikają we wszystkie zakamarki jak

diabelska sperma, która zamiast życia przynosi śmierć. Nawet po operacji i chemioterapii miałam wrażenie, jakby one nadal we mnie siedziały. Potem stopniowo przestałam je czuć albo przestawało mi się wydawać, że je czuję. Mijały lata, a wyniki badań były zawsze negatywne. W końcu ogród zaczął mnie znów coraz bardziej pochłaniać.

Jednakże pewnego poranka w czerwcu tego roku obudziłam się z przeświadczeniem, że te złe chochliki znowu do mnie wróciły. Wieczorem tego dnia byłam już święcie o tym przekonana. Nie było żadnych dodatkowych objawów choroby, ale czułam swe ciało i otchłań i wiedziałam to, co wiedzieć należało. Chochliki znowu atakowały i nie wydawało mi się, abym mogła ten atak odeprzeć, podobnie jak ten poprzedni, kilka lat temu. Nie będzie żadnej następnej operacji, żadnej następnej obrzydliwej chemioterapii, żadnej następnej nocy spędzonej na wpatrywaniu się w nieprzenikloną, martwą ciemność, żadnego następnego dnia wahania się między nadzieją a rozpaczą. Nie mogę i nie chcę!

Nie powiedziałam o tym Alanowi, gdyż i tak by mi nie uwierzył.

— Nie możesz przecież być pewna, że znowu masz raka, jeśli nie pójdziesz do McCrackena — powiedziałyby i zaprowadziłyby mnie do tego białego, eleganckiego gabinetu przy ulicy Madison, który nadal śmierdzi dla mnie tak samo jak wtedy, gdy przyszłam tam pierwszy raz i byłam ciężko przerażona, chociaż jeszcze nie wiedziałam, co mi naprawdę jest. Dlatego teraz nic mu nie powiem. W ten sposób mam jeszcze dwa miesiące przed wyznaczonym terminem kolejnego badania, a więc będę miała jeszcze przed sobą dwa jesienne miesiące, które są tutaj pełne magii i wręcz wyjątkowe: słońce w kolorze miodu oświetlające wszystko złotym blaskiem, nocne niebo pokryte gęsto gwiazdami i — co najważniejsze — wielkie przestrzenie, pustka dookoła i żadnych urlopowiczów. Dwa miesiące ciemniejącego granatu morza, jasnego, gorącego piasku, piękne niebo, ostatnie motyle i ptaki przelatujące nad naszymi głowami w kierunku południowym. Dwa miesiące w ogrodzie. Będzie wspaniale. To mi wystarczy.

Skończyłam wreszcie z wrywaniem chwastów, które zawsze przeszkadzały moim ulubionym stokrotkom. Słońce prażyło w głowę i plecy. Dawno już minęło południe, więc był najwyższy czas, aby wziąć prysznic i przygotować lunch. Ale ociągałam się jeszcze z wejściem do domu. Chciałam posłuchać szumu morza, który zawsze przybierał na sile, gdy rozpoczynał się przypływ. Było jednak bardzo cicho i nie słyszałam szumu pobliskiego oceanu. Dochodził do mnie

tylko stłumiony dźwięk, jaki zawsze można usłyszeć na Long Island w chwili, gdy cały tłum opuszcza te okolice. Myślałam, że jest to głos samej ziemi.

Ponad tym wszystkim rozlegały się także inne głosy, niechciane, ale i przez wiele lat niezapomniane. Były to głosy z przeszłości. Potrząsnęłam głową, lecz one nie umilkły. W końcu ponownie usiadłam na ziemi i poddałam się im. Usłyszałam Cecie, Ginger, Fig i Paula...

O mało co nie przejechałam Fig Newton, gdy zobaczyłam ją po raz pierwszy. Zdażałam wtedy do małej stacji kolejowej w Randolph, wybudowanej w stylu wiktoriańskim, po Cecie, która właśnie tego dnia miała przyjechać z Wirginii. Musiałyśmy bardzo się śpieszyć na spotkanie klubu „Tri Omega”, chociaż zanosilo się ono na wyjątkowo nudne, gdyż wszyscy byli już porządnie zmęczeni ustawicznymi próbami skeczy i piosenek, czyszczeniem sreber i sprzątaniem w siedzibie klubu. Byłyśmy wycieńczone nie tylko ciężką pracą, lecz także straszny upałem. O ile pamiętam, była to najgorsza jesień, jaką spędziłam w Randolph. Temperatura powietrza dochodziła do trzydziestu kilku stopni i zaczęło brakować wody. Każdy kolejny dzień rozpoczynał się i kończył tak samo: gorące, prażące słońce od rana do wieczora. Zaczęto wydzielać wodę, a wiatraki elektryczne chodziły bez przerwy, aż niektóre zaczynały się przepalać. Z wyjątkiem apteki, kina i biur związków studentów w budynkach nie było klimatyzacji. Wszyscy przykrywali się więc mokrymi ręcznikami i szli spać, jeśli w ogóle mogli spać w taką pogodę. Prawie wszyscy byli przeziębieni.

Ja też miałam zatłakany nos; bardzo źle się czułam i byłam straszliwie spocona — pomimo upału musiałam założyć rajstopy, buty na wysokim obcasie i dopasowaną bawełnianą sukienkę. Właśnie takie ubranie należało do starej tradycji ostatnich spotkań klubu przed rozpoczęciem nauki w nowym roku szkolnym. Nikt jednak nie pamiętał, skąd się taka tradycja wzięła. Na spotkaniu miałyśmy przedyskutować zaproszenia dla potencjalnych członkiń „Tri Omega” oraz omówić ich kandydatury. Najlepszą opinią, jaką można było wydać w tym towarzystwie o jakiejś kandydatce, było stwierdzenie: „Ona ma wiadomości, jest ładna i kocha „Tri Omega” bardziej niż własne życie”. Później następowało głosowanie i zazwyczaj akceptowałyśmy większość z nich, jeśli nie wszystkie. Nigdy nie obyło się bez zażartej dyskusji i sporów. Wszystkie uczestniczące w tym spotkaniu dziewczyny musiały być identycznie ubrane, toteż wszystkie cierpiałyśmy zawsze po równo.

Cecie usiadła obok mnie w aucie. Ciagle coś jej nie odpowiadało.

— Słuchaj, jeśli myślisz, że możesz wymyślić coś lepszego, to zapraszam — stwierdziłam w końcu. — Minie nas ta głupia modlitwa i to głupie głosowanie, bo ten twój głupi pociąg się spóźnił. Ale Trish miała powiedzieć na zebraniu coś fajnego i pikantnego. Chyba ją zamorduję, jeśli nie poczeka i mnie to ominie. Och, Boże! Cecie, dlaczego nie zrobisz prawa jazdy?

Nic mi na to nie odrzekła, a ja od razu pożałowałam moich słów. Przede wszystkim Cecie nie miała samochodu. Jej ciotki były o wiele za biedne, aby sprawić jej taki prezent. Wiele dziewczyn w Randolph nie miało samochodów, ale Cecie była jedyną, która nie miała pojęcia o prowadzeniu ani nie zamierzała się tego nauczyć.

— Rozjechałabym wszystkich, którzy pojawiliby się w promieniu dziesięciu mil — mówiła ze śmiechem, gdy któraś z nas ofiarowała się ją nauczyć. — Więc wy będziecie siedzieć za kierownicą, a ja mogę płacić za benzynę.

I rzeczywiście próbowała dotrzymać słowa, chociaż większość z nas jej na to nie pozwalała. Dla mnie i dziewczyn z klubu „Tri Omega” był to temat bardzo drażliwy aż do pewnego dnia, gdy jechałam z Cecie samochodem i do środka wpadł trzmiel. Usiłowałam zabić go kawałkiem gazety, aby nas nie użądlił.

— Złap za kierownicę, Cecie! — krzyknęłam. Kiedy w końcu udało mi się wypchnąć intruza na zewnątrz, spojrzałam na nią. Była cała biała ze strachu, roztrzęsiona i zlana potem. Włosy i ubranie miała całkowicie mokre.

— Zawsze tak było — powiedziała cicho, nie patrząc na mnie. — Chyba ma to coś wspólnego z wypadkiem rodziców. Nie wiem dlaczego, przecież nic z tego nie pamiętam. Ale jest to jedyne wytłumaczenie, jakie przychodzi mi do głowy.

Po tym wydarzeniu już nie śmiałam się z niej. Gdy zobaczyłam wtedy w jej oczach przerażenie, poczułam się okropnie.

— Przepraszam — powiedziałam. — Jest tak strasznie gorąco, a do tego ten cholerny trzmiel i to ubranie na zebranie...

— Uważaj! — krzyknęła Cecie i w tym momencie skrzyła nagle kierownicą w lewo. Jakaś niska, gruba osoba odskoczyła na bok. Natychmiast nacisnęłam na hamulce. Kiedy samochód się zatrzymał, serce biło mi bardzo mocno i miałam szum w uszach. Spojrzałam na ofiarę.

— Przepraszam bardzo — powiedziała z uśmiechem dziewczyna, której mało co nie potrafiłam. — Masz piękny samochód. Nie miałabym nic przeciwko temu, aby zginąć pod takim wozem.

Cecie i ja wpatrywałyśmy się w nią bezmyślnie. Droga była pusta, lecz na skrzyżowaniu paliło się czerwone światło i musiałyśmy jeszcze trochę poczekać. W bezlitosnym słońcu wczesnego popołudnia dziewczyna ta wyglądała groteskowo: była bardzo niska (prawie tak niska jak Cecie), pulchna i kwadratowa. Głowę miała dużą, lecz wyglądała ona na jeszcze większą z powodu trwałej, która przypominała swego rodzaju wielki hełm. Twarz też była duża, podobnie jak oczy schowane za mocnymi, grubymi okularami. Nie przymierzając, wyglądały jak oczy pluskwy. Kulfoniasty nos i brwi stykające się ze sobą nad oczami skupione były jak gdyby w środkowej części dużej twarzy. Miała na sobie śmieszna, czerwoną bluzkę z dużym dekoltem — chyba według najnowszej mody wiejskiej. Do tego nosiła kwiecistą spódnicę do samych kostek, spod której wystawały brzegi kilku halek. Przepasana była czerwonym elastycznym pasem. Miała też czerwone buty na wysokim obcasie i długie wiszące kolczyki w tym samym kolorze. Wyglądała jak karzeł siedzący w kupie ubrań porzuconych przez jakąś Cyganekę. Jej głos był drżący i niepewny. Wyglądała komicznie, a zarazem smutno, zupełnie jak kłown w cyrku. Miałam ogromną chęć odwrócić od niej wzrok.

— Przepraszam — wymamrotałam po chwili. — Za szybko jechałam.

— Nie, nie! To była moja wina! — zaprzeczyła energicznie. Jestem taka głupia... Gdybyś mnie potrąciła, miałabym przynajmniej nauczkę.

Nie wiedziałam, co jej na to odpowiedzieć, ale nagle doznałam ulgi, bo oto światła na skrzyżowaniu właśnie się zmieniły i mogłyśmy jechać dalej. Szybko ruszyłam swoim MG, byle jak najdalej od tego miejsca i tej dziewczyny.

— Cześć! — usłyszałam za sobą. — Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś wpadniemy na siebie.

Jej dziwny śmiech towarzyszył nam później jak zły duch.

— Jezu Chryste! — szepnęła Cecie. — Widziałas jej strój? Znając swoje szczęście, jestem pewna, że będzie prawdopodobnie na wszystkich zajęciach w mojej grupie.

— Nie ma szans — powiedziałam niepewnie i spojrzałam we wsteczne lusterko. Kwadratowa kupa czerwonych kwiatów nadal stała na skrzyżowaniu i patrzyła, jak odjeżdżamy. — Wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że będzie chodziła raczej ze mną.

— Ach, to tylko detal! — stwierdziła Cecie. — I tak Randolph jest dla nas wystarczająco wielki.

Spotkanie w „Tri Omega” było tak nudne, jak się na to zapowiadało, i równie długie jak zwykle. Upał, zmęczenie i odrętwienie dawały się wszystkim we znaki. Wszystkie byłyśmy podenerwowane i drażliwe, i dlatego kłóciłyśmy się nawet o najdrobniejsze szczegóły. Spierałyśmy się o każdą nową kandydaturę, kostiumy do naszych przedstawień, organizowanie przyjęć i podział obowiązków. Na szczęście nasza szefowa, Trish Farr, nie miała zbyt wiele kandydatur do zarekomendowania, toteż nie straciłyśmy dużo czasu. Poza tym wyglądało na to, że każda kandydatka reprezentowała coś, co mogłoby nam przynieść raczej pożytek niż szkodę. Strasznie gruba dziewczyna z Bessemer miała głos jak aniołek. Dzięki niemu zdobyła w tym roku pierwsze miejsce w konkursie krasomówczym Met's Junior Regional. Natomiast dziewczyna, która wyglądała jak James Dean, z tymi swoimi bicepsami i włosami obciętymi ra jeża, była niesamowicie bogata. Przyjęcie jej do „Tri Omega” uzasadniłyśmy jej przypuszczalnie dużym wkładem finansowym. Kolejna kandydatka miała... wąsy i do tego — długie warkocze, ale z kolei była właścicielką jedyne jaguara XKE, jakiego żadna z nas nigdy do tej pory nawet nie widziała.

— Gdybym była na jej miejscu, sama bym sobie obcięła włosy i zgoliła te wąsy — stwierdziła Rosemary Bates.

— Cieszę się, że nigdy się nie dowiem, co wygadawałyście o mnie — powiedziała i rzeczywiście miałam na myśli właśnie to.

— Prawdę mówiąc, niewiele — zapewniła mnie Rosemary. — Całkiem szafowo wyglądałaś na tym zdjęciu, a poza tym miałaś MG. Cecie zachichotała.

Trish uniosła ostatnie zdjęcie, aby je nam pokazać.

— Na pewno wam się to nie spodoba — powiedziała — ale zanim zaczniecie krzyczeć i protestować, pozwólcie, że wam wyjaśnię, iż ma ona oceny lepsze niż którakolwiek z nas, a nawet gdyby była idiotką, musiałybyśmy ją przyjąć, gdyż jej kandydatura nadeszła do nas prosto od pani Claiborne. A pani Claiborne zapowiedziała nam stanowczo, że jeśli jej nie przyjmujemy, będziemy mogły pożegnać się z całym klubem.

Annabelle Claiborne była wtedy główną przewodniczącą ruchów studenckich, autokratyczną herod-babą, która rzeczywiście mogła rozwiązać każde stowarzyszenie. „Tri Omega” podpadło jej już w poprzednim roku, gdyż nie przyjęłyśmy w nasze szeregi jej protegowanej. Tak się niestety złożyło, że ojciec tej kandydatki był przewodniczącym rady nadzorczej przedsiębiorstwa, w którym pracował mąż pani Claiborne. Nie był zachwycony odrzuceniem

kandydatury córki. Zanim zrozumieliśmy nasz błąd, posłał swoją córeczkę do ekskluzywnej szkoły w Szwajcarii, więc nie mieliśmy już możliwości tego naprawić ani w stosunku do tej dziewczyny, ani do Annabelle Claiborne. Ze zrozumieniem więc spojrzaliśmy na Trish.

Ona jednak nie powiedziała już nic. Pokazała nam tylko zdjęcie ostatniej kandydatki. Wszystkie po kolei wydawałyśmy okrzyki zdziwienia, przede wszystkim ja i Cecie, która na widok dziewczyny na zdjęciu porządnie zakrztusiła się dymem z pall maila. Była to ta sama dziewczyna, której tego dnia o mało co nie przejechałyśmy. Nawet delikatne oświetlenie i umiejętnie dobrane tło nie mogły pomóc jej wyglądowi.

— Neeeeeeeeeee! — Wszystkie zaczęły jednogłośnie krzyczeć, z wyjątkiem Cecie i mnie.

— Może rzeczywiście powinnaś ją była przejechać — powiedziała Cecie. — Cholera! Przepraszam. Na pewno i tak nie ma lekkiego żywota.

— Raczej nie — odparłam. Obok bezgranicznego obrzydzenia i pogardy czułam, że w twarzy tej kwadratowej dziewczyny jest coś, co może okazać się dla mnie bardzo ważne. Był to powiew dochodzący z otchłani. Byłam pewna, że ona go zna, podobnie jak ja sama. Prawdę mówiąc, nienawidziłam upodobań dziewczyn z „Tri Omega”, chociaż nie mogłam się zbyt często wyłamywać. Mimo pozornej zgody czułam do nich żal.

Poczekaliśmy, aż krzyk ustanie i wszyscy spojrzą z wyczekiwaniem na Trish. Dopiero wtedy powiedziałam: — Po pierwsze i tak wiemy, że przyjmujemy ją do „Tri Omega”, więc zróbmy to szybciej i oszczędźmy sobie czasu. Po drugie, jeśli już mamy tak zrobić, to bądźmy wobec niej w porządku. Żadna z nas nie jest idealna, dlatego więc jesteśmy wobec niej tak złośliwe? Jak wy byście się czuły na jej miejscu?

Było to krótkie, rzeczowe przemówienie, które miało wszystko rozstrzygnąć. Oczywiście dziewczyny od razu na mnie napadły, ale Trish przerwała ten atak mówiąc: — Masz rację, Kate, i skoro wstawiłaś się za nią, myślę, że powinnaś być jej przewodniczką i wprowadzić ją w arkana tutejszego życia i nauki. Bądź dla niej starszą siostrą.

Cała sala wybuchnęła brawami, a serce podskoczyło mi do samego gardła. Wprowadzanie nowej członkini oznaczało wiele godzin spędzonych w jej towarzystwie na przygotowaniu jej do wstępnych testów, sprawdzianów i otrzęsin, która to ceremonia trwała zazwyczaj około sześciu godzin.

— Ależ oczywiście — powiedziałam tonem studentki z „Seven Sisters”. — Z przyjemnością.

— Żaden dobry uczynek nie pozostaje bez stosownej kary — szepnęła do mnie Cecie.

— A może jednak będzie chciała dostać się do innego stowarzyszenia — stwierdziła z nadzieją w głosie Bird Stanley. Bird zawsze była skrajną optymistką. Spojrzałyśmy na nią wymownie.

— Czy ta dziewczyna ma jakieś imię? — zapytała Carolanne Gładney. Trish zerknęła na podanie i unosząc głowę znad kartek, oznajmiła nam: — Helen Georgine Newton, ale wszyscy mówią na nią Fig.

Wreszcie spotkanie zakończyło się i wszystkie poszłyśmy do swoich pokojów. Kiedy wchodziłyśmy po schodach na górę, Cecie cały czas nie mogła tego przeboleć i ciągle powtarzała, kiwając z niedowierzaniem głową: — Fig Newton. Ale numer!

Tak więc Fig wkroczyła w nasze życie, gdy my zaczynałyśmy drugi rok, a ona — pierwszy. Zakwaterowano ją w drugim wolnym pokoju, który znajdował się w naszym segmencie. Do tej pory Cecie i ja używałyśmy tego pokoju jako rupieciarni. Składowałyśmy tam różne chwilowo niepotrzebne nam rzeczy.

— Ułatwi ci to douczanie jej, Kate — mówiła z uśmiechem Trish Farr. Odwzajemniłam jej złośliwy uśmieszek. Od samego początku nienawidziłyśmy się, lecz do końca naszej kariery w Randolph udawałyśmy, że tak nie jest. Nie wiem, dlaczego tak się nie lubiłyśmy, ale nie mogłyśmy nic na to poradzić.

— Dobry pomysł — odpowiedziałam.

Kiedy spotkałyśmy się na pierwszym tegorocznym przyjęciu, Fig stwierdziła: — Od razu wiedziałam, że ten dzień, gdy poznałyśmy się na drodze, był nam z góry pisany.

Od tej chwili Fig uczepiła się mnie jak rzep psiego ogona. Do dzisiaj nie wiem, dlaczego wybrała właśnie mnie. Może ze względu na odmienny charakter, świadomość istnienia otchłani...? Miałam przecież takie dziwne wrażenie, że znałyśmy się skądś od dawna. Ale z kolei Cecie też znała otchłan, a jednak Fig nigdy się z nią nie przyjaźniła. Raczej zawsze jej unikała, o ile to tylko było możliwe. Ja natomiast, cokolwiek bym robiła czy mówiła, zawsze byłam dla Fig autorytetem, do którego zwracała się o radę, i zawsze mnie słuchała. Może jej stosunek do mnie zmieniłby się trochę, gdyby ktoś zamieszkał z nią w jej pokoju, jednakże dziewczyna, którą dokwaterowali do niej na początku roku szkolnego, już po tygodniu poprosiła kierowniczkę akademika, aby dała jej jakiś inny pokój. Miała podkrążone

z niewyspania oczy i twierdziła, że Fig tak strasznie chrapie w nocy, że nie można z nią wytrzymać. Tak więc Fig została sama w dwuosobowym pokoju, ale chyba nie miała nic przeciwko temu.

— To moje drogi oddechowe i zatoki — mówiła ze stoickim spokojem do mnie i do Cecie. — Wszyscy w mojej rodzinie mają z tym kłopoty. W nosie i w zatokach mamy prawdziwe gąbki. To cecha charakterystyczna rodziny Newtonów.

Mimowolnie wzdrygnęłam się na porównanie z gąbką. Fig natomiast powiedziała to tak płynnie i niewinnie, jakby opowiadała o kręconych włosach i niebieskich oczach.

— Czy kiedykolwiek myślałaś o operacji? — zapytała słodko Cecie. — Chirurdzy potrafią czynić prawdziwe cuda.

— Och, nie! Nikt z naszej rodziny nigdy nie poszedł pod nóż chirurga.

— Oczywiście, że me — powtórzyła Cecie wieczorem, kiedy leżałyśmy już w łóżkach i byłyśmy zmuszone wysłuchiwać serii chrapań, które dochodziły do nas przez podwójne drzwi od łazienki i naszego pokoju. — W przeciwnym wypadku jakiś chirurg mógłby wysterylizować matkę Fig, zanim ta jeszcze poczęła swą wspaniałą córeczkę.

Fig była najmłodsza z rodzeństwa. Miała czterech braci, którzy, wnioskując z przechowywanych w biurku zdjęć, wyglądali zupełnie jak ona.

— Jestem oczkiem w głowie wszystkich — mówiła z dumą. — Kiedy mama miała już długo oczekiwaną córeczkę, zdecydowała, że na tym poprzestanie.

Wybuchnęłyśmy z Cecie gromkim śmiechem. Przykryłyśmy się więc kołdrami i jeszcze przez jakiś czas tłumiłyśmy kolejne wybuchy śmiechu. Długo jeszcze nie mogłyśmy się uspokoić. W ten oto sposób rozpoczął się nasz nowy styl zachowania, który trwał tak długo, jak długo towarzyszyła nam Fig: stłumione wybuchy śmiechu do późna w nocy i nie kończący się chichot. Wiedziałyśmy, że niezupełnie nam przystoi takie zachowanie, ale nie mogłyśmy nic na to poradzić. Nie udawało nam się od tego powstrzymać. Fig była tak okropna, że nie mogłyśmy inaczej na nią reagować.

— Chyba tak jest lepiej, niż gdybyśmy miały być względem niej niegrzeczne — powtarzałam ciągle. — Zdaje mi się, że jesteśmy jedy-nymi dziewczynami w „Tri Omega”, które nie są dla niej niegrzeczne czy niemiłe, przynajmniej od czasu do czasu.

— Nie mamy wyjścia. Po prostu nie możemy być dla niej niegrzeczne — mówiła Cecie. — To by ją zabiło. Zwariowała na twoim punkcie. Zauważyłaś, że robi wszystko, aby upodobnić się do ciebie?

— To w ogóle nie jest śmieszne! — stwierdziłam. Jednakże po kilku kolejnych tygodniach sama się przekonałam, że jest to prawda. Przez całą jesień Fig Newton powoli i stopniowo wprowadzała w życie swoją wersję mojego wyglądu, manier i ubrań.

Na początku przyglądała mi się z uwagą. Obserwowała mnie, jak malowałam się rano i jak przebierałam się na randki po południu, jak zmywałam makijaż i szłam spać. Cecie i ja przebierałyśmy się w łazience przy zamkniętych drzwiach, a Fig udawała, że jej to nie interesuje. Jednakże kiedy wychodziłyśmy, Fig leżała już wygodnie rozłożona na moim łóżku i czekała, aby zobaczyć, co tym razem mamy na sobie. Zawsze miała pod ręką swój pamiętnik, chociaż byłyśmy już na takim etapie, że raczej umarłybyśmy, niż ośmieliłybyśmy się zadać pytanie, o czym pisze tym razem. Doskonale wiedziałyśmy, że albo by nas zbyła byle jaką odpowiedzią, albo rozpoczęłyby swoją stałą tyradę o wdzięczności za to, że jest jedną z nas. Czasami również i ona zadawała nam pytania.

— Jakiego szamponu używasz? — pytała, a kiedy jej odpowiedziałam, zapisywała nazwę w pamiętniku. Albo: — Czy mogłabyś mi polecić jakieś dobre cienie do powiek? Czy też: Jaka szminka według ciebie najbardziej będzie pasowała do mojej cery?

— Błotnista — odpowiadała na to ostatnie pytanie Cecie, która wręcz wychodziła z siebie, gdy tylko zbliżała się Fig. Nie mogła jej znieść. W jej obecności stawała się bardziej nieobecna duchem, ale też i grzeczniejsza. Z pogardą patrzyła na naszą współlokatorkę, gdy ta przepytywała mnie i skrzętnie zapisywała w pamiętniku wszystkie moje odpowiedzi, które klasyfikowała jako „tajemnice piękności”.

Potem przeszła do moich ubrań. Nie mogło być mowy, aby zdołała się wepchnąć w moje ciuchy, ale robiła wszystko co mogła, aby mieć takie same. Z jej garderoby zniknęły wszelkie żaboty, koronki, krynoliny i wysokie obcasy. Zaczęła się ubierać w wąskie tweedowe spódnice aż do kostek ozdobione jedynie rozcięciami, przez które widać było grube białe łydki i uda. Nazywała je „spódnicami-ołówkami”. Do tego zakładała różne swetry i golfy, które przy jej krótkiej szyi wyglądały jak kamizelki kuloodporne. Nie były to jednak kaszmirowe sweterki w kremowo-beżowych kolorach ani ładne szetlandy, które zwykłam kupować pod baczным okiem ojca, kiedy miałam rozpoczynać naukę w Randolph. Fig sprawiła sobie nylonowe i wełniane swetry, wyciągające się we wszystkie możliwe strony i mechacące się już po pierwszym praniu. Kupiła też grube skarpety i kilka podkoszulków. Jednak zamiast napisów typu „Yale”,

„Princeton" czy „Amherst" nosiła na piersi „Randolph", „Georgia Tech" i „Roli Tide".

— Wiem, że nie są one tak dobre jak twoje podkoszulki z Ivy League — mówiła. — Kupiłabym sobie takie same, lecz musisz mi najpierw powiedzieć, gdzie można je znaleźć.

— Nie kupiłam ich — tłumaczyłam. — Dostałam je w prezencie.

— Ach, tak? Powinnam się była tego domyśleć.

Nie wiem, gdzie znalazła takie straszne ciuchy ani jak za nie zapłaciła. Twierdziła, że dostała pieniądze od rodziców, ale nie przypuszczam, żeby to było prawdą. Większość z nas doskonale wiedziała, że Fig jest na całkowitym utrzymaniu Rotary Club z Fowler, Alabama, a jej rodzice nie mają praktycznie żadnych pieniędzy. Jej matka naraziła na szwank dobre imię rodziny, uciekając z jakimś murarzem i potajemnie wychodząc za niego za mąż. Tamten zaś, po zrobieniu jej pięciorga dzieci, wypiął się na nią i na całą trzódkę. Dodać trzeba, że nie splamił się więcej jakkolwiek uczciwą pracą. Fig nie mogła więc dostać z domu żadnych dodatkowych pieniędzy. Cecie i ja też przecież wiedziałyśmy, co oznacza oszczędzanie pieniędzy, i dlatego próbowałyśmy porozmawiać z nią na ten drażliwy temat w sposób jak najbardziej delikatny. Chyba w tym momencie Cecie najbardziej odczuła współczucie wobec biednej Fig.

— Posłuchaj mnie, Fig, sama jestem biedna jak mysz kościelna i nie widzę w tym nic poniżającego — stwierdziła. — Chyba nie mogłabym pozwolić sobie na zakupienie całkowicie nowej garderoby w tak krótkim czasie. Wydaje mi się, że ty też nie. Dlatego nie mogę patrzeć, jak wyrzucasz pieniądze w błoto. Przecież miałaś bardzo dobre ciuchy, których nie musiałaś jeszcze wyrzucać, i nie potrzebowałaś kupować teraz tylu nowych.

— Ciuchy, które nosiłam do tej pory, nie miały żadnego stylu — powiedziała Fig, spuszcżając wzrok na podłogę. — Myślałam, że mają jakiś styl, dopóki nie zobaczyłam Kate. Kate to naprawdę dziewczyna z szykiem i gracją. Ty też — dodała i spojrzała z uśmiechem na Cecie.

— Tak, ale ubrania Kate tworzą styl Kate, a nie twój — tłumaczyła dalej dobrodusznie Cecie. — Ja sama wyglądałabym strasznie głupio w jej ciuchach, podobnie jak ktokolwiek inny. To, co ona nosi, jest odpowiednie dla niej, ale nie dla mnie czy dla ciebie. Jesteśmy za niskie. My, takie kurduple, wyglądamy zupełnie inaczej.

— Chcę po prostu mieć taki sam styl jak Kate — stwierdziła Fig. — Kate jest prawdziwą arystokratką. Wszyscy na pewno by to

potwierdzili. Moja matka ciągle mi powtarzała, że prawdziwą błękitną krew zawsze można rozpoznać. Kate wygląda jak arystokratka, chodzi, rozmawia, a nawet śmieje się jak arystokratka. Bardzo bym chciała być taka.

Fig miała swój dziwny sposób mówienia rzeczy, których żadna z nas nigdy nie odważyłaby się powiedzieć o sobie, nawet za cenę uratowania własnej duszy. Była tak naiwna, że nie zdawała sobie z tego sprawy. Serce ścisnęło mi się jeszcze bardziej z żalu nad nią.

— Och, Fig, nie chcesz chyba mnie naśladować — powiedziałam. — Naprawdę nie chcesz. Jestem za wysoka, za chuda i ubieram się tak, bo chcę wyglądać na niższą, a mówię to, bo często jeździłam na wakacje na Wschodnie Wybrzeże. I mam te ciuchy, bo kupiłam je wtedy na Wschodzie, a teraz nie byłoby mnie na nie stać. Śmieję się tyle, bo nie zdaję sobie sprawy z brzmienia swego śmiechu. Mój ojciec ciągle powtarzał, że śmieję się jak hiena, ale to do mnie nigdy nie docierało. Nie jestem arystokratka. Naprawdę nie jestem. Nie mam żadnych pieniędzy i jestem taką samą dziewczyną z Alabamy jak ty. Bardziej podobałabyś się ludziom, gdybyś była sobą.

— Nie, na pewno bym się nie podobała — zaprzeczyła z przekonaniem. — Nigdy nikomu się nie podobam.

— Obiecuję ci, że się spodobasz — powiedziałam.

— Nie. Na pewno nie. I nie wierzę w nic z tych rzeczy, o których przed chwilą powiedziałaś. Starasz się po prostu być dla mnie uprzejma i nie robić mi przykrości, bo masz już taki anielski charakter. Jesteś przede wszystkim miła i masz dobre serce. Mama mówiła, że prawdziwa dama nigdy świadomie nie jest opryskliwa. A ty jesteś właśnie taka.

Spojrzałam na nią z rozpaczą i bezsilnością w oczach.

— Twoja matka miała rację — powiedziała Cecie. — Ponadto Oscar Wilde też twierdził, że prawdziwy dżentelmen nigdy nie jest nietaktowny. Ale nie ma wątpliwości co do tego, że Kate rzeczywiście jest arystokratka. Czy wiesz, że nazywali ją Effie i że jest z tzw. PRW — to znaczy z Pierwszej Rodziny w Wirginii. No właśnie, Effie Lee.

— Och, zamknij się, Cecie! — krzyknęłam.

— Jesteś zbyt skromna. Zauważyłam to od razu, kiedy cię poznałam — Fig kontynuowała swoją litanię moich zalet. Myślałam, że jeszcze trochę, a zacznę wyć i krzyczeć. — Wydaje mi się, że Effie jest bardzo fajnym przezwiskiem. Nie znałam go wcześniej, chociaż przecież wiem, jak się nazywasz. Zapisałam twoje imię i nazwisko już pierwszego dnia, kiedy tu przyjechałam. Katherine Steward Lee.

Zwróciłam wtedy uwagę przede wszystkim na nazwisko Steward. Moja matka jest z rodziny Stewardów z Wirginii, więc może jesteśmy spokrewnione? Mnie też o mało co nie nazwali Katherine. — Nagle otworzyła pamiętnik i zaczęła szukać jakiejś strony. W końcu ją znalazła i podsunęła nam pod nos. Od razu rzuciło mi się w oczy moje nazwisko napisane z błędem ortograficznym. Zrobiło mi się słabo.

— Kate pochodzi ze Stuartów przez „u”: Stuart — stwierdziła Cecie. — Tak jak generał Jeb Stuart. To przecież zupełnie inne nazwisko.

— Owszem, ale i tak możemy przecież być spokrewnione — upierała się Fig, patrząc bezmyślnie na kartkę z błędem. Poczzerwieniała ze wstydu. — No tak, mama wspominała, że kiedyś zmieniliśmy pisownię naszego nazwiska.

Podniosłam ręce, ale zaraz potem je opuściłam, bo już nie miałam na nic siły.

— Może i jesteśmy — powiedziałam zrezygnowana. — Więc bądź sobie małą, piątą kuzynką i przestań już nas molestować i gadać jak Katherine Hepburn. I przestań tak wyginać do tyłu szyję, kiedy się śmiejesz, bo możesz się zakrztusić. Naprawdę lubię cię taką, jaka jesteś, i nie chcę, abyś się zmieniała.

— W porządku, jeśli rzeczywiście tak myślisz — powiedziała Fig poddając się. Spojrzała na mnie nie podnosząc głowy i dodała: — Effie.

Nic nie mogło jej przemówić do rozsądku. Chociaż przestała naśladować mnie we wszystkim — w ubieraniu się, mówieniu, śmianiu się etc, to aż do ostatniej chwili spędzonej przeze mnie w Randolph nigdy nie nazywała mnie inaczej jak Effie. Zwariowałabym, gdybym miała tam pobyc choć trochę dłużej. Natomiast Cecie to uwielbiała. Sama nazywała mnie Effie przez cały jeden semestr, lecz potem — w przeciwieństwie do Fig — znudziła się i znowu zaczęła uznawać moje prawdziwe imię. W końcu nauczyłam się śmiać z tego wieczorami, szczególnie wtedy, gdy Cecie mówiła o niej per Figiana.

Każdego tygodnia musiałam spędzać z Fig kilka godzin i przygotowywać ją do oficjalnego przyjęcia w poczet członkiń „Tri Omega”, które miało odbyć się w zimie. Uczyła się zaskakująco szybko, lecz nie szczędziła starań, aby uprzykrzyć mi te wspólne posiedzenia. Ciągłe udawała, że nic nie rozumie, i kazała mi wszystko powtarzać po kilka razy. Niemalże każde słowo zapisywała w swym przeklętym pamiętniku. Była tym tak zaaferowana, że chyba nawet nie zauważyła, iż z wrażenia wywaląta język na brodę, ciężko posapywała i słała mi konspiracyjne spojrzenia.

— No już, Fig — mówiłam. — Znasz to o wiele lepiej niż ja sama. Nie ma sensu, abyś zmuszała mnie do powtarzania tego wstydkiego po kilka razy.

Uśmiechała się do mnie, mrużąc swe wyłupiaste oczy.

— Wiem — mówiła. — Chciałam po prostu jeszcze trochę posłuchać twojego pięknego głosu.

W jej tonie było coś intymnego, coś znajomego, lecz niebezpiecznego. Instynktownie wzdrygnęłam się przed tym. Na szczęście wiedziała już wszystko, co mogła wiedzieć na temat „Tri Omega”, więc bez szczególnych wyrzutów sumienia mogłam zaprzestać udzielania jej tych lekcji.

Zaczęłam wtedy spędzać całe popołudnia w McCandless Hall, gdzie zbierali się wszyscy studenci wydziału architektury i projektowania wnętrz. Projektowali tam stoły i różne inne przedmioty, odrabiając w ten sposób prace domowe. Zajmowałam jakiś wolny stolik przy oknie, które wychodziło na ulicę, kawiarnię, pralnię i jeden z akademików. Rozkładałam swoje materiały i zabierałam się do pracy. Wkrótce odkryłam, że bardzo lubię pracować w rym białym, jasno oświetlonym budynku. W dzień było to najchłodniejsze miejsce w całym miasteczku akademickim, a w nocy przypominało wielki, zatłoczony ul, w którym, podobnie jak w kawiarni po drugiej stronie ulicy, przesiadywali do późna w nocy studenci i rozprawiali o materiałach, projektowaniu i metodach konstrukcyjnych. Przeważnie byli to mężczyźni nieco wykraczający ponad średnią wieku w Randolph. Zamieszkiwali oni w G.I. Bill i na ogół byli niemile zaskoczeni, że życie w Randolph płynie tak ślamazarnie. Męskie i żeńskie kluby studenckie traktowały większość z nich jako „śmiesznych”, „arystów”, „boheme”, a więc znajdowali się poza wszelkimi towarzystwami. Jednakże to właśnie oni interesowali mnie najbardziej. Na szczęście zdawali się mnie akceptować pomimo mojego znaczka „Tri Omega”. Widocznie do razu zauważyli we mnie coś, co nie pasowało do tego klubu, w którym nie czułam się dobrze. Czasami pomagałam kilku początkującym architektom, lecz nie byli chyba zbyt zadowoleni z moich pomysłów i zamiast spędzać czas przy pracy, zapraszali mnie na kawę. Cecie była w tym czasie na popołudniowych zajęciach, a Fig nie mogła mnie zlokalizować. I chyba właśnie w tym semestrze zaczęłam poważniej myśleć o projektowaniu wnętrz.

Jednakże Fig zaczęła chodzić za mną jak jakiś komiczny, nachalny detektyw.

— Nie odwracaj się gwałtownie. Zdaje się, że śledzi cię jeden z siedmiu krasnoludków—powiedział któregoś listopadowego dnia

pewien żonaty architekt siedzący przy sąsiednim stoliku. Powoli skierowałam wzrok w stronę okna i zobaczyłam Fig ubraną w nową żółtą jesionkę i szalik zwisający jej do samych kostek. Stała na zewnątrz na chodniku i gapiła się na mnie. W swoim wielowarstwowym odzieniu wyglądała jak kwadratowa kostka mięsa przygotowana do zamrożenia. Uśmiechnęła się do mnie serdecznie i pomachała ręką. Ja też jej pomachałam i czekałam, aż odejdzie, lecz ona nie zrobiła ani kroku. Poczułam, że się czerwienię, więc nachyliłam się nad swoją pracą.

— Już wszystko w porządku, poszła sobie — powiedział mój sąsiad. — Co to za jedna?

— Jedna z naszych nowych członkiń — odpowiedziałam, nie patrząc na niego.

— O Boże! Ona chyba jest warta całą fortunę — stwierdził. — A może „Tri Omega” ma teraz przed sobą cele charytatywne?

— To bardzo miła dziewczyna — odparłam, przeklinając ją w duchu.

— Oczywiście. Przecież nie może być inna.

Następnego dnia Fig znów przyszła pod okno o tej samej porze. I następnego dnia, i następnego. Opracowałyśmy już stały schemat: machanie ręką, szeroki uśmiech, opuszczenie głowy i czekanie, aż odejdzie. Piątego dnia weszła do budynku i stanęła w otwartych drzwiach laboratorium. Rozglądała się po wszystkich stolikach i szukała mnie. Wyglądała przy tym jak byk idący na korridor. W końcu ktoś zauważył: — Masz gościa, Kate. — Spojrzałam na drzwi i zobaczyłam ją. Podeszłam i wyciągnęłam ją na korytarz.

— W czym mogę ci pomóc, Fig? — zapytałam, mając świadomość, że wszyscy siedzący w laboratorium podsłuchują nas w tym momencie.

— Właśnie tędy przechodziłam i skoro zobaczyłam cię przez okno, pomyślałam sobie, że może poszłybyśmy na kawę — powiedziała. — Wiem, że spędzasz tutaj popołudnia. Kilka razy cię widziałam. Więc pomyślałam sobie, że skoro i tak już tu jestem...

— Przerwę mam dopiero za godzinę, więc nie mogę pozwolić, abyś stała na tym zimnie i czekała na mnie tyle czasu — powiedziałam. — Doktor McGee niezbyt lubi obcych w laboratorium... No wiesz, tych, którzy nie są jego studentami... Ale i tak dziękuję za pamięć. I a propos, co ty tutaj robisz? Nie powinnaś mieć teraz przypadkiem wf?

— Nie, zrezygnowałam z tych zajęć — powiedziała, nie patrząc na mnie. — Wiesz, że ciągle miałam te skurcze, więc lekarka dała mi

zwolnienie. Zapisałam się w zamian za to na zajęcia z muzyki w Smythe.

— No dobrze. Muszę wracać do roboty — powiedziałam. — Spotkamy się wieczorem.

— Przyjdiesz na obiad?

— Nie wiem. Muszę skończyć ten projekt do Dnia Dziękczynienia. Zdaje mi się, że będę musiała pracować nad tym codziennie wieczorem...

— Mogę ci pomóc — powiedziała skwapliwie.

— Fig...

— No dobrze, już dobrze — stwierdziła podnosząc rękę, jakby broniła się przed ciosem. Uśmiechnęła się, odwróciła i odeszła, nie spoglądając za siebie.

Potem przestała pojawiać się na chodniku przed McCandless, lecz pewnego popołudnia, kiedy siedziałam w kawiarni „Harry's” i popijałam kawę w towarzystwie studentów architektury, poczułam nagle na sobie czyjś wzrok. Odwróciłam się i po drugiej stronie sali zobaczyłam... Fig. Pomimo gęstego dymu z papierosów i wielu gorących filiżanek kawy zauważyłam, że wpatruje się we mnie z wielką uwagą. Ale kiedy zorientowała się, że też na nią patrzę, spuściła wzrok i zaczęła udawać, że koncentruje się nad książką, którą miała rozłożoną przed sobą. Przez cały ten semestr krążyła za mną jak cień, lecz nigdy nie przyznawała się później, że mnie gdzieś widziała ani nie chciała o tym rozmawiać. Ja też miałam już dosyć jej wyjaśnień. Tak więc ciągnęłyśmy tę dziwną sprawę, nie przyznając się do tego otwarcie. Jedynie czasami przekazywałyśmy sobie lekkie skinienia dłoni. Coraz bardziej byłam na nią zła, ale dopóki nie narzucała mi się swoją obecnością, nie mogłam mieć o to pretensji. Przecież całe miasteczko akademickie było wolnym terytorium i każdy mógł chodzić, gdzie chciał.

Po jakimś czasie pojawiła się na moim cotygodniowym wykładzie z historii architektury. Nadal udawała, że mnie nie zauważa, że jest całkowicie pochłonięta slajdami i innymi pomocami naukowymi oraz nudnym gadaniem starego profesora, Niemca. Nawet w czasie obiadu zaczęła mówić o Mieś van der Rohe, Florencji, Barcelonie, Hilversum. W końcu nie wytrzymałam i krzyknęłam:

— Słuchaj, Fig, przestań wreszcie zajmować się tymi bzdurami. Nie odróżniasz nawet krzesła Eames od kibla, bo niby skąd masz to umieć? Jesteś specjalistką z angielskiego, najlepszą jaką znam, ale projektowanie wnętrz to przecież całkowicie co innego! Nie wiem, dlaczego tak się przejmujesz tymi głupimi zajęciami, podczas gdy

wszyscy na nie narzekają. Wszyscy zaczęli też mówić o tym, że ciągle za mną łąsisz. Chcesz być powodem takich plotek?

— O, Boże! — powiedziała bezradnie. — Boże, przecież żyję chyba w wolnym kraju, no nie? Skoro chcę chodzić na jakieś zajęcia, choć te nie należą do mojej głównej specjalizacji, to nikt nie zdoła mi tego zabronić. Kto ci mówił, że za tobą łążę?

— Wszyscy! Ludzie! — krzyknęłam. — Posłuchaj! Kahlil Gibran napisał w *Proroku* coś, co jest chyba bardzo prawdziwe i wspaniałe. Napisał tam coś w tym stylu: „Pozwól, aby w naszej jedności była jakaś odległość”. Więc pozwólmy, aby tak rzeczywiście było, Fig. Pozwólmy, aby w naszej jedności były zachowane jednak jakieś sensowne dystanse.

— Och! Wspaniałe! — krzyknęła z zachwytem Fig. — Naprawdę wspaniałe! Zapiszę to w swoim pamiętniku! I — spojrzała na mnie rozbrajającym wzrokiem — wspaniałe jest również to, że właśnie ty mi to powiedziałaś. Nigdy ci tego nie zapomnę.

Kiedy wyszłam z jej pokoju, aż drżałam z oburzenia. Na pewno nie wciągnie mnie teraz w żadną z jej głupich dyskusji na temat literatury. Miałam już tego szczerze dosyć.

W czasie owego niezdrowego obłączenia mnie przez Fig, Cecie właściwie milczała na ten temat. Opowiadałam jej regularnie o wszystkich dziwactwach Fig w oczekiwaniu na jakiś komentarz czy choćby wybuch śmiechu. Nie doczekałam się jednak niczego. Zaczęła mnie natomiast ostrzegać, aby nie śmiać się z Fig tak głośno i zniżać głos, kiedy o niej mówimy. Zamiast mnie uspokoić, ostrzegła, że Fig wcale nie jest taka, na jaką wygląda. — Po prostu nie mogę uwierzyć, że tego nie widzisz... — mówiła. — Zachowujesz się, jakbyś miała klapki na oczach.

Nic więcej na ten temat nie powiedziała, a ja czułam się po części oszukana i zdradzona, pozbawiona publiczności i wspólnego śmiechu. Przez pewien czas nawet w ogóle nie śmiałyśmy się razem po nocach, lecz dopiero nieco później zrozumiałam, że przyczyną tego była właśnie Fig Newton.

Potem Fig zaczęła podrzucać mi wiersze. Kładła je na poduszce na moim łóżku, wkładała je za wycieraczkę na przedniej szybie samochodu lub nawet na moim stoliku kreślarskim w Mc-Candless. Były tak obrzydliwe, napisane kwiecistym i egzaltowanym językiem, że mogłam jedynie śmiać się z nich, gdy wieczorami odczytywałam je Cecie. Tym razem śmiała się ze mną. Po prostu nie można było reagować na nie inaczej. Czytałam je głośno, udając głos Fig, i odkryłam, że naśladowanie jej tonacji i wymowy jest

dość proste, więc zaczęłam to robić coraz częściej przy lada okazji. Cecie zaśmiewała się do łez z tego cowieczornego przedstawienia, aż chwilami myślałam, że jeszcze trochę, a udusi się i umrze ze śmiechu.

— Och, cicho, już cicho! — mówiła, z trudem łapiąc oddech. — Przestań już! Nie zniosę tego dłużej! Przestań, Kate, ona cię usłyszy!

A ja dalej robiłam swoje, wyciągając wypociny Fig na światło dzienne, śmiejąc się z nich i drwiąc z autorki.

Pewnego ranka Cecie wyszła z łazienki i podała mi kawałek mokrego papieru. Nawet na mnie nie spojrzała.

— Był przyczepiony do zasłonki od prysznicza — powiedziała. — Naprawdę musisz coś z tym zrobić, Kate.

Przeczytałam wiersz, który mi zostawiła Fig, i cała od razu poczerwieniałam. Czułam, jakby coś mnie rytmicznie biło po twarzy i po rękach. Kręciło mi się w głowie, brakowało mi powietrza i poczułam nagłe mdłości. Wiersz ten był napisany bardzo plastycznym językiem i opisywał fizyczną miłość w taki sposób, o jakim nigdy nawet nie pomyślałam. Nie było w nim nic normalnego. Byłam pewna, że Fig sama nie napisała takiego wiersza, lecz już sam fakt, że myślała o mnie w ten sposób, był dla mnie po prostu wulgarny. Zrobiło mi się słabo z wrażenia i cała aż się trzęsłam.

Wpadłam jak burza do jej pokoju i zdarłam z niej kołdrę. Udawała, że właśnie się budzi i z uśmiechem przecierała zaspane oczy. Bez grubych okularów na nosie jej twarz wydawała się naga i jeszcze brzydsza.

— Dzień dobry, Effie — powiedziała dobroduszenie.

— Nie waż mi się nigdy, ale to przenigdy zostawiać takich rzeczy w miejscu, gdzie mogłabym je znaleźć! — krzyknęłam. — Nie pisz do mnie więcej żadnych parszywych wierszy, nie śledź mnie ani nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię, bo doskonale wiesz!

Spojrzała na mnie z przesadnym zdziwieniem i urazą.

— Ale ja naprawdę nie wiem — powiedziała. — Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Dlaczego jesteś taka wściekła już od rana?

— Dlatego! — krzyknęłam i rzuciłam jej w twarz kartkę z ostatnim wierszem. — To jest... to jest okropne! Obrzydliwe! To przekracza wszelkie granice! To, co zostawiłaś u mnie w pokoju i w samochodzie, to nic w porównaniu z tym, co dzisiaj wpakowałaś do łazienki...

— Chciałam tylko zrobić ci przyjemność — szepnęła ze łzami w oczach. — Myślałam, że kochasz poezję. Cytowałaś mi kiedyś *Proroka*... Myślałam, że zależy ci na tym i na mnie... Nie wiedziałam,

że to jest takie świństwo. Ja tylko... przepisywałam to z książki Cecie. Sądziłam, że i tak już je przeczytałyście, tak jak czytacie przecież różne inne rzeczy... Nie wiedziałam, co to oznacza...

Wybuchła głośnym płaczem, zakrywając sobie twarz rękoma i podglądając przez palce, jaka jest moja reakcja. Wiedziałam, że chodzi jej o *Kamasutrp*, którą rzeczywiście przeczytałyśmy z Cecie, ale nie na głos. Obydwie doszłyśmy wtedy do wniosku, że jest to książka zbyt dla nas szokująca. Wiedziałam też, że Fig świetnie rozumiała, o co chodzi w tych wierszach, ale nie w tym rzecz. Cecie dostała tę książkę od jakiejś Azjatki, która chodziła kiedyś z nią na zajęcia. Skoro schowana była w biurku, jedynym sposobem, w jaki Fig mogła ją znaleźć, było przeszukanie rzeczy Cecie.

— Nie rób tego więcej, Fig — powiedziałaam stanowczym tonem. — Mam już ciebie dość. Przestań się tak zachowywać, bo zrobię wszystko, aby przenieśli cię do innego segmentu. Mogę to sprawić i zrobię to. Naprawdę.

— Nie mogę znieść tego, że jesteś tak wściekła na mnieeee! — ryknęła Fig, gdy odwróciłam się i skierowałam do drzwi. — Jesteś moją starszą siostrą! Musisz mnie kochać! Dlatego, że jesteś moją siostrą...! Ale ty mnie nieeenaawiiidziisz...

Nagle cała wściekłość mnie opuściła i usiadłam bezmyślnie na drugim łóżku naprzeciw niej. Fig schowała się pod kołdrę, zwinęła w kłębek i płakała. Zaczęłam więc mówić do dygocącej kołdry:

— Fig, posłuchaj mnie — powiedziałaam. — Posłuchaj dobrze, bo powiem to tylko raz. Nie mogę powiedzieć, że cię nienawidzę. Po prostu chcę, abyś... przestała za mną łązić. Wiem, że mam być twoją starszą siostrą z „Tri Omega” i zawsze nią będę, ale to nie znaczy automatycznie... no wiesz... że muszę cię od razu kochać. Będę twoją przewodniczką w klubie. Sama sobie to wymyśliłaś. Ale prawdziwa przyjaźń jest czymś zupełnie innym. Prawdziwego przyjaciela nie nagabuje się wiecznie. Popatrz na Cecie. Ona jest moją najbliższą przyjaciółką, jaką mam na tym świecie, a przecież nie chodzi ciągle za mną, nie śledzi mnie, nie naśladuje...

Wystawiła spod kołdry spuchniętą od płaczu twarz i spojrzała na mnie. Nigdy w życiu nie widziałam czegoś równie bezbronnego.

— Wiem, że nigdy nie będę dla ciebie tym, kim Cecie! — powiedziała i znowu zaczęła chlipać i pociągać nosem.

Popatrzyłam na nią i wyszłam z jej pokoju. Może nie powinnam była tego mówić w ten sposób, ale było mi już wszystko jedno. Miałam przynajmniej nadzieję, że przestanie mnie molestować.

— Czułam się jak hiena — powiedziałam Cecie kilka tygodni później — ale wygląda na to, że Królestwo Terroru jest jak zwykle zwyczajne.

— Mmmmm — stwierdziła fachowo Cecie. Przez ostatnich kilka dni była bardzo cicha i nawet nie śmiałyśmy się po nocach. Jakoś nie było śmiesznych tematów.

— No co? Zgadzasz się ze mną? — dopytywałam.

— Chyba tak — powiedziała i poszła na zajęcia.

I rzeczywiście wszystko ułożyło się tak, jak chciałam. Fig nie nawiedzała już Harry'ego ani zajęć z historii architektury oraz zaprzestała podsyłania mi erotycznych wierszy. Wieczorami nie przychodziła też do naszego pokoju, jak to zazwyczaj robiła. Nie wyglądała jednak na przygnębioną i zasmuconą moim wybuchem złości. Wręcz przeciwnie: była wesoła i otwarta. Spotykałyśmy się w korytarzach i w stołówce, pojechałyśmy do Fowler uczcić Dzień Dziękczynienia i po powrocie Fig nadal była taka odmieniona.

— Ona naprawdę ciężko nad sobą pracuje — stwierdziły niewtajemniczone dziewczyny z „Tri Omega”. — Może nie jest taka straszna, za jaką ją miałyśmy. Uczyniłaś z nią chyba cud, Kate.

— Chryste, gdyby one tylko знаły prawdę — powiedziałam Cecie. Nie wydaje mi się, aby domyślały się czegokolwiek. Tego, że Fig naśladowała mnie w sposobie ubierania się i podsyłała mi te głupie wiersze. Na szczęście teraz chyba wszystko to było już zapomniane. Byłam całkowicie pewna, że tylko ja, Cecie i Fig znałyśmy całą prawdę oraz że żadna z nas nigdy nikomu o tym nie opowie. Tak też i było. Fig nigdy mnie nie przeprosiła, ale wydaje mi się, że jej wzorowe zachowanie mówiło już samo za siebie. Nadal jednak nie byłam zachwycona możliwością spędzania z nią czasu, chociaż niewątpliwie nowa Fig była o wiele bardziej przystępna i atrakcyjna niż poprzednia. Gdyby tylko jeszcze przestała mnie nazywać Effie!

Tydzień przed przerwą świąteczną na Boże Narodzenie wracaliśmy z Cecie z teatru „Tiger” i zobaczyłyśmy straż pożarną odjeżdżającą właśnie spod budynku „Tri Omega”. Wszystkie dziewczyny powracały do swoich pokoi i gadały o czymś jak najęte. Nie było widać żadnego dymu, ale czułyśmy swąd spalenizny dochodzący z górnego piętra.

— Dzięki Bogu, już wróciłyście! — krzyknęła Carolanne Gladney i rzuciła się w naszym kierunku. Wszystkie dziewczyny podążyły za nią. — Był pożar w waszym pokoju, ale na szczęście nic się nie stało. Tylko trochę dymu. Fig go poczuła, zadzwoniła po straż

pożarną, włączyła alarm w budynku, weszła do waszego pokoju i powyrzucała z szaf wszystkie wasze ciuchy. Jest prawdziwą bohaterką, Kate. Ma trochę poparzone ręce, ale nic jej nie będzie. Teraz jest w przychodni.

W głowie mi zaszumiało i niezupełnie rozumiałam, co się wokół nas dzieje. Obok mnie stała Cecie i wciąż podskakiwała, aby zobaczyć tłum stojący na schodach.

— Mój Boże! Jak to się mogło stać? Byłyśmy przecież w teatrze ponad trzy godziny... — powiedziałam.

— Mają pewne wątpliwości — stwierdziła poważnym tonem Trish Farr — ale przypuszczają, że ktoś mógł zostawić nie zgaszonego papierosa...

Cecie zmieniła się na twarzy. Widziałam, jak stopniowo blednie. Zauważyłam ciekawskie spojrzenie dziewczyn zgromadzonych wokół nas. Cecie była jedyną z nas, która paliła. Każdy o tym wiedział.

— Nie zostawiłam nie zgaszonego papierosa — powiedziała niezbyt przytomnie. — Nigdy tak nie robiłam i nie zrobiłam tego i tym razem.

— Wiem, że nie zrobiłaś — zapewniłam ją. — Na pewno bym to zauważyła przed wyjściem. Musiało to być coś innego.

— No cóż, mówiłam już, że nie są pewni — powtórzyła z naciśkiem Trish. — Równie dobrze mogłoby to być coś innego. Przecież nikt cię, Cecie, o nic nie oskarża.

— Mam nadzieję — powiedziałam. — Nie chciałabym wysłuchiwać czegoś podobnego. I nikt w miasteczku nie powinien myśleć, że to myśmy same podpaliły swój własny pokój.

— Porozmawiajcie z Fig — zaproponowała Trish. — Ona nic nie mówi, ale mam wrażenie, że wie, jak to się zaczęło.

Ale Fig uparła się, że nic nie powie. Po powrocie z przychodni następnego dnia rano była bardzo blada i wyglądała jak zbity pies. Bardzo uważała, aby nie napotkać mojego czy Cecie wzroku. Obydwie ręce miała owinięte białym bandażem.

— "Naprawdę nie wiem, jak to się zaczęło — wymamrotała, kiedy weszłyśmy do jej pokoju podziękować za poświęcenie i zapytać, jak się czuje. — Nikt nie jest pewien. Kiedy weszłam do was, w pokoju było już pełno dymu. Prawdopodobnie nie był to żaden papieros. Posłuchajcie, Effie i Cecie, jest mi bardzo przykro, jeśli pobrudziłam wasze ubrania. Po prostu wyrzuciłam je na podłogę. Całkowicie straciłam głowę... Przestałam myśleć...

— Och, Fig, nie myśl nawet o tym — powiedziałam. — Uratowałaś cały budynek, a wraz z nim prawdopodobnie kilka istnień

ludzkich, nie tylko nasze ubrania. Żadna z nas nigdy ci się chyba nie będzie mogła odwdziaczyć.

Wiedziałam, że mam rację, ale jakoś słowa te z trudem przechodziły mi przez gardło. Zamiast szczerzej wdzięczności czułam stare niezadowolone. Natomiast Cecie prawie się nie odezwała, z wyjątkiem krótkiego „dziękuję”, które wybełkotała cicho i bardzo szybko.

Powinnam pochwalić za to Fig. Mogła zrobić z siebie ranną bohaterkę, lecz nie wykorzystała tej okazji. W ogóle nie chciała rozmawiać o pożarze. Za to inne dziewczyny nadrabiały za Fig, za mnie i za Cecie. Ciągłe dopytywały jej się o szczegóły, nie dawały jej nawet zjeść spokojnie obiadu. Dopilnowały też, aby artykuł o bohaterstwie i poświęceniu Fig ukazał się w lokalnej gazecie uniwersyteckiej „Randolph Senator”. Mógł to być dla niej okres triumfu, lecz nie wykorzystała go i nadal była przesadnie skromna i nieśmiała. Nikt nie wspominał już o przyczynie pożaru, lecz ciekawskie spojrzenia zawsze kierowały się w stronę Cecie. Cecie natomiast była bardzo cicha i jakby oddalona od całego towarzystwa. Całymi godzinami przesiadywała w bibliotece lub schodziła do sali „Tri Omega”, aby tam uczyć się po nocach. Wiedziałam, że weszła za drzwi swego serca i zamknęła je szczelnie za sobą. Nawet ja nie mogłam jej stamtąd wywabić.

— Wiesz przecież, że jestem przekonana, że nie ty podłożyłaś ten ogień — powiedziałam kiedyś desperackim tonem, kiedy nie mogłam już znieść, że tkwi zamknięta tak długo w swojej skorupce. Tęskniłam za jej poczuciem humoru, nocnymi śmiechami i jej czarującą głupotą. Tęskniłam za nią całą.

— Wiem, że tak myślisz — odparła. — Problem leży w tym, że sama zastanawiam się, czy może jednak rzeczywiście nie zostawiłam zapalonego papierosa. Nie pamiętam dokładnie. Co prawda nie wydaje mi się to prawdopodobne...

— Nie — powiedziałam. — To jest niemożliwe. Wiem o tym. Wiem o tym na pewno. Chciałabym, abys już zapomniała o całym tym wydarzeniu. Muszę z kimś się pośmiać. Fig jako święta Joanna nie jest najśmieszniejsza.

— No pewnie — przytaknęła mi Cecie. — Daleko jej do tego.

Po tej rozmowie próbowała zmusić się, aby znowu być sobą i czasami nawet udawało się nam porozmawiać w nocy, posłuchać muzyki, poczytać wiersze czy powieści, pośmiać się. Jednakże trochę trudno nam przychodziło znajdowanie zabawnych tematów; śmiech nasz był teraz jakiś płytki i szybko ustawał. Cecie zaczęła coraz

więcej spać, a ja spędzałam coraz więcej czasu w McCandless. W sąsiednim pokoju Fig przyjmowała coraz liczniejsze rzesze gości, a nieśmiałość i skromność zaczynały powoli wchodzić w modę. Nadal miała na rękach białe bandaże, ale nikt już nie wspominał o katastrofie.

W dniu, kiedy zdałyśmy ostatnie egzaminy, zapakowałam się w swojego MG i po drodze do domu podwiozłam na stację kolejową Cecie, która jechała do rodziny pociągiem. Żadna z nas nie chciała wracać do swoich. Moja matka spotykała się z głupim, bardzo pobożnym duchownym z Kościoła Baptistów, który twierdził, że prawdziwie chrześcijańskie obchodzenie świąt Bożego Narodzenia polega na chodzeniu do kościoła trzy razy dziennie i modleniu się na przykościelnym trawniku. Ja nie lubiłam jego, a on mnie, więc między nami wyrósł mur nie do pokonania. Natomiast Cecie nie była w nastroju do spotykania się z babciami i ciotkami.

— Jakby to było dobrze, gdybyśmy mogły spędzić Boże Narodzenie razem w Monte Carlo lub w Gstaad — powiedziała przed stacją kolejową, wyciągając z samochodu swoją walizkę.

— Zapamiętajmy sobie ten plan, abyśmy go zrealizowały w pierwszym roku, gdy będziemy już w Europie — powiedziałam. — A tymczasem uśmiechnij się. Po świątach wszystko ułoży się lepiej.

Nic nie odpowiedziała na to pocieszenie. Podeszła do drzwi staqi, odwróciła się jeszcze raz i pomachała mi na pożegnanie. Ja też jej pomachałam i włączyłam silnik w moim MG. Jakoś smutno mi się zrobiło, gdy musiałam odjechać stąd i zostawić ją na peronie.

— Kate... — krzyknęła za mną.

— Co?

— Nie zostawiłam wtedy zapalonego papierosa!

— Wiem o tym. Wesołych świąt Bożego Narodzenia, Cecie!

— Ach, bzdura! — odpowiedziała.

Rozdział 5

Siedliśmy do lunchu dopiero o drugiej. Przygotowałam sałatkę z krabów, ale nie miałam ochoty jej jeść. Zrobiłam natomiast coś, czego nie robiłam, odkąd poznałam Alana prawie dwadzieścia osiem lat temu: strasznie się upiłam.

Przyniósł cały dzban „krwawej Mary”. Postawił go na stole pod parasolem stojącym na tarasie. Obok ustawił dwie szklanki tłuczonego lodu, talerzyk z kosczerzną rybą i łodygi świeżego selera. Przechylił parasol w taki sposób, aby chronił nas przed prażącym słońcem. Od oceanu wiał dość silny wiatr.

— Odpowiedzią jest schlanie się — stwierdził. — A jak brzmi pytanie?

Zaczęłam się śmiać, bo właśnie to samo zdanie powiedział do mnie tamtej nocy, gdy poznaliśmy się. Było to na Third Avenue. „Krwawa Mary” wydawała mi się najlepszą w świecie rzeczą i połowę pierwszej szklanki wypić jednym haustem.

— Skoro już to mówisz, nie pozostaje nam nic innego, jak tylko powtórzyć tę historię — powiedziałam. — Byłoby wspaniale. A to co? Rzodkiewka?

— Szczaw — odparł. — Nie było kopru. Co się z tobą dzieje, Tondelayo? Tak dziwnie wyglądasz.

Zaczerwieniłam się. Tondelayo było przezwiskiem, którego używał w chwilach, gdy chciałam się z nim kochać. Twierdził, że w takich momentach zawsze byłam w dziwnym, dobrym nastroju, tak że zaraz można było rozpoznać, czego chcę, gdyż mam wówczas tyle progesteronu, że aż przelewa mi się uszami. Bardzo dawno mnie tak nie nazywał. Dawno też nie kochaliśmy się. Jakoś nie mogłam

pogodzić się z myślą, że mogłabym mieć w sobie Alana, podczas gdy trawił mnie rak.

— Chce mi się pić, satyrze — powiedziałam i wychyliłam napój do dna, po czym podstawiłam mu szklankę do ponownego napełnienia. — Dolej, Samie.

Wypiłam chyba ze cztery szklanki. Nigdy nie miałam mocnej głowy, a poza tym byłam osłabiona długą chemioterapią. Nie należałam też nigdy do tych, które nigdy się nie upijają i zawsze są w stanie kontrolować symptomy kaca. Zawsze przewracałam się, krztusiłam i wymiotowałam przez całe cztery dni po każdym seansie. Tak więc i tym razem cztery drinki od razu zwały mnie z nóg. Jak przez mgłę pamiętam tylko mijające godziny, słońce chylące się ku zachodowi, łagodniejący upał i chwilę, w której wstałam z krzesła, podeszłam do Alana i usiadłam mu na kolanach. Objęłam go i przytuliłam jego twarz do moich piersi.

— Wejdz we mnie — powiedziałam śpiewnym zalotnym głosem. — Chcę, abyś mnie kochał.

Potem pamiętam już tylko, jak leżałam w jego ramionach na zbałaganionym łóżku w pokoju gościnnym. Byłam cała mokra, chociaż wiatrak przymocowany do sufitu przez cały czas pracował. Zaczęłam rzewnie i gorzko płakać. Ostatni raz płakałam w ten sposób, kiedy zmarł Stephen. Był to gorzki, nie kończący się płacz wynikający z poczucia wielkiej straty. Alan obejmował mnie i tulił do siebie, nie mówiąc ani słowa. Czułam nawet, jak ciepło z jego ciała przechodzi na mnie. Rękami i nogami przyciskałam go do siebie jak tonący, który trzyma się ostatniej deski. Jego drobne twarde ciało było śliskie od potu. Poczułam nagłą chęć wciśnięcia się w niego przez skórę i stania się nim. Nie chciałam być sobą. Całe moje trudne życie pozbawiło mnie wszelkiej energii i byłam jak spłaszczone, przejechane zwierzę leżące na poboczu drogi. Odczucie to było tak silne i straszne, że przez chwilę wydawało mi się nawet, że właśnie teraz dowiedzieliśmy się o śmierci Stephena. Musiałam chyba wymawiać jego imię, gdyż Alan szeptał mi do ucha delikatnym głosem:

— W porządku, Katie, w porządku. To było dawno temu i już jest po wszystkim.

Chyba potem usnęłam, gdyż następną rzeczą, jaką pamiętam, była filiżanka bardzo mocnej kawy, którą przyniósł mi Alan. Siedziałam wtedy półprzytomna na łóżku w pokoju gościnnym. Słońce już zaszło, więc wszystko w pokoju wyglądało szaro. Zapadał zmierzch. Zadrżałam. Alan to zauważył i wyłączył wiatrak. Nagle zrobiło się nieznośnie cicho. Nawet ocean uspokoił się i słychać **było tylko**

delikatny szum wody: znak, że wiatr przycichł. W tej ciszy wyraźnie słyszałam pulsujące skronie i czułam nadchodzące mdłości, które niewątpliwie oznaczały rozpoczynającego się kaca. Jedną ręką trzymałam więc filiżankę, a drugą masowałam sobie bolące skronie.

— Takie są skutki grzechu — powiedział Alan i usiadł na łóżku obok mnie. Wyciągnął do mnie rękę i odsunął włosy opadające mi na twarz. — Lepiej się czujesz?

— Nie — odparłam mizernym głosem. — Czuję się dokładnie tak, jak powinnam. Strasznie. Nie wiem, co we mnie wstało... oczywiście pomijając wódkę. Biłam się z tobą czy co? Pamiętam, że obudziłam się z przeczuciem, że straciłam cię na zawsze.

— Nie mnie. Cały czas mówiłaś o Stephenie. Nie martw się już tym. Ja też czasami płaczę z tego powodu.

— Naprawdę? — zapytałam ze zdziwieniem i spojrzałam na niego. Jego twarz była dokładnie taka sama jak dwadzieścia osiem lat temu: wykrzywiona, słodka, może trochę małpia, tryskająca zdrowiem i młodością. Zawsze dokuczałam mu, że wygląda tak, bo chyba podpisał pakt z diabłem. Od dawna nie mówił o Stephenie, przynajmniej od momentu, gdy zachorowałam na raka, więc bardzo mnie zdziwiło, że czasami za nim płakał. Ja sama już dosyć długo nie płakałam z powodu utraty naszego jedyne go syna.

— Oczywiście, że płakałam — przyznał. — Choć przecież nie jestem niezrównoważony ani nie mam dość tego życia. Po prostu kochałam go i teraz za nim tęsknię.

Poczułam, że łzy napływają mi do oczu i że coś ściska mnie w krtani. Przytuliłam się do niego.

— Dla ciebie też to było straszne, prawda? Ciągle o tym zapominam — powiedziałam, tuląc się do jego nagiego torsu. Miał teraz na sobie tylko szorty. Jego skóra była chłodna i słodko pachniała — był to zapach francuskiego mydła, które trzymam zawsze w łazience dla gości.

— Ale zdaję sobie sprawę, że nie było to dla mnie aż tak straszne jak dla ciebie — zapewnił mnie, a ja nagle poczułam, że ból w klatce piersiowej ustępuje. Miałam też wrażenie, jakby cały świat nagle zmienił bieg. Jego pewność siebie, dziwna właściwość leczenia ran psychicznych i realność spojrzenia zawsze działały na mnie kojąco. Przez te wszystkie lata razem spędzone był dla mnie nie tylko przyjacielem i kochankiem, ale także bardzo pewnym oparciem. Nikt nigdy nie wywierał na mnie takiego wpływu, nawet Cecie. Ja jednak dopiero teraz zaczęłam rozumieć, jak wiele kosztowało go odgrywanie przede mną roli niewzruszonego i spokojnego

mężczyzny. Zawsze dotąd brałam jego stałą gotowość do pomagania mi w chwilach największego bólu za coś oczywistego, lecz chyba musiało to być dla niego ogromnym ciężarem. Przecież też stracił syna. Stracił też dwoje innych dzieci. Jego żona miała raka i przez pięć lat kroczyła stale nad przepaścią.

— Nie wyobrażam sobie, co bym zrobiła na tym świecie bez ciebie — powiedziałam.

— Nic — odparł i pocałował mnie w czoło. Przesunęłam się na łóżku, aby usiąść bliżej niego, i poczułam lepka wilgoć na prześcieradle. Było to jak kac — od bardzo dawna nie miałam okazji tego odczuć.

— Ha! — powiedziałam i uśmiechnęłam się do niego. — Musiałam chyba pogruchotać ci wszystkie kości. Pamiętam, jak mówiłam coś o tym po wypiciu chyba dziesiątego drinka. No, wiesz, o co chodzi. Czy... dobrze wszystko poszło?

Po zakończeniu chemioterapii próbowaliśmy się już kilka razy kochać, ale nigdy nie byłam w stanie osiągnąć szczytu. Bardzo tego chciałam, lecz jego dotyk doprowadzał mnie jedynie na skraj spełnienia, które zawsze tak uwielbiałam i podczas którego ścisakałam go z całej siły i pokrzykiwałam z radości jak mała. Tym razem jednak nie mogłam przekroczyć progu. Kiedy wchodził we mnie, ogarniała mnie panika i dosłownie czułam, jak komórki raka rozgrzewają się do boju i atakują go swymi ostrymi zębami. Wydawało mi się, że w czasie stosunku wyzwala się we mnie nowa energia śmierci. Była to śmierć zarówno dla mnie, jak i dla niego. Czułam się zarówno otrutą, jak i trucicielką. Zaczynałam mu się gwałtownie wrywać, krzyczałam i miałam nudności. Nie pozwalałam mu dokończyć. Wiedziałam, że mnie rozumie i że nie oskarża mnie, ale upłynęło już wiele czasu, odkąd próbowaliśmy ostatnim razem. Jednakże, kiedy dotknęłam mokrego prześcieradła, wiedziałam, że wreszcie się udało i jestem wyleczona.

Przez chwilę nic nie mówił, więc zorientowałam się, że nie wszystko było w porządku.

— O Boże! — powiedziałam bezradnie.

— Nie, nie — zaprzeczył, objął mnie i zaczęliśmy się kołysać. — Zrobiliśmy dzisiaj wielki krok naprzód. Tak blisko już byliśmy, że... nie wytrzymałem. Przepraszam. Następnym razem uda nam się na pewno. Już prawie nam się udało.

Znowu zaczęłam płakać.

— To moja wina — płakałam. — Po prostu uwiodłam cię, a potem... Boże! Chyba lepiej już być oziębłą. Ja natomiast jestem i pijaną uwodzicielką, i w dodatku oziębłą...

Zaczął się śmiać.

— ... i nie brałaś udziału w czterech kolejnych głosowaniach. No już, Katie, to nie jest twoja wina. Następnym razem na pewno nam się uda. Możemy nawet teraz spróbować, jeśli jeszcze chcesz...

— Nie, nie — zaczęłam płakać. — Nie teraz. Niedługo, ale jeszcze nie teraz. Obiecuję ci. Przepraszam. Tak mi wstyd...

— No, to postaraj się szybko zdecydować — powiedział szeptem prosto w ucho. — Chciałbym cię mieć jeszcze chociaż raz, zanim pomrzemy.

Zanim jeszcze zdążyłam pomyśleć, usłyszałam siebie, jak mu odpowiadam: — Alanie, to powraca.

Momentalnie znieruchomiał. Usłyszałam, że bierze głęboki oddech.

— Nie, nie powraca — powiedział.

— Ależ tak. W tym roku w lecie. Wiedziałam to przez chwilę.

— Skąd? — zapytał z niedowierzaniem. — Boli cię coś? Masz krwawienia? Co ci jest?

— Nie, nic z tych rzeczy. Po prostu wiem...

— Po prostu wiesz! — prawie krzyknął na mnie. — Nic nie wiesz! Skąd możesz wiedzieć, skoro nie masz żadnych bólów ani krwawień? Skąd do diabła o tym wiesz?

Odsunął się ode mnie i usiedliśmy, wpatrując się w siebie nawzajem. Noc zbliżała się szybkimi krokami i w pokoju robiło się coraz ciemniej. Jego oczy zrobiły się białe i zbladł na twarzy. Wyglądał na bardzo przerażonego i nigdy jeszcze nie widziałam go w takim stanie podenerwowania.

— Po prostu wiem — szepnęłam. — Po prostu wiem.

Przyciągnął mnie do siebie jeszcze raz i zaczął kołysać w ramionach.

— Nie, Kate, to już do ciebie nie wróci — mówił miękko. — Nie, kochanie. Niedługo będziesz miała ostatnie badania i to naturalne, że jesteś teraz taka zdenerwowana. Od razu wiedziałem, że z tego wyjdiesz. I rzeczywiście jesteś już zdrowa. Udowodnię ci, że jesteś. Dzisiaj wieczorem zadzwonię do McCrackena i poproszę go, aby przebadał cię już jutro. Będziemy wtedy mieli to za sobą, a ty upewnisz się, że nic ci nie jest...

Potrząsnęłam głową przecząco. Muszę, koniecznie muszę przeżyć jeszcze to lato. Jeśli dalej będzie nalegał, abym poszła do lekarza, nie wiem co zrobić. Chyba ucieknę...

— Przepraszam — powiedziałam. — Jestem głupia. Zawsze to wiedziałam. Nie poniżaj mnie przynajmniej przed Johnem. On już

teraz o mnie sądzi, że jestem wyjątkową histeryczką. Gadam takie bzdury, bo jestem pijana. Poza tym wydaje mi się, że ten list wyprowadził mnie trochę z równowagi.

Uśmiechnął się do mnie niezwykle słodko.

— Czy wiesz, że dzisiaj po południu nazwałam mnie Paul? — zapytał. W jego głosie nie odczułam żadnej urazy. Był tylko lekko rozbawiony. Doskonale jednak wiedziałam, że nie był z tego zadowolony. Czułam to przez skórę.

— Och, Alanie, ja nigdy... — wydusiłam z siebie. — Cholera! Nie mogę w to uwierzyć. Alanie, wiesz przecież, że od dawna już o nim nie myślę. Wiesz, że tak jest. To tylko wpływ listu Ginger, który przywołał wspomnienia o tamtych latach i tamtym towarzystwie...

— Wiem — zapewnił mnie. Wyraz jego twarzy był spokojny, a oczy znowu jasne. Alan zdolny był do zazdrości, lecz zawsze wiedział, kiedy rzeczywiście ma o co być zazdrosny, a kiedy nie. — Naprawdę wiem o tym, Kate. Oczywiście nie oznacza to, że nie powinienem był zakatrupić tego skurczybyka, kiedy po raz pierwszy mi się naraził.

— Och, nie musiałeś — zaprzeczyłam. — Sama go zabiłam. Ja też. Zabiłam i wymazałam ze swojego życia raz na zawsze. Przecież tak ci obiecałam.

— Zgadza się — przytaknął i pocałował mnie w usta. — A teraz może dokończysz drzemkę, a potem pójdziemy na hamburgera, na przykład do Bobby'ego Vana, dobrze? Obudzę cię o szóstej.

Wkrótce potem znowu usnęłam. Morze delikatnie szumiało i docierał do mnie charakterystyczny zapach ryb, oznaczający zbliżający się przypływ. Znowu powróciłam do tamtych czasów. Rzeczywiście ich zabiłam. Zabiłam.

Ale umarli wstają czasami z grobów.

*

Na trzy dni przed rozpoczęciem semestru zimowego „Tri Omega” rozpoczęła oficjalne uroczystości przyjmowania nowych członkiń. Fig Newton została jedną z nas.

Fig, która wyjechała z Randolph na ferie jako niemalże bohaterka, po powrocie nie wydawała się już tak ważną postacią. W naszym wieku pamięć o bohaterstwie bywa raczej krótka i w ferworze

przygotowań do inicjacji nowych członkiń klubu większość z nas zapomniała, że Fig wynoszono kiedyś na piedestał. Mało kto się nią przejmował i znowu zaczęła wszystkim przeszkadzać. Jednakże znalazła sposób, aby nam o sobie przypomnieć odpowiednio dobitnie.

— Czy mówiłam wam, że w moim kościele poproszono mnie, abym wygłosiła małe kazanie w Niedzielę Młodzieży? — zapytała nas podczas pierwszego wspólnego obiadu tuż po powrocie z domu. Spoglądała przy tym na nas skromnie i mrugała oczami. Cecie stwierdziła szeptem, że Fig wygląda jak stonoga w potrzasku.

— Nie — zaprzeczyłam. — Wspaniale! I o czym mówiłaś?

— O... no, wiecie... o tym małym ogniu... I o tym, że musiałam wyciągnąć wszystkie wasze ciuchy z szafy.

— No tak, wieści o heroizmie rozprzestrzeniają się daleko i szybko — przyznała Cecie.

— Nie widzę, abyś nosiła teraz ten niebieski sweter z kaszmiru — powiedziała do mnie w obecności prawie wszystkich dziewczyn z klubu, tuż po śniadaniu. — Czy zniszczył się? Był na samym dnie szafy i nie mogłam się do niego dostać. Chyba właśnie wtedy poparzyłam sobie rękę.

— Nie, jest w porządku — powiedziałam, chociaż sweter ten okropnie śmierdział dymem i dlatego zostawiłam go w Kenmore. — Po prostu jeszcze go nie założyłam.

— Zastanawiam się, czy moje rzęsy kiedykolwiek jeszcze odrosną takie czarne i długie? — pytała samą siebie i spoglądała w lustro zawieszona na ścianie pokoiku, w którym przygotowaliśmy się do centralnych uroczystości inicjacji nowych członkiń „Tri Omega”. — Gdzieś kiedyś czytałam, że jeśli spali się rzęsy, to zaraz odrastają jeszcze dłuższe, niż były do tej pory.

— Och, Fig, wystarczy już gadania o tym głupim pożarze — jęknęła Jeanine Sfeton. — Twoje rzęsy wcale nie wyglądają inaczej niż do tej pory. Wcale ich sobie nie spaliłaś.

— Ależ wręcz przeciwnie — zaprzeczyła Fig z zapałem. — Opaliłam je sobie, i to przy jednym i drugim oku. To, co w tej chwili widzisz, to tylko odpowiedni makijaż.

Nie udało jej się nas oszukać i znowu stała się tą samą Fig, jaką była na początku roku akademickiego.

— Wiesz dlaczego jestem pewna, że Bóg istnieje naprawdę? Dlatego, że to właśnie ty jesteś odpowiedzialna za wprowadzenie jej do „Tri Omega” i pocałowanie jej na uroczystości, a nie ja — stwierdziła kiedyś wieczorem Cecie. Po feriach świątecznych wróciła do

Randolph w bardzo dobrym humorze, a mnie kamień spadł z serca, że nareszcie jest sobą. Przez całe Boże Narodzenie myślałam o niej, jako o tej odmienionej dziewczynie, którą przed odjazdem do domu odwoziłam na stację.

— Czasami wieczorem leżę sobie w łóżku i myślę o tym — przyznałam jej. — Wydaje mi się, że robię tym samym bardzo dobry uczynek, który potomność zapamięta przez całe stulecia. Bo kto inny by ją pocałował?

— Założę się, że ćwiczysz to już od kilku tygodni na swojej własnej ręce — powiedziała Cecie. — Ty też tak kiedyś robiłaś? Czy całowałaś kiedyś swoją rękę w taki intymny sposób, jak to robią w filmach, aby gdy nadejdzie odpowiedni moment, wiedzieć, jak to się naprawdę robi? Wszystkie dziewczyny w naszej szkole zakonnej zawsze chodziły z czerwonymi plamami na rękach. Zakonnice myślały, że to liszaj.

— O Boże! No tak! Zapomniałam! — krzyknęłam, zanosząc się od śmiechu. — W całym kraju można usłyszeć i zobaczyć dziesięcioletnie dziewczynki namiętnie całujące swoje ręce.

Późno w nocy znów wpadłyśmy w bardzo dobry nastrój. Byłyśmy radosne jak skowronki i śmiałyśmy się do rozpuku. Najbardziej cieszyła nas ponowna możliwość mieszkania razem i wygłupiania się.

— Posłuchaj — bąknęła Cecie. — Słyszysz to? Ona jest teraz w pokoju i przygotowuje się do całowania ciebie. — Mówiąc to schowała się pod kołdrę i głośno pocałowała się w rękę.

— Och, przestań już! Zwymiotowałamby jej w twarz albo na buty! — krzyknęłam z oburzeniem. — Wolałabym już pocałować żabę!

— I pocałujesz! Kiedy pocałujesz Fig, ona właśnie zamieni się w żabę!

— Ciiiicho, bo jeszcze nas usłyszysz! — ostrzegłam Cecie.

Tej nocy śmiałyśmy się jeszcze wiele godzin, zanim nie padłyśmy ze zmęczenia.

Trzy dni później stałyśmy półkolem w przyciemnionej sali klubu. Wszystkie ubrane byłyśmy w białe suknie. Atmosfera była ponura jak na pogrzebie. Czuć było zapach dymu z palonych gałęzi sosny i kwiatów goździków. Dwadzieścia siedem kandydatek stało przed nami w podobnym półkolu. Miały na sobie takie same ubrania, ale ich oczy były przewiązane ciemnymi chustkami. W pokoju panowała całkowita cisza, jeśli nie liczyć naszego profesora od muzyki brzdąkającego rytmicznie na trójkacie oraz szybkich, płytkich oddechów kandydatek. Okna zasłonięte zostały ciężkimi kotarami, więc

wszystko odbywało się w półmroku. Temperaturę podnosiły dodatkowo ogniste jęczyczki wielu zapalonych świec. Do tradycyjnego stroju na tę okazję należały ciasne gorsety, które musiałyśmy założyć. Wiedziałam, że zanim cała uroczystość skończy się po około pięciu godzinach, przynajmniej jedna z kandydatek zemdleje. Zawsze tak było; czy to z powodu podniecenia czy też rzeczywistego braku powietrza. Już drugi raz stałam po stronie przyjmujących, ale dokładnie pamiętałam moje własne przyjęcie do tego klubu jeszcze w Wirginii.

Teraz nie pamiętam ani jednej z tych tajemnych świętych przysiąg, które wówczas złożyłam, ale wtedy można było mnie obudzić o drugiej w nocy, a ja byłam w stanie bez zająknięcia wyrecytować wszystkie przykazania „Tri Omega”. W dniu swojej inicjacji niemal namacalnie czułam, jak zmienia się moje dotychczasowe życie. Koniecznie chciałam iść do łazienki, lecz kiedy odwiązali mi chustkę, jak gdyby „łuski opadły mi z oczu” i rzeczywiście ceremonia ta zmieniła moje życie, poglądy i mój stosunek do innych dziewczyn. Sama zostałam przecież ich „siostrą” (każda członkini naszego klubu tytułowana jest przez inne „siostrą”).

Dowiedziałam się, kim byłam.

Wiedziałam, że kandydatki stojące przede mną myślały o tym samym. Niektóre z nich nawet płakały ze wzruszenia — spod chustek zasłaniających ich oczy spływały łzy. Nagle poczułam w sobie przypływ prawdziwie siostrzanych uczuć i też się rozpłakałam. Nawet Fig, która zawsze wyglądała na zapłakaną, wydała mi się teraz słaba i kochana jak rodzona siostra. Wszystkie dziewczyny stojące przede mną miały około osiemnastu lat. Ich dusze i osobowości były równie nie ukształtowane i podatne jak kawałek plasteliny, lecz na szczęście właśnie dzisiaj rozpoczął się długi proces ich kształtowania. Pełnoprawne członkinie „Tri Omega” czuły się rzeźbiarkami, więc kochałyśmy je, tak jak artyści kochają swoje dzieła sztuki.

— Wszystko pójdzie jak z płatką — wmawiałam sobie — chociaż na pewno będę miała pewne kłopoty z pocałowaniem Fig.

Obok mnie stała Cecie i uśmiechała się do mnie.

— Jak kawałek pysznego tortu — szepnęłam do niej.

Wreszcie zaczęła się ceremonia. Zapalono świece, po czym je zgaszono, uderzono w dzwony i trójkąty i zaśpiewano piosenki. Wyrecytowałyśmy podniosłe wiersze starogreckie, które wyjątkowo dziwnie i egzotycznie zabrzmiały wypowiedane z naszym południowym akcentem, a kandydatki odpowiadały nam podniecone ważnością

chwili- W sali zrobiło się bardzo gorąco, słyhać było dziwną, rytmiczną muzykę bębnową, która zaczęła na nas działać hipnotyzująco i wywoływała nudności. Było to jak początek choroby morskiej. Kilku kandydatkom zrobiło się słabo.

Dobiegała już końca piąta godzina, kiedy wyniesiono jedną z omdlałych dziewczyn. Zwykle organizowałyśmy jeszcze jedną ceremonię inicjacji, tym razem skróconą, dla tych, które zemdlały i straciły w ten sposób główne atrakcje. Kilka chwil potem wyniesiono następną kandydatkę, bladą jak prześcieradło. Nagle usłyszałam czyjś płacz. Podniosłam głowę i zobaczyłam Fig, która ryczała ze wzruszenia jak bóbr i przypominała wielkiego, rozkapryzonego niemowlaka. Miałam nadzieję, że może pozbiera się, zanim nadejdzie moment całowania.

Nadszedł czas na wygłaszanie przysięg i przypinanie złotych odznak, które leżały na specjalnie do tego przygotowanym ołtarzu. Każda kandydatka podprowadzana była do niego przez swoją przewodniczkę, tzw. „starszą siostrę”, by razem wypowiedzieć przykazania „Tri Omega”. „Starsza siostra” przypinała wtedy nowej dziewczynie ów złoty znaczek, podawała jej rękę i szeptała do ucha najbardziej święte słowa starogreckie, których za żadne skarby nie można wypowiadać na głos. Potem trzeba było zdjąć z jej oczu chustkę i pocałować ją. Zgodnie z dziwną tradycją, ustaloną jeszcze przez pierwsze założycielki „Tri Omega” na Uniwersytecie Tempie w roku 1894, pocałunek ten musiał być złożony na ustach kandydatki. Powstało na ten temat wiele kawałów i dowcipów, dotyczących dziwnych zwyczajów panujących w Tempie, ale prawdę mówiąc nie było się z czego śmiać. W obecnym czasie agresywnej homofobii czyn ten traktowany jest jak jakiś straszny akt perwersji.

Kiedy kandydatka stojąca tuż przed Fig została podprowadzona przez swoją towarzyszkę pod ołtarz, poczułam nagłe mdłości. Tuńczyk, którego miałyśmy tego dnia na obiad, podszedł mi pod samo gardło. Mocno potrząsnęłam głową. Nigdy do tej pory nie miałam kłopotów z żołądkiem ani też nigdy nie zemdlałam. Wpadłam w panikę.

Spojrzałam na Fig i poczułam się jeszcze gorzej. Obydwie ręce z rozcapierzonymi palcami wyciągnęła przed siebie, jakby chciała coś złapać. Jej grube wargi poruszały się w taki sposób, jakby miała zaraz zwymiotować... a może tylko szeptała coś sobie pod nosem. Obfite łzy spływały jej po policzkach, całkowicie mocząc zasłaniającą oczy chustkę. Całe jej ubranie było mokre od potu i łez, jak gdyby dopiero co przyszła z deszczu. Wyciągnęła język i poruszała nim

w powietrzu. Jak gdyby tego jeszcze było mało, regularnie pociągała nosem. Nie wytrzymałam tego widoku i odwróciłam się.

— Boże Przenajświętszy, spraw aby to się już wcześniej skończyło — zaczęłam się modlić. — Spraw tylko tę jedną rzecz, o nic więcej Cię nie proszę.

Jakimś cudem znalazłam się nagle przed Trish Farr stojącą przy ołtarzu. Położyłam ręce na ramieniu Fig i byliśmy już w połowie recytowania przykazań. Kręciło mi się w głowie i było mi strasznie niedobrze. Fig głośno płakała, lecz jakoś udawało jej się powtarzać wyuczone na pamięć słowa. W końcu przypięłam do jej płaskiej piersi znaczek i wzięłam jej lodowatą rękę w moją jeszcze bardziej lodowatą dłoń. Wyszeptałam też owe tajemne słowa starogreckie, po czym zdjęłam jej opaskę z oczu. Została mi wtedy jeszcze jedna przeszkoda do pokonania. Tylko jedna... I potem mogłam uciec już do kuchni, gdzie było normalne światło, zimna woda i chłodne powietrze. Tylko jedna...

Zamknęłam oczy i pochyliłam się, aby ją pocałować. Nagle otworzyłam je, co było krokiem wyjątkowo fatalnym w skutkach. Twarz Fig była obrzydliwa: brudna i mokra od łez i potu, a oczy zamknięte i ukryte pod grubymi okularami. Ponieważ nos był całkowicie zatkany, usta miała na wpół otwarte, aby mogła przez nie oddychać. Widziałam nawet niebieskie żyły na jej dolnej wardze oraz różowy język, który szybko wsuwała i wysuwała z ust. Z jej twarzy emanowało silne podniecenie. W jednej chwili pomyślałam sobie, że jeśli pocałuję ją w usta, ona natychmiast wsunie mi swój język.

— Nie mogę — szepnęłam. — Nie mogę. — Odwróciłam się i pobiegłam prosto do kuchni. Zatrzasnęłam za sobą drzwi i od razu wymiotowałam do zlewu. Właśnie kładłam sobie na czoło mokry ręcznik, kiedy uroczystość zakończyła się i Cecie przyszła do mnie zobaczyć, co się dzieje. Zaraz po niej przyszła Fig. Wyglądała na wniebowziętą.

— Strasznie cię przepraszam — powiedziałam słabym głosem. — Nigdy wcześniej tego nie robiłam. Było tak gorąco i tak strasznie mnie mdliło...

— Ależ nie przepraszaj mnie — powiedziała Fig i objęła mnie, przytulając do siebie. Cała zeszytywniałam w obawie, by nie wymiotować na nią. Odsunęła się.

— Czułam się tak niezwykle wyróżniona i poruszona — stwierdziła drżącym głosem. — Mnie też było niedobrze. Ale było to najwspanialsze uczucie, jakiego kiedykolwiek doznałam. Teraz jesteśmy siostrami do końca życia.

Cecie i ja spojrzaliśmy na siebie w milczeniu. Fig zrozumiała nasze spojrzenie i wyszła z kuchni, ponownie powstrzymując się od płaczu.

— Chryste, Boże, Mario Przenajświętsza — powiedziała Cecie. Jeszcze raz zwymiotowałam do zlewu.

*

Fig nie traciła czasu na przygotowywanie się do roli pełnoprawnej członkini „Tri Omega”. Oczywiście miała do tego prawo, ale zwyczaj nakazywał, by nowe członkinie wdrażały się stopniowo we wszystkie obowiązki, stopniowo też uzyskując coraz więcej praw. Początkowo powinny milczeć w czasie spotkań klubowych, o ile nie zostały specjalnie poproszone o zabranie głosu i wyrażenie swej opinii, mogły głosować tylko za większością, musiały zgłaszać się do najmniej przyjemnych zadań, takich jak np. praca w kuchni czy roznoszenie herbaty i kawy podczas obrad klubu. Dopiero w drugim semestrze członkostwa mogły zgłaszać swoje opinie, a po drugim roku uzyskiwały pełne prawo do krzyczenia, niezgadzania się z innymi, oponowania, obstawania przy swoim czy też ustanawiania ogólnej polityki „Tri Omega”. Ale Fig była przecież sobą, więc nie mogła się inaczej zachowywać, jak tylko aktywnie i zdecydowanie udzielać się już na pierwszym po inicyjacji zebraniu klubu, podczas którego omawiano plany na semestr zimowy.

Tym razem nasze działanie w ramach „Tri Omega” nie miało już takiego rozmachu jak na jesieni i wypadło o wiele gorzej. Na jesieni wybrałyśmy najlepsze nowe członkinie, więc w zimie nie miałyśmy już specjalnego wyboru. Nasza dziekan wymyśliła, że powinniśmy robić nabór także i w zimie, aby „dać szansę tym dziewczynom, które wahały się na jesieni i nie mogły się jeszcze zdecydować”. Wszystkie doskonale wiedziałyśmy, co to oznacza, ale nic nie mogłyśmy na to poradzić, gdyż było to przecież zarządzenie odgórne. Wypełnialiśmy więc swoje obowiązki, jak nam przykazano, ale bez specjalnej werwy czy zaangażowania. Trish Farr zawsze powtarzała, że „zimą i tak nic dobrego nie może się zdarzyć”.

Jednakże tego roku „wynikła” Ginger Fowler, którą w dodatku podesłała nam Fig.

Początkowo wpatrywałyśmy się z niedowierzaniem w Fig, gdy wstała pod koniec któregoś zebrania i powiedziała po prostu:

— Wykryłam wyśmienity sposób, aby odwdziżyć się wam za to, że przyjęłyście mnie do swego grona. Odkryłam kandydatkę do „Tri Omega”, którą na pewno od razu pokochacie. Oczywiście bardzo chętnie przyłączy się do klubu. Właśnie wyjechała z Montevallo i będzie tutaj jutro.

Wszystkim zebranych siostrą posłała piękny uśmiech. Jej nowa złota odznaka przyczepiona była do bluzki na lewej piersi podtrzymywanej chyba po raz pierwszy przez nowy stanik, a oczy, spoglądające na nas spod grubych okularów, były jak zwykle przepełnione głęboką wdzięcznością i błyszczały niczym poranne słońce.

Jestem całkowicie pewna, że ta sama myśl, która przyszła mi do głowy, przemknęła w tej chwili przez dziewięćdziesiąt cztery umysły zgromadzone właśnie na sali: jakakolwiek kandydatka zaproponowana przez Fig będzie nieodwracalną porażką dla całego klubu. Nie mogłam sobie nawet wyobrazić, kim mogłaby być ta dziewczyna. O ile wiedziałam, Fig nie miała żadnych koleżanek spoza „Tri Omega”. Nie wspominała też o żadnych znajomych z rodzinnego miasta, czyli z Fowler. Zaaferowana tymi myślami nie odważyłam się nawet spojrzeć na Cecie.

— Pozwól mi to wyjaśnić, Fig — powiedziała Trish. — Powiedziałas już, że ta... osoba... że przyjmujemy ją do „Tri Omega” oraz że wyjechała już z Montevallo do Randolph i od razu chce się do nas przyłączyć. Zgadza się?

Jeśli Fig nie rozumiała nawet znaczenia słów, to na pewno rozumiała ów specyficzny i jednoznaczny ton.

— Chyba tak — odparła, rozglądając się po całej sali. Gdyby była szczeniakiem, skuliłaby się i obsikała chodnik. — Wiem, że to poważny krok, ale wiecie przecież, jaka jestem zawsze impulsywna. Poza tym nie mam żadnej wątpliwości, że od razu ją polubicie. Oszczędziłoby nam to sporo czasu. Zaprosiłybyśmy ją na któreś z następnych zebrań i wręczyłybyśmy jej odznakę...

— Musi przejść wszystkie etapy przygotowania, jak każda inna kandydatka — stwierdziła chłodno Trish. — Przyjmujemy ją tylko wtedy, gdy wszystkie nasze siostry zdecydują, iż rzeczywiście może się przydać w naszym klubie. Jeśli jednak okaże się na odwrót, będziesz osobiście odpowiedzialna za wytłumaczenie jej tego. Wszystko, co do tej pory zrobiłaś, pogwałciło chyba wszystkie zasady, jakimi się kierujemy. Powinnyśmy pozbawić cię członkostwa.

Ręka Fig od razu powędrowała na pierś, by sprawdzić, czy najnowsze trofeum jest jeszcze na miejscu. Cała poczerwieniała, co oznaczało przypływ bardzo silnej emocji.

— Nie musisz na mnie tak krzyczyć — powiedziała płaczącym głosem. — Chciałam tylko wyświadczyć „Tri Omega” przysługę. Tak bardzo was wszystkie kocham. Jestem tego całkowicie pewna. Ona jest bardzo bogata i nawet miasto, gdzie się urodziłam, ma nazwę pochodzącą od nazwiska jej rodziny.

— A moje miasteczko ma nazwę pochodzącą od rodziny, która dostarczyła światu dziewięć pokoleń albinosów-idiotów — powiedziała słodko Cecie. — A do bogactwa było im daleko.

Fig wpatrywała się uparcie w dywan. Nie chciała spojrzeć nam w oczy.

— Wszyscy kochają Ginger — mówiła dalej swoje. — I ona jest naprawdę bogata. Jej rodzina ma wszystkie fabryki tekstylne w okolicy. Sama ma swoje konto w banku opiewające na sumę pięciu milionów dolarów. Wszyscy w Fowler to wiedzą i wszyscy ją kochają.

— Fig, może ona jest równie dobra jak bogata, ale pozwól mi, że ci coś powiem. Na całym świecie nie ma tylu pieniędzy razem wziętych, aby można było za nie wepchać... oferemę do naszego klubu — powiedziała Trish bardzo stanowczo. Wiedziałam, że musiała się powstrzymać, aby nie powiedzieć „następną oferemę”, i sądząc po kolorze twarzy Fig, ona chyba też zrozumiała aluzję.

— Ginger jest wspaniała — powtórzyła z uporem. — Przekonacie się.

Bardzo szybko słowa Fig całkowicie się sprawdziły. Ginger Fowler przyszła już na pierwsze nasze przyjęcie w tym semestrze. Miała na sobie jasnoróżowy kapelusik w stylu Jackie Kennedy, różowe pumpy na koślawych nogach i miętowym papierosem kent wypaliła nam na sofie dość pokaźną dziurę. Do tego potknęła się o nogę krzesła i upadła na stół, co skomentowała mówiąc tylko „O, cholera!” tak poważnym tonem, że wszystkie wybuchnęłyśmy śmiechem. Przyjęcie jeszcze się nie zakończyło, a już otaczałyśmy ją zwartym wianuszkiem i zapewnialiśmy, że i tak ta sofa nam już zbrzydła.

— Wszystkie macie dużo szczęścia — powiedziała tonem, który zawsze był na pograniczu śmiechu. — Kiedyś rozlałam gorącą kawę w domu szefowej „Tri Delts”. Poza tym złamałam sobie kiedyś paznokciec na jakiejś imprezie u ADP. Przynajmniej wydaje mi się, że były to dziewczyny z ADP, ale nie jestem całkowicie pewna, bo nawet nie zdążyłam przyjrzeć się ich znaczkom.

Tak się przy tym śmiała, że jej niebieskie oczy zwięziły się do rozmiarów małych szparek. Była bardzo ładnie opalona. Jednakże jej okrągła buzia poczerwieniała ze zmieszania i pod białymi rzęsami widać było gromadzące się łzy. Chyba nie żartowała sobie wtedy z nas ani też nie wymyśliła tej historyjki o kawie czy paznokciu.

— Złamałaś paznokcie? — zapytała z niedowierzaniem Cecie.

Ginger Fowler zdjęła białe rękawiczki, które do tej pory miała cały czas założone i dzięki którym przypominała policjantkę kierującą ruchem. Wyciągnęła przed siebie rękę, abyśmy mogły ją dokładnie obejrzeć. Cztery duże palce zakończone były pięknymi paznokciami w kolorze czerwonym, natomiast piąty — prawie nie miał paznokcia.

— To chyba ten palec, nie? — zapytała Ginger i wszystkie zaczęłyśmy się śmiać. Wiedziałam już, że bogata czy nie i tak będzie jedną z nas. Do tej pory myślę, że Ginger Fowler była osobą najbardziej czarującą i kochaną, jaką kiedykolwiek poznałam.

Przez całą zimę spędzałyśmy w klubie bardzo dużo czasu. Przyjęłyśmy w nasze szeregi Ginger i usiłowałyśmy wyciągnąć Fig na trochę lepsze oceny. Próbowaliśmy też określić, dlaczego nie można się było oprzeć Ginger. Jedynym słowem, jakie przychodziło nam wtedy na myśl, było „sprytna”. Ciągłe któraś z nas powtarzała „ona jest taka sprytna”, chociaż wiedziałyśmy, że nie jest to najbardziej odpowiednie słowo. Ginger na pewno nie była słaba. Nie była też zuchwała czy beznadziejna, ani tym bardziej czysta jak niewinne niemowlę. Była wysoka, miała duże ręce i stopy, nogi jak u atlety i duże rozwinięte piersi. Opowiadała, że kiedy była w studium nauczycielskim w Montevallo, gdzie rozpoczynała właśnie naukę na początku tego roku akademickiego, grała w softball i była w drużynie pływackiej. Była więc bardzo dobrze zbudowana, trochę z tego powodu powolna, i zawsze ubierała się w bardzo prosty, niewyszukany sposób (nigdy więcej nie zobaczyłyśmy jej w kapeluszu i pumpach). Już z natury była śmieszna i niezbyt mądra. Daleko jej było do czystości moralnej — nigdy wcześniej nie spotkałam dziewczyny tak mocno opętanej przez świat doznań fizycznych. Cały czas dotykała wszystkich, ocierała się, poklepywała po plecach, po tyłku, gdzie popadło, obejmowała, przytulała, targała za włosy. Uwielbiała też, kiedy inni jej dotykali. Miała w sobie chyba coś w rodzaju lepu na muchy, który szczególnie mocno przyciągał wszystkich chłopców. Odkąd zamieszkała w naszym akademiku, telefony do niej urywały się i noc w noc chodziła na jakieś randki z coraz to innym przedstawicielem płci męskiej. Oczywiście nie

obyło się bez negatywnego wpływu takiego stylu życia na oceny, lecz na szczęście dla niej zawsze jakoś dawała sobie radę i poprawiała się na koniec roku czy semestru. Często można ją było spotkać biegnącą po korytarzu w akademiku prawie bez tchu, z rozwianymi włosami, rozmazanym makijażem i rozanielonym uśmiechem na twarzy. Nie można było po prostu nie odwzajemnić jej uśmiechu, jeśli Ginger uśmiechnęła się do ciebie. Cały czas była w szampańskim humorze, nawet wtedy, gdy próbowałyśmy jej wyjaśnić, iż nie przystoi jej tak się zachowywać na randkach lub że powinna pomyśleć teraz o ocenach, a nie o chłopakach.

— Po prostu nie możesz tego robić z każdym chłopakiem, z którym wychodzisz na randkę — słyszałam, jak Trish albo któraś inna siostra odpowiedzialna za reputację członkiń naszego klubu tłumaczy jej po kilka razy bez widocznego skutku. — Wracasz do akademika i wyglądasz, jakbyś właśnie wyszła z jakiegoś motelu. A co będzie, jeśli zajdziesz w ciążę?

— Zajdę w ciążę, gdy pierwsza gwiazda pojawi się na wschodzie — śmiała się Ginger. — Jak ci się zdaje, co mogę robić o ósmej godzinie wieczorem?

Następny wieczór spędzała z jeszcze innym chłopcem.

— Och, Ginger, jesteś taka dziecinna! — stwierdziła kiedyś Trish.

— Wiem o tym. Nigdy nie próbowałam być kimś innym — mówiła Ginger.

— No właśnie, ona jest taka dziecinna — powiedziała tej nocy Cecie. — Dziecko. Takie duże, wyrosnięte dziecko, które jest zachwycone otaczającym je światem i nie chce lub nie może zrozumieć, że świat ten potrafi także sprawiać ból, a nie tylko przyjemność. Przyciąga ją. Jest tak słodki, dobry i apetyczny jak świeże naleśniki z truskawkami.

— Chyba nie jest to takie proste, jak ci się wydaje — zaprzeczyłam. — Przecież jest szybka w podejmowaniu decyzji i sprawia wrażenie, że wie, czego chce. Ma bardzo dobrą intuicję. Wie, co masz na myśli, zanim jeszcze zdążysz to wypowiedzieć. Jest też bardzo wrażliwa. Poza tym nie wydaje mi się, aby jej oceny aż tak zależały od jej zachowania.

— Nie chodziło mi o to, że kieruje się tylko prostymi zasadami lub że myśli w prostych kategoriach — stwierdziła Cecie. — Ginger powiedziała mi kiedyś, że cokolwiek wpadnie jej do głowy, od razu stara się to wcielić w życie. Bawi się wtedy, kiedy chce, pije piwo wtedy, gdy ma na to ochotę, całuje chłopaka, który jej się spodoba

i śmieje się, kiedy ktoś ją połaskocze. Jest taka koleżeńska i towarzyska, że oddałaby ci nawet ostatni kęs chleba, gdyby zaszła taka konieczność. Poza tym jest bardzo uparta: jak już sobie coś umyśli, musi to osiągnąć, ale nie jest to upór typowy dla mężczyzn. Owszem, jest dobra dla Fig, ale nie zachowuje się po męsku. Wydaje mi się nawet, że jest najbardziej kobiecą dziewczyną, jaką znam. Jest jak... jest jak... jakaś bogini płodności u Majów, tyle, że ubrana w szorty i koszulkę sportową czy coś w tym rodzaju...

— Aha, więc bronisz jej.

— No tak. Naprawdę ją bardzo lubię, chociaż jest w niej coś, co mnie przeraża — powiedziała Cecie.

— O Boże! A co w Ginger może kogokolwiek przerażać? — zapytałam ze zdziwieniem. — Ona jest osobą najbardziej... podatną na przeróżne wpływy. Zupełnie jak duży szczeniak.

— O to właśnie chodzi.

Oczywiście miała całkowitą rację mówiąc, że Ginger ma złoty charakter. Ginger była jedyną z nas, która nigdy nie powiedziała o Fig złego słowa, chociaż jej służalczość czasami wyprowadzała ją z równowagi. Od czasu do czasu spoglądała tylko na Fig z obrzydzeniem, ale nigdy nie komentowała jej zachowania.

Cokolwiek by powiedziała, to jednak zawsze pomagała Fig, kiedy zaszła taka potrzeba. Nawet wtedy, gdy wszystkie kłóciłyśmy się z nią, Ginger uśmiechała się pod nosem i spoglądała na nią jak dorosły na rozkapryszone, niegrzeczne dziecko. Różne tonacje chrapania rozlegające się co nocy w ich pokoju chyba nie przeszkadzały Ginger. Wiedziałyśmy o tym, że nie słyszy na jedno ucho, więc stwierdziłyśmy, iż najprawdopodobniej nie słyszy również Fig. Ale przecież musiała ją słyszeć, skoro dochodziły do niej też i inne dźwięki. Słyszała, jak ja i Cecie śmiałyśmy się w nocy i czasami przychodziła do nas rano, aby zapytać, co nas tak rozbawiło. Jednakże nigdy nie potwierdziła, że słyszała nasze rozmowy. Myślę, że nawiązywałaby do nich, gdyby tak było. Nie chciałyby przecież stać z boku i patrzeć, jak naśmiewamy się z biednej Fig.

Muszę też tutaj dodać, że Ginger miała niesamowitą cierpliwość. Podczas gdy Fig po raz kolejny opowiadała jej historię o tym, jak ją wciągnęła do „Tri Omega”, my zatykałyśmy sobie palcami uszy, a Ginger za każdym razem wysłuchiwała jej do końca i jedynie drobny cień znużenia zakłócał promiennosc jej uśmiechu.

— Wtedy, gdy miałam to kazanie w kościele w Dniu Młodości — mówiła Fig — Ginger stała wśród tłumu wiernych. Zauważyłam, że patrzyła na mnie, i już z samego jej spojrzenia wyczytałam, że

choć jest bardzo bogata, jest samotna i potrzebuje przyjaciół. Bo przecież wiecie, że pieniądze i przyjaźń nie zawsze idą w parze. Po zakończeniu mszy podeszłam więc do niej i opowiedziałam jej o Randolph i o „Tri Omega”. Zanim ten dzień dobiegł końca, byłam już pewna, że wkrótce zostanie jedną z nas...

— Alleluja, chwalcie Pana! — krzyknął ktoś. — Kolejny grzesznik uratowany!

— Gdyby mnie z wami nie było, nigdy byście jej nie miały w klubie — mówiła z przekonaniem Fig i chociaż była to całkowita prawda, nie mogłyśmy się powstrzymać od naśmiewania się z niej. A ona chyba nie mogła się powstrzymać od opowiadania tego aż do znudzenia.

W końcu przestała o tym rozprawiać, o czym nie omieszkłam wspomnieć Ginger.

— Dawno już nie słyszałam o twoim ostatnim nawróceniu się na słuszną drogę — stwierdziłam, uśmiechając się kiedyś do niej wieczorem. Oczywiście Fig nie było wtedy w pobliżu.

— O czym nie słyszałaś...? Ach, no tak. W końcu powiedziałam jej, aby przestała bez przerwy o tym gadać — odparła Ginger.

— Więc jesteście ci niezmiernie za to wdzięczne — zapewniłam. Już mi się wydawało, że jeśli jeszcze raz zaczniesz opowiadać nam to od początku, dostanie od którejś z nas w gębę.

— Prawdę mówiąc, mnie to osobiście nie przeszkadza, nawet jeśli opowiada wam to codziennie. Ma przecież rację: gdyby nie ona, nigdy by mnie tu z wami nie było. Ale nie chciałam, abyście z niej kpiły. Ona naprawdę nie zdaje sobie sprawy, jak śmiesznie czasami wygląda i jak się zachowuje.

Tego dnia wróciłam do swojego pokoju trochę zbita z tropu.

— Ginger Fowler jest naprawdę zbyt miła, abyśmy jej mogły kiedykolwiek dorównać. Cieszę się, że mogę mieszkać właśnie z tobą, a nie z nią — zwierzyłam się Cecie. Spojrzała na mnie zza okularów, które właśnie zjechały jej po nosie i opierały się tylko na samym jego czubku.

— Cieszę się, że to powiedziałaś — odparła.

— Co? — krzyknęłam ze zdumieniem i spojrzałam na nią.

— Nie połapałaś się jeszcze, że Fig nasłała Ginger do Randolph, aby stała się twoją dozgonną przyjaciółką? — zapytała Cecie. — A co według ciebie oznacza to pokrewieństwo dusz, o którym tyle gada? Dlaczego niby ciągle opowiada o Ginger, kiedy tylko pojawisz się na horyzoncie?

— Cecie, czego ty, do cholery, ode mnie chcesz?

— Przemysł to — powiedziała na zakończenie i ponownie skupiła swą uwagę na wypracowaniu o Disraelim.

Tej nocy leżałam w łóżku i obserwowałam odbicia świateł na ścianie. Rozmyślałam nad tym, co powiedziała mi Cecie. Dopiero wtedy zrozumiałam, co rzeczywiście miała na myśli, a przynajmniej dlaczego w ogóle mi to powiedziała. Jednakże nie mogłam się z tym zgodzić. Pomyślałam wtedy nawet, że może Cecie jest trochę zazdrosna o Ginger Fowler. Dopiero znacznie później zorientowałam się, że jednak miała rację, lecz zdążył już upłynąć cały semestr, podczas którego między mną a Cecie wyrósł mur. Nie wiem, ile to ją kosztowało, ale nigdy więcej mi o tym nie wspominała.

Od dnia inicjacji Ginger Fig ciągle powtarzała mi do znudzenia, że na pewno pokocham nową siostrę.

— Będziecie się ze sobą na pewno zgadzały — zapewniała mnie. — Jesteście do siebie bardzo podobne i macie wiele wspólnego... No wiesz, pochodzenie i wszystko...

Nie mówiła o pieniądzech, ale i tak wiedziałam, że właśnie o to jej chodzi. Cokolwiek bym jej powiedziała, nie mogłam przecież znowu jej obrażać i udawać przed nią, że jestem biedna, podczas gdy ona doskonale wiedziała, że tak nie jest.

— Wygląda zupełnie jak ty i z jej wyglądu nigdy nikt by się nie domyślił, że jest... no wiesz, trochę inna. Na co dzień zachowuje się dokładnie tak jak ty, Effie. Ale prawda wcześniej czy później i tak wypłynie na wierzch. Już po krwi to widać. Moja matka mówiła, że krew zawsze prawdę ci powie.

— No to rozlejmy trochę jej krwi i zobaczymy, co w niej siedzi — powiedziała kiedyś Cecie. Mówiła to tak, aby Fig jej nie usłyszała.

W miarę upływu czasu coraz wyraźniej wiedziałam, że Ginger różni się ode mnie pod każdym względem. Była dokładnie moim przeciwieństwem: bezpośrednia, przyziemna, nieskomplikowana, niedouczone i zupełnie nie zainteresowana zdobywaniem wiedzy. Pomimo dzielących nas różnic lubiliśmy się. Fig natomiast przez cały ten semestr rozprawiała wszem i wobec na temat naszej przyjaźni.

— Czy kiedykolwiek widziałaś dwie dziewczyny tak dobrane jak Effie i Ginger? — dopytywała wszystkich dookoła. — Są tak identyczne jak dwa ziarenka fasoli w jednym strąku. Równie dobrze mogłyby być bliźniaczkami.

Dziewczyny spoglądały więc podejrzliwie na mnie i na Ginger, lecz w końcu przestawały zwracać na to uwagę. Jednakże jeśli o mnie chodzi, zaczęło mnie to denerwować, przede wszystkim ze względu na to, o czym powiedziała mi Cecie. Ginger też chyba nie

była z tego zadowolona, gdyż kilka razy widziałam, jak posyłała Fig jednoznaczne spojrzenia.

Pomimo tego Fig nie zaprzestała wygłaszania swych poglądów. Przypuściła na nas ofensywę, jakby była profesjonalną żydowską swatką.

— Jedziesz może do apteki? — pytała mnie, gdy wychodziłam z pokoju, potrząsając kluczykami od samochodu. — Poczekaj chwilę, to powiem Ginger. Mówiła, że potrzebuje paczki „Tampaxów”.

— Chodźmy do Berniego na czekoladę na gorąco — mówiła innym razem. — Ginger miała taką ochotę na czekoladę.

Albo:

— Jeśli jedziesz do McCandless samochodem, to może podrzuciłabyś Ginger do biblioteki? Jest taka przeziębiona, a na dworze mży.

Lub też:

— Chodź do nas do pokoju i posłuchaj, jak Ginger gra *Ulice Laredo*. Ojciec przysłał jej na urodziny gitarę.

Przez jakiś czas nie zauważałam lub nie chciałam zauważać podtekstu kryjącego się pod tym gadaniem. Nie widziałam w tym zresztą nic dziwnego, dopóki pewnego dnia Cecie nie wypowiedziała się na ten temat. Dopiero wtedy zastanowiła mnie dość wysoka częstotliwość tych propozycji. Zaczęłam być zła na Fig, że ciągle wymyśla mi nowe atrakcje, oraz na Cecie, że je komentuje. Koniec końców zaczęłam unikać nawet Ginger. Pewnego wieczoru, kiedy siedziałyśmy przy koloacji, Ginger powiedziała do Fig bardzo zniecierpliwionym głosem:

— Fig, nie chcę jeździć do apteki z Kate, a ona nie chce słuchać, jak gram *Ulice Laredo*. Wszyscy mają gdzieś twoje problemy, kto do kogo pasuje. Mogłabyś wreszcie z tym skończyć? O co ci chodzi?

Po tej rozmowie Fig zakończyła nagle swą kampanię Kate-Ginger. A ja zrozumiałam, że Cecie miała znowu rację.

— Przepraszam — powiedziałam. — To taka obrzydliwa wydra. Chciała też, abym pomyślała sobie, że możesz być zazdrosna o Ginger. Jak ci się wydaje, co ona sobie myślała? Że może ja i Ginger będziemy ze sobą chodzić czy co?

— A może myślała, że ja i ty już chodzimy ze sobą — stwierdziła chłodno Cecie. — I nie mogła tego znieść, więc ściągnęła tu biedną Ginger, aby robiła za kozła ofiarnego.

— O Boże! — powiedziałam i poczułam, że nabieram mocnych rumieńców. — Czasami myślę sobie, że resztę życia spędzę w cieniu Fig Newton.

— Nawet nie waż się tego mówić!

Przez całą zimę Ginger ostro walczyła o uzyskanie lepszych ocen, aby na początku wiosny móc być przyjęta do „Tri Omega”. Zrezygnowała nawet z nocnych randek i sesji gry w brydża i cały czas spędzała w bibliotece, czytelni lub w swoim pokoju, otoczona książkami. Miała bardzo niski ogólny poziom wiedzy, a w naszych książkach nie za wiele mogła znaleźć informacji o języku angielskim, socjologii czy wychowaniu obywatelskim. Poza tym nie była w stanie skupić się na dłużej niż na kilka minut. Dlatego też spotykałyśmy ją czasami całą zalaną łzami ze zdenerwowania i wskutek poczucia beznadziejności. Miała wtedy czerwoną opuchniętą twarz, wykrzywioną jak buzia rozkapryszonego dziecka. Dochodziła do tego jeszcze zmierzwiona, mokra od potu czupryna. Był to straszny widok. Serce nam pękało z żalu nad nią i z podziwu dla jej heroicznego wysiłku, by podnieść swój poziom wiedzy. Dlatego też Cecie, ja i Fig wymieniałyśmy się po kolei i doksztalałyśmy ją w każdej wolnej chwili od zakończenia ostatniej lekcji aż do późna w nocy.

Po ostatnim egzaminie w tym semestrze przysłała do nas do pokoju. Rozpierała ją radość.

— Chyba mi się udało! — krzyknęła już w drzwiach. — Na wszystkich egzaminach razem wziętych było może w sumie kilka pytań, na które nie znałam odpowiedzi. Chyba udało mi się uzyskać wystarczająco dobre oceny. I to wszystko właśnie wam zawdzięczam, i dlatego dzisiaj w nocy wszystkie spijemy się na umór.

Szczeka Fig opadła, a ja i Cecie spojrzaliśmy na siebie porozumiewawczo. Po pierwsze w Randolph picie alkoholu przez dziewczyny było karane aż do skreślenia z listy studentów łącznie. Ale z drugiej strony nie znałam dziewczyny, która nigdy nie wypłaby jednej lub dwóch puszek piwa na jakimś weekendowym przyjęciu u chłopaków. My z Cecie nigdy nie piłyśmy dużo. Fig nawet nie popróbowwała smaku napojów, które nazywała infantylnie „wysokowymi”, tak więc tylko ona była w naszym gronie pełną abstynentką. Było dość gorąco jak na marzec, a my byłyśmy już wykończone i pogodą, i egzaminami. Pomyślnie zakończona sesja Ginger była dla nas prawdziwym sukcesem.

— Dlaczego by nie? — powiedziała Cecie.

— No tak, dlaczego by nie? — powtórzyłam.

— Nie zamierzam robić niczego, przez co mogłabym zostać wyrzucona z „Tri Omega” — stwierdziła Fig. — Wy możecie się upić, jeśli tego chcecie, ale ja nie. Nie będę sobie psuć opinii.

Sprawa z Fig była więc definitywnie zakończona.

— No to nie traćmy czasu — ucieszyła się Cecie. I nagle dodała:
. — A gdzie pójdziemy się ululać?

— Wszystko już mam przygotowane — uśmiechnęła się tajemniczo Ginger. — Bo to spoczywa na dnie mojej torby z rzeczami do pralni. Jedna piąta litra ginu i tyle samo burbonu. Kupiłam też trochę żarcia w sklepie ABC w Montgomery. Pomyślałam sobie, że albo dzisiejszy dzień będzie jedną wielką imprezą, albo też będę się czuła, jakby mnie ktoś trzasnął obuchem. Dzięki wam wszystkim będziemy teraz miały nielichą imprezę.

— Kiedy?

— Po rozpoczęciu ciszy nocnej. I tu mam dla was następną niespodziankę. Zdobyłam klucze od drzwi na dach. Będziemy mogli wziąć poduszki i drinki i nikt nie będzie nas nawet słyszał.

— Ale skąd wzięłaś te klucze? — spytała Fig, której oczy wyraźnie zaokrągliły się z przerażenia. Klucz do jedynych drzwi, jakie prowadziły na wielki płaski dach „Tri Omega”, przechowywany był na wieszaku w pokoju naszej przełożonej. Wiele dziewczyn starało się zdobyć go podstępem, lecz do tej pory nikomu się to nie udało.

— Zdjęłam go z tego wieszaka w zeszłym tygodniu, kiedy tamta poszła po aspirynę dla mnie — powiedziała Ginger. — Powiedziałam jej, że cierpię na regularne skurcze. Zabrałam te klucze do miasta i dorobiłam takie same. Kiedy szefowa pojechała w niedzielę do Montgomery, odwiesiłam je na miejsce, ale przecież w kieszeni został mi drugi komplet. Tak więc niczego nie zauważyła.

Zaczęłyśmy się śmiać. Ginger była tak zadowolona z siebie, że w ogóle przestała zwracać uwagę na moralny aspekt sprawy. Jakiekolwiek miałyśmy wątpliwości, wszystkie rozwiały się w mgnieniu oka. Poza tym Ginger okazała się taka przedsiębiorcza, że na pewno zadbała o wszystkie szczegóły i nic nie mogło nam się stać.

— Masz przed sobą olśniewającą karierę w naruszaniu przepisów — zapewniłam ją. — Mogłabyś mordować z zimną krwią, lecz wyglądałabyś co najwyżej jak Huckleberry Finn podczas kradzieży jabłek. Żaden ziemski sąd nie będzie w stanie udowodnić ci winy.

Nagle Fig straciła cierpliwość i panowanie nad sobą.

— Wciągnęłyście mnie w to wszystko podstępem! — krzyknęła z prawdziwym oburzeniem. — Nie mogę już się doczekać, kiedy zobaczę pijaną Effie Lee. Na pewno będę miała o czym opowiadać wnukom.

— Do mnie nie miej pretensji — powiedziałam chłodno. — Na pewno nie zamierzam sprowadzać cię na złą drogę.

— Och, nie! Jeżeli TY to zrobisz, wszystko będzie okay — przyznała. — Oczekują tego widoku ze zniecierpliwieniem.

Tej nocy, kiedy w akademiku pogasły już wszystkie światła, zabrałyśmy swoje poduszki, koce, zamrożone butelki coca-coli i seven up oraz torbę z rzeczami do pralni. Starałyśmy się przemykać jak najciszej po schodach na dach. Jednakże jestem pewna, że gdyby nie to, iż wszyscy spali już jak zabici, wykończeni ostatnią sesją egzaminacyjną, mogliby nas usłyszeć, bo uciszałyśmy się nawzajem bardzo głośno i śmiałyśmy się, pobrzękując butelkami, które zawierały przecieź nie tylko napoje orzeźwiające. Mogłyśmy nawet być przez kogoś zauważone, ale jeśli nawet tak było, to nie wyniknęły z tego żadne konsekwencje. Mogę sobie jedynie wyobrazić, jak kuriozalnie wtedy wyglądałyśmy: cztery dziewczyny wystrojone w piżamy z krótkimi spodniami, z wątkami we włosach i maseczkami kosmetycznymi na twarzach. Siedziałyśmy w kucki i co chwila wybuchałyśmy niepohamowanym śmiechem. Choć na myśl, że jakaś niepowołana osoba może nas nakryć, ogarniało nas przerażenie, to jednak byłyśmy bardzo z siebie zadowolone i dopisywał nam szampański humor. Na wet \te raz, gdy to wspominam, uśmiecham się do siebie. Alan należy chyba do ludzi najśmieszniejszych na całym świecie, ale przy nim nigdy nie uśmiełam się tyle, co wtedy na dachu.

Rzeczywiście wyprawa ta skończyła się ogromnym kacem następnego dnia. Zresztą nie musiałyśmy dużo wypić, aby zaczął się nam urywać film. Leżałyśmy na ręcznikach i poduszkach rozłożonych na dachu obok chroniącej nas przed upadkiem drewnianej barierki. Tankowałyśmy równo. Powietrze nie było wiele chłodniejsze niż w pokoju, lecz miałyśmy wokół siebie nieograniczoną przestrzeń: byłyśmy na wysokości trzeciego piętra i mogłyśmy od góry podziwiać wierzchołki drzew, a od dołu — piękne gwiazdne niebo. Nawet dla trzeźwych ludzi byłby to widok niezapomniany i jedyny w swoim rodzaju. Pod nami całe miasteczko akademickie pogażone było w twardym śnie.

Wydaje mi się, że przyciszonymi i zapijaczonymi głosami śpiewałyśmy też jakieś piosenki. Akompaniowała nam Ginger na swojej gitarze. Nie ośmieliłyśmy się jednak śpiewać głośniej, chociaż byłoby wtedy o wiele zabawniej. Pamiętam też, że śmiałyśmy się, lecz zawsze zakrywałyśmy usta rękami, aby chociaż trochę stłumić owe nagłe wybuchy śmiechu. Fig charczała, prychała i pociągała swym wiecznie zatkanym nosem tak, że w pewnym momencie rzuciłyśmy się, aby ją uciszyć, co jednak spowodowało jeszcze większy wybuch śmiechu. W końcu zmęczyłyśmy się i ległyśmy na

plecach, podziwiając liczne gwiazdy na niebie. Alkohol działał na nas coraz silniej.

Rozmawialiśmy też o tym, co zamierzamy robić po ukończeniu szkoły. A właściwie tylko Cecie i ja poruszałyśmy ów problem w takiej ważnej chwili. O tej porze nocy i pod wpływem prawie dwóch butelek alkoholu nasze przyszłe kariery zawodowe jawiły się nam w niezwykle jasnych barwach, a całe dorosłe życie wydawało się takie proste. Ja będę projektować pokoje i meble, które potem będą opisywane w podręcznikach dekoracji wnętrz. Cecie zaś będzie broniła prawa, które zabezpieczy szybki rozwój i bogactwo dziesiątków pokoleń Amerykanów. Medale, nagrody, międzynarodowe uznanie — wydawało nam się, że wszystkie te miraży krążą wokół dachu „Tri Omega”, świecąc jak fajerwerki. Chwała z niebios zaczęła spływać prosto na nas. Oczy wypełniły się łzami rozrzewnienia i radości.

— Bardzo ważne jest, aby wykorzystywać swoje umiejętności i talenty dla dobra całej ludzkości — zapewniałam dziewczyny z powagą, nie zdając sobie sprawy z tego, że zaczynam bredzić.

— O tak, święta prawda — przyznała Fig zdławionym głosem. — Jak zawsze masz rację, Effie. Będę o tym pamiętać, nawet gdy zostanę już sławną pisarką. Będę wtedy pisała o rzeczach pięknych, wzniosłych i głębokich. A zacznę od tego, co powiedziałaś przed chwilą. W tym celu zaraz zapiszę to w pamiętniku.

Mówiąc to sięgnęła po pamiętnik, który leżał pod ręcznikiem.

— Jeśli w tym zeszycie zapiszesz chociaż jedno słowo, zrzucę go z dachu! — ostrzegła Ginger. Uśmiechała się. Leżała tyłem do nas i delektowała się coca-colą wzmocnioną burbonem. Jej jasne włosy wyglądały w ciemności dość dziwnie. Do tej pory nie przyłączyła się do rozmowy na temat naszych przyszłych karier zawodowych.

— A ty co będziesz robiła, kiedy skończysz tę szkołę, Ginger? — zapytała Cecie.

— Wrócę do Fowler i chyba będę uczyć w szkole — powiedziała. — Wyjdę za mąż. Będę miała dzieci. Nic nadzwyczajnego.

— No tak, zgadza się, ale bezpośrednio po skończeniu szkoły? — dopytywała Cecie. — Możesz wtedy zrobić, co tylko ci się spodoba. Możesz na przykład pojechać do Nowego Jorku wraz z Kate. Albo na rok do Europy. Jeśli już musisz uczyć cudze bachory, to możesz wstąpić do Korpusu Pokoju. Musisz przecież wykorzystać to życie, zanim osiądziesz gdzieś na stałe i założysz rodzinę. Świat musi się dowiedzieć, że istniejesz.

— Nie, to nie dla mnie — zaprzeczyła Ginger. — Nie jestem tak przebojowa jak ty, Kate czy Fig. Nie jestem chyba głupia, ale też nie

jestem niczym nadzwyczajnym, jeśli chodzi o zdolności. Rodzice zawsze mi to powtarzali. Ojciec śmiał się ze mnie, że całe życie będę potrzebowała kogoś, kto będzie mógł mnie utrzymywać. I chyba ma rację. Nawet nie miałabym takich ocen, jakie mam, gdyby was nie było.

— Głupia jesteś — powiedziałam. — Następnym razem sama się wszystkiego nauczysz. Kto niby miałby cię utrzymywać, jeśli będziesz sama na swoim?

— On nie przypuszcza, abym kiedykolwiek mogła sama się utrzymywać z własnej pracy — wyjaśniła Ginger. — Będzie musiał mi ktoś znaleźć. W Fowler jest mnóstwo chłopaków w moim wieku, w sam raz dla mnie. Niektórzy z nich są nawet całkiem, całkiem, więc nie powinno być z tym kłopotów. Poza tym przecież odziedziczę wszystkie fabryki.

W jej głosie nie było ani cienia dumy czy przechwałki. Mówiła jak zwykle miękko i równo. Ja natomiast już nigdy nie miałam takiej okazji do śmiechu jak tej nocy.

— Okropne! — prawie krzyknęła Cecie. — Zasługujesz na coś więcej niż takie życie, Ginger. Nie możesz pozwolić, aby ktoś tak decydował o twojej przyszłości. A to, czego ty chcesz, to się nie liczy?

— Chodzi o to, że prawdę mówiąc, nie ma już rzeczy, której bym chciała. To, czego mogłabym chcieć, już mam — powiedziała Ginger i nagle usłyszałyśmy w jej głosie jakąś dziwną nutkę. Był to smutek i coś, co można by określić jako strach.

Spojrzałam na nią, a ona posłała mi uśmiech. Oczy jej błyszczały, jakby były zażawione.

— Czasami wydaje mi się, że nie wytrzymam już tego — powiedziała. — Myślę sobie, że szkoła, wy i wspólny śmiech to najlepsze rzeczy na całym tym parszywym świecie. Naprawdę nie mogę myśleć o skończeniu tej szkoły.

— Przecież na razie masz jeszcze trochę czasu, zanim ją skończysz, więc nie masz co się przejmować — powiedziała jej, aby ją trochę uspokoić. Nie wyobrażam sobie, jak można w ten sposób myśleć o szkole. Dla mnie najlepszą rzeczą zawsze było to, co znajduje się za kolejnym zakrętem.

Przez chwilę leżałyśmy milcząc i spoglądając na gwiazdy nad nami. Na wzgórzu wznoszącym się obok budynku „Tri Omega” był park narodowy i jezioro Randolph. Było ono czarne i głębokie, a jego powierzchnia odbijała niebo, na którym Droga Mleczna skrzyła się gwiazdnym pyłem. Zza drzew wznosił się księżyc, płynąc po niebie jak płonący okręt z galernikami. Poczułam, że nagle oczy napełniają

mi się łzami. Byłam tak wzruszona tym widokiem. Serce biło mi bardzo mocno, znieruchomiałam, chłonąc piękno otaczającej mnie przyrody. Jednakże dopiero teraz, po wielu, wielu latach, widzę, jaką wielką wartość miały wtedy dla mnie sentymentalizm i romantyzm. Chciałabym przeżyć coś podobnego jeszcze raz.

— Bogu niech będą dzięki! — powiedziałam wzniosłym tonem, wskazując na zarysy drzew w parku. — Kiedy widzę coś takiego, zaczynam nawet wierzyć w sens religii.

— A ja nie — nie zgodziła się Fig. Jej głos stał się nagle odległy i zimny, a słowa były twarde i raniły jak strzały. Nigdy wcześniej nie słyszałam u niej takiego głosu. Wszystkie od razu na nią spojrzaliśmy.

— Zaczynam w nic nie wierzyć — powtórzyła desperacko. — Wręcz dostrzegam, że to wszystko stanowi jedno wielkie kłamstwo. Nie ma żadnego życia po śmierci. Popatrzcie na te wszystkie gwiazdy. Czy zdajecie sobie sprawę, że będą one świeciły jeszcze przez setki, miliony lat po tym, jak my wszystkie będziemy już dawno leżały w ziemi? No właśnie, spocznjemy w ziemi, w całkowitej ciemności, a te głupie gwiazdy nadal będą świeciły tak samo jak dzisiaj... A nam pozostanie już tylko ciemność... ciemność... ciemność. Nic. Takie czarne nic. Czarna ciemność na zawsze i nic więcej...

Milczałyśmy nie wiedząc, co powiedzieć. Nagle poczułam ogarniające mnie zimno. Chłód i próżnię. Podo mną otwierała się otchłań, złowroga jak zły wąż. Poczułam, że Cecie poruszyła się niepewnie.

— Po prostu ciemność — powtórzyła Fig.

Nagle Ginger zaczęła płakać. Płakała jak dziecko, z otwartymi i wykrzywionymi ustami. Jak zawsze przecierała oczy piąstkami.

— Nie chcę umierać — jęczała. — Nie chcę. O Boże! Nie chcę...

— I tak umrzesz — zapewniła ją Fig. — Umrzesz. Wszystkie twoje pieniądze nie uchronią cię przed śmiercią. I bardzo dobrze o tym wiesz.

— Nic nie wiem! — upierała się Ginger. — Nie muszę nic wiedzieć i nie wiem! Nie wiem!

— Ależ musisz. Wiesz o tym i zawsze będziesz wiedziała. Nie możesz tak po prostu nie wiedzieć.

— Zamknij się, Fig! — przerwała nagle Cecie. — Zamknij się, albo ja ciebie zamknę...

Przez moment Fig leżała nieruchomo. Oddychała ciężko i z trudem powstrzymywała napływające łzy. Nagle odwróciła się w kierunku brzegu dachu i zwymiotowała. W ciszy nocnej słyszałyśmy dokładnie, jak to wszystko spada na chodnik pod budynkiem.

Następnego dnia spałyśmy bardzo długo. Od chwili, kiedy obużyłyśmy się, znowu miałyśmy napady szaleńczego śmiechu. Bardzo ceremonialnie zaczęłyśmy zażywać aspirynę, by ulżyć naszym bolącym głowom. Wyglądało na to, że podczas snu zawarłyśmy porozumienie, że nie będziemy wspominać o smutnym zakończeniu naszej biby, i tak też się stało. Fig powróciła do swojego typowego charakteru i zachowania. Ginger też. Jednakże teraz wiedziałam coś nowego o Ginger. Wiedziałam, że jest taka jak ja, jak Cecie, że zna otchłan oraz że nigdy nie przyzna się do tego nawet przed samą sobą. Byłam pewna, że nawet umierając będzie nadal tym samym dobrym dzieckiem, dzieckiem, które zawsze było chronione przez innych przed poczuciem tej zdradliwej otchłani. Nie mogłam znieść owej świadomości, więc starałam się o tym zapomnieć. Jednakże nigdy mi się to w pełni nie udało.

Oceny wywieszono następnego dnia i oficjalnie potwierdziło się, że Ginger zdała wszystkie egzaminy, chociaż niektóre z nich z trudem. Wieczorem tuż po kolacji biłyśmy jej brawo na stojąco, gratulując niezaprzecznego sukcesu, a Ginger obcałowała i obściskała każdą z nas po kolei. Na zakończenie rozplakała się ze szczęścia.

— Chyba nigdy już nie będę taka szczęśliwa jak dzisiaj — powiedziała. — Chyba nawet w noc poślubną.

— Jak możesz tak mówić — zapytała Francine Powers. Wszystkie chrząknęłyśmy znacząco, gdyż nie tylko my byłyśmy zmęczone ustawicznymi i egzaltowanymi wypowiedziami Francine, która z dumą obnosiła się ze swymi zaręczynami z tym bubkiem z SAE, Gruntem.

— No cóż, mam już ów Czarny Akt za sobą — uśmiechnęła się do niej Ginger. — Natomiast nigdy wcześniej nie miałam takich ocen.

— Wierzysz jej, że naprawdę ma już ten pierwszy raz za sobą? — zapytałam później Cecie, kiedy leżałyśmy już w łóżkach.

— Chyba tak — odpowiedziała. — Wydaje mi się, że dla Ginger jest to mniej więcej to samo, co tańczenie do rana, spanie przez cały dzień czy jedzenie pizzy. Jest to przecież przyjemne i uszczęśliwia ją, więc dlaczego by nie?

— Czy naprawdę byś chciała, aby to i dla ciebie było takie proste?

— Zawsze wydawało mi się, że jeśli już kiedyś się na to zdecyduję, będzie to wyjątkowo proste i naturalne. Problem w tym, aby

znaleźć odpowiednią osobę, z którą rzeczywiście wszystko będzie proste. Jest to chyba jedyny warunek. Mogłabyś to zrobić z Gruntem?

— Może i tak, ale nie jestem pewna. „Raz, dwa, trzy i do widzenia, dziecinko”. Chodzi o to, że w ogóle nie wyobrażam sobie robienia tego z kimkolwiek.

— To zaczniesz sobie wyobrażać.

W piątek rozpoczynały się ferie wiosenne, a w czwartek wieczorem wpadła do nas Ginger i oświadczyła:

— Właśnie rozmawiałam ze swoim starym i powiedział, że w tym tygodniu otwiera dom w Nag's Head. Jeśli chcecie jechać tam ze mną, to przyśle Roberta, aby zawiózł nas tam samochodem, a potem odwiezie nas z powrotem pod koniec ferii. Proszę, jedźcie ze mną. Bardzo bym chciała pokazać ojcu, jakie wspaniałe mam koleżanki. Inaczej mi nie uwierzy.

Jeszcze zanim skończyła, odpowiedziałyśmy jej chórem, że oczywiście jedziemy wszystkie razem. Z odrazą myślałam o wyjeździe do domu w Santee i spędzeniu całych ferii w towarzystwie matki i jej znajomych. Cecie natomiast zawsze uwielbiała przygody, a Fig była tak zachwycona, że z radości mało co nie wyskoczyła ze skóry. Od razu zaczęła gadać o olejku do opalania, który trzeba będzie kupić, o kostiumie kąpielowym i o domkach letniskowych, aż Ginger powiedziała jej delikatnie, aby wreszcie przestała. Bardzo mi jej było żal, gdy widziałam, jak pakuje do torby różne niepotrzebne rzeczy, jakby nie miała pojęcia, co można robić w ferie wiosenne. Myślała chyba, że zapraszają ją do jakiegoś wspaniałego pałacu. Przecież nigdy nawet nie marzyła o czymś takim. Nagle opanowała mnie chęć ochraniać jej. Już widziałam w wyobraźni chłodne spojrzenie bogatej matki Ginger, gdy tylko zobaczy biedną Fig.

„Robert i samochód” okazali się przeogromnym cadillakiem kombi z dodatkowymi fotelami z tyłu, a nadto białym mężczyzną w średnim wieku, w czarnym garniturze i specjalnej czapce szofera. Cecie i Fig stały z rozdziawionymi buziami i przypatrywały się w osłupieniu, jak kładł nasze torby do bagażnika samochodu i kurtuazyjnie otwierał przed nami drzwi. Nawet ja zapomniałam języka w gębie. Wcześniej widywałam już takie samochody z szoferami, ale nie tutaj, w Randolph. Reszta dziewczyn stała na schodach wejściowych lub wyglądała przez okna, aby nie stracić ani chwili z tego niecodziennego widowiska. Ginger była cała w skowronkach, lecz pod licznymi piegami widać było, że aż poczerwieniała z wrażenia. Wszystkie wiedziałyśmy, że za fabrykami

w Fowler kryły się spore pieniądze, ale do tej pory żadna z nas nie miała pojęcia, ile tego dokładnie jest, a Ginger robiła wszystko, aby się spośród nas nie wyróżniać. Jej ubrania były już dość podniszczone i nie przywiozła ze sobą żadnego samochodu. Zapomniałyśmy już, że jej ojciec regularnie przysyłał ogromne sumy do Randolph i „Tri Omega”, ale teraz już na pewno nigdy o tym nie zapomnimy.

Robert przyjął do wiadomości nasze towarzystwo, na powitanie kiwnął tylko groźnie głową, tak że stałyśmy cicho jak trusie. Jednakże Ginger chichotała cały czas, gdy przyglądała się, jak pakuje nasze bagaże do samochodu.

— To prawdziwy wariat — powiedziała. — Kierowcą tatusia jest Woodrow, a Robert uważa, że wożenie dziewczyn takich jak my urąga jego godności. Zwykle pracuje w fabryce i nie zawsze umie się odpowiednio zachować.

— A gdzie jest Woodrow? — zapytała Cecie.

— No wiesz — stwierdziła Ginger — Woodrow jest Murzynem. Po drodze będziemy musiały gdzieś się zatrzymać na noc, więc lepiej będzie wyglądało... jeśli pojedzie z nami Robert. Ale on czuje się poniżony. Założę się, że przez całą drogę do Outer Banks nie powie do nas więcej niż pięć słów.

I rzeczywiście tak było. Świeża wiosenna zieleń w Alabamie, Georgii i Północnej Karolinie zaczęła się już rozwijać, a my przez całą drogę śmiałyśmy się, chichotałyśmy i gadałyśmy z przerwami na spanie. A Robert milczał cały czas jak niemowa. Zatrzymywał się dopiero wtedy, gdy poprosiła go o to Ginger. Mówiła, że jesteśmy już głodne i nie możemy czekać, aż skończy mu się benzyna, więc prosiła go, aby zatrzymał się na najbliższej stacji benzynowej.

Robił to, co mu kazała, bez żadnego komentarza. Czekał na nas w samochodzie, patrząc prosto przed siebie, podczas gdy my objadałyśmy się tabliczkami czekolady lub frytkami i popijałyśmy coca-cólę z puszek. Nigdy nie widziałam, aby coś jadł czy nawet wchodził do męskiej toalety.

Następnego dnia po południu przejechaliśmy przez niekończące się równiny Północnej Karoliny, przecięliśmy rzekę Albemarle, a potem Roanoke Sound w Manteo, po czym skręciliśmy w lewo, w wąską drogę prowadzącą wzdłuż wybrzeża. Oglądałyśmy małe zapuszczone domki, czasami jakieś sklepiki z marnymi pamiątkami czy podejrzane restauracje rybne. Po przeciwnej stronie drogi widać było ogromne wydmy, jakich nigdy do tej pory nie widziałam na Wschodnim Wybrzeżu. Były to prawdziwe góry piasku, wzbudzające

w mnie szczerzy podziw. Pokrywała je jedynie warstewka drobnej roślinności — nie było tam żadnych domostw ani bocznych dróg. Potem dojechaliśmy do pięknych domów letniskowych prześcigających się w luksusie i wyszukanej formie. Oceanu jednak nie było z drogi widać. Tak więc ów krajobraz wydał mi się całkowicie banalny i byłam nim niemile zaskoczona. Zawsze myślałam, że Outer Banks są ostoją prawdziwej dzikości i romantyzmu.

W pewnym momencie Robert skręcił w piaszczystą drogę i ruszył przez pas wydm w kierunku niewidocznego oceanu. Po raz pierwszy zobaczyliśmy piękne domy w Nag's Head. Było ich około trzydziestu — czterdziestu, stały obok siebie wzdłuż wydm i morza. Były ogromnych rozmiarów, poczerniałe od licznych deszczów i silnych wiatrów. Nigdzie nie było widać żadnych drzew czy większych roślin — istniały tylko te domy, piaszczysta plaża, morze i mewy. Większość z okolicznych willi miała po trzy — cztery piętra. Cały ten widok kojarzył mi się z czymś starym i powolnym. Czułam, że jakaś część mej istoty obudziła się nagle.

Robert podjechał pod jeden z ostatnich domów, a my wysiadłyśmy milcząc, przeciągając się i przyglądając otoczeniu. Był to duży dom w stylu wiktoriańskim, niemal czarny, z kilkoma wieżyczkami na dachu i ogromnymi oknami chronionymi przed silnym wiatrem ciężkimi drewnianymi okiennicami. Do tego trzeba dodać liczne bramy wjazdowe, kopuły, większe i mniejsze kominy, portyki i szare schody łączące poszczególne piętra. Dookoła rosły wysokie trawy wydmowe, mirty, ostrokrzewy i wawrzyny. Od oceanu odgradzały nas jedynie rzędy karłowatych sosenek rosnące na pograniczu wydm i plaży, tak że mogłyśmy wyraźnie słyszeć szum wody i krzyk mew. Ginger od razu podbiegła po drewnianych schodach do rodziców, którzy stali przed drzwiami wejściowymi, aby nas przywitać. Fig pobiegła za nią jak piesek za właścicielką. My natomiast, Cecie i ja, choć nie umawiałyśmy się, od razu ruszyłyśmy ku owym sosenkom i pobliskiej plaży.

Stanęłyśmy na wzniesieniu tuż za sosnami i spojrzałyśmy na szumiące poniżej morze. Drewniane schody prowadziły w dół, między marnymi roślinami wydmowymi, aż do złotego piasku nad samą wodą. Dokoła rosły jedynie trawy i mnóstwo roślin, których nawet nie potrafiłabym nazwać. Piasek na plaży był miękki i bardzo nagrany promieniami słońca. Z daleka przypominał bitą śmietankę, która stopniowo stawała się coraz bardziej wilgotna, aż przekształcała się w błyszczące lustro wody. Grzywiaste fale morskie rozbijały się miarowo o brzeg, lecz w ślad za nimi napływały

wciąż nowe i nowe. Tylko przy samym brzegu woda białała pianą — już kilka metrów dalej stawała się ciemnogranatowa, co oznaczało zwiększającą się głębokość. Na plaży nie było nikogo i żadne żagle nie przerywały ciągłości linii dalekiego horyzontu. Do naszych uszu dochodził jedynie szum rozbijanych fal i krzyk mew. Wiał chłodny wiatr od morza, lecz mimo że odwiewał nasze włosy do tyłu i tak czułyśmy mocne promienie słońca prażącego w plecy i szyję.

Postałyśmy tak przez chwilę nie odzywając się. Dopiero kiedy usłyszałyśmy, że Ginger nas woła, odwróciłyśmy się i poszłyśmy do domu. W pewnym momencie zatrzymałyśmy się ponownie. Zobaczyłyśmy ogromną przeszkloną ścianę domu. Nie było tu okiennic, aby nic nie przesłaniało wspaniałego widoku na morze. Okno to było wysokie chyba na dwa piętra, a przez nie zobaczyłyśmy równie ogromną ścianę z wielkim, stylizowanym kominkiem pośrodku. Podłoga z lakierowanego drewna nie była przykryta żadnym dywanem. Stało tam też kilka wielkich mebli, w tym ogromny stół obiadowy otoczony dookoła krzesłami. Wystrój wnętrza był prosty, lecz efekt zadziwiający. Symbolizował przestrzeń życiową, pobliskie morze i niebo. Architekt, który projektował ten salon, na pewno doskonale wiedział, jak uzyskać ów niezwykły efekt.

— Boże! — jęknęła z wrażenia Cecie. Pomyślałam, że zaczyna się modlić.

— Amen — odpowiedziałam i podeszłyśmy do domu przywitać się z rodzicami Ginger.

Jakiś czas potem Fig zdradziła mi, iż nie była w pełni zadowolona z tego domu.

— Chodzi mi o to, że oni nawet go nie pomalowali — stwierdziła. — Owszem, jest wielki, ale mając tyle pieniędzy, mogli zrobić z niego coś wspaniałego. Wyglądałby wtedy naprawdę bogato.

Dość dobrze znałam wielkie surowe domy letnie bogatych rodzin na północnym wschodzie i wiedziałam, dlaczego ta rezydencja wygląda tak samo. Już w chwili, gdy wstąpiłam na pierwszy schodek wiodący do domu, zakochałam się w tej budowli i zapragnęłam koniecznie mieć coś takiego, kiedy sama założę rodzinę. Nawet dzisiaj, gdy już mam ukochany dom nad samym morzem, około osiemset mil od tamtego domu w Outer Banks w Północnej Karolinie, nadal marzę o posiadłości Ginger Fowler. Wszystko mi się tam podobało: sam dom, dzika plaża, wydmy. Spokój tam panujący i samotność wkradły się we mnie raz na zawsze, a dzikość przyrody

całkowicie odpowiadała dzikości mojego serca. Ja, która nigdy dotąd nie znalazłam pod stopami skrawka trwałej ziemi, czułam się tam jakoś inaczej niż zwykle.

— Jeśli kiedykolwiek wyjdę za mąż, chciałabym spędzić tutaj miesiąc miodowy — powiedziałam, uśmiechając się do mamy Ginger, która właśnie podała mi rękę na przywitanie.

— Możesz tu mieszkać, jak długo tylko zechcesz, jeśli zgodzisz się, abym była świadkiem na twym ślubie — powiedziała Ginger bardzo radosnym tonem.

— Ja też! — zapiszczła Fig.

— To może urządzimy tutaj całe wesele? — zaproponowała pani Fowler i uśmiechnęła się do mnie.

— Sprawa załatwiona! — odparłam i wszystkie weszłyśmy do domu, gdzie pan Fowler przygotowywał już dla nas szaszłyki na obiad.

Późno w nocy, kiedy poszłyśmy już spać, rozpętał się niezwykle silny sztorm. Już przy obiadowym stole pan Fowler mówił, że będzie chyba burza, gdyż rano widział nad horyzontem zbierające się ciężkie, sztormowe chmury.

— Outer Banks to sztormowa stolica świata — powiedział bardzo autorytatywnym tonem. Jasne włosy, okrągła czerwona twarz, białe brwi i rzęsy, wąskie niebieskie oczy i swoiste poczucie humoru sprawiały, że był on powiększoną kopią Ginger. Dopiero teraz zrozumiałam, dlaczego Ginger pozostała takim słodkim, wyrośniętym dzieckiem. Bo taką właśnie Buck Fowler chciał mieć córeczkę. Wydaje mi się, że nie mogłabym być taka. Ale Cecie chyba tak...

— Tutaj, na wysokości Hatteras, spotykają się wody Prądu Zatokowego i Labradoru, co powoduje szybkie i gwałtowne zmiany pogody. Dlatego też obszar ten nazywany jest Cmentarzyskiem Atlantyku — zaczął wyjaśniać nam Buck Fowler. — Tu, w Hatteras i w Nag's Head zatoneło ponad pięćset statków. A wiecie, skąd się wzięła ta nazwa? Dawno, dawno temu miejscowi mieli brzydki zwyczaj przyczepiania latarek do ogonów i głów koni, które potem przeprowadzali tam i z powrotem po wydmach i po plaży, by zmylić będących na morzu marynarzy, że jest tu bezpieczny brzeg. Oمامieni żeglarze podpływali więc bliżej i łajby ich grzęzły na okolicznych mieliznach. Wtedy tubylcy wsiadali do małych, zwinnych łódek i jak szarańcza morska podpływali ze wszystkich stron. Grabili, co się dało, wybijając oczywiście marynarzy do nogi.

Zaczął się dziwnie śmiać, aż przeszedł mnie dreszcz. Wyobraziłam sobie czarne, wzburzone morze i statki sterczące na mieliznach

oraz rozlegające się w ciemności krzyki bezbronných marynarzy ograbianych ze wszystkiego przez bezwzględnych tubylców... Kiedy leżałyśmy już w łózkach przygotowanych dla nas przez panią Fowler w pokoju, którego okna wychodziły na ocean, zaczęłyśmy o tym rozmawiać. Światło było już zgaszone, więc srebrzysta tafla wody błyszcząca, nasuwając nam myśli o morzu w jakiejś piekielnej krainie.

— I co o nich myślisz? — zapytałam Cecie.

— Ona jest w porządku — powiedziała. — Ale on... On jest jakiś dziwny. Mam wrażenie, jakby bardzo chciał być wtedy razem z tymi piratami grabiącymi statki. Już na sam jego widok robi mi się zimno.

— Mnie też — przyznałam. — Biedna Ginger. Ale ten dom... Jak ci się podoba ten dom?

— Lepsze to niż rak — powiedziała Cecie i zaczęłyśmy się śmiać.

Wkrótce delikatny szum oceanu uspił nas i zapadłyśmy w głęboki sen.

Kilka godzin później obudził mnie potężny grzmot i w świetle błyskawicy zobaczyłam, że łóżko Cecie jest puste i nie ma jej w pokoju. Zanim jeszcze zdążyłam całkiem oprzytomnieć, byłam już przy drzwiach do naszego pokoju. Ogarnęło mnie przerażenie. Nie wiem, dlaczego tak się czułam, bo przecież najprawdopodobniej Cecie poszła po prostu do łazienki, która znajdowała się w końcu korytarza. Przeszłam więc bosą i w piżamie przez korytarz i zajrzałam przez uchylone drzwi do łazienki, ale nikogo tam nie było. Wyszłam więc z uspiętego domu na zewnątrz. Było bardzo ciemno i lał straszny deszcz. Nic nie mogłam dojrzeć, ale coś kazało mi iść dalej, więc poszłam w kierunku wydm i plaży. Nagle poczułam ogarniający mnie lęk.

Przyłożyłam ręce do ust, aby zawołać Cecie, i w tej samej chwili ogromna błyskawica rozświetliła niebo. Zauważyłam koleżankę. Stała w dole na plaży, po kolana we wzburzonych falach oceanu. Była całkiem naga. Jej małe, młode ciało wyraźnie odcinało się od czarnego otoczenia. Miała ręce wzniesione ku górze, ku niebu, a głowę odchyloną do tyłu, jakby chciała przyjąć na siebie wściekłość wiatru i siłę sztormu. W świetle ciągłych błyskawic obserwowałam, jak odprawia jakiś tajemny, pogański taniec, podskakując w wodzie, zanurzając się, okręcając w koło i machając w górze rękami. Nagle zanurzyła się w falach i znikła mi z pola widzenia.

Serce we mnie zamarło. Podbiegłam do morza, by ją ratować, jednakże po chwili jej czarna głowa ukazała się nad wodą zaledwie

kilka metrów ode mnie. Cecie płynęła wzdłuż brzegu, odwracając się z pleców na brzuch i z powrotem. Patrzyłam na nią jeszcze przez jakiś czas, potem odwróciłam się i skierowałam z powrotem do domu, by schować się w ciepłym łóżku. Serce waliło mi jak oszalałe, a przed oczami cały czas miałam obraz nagiej Cecie tańczącej w falach Atlantyku podczas strasznego sztormu. Do tej pory, po tylu latach od tego dnia, kiedy myślę o Cecie Rushton Hart, zawsze przypomina mi się ten jej pogański obrzęd, który odprawiała w czasie burzy w Nag's Head.

Odróciłam się do ściany i właśnie zasypiałam, kiedy weszła do pokoju. Słyszałam, jak przykrywa się kołdrą, i upłynęło jeszcze trochę czasu, zanim usłyszałam jej równy oddech, gdy usnęła. Wiedziałam, że nigdy nie będziemy o tym rozmawiać. Prędzej wypytałabym kogoś o to, jak spędził noc poślubną lub dlaczego przeszedł na inną wiarę, niż ją o ten taniec w czasie sztormu. Miałam jednak nadzieję, że kiedyś sama mi o tym opowie.

Ale kiedy następnego dnia rano pani Fowler powiedziała, iż wydawało się jej, że w czasie sztormu w środku nocy słyszała kogoś przy drzwiach wejściowych, Cecie stwierdziła: — To ja. Poszłam po swój kostium kąpielowy, który zostawiłam wieczorem na sznurku. Mam nadzieję, że pani nie przeszkodziłam.

— Ależ nie! — zaprzeczyła Regina Fowler. — Tylko że to była straszna burza, prawda? Chciałabym obejrzeć taki sztorm nad samym morzem. Czy któraś z was obudziła się i wyjrzała, co się działo za oknem?

— Ja nie — powiedziały Fig i Ginger razem. Cecie odwróciła się i spojrzała na mnie. Wiedziałam już, że ona wie, iż widziałam ją wtedy, gdy tańczyła na tej dzikiej plaży i pływała we wzburzonym morzu tak jak ją Pan Bóg stworzył.

— Obudziłam się, ale było zbyt ciemno, aby cokolwiek dojrzeć — powiedziałam po chwili.

Nigdy do tego nie nawiązała. Wydaje mi się, że od tego momentu zaczęłyśmy oddalać się od siebie coraz bardziej. Nadal nie wiedziałam, dlaczego tak się dzieje. Ona zawsze była dla mnie osobą pełną sekretów i obdarzoną wyjątkową intuicją. Może poczuła go, gdy czekał już na mnie, wyczuła woń Paula Sibleya jak zwierzę lub Indianin i od razu wiedziała, kim on się dla mnie stanie. Dlatego zaczęła mnie opuszczać, zanim ja ją opuszczę.

Kiedy wróciłam do Randolph na ostatni semestr drugiego roku, on już tam czekał, a potem nic już nie było tak jak dawniej...

Rozdział 6

Kilka razy widziałam go, zanim poznaliśmy się osobiście. Pierwszego dnia zajęć w semestrze wiosennym przyszedł na te okropne zajęcia Louisa Cooneya o światowych trendach współczesnego projektowania wewnątrz w kwadrans po rozpoczęciu i najwyraźniej się tym nie przejmował. Wszystkim zapało dech w piersiach nie tylko ze względu na jego bezczelność, lecz także wyjątkowy wygląd. I jedno, i drugie było godne pozazdroszczenia.

Nikt nigdy nie spóźniał się na zajęcia Louisa Cooneya bez bardzo ważnego powodu, a już absolutnie wykluczone było, żeby się to mogło powtórzyć. Cooney był niskim, drobnym i bezczelnym pedałem, który karał studentów za niezauważanie go, a studentki — za bycie dla niego konkurencją. Nikt nie uchronił się ani przed jego ciętym językiem, ani przed surowym systemem oceniania prac. Zawsze wydawało mi się, że właśnie mnie najbardziej nie lubił ze wszystkich studentek i najwięcej złościwości adresował do mnie. W zeszłym semestrze, kiedy prowadził u nas kurs z architektury przemysłowej, jego sarkazm i nienawiść w stosunku do mnie stały się przysłowiowe i powstało wiele dowcipów na ten temat. Skoro nie mogłam uciec z jego zajęć, jeśli chciałam kiedykolwiek skończyć tę szkołę, a zwracanie na siebie w jakikolwiek sposób uwagi było dla mnie niemalże równoznaczne z samobójstwem, siedziałam cicho jak trusia w ostatniej ławce i nie wychylałam się z niczym. Tak więc, kiedy ów nowy przybysz wkroczył dostojnym krokiem piętnaście minut po rozpoczęciu zajęć, nawet bez najmniejszej zadyszki wskazującej na pośpiech, całym sercem byłam po jego stronie i czekałam na to, co niewątpliwie zacznie się za chwilę.

— A cóż to my widzimy? Śpiesz się powoli, jak mawiali Grecy, czyż nie tak? Czy może mam przyjemność z samym Siedzącym Bykiem? — zapytał jak zwykle sarkastycznie Louis Cooney.

Znów wszyscy wstrzymali oddech. Młody mężczyzna, który właśnie wszedł na salę, rzeczywiście wyglądał jak Indianin, choć nie był to typ czerwonoskórego, który został wyidealizowany przez Frederica Remingtona. Był wysoki i wyglądał na jeszcze wyższego, gdyż nosił się bardzo sztywno. Jego twarz była ciemna, lecz nie tylko za sprawą opalenizny. Miał duży orli nos, ciemne oczy, głęboko osadzone pod jeszcze ciemniejszymi brwiami, oraz czarne, całkowicie proste włosy, opadające mu bujnie na wysokie czoło. Już sama jego obecność wydawała się rozjaśniać atmosferę, a poczucie spokoju promieniowało zeń z nieprzepartą siłą. Zatrzymał się w drzwiach i spojrzął na Louisa Cooneya. Ręce miał luźno opuszczone i kojarzył mi się ze zwierzęciem, które odpoczywa, lecz zarazem daje baczenie na wszystko, co dzieje się dookoła. Milczał.

— Czy masz może jakieś imię, czy też mamy cię nazywać Wariatem? — zapytał Louis Cooney. Poczzerwieniał na twarzy i zauważyłam, że był bardzo zdenerwowany. Zazwyczaj nie zadawał takich pytań.

— Paul Sibley — chłopak wydał mi się starszy od nas wszystkich co najmniej o pięć lat. — Ale Wariat też może być. A czy ja mogę nazywać pana Białe Oczy?

Spojrzał z anielskim uśmiechem na Louisa Cooneya. Jego głos był głęboki i powolny. Nie było w nim nic chłopięcego. W jego mowie słychać było bardzo lekki, prawie niezauważalny obcy akcent. Miał bardzo białe zęby. Poczułam, że się duszę, i dopiero wtedy zorientowałam się, że zaparło mi dech w piersi. Odetchnęłam głęboko.

— Proszę usiąść, panie Sibley. Ma pan już ocenę za ten kurs obniżoną o jeden stopień. Będziesz siedział na moich zajęciach jak trusia i nie będziesz się już zachowywał jak *cochon*.

Louis Cooney studiował we Francji i nigdy nikomu nie pozwolił o tym zapomnieć.

Paul Sibley uśmiechnął się.

— *Tout les hommes sont des cochons, non?* — odpowiedział płynną francuszczyzną.

Cała grupa wybuchnęła śmiechem. Nikt z nas nie rozumiał francuskiego, ale domyśleliśmy się sensu z tonu, w jakim zostało powiedziane to zdanie.

— A teraz i całej grupie obniżam ocenę na zakończenie roku — warknął Cooney i śmiech od razu ustał. Jednakże nasze oczy wciąż

jeszcze skrzyły się radośnie, podczas gdy Paul Sibley usiadł niedbale w pierwszej wolnej ławce. Do końca pierwszego wykładu każdy od czasu do czasu spoglądał na niego ukradkiem. Ja praktycznie nie spuszczałam z niego wzroku. Jakoś nie mogłam się od niego odebrać ani zapanować nad przyspieszonym biciem serca. Nigdy dotąd nie patrzyłam na nikogo w taki sposób.

— O co w tym wszystkim chodzi? — zapytałam więc Janellen French, która po wykładach zajęła się przyjmowaniem nowych studentów i kierowaniem ich do przydzielonych im akademików. Dlatego też, jeśli ktokolwiek znał odpowiedź na moje pytanie, to tylko Janellen.

Nie musiałam nawet jej mówić, o kogo mi idzie. Kilka innych dziewczyn wyprzedziło mnie i otoczyło ją zwartym kręgiem, dopytując o to samo. Janellen stała się nagle bardzo ważna.

— Przenieśli go z Północnej Karoliny z wydziału architektury — powiedziała. — Musi być dobry, bo nigdy nie widziałam tak wysokich ocen. Nie mieszka w miasteczku akademickim, lecz przy ulicy Scofield. Jest tutaj na G.I. Bill i ma stypendium McCandlessa. Jako miejsce urodzenia podaje Miami, lecz cały czas mieszkał we Francji i przez cztery lata był nawet we francuskiej armii, dopiero potem przyjechał do Północnej Karoliny. Nie ma żadnych bliskich krewnych. Przydzielono mu pokój i wyżywienie w jednym z akademików, ale odmówił. Sam opłaca sobie swoje mieszkanie, lecz chyba jest bardzo biedny.

— Och Boże, Janellen, a nie wiesz, jaki nosi numer butów? Jaki kolor najbardziej lubi? — zapytałam. Nie wiem, dlaczego jej informacje tak mi się nie spodobały. Przecież sama o to wypytywałam.

— Nie udawaj, że nie przeczytałaś informacji o nim na tablicy ogłoszeń, jeszcze zanim go zobaczyłaś — powiedziała uszczypliwie. — Jesteś już piątą dziewczyną, która się o niego dopytuje, a to dopiero pierwszy dzień zajęć. I popatrz na swoją twarz: jesteś czerwona jak burak!

Za sprawą żaru, jaki palił mi policzki, wiedziałam, że to prawda. Szybko wyszłam z pokoju i udałam się na następne zajęcia. Obraz jego ciemnej twarzy i dźwięk jego dojrzałego głosu nękał mnie przez resztę tego dnia, a także kiedy się obudziłam następnego ranka.

Myślałam, że poznam go w sposób najbardziej naturalny, to jest podczas zajęć z projektowania, lecz wkrótce okazało się, że nie jest zainteresowany poznawaniem kogokolwiek z nas. Nie był

niegrzeczny — po prostu trzymał się na dystans od wszystkich. Gdy wchodziłam do sali, on siedział już na swoim miejscu i pograżony był w notatkach. Po zakończeniu zajęć wychodził bez słowa pierwszy. Zawsze chodził powoli, dostojnie. Cooney nie odzywał się już do niego ani też nie wywoływał go do odpowiedzi.

Często widywałam go po zajęciach, ale on nigdy mnie nie dostrzegał. Mogę przysiąc, że tak było. Dwa razy widziałam go po południu w kawiarni Harry'ego, jak popijał kawę i coś czytał. Zaczęłam więc być stałą bywalczynią tej knajpy, lecz nie bywał tutaj ani o stałej porze, ani w określone dni. Za każdym razem był w czymś, co można by określić jako mundur: dokładnie zaprasowane spodnie, koszula z podwiniętymi rękawami i białe adidasy założone na bosc stopy. Nie zwracał uwagi na liczne spojrzenia kierowane w jego stronę. W końcu nie tylko ja byłam pod wrażeniem jego obecności.

Czasami widziałam go też w laboratorium na trzecim piętrze McCandlessa, lecz skoro wydział wystroju wewnątrz był na pierwszym piętrze, głupio mi było łązić na trzecie piętro bez wyraźnego celu. Kiedyś widziałam go nawet, gdy szedł do pralni przy uniwersytecie. Pod pachą niósł torbę z bielizną do prania. Nagle ogarnęła mnie fala dziwnego gorąca, gdy tylko pomyślałam o jego ubraniach złożonych w tej torbie, które były przecież czymś tak bliskim jego śniademu ciastu. Poczzerwieniałam na twarzy, aż Charlie Boyd, który miał stolik obok mnie, zapytał dobrodusznie:

— Dobrze się czujesz?

— Tak — odparłam. — Trochę tu tylko za gorąco.

Zaczęłam więc szukać wymówek, by przynajmniej raz dziennie jeździć na Scofield. Cecie oczywiście nie omieszkała wyrazić swego zniecierpliwienia.

— Dlaczego jedziesz tą drogą? — zapytała, gdy udałyśmy się na lody do Dairyland ulicą Scofield.

— A czemu by nie? Nigdy tędy nie jechałyśmy — odparłam.

— Nikt tędy nie jeździ, o ile nie ma takiej potrzeby — powiedziała. Scofield to nielubiana uliczka z biednymi domami po obydwu stronach i garażami, z których część zamieniona została na mieszkania wynajmowane studentom. Wiedziałam, że Paul Sibley mieszka w jednym z takich garaży.

— Po prostu jestem już zmęczona ulicą College — powiedziałam.

— W końcu to ty prowadzisz — Cecie zakończyła rozmowę.

Już w czwartek pierwszego tygodnia zauważyłam, jak wychodził z jednego z mieszkań garażowych, i serce od razu podskoczyło

mi do gardła, jakbym zobaczyła nagle atakującego mnie lwa lub ścianę ognia wokół. Było to mieszkanie numer 43. Więcej nie pojawiałam się w tamtej okolicy, gdyż wstydziłam się swego dziwnego zachowania, a poza tym dowiedziałam się przecież tego, czego chciałam.

Rozmowy o nim należały do najnowszej mody w McCandless Hall. Wszyscy byli nim oczarowani, jak gdyby nosił czarny płaszcz i melonik. Słyszałam, że miał najlepsze oceny z architektury w całym stanie Północnej Karoliny oraz że dwie z jego prac studenckich zostały już wykorzystane na prawdziwych budowach. Podobno w Paryżu wygrał nawet międzynarodowy konkurs architektoniczny, dzięki któremu miał zapewnioną pracę w Nowym Jorku w słynnej firmie McKima, Meada i White'a, gdy tylko ukończy wydział architektury, pod warunkiem, że będzie to na uniwersytecie w USA. Przeniósł się do Randolph, gdyż uczelnia ta znana była ze wspaniałych wykładowców i osiągnięć w zakresie architektury i inżynierii. Jednakże w rozmowie kwalifikacyjnej podobno stwierdził, iż ma takie umiejętności i wiadomości, że nie potrzebuje już nauczycieli. Był rzeczywiście bardzo biedny i w dodatku był Metysem. W dzieciństwie okazał się najlepszym biegaczem w wyścigach Harley Davidson, a potem uprawiał we Francji kolarstwo.

Był już wdowcem. Na początku służby wojskowej ożenił się z Francuzką z Orleanu, lecz wkrótce potem dziewczyna zmarła wskutek upadku z roweru, na którym razem jechali. Nigdy więcej nie powrócił do kolarstwa ani też nigdy o niej nie wspominał. Nie mieli dzieci.

Nikt jednak nie wiedział, na ile te opowieści są prawdziwe ani skąd się wzięły. Studenci zawsze wymyślają niestworzone historie, więc równie dobrze wszystko to mogło być jedynie czczym wymysłem wybujałych wyobraźni. Jednakże jakoś w to wszystko uwierzyłam. Kiedyś przeczytałam „The Fountainhead” (co zresztą na architekturze jest obowiązkową lekturą) i kiedy patrzyłam na Paula Sibleya, widziałam Howarda Roarka. W dniu, w którym dowiedziałam się o jego francuskiej żonie i o wypadku, całą duszą należałam już do niego.

Raz w tygodniu, w środy, Louis Cooney zgadzał się, aby pod koniec jego zajęć ogłaszać informacje o różnych wystawach, pokazach etc, które miały być organizowane w najbliższym czasie, a które dotyczyły w sposób pośredni lub bezpośredni sfery zainteresowań studentów architektury. Skoro w tym semestrze byłam przewodniczącą wydziału architektury do spraw specjalnych uroczystości i wydarzeń, byłam zobowiązana do zapowiadania stosownych filmów

czy pokazów. Zawsze już na kilka dni wcześniej denerwowałam się z powodu konieczności wyjścia przed całą grupę i Cooneya. Nie było sposobu, aby uniknąć jego ciętych uwag. Tym razem miałam zaprezentować film o Musorgskim *Obrazki z wystawy* nie tylko przed Cooneyem i całą grupą, lecz także przed ciemnookim Metysem, Paulem Sibleyem.

Ale przynajmniej mnie wreszcie spostrzeże. Będzie musiał. Nie uniknie tego, czy chce, czy nie chce. We wtorek wieczorem (dzień przed ogłoszeniem informacji o tym filmie) umyłam głowę, polakierowałam paznokcie i zaaplikowałam sobie na twarz maseczkę z surowego jajka. Wstałam wcześniej rano, zaplotłam sobie francuski warkocz i bardzo dokładnie się umalowałam (jeszcze dokładniej niż wtedy, kiedy wychodziłam na randki). Założyłam czarny kaszmirowy sweter i do tego s.rarą tweedową spódnicę od Jaegera, którą dostałam od ojca pod choinkę. Spojrzałam na śpiącą Cecie i w ostatniej chwili zdecydowałam się założyć jeszcze sznur pereł — prezent od ojca na zakończenie szkoły średniej. Szybko wyszłam z pokoju, gdyż nie chciałam budzić Cecie, a poza tym wolałam, aby mnie nie widziała tak wystrojonej. Nie wiem dlaczego. Jednakże gdy zamknęłam za sobą drzwi i szłam korytarzem, poczułam nagłe wyrzuty sumienia, które zawsze w stosunku do niej czułam.

Podczas zajęć serce waliło mi jak młot, a w ustach miałam zupełnie sucho. Cały czas powtarzałam w myśli treść mojego wystąpienia. Kiedy nadszedł wreszcie stosowny czas, Louis Cooney powiedział: — Wydaje mi się, że nasza niezrównana pani Lee ma nam do zaproponowania trochę kultury.

Gdy wstałam z miejsca, kręciło mi się w głowie i nic nie widziałam. Nie potrafiłam nawet wymówić poprawnie nazwiska Musorgskiego. Powiedziałam jedynie coś zbliżonego... jakiś Muzurski czy coś podobnego. Stałam tam na środku sali jak otępiała i nie wiedziałam, co się wokół mnie dzieje.

— W każdym razie zapraszam was — wymamrotałam. — Jest to dobry film i na pewno wam się spodoba.

Wszyscy się śmiali, ale chociaż wiedziałam, że nie jest to w żadnym wypadku śmiech złośliwy, wróciłam na swoje miejsce i od razu spuściłam wzrok na zeszyty z notatkami. Czułam się całkowicie poniżona. Całe moje ciało stało jak gdyby w płomieniach. Czułam łzy wstydu gromadzące się w oczach i bezmyślnie czekałam, co powie teraz Louis Cooney, który odezwał się w końcu tonem wariata:

— No, panno Lee. Rzeczywiście Muzurski. Och, nie, nie, nie! Nie należy to w końcu do twoich głównych zainteresowań,

w przeciwieństwie do wspaniałych pereł rodzinnych. Proponowałabym ci, abys zainwestowała trochę twych pieniędzy na zakup jakiegoś dobrego słownika, a nie takich pereł.

Studenci zachichotali niepewnie, a ja razem z nimi. Zachowałam się jak idiotka. Zaraz po zajęciach pobiegłam do toalety damskiej, w której zamknęłam się na zasuwkę i kilka razy spuściłam wodę. Płakałam przy tym rzewnymi łzami. W końcu włożyłam sznur pereł do torby, rozpuściłam włosy i udałam się do Harry'ego. Nie miałam zamiaru iść na następne zajęcia. Wszyscy pewnie siedzieli w laboratorium i ciężko pracowali. Nie groziło mi więc, że spotkam tam kogokolwiek z grupy. Kupiłam kawę i usiadłam przy jednym ze stolików obok szafy grającej. Wrzuciłam monetę i kiedy popłynęły tony muzyki, skupiłam całą swą uwagę na gorącej kawie. Usiłowałam ochłonać trochę z ostatnich wrażeń, aż w końcu mi się to udało. Nie wiem dokładnie, jak długo tak siedziałam.

Nie słyszałam żadnego dźwięku, ale w pewnym momencie spojrzałam przed siebie i zobaczyłam Go. Usiadł przy moim stoliku, dokładnie naprzeciwko mnie. Był poważny, lecz kiedy popatrzyłam na Niego, uśmiechnął się. Moje usta same ułożyły się w czarujący uśmiech.

— Powiedziałem Harry'emu, że stawiasz — rzekł, wskazując na swoją filiżankę kawy. — Skoro jesteś tak bogata, to możesz mi postawić, no nie?

— Nie jestem bogata — zaprzeczyłam. Zorientowałam się, że bardzo trudno jest mi coś z siebie wydusić. — Zabiłabym za to Cooneya.

— Zapomnij o nim. Jest pedałem i to w dodatku stukniętym — powiedział. — Chciałby wyglądać tak jak ty, lecz skoro nie może, to będzie cię za to karał. Ale nic nie wskóra, jeśli mu nie pozwolisz.

— Jak niby mogę mu nie pozwolić?

— Nie zwracaj na niego uwagi. I nie przejmuj się tym, co on pieprzy.

Sama używałam tego słowa, gdy rozmawiałam z Cecie, ale nie byłam przyzwyczajona do słuchania go z ust mężczyzn. Poczułam, jak moje policzki znowu stają się czerwone. Jego twarz natychmiast rozpromieniła się uśmiechem.

— Przepraszam — powiedział. — Zapomniałem się. Wy, skromne, bogate dziewczynki, nie jesteście przyzwyczajone do tego typu słownictwa. Chociaż muszę przyznać, że rumieniec bardzo mi się podoba. Czy rumieniec także dziedziczy się razem z perłami rodzinnymi?

— To są sztuczne perły — wybełkotałam. Byłam zaskoczona jego nagłym pojawieniem się i tą rozmową, ale jednocześnie czułam się zawiedziona. „Proszę, nie bądź taki”, zaklinałam go w myślach.

— Ach, tak — stwierdził. — Posłuchaj, nie interesuje mnie, czy masz pieniądze czy nie. Chociaż trzeba przyznać, że miło jest je mieć. Możesz wtedy codziennie fundować sobie kawę, chodzić do kina czy na pizzę. Jeśli o mnie chodzi, to cały mój majątek składa się z dwóch par koszulek sportowych w kolorze khaki, trzech normalnych koszul i jednej pary adidasów. Ale nie wybrałem ciebie ze względu na zawartość twojej kieszeni.

— Wybrałeś mnie? — zapytałam zdumiona. Z trudnością łapałam powietrze i znowu serce zaczęło mi walić jak młot. Byłam przerażona, że może to usłyszysz.

— Tak.

— Dlaczego?

— Bo mi się podobaś — powiedział Paul Sibley. — Podoba mi się twój sposób mówienia oraz to, że nie chichoczesz jak inne dziewczyny. Poza tym jesteś utalentowana — widziałem na biurku twoje prace. Wiem, że umiesz poprawnie wymówić nazwisko Musorgskiego i nieważne, co ten dupek o tobie gada. Nie jesteś jak wszystkie inne dziewczyny.

— Co przez to rozumiesz? — zapytałam niepewnym tonem. Wpatrywałam się w niego jak zahipnotyzowany ptaszek w węża. W pewnej chwili zauważyłam, że miał chyba kiedyś złamany nos.

— Jesteś po prostu inna. Na pewno doskonale o tym wiesz. Ja też jestem inny. Pomyślałem więc sobie, że może razem będziemy mogli być inni od pozostałych?

— Zawsze tak zaczynasz z dziewczynami? — zapytałam, gdyż nic mądrzejszego nie przyszło mi wtedy do głowy.

— Nie — odparł. — Do tej pory zdarzyło się to tylko raz.

Wiedziałam, że miał na myśli dziewczynę, z którą się ożenił we Francji, więc nic nie odpowiedziałam. Nie wiedziałam zresztą, co mu powiedzieć. Kiedy milczenie między nami stało sienie do zniesienia, zdecydowałam się przerwać je i powiedzieć:

— Muszę już iść. — Wstałam. Popatrzył na mnie i nic nie powiedział. Odwróciłam się więc i poszłam w kierunku drzwi.

— Do zobaczenia jutro! — krzyknął za mną. Kiwnęłam twierdząco głową, ale nie odwróciłam się. Ogarnęła mnie radość i wiedziałam, że jeszcze trochę, a zwiariuję na jego punkcie.

— Hej! Kate! — zawołał jeszcze raz. Odwróciłam się. — Nie zapomnij zapłacić za moją kawę!

Zapłaciłam za kawę i wyszłam na ulicę. Śmiałam się i na przemian płakałam z radości. Nie pamiętam, jak dojechałam swym MG do akademika.

Siedziałam w pokoju po ciemku, kiedy weszła Cecie.

— Co się stało? — zapytała, od razu widząc we mnie zmianę.

Nie odwróciłam się do niej. Nie mogłam. Nie chciałam rozmawiać i bałam się nawet wypowiedzieć jedno słowo, ale w końcu odezwałam się:

— Spotkałam kogoś.

Zamilkła na chwilę, która wydawała mi się całą wiecznością.

— Och, Katie! — powiedziała. — Och, Katie!

I tak się wszystko zaczęło. Wiosna ta przyniosła mi głęboki ból tęsknoty i pożądania, łzy i śmiech, marzenia i przestroch. Oczywiście z powodu śniadego ciała i twarzy Paula Sibleya. Narodziło się we mnie coś nowego. Nie każdy przechodzi w życiu taki okres i do tej pory myślałam, że nigdy mnie to nie będzie dotyczyło. Widziałam siebie zawsze jako Kate, dorastającą dziewczynę przebywającą w różnych szkołach i na wakacjach. Jednakże teraz odezwała się we mnie prawdziwa kobieta, której do tej pory nie znałam, a której byłam jednocześnie niezmiernie wdzięczna, że się pojawiła, chociaż bardzo jej się bałam. Miała ogromny apetyt i silne reakcje nie skrępowane żadnymi granicami.

Od samego początku znajomości pragnęłam go fizycznie, gwałtownie i nawet dziko. Siedziałam naprzeciwko niego w kawiarni lub obok niego przy desce do projektowania i robiło mi się tak słabo, że prawie byłam chora. Marzyłam, aby mnie dotknął. Każdym całem odsłoniętej skóry na rękach, nogach i na twarzy czułam buchające od niego ciepło. Tak bardzo chciałam, by mnie dotknął, że kręciło mi się w głowie i cały czas miałam wypieki. W sekretnych miejscach schowanych pod ubraniem uczucie to było tak silne i dziwne, że bałam się, aby nikt tego po mnie nie poznał. Nigdy dotychczas czegoś takiego nie doznawałam.

Pamiętam, jak mówiłam Cecie, że „nie wyobrażam sobie, abym mogła to robić z kimkolwiek”, na co ona odpowiedziała mi chłodno: „jeśli będzie to ktoś odpowiedni, to wszystko będzie w porządku”. Więc teraz znalazłam już tego kogoś. Chciałabym powiedzieć Cecie, że miała wtedy rację, ale chyba prędzej bym umarła, niżbym miała

o tym z kimś rozmawiać. Nawet z Cecie — przede wszystkim z nią. Uczucie to tkwiło w każdym skrawku ziemi i ciała. Każdego dnia, począwszy od tej pierwszej środy, gdy siedziałam z Pauliem w kawiarni, rozmawialiśmy ze sobą i słuchaliśmy się nawzajem z uwagą. Nie mogłam zapanować nad swoimi cielesnymi doznaniem i mam wrażenie, że nawet gdyby dotknął mojej dłoni, podskoczyłabym jak oparzona rozżarzoną węglem.

Ale nie zrobił tego. Nie uczynił żadnego kroku, jeśli nie liczyć delikatnych aluzji, że może i chciałby to kiedyś zrobić. Uśmiechał się do mnie, żartował, czasami nawet głośno śmiał się ze mnie, zadawał mi osobiste pytania i słuchał moich odpowiedzi. Jednak głównie mówił on, a ja słuchałam. Rozmawialiśmy wtedy przede wszystkim o architekturze, o tym, co ona dla niego oznaczała, co chciał osiągnąć. Nawet mi przez myśl nie przeszło, że to, co mi wtedy powiedział, mogłoby się nie spełnić w przyszłości. Wszystko, co mówił, wydawało mi się takie realne. Był wyjątkowo utalentowany, bardzo zdyscyplinowany i po uszy zakochany w architekturze niczym w kobiecie. Jego rysunki i projekty porzucane po biurku w pracowni kreślarskiej były jak prawdziwe budowle z kamienia i stali, od dawna już służące ludziom. Byłam więc zazdrosna o jego pracę. Chciałam, aby on cały należał do mnie.

Paul zamierzał specjalizować się w projektowaniu domów mieszkalnych. Chciał tylko tyle.

— Nie chcę projektować fabryk jedzenia dla kotów czy wytwórni frytek. Ani nawet szpitali, gdzie ludzie przychodzą, aby się wyleczyć, lecz najczęściej umierają. Nie mam też zamiaru zajmować się budynkami urzędów, w których jedne dupki będą ustanawiać przepisy dla innych dupków — powiedział mi kiedyś. — Chcę po prostu robić domy, gdzie ludzie będą mieszkali, gdzie jedyne ważne zasady będą moimi własnymi zasadami.

— A co z ludźmi, którzy mają tam mieszkać?

— Ich zasady będą takie same jak moje, albo nie będą mnie oni zatrudniać, a ja nie będę dla nich pracował.

— Ty naprawdę mówisz jak Howard Roark — powiedziałam, gdyż dobrze wiedziałam, że czytał tę książkę.

— On też był dupkiem — powiedział Paul.

— Nie, nie był! Niby dlaczego? — krzyknęłam z oburzeniem na taką herezję. Nigdy nie słyszałam, aby student architektury wyrażał się o nim w taki sposób.

— Bo schrzanił swoją własną robotę — powiedział. — Żaden prawdziwy architekt tak by nie postąpił.

— Chciał się po prostu... odgradzić od idiotów.
— Lepiej już ich powystrzelać — stwierdził Paul.
— Będzie ci chyba trudno w McKimie, Meadzie i White, jeśli rzeczywiście masz takie poglądy — ostrzegłam go. — Nie będzie ich interesowało, dlaczego nie chcesz projektować fabryki pożywienia dla kotów lub dlaczego nazywasz swoich klientów idiotami czy dupkami. Albo jeszcze lepiej... jeśli zechcesz ich wszystkich powystrzelać.

— Wiem o tym — przyznał mi trzeźwo. — Nie wiem jednak, co z tym fantem zrobić. Nie wiem w ogóle, czy uda mi się to jakoś załatwić. Gdyby był na świecie jakiś sposób, abym mógł od razu przejść do swojej praktyki zawodowej zgodnej ze specjalizacją, byłbym bardzo zadowolony. Jednakże nie wydaje mi się, aby było to możliwe. McKim był najlepszą firmą, jaka zgodziła się na mnie. Tak więc spędzę tam absolutne minimum koniecznego czasu i jak tylko to będzie możliwe, przejdę na prywatną praktykę. Ale, Chryste, będzie to trwało całe lata...!

— Paul, jest to przecież najlepsza na świecie firma — powiedziałam. — Moi znajomi oddaliby wszystko, aby móc tam pracować. Ja również.

— A mogłabyś się tam dostać — przyznał. — Jesteś dość dobra. Przecież oni mają między innymi dział projektowania wnętrza, który jest chyba największy w całym kraju. Może zabiorę cię tam, kiedy się do nich przeniosę. To niezły pomysł. Przemysł to. Może będzie ci się tam dobrze pracowało.

Zaskoczyło mnie trochę, gdy dał do zrozumienia, że może będę potrzebowała jego wstawiennictwa, kiedy będę starała się o pracę w firmie McKim, Mead i White. Miał chyba w tym trochę racji. Przecież co roku firma ta jest zasypywana podaniami absolwentów architektury z całego kraju o przyjęcie do pracy. Sam talent nie wystarczy, aby tam się dostać.

— Myślisz, że wystarczy twoje jedno słowo, a już będę przyjęta? — zapytałam z niedowierzaniem. Pomimo tego moje serce przepełnione było radością; przecież mówił właśnie o odległej przyszłości!

Spojrzał na mnie ponuro.

— Oczywiście — powiedział.

— Więc informuję cię, że po ukończeniu tej szkoły i tak zamierzam jechać do Nowego Jorku. A skończę ją o wiele wcześniej niż ty. Jeśli pójdę na letnie zajęcia w te wakacje, będę mogła przyspieszyć naukę tutaj co najmniej dwa razy. W ten sposób mogłabym bronić już

„a Boże Narodzenie. Pojechałabym tam więc o dwa lata wcześniej niż ty.

— W porządku. Przygotujesz więc dla mnie teren i znajdziesz jakieś mieszkanie. Będziesz kobietą biznesu i opłacenie wynajmowanego lokum nie będzie ci sprawiało trudności.

Nie wiedziałam, czy myślał o tym mieszkaniu tylko dla mnie czy dla nas obojga, ale i tak serce znowu zaczęło mi mocno bić i w dodatku odjęło mi mowę.

— Aha! — zdołałam wykrztusić z siebie.

Zaczął się śmiać.

— Nie zawieźdź mnie, przyjmując moją ofertę — powiedziała. — Dziękuję Bogu za to, że cię spotkałem, Kate. Ale jeśli przyczepisz się do mnie, nie zniosę tego.

Mówiąc to oparł się o biurko, gdzie miał rozłożony jakiś nie dokończony jeszcze projekt i znalazł się nad moim stołem tuż obok mnie. Jakie on ma zamiary? Mówił o jakimś mieszkaniu w Nowym Jorku dla mnie i dla siebie, o wspólnej przyszłości, a z drugiej strony — o tym, aby nie przyczepiać się do niego i nie latać za nim. Czy ta dychotomia była celowa? A może nawet nie zdawał sobie z tego sprawy? Byłam zakochana w nim po uszy i cały czas czułam się jakaś chora i nie zrównoważona. Prawdopodobnie pomogłoby mi, gdybym mogła się przed kimś wygadać. Ale nie miałam przed kim. On był jakby z innego kraju niż wszyscy dookoła mnie w Randolph.

Nie spotykałam go wieczorami, a on nawet o tym nie wspominał. Z jednej strony nie wiedziałam, jak o tym napomknąć, lecz z drugiej zdawałam sobie sprawę, że zawsze bardzo długo pracował nad swymi projektami, czasem do późnej nocy. Poza tym nie miałam też pojęcia, gdzie moglibyśmy się spotykać. Nie chciałam kręcić się przy jego laboratorium w McCandless, gdzie wieczorami przesiadywali wyłącznie chłopcy. Nie wyobrażałam go sobie na miękkich sofach w pokoju gościnnym „Tri Omega” ani siebie w marnym mieszkaniu w garażu przy ulicy Scofield. W każdym razie dziewczynom nie wolno było wchodzić do pokoi chłopaków czy to w akademikach, czy gdzie indziej. Byłam też przekonana, że raczej nie wpadnie na pomysł, aby zaprosić mnie do kina czy na hamburgera. Tak więc skazana byłam na spotkanie się z nim popołudniami w kawiarni u Harry’ego. Wieczory spędzałam jak zwykle z Cecie, w czytelni lub na randkach z jednym czy drugim chłopcem. Jednakże cały czas miałam w wyobraźni obraz Paula Sibleya.

Cecie tylko raz o nim wspomniała.

— Co się stało z tym kimś, kogo ostatnio spotkałaś? — zapytała niedbałym tonem, nawet nie podnosząc głowy znad podręcznika do historii. Pochyliła się nisko nad biurkiem, aby lepiej widzieć oświetlony przez małą lampkę tekst, a jej rudawe loki wyglądały, jakby stały w promieniach. Miała na sobie zbyt duży podkoszulek i wyglądała jak mały chłopczyk, który przebrał się w strój swojego ojca. Dopiero teraz zauważyłam, że jest bardzo chuda. Jej szyja odsłonięta przez wielki dekolt bluzki wyglądała jak wata łydyga lilii. Już bardzo dawno nie widziałam jej takiej.

— Och, kręci się tutaj — powiedziałam. — Od czasu do czasu chodzimy po południu na kawę. Ale i tak prawdopodobnie nic z tego nie będzie. Jest chyba biedniejszy niż ty, ja i Fig, a poza tym ciągle pracuje. Pewnie będzie słynnym architektem, którego potomość zapamięta jeszcze przez wiele wieków.

Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się. Jej twarz była wyjątkowo blada i nawet zniknął gdzieś cały pigment, który zawsze sprawiał wrażenie, jakby ciągle się opalała.

— Brzmi to ciekawie — powiedziała. — Ma jakieś imię, czy też możemy go nazywać Louie?

— Paul Sibley — odparłam i kiedy tylko poczułam na ustach smak jego imienia, rumieniec od razu oblał mi twarz. — A ty dobrze się czujesz, Cecie? Jakoś dziwnie wyglądasz.

— Po prostu jestem zmęczona — stwierdziła. — Nie mogę wziąć się do roboty, jak mówi Ginger. W następnym semestrze zaczęły zajęcia z angielskiego prawa powszechnego, które będą trwały przez całe dwa semestry i nie wydaje mi się, abym mogła się z tym uporać do Bożego Narodzenia. Dlatego też chciałam przyspieszyć trochę kurs historii, aby mieć więcej czasu na to cholerne angielskie prawo. Nie wiem dlaczego, lecz wydaje mi się to strasznie trudne. Czuję się, jakbym błądziła w jakiejś puszczy.

— A może wspomnielibyśmy Ginger, że wyjazd do Outer Banks nie byłby zły w czasie przerwy między semestrami? — zaproponowałam.

— Nie mogę — powiedziała Cecie zdejmując okulary i przecierając oczy. — Ciocia Eugenia chce jechać na wakacje do Ziemi Świętej ze swoimi przyjaciółkami z kółka różańcowego, więc nie będzie miał kto zostać z babcią. A poza tym i tak muszę przeczytać Kaynesa.

— Boże! Tak bym chciała, aby już skończyła się ta szkoła i abyśmy mogły pojechać do Nowego Jorku lub do Europy — powiedziałam i nagle poczułam się niepewnie. Opanowała mnie nieodparta

tęsknota za tymi dniami w Nowym Jorku, zanim jeszcze dojedzie tam Paul Sibley, kiedy przyszłość będzie oznaczała niekończące się dni we wspaniałym towarzystwie Cecie Hart. Zateśniłam za nią, chociaż siedziała przede mną w pokoju.

— Chcesz więc, aby życie minęło ci szybciej — powiedziała Cecie. — Zawsze mówiły nam to zakonnice, gdy chciałyśmy, aby czas szybciej płynął.

W ostatni dzień zajęć zapakowałam się do swojego MG i jak zwykle podwiozłam Cecie na stację kolejową. Nie rozstawałyśmy się na długo, gdyż obydwie zamierzałyśmy wrócić tu za trzy tygodnie na zajęcia letnie. W pewnej chwili przeszedł mnie zimny dreszcz i poczułam się niepewnie, jakbym stała na równinie otoczonej lasami, które na mnie patrzyły. Miałam przeczucie, jakby któraś z nas miała jednak nie przyjechać.

— No to do zobaczenia w lipcu — powiedziałam, ale nadal nie włączałam silnika.

— Tak — odpowiedziała mi Cecie. — *Toujours*. Jutro będzie kolejny dzień, Katie Scarlett.

— Do widzenia! — krzyknęłam do niej śmiejąc się i włączyłam silnik.

— Dowidzenia! — usłyszałam za sobą.

Cecie weszła do budynku stacji. Nacisnęłam pedał gazu i skierowałam się ku drodze wiodącej na południe, którą zawsze jechałam do Kenmore, do tego starego domu i matki, która wydawała mi się teraz kimś obcym. Zaraz za pocztą skręciłam jednak w ulicę College, gdzie mieścił się budynek McCandless Hall. Był już zmierzch i za wielkim oknem widać było kilka zapalonych lampek, chociaż większość biurków było pustych.

Po drugiej stronie ulicy kawiarnia Harry'ego oświetlona była zachęcająco niezwykle kolorowymi światłami, a obok nad wejściem do kina „Tiger” reklamowano film *La strada*. W pralni zobaczyłam jedynie kilka osób, lecz żadnej z nich nie znałam. Była to scenka uliczna raczej smutna i banalna, jednakże nagle stała się bardzo dla mnie ważna. Przecież był to mój dom. Tamten dom nad rzeką Santee to tylko zamierzchała przeszłość. Poczułam też nagły przypływ szczególnej tęsknoty, która wywołała łzy spływające po policzkach. Czułam ich słony smak. Zaparkowałam MG na pobliskim parkingu naprzeciwko Harry'ego i wbiegłam po dudniących drewnianych schodach na trzecie piętro McCandless, gdzie mieściła się pracownia kreślarska wydziału architektury. Początkowo myślałam, że i tak nikogo tam już nie będzie, jednak w końcu sali zobaczyłam Jego

głową pochyloną nad jakimś kolejnym projektem. Był jedyną osobą tam obecną.

Podniósł głowę i spojrzał na mnie. Tego dnia po południu pożegnaliśmy się już na wakacje, ale chyba nie był zaskoczony moim widokiem. Przyglądał mi się badawczo. Stałam w drzwiach wejściowych i czułam się tak głupio, jak nigdy dotąd. Jeszcze trochę, a rozpłakałabym się.

Uśmiechnął się do mnie i zaprosił do środka. Zanim się zorientowałam, siedziałam już na swoim zwykłym stołku obok Niego, a On opierał się na biurku i wpatrywał się we mnie. Trzymał ręce w kieszeni, a głowę miał lekko przechyloną na bok. Część grzywki opadała mu na brwi. Pomyślałam sobie wtedy, że nigdy dotąd nie widziałam tak obłudnie przystojnego faceta. Ja też się uśmiechnęłam i od razu poczułam, jak nabieram rumieńców.

— Zapomniałaś czegoś? — zapytał.

— Nie. Przypomniałam sobie coś — powiedziałam, usiłując naśladować jego ton. — Przypomniałam sobie, że nigdy nie widziałeś *La strady*, więc skoro właśnie wyświetlają ten film w „Tiger”, przyszedłam zabrać cię do kina.

Nie poruszył się. Uśmiech również nie zniknął mu z twarzy.

— Chcesz najpierw iść do Harry'ego i zadzwonić do domu? — zaproponował.

— Spodziewają się mnie... później, nie teraz — powiedziałam. Twarz mi płonęła. — Mogę wrócić do domu nawet o północy.

Prawdę mówiąc, tego dnia w ogóle mnie nie oczekiwano. Od wielu tygodni nie rozmawiałam już z matką i chyba nawet nie wiedziała, że właśnie teraz odbyło się zakończenie roku. Wcześniej zawsze dzwoniłam i mówiłam, kiedy przyjadę, ale tym razem tak nie zrobiłam. Nie chciałam też rozmyślać nad powodami takiej decyzji.

— Na pewno?

— Na pewno.

— No to chodźmy — powiedział i wyłączył lampkę stojącą na biurku. Wyszedł tuż za mną. Nie dotknął mnie ani razu, ale czułam jego bliską obecność, która była dla mnie tak namacalna, jakby trzymał obydwie ręce na moich ramionach. Był tak blisko, że czułam na włosach jego oddech.

La strada jest moim ulubionym filmem. Już dwa razy widziałam go i zawsze czekam, kiedy wznowią go na ekranach kin Manhattanu. Tej nocy siedziałam w ciemnym, prawie pustym kinie, a obok mnie był Paul Sibley. Niczego jednak nie widziałam na ekranie — przed oczyma ciągle jawiły mi się różne dziwne obrazy i zjawy. Paul

nie rozmawiał ze mną ani nawet się nie poruszał. Wyglądał na całkowicie zaabsorbowanego akcją filmu. Jednakże Jego tak bliska fizyczna obecność działała na mnie jak narkotyk. Poddawałam się jej całkowicie.

Wydawało mi się, że moje ciało samo przechyla się w Jego stronę, a głowa ciąży w kierunku Jego ciemnego, męskiego ramienia. Nawet moja krew zdawała się płynąć ku Niemu. Każdy atom w moim ciele dążył do zetknięcia się z odpowiednim atomem u Paula. W połowie filmu zorientowałam się, że nawet oddychamy razem.

Pod koniec seansu wziął mnie za rękę. Wydawało mi się, że ogień przechodzi z jego dłoni na moją. Nie zdziwiłabym się, gdybym zobaczyła teraz w ciemności iskry, takie jak na fresku w Kaplicy Sykstyńskiej, na którym Pan Bóg dotyka ręką Mojżesza. Wszystkie moje odczucia skupiły się w ręce, która znajdowała się w jego uścisku. Przez resztę filmu siedziałam nieruchomo, zda się nie śmiejąc oddychać. Rękę miałam ciężką, jakby była odlana z gorącego ołowiu... Nic nie widziałam ani nic nie słyszałam.

Kiedy film się skończył i na sali zapaliły się światła, Paul puścił moją rękę i wyszliśmy na ulicę nic nie mówiąc. Była gorąca noc majowa. Bez i inne kwiaty, które właśnie kwitły, wydzielały bardzo silne wonie. Było cicho. Miasteczko akademickie opustoszało jak stary wrak pozostawiony na dnie oceanu. Odezwał się dopiero, gdy byliśmy w samochodzie.

— Jest to najsmutniejszy film, jaki kiedykolwiek w życiu widziałem — powiedział cicho i spojrzał na mnie. Na jego policzkach zauważyłam srebrzysty odcień spływających łez. Pomyślałam o tym filmie: strata i zagubienie, przekreślona niewinność i śmierć, wyrzuty sumienia i ból. Pomyślałam też o jego byłej żonie. Cokolwiek spowodowało te łzy, nie mogłam tego znieść.

Wyciągnęłam do niego obie ręce i dotknęłam jego twarzy. Pocałowałam go. Na początku był to pocałunek delikatny, lecz szybko stał się bardzo gwałtowny i namiętny. Usta wyrażały teraz całą moją żądzę. Kiedy w końcu mnie puścił, byłam całkowicie bez tchu i nie widziałam, co się dzieje.

— Cholera! Chodźmy już! — powiedział miękko.

— Dokąd? — zapytałam szeptem.

— Do mnie. Zrobię ci obiad. Możesz stamtąd zadzwonić do rodziny.

— W porządku — odparłam, chociaż dobrze wiedziałam, że do nikogo nie będę dzwonić.

Wyjęłam z torebki kluczyki do samochodu i podałam je Paulowi. Ręce mi drżały i wiedziałam, że nie jestem w stanie prowadzić.

— Siądziesz za kierownicą? — zapytałam. — Nie wiem, gdzie mieszkasz.

Zaczął się ze mnie śmiać.

— Dobrze wiesz, gdzie mieszkam. Tysiące razy widziałem twój samochód, kiedy przyjeżdżałaś obok. Myślałem, że chcesz kupić jakiś dom w pobliżu.

— Tędy jedzie się na skróty do Dairyland — wymamrotałam.

— Jest jedna rzecz, której nigdy nie rób, Kate. Nigdy nie kłam — powiedział. — Nie chcę ciebie oszukiwać, więc i ty mnie nie oszukuj. Boże, ale fajny mały samochód. Nie jeździłem niczym podobnym, odkąd przyjechałem z Francji. Miałem tam wspaniałego, starego citroena, który miał chyba z tysiąc lat. Jeździliśmy... jeździłem nim po całej Francji, zanim nie rozleciał się ostatecznie na kawałki.

Wyobraziłam go sobie w citroenie z opuszczanym dachem. Widziałam go jadącego przez Alpy francuskie; jego czarne włosy powiewały na wietrze, a obok niego siedziała wesoła dziewczyna. Nie wiem, jak to się dzieje, ale w wyobraźni mogłam ją wyraźnie widzieć: mała, zgrabna, o ciemnych włosach. Prawdziwa elegantka. Dopiero później doszłam do wniosku, że owa żona obok niego w samochodzie to na pewno Audrey Hepburn. Cecie i ja zgodnie kiedyś przyznałyśmy, że bardzo chciałybyśmy naśladować właśnie ją. Przez całą drogę do Scofield nie odzywałam się, gdyż miałam uczucie, jakby Audrey cały czas siedziała między Paulem a mną.

Paul wjechał przez bramę i zaparkował MG przy samych drzwiach piętrowego garażu.

— Musimy być cicho — powiedział. — Moja gospodyni cały czas pilnie czuwa, aby przyłapać mnie z jakąś kobietą. Nie udało jej się to. Ale kiedy już wejdziemy do środka, możemy się nie obawiać. Przyzwyczajona już jest do światła palącego się całą noc i głośno nastawionej muzyki.

— I tak już wypisałam się do domu — powiedziałam i natychmiast tego pożałowałam. Teraz pomyśli sobie, że zaplanowałam tę noc.

Znowu zaczął się śmiać i po cichu otworzył mi drzwi. Wprowadził mnie na niepewnie wyglądające drewniane schody. Dokoła nas było bardzo ciemno, a w powietrzu unosił się mocny zapach kwiatów. Wydawało mi się, że oddycham nie powietrzem, lecz winem i miodem.

— Widzę, jak rumienisz się w ciemnościach — powiedział. — Wydzielasz bardzo intensywne światło.

— Naprawdę nie jestem przyzwyczajona do wchodzenia do mieszkań chłopców tak późno w nocy — szepnęłam, lecz miałam nadzieję, że coś wreszcie powstrzyma mój głupi język przed paplaniem takich bezsensownych rzeczy. On już całe wieki temu przestał być chłopcem.

Zatrzymał się w połowie schodów i odwrócił mnie do siebie. W otaczającej nas ciemności widziałam tylko zarys jego sylwetki i błyszczące oczy.

— Kiedy mówię, że przygotuję ci obiad, to znaczy, że właśnie to mam na myśli — powiedział delikatnie. — Nie zamierzam cię uwieść ani napastować. Przynajmniej nie teraz. Później — na pewno tak, ale dopiero wtedy, gdy będziesz już gotowa. Moja zdolność panowania nad sobą jest już znana, więc będziesz musiała o to prosić.

Nagle coś mi w piersi zamarło i poczułam, że straciłam coś ważnego.

— A co będzie, jeśli nie poproszę? — zapytałam.

Bardzo delikatnie odsunął włosy z mego czoła i uśmiechnął się. Jego białe zęby błysnęły w ciemności.

— Już poprosiłaś — powiedział.

Nie mówiłam nic więcej, podczas gdy Paul grzebał w kieszeni i szukał kluczy.

— Nie jest duży, ale zawsze to dom — stwierdził i wprowadził mnie do swego mieszkania, po czym zamknął drzwi. Stałam nieruchomo, kiedy zasuwiał żaluzje w oknach i dopiero wtedy zapalił światło. Byłam bardzo mile zaskoczona.

Ów mały pokój był przytulny, dobrze urządzonej oraz egzotyczny jak miniaturowy seraj. Na pierwszy rzut oka był przytłaczający, a czyste, głębokie kolory układały się w abstrakcyjne wzory jak w kalejdoskopie. Materiały obiciowe i zasłony stwarzały wrażenie takiego bogactwa, że trudno mi było w to uwierzyć. Po prostu stałam jak zamurowana i rozglądałam się z podziwem. Był to mały pokój o niskim suficie i wyraźnie zaznaczonych poprzecznych belkach. Kolory ścian, sufitu, podłogi i mebli były starannie dobrane.

Podłogę pokrywał ogromny, wspaniały perski dywan, jakiego jeszcze nigdy u nikogo nie widziałam, nawet w domach znajomych z Randolph Macon czy Cape Cod. Był on utrzymany w żywych kolorach typowych dla witraży: ciemnobordowy, błękitny, zielony, kremowy i złoty. Równie kolorowa, lecz nieco bardziej stonowana

narzuta pokrywała wersalkę. Obok stał wielki fotel w stylu gotyckim z czarnego drewna, obity pięknym starym adamaszkiem w wyblakłym kolorze zielonym. Pod jednym z dwóch okien ustawiona była sofa i mniejszy fotel z czarnej skóry. Pod drugim oknem stało biurko, a obok niego — półki z książkami, modelami i ceramiką. Na podłodze porozrzucone były ogromne poduchy w różnych kolorach. Natomiast idealnie białe ściany ozdabiały kolorowe plakaty z pejzażami z Meksyku, Hiszpanii i Włoch. Okna zasłaniały białe żaluzje. Światło dochodziło z głównej lampy w suficie oraz jednej lampki nocnej, tak więc pokój nie był ciemny. Wydawało się, że czyste, mocne światło zlewa się z żywymi kolorami w jedną całość. Przeciwległą ścianę, która odgradzała pokój od prowizorycznej kuchni, zdobił średniowieczny obraz, scena z polowania. Kuchnia była wyposażona w stary piec gazowy, zlew, pokryty ceratą stół, na którym stała miniaturowa lodówka, oraz w jedną półkę zastawioną talerzami, szklankami i sztućcami. Do tego dodać należy wielką paproć. Jeśli chodzi o rośliny w tym mieszkaniu, było ich bardzo dużo. Większość z nich podwiązana została do różnych metalowych i drewnianych kratek. Za sofą stało jakieś dobrze utrzymane egzotyczne drzewko. Nie zauważyłam żadnej oddzielnej sypialni. Widocznie spał na wersalce. Wielka czarna szafa najprawdopodobniej mieściła wszystkie jego ubrania. Także i ona wyglądała na bardzo starą i zrobioną gdzieś w basenie Morza Śródziemnego.

Odwrócił się do mnie i uśmiechnął.

— Pięknie jest tutaj — powiedziałam z zachwytem. — Nigdy nie widziałam czegoś podobnego. Wydaje mi się, że właśnie znalazłam w kupie śmieci złotą rybkę.

Paul cały czas był roześmiany.

— Może nie mam normalnego kibla do odlania się, ale nie zgodziłbym się mieszkać jak zwierzę czy jak chłopaki z różnych tych waszych głupich klubów — powiedział. — Cieszę się, że ci się tu podoba. Wszystkie te rzeczy powinny być ustawione w co najmniej dwóch pokojach, ale i tak z trudnością daję radę opłacić tę klitkę. Nie chciałbym składać tego gdzieś do magazynu lub rozdawać. Taszczyłem to przez całą Europę i wszystkie południowe stany, więc teraz nie mogę się tego tak po prostu pozbyć.

— Och! — powiedziałam. Oczywiście ciągle zapomniałam, że meble te pewnie pochodziły jeszcze z jego domu w Europie, z jego małżeństwa z Francuzką oraz że jego dotychczasowe życie bardzo różniło się od zwyczajnego życia prawie wszystkich biednych studentów. Jego wyrachowanie było prawdziwe i pochodziło

z autentycznego doświadczenia życiowego. Pomyślałam, że nie mogłabym nawet nosić świeczki przed kobietą, która wybrała te wszystkie meble.

— Czy wszystko to kupiłeś za granicą — zapytałam, aby prze-rwać milczenie oraz z czystej ciekawości.

— Nie. Tam byłem tak samo biedny jak i tutaj. Nie pamiętam też, abym gdziekolwiek chodził do szkoły, z wyjątkiem armii francuskiej. Wszystkie te rzeczy należały do mojej żony, a właściwie do jej rodziny. Mieli kupę forsy. Powinienem był im to wszystko oddać, kiedy... zmarła, lecz do tego czasu oni mnie nienawidzili, a ja ich, więc sprawiało mi niewypowiedzianą radość odebranie im tego wszystkiego i zniknięcie z ich pola widzenia. I tak wszystko by zmarnowali. Nie znali się na niczym. Nawet meble dobierał im specjalnie do tego wynajęty projektant. Przywieźli je z ich domu w Marakeszu.

Owa znana nazwa zadźwięczała mi w uszach.

— Chyba dobrze się czujesz wśród tych mebli, które ci przypominają żonę — powiedziałam. Zabrzmiało to jak źle wyuczona rola w filmie, ale nawet Deborah Kerr nie mogłaby tego lepiej powiedzieć.

Znowu się zaśmiał, lecz tym razem był to śmiech dość dziwny.

— Oczywiście, miło jest mieć te wszystkie rzeczy — przyznał. — Lecz żona nie przejmowała się mną więcej niż jej rodzice, którzy — jak już ci powiedziałem — nienawidzili mnie. Już jakiś czas przed wypadkiem złożyła do sądu pozew o rozwód. Przykro mi, że nie żyje, ale nie jest mi przykro, że nie jest już częścią mego życia. Byliśmy bardzo młodzi, gdy się pobieraliśmy: ja byłem chudym, aroganckim chłopakiem, a ona grubą, rozpieszczoną dziewczyną. Kiedy trochę wydorosleliśmy przez pierwszy rok po ślubie, zrozumieliśmy, że małżeństwo to musiało chyba zostać zawarte w piekle. Wszystkie te meble stanowią więc dla mnie zapłatę za całe lata stracone u boku tej dziewczyny. Nie mogłem dojść z nią do porozumienia, tak samo jak ona ze mną.

Ponownie nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Zapadło milczenie.

— Po prostu nie chcę, abyśmy mieli jakieś błędne pojęcie o sobie nawzajem. Było to nieudane małżeństwo. Ona chciała mieć męża, którym mogłaby pochwalić się w Orleanie. Jej rodzicom przyświecał dokładnie ten sam cel. Ale ja w tym czasie odkryłem Mies van der Rohe oraz Le Corbusiera i zdecydowałem się być architektem. Wszystko inne odsunąłem na bok. Ona nigdy za żadne skarby nie chciała jechać do Ameryki, a McKim postawił swoje

warunki jasno: jeśli chcę dla nich pracować, muszę wrócić. Poza tym nie chcieli zatrudniać architektów z dyplomami obcych uczelni, więc i tak wcześniej czy później musiałbym wrócić do kraju, aby skończyć jakiś amerykański uniwersytet. Oczywiście Bertha wszystkiemu stanowczo się sprzeciwiała.

Schowałam twarz w dłoniach i potrząsnęłam głową. Nie wiedziałam czy się śmiać, czy płakać. Serce mi krwawiło.

— Myślałam o Audrey Hepburn — szepnęłam.

— No co ty? Najgorsze w tym wszystkim było to, że przez cały czas trwania naszego małżeństwa ona nigdy nie ugotowała mi nawet najprostszego dania. Przynajmniej powinienem jej podziękować za to, że dzięki niej zostałem chyba najlepszym kucharzem na świecie. Poczekaj, aż popróbujesz mojej *cuisine francaise*.

Zniknął za obrazem przedstawiającym polowanie i usłyszałem dźwięk otwieranego piecyka. Doszedł do mnie wyśmienity zapach pieczonego mięsa. Ślinka napłynęła mi do ust. Minęła już dziewiąta wieczór, a ostatnim moim posiłkiem był lunch spożyty wspólnie z Cecie w Dairyland. Wydawało mi się, że było to, jak mawiał Hemingway, dawno, dawno temu i w innym kraju.

— Jezu! Jak to pachnie! — powiedziałam z zachwytem, wchodząc do kuchni. — Co to jest? Kiedy ty to w ogóle przygotowałeś?

— Jest to *coq au vin* — poinformował mnie, podnosząc naczynie żaroodporne i zamykając drzwi piecyka. Trzeba przyznać, że bardzo zwinnie poruszał się w kuchni. — Można to też nazwać kurczakiem w winie. Potrawa ta składa się z kurczaka, szynki, odrobiny białej cebuli, czosnku, siedmiu gatunków ziół, grzybów i czerwonego wina. Najlepsze jest Chambertin, ale skoro nigdzie go nie mogę tutaj dostać, wzięłem starego dobrego Taylora. Można dodać do smaku trochę koniaku i wsadzić to do piecyka na jak długo chcesz. Wstawiłem to około piątej po południu.

— Skąd do diabła wiedziałeś... — zaczęłam mówić, ale w porę ugryzłam się w język. Oczywiście, nie mógł przewidzieć, że przyjdę do jego pracowni.

— Zawsze jem wystawnie — uśmiechnął się. — Wychodzi to nawet taniej, niż gdybym jadał w stołówce studenckiej. Jeśli w ogóle można nazwać to, co tam dają, jedzeniem. Przygotowuję jakąś potrawę, a potem mam wyśmienite żarcie na kilka dni. Jedynym drogim dodatkiem tutaj jest koniak, ale z kolei taka butelka starcza na sześć miesięcy. Oczywiście już sama butelka kusi, aby się z niej napić, lecz skoro jestem słaby w picciu alkoholu, a za to jestem fanatykiem dobrego jedzenia, wybór jest łatwy.

— Nigdy nawet nie próbowałam koniaku — przyznałam.

Spojrzał na mnie i zmarszczył brwi.

— Co? Taka mała, bogata dziewczynka jak ty nigdy nie próbowała koniaku?

Zaczęłam protestować, ale dałam temu spokój. Nagle całe moje niby-bogactwo stało się marnością nad marnościami w porównaniu do tej bez troskiej piękności, egzotyki i światowej kultury.

— Mój ojciec był natomiast fanatykiem martini — powiedziałam.

— Był? — zapytał Paul.

— Umarł — odrzekłam. — Zmarł pod koniec mojego pierwszego roku w Randolph Macon.

— A ty wtedy stałaś się bliską przyjaciółką swojej matki...? Zastanawiam się więc, co robisz jeszcze w Randolph.

— Ty tu jesteś — odparłam z nadzieją, że zmieni temat.

— Muszę tu być, ale ty nie — powiedział. — Przykro mi z powodu twojego ojca. Może jednak powinnaś zadzwonić do matki? Nie chcę narażać się jej, zanim jeszcze jej osobiście nie poznam.

— Ona mnie naprawdę nie oczekuje wcześniej niż jutro — stwierdziłam, lecz nawet bałam się na niego spojrzeć. — Wrócę na tę noc do naszego akademika. Nie muszę się nikomu meldować, bo mam przy sobie klucze.

— No tak, zawsze musisz zostawić za sobą otwarte drzwi — zaczął się śmiać. — A więc zabierzmy się teraz za jedzenie.

Był to wspaniały obiad. Nigdy chyba czegoś tak pysznego i idealnie przygotowanego nie jadłam. Nigdy też nie zapomniałam tego wieczoru i chyba już nie zapomnę do końca życia. Częściowo dzięki tej dziwnej potrawie — dziwnej przynajmniej dla mnie. Do *coq au vin* podał pyszny, chrupiący chleb, który też sam upiekł, oraz talerz jabłek i winogron, a na zakończenie dziwnie miękkie ser o orzechowym smaku. Podczas całego posiłku pilnował, aby nasze szklanki nie stały zbyt długo puste i co chwila dolewał czerwonego wytrawnego wina. Siedzieliśmy w fotelach i jedliśmy na stylowych lakierowanych tacach z drewna. Włączył jakąś płytę i po pokoju rozeszły się dźwięki spokojnej muzyki, przypominające mi morze, plażę i mewy. W porcelanowym świeczniku paliła się świeca, stwarzając szczególną atmosferę. Po obiedzie Paul przyniósł po kieliszku koniaku oraz mocną kawę z ekspresu wyciągniętego spod kuchennego stołu. Byłam już więcej niż trochę pijana, nie tylko z powodu czerwonego wina podanego do obiadu, lecz także za sprawą specyficznej muzyki i fizycznej obecności i bliskości Paula.

Czułam się przy tym beztroska, światowa i wesoła. Dużo się śmiałam i zachowywałam się tak, jakbym miała ze trzydzieści pięć lat. Było wspaniale.

Wstał, aby pozmywać talerze i po drodze do kuchni włączył płytę Edith Piaf. Dźwięk jej głosu rozszedł się po całym mieszkaniu. Stanęłam niepewnie na nogach i z trudem utrzymywałam równowagę.

— Och — jęknęłam cicho i chwiejąc się podeszłam bliżej kuchni, by sprawdzić, czy zauważył, w jakim jestem stanie. Nie zauważył. Ucieszyłam się. Jeśli takie jest rzeczywiście uczucie bycia pijanym, to już wiem, dlaczego ludzie tyle piją.

Mój wzrok zatrzymał się na pewnym obrazie, więc oparłam się wygodniej o ścianę, aby lepiej przyjrzeć. Wszystkie moje zmysły były pobudzone przez alkohol i tego mężczyznę, więc musiałam szeroko otwierać oczy, aby cokolwiek zobaczyć. Wstrzymałam nawet oddech, by nie rozpraszać dodatkowo uwagi. Był to obraz namalowany farbami wodnymi, a przedstawiał nowoczesną białą willę na skałach nad samym błękitnym morzem. Część dachu wystawała poza ściany domu i zawieszona była nad skałami wznoszącymi się ponad wzburzonymi falami. Cała ściana wychodząca na morze zrobiona została z ogromnych okien, nad którymi było małe zadaszenie, aby mocne, bezlitosne promienie słońca nie nagrzewały pokoju. Cała ta budowla była tak idealnie zaprojektowana i skonstruowana, że od razu wiedziałam, iż to właśnie Paul ją wymyślił.

Poczułam jego obecność za sobą i odwróciłam się. Patrzył błędnym wzrokiem na ten obraz.

— Niesamowite — powiedziałam. — Ty to namalowałeś, prawda?

— Tak, to mój projekt — przyznał. — Nigdy go jednak nie zrealizowałem. Miał to być mój dom w Maroku. W tamtym skrzydle miało być studio projektanckie.

Zauważyłam pierwszą nieśmiałą szarość nieba zwiastującą nadchodzący świt. Na pewno miał to być dom jego i Berthe.

— Przykro mi, że nigdy nie mogłeś w nim zamieszkać — powiedziałam i rzeczywiście tak myślałam. Ogarnął mnie smutek i w oczach zakręciły się łzy.

— Ale kiedyś dopnę swego — rzekł z uporem. — Może będę miał wtedy osiemdziesiąt lat i w tym celu będę musiał napaść na bank lub kogoś zabić, ale i tak będę miał ten dom!

Zaśmiał się, lecz w jakiś bardzo niecodzienny sposób... nigdy nie słyszałam, żeby tak się śmiał.

— Był to podstawowy warunek od samego początku — powiedział. — Warunek, dla którego siedziałem we Francji i udawałem dobrego męża bogatej pani. I jeszcze lepszego zięcia. Mieszkałbym z Berthą w Orleanie przez pół roku, a mój książę-teść finansowałby nam budowę tego wymarzonego domu. Potem moglibyśmy przenieść się tam na stałe. Całym sercem zgodziłem się przyjąć ten warunek i zapłacić za niego tak wysoką jak dla mnie cenę. Może i tak by było, gdyby nie pojawił się wtedy na horyzoncie król amerykańskiej architektury współczesnej i nie zaprosił mnie do siebie.

— Wybudujesz ten dom, chociażby na plaży w Ameryce — powiedziała zdławionym głosem.

— Tak, wybuduję — przyznał Paul. — Ale kiedy pomyślę sobie, ile to jeszcze czasu upłynie, zanim będę mógł sobie na niego pozwolić, wydaje mi się, że chyba wcześniej zwariuję. Więc nie próbuję nawet o tym myśleć.

— A może mógłbyś... no, wiesz... trochę zmniejszyć go i wybudować taniej — zaproponowałam. — Nie musi być taki wielki i taki awangardowy.

— Nie, nie mogę. Dziwię się, że tego nie rozumiesz.

Mówił to surowym, stanowczym głosem, jakby stał gdzieś bardzo daleko ode mnie. Poczułam łzy na policzkach. Zamknęłam więc szybko oczy i zaczęłam modlić się, abym chociaż teraz się nie rozpłakała.

— Chciałbym ci coś powiedzieć, coś, co ci ułatwi zrozumienie tego i więcej nie będziemy musieli już o tym rozmawiać. Nigdy nikomu tego nie mówiłem, gdyż nie lubię wzbudzać niczyjego współczucia. Nienawidzę tego. Ale chciałbym, abyś to dobrze zrozumiała, bo jeśli nie zrozumiesz tego, jak powinnaś, nigdy i mnie nie zrozumiesz. A wtedy nic między nami nie będzie mogło zaistnieć.

Spojrzał na mnie i wydał okrzyk zdumienia. Wyciągnął rękę i otarł mi łzy.

— Do cholery, Kate, nie udawaj przede mną takiej beksy. Przykro mi, jeśli zraniłem twoje uczucia. Powiem ci całą prawdę, jeśli obiecasz mi, że nie będziesz płakała.

Przytaknęłam ruchem głowy, lecz nie byłam w stanie spojrzeć mu w oczy.

— No to w porządku. A więc słuchaj. Moja matka była Indianką z plemienia Seminoli, które mieszkało w Everglades koło Miami. Urodziła się tam i tam zmarła. Nie wiem, czy kiedykolwiek byłaś w Everglades, ale z pewnością nie jest to kraj odpowiedni dla normalnych ludzi — królują tam grzechotniki i aligatory, no

i oczywiście Seminole. W pewnym bardzo odległym zakątku Indianie ci wybudowali sobie osiedle. Było to gdzieś daleko w puszczy, tam gdzie woda zawsze ma czarny kolor, powietrze jest szare, a promienie słoneczne nigdy nie mają na tyle siły, aby przebić się przez gęste liście drzew. Błoto wiecznie śmierdziało, komary nigdy nie ustawały w pogodni za ludźmi, a upał nigdy nie malał. Właśnie tam się urodziłem i spędziłem pierwsze siedem lat mojego życia... — Przerwał swoje opowiadanie i znowu uśmiechnął się dziwnie.

— Wiesz, ludzie ciągle występowali przeciwko ustawicznym pożarom lasów w Everglades czy wyrębowi drzew, a teraz Indianie ci są niemalże narodowym skarbem i dla dobra przyszłych pokoleń trzeba ich ochraniać. Ale powiem ci coś jeszcze. Gdybym właśnie ja miał okazję podłożyć pod tę puszcę ogier i spalić ją razem z tym śmierdzącym bagnem, stałbym się bardzo szczęśliwym człowiekiem. Ale mniejsza z tym. Moja matka była dość pulchną, śniadą i niską Indianką, która nie wiedziała, co to znaczy szkoła, jakiegokolwiek umiejętności czy nawet instynkt macierzyński. Żyła aby pić, a żeby pić, musiała się puszczać. I rzeczywiście puszczała się, kiedykolwiek i z kimkolwiek tylko mogła. Sprowadzała swych przyjaciół-dżentelmenów do chaty albo nawet oni sami przychodzili do niej i robili swoje, podczas gdy ja leżałem wystraszony na małym łóżku w kącie izby. Otrzymałem kategoryczny nakaz leżenia wtedy twarzą do ściany. Przed ślubem myślałem więc, że nie można się kochać nie rycząc jak dzikie zwierzęta lub jak Seminole. Nigdy nie wiedziałem, kim był mój ojciec, bo przecież i moja matka nie miała o tym pojęcia. Mógł to być jakiś facet, który przyjechał do Everglades, aby się zabawić. Jednego jestem pewien — że mam w sobie dość dużo białej krwi.

Opowiadanie to bardzo mnie poruszyło i mimowolnie krzyknęłam, ale natychmiast mnie uciszył.

— Ale nie było aż tak źle — powiedział. — Miałem wujka Jimmy'ego, starszego brata matki, który był dla mnie bardzo dobry. Kiedy ona wpadała w trans picia, zabierał mnie czasami do swojej pracy. Pracował na budowie i należał do najlepszych pracowników. Zawsze miał pracę i zawsze starczało mu pieniędzy. Był niski, śniady jak matka i nie było żadnego miejsca, gdzie nie mógłby wejść, chociażby na rękach jak małpa. Siadywałem cicho pod drzewem i przyglądałem mu się. Kiedy się urodziłem, pracował w firmie Sibley Construction i stąd mam takie nazwisko. W szpitalu miejskim matka powiedziała, aby mnie tak wpisali, a oni nie dopytywali się o nic więcej. Bo przecież kto by się przejmował jeszcze jednym rozwrzeszczanym małym Seminolem?

— Kiedy miałem sześć lat, wujek pracował przy budowie wielkiego domu nad morzem, domu, który miał z pięćdziesiąt pokoi, marmurowe kominki, wielkie ogrodzenie kamienne dookoła terenu, baseny, fontanny i korty tenisowe w ogrodzie. Pewnej niedzieli zabrał mnie ze sobą, abym zobaczył to чудо. Na placu budowy nie było nikogo więcej. Oprowadził mnie po wszystkich zakamarkach, a oczy robiły mi się coraz większe i większe. Coś działo się także z moim sercem. Czułem zapach mokrego betonu, tynku, piasku i czarnej ziemi nagrzananej słońcem. Widziałem morze znajdujące się poniżej, chłodne, czyste i wolne. Właśnie wtedy zrozumiałem, że kiedyś, w przyszłości, też będę budował takie cacka. Projektował je i budował. Chyba już wtedy miałem jakąś smykałkę do tego i instynktownie wiedziałem, jak można się zabrać za taką robotę. Zaprowadził mnie też do białej wieżyczki w jednym ze skrzydeł domu. Weszliśmy na sam szczyt po schodach znajdujących się na zewnątrz. Na górze był pokój urządzony na biało. Wszystkie ściany miały duże okna. Wyjrzeliśmy przez nie nad czubkami palm i popatrzyliśmy na morze. Zobaczyliśmy czyste, błękitne niebo i czystą, granatową wodę, mewy i białe żagle daleko na horyzoncie. Boże! Było tam tak czysto! Ale mnie wtedy wzięło! Nigdy wcześniej nie widziałem takiej czystości, takiej przestrzeni i swobody. Wiatr huczał głośno za szybami. Podłoga zrobiona była z drewna, ściany były białe, a na suficie — piękna sztukateria. Było biało, pusto, chłodno i czysto. A pod nami rozpościerał się równie czysty błękit ciągnący się aż do końca świata.

— Powiedziałem mu wtedy, że ja też tak będę umiał. A on spojrzął na mnie i powiedział: „Tak, będziesz umiał, Paulie. Opuścisz nasze plemię i nauczysz się wszystkiego”.

Przerwał swoją opowieść na tak długo, że myślałam, iż już skończył. Czułam, jak serce mi pęka z żalu nad nim.

— I dopiąłeś swego — szepnęłam.

— Tak, w pewnym sensie tak — powiedział i uśmiechnął się do mnie. — Przynajmniej opuściłem Indian. Następnej zimy wuj spadł z rusztowania i złamał sobie kręgosłup. Dostał rentę inwalidzką, lecz wkrótce potem zmarł. Zgłosiła się po mnie opieka społeczna i umieścili mnie w domu dziecka. Chryste Panie! Oddałbym wszystko, aby ktoś mógł mnie zabrać wtedy z Everglades! Wolałabym już być Filipińczykiem pracującym jako chłopak na posyłki. Zacząłem ciężko harować, uczyć się, zdobywałem dobre stopnie i kiedy miałem osiemnaście lat, wstąpiłem do wojska. Wyjechałem wtedy do Francji, objechałem całą Europę i obejrzałem wszystkie co bardziej ciekawe budynki. Poznałem wtedy Berthę i... resztę historii już znasz. Zgadza

się. Część z mych zamierzeń wcieliłem już w życie. Ale cały czas tęsknię za takim domem. Cały czas.

Spojrzałam na niego ze zrozumieniem. W oczach miałam łzy. Widziałam w nim jednocześnie wysokiego mężczyznę, który siedział razem ze mną w mieszkaniu w Randolph, i małego chłopczyka w białej wieży, zachwyconego czystością, światłem i bezkresem wód. Żałowałam, że nie mogę mu tego teraz dać, tego wspaniałego domu nad samym morzem. Ale nagle przyszło mi do głowy, że jednak może będę w stanie tego dokonać.

Odwróciłam się od niego i położyłam mu ręce na ramionach. Dotknęłam jego twarzy i ust. Płakałam i śmiałam się na przemian. Nie wiedziałam, jak mu to najlepiej powiedzieć.

— Posłuchaj mnie! — krzyknęłam niemal. — Posłuchaj! Pozwól mi ci pomóc! Pozwól mi! Chcę ci pomóc. Ja też zawsze... chciałam mieć dom nad morzem, przy wydmach. Teraz też chcę mieć taki dom! I chcę mieszkać tam razem z tobą...

Wziął mnie za ręce i zaczął kręcić przecząco głową. Próbował mnie uspokoić, ale wszystko na nic. W takiej chwili nie mogłam być spokojna.

— Tak — rzekłam. — Powiedziałeś, że pojedziesz do Nowego Jorku i wiesz, że tak będzie. Powiedziałeś też, że wprowadzisz mnie do McKima... Zrób to, proszę cię. Będę pracować dla nich, a ty będziesz mógł założyć swoją własną firmę i wybudujemy ten dom, gdzie tylko będziesz chciał... na przykład na Long Island czy w Nowej Anglii, tam gdzie zechcesz, nad jakimkolwiek morzem czy oceanem. Mam trochę pieniędzy. Na początek wystarczy...

— Katie — szepnął. — Kate, Kate, posłuchaj mnie... Nie mogę brać twoich pieniędzy. Nie mogę pozwolić, abyś mnie utrzymywała...

— Nie rozumiem dlaczego, skoro jest to coś, czego chcę teraz najbardziej — powiedziałam i znowu wybuchnęłam płaczem. — Nie wiem, jaka to różnica, które z nas będzie zarabiało, skoro będziemy razem...

Nic nie odpowiedział ani nawet na mnie nie spojrzał. Odwróciłam się. Ważność tych słów złała się we mnie w jedną całość z wypitym alkoholem, odczuwaną miłością i żalem. Usłyszałam głos mojego ojca: „Jesteś zimna i wyniosła... właśnie to w tobie jest najlepsze, Effie Lee. Wykorzystaj to.” Zacisnęłam mocno powieki. Słyszałam ten głos i widziałam siebie pijaną, głupią, rozpłakaną i błagającą mężczyznę o odrobinę miłości, mężczyznę, który przeżył mnie we wszystkim i któremu nie dorastam nawet do pięt.

— Och, Boże! — szepnęłam do siebie i zakryłam twarz dłońmi.
— Tak mi wstyd.

— Nie — powiedział — nie masz się czego wstydić. Jesteś wspaniała. Jesteś zupełnie inna niż wszystkie dziewczyny, które znam. Ale Kate, jakim bym był mężczyzną, gdybym zgodził się, abyś mnie utrzymywała? Znienawidziłabyś mnie później...

— Nie — szepnęłam. — Nigdy cię nie znienawidzę.

Odwróciłam się na wersalce tak, by leżeć twarzą do niego. Objęłam go i wzięłam głęboki wdech. Dzwoniło mi w uszach i kręciło się w głowie.

— Powiedziałeś, że będę musiała prosić — przypomniałam mu.
— Dzisiaj wieczorem, na schodach. Pamiętasz?

— Kate...

— Weź mnie, Paul

— Boże, Kate...!

— Tak czy nie? Jeśli nie, trudno, niech tak będzie. Ale jeśli tak, to chcę tego teraz, tutaj.

— Pomyśl, co ty mówisz, Kate...!

— Nie, nie muszę myśleć. Ty pomyśl za mnie. Czy rzeczywiście miałeś to na myśli?

— Rzeczywiście. Boże! Rzeczywiście! — przyznał cichym głosem. — Myślisz, że cię nie pragnę? Chcę ciebie tak bardzo, że czasami muszę w nocy wstawać i robić sobie zimny prysznic...

— To, do cholery, zrób to wreszcie! — powiedziałam i cała drżałam z podniecenia i z niepewności, co dalej nastąpi. — Tylko obiecaj mi, że nie będzie żadnych francuskich wymysłów. Nie chcę tego robić.

Zaczął się śmiać. Objął mnie delikatnie i pocałował w szyję. Usłyszałam jakiś głośny dźwięk przypominający mlaśnięcie.

— Panna Otis chciałyby się pokochać — powiedział mi w szyję.

Tak więc, od tej pory, kiedy myślałam o nim, zawsze przypominałam sobie, jak wywiódł mnie z wieku dziewczęcego i wprowadził w prawdziwą kobiecość. Chociaż bałam się tego i bolało mnie, lecz potem nastąpiła błogość.

Jakiś czas potem, około trzeciej, wstał, aby zrobić kawę. Oprócz filiżanki przyniósł też moje białe bawełniane majtki.

— Taka niewinna garderoba u takiej bogatej dziewczynki? — powiedział. Wydawało mi się, że masz różnokolorowe majtki.

Powinam mu była wtedy chyba powiedzieć. Był już najwyższy

czas. Wiedziałam o tym. Lecz byłam zdolna tylko leżeć beztrosko i śmiać się do niego. Był nagi i cały spocony.

— Wychowano mnie w przekonaniu, że jedynie biała bawełna może być odpowiednia.

— Boże! — powiedział i rzucił moje majtki na fotel. — Bogaty pury tanin to najbardziej nudna osoba na świecie. Wolałbym już, abyś w ogóle nie nosiła majtek.

— Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem — powiedziałam z zadowoleniem, iż odkryłam w sobie tyle wrażliwości i seksu.

Wyciągnęłam do niego ręce i przytuliłam go do siebie. Oczywiście potem było już za późno.

j

)

Rozdział 7

W połowie lata, kiedy chodziłam już z Paulem sześć tygodni, zebrałam w sobie całą możliwą odwagę i powiedziałam mu:

— Chciałabym teraz, abyś poznał Cecie.

Podniósł głowę znad makiety, nad którą właśnie pracował, i spojrzał na mnie marszcząc brwi. Wiedziałam, że zdenerwował się nie z powodu tego, co powiedziałam, lecz że przeszkodziłam mu w pracy. Kiedy pracował, zachowywał się jak nurek: potrzebował co najmniej kilka minut, aby wypłynąć z powrotem na powierzchnię.

— Myślałem, że się już zrozumieliśmy — powiedział cierpliwie, lecz w jego oczach zauważyłam gniewne błyski. Owszem, miał wybuchy złości, ale nigdy mnie one jakoś nie dosięgały. Kiedy był zdenerwowany, wyglądał jak prawdziwy Indianin. Był wtedy zamknięty w sobie, jakby podany do wewnątrz.

— Wiem, że zawarliśmy umowę — powiedziałam. — Ale chciałabym wprowadzić pewną zmianę, jeśli mi pozwolisz. Ona jest najważniejszą osobą w moim życiu zaraz po tobie. Dlatego też chciałabym, abyście się poznali.

Wstał zza biurka i poszedł do kuchni przynieść dwa kieliszki wina. Podał mi mój kieliszek i położył się na wersalce. Powoli popijał wino i przyglądał mi się uważnie. Po raz nie wiem już który pomyślałam sobie, że miał doskonałą, prawdziwie męską urodę. Nigdy nie mogłam patrzeć nań ot tak po prostu, gdyż zawsze nachodziły mnie wówczas erotyczne zachcianki.

— Och, Katie, daj mi trochę wytchnienia — powiedział. — Nie mogę tak po prostu iść do domu „Tri Omega” i spotkać tę dziewczynę. Nie mogę stowarzyszyć się z waszym klubem ani śpiewać ci

serenad pod balkonem, ani skakać dla ciebie do stawu rybnego. Nie robiłem tego, kiedy byłem nastolatkiem, tym bardziej więc teraz nie zamierzam tak się zachowywać. Bardzo dobrze o tym wiesz.

— Nie proszę cię, abyś to robił — powiedziałam. — Proszę cię tylko, abyś zechciał poznać Cecie. Moglibyśmy spotkać się z nią na kawie albo zaprosić ją tutaj. Na pewno spodoba jej się twoje mieszkanie i będzie nim oczarowana. Chciałabym wiedzieć, że mam w życiu ciebie i jeszcze kogoś. Paul, czuję się teraz, jakbym wiodła normalne życie, lecz jakby nikt o tym nie wiedział. W ten sposób wydaje mi się to trochę... nierealne.

— Nie rozumiem, dlaczego ktoś jeszcze jest ci potrzebny, aby twoje życie stało się realne — stwierdził. — Miałem nadzieję, że ci zupełnie wystarczam.

Poczułam, że jestem bliska płaczu. Zmrużyłam powieki, aby nic nie zauważył. No właśnie — zakochanie się w Paulu bardzo mnie zmieniło. Miałam wrażenie, jakby zanikła we mnie całkowicie jakaś ochronna tkanka, w wyniku czego wszelkie uczucia stały się silniejsze... łzy, śmiech, radość i strach... Zaczęłam reagować na wszystko w sposób wyolbrzymiony. Wystarczała mi choćby najmniejsza podnieta. Czułam, jakbym nie miała skóry, która mnie dotąd ochraniała przed wszelkimi wpływami z zewnątrz.

— Oczywiście, że wystarczasz — zapewniłam go. — Po prostu nie rozumiem, dlaczego muszę wybierać, ty lub Cecie. Przecież nie wykluczacie się nawzajem.

— Może jednak poprzestaniesz na mnie. Nigdy nie lubiłem mieć do czynienia z kilkoma osobami naraz.

Pomyślałam o jego okropnym dzieciństwie, zapijaczkiej, teraz nieżyjącej już matce, o wypadku wujka, o cuchnącym bagnie w środku lasów, o domach dziecka, a także o trudnym małżeństwie. Serce mi się ścisnęło z bólu. Postanowiłam, że może zapoznam ich potem, kiedy już będzie czuł się ze mną bezpiecznie.

Nie przychodziłam często do jego mieszkania. Konieczność zaciemniania okien, zasuwania zasłon i zniżania głosu była dlań zbyt krępująca i denerwowała go. Zawsze, kiedy do niego przychodziłam, przemykałam się chyłkiem po schodach jak owey pierwszej nocy. Serce waliło mi jak młot i czułam się jak opłacona prostytutka. Nigdy nie mogłam się pogodzić z utrzymywaniem w tajemnicy naszych spotkań, podczas których najczęściej kochaliśmy się na wersalce lub na podłodze. Nigdy wtedy nie wolno mi było krzyknąć głośniej, zaśmiać się, jęknąć niczym pantera lub jak Indianin z plemienia Seminoli, jak to on określał. Byłam kobietą ukształtowaną

całkowicie przez niego; nauczył mnie nie tylko kontrolować siebie i swoje reakcje, lecz także kilku delikatnych, francuskich trików, przynajmniej on tak twierdził, że to francuskie sztuczki miłosne. Jakiegokolwiek by one były, czułam ich moc w samym środku mego ciała, gdzieś w samym rdzeniu. W świat sztuki miłosnej Paul wprowadzał mnie bardzo umiejętnie. Tak więc lato to okazało się dla mnie okresem najsilniejszych przeżyć.

Jednakże najczęściej spotykaliśmy się w kawiarni uniwersyteckiej lub odwiedzaliśmy się w swoich pracowniach podczas pracy. Nasza gwałtowna miłość nigdy nie przeszkodziła mu w idealnym jak zawsze wykonywaniu swych obowiązków ani nie rozpraszała jego uwagi.

— Chcę ciebie w swoim świecie — powiedział mi kiedyś. — Ale jest to naprawdę mój świat. Musisz to zrozumieć. Jeśli ci się to nie uda, to wówczas już nikt więcej nie przeniknie do tego świata. A im więcej się uczę, im szybciej i im lepiej, tym bardziej realny staje się ów dom nad samym brzegiem morza. Całe życie przed nami, będziemy jeszcze mieli czas dla siebie, na kochanie się i bycie razem. Ale najpierw trzeba ten dom wybudować.

Już tego lata doszliśmy do porozumienia, że tuż po ukończeniu szkoły pojedą do Nowego Jorku i zaczną pracować, podczas gdy on pospieszy się ze swoją obroną i przyjedzie do mnie, kiedy tylko będzie gotowy. Wówczas i on zacznie pracować i budować nasz wymarzony dom.

— Pozwolę, abyś pracowała i utrzymywała nas przez jakiś czas, gdyż przecież ja i ty to jedno, a poza tym i tak chcesz pracować. Ale nie zamierzam brać żadnych pieniędzy od twojej rodziny.

— Prawdę mówiąc wszystko i tak należy teraz do mojej matki, dopóki ona... no wiesz... jest na tym świecie — powiedziałam, ale nie mogłam wtedy na niego spojrzeć. Gdyż była to tylko częściowa prawda.

— Oczywiście, ale ona będzie chciała nam pomagać. Wszystkie jej piękności z Południa tak robią. „Nie ufaj tylko swojemu mężowi”. Ale może w tym konkretnym przypadku będzie miała wyjątkowo rację. Chciałbym więc teraz cię o tym uprzedzić. Nie weźmiemy od niej ani centa.

— No dobrze, niech ci będzie — powiedziałam niezbyt zadowolona. Był to zresztą dla mnie dobry sposób na wyplątanie się z tych kłamstw. Do czasu, kiedy Paul dowie się całej prawdy o moim dziedzictwie, nie będziemy już potrzebowali tych pieniędzy. Tak więc cały kłopot zniknie w sposób naturalny. Jeśli chodzi o zawieszenie

go do Kenmore i poznanie z moją matką, nie brałam tego nawet pod uwagę. I tak nie interesuje się specjalnie tym, co ja robię i z kim. Poza tym, jeśli uda mi się zaaranżować to spotkanie gdzieś indziej niż w Kenmore, na pewno odegra swoją rolę mamusi z bogatej, południowej rodziny, gdyż i tak robiła to przecież przez całe swoje dorosłe życie. Dlatego też sprowadzę ją do Randolph albo spotkamy się w Montgomery. Zrobię wszystko, abyśmy nie musieli jechać do Kenmore. Dreszcz mnie przenikał już na samą myśl o zawiezieniu Paula do domu, gdzie spotkałby się z tym obleśnym dyrektorem tamtejszej szkoły średniej i zobaczyłby stary, zaniedbany dom.

Nie rozmawialiśmy o przyszłości i nie przypominam sobie, aby w ogóle wspominał kiedykolwiek o małżeństwie. Przynajmniej jeszcze nie wtedy. Lecz mimo to pod wszystkimi naszymi wspólnymi planami zawsze kryło się małżeństwo. Było jak solidny oświetlony most zawieszony nad przepaścią.

Często śmiałam się już na samą myśl o naszej przyszłości, o cudownej miłości i wyzwolonych reakcjach oraz o życiu obok niego w tym wymarzonej białym domu nad morzem. Pragnęłam go tak mocno, że już sam dotyk jego jednego palca wywoływał we mnie prawdziwą burzę pożądania. Chciałam wszystko komuś opowiedzieć, podzielić się z kimś wrażeniami i opisać odczucia.

Oczywiście zawsze mogłam wyjawić to przynajmniej Cecie. Nie prosił mnie przecież, abym nikomu nic nie mówiła. Kiedyś tylko, kiedy po wyczerpującym akcie miłosnym leżeliśmy półprzytomni i przytuleni do siebie u niego w mieszkaniu, powiedział:

— Już na samą myśl, że ktokolwiek mógłby wiedzieć o naszym związku, robi mi się słabo.

Byłam tak oczarowana miłością, że złożyłam przed samą sobą przysięgę, iż związek nasz na wieki pozostanie jedynie naszą słodką tajemnicą. Jednakże było mi niezmiernie trudno dochować owego sekretu. Musiałam się nim z kimś podzielić. Było to jak ogień i potrzebowało tlenu. Czasami przyglądałam się Cecie, kiedy leżąc na łóżku czytała jakąś książkę lub gdy siedziała przy biurku i uczyła się. Unosiła wtedy rudą głowę i uśmiechała się do mnie. Mnie natomiast rozpieierała przeogromna radość i chciałam mówić o tym głośno. Nie rozmawiałyśmy wtedy już tyle co poprzednio i może dlatego trochę nawet za nią tęskniłam. Byłam niezadowolona, iż nie mogę pomieścić jej w moim sercu obok Paula. Czasami byłam nawet na nią o to zła.

Sporo czasu musiało upłynąć, zanim zorientowałam się, że na początku znajomości z Pauliem chciałam, aby Cecie sama wyciągnęła

ze mnie wszystko, aby sama dopytywała się i była ciekawa szczegółów. Ale oczywiście nie byłaby sobą, gdyby tak postąpiła. Zawsze była tak delikatna, że nie pozwoliłaby sobie na takie wścibskie zachowanie. Wycofywała się do swego wewnętrznego świata, zostawiając mnie samą z moją nową miłością, która jednak nie wydawała mi się z tego powodu pełna. Brakowało w niej Cecie Hart.

Oczywiście nie mogło pozostać w „Tri Omega” tajemnicą, że mam chłopaka. Nie mogło to ujść uwadze tylu dziewczyn uczestniczących w letnich zajęciach. Zawsze przecież byłam inna niż pozostałe dziewczyny i wyróżniałam się spośród nich. Paul natomiast przyciągał powszechną uwagę jeszcze bardziej niż ja. Widywano nas w kawiarni u Harry'ego czy w pracowni McCandless Hall i na pewno domyślano się, iż bywam w jego mieszkaniu. Wszyscy dookoła mówili tylko o tym, więc i wszystkie plotki dochodziły wcześniej czy później do „Tri Omega”. Przez całe lato nętkano mnie głupimi pytaniami, na które musiałam udzielać jeszcze głupszych odpowiedzi, uśmiechać się i udawać, że nie przejmuję się tym gadaniem. Słodką tajemnicą Kate i wódz indiański byli głównym tematem rozmów w stołówce. Ginger zaproponowała nawet, aby utworzyć siatkę wywiadowczą i wysledzić, gdzie mamy naszą tajemną kryjówkę. Jestem jednak przekonana, że nikt nie był pewien, czy w ogóle mamy jakąś kryjówkę. Wiedziałam też, iż naciskają na Cecie, aby wyjawiała wszystko, co wiedziała. Powiedziałam jej wtedy jeszcze bardzo mało, ale i tak nie dzieliła się tym z nikim. Prawdę mówiąc, wiedziała jedynie, że płynie w nim nieco indiańskiej krwi plemienia Seminoli.

Pewnego lipcowego popołudnia siedziałam z Paulem w McCandless nad jakimiś projektami. Spojrzeliśmy przez okno i zobaczyliśmy Fig i Ginger machające do nas rękami i naśladujące gesty picia kawy. Wiedziałam już wtedy, że jeśli chodzi o utrzymanie tajemnicy, nie ma co się dalej łudzić.

— Kto to jest, do diabła? Brunhilda i Loki? — zapytał Paul z wyraźną irytacją w głosie. Miał bzika na punkcie Wagnera i ciągle puszczal mi *Pierścień*. Próbował też wbić mi do głowy trochę wiadomości o operze, chociaż nie byłam chyba dobrą uczennicą z tego przedmiotu.

— To moje współlokatorki — powiedziałam. — Ginger Fowler i Fig Newton. Fig to ta mała. Kiedyś mnie śledziła. Boże! Chyba rozszarpałabym je teraz na kawałki, gdybym tylko je dorwała. Będą teraz leciały na złamanie karku do budynku „Tri Omega”, aby wszystkim donieść o tym, co widziały. Chyba zaproszę je kiedyś na kawę

do Harry'ego i zorientuję się, czy jeszcze można je trochę przykrócić. Bo chyba nie chcesz przyłączyć się do naszego towarzystwa?

— Co to, to nie — zaprzeczył energicznie. — Myślałem, że w „Tri Omega” są tylko przystojne i śliczne dziewczyny, takie jak ty.

— Są bardzo miłe — odparłam, broniąc ich, co mnie sama bardzo zaskoczyło, zwłaszcza, że broniłam tym samym Fig. — Są bardzo dobrymi przyjaciółkami. Nie możesz mieć im za złe tylko tego, że są wścibskie. Jestem jedyną z całego klubu, która nie przeprowadza do akademika swojego chłopaka ani o nim nie opowiada.

— Przepraszam — powiedział i pochylił ze skruchą głowę. — W takim razie idź do nich. Ja może poznam je innym razem. Może jutro.

Został na sali sam. Miał przed sobą na biurku makietę ze szkła, drzewa i kamieni, którą właśnie kończył. Kiedy wyszłam na chodnik, spojrzałam przez okno w jego kierunku i zobaczyłam dokładnie to samo, co one widziały przed chwilą. Uśmiechnęłam się do siebie, chociaż byłam zła na Fig i Ginger. Paul był szalenie przystojny i należał do mnie. Przynajmniej teraz będę mogła o tym mówić. Już sam ten fakt wystarczył, aby Fig opadła z wrażenia szczęka, a niebieskie oczy Ginger zaokrągliły się z zazdrości i podziwu.

— No, teraz, Kate, nie dziwimy się, dlaczego go tak ukrywasz — powiedziała Ginger i uśmiechnęła się do mnie. — Powinnaś założyć mu pas cnoty, aby być pewna jego wierności.

— Heathcliff — powiedziała zdławionym głosem Fig. — Effie, on jest prawdziwym Heathcliffem. Naprawdę! Zawsze myślałam o tobie jako o Catherine. Właśnie tak odnotowałam ciebie w swoim pamiętniku pierwszego dnia, kiedy cię poznałam. Ależ z was jest wręcz idealna para! Poczekaj tylko, aż ja...

— Zamknij się, Fig — wykrzyknęłyśmy razem z Ginger. Fig teatralnym gestem zamknęła sobie usta ręką, udając winną, i przeszłyśmy na drugą stronę ulicy do kawiarni. Kiedy wyszłyśmy stamtąd w jakiś czas potem, Paula nie było już w pracowni.

Po tym wydarzeniu rozmowy w stołówce na mój temat zeszyły na trochę inny tor. Kolejno wszystkie dziewczyny z „Tri Omega” zaczęły podchodzić pod budynek McCandlessa i przyglądać się nam. W końcu Paul przeniósł się z powrotem na trzecie piętro.

— Czuję się jak rzadki okaz ptaka bagiennego, na którego wszyscy dookoła czyhają — oświadczył. — Nie mogłabyś im czegoś powiedzieć?

— Nie — odparłam. — Robią tak, bo ty po prostu nie chcesz się z nimi spotkać. Poznam cię z nimi i przestaną cię tak śledzić. Wiesz

przecież, jak jest na kursach letnich. Każdemu coś odbija. Chciałabym, abyś przynajmniej poznał Cecie. Ona jest moją najlepszą przyjaciółką. Brakuje mi jej.

— To spędzaj z nią więcej czasu — odparł. — Przez kilka najbliższych tygodni będę zajęty tym projektem szpitala, więc nie będę miał dla ciebie zbyt wiele czasu. McGee powiedział nam dzisiaj, że może zrealizują najlepszy projekt, a to oznaczałoby trochę więcej pieniędzy na operację „Biały Dom”.

— To może po skończeniu tej pracy mógłbyś pójść z nami chociaż na kawę? — nalegałam. — To jedyna dziewczyna, która nie paraduje pod twoimi oknami, a która więcej dla mnie znaczy niż te wszystkie idiotki razem wzięte.

Uśmiechnął się.

— Powiem ci coś — oświadczył. — Po skończeniu tego projektu przygotuję dla was specjalny obiad. Dla tamtej małej też, jeśli tego tak bardzo chcesz.

— Och, tak! — krzyknęłam z radością i przytuliłam się do niego. — Oczywiście, że tak. I zobaczysz, że je polubisz. No, przynajmniej Cecie i Ginger. Bo Fig... Fig jest naszą wspólną karą za to, że byliśmy w stosunku do niej snobkami.

Ten wieczór spędziłam po raz pierwszy od dłuższego czasu w akademiku. Przygotowywałam się do długiego maratonu rozmów z Cecie. W automacie stojącym w piwnicy kupiłam coca-colę i *Baby Ruths*, wzięłam prysznic i przebrałam się w nylonowe szorty. Cecie była w bibliotece, a ja pierwszy raz od zakończenia semestru znalazłam się sama w tym pokoju. Spojrzałam dookoła. Przez moment wydawało mi się, iż jest to jakiś obcy pokój. Przez ostatnie tygodnie, od kiedy byłam z Pauliem, stracił jak gdyby mój charakter, charakter Kate Lee, a w gorącym wieczornym powietrzu wydawało mi się, że stracił jeszcze swój własny charakter, który odróżniał go od wszystkich innych pokoi, na pozór wyglądających tak samo. Kwiatki Cecie były wątłe i zaniedbane: łodyżki miały szerniałe wierzchołki, a liście pożółkły. Moje książki, które zawsze były porzucane na biurku, leżały teraz starannie ułożone na boku obok lusterka. Natomiast książki i zeszyty Cecie można było zobaczyć wszędzie: na jej biurku, łóżku i na szafkach, a na wolnej części mojego stołu stała filiżanka nie dopitej kawy. Moja antologia poezji Dorothy Parker leżała właśnie obok tej filiżanki. Zaczęłam zastanawiać się, czy Cecie i Molly czytają teraz razem te wiersze i nagle ogarnął mnie niepokój. Spojrzałam na stronę zaznaczoną ołówkiem — był tam ulubiony wiersz Cecie *Testament*. Wzięłam książkę do ręki i zaczęłam czytać:

*Niechaj nastanie noc, z deszczu lirycznym trenem,
I niech wietrzyk podejmie dzwonu mego ton.
Tak kocham dżdżu melodij, że opatrzyłam ją
Łagodnym i przyjaznym, miłym mi refrenem.*

Poczułam, że ogarnia mnie zdenerwowanie.

Ta idiotka Molly Sloan nigdy nie dowie się, o czym Dorothy Parker tak naprawdę pisała — pomyślałam sobie.

— Hej! — usłyszałam za sobą głos Cecie. Odwróciłam się. Stała w drzwiach. Miała na sobie ładną jedwabną bluzkę. Wyglądała w niej tak delikatnie i wątko jak małe dziecko, a jej rude włosy, które do tej pory sprawiały wrażenie języków żywego ognia dookoła głowy, były teraz proste, przylizane i jak gdyby przyklejone do policzków i czaszki.

Zapaliłam górne światło i spojrzałam na nią.

— Cecie, co ci jest — zapytałam. — Wyglądasz na bardzo chorą.

— Może i jestem chora — odparła i zauważyłam, że nawet jej głos był słaby i wymuszony. Była blada i cała spocona. Owszem, na dworze było gorąco, ale nie aż do tego stopnia, żeby tak bardzo się pocić. Wyciągnęłam rękę i dotknęłam jej czoła. Było suche i gorące jak prawdziwe płomienie ognia. Przesunęłam ręką w dół po twarzy Cecie i dotknęłam miejsc za uszami. Od razu wyczułam tam gorące, miękkie wybrzuszenia. Przestraszyłam się nie na żarty.

— Pojawiły się tydzień czy dwa tygodnie temu — powiedziała. — Strasznie boli mnie gardło i nie mogę zwlec się z łóżka. Ja... Kate, bardzo się boję.

— Masz bardzo wysoką temperaturę — powiedziałam. — Cecie, dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

— Nie bywałaś tu zbyt często — uśmiechnęła się. Wyglądała jak śmiejący się szkielet.

— Ale przecież nie tylko ja tu jestem. Chodź, od razu pójdziemy do przychodni.

— Może jednak jutro — powiedziała. — Dziś byłoby szkoda. Widzę, że kupiłaś colę i te ciastka, więc możemy mieć dzisiaj wieczorem tradycyjne posiedzenie Hart-Lee. A do przychodni możemy pójść jutro. Tak dawno nie rozmawialiśmy ze sobą..

— Absolutnie wykluczone — zaprzeczyłam. — Idziemy teraz. Usiądź na chwilę, a ja przygotuję ci szczotkę do zębów i szlafrok. Wpakują w ciebie penicylinę i wrócisz do pokoju za dzień lub dwa. Wtedy będziemy miały mnóstwo czasu na rozmowy. Ale teraz musimy już iść, Cecie. Jak długo już się źle czujesz?

— Nie wiem — odparła niepewnie. — Chyba długo. Wcześniej nie było jeszcze tak źle jak teraz. Ani gardło mnie nie bolało, ani migdały... Ale już od bardzo dawna czułam się zmęczona. Byłam już przemęczona, gdy jechałam na te trzy tygodnie do domu.

Przypomniałam sobie, że rzeczywiście narzekała wtedy na zmęczenie. Dlaczego nie zwróciłam na to uwagi? Nie, doskonale wiedziałam, dlaczego. Nagle opanowało mnie poczucie winy i ogromne wyrzuty sumienia. Jednakże towarzyszyło temu pewne zniecierpliwienie — przecież Cecie jest na tyle dorosła, aby sama móc zadbać o siebie, a nie ciągle czekać, aż się nią zajmę.

— Jak mogłaś tak długo z tym zwlekać? — zapytałam oburzona.

Przez moment milczała.

— Bałam się, że może to być rak — szepnęła. Odwróciłam się do niej, wyciągnęłam ramiona i objęłam ją mocno. Miałam wrażenie, jakbym obejmowała jakiegoś ptaka — sama skóra, kości i mizerne włosy. Odwzajemniła mi uścisk.

— Na pewno nie masz raka — zapewniłam ją. — Ludzie w twoim wieku nie chorują na raka. Ale i tak musimy teraz iść do lekarza i dowiedzieć się, co ci naprawdę jest.

— W porządku — powiedziała. — Chyba masz rację. Nie można tego tak dalej ciągnąć.

Pojechaliśmy do lekarza moim MG. Po drodze Cecie rozmazonym, lecz słabym głosem powiedziała:

— Chciałaś mi dzisiaj opowiedzieć o Paulu Sibleyu, prawda?

— Tak — odpowiedziałam jej. — Ale opowiem ci o nim, kiedy już będziesz czuła się lepiej. Co więcej, poznasz go osobiście, bo chce zaprosić ciebie i może Fig i Ginger na obiad. Wszystkie cztery pójdziemy do niego, kiedy tylko wyzdrowiejesz.

— Ale miło — powiedziała. — Cieszę się, że zdecydowałaś się mi o tym opowiedzieć. Chciałam usłyszeć to od ciebie, a nie od tej głupiej Fig, która teraz przedstawia go jak coś pośredniego między Rupertem Brookem a Laurencem Olivierem. W swoim słynnym pamiętniku poświęciła mu cały rozdział.

— Nie chodzi o to, że nigdy nie chciałam ci o niczym opowiedzieć... Problem w tym, że nie wiedziałam, co by ciebie interesowało.

— Jest wspaniały, prawda? — zapytała Cecie.

— Och, tak — przyznałam z zapałem.

— No to — zaśmiała się — na początek: jak wygląda? Czy rzeczywiście tak, jak opisują go Ginger i Fig?

— Tym razem mają rację — przyznałam. — On jest... Och,

Cecie, on jest obłądnie przystojny. Bardzo ciemny, czarne oczy i krucze włosy... A jego brwi...

*Oczy twe skośne, niepojęte,
I włosów jakże tkliwa gładź,
Serce me ciąglým strachem zdjęte,* •>
Iż długo to nie może trwać.

Cecie zamruczała coś półprzytomnie.

— Tym razem dostałam jednak wszystko — powiedziałam jej.

— Naprawdę wszystko? — zapytała. Ledwie ją słyszałam, gdyż głos jej gasł z minuty na minutę.

— Naprawdę wszystko — przyznałam. — Cecie, co ci jest? Mówisz, jakbyś miała zaraz umrzeć.

— Nic. Jestem po prostu śpiąca — wybełkotała. — Och, Kate, pamiętasz ten drugi wiersz, który nam się tak podobał? *Sanktuarium*? „Mój kraj jest pełen złych ludzi, chmury wiszą nisko nad sklepieniem nieba, słodki jest zapach powietrza i dymu ze wszystkich moich płonących mostów...” A ty spaliłaś już za sobą mosty, Kate?

Wiedziałam, o co mnie pyta.

— Tak — odpowiedziałam jej, a kiedy na to nie zareagowała, spojrzałam na nią. Leżała nieruchomo, blada jak kreda. Głowa osunęła się jej na drzwi. Jeszcze mocniej nacisnęłam na gaz i z piskiem opon wpadłam w zakręt ulicy, przy której mieściła się uniwersytecka przychodnia. Kiedy dojechałam na miejsce, Cecie była nieprzytomna i wynieśli ją z samochodu na noszach. W białym aseptycznym pokoju przesiedziałam prawie do jedenastej w nocy, gdyż o tej porze musiałam już zameldować się w akademiku. W końcu przyszła do mnie pani Frederick, nasza kierowniczką, i poinformowała mnie, że Cecie ma mononukleozę i będzie musiała przeleżeć w izolatce około dwóch tygodni.

— Ale wszystko będzie z nią dobrze? — zapytałam.

— Och, tak. Wyjdzie z tego — zapewniła mnie. — Ale szkoda, że nie przyszła do mnie wcześniej ani że ty jej nie przyprowadziłaś. Za długo z tym czekała i dlatego teraz opuści dużo zajęć. Czasami zachowujecie się wszystkie naprawdę jak dzieci...

Odwróciła się i odeszła w głąb korytarza. Wróciłam do akademika, zamknęłam za sobą drzwi do pokoju, położyłam się do łóżka i rozpłakałam się. Płakałam nie tylko z powodu choroby Cecie, choć nie wiedziałam dokładnie, co jeszcze było przyczyną tej rozpaczki. Prawdę mówiąc, nie bardzo miałam ochotę na to pytanie odpowiadać.

Wtuliłam twarz w poduszkę, aby nie widzieć księżycy zagląającego prosto w okno, i bardzo długo płakałam. W końcu, nie wiem dokładnie kiedy, usnęłam.

Kilka następných dni miało bardzo szczególny charakter. Byłam zdezorientowana i jakby nieobecna. Cecie miała zakaźną chorobę, więc oddzielili mnie od niej całkowicie. Paul był zupełnie zaabsorbowany projektem szpitala, więc właściwie sienie widzieliśmy, jeśli nie liczyć kilku krótkich spotkań przy kawie czy pośpiesznych, namiętnych pocałunków na schodach w McCandless. Był przemęczony i wszystko, co nie było związane z jego projektem, nie bardzo do niego docierało. Wiedziałam, że prawdopodobnie je bardzo mało i nie śpi tyle, ile powinien, ale z drugiej strony nie mogłam nic zrobić, aby zmienić ten stan rzeczy. Pomimo stresu związanego z udziałem w konkursie projektanckim był szczęśliwszy niż do tej pory i bardziej ożywiony. Wskutek podniecenia i podekscytowania pracą cały czas pomrukiwał sobie coś pod nosem. Czułam zazdrość, gdy przypatrywałam się jego pracy, zdając sobie sprawę z tego, iż ona pociąga go bardziej niż moje ciało.

Taka zazdrość nie miała sensu, podobnie jak zazdrość z powodu nie żyjącej już poprzedniej żony. Jeśli w jego obecnym życiu była jakaś żywa kobieta, to na pewno byłam nią ja i całkowicie powinno mnie to zadowalać. Tak więc, pomimo tych wszystkich przeszkód, byłam jednak zadowolona, chociaż tęskniłam za Cecie i bardzo pragnęłam Paula. Miałam wrażenie, jakby świat się nagle na chwilę zatrzymał. Już niedługo zostanie włączony bieg i świat potoczy się znowu szybko do przodu, lecz teraz mogłam przynajmniej sobie odpocząć, opalać się, spokojnie się uczyć i zdobywać nowe doświadczenia. Wiele spałam, czytałam, umawiałam się z dziewczynami, których nie widziałam przez całe miesiące, posprzątałam w pokoju, aż wszystko zyskało wysoki połysk, uprałam i wyprasowałam swoje ubrania oraz wysłuchałam wszystkich płyt podczas muzycznego maratonu, jaki sobie zafundowałam w tym czasie. Teraz myślę o tamtych dniach jako o najspokojniejszym okresie w całym moim dotychczasowym życiu, chociaż towarzyszyło mi wtedy doznanie pustki z powodu nieobecności Cecie i Paula. Po raz pierwszy od wielu lat byłam sam na sam ze sobą i po raz pierwszy mi to wystarczało. Ani razu nie odezwało się we mnie poczucie otchłani. Nigdy też nie wróciła do mnie więcej całkowita świadomość siebie. Unosiłam się bezwładnie na fali i było mi bardzo dobrze.

Kiedy teraz zastanawiam się nad tym, wydaje mi się nieprawdopodobne, że nie bałam się sypiać z Paulem. A może raczej, że

nie bałam się konsekwencji wyrzucenia ze szkoły czy zajścia w ciążę. Każdy się wtedy tego bał jak ognia. Może dlatego, że dobrze się zabezpieczyliśmy. Poza tym, jakim cudem coś tak wspaniałego, radosnego i słodkiego jak to, co robiliśmy wieczorami, mogło by mieć jakieś przykre konsekwencje? Paul wiedział, jak używać kondomów i robił to bardzo sprawnie, chociaż narzekał, iż czuje się jak żołnierz amerykański wypuszczony na przepustkę.

— Po co przejmować się czymś takim? — zapytałam, kiedy zauważyłam, że jest nastawiony coraz bardziej negatywnie do tych udoskonaleń zapobiegawczych. — Przecież i tak weźmiemy ślub. Mógłbyś po prostu zalegalizować nasz związek w jakimś urzędzie stanu cywilnego, wprowadziłabym się do ciebie oficjalnie i wszystko byłoby w porządku.

— A wiesz, że gdyby urodziło nam się teraz dziecko, byłoby już po naszych karierach zawodowych? — zapytał poważnie. — Oznaczałoby to koniec wszystkiego. Mieszkalibyśmy w Levittown i przez resztę mego życia musiałbym pracować dla McKima. A co by było z tobą? Siedziałabyś w domu? Kiedy już będziemy mieli nasz wymarzony Biały Dom nad morzem, będziesz mogła wychowywać sobie i dziesięcioro dzieci, jeśli tylko zechcesz. Ale teraz musimy na to zarobić. Kiedy pojedziesz do Nowego Jorku, pójdz od razu do jakiegoś gabinetu lekarskiego, aby założyli ci spiralkę. Za bardzo ryzykujemy w ten sposób.

— Mogłabym jechać do Montgomery lub do innego miasta i założyć ją sobie teraz — powiedziałam, chociaż nie byłam przekonana do takiego rozwiązania problemu. Świadomość, że mogłabym posiadać w sobie jego dziecko, tkwiła we mnie głęboko i niczym prawdziwy embrion była ciepła, bezpieczna i ukryta w tajemnym miejscu.

— To byłoby za proste — powiedział. — Moja gospodyni zna każdego doktora w promieniu pięciuset mil. Prawdopodobnie wasza kierowniczką też. Całe miasteczko akademickie wiedziałyby o tym już w godzinę po zabiegu.

— Och, Boże! Paul! Nie zdajesz sobie sprawy, że oni już teraz o nas ciągle gadają?

— Tak, ale jeszcze nie wiedzą na pewno — odrzekł. — Po prostu będziemy musieli być ostrożni, póki nie wyjedziemy do Nowego Jorku.

— Niech tak będzie — zgodziłam się, lecz przez całe lato nie mogłam pozbyć się myśli o ciąży. Wydawała się ona odległa i nie związana z tymi wszystkimi przyjemnościami, jakich sobie nawzajem dostarczaliśmy.

Cecie wróciła z izolatki pod koniec lipca. Nie można się było już od niej zarazić, lecz nadal czuła się zbyt słaba, by chodzić na zajęcia. Pojechałam po nią samochodem, a kiedy dotarliśmy już do pokoju, Ginger i Fig usadowiły ją w jej łóżku, obłożyły dookoła poduszkami i książkami oraz przystawiły adapter, aby bez wstawiania mogła zmieniać płyty. Do tego ustawiliśmy elektryczny wiatrak, aby wiał na nią nie za słabo, ale też i nie za mocno. Ginger zadzwoniła do domu i wkrótce potem znowu pojawił się milczący Robert, który przywiózł dodatkową miniaturową lodówkę oraz tyle puszek coca-coli i różnych soków, że swobodnie wystarczyłoby nam to do końca lata. Cały ten dobytek ustawiliśmy na wolnym biurku Cecie. Fig zeszła na dół do kuchni i znalazła tam czekoladowe ciasto. Ułożyła je na wielkim talerzu i triumfalnie wniosła do pokoju.

— Może na środku jest trochę przełamane, ale naprawdę smakuje wyśmienicie — powiedziała i uśmiechnęła się do Cecie. — Pomyślałam sobie, że takie ciasto dobrze nam robi. Jest to tak zwane Duncan Hines. Moja mama zawsze piecze takie samo.

— Wygląda wspaniale — powiedziała Cecie bardzo jeszcze słabym głosem. — Może byś pokroiła i dała każdej z nas po kawałku?

Tak więc Fig zaczęła uwijać się wokół nas jak mrówka. Prawdę mówiąc, ciasto to smakowało okropnie, podobnie jak i okropnie wyglądało. Miało smak starej tektury i zjełczałego masła. Ale i tak wszystkie pałaszowałyśmy je bardzo szybko. Czasami zastanawiam się, skąd Fig miała nad nami taką władzę, że mogła nam wszystko wmówić.

Później, kiedy zostaliśmy z Cecie same, spojrzaliśmy na siebie i wybuchnęliśmy śmiechem. Tak nam się zrobiło lekko na sercu, że śmiałyśmy się o wiele dłużej niż zwykle. Jej śmiech był taki jak zawsze: radosny, donośny i zaraźliwy.

— Wygląda jak model średniowiecznego fortu — powiedziała i oparła się wygodniej na łóżku.

— Lub jak zdobyte i splądrowane miasto greckie — dodałam. — To jest Duncan Hines, które mama zawsze piecze. Założę się, że mama przygotowuje także fasolę i grzyby na Boże Narodzenie oraz baraninę i imbirowe piwo.

— I galaretkę z tymi cholernymi małymi rodzynkami — powiedziała Cecie, mając ze śmiechu łzy w oczach.

— Do tego przyprawioną goździkami — śmiałam się, zakrywając twarz rękami i kiwając się na łóżku do przodu i do tyłu.

Bardzo długo tak się śmiałyśmy, iż w końcu zmęczyłyśmy się i wreszcie w pokoju zrobiło się cicho, ale tylko dopóty, dopóki nie

spojrzałyśmy po sobie, co spowodowało ponowne wybuchy śmiechu. Kilka osób przyszło sprawdzić, co się u nas dzieje.

— Znowu jak za dawnych dobrych czasów — powiedziała Trish. — Słyszałam was już na schodach. Stąd wniosek, że już lepiej się czujesz, Cecie.

— Oczywiście — przyznała Cecie. — Jeśli nie umrę ze śmiechu.

Prawdę powiedziawszy Cecie wcale nie czuła się o wiele lepiej. Nadal była bardzo chuda i miała podkrążone oczy. Nawet okulary nie chciały trzymać się na wychudzonym nosie i ciągle jej spadały, a rude włosy były proste i wyglądały na bardzo zmizerniałe. Cecie nie była już czerwona od gorączki ani rozpalona, lecz blada i słaba. Zasunęłam żaluzje i wyszłam na palcach z pokoju. Kiedy wróciłam późnym wieczorem z McCandless, gdzie pracowałam trochę nad swoim letnim projektem i spotkałam się z Paulem na kawie, siedziała na łóżku, czytała Dorothy Parker i popijała coca-colę.

— Zjadłaś już kolację — zapytałam. — Mogę ci przynieść coś z kuchni, jeśli jeszcze nie jadłaś.

— Nie jestem głodna — odparła. — Próbowalam zejść, ale mam jeszcze za słabe nogi i musiałam wrócić do pokoju. Zdaje się, że sporo czasu upłynie, zanim wrócę do normalnego stanu. I nie wiem, jak ukończę letni kurs. Założę się, że cały ten semestr mam już do tyłu.

— No to co? — zapytałam. — Nadrobisz. Lepiej wziąć się już teraz za robotę, niż potem znowu się rozchorować, tym razem z umartwiania się.

— Ale wiesz, jeśli ty skończysz tę szkołę o semestr wcześniej niż ja, będziesz o całe pół roku przede mną. I jak wtedy zorganizujemy wyjazd do Europy?

Odkąd poznałam Paula, nie myślałam już o naszych wspólnych planach wyjazdu do Europy, a przynajmniej nie brałam ich na serio. Spojrzałam na Cecie i natychmiast odwróciłam głowę.

— Prawdę mówiąc, chyba pójdę prosto do pracy — powiedziałam. — Paul jest całkowicie pewien, że może mi załatwić pracę w dziale projektowania wnętrza w McKimie, więc nie będę mogła zrezygnować z takiej okazji. Nigdy nie załatwiłabym sobie takiej pracy bez niczyjego poparcia.

— To brzmi zachęcająco! — krzyknęła Cecie. — Naprawdę może ci to załatwić?

— Skoro zdecydowali się speq'alnie czekać na niego przez tyle lat, to może będzie mógł załatwić jakąś pracę i dla mnie.

— Aha! — powiedziała lekkim, słodkim głosem. Był to ton, którego używała, gdy coś ją dotknęło, a z różnych powodów nie

chciała dać tego po sobie poznać. Słyszałam już ten ton kilka razy, lecz nigdy nie był on skierowany bezpośrednio do mnie.

— Ale posłuchaj... — powiedziałam szybko. — Do skończenia studiów brakuje mu jeszcze rok lub dwa, a w tym czasie będę mieszkała sama w wynajmowanym mieszkaniu w Nowym Jorku... jeśli w ogóle uda mi się takie znaleźć. A może przyjechałabyś wtedy do mnie i razem byśmy mieszkały, dopóki on nie obroni? Och, Cecie, pomyśl o tym!... Nowy Jork, teatry, muzea, kina, może nawet będziemy mogły spotkać samą Dorothy Parker. Pisze recenzje książek w „Esquire”... i Long Island specjalnie dla ciebie, jeśli chcesz być nad samym morzem...

— To rzeczywiście dobry pomysł — przyznała Cecie, lecz od razu wiedziałam, że nigdy tak nie będzie.

— Cecie... — zaczęłam.

— Och, Katie, oczywiście musisz tak zrobić — powiedziała. — Och, Boże! McKim i Mead... w przeciągu roku staniesz się sławna. Przyjadę cię odwiedzić, a ty już na sam mój widok dostaniesz mdłości i zatrzęsiesz mi drzwi przed samym nosem.

— Cecie, proszę, nie mów tak. Wszyscy troje moglibyśmy pojechać do Europy — powiedziałam. — Paul zna ten kontynent jak własną kieszeń. On też chciałby pojechać na swoje stare śmieci. Poza tym nie mogłybyśmy znaleźć lepszego przewodnika po Francji niż on.

Uśmiechnęła się do mnie.

— Rozumiem przez to, że Paul będzie już na stałe — powiedziała.

— Chyba... tak. Raczej tak — przyznałam i z jakiegoś niewiadomego mi powodu nagle cała poczerwieniałam jak burak.

— Więc nie uważasz, że już najwyższy czas, abyś mi o nim opowiedziała? Można by pomyśleć, że się go wstydzisz.

Tak więc tej nocy opowiedziałam jej o mojej miłości. Siedziałyśmy do późnej nocy, a Dave Brubeck śpiewał swą balladę *Kołysanka z ptasiego kraju*. Noc była bardzo gorąca i parna. Wentylator pracował cały czas. Opowiedziałam jej wszystko, co tylko mogłam o Paulu Sibleyu. Słowa moje wydawały mi się dziwnie płaskie i bezwymiarowe, lecz koniecznie chciałam, aby Cecie poznała go tak samo dokładnie jak ja. Bardzo trudno mi było o nim opowiadać.

Streściłam jej jego trudne dzieciństwo, opowiedziałam o jego matce i wujku, o domach dziecka i o tym, że jego marzeniem jest zostać architektem. Powiedziałam jej też, co umie robić, jakie ma ubrania, jak gotuje, je i pije, jak słucha i rozmawia, myśli i śmieje się. W końcu wspomniałam o jego małżeństwie i zmarłej francuskiej żonie.

— Brzmi to strasznie — przyznała Cecie. — Czy ona cię czasami nawiedza w snach?

— Nigdy — zaprzeczyłam zgodnie z prawdą.
Uśmiechnęła się i zacytowała fragment wiersza:

*Niech inna go pozdrawia „kochanie” —
Lecz zapomnieć o mnie nie pozwalam!
Potrzebny mi jedynie strach i przeklinanie,
Że ja pokochał, zanim go poznałam.*

— Ach, i tak wszystko już jedno — powiedziałam. — Nie wydaje mi się, aby ją kiedykolwiek kochał. Była jego całkowitym zaprzeczeniem i chciała wszystko na odwrót niż on. Ale dosyć, o zmarłych nie mówi się źle! Wszystko, co on kocha, ja też kocham! Wszystkiego, czego on chce, ja też chcę! Posłuchaj, opowiem ci o tym białym domu...

I opowiedziałam jej o naszych planach. Kiedy skończyłam, ona nadal się uśmiechała, lecz była jakby trochę zmieniona. Przerwałam na chwilę swój opis i spojrzałam na nią.

— Czy nie myślisz, że jest to zbyt idealne, aby opisywać to w słowach?

— Oczywiście, że tak. Myślę też, iż jest to tak samo twój biały dom jak jego. Ale będziesz musiała go utrzymywać, gdy on będzie starał się spełnić to marzenie was obojga.

Nie wiedziałam, co jej odpowiedzieć. Czyż ona tego także nie widziała?

— No cóż... ktośś z nas będzie musiało pracować na cały etat, a on przecież nie będzie w stanie pracować i budować dom, i jeszcze prowadzić prywatną praktykę — powiedziałam. — I tak przecież chciałam szukać pracy w Nowym Jorku. Jaka to dla mnie różnica? Będę miała wymarzoną pracę o wiele wcześniej, niż przypuszczałam, i będę mieć piękny dom i mężczyznę, o którym nawet nie ośmielałam się marzyć...

— Rzeczywiście, i tak byś musiała pójść do pracy — przytaknęła mi. — Chodzi mi po prostu o to, że jest on wyjątkowo przystojnym facetem. Na pewno zdaje sobie z tego sprawę. Chciałabym też, abyś i ty o tym nie zapominała. Mogłabyś przynajmniej mówić „nasz Biały Dom”, a nie „jego Biały Dom”.

— No więc „nasz Biały Dom”. I tak nie ma to sensu, bo nie wiem, jakich użyć słów, gdy o nim mówię. Będziesz musiała po prostu poznać Paula i wtedy wszystko zrozumiesz. Jesteś zaproszona na obiad do niego do domu mniej więcej za tydzień.



W pierwszy piątek sierpnia ja, Ginger, Cecie i Fig weszłyśmy po schodach wiodących do jego mieszkania. Nie było powodów, aby zachowywać się szczególnie cicho, gdyż właścicielka bawiła właśnie na wakacjach w Passion Play w Oberammergau. Mimo to Paul poprosił nas, abyśmy poczekały, aż zapadnie zmrok.

— Wydaje mi się, że przekonała wszystkich sąsiadów, aby obserwowali mnie i moich gości — powiedział.

Tak więc przemykałyśmy się ostrożnie, usiłując nie przerywać się i nie chichotać zbyt głośno. Księżyc zaczął wznosić się na niebie pełnym chmur, świerszcze głośno cykały, lecz w powietrzu czuło się już nadchodzącą jesień. Ogarnęła mnie melancholia. To będzie moja ostatnia jesień w Randolph, ostatnia jesień z Cecie. A potem znajdę się w zupełnie innym świecie.

Otworzył nam drzwi. Ubrany był w białe, dopasowane spodnie i koszulę w stylu marynarskim. Na głowie miał płócienną czapkę. Z głębi pokoju dochodził zawodzący głos Edith Piaf oraz silny aromat czerwonego wina i ziół. Patrzyłam na niego, jakbym go pierwszy raz widziała. Nie był to ten sam Paul, którego znałam. Wyglądał niewiarygodnie, teatralnie, wspaniale. Nie da się tego po prostu opisać. Ktoś tak wyglądający nie mógł należeć do społeczności Randolph w Alabamie czy nawet do Nowego Jorku lub do Kate Stuart Lee. Mężczyzna stojący przede mną był w pełnym tego słowa znaczeniu egzotyczny. Stałam w drzwiach jak zamurowana, a dziewczyny za mną wstrzymały aż oddech z wrażenia. Pomyślałam, że może chciał zażartować z nas sobie, ubierając się w ten sposób, lecz on od razu powitał nas szerokim, rozbrajającym uśmiechem. Chciał tylko zażartować z samego siebie — skoro wszyscy w Randolph twierdzili, że zawsze ubiera się elegancko, zdecydował się udowodnić nam, że tak nie jest.

Wszystkie cztery odwzajemniłyśmy mu ten czarujący uśmiech. Dziewczyny oglądały ciekawie pokój, wdychały aromat smakowitych potraw, słuchały Edith Piaf i wpatrywały się w gospodarza domu. Cały czas śmiały się zadowolone ze wszystkiego. Już wcześniej widziałam, jak potrafił tym ujmującym uśmiechem burzyć każdą przeszkodę i każdy mur nieufności. Na mnie też go wypróbował i zawsze się nim zachwycałam. Bardzo go kochałam.

— Dziękuję ci — powiedziałam cicho. — Dziękuję ci bardzo.

Głośno natomiast dodałam: — Skąd do diabła wytrzasnąłeś ten kostium? Wyglądasz w nim jak Gene Kelly w filmie *Amerikanin w Paryżu*.

— Chyba jednak wyglądam o wiele lepiej — uśmiechną się. — Kelly jest karłem, ja nie. A poza tym to nie jest żaden kostium, kochanie. Dokładnie tak samo byłem ubrany, gdy pierwszy raz wjeżdżałem do Paryża. Teraz brakuje mi tylko bagietki pod pachą. Myślałem wtedy, że wyglądam wspaniale, ale potem nikt z moich francuskich przyjaciół nie chciał pokazywać się ze mną na ulicy.

Cecie pierwsza wybuchnęła śmiechem.

— A co oni nosili? — zapytała.

— Niebieskie dżinsy i koszule Brooks Brothers — powiedział. — Wejdźcie. Właśnie przygotowuję dla was flaki *a la modę de Caen*. Jest to najbardziej autentyczne danie wieśniaków francuskich, jakie mi przyszło do głowy.

— Ma wspaniały zapach — przyznała Ginger, poruszając nosem, jakby wąchała coś bardzo intensywnie.

— Rzeczywiście — przyznała Fig. W jej głosie było coś innego niż zwykle. Mówiła, jakby ktoś ją przed chwilą mocno zdzielił piłką baseballową. Spojrzałam na nią. Była bardzo blada, a jej oczy schowane za grubymi szkłami wyglądały wyjątkowo pusto i wyrażały pełne zaskoczenie. Ciężko oddychała przez nos, jakby zaraz miała mieć atak astmy. Już otworzyłam usta, aby się do niej odezwać, lecz nagle olśniło mnie. Bo oto właśnie Fig zakochała się w Paulu.

— Cholera! — powiedziałam do siebie, aby nikt tego nie usłyszał, i dodałam: — Tak, pięknie pachnie. Co to takiego?

— Są to flaki, część żołądków owcy lub kozy. Facet sprzedający w sklepie mięsnym dał mi to za darmo i nazwał w dodatku bebechami. Już nawet nie pytałem, z jakiego to zwierzęcia. Przygotowuję to w sposób tradycyjny: z golonką, marchewką, cebulą, porem, różnymi ziołami i czerwonym winem. Plus oczywiście trochę narkotyków, abyście zapomnieli, gdzie jesteście i co jecie. To taki mój sprawdzian ludzi. Kiedy ktoś zje flaczki bez wymiotowania lub przynajmniej spróbuje je zjeść, jestem pewien, że oto mam nowego przyjaciela na dobre i na złe, do końca życia.

— Może łatwiej by nam było zagrać w rosyjską ruletkę — zaproponowała Cecie, na co Paul zaczął się śmiać.

— Może rzeczywiście wyszłoby na to samo — powiedział.

— Jedyne rozwiązanie, w jaki sposób zmusisz mnie do zjedzenia tego, będzie polegał na wlewaniu we mnie szkockiej już od zaraz aż do rozpoczęcia właściwego obiadu — stwierdziła Ginger.

— Uwielbiam flaczki. Bardzo często mamy je w domu na obiad — powiedziała Fig. Jej głos był już tak słaby i niepewny, że myślałam, iż lada moment wybuchnie gwałtownym płaczem.

— Nie ma na to rady — stwierdził Paul. — Kate powiedziała, że zjadłaby raczej psa niż flaki, kiedy zaproponowałem jej to pierwszy raz.

— Nic takiego nie powiedziałam! — zaprzeczyłam energicznie. Kochałam go za te pomysły, za grzeczność w stosunku do Fig, kochałam dziewczyny za to, że go podziwiały, kochałam to miejsce i tę noc, ten świat i wszystko, co się na nim znajdowało: gwiazdy, pchły, słonie, buty, szpilki, igły. Mało już brakowało, a nastąpiłby wybuch rozpierającej mnie radości.

— Ale fajnie! — powiedziała Fig. Uśmiechnął się do niej, a ona odwróciła się w moim kierunku i zamknęła usta, które najwyraźniej były do tej pory otwarte z wrażenia. Wyglądało, jakby coś przeżuwała.

— A teraz zapraszam na drinka — powiedział Paul i wprowadził nas w głąb pokoju.

Wieczór minął bardzo szybko, nawet się nie zorientowałyśmy kiedy.

Wypiłyśmy sporo wina, zanim podał w końcu obiad. Miał nawet fezkocką dla Cecie, chociaż nie przypominam sobie, abym mu kiedyś wspominała, że ona to lubi. Opowiadał nam przy tym różne przygody, jakie przeżył we Franq'i, pomijając skrzętnie jakiegokolwiek wspomnienia związane z Berthą. Jednakże cały czas czułam, jak jej duch Lnosi się nad nami i pilnuje Paula, który zachowywał się bardzo elegancko, nie wspominając o niej ani jednym słowem. Nasza sympatia lila niego graniczyła niemalże z uwielbieniem, lecz on najwyraźniej riawet o nią nie zabiegał. Śmiałyśmy się, a on puszczał nam piosenki (francuskie, włoskie, hiszpańskie, nauczył nas kilka słów po francusku łącznie z tymi, które wywołały taki śmiech u Cecie, że cała poczerwieniała jak burak. Nim nastał ranek, Paul wiedział o nich dokładnie wszystko, o ich przeszłości i planach na przyszłość.

— A co z twoją przyszłością? — zapytała Ginger, kiedy zasiedliśmy do stołu i podano flaczki. Do tego czasu już nam w głowach porządnie zaszumiało. Pomimo wcześniejszych protestów zjadłyśmy wszystko, co nałożył nam na talerze: flaczki z młodymi ziemniakami i odpowiednio przyprawioną sałatą. Przed nami stał Stilton i wytrawne czerwone wino. Ginger zapytała:

— Nie muszę chyba pytać, czy to właśnie tutaj tak nam się odmieniła stara Kate, prawda? Już od wielu tygodni chodzi jak śnięta, nic do niej nie dociera i wyraźnie widać, że zakochała się w kimś po uszy.

— Ginger! — szepnęłam z oburzeniem, na co pokazała mi język.

— Ależ oczywiście! — przyznał rozbawiony Paul i dotknął ręką

mego policzka. Usłyszałam, że Fig wydała z siebie jakiś dziwny głos, lecz nie miałam odwagi na nią spojrzeć.

— No tak, zawsze jest coś za coś — dodał po chwili. — Nie wiem teraz, co mam zrobić z tym cholernym kursem z angielskiego. Zdaje się, że oblałem dzisiaj kolejny test, Kate. Jeszcze jedna dwójka, a będę miał kłopoty z zaliczeniem semestru.

Spojrzałam na niego błędnym wzrokiem: nawet mi przez myśl nie przeszło, że mógłby mieć jakieś kłopoty z angielskim. Owszem, wiedziałam, że nie czytał za wiele, gdyż każdą wolną chwilę spędzał nad deską kreślarską. Ale jak to możliwe, że mógłby nie zdać egzaminów?

— Witaj w klubie — powiedziała Ginger. — Nie przejmuj się. Kate na pewno ci pomoże. Ona, Fig i Cecie bardzo dużo mi pomogły, kiedy przygotowywałam się do pierwszej sesji. Bez nich nie dałabym sobie rady. A może poprosiłbyś Fig o parę lekcji dokształcających? Ona jest chyba najlepsza na całym tym uniwerku. Będzie pisarka. Odkąd się poznałyśmy, napisała przynajmniej pięć książek.

Paul spojrział na Fig. Pochyliła głowę, aby nie było widać jej twarzy.

— Prawdę mówiąc, nie jestem wcale taka dobra.

Nagle zapragnęłam ją uściskać.

— Fig ma najlepsze stopnie z angielskiego. Nikt wcześniej w Randolph nie był tak dobry jak ona. Nie rozumiem, dlaczego zachowuje się teraz tak skromnie. Nie ma rzeczy, o których by nie wiedziała, i na pewno byłoby jej bardzo miło pomóc ci w przygotowaniu się do egzaminu, jeśli tylko ją ładnie poprosisz. A jeśli ty tego nie zrobisz, to ja to zrobię. Nie możesz sobie pozwolić, żebyś miał obniżoną średnią przez angielski.

Pokręcił przecząco głową.

— Nie chciałbym, aby mnie ktokolwiek douczał — powiedział. — Jestem niecierpliw i nieprzyjemny, kiedy mnie coś nie interesuje. A skoro nie wyobrażam sobie, jak można pasjonować się poezją z okresu elżbietańskiego, Fig znienawidziłaby mnie już po dwóch dniach.

— Nie, na pewno nie — zaprzeczyła Fig gorączkowo i spojrzała na niego z takim uwielbieniem, że musiałam odwrócić od niej głowę.

Och, Paul, nie widzisz, co ona do ciebie czuje? — zapytałam go w myślach.

— Byłoby mi bardzo miło, gdybyś mi pozwolił pomóc sobie — powiedziała Fig, siłąc się na bardzo oficjalny ton. — Oczywiście, jeśli Kate nie ma nic przeciwko temu. — Mówiąc to spojrzała na mnie

takim baranym wzrokiem, że od razu mnie to rozbawiło, ale jednocześnie zdenerwowało.

— Oczywiście, że nie mam nic przeciwko temu — odparłam. — Czy myślisz, że może podejrzewałabym cię, że chciałabyś uciec z nim gdzieś w nieznane?

— Nie — powiedziała cicho Fig i spuściła wzrok. Poczułam wyrzuty sumienia, że jej tak ostro odpowiedziałam, więc dodałam: — Myślę, że to wspaniały pomysł.

Tak więc umówiliśmy się, że Fig będzie pracować z Paulem w poniedziałki, wtorki i czwartki od siódmej do dziewiątej wieczorem.

— Nie miałabyś nic przeciwko temu, aby przychodzić do mnie? — zapytał Paul. — Będę musiał cię przemycać, aby ta stara wiedźma nie zauważyła, ale przynajmniej przygotuję ci lampkę wina i jakąś kolację, a ty w zamian za to będziesz mogła dać mi kopniaka w dupę, jeśli nie będę się dobrze sprawował.

— Nie, nie mam nic przeciwko temu — przyznała Fig. Nie wiedziałam jednak, czy miała na myśli przychodzenie do jego mieszkania, czy też złe sprawowanie. Ale chyba obydwie te rzeczy naraz.

W drodze powrotnej do akademika siedziałyśmy stłoczone w moim MG, a Fig była szczególnie cicha i wyglądała jak naćpana narkomanka lub zahipnotyzowany indyjski wąż. Ginger cały czas mówiła o Paulu.

— On jest fantastyczny — powtarzała. — Niesamowity. Mogę umówić się z nim na randkę?

— Nie.

— No to mogę mu się oddać?

— Ginger, czy ty naprawdę...

— A ty spełniłaś już z nim ten Czarny Akt?

— Zamkniesz się czy nie?! — krzyknęłam do niej z oburzeniem.

— Bo jeśli nie, to jesteś głupia — stwierdziła. — Cecie na pewno wie. No co, Cecie, Kate kochała się z nim czy nie?

— Naprawdę nie wiem — odpowiedziała jej Cecie. — Ale on istotnie jest szalenie przystojny.

Od razu się zorientowałam, choć do tej pory nie wiem w jaki sposób, że Cecie nie darzyła go specjalną sympatią. Nigdy mi tego co prawda nie powiedziała wprost, ale i tak wiedziałam swoje.

— Dlaczego go nie lubisz? — zapytałam ją tej nocy, gdy tylko położyłyśmy się spać.

— A kto ci powiedział, że go nie lubię? — odpowiedziała pytaniem na pytanie i na tym skończyła się rozmowa.

Następnego dnia wieczorem, kiedy spotkałam Paula w kawiarni, podziękowałam mu za wspaniałą ucztę, jaką dla nas przygotował.

— A co u Cecie? — zapytał niedbałym tonem. — Zdałem słynny test Cecie Hart?

— Och, Boże! Dlaczego ty jej nie lubisz? — zapytałam zrezygnowana.

— A kto ci powiedział, że jej nie lubię?

— To wszystko jest bez sensu — powiedziałam. — Ona dokładnie to samo mówi o tobie. Co się z wami wszystkimi dzieje? Myślałam, że wszystko poszło tak dobrze...

— I poszło — zapewnił mnie. — Starałem się, jak mogłem. Ale muszę ci powiedzieć, że wcale mnie to nie dziwi. Ona jest po prostu o ciebie zazdrosna, Kate. Niezbyt mi się to podoba.

— Nie rozumiem cię — powiedziałam zdenerwowana. — Dlaczego miałaby być o mnie zazdrosna? Ona nie jest zazdrosna...

Paul wbił wzrok w swoją filiżankę kawy i nic nie mówił.

— Spotkałem się już z czymś takim we Francji — powiedział powoli, nie patrząc na mnie.

Gapiłam się na niego jak oniemiała i czułam, jak nieprzyjemny chłód ogarnia stopniowo całe moje ciało.

— Insynuujesz, że Cecie... jest inna? — zapytałam zdumiona. — Bo jeśli tak jest...

— Nie, nie! Coś ty?! Zapomnij o tym — przerwał mi. — Na pewno nie pierwszy raz popełniam błąd. Poprawię się. Obiecuję ci to.

I rzeczywiście usilnie próbował się poprawić. Zawsze dopytywał się o nią; pewnego wieczoru przygotował wyśmienity obiad specjalnie dla nas dwojga i dla Cecie, wziął mój samochód, aby przez cały tydzień podwozić ją do biblioteki i z powrotem, kiedy jeszcze czuła się zbyt słaba, aby chodzić pieszo. Bardzo się starała nadrobić zaległości, ale okazało się, że miała coraz większe i większe problemy z nauką. Kiedy byliśmy we trójkę, Paul starał się bardzo, aby rozśmieszyć ją i zabawić, choć nie zawsze mu się to udawało.

W tym okresie zaczęłam zamykać za sobą drzwi do łazienki, kiedy brałam prysznic, chociaż nigdy tego przedtem nie robiłam. Nie wiem, czy Cecie to zauważyła, ale w każdym razie nie skomentowała tego faktu.

Rozdział 8

— Mieliliśmy *navarin d'agneau* — powiedziała Fig tak strasznie przekręcając francuską wymowę, że Cecie skrzywiła się, gdy tylko to usłyszała. — Jest to baranina pieczona z mnóstwem różnych francuskich przypraw i ogromną ilością wina. Wyjątkowa potrawa!

Już na pierwszy rzut oka widać było, że rzeczywiście trochę sobie wypija. Jej oczy, ukryte jak zwykle za grubymi szkłami korekcyjnymi, były zaczerwienione, podobnie jak jej kulfoniasty nos. Właśnie wróciła z pierwszej lekcji z Paulem i nie wiadomo dlaczego zaczęła zachowywać się jak wytworna paryżanka składająca oficjalną wizytę na terenie okupowanym przez Francję. Przyszła do pokoju i w ciągu najbliższych dziesięciu minut jego imię nie schodziło jej z ust. Ciągłe powtarzała: „Paul twierdzi”, „Paul powiedział”, „powiedziałam Paulowi” etc. Cecie, Ginger i ja od razu zwróciliśmy na to uwagę. Jeśli chodzi o mnie osobiście, miałam najszczerzą chęć udusić ją na miejscu.

Po kilku dniach zajęć dowiedziałyśmy się, że Paul uczy ją współczesnej architektury europejskiej (mówi o Corbu i Mieś), opowiada o operze oraz o tradycyjnych potrawach poszczególnych regionów Francji. Po każdym takim posiedzeniu Fig wracała do akademika coraz bardziej podekscytowana i zachwycona. Większość dziewczyn z „Tri Omega” przychodziła wtedy do niej i z ogromnym zaciekawieniem wysłuchiwała jej bajecznych opowieści. Już na korytarzu słyszałam, jak się śmiały. Ja też udawałam, że śmieję się razem z nimi, chociaż wcale nie było mi do śmiechu. Ale zaszkodziłabym sobie jeszcze bardziej, gdybym pokazała im wszystkim, jak bardzo

jestem zła z tego powodu. Pewnego razu, gdy dowiedziałam się, że opowiadał jej o sztuce impresjonistycznej, zdobyłam się na odwagę i zapytałam:

— Mam nadzieję, że między kęsem czegoś wspaniałego a dyskusją o abstrakcjonistach wspominiacie też niekiedy o Edmundzie Spencerze czy Georgu Herbercie?

— Ależ oczywiście! — przytaknęła z zapałem. — Naprawdę bardzo dobrze sobie radzi. Myślę tylko, że on po prostu nigdy nie miał odpowiedniego nauczyciela.

— Aha! — powiedziała Cecie. — Na pewno tak istotnie było.

Następnego wieczora Fig przyszła do naszego pokoju z pamiętnikiem pod pachą.

— Chciałabym, abyś opowiedziała mi wszystko, co wiesz o Paulu, Effie — powiedziała cicho. — Zaczęłam pisać opowiadanie o tobie i o nim. Jest to doskonała *love story*. Wiem już wszystko o tobie, a teraz muszę dowiedzieć się o Paulu. Nie chciał mi nic powiedzieć. Wiesz przecież, jaki on jest zawsze skromny. Ale będzie to ekstra powieść! Kiedyś przysiądę i napiszę ją. Lecz najpierw pozwolę ci przeczytać wszystko, co napiszę w swoim pamiętniku.

— Dzięki — odpowiedziałam — ale jeśli Paul nie chce o sobie opowiadać, to chyba ja też nie powinnam tego robić.

— Chyba po prostu potrzebuje trochę czasu, aby przyzwycząić się do mnie — powiedziała. — Już teraz zaczyna się powoli rozkręcać. Dzisiaj wieczorem opowiedział mi o białym domu nad morzem i pokazał jego plany. Myślę, że jest to najwspanialsza i najbardziej romantyczna rzecz, jaką w życiu widziałam. Przecież wybuduje ten dom specjalnie dla ciebie. Będziesz jak księżniczka w pałacu. Paul jest najwspanialszym mężczyzną, jakiego do tej pory spotkałam. Gdybyś nie była moją starszą siostrą i najlepszą przyjaciółką, ukradłabym ci go.

Skrzywiła się i spojrzała na mnie z ukosa.

— Proszę cię, nie kradnij mi go — powiedziałam najspokojniej, jak mogłam.

— Dlaczego powiedziałaś jej o tym domu? — zapytałam Paula, kiedy następnego dnia spotkaliśmy się na kawie. — Chyba zaczyna już sobie wyobrażać, że będziesz go budował dla niej.

— Och, nie wiem, dlaczego jej to powiedziałem — odparł. — Zobaczyła rysunek i zapytała, co to jest. Wreszcie znalazłem jakiś temat do rozmowy z nią. Prawie cały czas wydaje mi się, że jeszcze trochę, a wyskoczy ze skóry i stanie obok. Zachowuje się jak głupia gówniara. Traktuje mnie jak coś w rodzaju bożyszczka, przed którym

! należy zdejmować buty. Ale nie jest zła — jest wyśmienitą nauczycielką i bardzo pomaga mi w angielskim.

— Dobrze wiesz, że jest beznadziejna — powiedziałam. — To znaczy, że nie opowiadasz jej o operze, o francuskiej sztuce, potrawach i architekturze?

— Pewnie, że nie. Z trudnością udaje mi się kierować rozmowę na temat Edmunda Spencera. Daję jej kolację i trochę wina, aby się rozgadała, lecz nadal wydaje mi się, że woli słuchać płyt i oglądać, co wisi na ścianach. Wszystkie pytania, jakie mi zadawała, zawsze dotyczyły mojego mieszkania i mnie samego.

— Powinieneś posłuchać jej, jak wraca od ciebie wieczorem — powiedziałam. — Jest tak przesiąknięta francuską kulturą i tym całym *la-di-da*, że cały akademik się z niej śmieje. To okropne.

— W mojej obecności tak się nie zachowuje — zaprzeczył.

Pewnego późnego wieczoru pod koniec semestru opowiedziałam Cecie, jak Paul przedstawił mi zajęcia z Fig. Uśmiechnęła się do mnie po swojemu, jak dawniej.

— Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że może wcale nie robią tego, o czym każde z nich opowiada? — zapytała. — Może już w chwilę po przestąpieniu przez nią progę zdziera z niej wszystkie ciuchy i przez całe trzy godziny uprawiają namiętą miłość *a la française*? Może on nazywa ją Emmą, a ona jego — Gastonem, a wszystkie meble aż podskakują w rytm ich namiętności?

Popatrzyłam na nią przez moment i kiedy w wyobraźni ujrzałam ten obraz, wybuchnęłam tak szalonym śmiechem, aż przewróciłam się na łóżko.

— Już to widzę — krzyknęłam. — Najpierw ściąga z niej egzotyczną bieliznę francuską, dotyka pępka, a potem obsypuje jej ciało od szyi do pasa pocałunkami...

— Och, Boże! Przestań! — przerwała mi Cecie. — Za chwilę dostanę zawału serca albo umrę! Jaki pępek? Jaka szyja? Jaki pas? Całowanie Fig to tak, jak całowanie przydrożnego słupa!

— A potem — dodałam — klęka przed nią i całuje jej kolana, coraz niżej i niżej, aż dochodzi do palców u stóp...

— Stop — krzyknęła Cecie. — Przestań już! Zaraz zwymiotuję! On też by zwymiotował! O mój Boże! Jej palce u nóg! Palce Fig!

Zakryłam twarz rękami i zwinęłam się w kłębek na łóżku. Nie mogłam opanować śmiechu. Właśnie byłyśmy w połowie sesji egzaminacyjnej i wszyscy dookoła byli zmęczeni i chcieli trochę odpoczynku w nocy. Dlatego też wkrótce Ginger zaczęła walić w ścianę, aby nas uciszyć, a dziewczyny mieszkające na piętrze zaczęły się do

nas schodzić i wymyślać nam od idiotek. Jednakże obraz Paula całującego stopy Fig, podczas gdy ona promieniowała żarem fizycznego pożądania i miłości, był zbyt groteskowy, abym mogła na niego reagować inaczej.

— Powiedział kiedyś — stwierdziłam w przerwie między jednym wybuchem śmiechu a drugim — że byłoby to jak kochanie się z jednym z siedmiu krasnoludków!

— No dobrze, wystarczy już tego śmiechu. Za długo przeszkadzamy innym — powiedziała Cecie i zgasła światło.

Jeszcze przez jakiś czas leżałam i myślałam o tym. Przecież stosunek miłosny oznaczał dla Cecie jedynie słowo, wyrażenie studentek i studentów lub opis w książce Flauberta albo Henry'ego Millera, czy nawet w *Pieśni nad pieśniami*. Dla mnie natomiast było to coś znanego, coś jak najbardziej realnego, coś, co istniało między mną a Paulem Sibleyem. Wiedziałam, co to jest, ale Cecie — jeszcze nie. Może i domyślała się tego, ale nigdy mi nic nie mówiła. Byłam już w innym miejscu niż Cecie, przeszłam już tę granicę i nie mogłam powrócić do poprzedniego stanu. Czułam się wtedy, jakbym była obca w jakimś kraju i całkowicie samotna.

Nawet teraz często myślę o tamtej nocy. Pamiętam ten śmiech — był to ostatni wybuch śmiechu, jaki przeżyliśmy z Cecie.

Znów zaplanowałyśmy sobie ferie międzysemestralne w nadmorskiej willi rodziców Ginger. Zaprosiła nas tam już na kilka tygodni przed zakończeniem zajęć. Nie wiedziałam, co mam zrobić: z jednej strony bardzo przyciągał mnie ów czarny dom nad samym morzem, a z drugiej — śniade ciało Paula kazało mi zostać w Randolph. Na dzień przed zaplanowanym wyjazdem samochodem rodziców Ginger, który miał być prowadzony przez zgorzkniałego Roberta, Ginger wpadła do naszego pokoju, najwyraźniej z czegoś zadowolona. Cecie właśnie pakowała swoje ubrania. Ja jeszcze się nie zdecydowałam, czy mam się pakować czy nie. Trwałam jakby w letargu.

— Mam dla was niespodziankę — powiedziała Ginger. — Właśnie dzwoniłam do Paula i zaprosiłam go, aby nam towarzyszył. Odpowiedział mi, że już stracił nadzieję, że go kiedykolwiek zaproszę, więc teraz możesz przestać tak rozmyślać i wziąć się do roboty, Kate.

— Och, Ginger! Miałaś idealny pomysł! — krzyknęłam z zachwytem. — Niech Bóg cię błogosławi za takie wszechstronne myślenie. Tyle razy opowiadałam mu o tym domu...

— Podziękuj raczej Fig — odparła. — To był jej pomysł. Chyba nie może znieść świadomości, że będzie musiała się z nim rozstać. Oczywiście musiała mnie o to prosić, ale w końcu się zgodziłam.

— O Boże! — powiedziałam. — Mam nadzieję, że nie masz jednak nic przeciwko temu...

— Mieć coś przeciwko temu? — uśmiechnęła się. — Dwa dni w zamkniętym samochodzie razem z Paulem Sibleyem? Pięć dni oglądania go w kąpielówkach na plaży? Kto by miał coś przeciwko temu?

Zaczęłam się śmiać i ucałowałam ją z radości. Była ciepła i miła w dotyku.

— Kocham cię, Ginger — powiedziałam.

— Wzajemnie — odparła.

Podróż okazała się o wiele lepsza i ciekawsza niż poprzednim razem. Paul ciągle opowiadał nam różne mniej lub bardziej oczywiste kłamstwa o Francuzach i o sobie, nauczył nas kilku brzydkich wyrażeń po francusku i zaśpiewał w duecie z Cecie jakąś równie niestosowną piosenkę. Domyśliłam się, że miała słowa dość frywolne, gdyż Cecie była czerwona jak burak po sam czubek głowy. Kilka podobnych fragmentów odśpiewał potem wraz z Ginger, aż Robert nie wytrzymał i spojrzał na nich wymownie. Pod koniec podróży Paul siedział już obok Roberta i opowiadał mu różne kawały. Wydaje mi się, że Robert też się rozkręcił i dodał jeszcze kilka dowcipów od siebie. Kiedy zatrzymaliśmy się na noc w Charlotte, Paul spał z Robertem, a kiedy zatrzymywaliśmy się, aby coś zjeść po drodze, jadł tylko z nim, chodził z nim do męskiej toalety lub po prostu siedzieli razem w cadillaku i czekali na nas. Gdy dojechalśmy do Warren Bridge, byli już dobrymi przyjaciółmi.

— Pomyślałem sobie, że podczas podróży będzie on albo Fig — powiedział mi później. — Z nich dwojga o całe niebo wolabym sypiać i jadać z Robertem. I wydaje mi się, że on ze mną też.

— To ci się chyba udało — powiedziałam. — Ja natomiast musiałam siedzieć z tyłu i przez całą drogę przyglądać się, jak Fig gapi się na ciebie tymi swoimi wyłupiastymi oczami i pożera cię wzrokiem. Już na sam twój widok jest bliska orgazmu. Cecie też to zauważyła.

— Jak na zakonną dziewicę, Cecie wie dosyć dużo o miłości — odparł Paul, uśmiechając się do mnie.

Kiedy minęliśmy Manteo, Paul zamilkł nagle, a po przejechaniu mostu w Umstead nad rzeką Roanoke Sound pochylił się do przodu i wyłączył klimatyzację. Otworzył okno i wszyscy poczuliśmy od

razu wspaniały zapach wiatru wiejącego znad morza. Wzięłam głęboki wdech i Paul zrobił to samo. Nadmorski wiatr zawsze był dla mnie symbolem wolności, niezależności i pięknego lata.

Wreszcie wjechaliśmy na teren przed domem Ginger. Kiedy wszystkie cztery wysiadałyśmy z samochodu, śmiejąc się głośno i rozmawiając, Paul zamyślił się i dopiero po jakimś czasie wysiadł, by przyjrzeć się willi. Ręce trzymał w kieszeniach. Robert wnosił właśnie bagaże dziewczyn do domu. Tym razem państwo Fowler nie wyszli nas przywitać.

Wzięłam Paula za rękę.

— Chodź — powiedziałam. — Pokażę ci coś, zanim wejdziemy do środka.

Oprowadziłam go dookoła domu, poszliśmy w stronę sosen, a potem na wydmy.

Podobnie jak za pierwszym razem, gdy rok wcześniej zobaczyłam to miejsce, dzika plaża była zupełnie pusta. Wydmy kontrastowały z wieczornym morzem, a fale morskie rytmicznie uderzały o brzeg. Ich szum tworzył romantyczny nastrój. Bardzo silny przypływ wzmacniał krzyk mew, które nie miały gdzie się schronić. Woda była ciemnogramatowa i w oddali widać było słabe światło latarni morskiej. Powietrze, cieplejsze niż na wiosnę, przypominało mi grzany miód. Jednakże wiatr ochładzał nas i był tak rześki jak wytrawne wino. Oddychaliśmy pełną piersią, równocześnie robiąc głębokie wdychy i wydechy. Spojrzeliśmy na siebie, nadal nie mówiąc ani słowa.

Paul odwrócił się i popatrzył na wielki dom Ginger. Widać było, że zawładnęły nim marzenia. Mocniej ścisnął mnie za rękę i poczułam, jak jego ciało przeszedł dreszcz emocji lub silnego uczucia, podobny do dreszczy, jakie miewał w czasie orgazmów. Wyraz jego twarzy nie zmienił się, lecz zauważyłam, że zacisnął zęby.

— Czyż nie mówiłam ci? — zapytałam. Czułam, że kocham go jeszcze mocniej niż dotąd.

Nie odpowiedział na moje pytanie. Nadal patrzył na dom, a potem na linię wyznaczoną przez granice wydm.

— Wybudowałbym go tutaj — powiedział w końcu — na tej najwyższej wydmie po lewej stronie. Okna wychodziłyby wtedy prosto na morze. Mógłbym zachować zaprojektowany dach i wówczas zostałaby utrzymana jedność z otoczeniem. Z salonu widać by było morze aż z trzech stron, aż do samej Hiszpanii czy gdziekolwiek zechcesz. Chociaż nie wiem, czy można budować na piasku tak blisko morza. Może są jakieś przepisy. Muszę się tego dowiedzieć...

Ponownie zamilkł. Dobrze wiedziałam, co miał na myśli.

— A jak by wyglądał biały tynk połączony z takim czarnym, starym drewnem? — zapytałam. Zabrzmiało to wyjątkowo pedantycznie. Nie wiem, skąd mi przyszło do głowy takie pytanie.

— Wykorzystałbym stare drewno na zewnątrz. Taka stara czerń wygląda wspaniale. Sprawia wrażenie czegoś bardzo twardego na tle zimnego morza. Ale w środku będzie wszystko na biało...

— Będzie tam pięknie, prawda? — zapytałam. — Wiedziałam, że Oute Banks będzie ci się podobało. Podobnie jak ten dom. Ze wszystkich ludzi, jakich znam, ty najbardziej pasujesz do takiej posiadłości, chociaż wcale nie jest ona nowoczesna.

— Nie — odparł. — Myślałem, że nowoczesność jest bardzo ważna, ale teraz przekonałem się, że wcale tak nie jest.

Tego wieczora podczas obiadu Paul oczarował państwa Fowler, podobnie jak w czasie podróży oczarował Roberta. Nigdy wcześniej nie widziałam, by tak się zachowywał — byłam z niego tak dumna, jak matka ze swego udanego dziecka. Zawsze mówił odpowiednie rzeczy w odpowiednim momencie i do odpowiedniej osoby, a ja promieniałam z radości.

Było w tym jednak coś dziwnego. Paul stał się nagle uśmiechniętym i pewnym siebie mężczyzną, który wiedział, jak podejść do nowobogackiego właściciela fabryki i jego pięknej żony. Stał się innym człowiekiem niż ten, którego znałam jako mojego chłopaka i kochanka. Miałam wrażenie, jakbym siedziała naprzeciwko kogoś, kogo powinnam znać, ale w istocie nie znam. Nie wiem, skąd się wzięło we mnie to uczucie. Zaczęłam się już niecierpliwić, aby nadszedł wreszcie czas, gdy będziemy mogli wieczorem usiąść na tarasie sami, porozmawiać w cztery oczy i pospacerować po ciemnej plaży. Poczułam, że koniecznie muszę go dzisiaj mieć.

Kiedy Regina Fowler wniosła deser, pokręciła w zamyśleniu głową i powiedziała:

— Wydaje mi się, że raczej wcześniej niż później pewne osoby spędzą tutaj miesiąc miodowy.

Natychmiast poczułam, że się czerwienię.

— Gdy tylko Kate zmusi go, aby się jej oświadczył — powiedziała Ginger. — Nie wyjdzie za niego, dopóki on nie padnie przed nią na kolana.

Fig zaczęła się głośno śmiać. Paul też się uśmiechnął i pytająco spojrzął na Reginę Fowler.

— Pół roku temu Kate powiedziała, że chciałaby spędzić tutaj miesiąc miodowy — wyjaśniła mu. — Oczywiście, wszyscy się

zgodziliśmy. I zdaje się, że potrafi przewidywać przyszłość, bo wtedy jeszcze cię chyba nawet nie znała.

Paul uśmiechnął się jeszcze szerzej: — Czułbym się tutaj lepiej niż w niebie — stwierdził.

— A może trzeba by zorganizować tutaj cały ślub? — krzyknęła z zapałem Fig. Jej twarz była już zaczerwieniona wskutek wypitego wina i wielkiego podniecenia. Przebrała się w jakiś bardzo dziwny strój — suknię w wielkie kwiaty długą do samej ziemi. Był to szyfon lub poliester. Mogłaby zamieść nią podłogę w całym domu. Skąd ona wytrzasnęła taki strój? Wyglądała jak bohaterka podrzędnego filmu z lat trzydziestych lub jak komiczna aktorka, której nigdy nic nie wychodzi.

— Możemy więc poprosić państwa Fowlerów o wynajęcie nam tego domu na jakiś czas — stwierdziłam zawstydzona całą tą sytuacją.

Regina Fowler była oczywiście zachwycona propozycją.

— Ależ wspaniale! — krzyknęła. — Zawsze myślałam, że ślub zawarty w lecie na tym starym tarasie lub nawet na tamtych wydmach... no wiecie... Trochę odświeżonego nastroju, jakiś bukiet polnych kwiatów i może mały kwartet smyczkowy...

— ...całe, całe metry welonu z tiulu i ogromne kapelusze na pamiątkę dla wszystkich gości — dodała Fig. — Ja i Ginger oczywiście też przyjedziemy. Wszystkie dziewczyny z „Tri Omega”!... Och, Effie, będzie to pierwszy ślub w naszym klubie!

— Zawsze miałam jednak nadzieję, że to Ginger pierwsza z was wyjdzie za mąż — powiedziała Regina — lecz wydaje mi się teraz, że zestarzeje się do tej pory tak, iż będzie musiała jechać na swój ślub na wózku inwalidzkim, a my z ojcem będziemy już w domu starców. Więc możecie teraz korzystać z wolnego domu i tutaj brać ślub.

— Jeszcze przed nami co najmniej półtora roku — powiedział Paul.

— Ale nie zapomnijcie. Oferta jest cały czas aktualna.

— Na pewno nie zapomnimy — zapewnił Paul.

Miejscowość ta, pobliskie morze i wrześnie pogoda umówiły się chyba ze sobą, by wyrzucić na nas jak najlepsze wrażenie. Przyjechaliśmy tam z mocnym postanowieniem wstawania dopiero w południe, lecz świeże powietrze i cichy szum oceanu, znajdującego się tuż za wydmami, wyganiały nas z łóżek bardzo wcześnie, natomiast gwiaździste niebo, przecinane co jakiś czas błyskiem spadającej gwiazdy, odpędzało od nas sen, więc leżeliśmy do późnej

nocy na leżakach na tarasie. Owijaliśmy się kocami i wełnianymi swetrami, aby nie zmarznąć, i podziwialiśmy otaczającą nas przyrodę. Z kolei całe dni spędzaliśmy na plaży, wylegując się w ciepłych promieniach słońca. Zamykaliśmy oczy, nie przejmowaliśmy się niczym i nie myśleliśmy o żadnych problemach. Właśnie wtedy odkryłam ową cechę charakterystyczną tylko i wyłącznie dla morza lub oceanu — ową ponadczasowość. Czas się tu zatrzymuje i człowiek traci zupełnie jego poczucie. Najlepiej jest leżeć sobie nad morzem w stanie półświadomości i oddychać w tempie szumu fal — można czuć się wtedy jak jakieś małe żyjątko, które kilka milionów lat temu wyszło z ciepłej wody i zapoczątkowało życie na ziemi, życie w promieniach jeszcze cieplejszego słońca. Tak więc już pierwszego dnia spędzonego razem z Paulem na plaży w Nag's Head zrozumiałam, że już nigdy nie zdołam wytrzymać zbyt długo z dala od morza.

Nie dotykaliśmy się z Paulem, jeśli nie liczyć trzymania się za ręce, kiedy leżeliśmy na plaży lub kiedy wspinaliśmy się po wydmach czy biegaliśmy wzdłuż brzegu. Było to swego rodzaju przesunięcie na później czegoś niezwykłego, gdzie już samo oczekiwanie było bardzo miłe. Patrzyłam na niego, a on na mnie, i nasze powieki stawały się ciężkie, kolana zaczynały mi się uginać, a całe moje ciało opanowywało fizyczne pożądanie. Patrzyłam na jego silne, brązowe ręce i rozmyślałam, w które części mego ciała dotrą, kiedy i w jaki sposób. Byłam wręcz bliska omdlenia. Kiedyś wyciągnęłam rękę i dotknęłam ciemnych włosów, które rosły mu od pępka w dół, ginąc pod kolorowymi kąpielówkami. Odwrócił się na brzuch i uśmiechnął się do mnie, nie otwierając nawet oczu.

— Zrób to jeszcze raz, a dostarczę Fig czegoś nowego do opisanja w jej pamiętniku — powiedział.

— Co zrobisz? — zapytałam rozmarzonym głosem.

— Zrób to jeszcze raz, a zobaczysz.

Usłyszałam, jak śmieje się bez troski.

— Odwróć się, abym mogła cię dosięgnąć — powiedziałam.

— Żartujesz? Zaraz nadbiegnie straż z armatkami wodnymi i zanim się zorientuję, zostanę zdmuchnięty z tego koca przez silny strumień wody. Wszystkie okoliczne dzieci zaczną się ze mnie śmiać, a Fig wyskoczy z tych swoich fatałaszków i od razu rzuci się na mnie.

Fig przywiozła ze sobą ogromne zapasy garderoby we wszystkich możliwych odcieniach różu; całe mnóstwo różnorodnych marszczeń, bufek i zakładek. Nawet czepek kąpielowy miał na sobie różowe kwiatki.

— Patrzcie, lilia wodna — powiedziała do nas Fig, wskazując jakiś kwiatek.

— Kiedy Fig zanurzona jest w wodzie po samą szyję, wygląda jak portugalski pirat — stwierdziła Cecie.

— Fig zanurzona w wodzie po szyję wygląda o wiele lepiej niż Fig stojąca na piasku — sprostowałam. Paul pogroził mi palcem.

— Boże! To biedna dziewczyna! Mając takie przyjaciółki jak wy, wcale nie potrzebuje już wrogów. Pójdę z nią popływać.

Wszedł w fale i pociągnął ją za sobą daleko poza boje bezpieczeństwa. Musiał trzymać ją w ramionach, gdyż Fig nie umiała pływać. Nawet z tak dużej odległości widziałyśmy, że powieki miała mocno zaciśnięte i była blada jak prześcieradło.

— Och, Boże! Ależ ona musi być przerażona! — powiedziałam. — Paul nie powinien był tego robić.

— Ona wcale nie jest przerażona. Po prostu ma swój pierwszy w życiu orgazm, i to pośród fal Atlantyku — wykrzyknęła rozbawiona Ginger. — Bardzo dobrze znam taki wyraz twarzy.

— Ginger! — krzyknęłyśmy razem z Cecie, ale śmiałyśmy się przy tym.

Paul był tak samo ujmujący na plaży, jak i w samochodzie czy przy stole. Nie tylko pływał z Fig — on i Ginger urządzali sobie wyścigi, wypływali daleko w morze i nurkowali. Oboje wyglądali wspaniale w wodzie: on — ciemny, szybki jak błyskawica, a ona — zgrabna i zwinna. Spacerował razem z Cecie po wydmach, wypytywał ją o rośliny rosnące dookoła i dowiadywał się, gdzie rośnie jaki gatunek. Słuchał uważnie wszystkiego, co mu mówiła, a ona była miła i ujmująca. Ale wiedziałam i Paul chyba też, że wcale go nie lubi. Był to jedyny niemiły fakt podczas całego naszego pobytu nad morzem.

Czasami Paul i ojciec Ginger chodzili popływać na deskach surfingowych, podczas gdy mama Ginger przygotowywała dla nas obiad. Czasami wybieraliśmy się po różne owoce morza (kraby, krewetki, małże i inne stwory) do małych restauracji wzdłuż głównej autostrady. Pewnego wieczoru pojechaliśmy aż do Jockey's Ridge, najwyższej położonej wydmy na całym Wschodnim Wybrzeżu. Obserwowaliśmy, jak kolorowe latawce unoszą się na silnym wietrze. Wieczór ten pełen był wiatru, morza i otwartej przestrzeni. Wszyscy byliśmy jak pijani. Obejrzeliśmy też pomnik Wrighta w Big Kill Devil Hill i wtedy opanowała mnie myśl, iż wszystko to wydaje się jakies nierealne, cudowne i niemożliwe — oto stałam wśród porywów wiatru, patrzyłam na puste i bezkresne morze, a Paul był obok mnie.

Zaplanowaliśmy sobie także kilka wypraw do okolicznych miejscowości, na przykład na wyspę Roanoke, gdzie chcieliśmy zobaczyć niewielki stary port rybacki w Wanchese i zjeść świeżo złapanego tuńczyka, oraz do ślicznego Manteo, aby zwiedzić Ogrody Elżbietańskie i łajbę Sir Waltera Raleigha o nazwie „Elizabeth II”. Jednakże minął już niemal cały tydzień, a my spędzaliśmy czas właściwie wyłącznie na plaży. Przede mną był teraz okres chyba najtrudniejszy w moim życiu, okres końcowych egzaminów i obrony dyplomu. Za trzy miesiące będzie już po wszystkim. Z jednej strony oczekiwałam już tego triumfalnego końca, lecz z drugiej — bałam się przyszłości. Zawsze bałam się nieznanego, gdyż nie wiedziałam, czy będę umiała sprostać temu, co mnie czeka. Tymczasem jednak, w te ostatnie dni lata, byłam szczęśliwa, że mogę sobie leżeć na plaży, przyglądać się morskim falom i rozmyślać o moim obecnym i przyszłym życiu. Na razie miałam jeszcze czas na rozpoczęcie nowego życia. Wystarczająco dużo czasu...

Ostatniego dnia naszego pobytu w Outer Banks pojechaliśmy cadillakiem autostradą nr 12 wiodącą wzdłuż brzegu morza. Udaliśmy się z Nag's Head w kierunku Hatteras Ferry na wyspie Ocracoke, leżącej około osiemdziesięciu mil na południe. Był to dzień bardzo piękny i wszystko dookoła nas wyglądało szczególnie atrakcyjnie. Ocean odbijał promienie słoneczne i tafla wody lśniła różnymi kolorami. Ojciec Ginger powiedział nam, że takie dni nazywane są w Outer Banks „rodzicami pogody”.

— Po takim dniu sztorm jest pewny jak w banku — oświadczył.
— Najlepszą rzeczą w tej całej waszej dzisiejszej wyprawie jest to, że wracacie na wieczór i nigdzie nie zostajecie na noc. O tej porze roku sztormy przemieniają się na ogół w prawdziwe huragany.

— Chciałbym zobaczyć taki sztorm — stwierdził Paul. — Wiem, co silne wiatry potrafią zrobić w Everglades, ale tutaj teren jest położony stosunkowo wysoko, a ziemia jest twarda jak skała. Taki huragan to dopiero musi być widok!

— Tylko ci się wydaje, że chciałbyś go zobaczyć — odparł pan Fowler. — Pewnego razu jeden ze znajomych opowiedział mi o pewnym strasznym sztormie latem 1938 roku. Wyobraźcie sobie, że znalazł w salonie swojego domu żywego jeszcze żółwia morskiego.

— Och! — westchnęłam. — Biedne zwierzę?

— Nic mu się nie stało — zapewnił mnie pan Fowler i uśmiechnął się. — Mój znajomy trenował kiedyś podnoszenie ciężarów, więc nie sprawiło mu to specjalnych trudności. Wyturlał go aż na samą

plażę i wypuścił do morza. Prawdopodobnie żółw ten żył jeszcze długo i szczęśliwie.

Zaczęliśmy się śmiać i byliśmy oczarowani tym przedziwnym opowiadaniem.

— Jestem przekonana, że to miejsce jest zaczarowane — powiedziałam. Wszystko tutaj kończy się dobrze.

— Rzeczywiście na to wygląda, prawda? — przyznał mi rację i zatrzaskał maskę samochodu, abyśmy mogli już odjechać.

Wyjechaliśmy z Nag's Head i skierowaliśmy się ku wyspie Bodie, gdzie morze i plaża są już zupełnie dzikie. Po drodze mogliśmy obejrzeć miejsce, w którym zatopiony jest wrak „Laury Barnes”, ostatniego dalekomorskiego szkunera wyprodukowanego w USA. Zatonął on w roku 1918 podczas jednego z wiosennych sztormów u wybrzeży plaży Coquina. Za zatoką Oregon zaczynał się już teren państwowy, gdzie królowała dzika, pierwotna przyroda. Chłoniliśmy łapczywie jej wspaniałe pierwotne piękno: poprzez skórę, nos, język i uszy. Nic nie przesłaniało linii horyzontu. Nie było tam żadnych domów ani nawet rybackich szop pobudowanych zwykle na wydmach. Oprócz morza, plaży i wydm był tam tylko mały gaj ostrokrzewów, cedrów i dębów. Wszystko miało bardziej żywe i intensywne kolory niż zazwyczaj. Po dzikich plażach, otoczonych z jednej strony morzem, a z drugiej wysokimi wydmami, hulał silny wiatr. Wyglądało na to, iż jest to obszar całkowicie dziewiczy, na którym nigdy dotąd nie powstała ludzka stopa. Było to zupełne odludzie. W tym momencie zdałam sobie sprawę, że nawet mówimy przyciszonym głosem. Spojrzałam na Cecie, a potem na Paula; oboje — zda się nieobecni duchem — siedzieli w samochodzie. Pomyślałam, że to miejsce sztormów i pustki oraz magiczne światło promieni słonecznych jest wyjątkowe i spotyka się je tylko tutaj. Nagle wspomniałam, jak na wiosnę, kiedy po raz pierwszy przyjechaliśmy do Outer Banks, nadszedł straszny sztorm i w środku nocy odnalazłam Cecie, gdy naga stała po kolana w spienionych falach, nurkowała i pływała w morzu. Wydawało mi się, że Paul postąpiłby tak samo. Znowu zaczęłam się zastanawiać, dlaczego on i Cecie tak się nie lubią; przecież pod wieloma względami są wręcz identyczni. Są całkowicie *kompatybilni*, jak by to określiła Fig.

Minęliśmy rezerwat dzikich ptaków wodnych i kilka małych miasteczek. W większości z nich jedynymi ciekawszymi miejscami były sklepiki z pamiątkami oraz pobliskie plaże. Miały bardzo dźwięczne nazwy: Południowe i Północne Rodanthe, Waves, Salvo etc. i wyglądały na miejsca, gdzie mieszkało bardzo mało ludzi,

z czego w ogóle się utrzymują i jakie jest to ich życie. Bardzo mnie to zaciekawiło. Wobec Nowego Jorku czy reszty Wschodniego Wybrzeża wszystko wydawało się tutaj cofnięte o całe lata świetlne. Ów zatrzymany czas był dla mnie jedną z głównych atrakcji w tej okolicy. Jestem przekonana, że kiedy przyjeżdża się w takie miejsce i jest się bardzo szczęśliwym, szczęście to pozostaje już do końca życia...

Tuż przy przylądku Hatteras, w pobliżu małej wioski o nazwie Avon, przejechaliśmy obok kilku domków, na widok których Paul gwałtownie zahamował i cofnął cadillaka, abyśmy mogli je dokładnie obejrzeć. Wszyscy byliśmy zachwyceni tym widokiem. Domki były prawie identyczne, ustawione półkolem, małe, wąskie i poczerńnięte od wichrów. Wyglądały jak wymyślne letnie dachy lub domki dla lalek. Ich dachy zrobione zostały z cedru, a na ścianach widniały liczne płaskorzeźby i różne ozdoby z czegoś, co przypominało sztuczny diament. Zarówno okiennice, jak i drzwi także były bardzo ozdobne. Wycięte w nich były półksiężycy. Małe okna zasłonięto dodatkowo wielkimi pelargoniami. Nad tymi budowlami z bajkowej krainy dziecięcych zabaw górowały masywne, kamienne kominy. Każdy domek otoczony był dookoła pomalowanymi na biało kamieniami.

— Chryste! Wygląda to jak Królowa Śnieżka i Siedem Domków! — powiedział Paul. Był nimi zachwycony podobnie jak my. Stanowiły kwintesencję wszystkiego, co architekt i dekorator wewnątrz mogli razem wymyśleć. Nie było ważne, że wszystko to wymagało gruntownego remontu.

— O.K! Bez względu na wszystko chciałabym tu pomieszkać — powiedziała Cecie.

— Nie ma tu nawet żadnego napisu — stwierdził Paul.

— Jest, tylko musisz się jeszcze trochę cofnąć. Przewrócił się i leży na ziemi.

Paul cofnął więc samochód jeszcze trochę i rzeczywiście zobaczyliśmy napis: „Motel Carolina Moon. Na dni — tygodnie — na godziny. Magiczne Palce”.

— Co to są Magiczne Palce? — zapytała Fig, marszcząc brwi.

— To znaczy, że wkładasz je pod kołdrę i łaskoczą cię — zaczęła się śmiać Cecie. — Jest to lokalny dom schadzek. Istniał już tutaj chyba od zarania dziejów.

Wysiedliśmy z samochodu, aby lepiej się przyjrzeć. Żaden z domków nie był oświetlony, więc stały chyba puste. Obok wznosił się większy budynek, do którego drzwi była przyczepiona karteczka: „Wyszłam na lunch. Wrócę o 13.00”.

— Chyba ci, którzy wołają południe, mieliby pecha — stwierdził Paul. — Boże! Jest to idealne, wspaniałe miejsce. Katie, kochanie, kiedy przyjedziemy do Outer Banks na miesiąc miodowy, przywiezę cię tutaj specjalnie na noc poślubną. Te Magiczne Palce doprowadzą cię do prawdziwego szaleństwa.

— Już nie mogę się tego doczekać — powiedziałam. I rzeczywiście tak było, chociaż dziewczyny sądziły, że żartuję.

— Cha, cha, cha! — śmiała się zachwycona Fig. — Muszę to zapisać w swoim pamiętniku!

Tym razem nikt nawet na nią nie krzyknął. Minęliśmy California Moon i udaliśmy się w kierunku latarni morskiej w Hatteras, a potem do samego Hatteras, gdzie poszliśmy na lunch składający się z gotowanych na parze krabów i z piwa. O godzinie czwartej wyruszyliśmy z powrotem do domu. Carolina Moon nadal wyglądał tak samo zachęcająco jak rano, przede wszystkim z powodu tych Magicznych Palców.

— Jest to przynajmniej ciekawe miejsce, gdzie można przeczekać szalejący sztorm — powiedziałam. — Można napalić sobie w kominku, wziąć butelkę wina i iść do łóżka.

Ginger zaczęła się śmiać.

— Musiałabyś więc najpierw być dobrą pływaczką — powiedziała. — Podczas silnego sztormu wszystkie mosty dojazdowe są pozrywane i nikt nie może się tutaj dostać. Nawet jeśli ma ogromną ochotę na Magiczne Palce.

— Szkoda! — westchnęłam. — Byłby to wspaniały afrodyzjak. Och, Boże! Cóż za przepiękny dzień, prawda?

Wieczorem ostatniego dnia pobytu w Outer Banks zjedliśmy kolację na tarasie. Nad nami na niebie zaczęły zbierać się ciężkie burzowe chmury, zgodnie z tym, co przewidywał pan Fowler. Właśnie wtedy Ginger opowiedziała nam historyjkę o syrenach śpiewających pieśni dla marynarzy i przepowiadających im przyszłość.

— Jakiego rodzaju były to syreny? — dopytywała się Fig. — Jedyne syreny, o jakich kiedykolwiek czytałam, pochodziły z Grecji lub Niemiec (czyli Dziewice znad Renu). Wydaje mi się, że te, o których opowiadasz, były Indiankami i chyba śpiewały indiańskie piosenki.

Wszyscy zamilkliśmy. Nikt z nas nie miał odwagi spojrzeć na siebie nawzajem. Wiedziałam, że wszyscy robili, co mogli, aby nie wybuchnąć śmiechem. Po prostu zbyt wiele się naśmiewaliśmy z Fig, więc był już najwyższy czas, aby się powstrzymać. Jednakże ona prowokowała nasz śmiech na każdym kroku, trudno więc było zachowywać powagę.

Cecie poszła do kuchni przygotować nam herbatę. Nagle zza otwartego kuchennego okna usłyszeliśmy jej głos:

— Kiedy krzyknę „yyyyyyyy”, to odpowiecie mi „tyyyyy”...?

Dopiero wtedy mogliśmy bezpiecznie wybuchnąć głośnym śmiechem. Nawet Paul przyłączył się do nas. Nie mogliśmy się opanować i nawet jedno spojrzenie mogło rozbawić nas na nowo.

Wreszcie wszyscy poszli spać, a ja i Paul zostaliśmy jeszcze na tarasie. Przeszliśmy na hamak rozwieszony przez pana Fowlera między dwoma drzewami i ostrożnie położyliśmy się na nim. Leżeliśmy bez ruchu, aby nie spaść na ziemię.

— Naprawdę powinniśmy już iść do domu — powiedziałam. — Jutro rano musimy wstać bardzo wcześnie, a ja jeszcze się nie spakowałam.

— Poczekaj jeszcze minutkę — poprosił. — Przez cały ten tydzień nawet przez chwilę nie mogliśmy być sami. Przez pięć dni patrzyłem na twoje prawie nagie ciało, odziane jedynie w kostium kąpielowy, i nawet nie mogłem cię dotknąć.

— No to i teraz tego nie rób — stwierdziłam przekornie. — Jeśli mnie dotkniesz, zaczniemy robić to tutaj, w tym hamaku, i wszyscy nas usłyszą. Doskonale będą wiedzieli, co robimy...

— Już wiedzą — zapewnił mnie i położył rękę na mojej piersi.

Głęboko wciągnęłam powietrze i poczułam, jak żar przenika całe moje ciało.

— Przestań — szepnęłam. — Och, przestań już...

— A co powiesz na to? — zapytał i przesunął rękę w dół mojego ciała, aż pod gumkę przy szortach i głębiej, w ruń łona. Wyprostowałam się i rozwarłam uda. Wiedziałam już, że jesteś zgubieni.

Już niemal wszedł we mnie, mrużąc mi prosto w ucho namiętne słówka, a ja byłam zaślepiona i ogarnięta dzikim pożądaniem. No i stało się! Chciałam się podnieść, hamak się przechylił, a my spadliśmy z wielkim łoskotem na ziemię. Taki łomot zbudziłby nawet umarłych. Zamarliśmy w bezruchu na trawie. Byliśmy nadzy i obejmowaliśmy się. Z trudem łapałam oddech, ale poczułam, jak wzbiera we mnie śmiech. Widzieliśmy, jak ktoś zapala w domu światło. Bardzo szybko poderwaliśmy się na równe nogi i ubraliśmy się. Usiedliśmy na schodach, jakby nic się nie stało, ale od razu zrobiło nam się strasznie zimno, gdyż nadal mieliśmy gołe stopy. Z trudem powstrzymywaliśmy się od śmiechu. W końcu światło zgasło.

— Chyba był to jakiś znak — powiedział Paul. — Ale obiecuję ci jedną rzecz, Katie Stuart Lee. Kiedy znowu tu przyjedziemy,

jeszcze zanim wejdziemy do domu i rozpakujemy rzeczy, zamierzam się z tobą tu kochać, nawet jeśli miałyby to oznaczać dla mnie jazdę przez całą noc.

— Ale jeśli weźmiemy tu ślub, to nie będziesz musiał jechać przez całą noc — powiedziałam. — Nie będziesz musiał nawet się rozpakowywać. Po prostu tylko poczekaasz, aż wyjedzie ostatni gość, i wtedy rozepniesz rozporek. Jest to chyba najlepszy argument przemawiający za tym, aby wziąć ślub w Nag's Head.

— Nie kuś mnie — powiedział. — Jestem pewien, że twoja matka nigdy się na to nie zgodzi. Bardzo źle robię, że wciągam cię pomiędzy północnych Jankesów. Znam mamy na Południu USA. Będzie musiała to być impreza z dwunastoma druhami, fontanną szampana, ogromnym namiotem rozstawionym w ogrodzie i Bóg wie z czym jeszcze. Będę więc szczęśliwy, jeśli zdołam zawlec cię na ten hamak już w tydzień po ślubie.

I wtedy opowiedziałam mu wszystko. Siedziałam obok niego w zupełnym mroku i opowiadałam mu o moim ojcu, o latach pracy w Cape, o wiecznej nauce, o pieniądzach, które nigdy naprawdę nie istniały, o Lee, który nigdy nie był prawdziwym Lee, o smutnym salonie w domu nad rzeką Santee oraz o samobójstwie ojca nad tą samą rzeką.

— Już wcześniej powinnam ci była to powiedzieć, ale naprawdę nie myślałam, aby miało to coś między nami zmienić — powiedziałam. — Wiem, że i tak nie przywiązujesz do tego wagi i wszystko między nami pozostanie po staremu. Ale nie zniosę dłużej świadomości, iż wierzysz, że jestem taka bogata. Bardzo daleko mi do bogactwa. Ale i tak to przecież nic nie zmienia: nadal chcę jechać do Nowego Jorku i tam podjąć pracę, a ty zaczniesz prywatną praktykę i budowę tego domu...

Przerwałam na chwilę, aby dać mu czas na zebranie myśli i na jakąś odpowiedź. Ale nie odezwał się. Siedział obok mnie na schodach domu Ginger i wpatrywał się w morze i zachmurzone niebo. Nie powiedział ani słowa. Szkoda, że nie mogłam widzieć jego twarzy.

— Nie ma to dla ciebie znaczenia, prawda? — zapytałam niepewnie. — Przecież mnie bardzo kochasz.

— Jediną rzeczą, która mi się w tym nie podoba, jest to, że nie powiedziałaś mi o tym wcześniej — odparł jakimś dziwnym głosem. — Problem w tym, że myślałaś, iż będzie to miało dla mnie znaczenie. Musiałaś tak myśleć, bo inaczej powiedziałaśbyś mi od razu. Czy rzeczywiście myślałaś, że jest to dla mnie ważne?

— Chyba w ogóle o tym nie myślałam — powiedziałam zrozpaczona. — Jakoś nigdy nie było do tego odpowiedniej okazji. Przepraszam! Proszę, nie odtrącaj mnie teraz.

Znowu zamilkł, a ja płakałam nad własną naiwnością i głupotą. Nie mogłam znieść tego milczenia.

— Och, Kate, nie płacz — powiedział w końcu. — Nie ma to przecież żadnego znaczenia. Nic się między nami nie zmieniło. Powiedziałaś mi teraz i już po bólu. Chodź i obejmij mnie.

Przyciągnął mnie do siebie i pocałował w czoło. Wreszcie przestałam płakać. Siedzieliśmy tak bardzo długo. Słuchałam bicia jego serca i czułam ciepło jego ciała. W końcu wiatr od oceanu przybrał na sile i musieliśmy wrócić do domu. Kiedy weszłam do naszego pokoju, Cecie spała już głęboko odwrócona do okna. Ale ja długo jeszcze nie mogłam usnąć.

Następnego dnia dojeżdżaliśmy już niemal do mostu Lindsay Warren, kiedy wreszcie przerwaliśmy długie niezręczne milczenie i zaczęliśmy rozmawiać.

— No co? — zapytała Ginger i odwróciła się na przednim fotelu, aby móc lepiej widzieć Paula. — Wszystko było dokładnie tak, jak wam opowiadałam, no nie?

— Jak najbardziej, Gingerooney — odparł. — Było dokładnie tak, jak mówiłaś, a nawet jeszcze lepiej.

Teraz wszystko zależało wyłącznie ode mnie. Do obrony w grudniu zostało już bardzo mało czasu. Już nie będzie żadnych wakacji, abym mogła sobie wmawiać, że mogę coś odłożyć „na po feriach” albo zrobić „w następnym semestrze”. Nie będzie już następnego semestru. Już sama myśl o tym mnie przerażała.

Paul powtarzał mi kilka razy, że przypominam mu porzucone skrzypce. Płakałam wtedy więcej i częściej niż kiedykolwiek potem. Nawet po śmierci Stephena i po wykryciu u mnie raka nie rozpaczalam tak, jak tamtej jesieni. Obydwa te horrory były i tak zbyt straszne, aby można było sobie ulżyć płacząc. Jednakże w czasie ostatniego jesiennego semestru w Randolph wszystko działało na mnie jak prąd elektryczny i od razu powodowało łzy. W październiku chodziłam o zmierzchu po miasteczku akademickim i czułam zapach ziemniaków pieczonych w ogniskach. Myślałam, że jest to już ostatni raz, kiedy to czuję lub kiedy widzę światła miasteczka. Sobotnie imprezy na stadionie działały na mnie jeszcze bardziej przynębiająco. W listopadowe wieczory wchodziłam prosto z deszczu do

kawiarni Harry'ego, a hałas w niej panujący i ogólna atmosfera doprowadzały mnie do rozpaczy, gdy tylko przypomniałam sobie, że życie to kończy się już dla mnie. Rozczulałam się nawet na widok mojej lampki zapalanej przy desce kreślarskiej w McCandless czy jesiennego deszczu za oknami pracowni. W następnym semestrze jakaś inna głowa pochyli się tutaj nad projektami. Nostalgie wywoływały nawet myśli o spotkaniach klubowych. Szczery uśmiech Ginger zachęcał mnie do podbiegnięcia i uściskania jej. Raz czy dwa razy uściśnęłam nawet Fig, która zaczerwieniła się cała i zawstydziała.

Nie wiem dlaczego, ale nie mogłam spojrzeć Cecie prosto w oczy. Kiedykolwiek na nią patrzyłam, gdy była pochylona nad książkami lub kiedy odwzajemniała mi uśmiech, opanowywała mnie świadomość nieodwracalnej straty. Musiałam wtedy szybko pochylić głowę, aby nie zobaczyła w moich oczach łez. Wydawało mi się poza tym, że widzę tylko jej duszę, podczas gdy właściwa Cecie gdzieś poszła lub też się ukryła. Zauważyłam także, że kiedy mówię do niej, często zaczynam zdania od: „A pamiętasz...?”

— Oczywiście, że pamiętam. Przecież było to zaledwie rok temu — powiedziała mi kiedyś. — Co się z tobą dzieje? Można by pomyśleć, że resztę swego życia masz spędzić w samym środku Mongolii.

— Boję się, że o tym zapomnę — mówiłam. — Chciałabym o wszystkim pamiętać w szczegółach; o wszystkim, o czym rozmawialiśmy, z czego się śmiałyśmy nocami, co czytałyśmy. I chciałabym, abyś i ty pamiętała.

— Nie zamierzam o tym zapominać, Kate — odpowiedziała poważnie. — Nie zamierzam też jutro umierać ani ty też. Przestań zachowywać się tak, jakby cały świat miał się skończyć w grudniu. Przecież będziemy się spotykały. W najbliższe lato przyjadę do ciebie do Nowego Jorku, jeśli mnie tylko zaprosisz, a w marcu spotkamy się znowu u Ginger. Pamiętasz o tym?

— Tak, pamiętam. Chodzi mi o to, że ta jesień jest jakaś taka... smutna i gorzka. Wszystko, co widzę lub co słyszę...

Uśmiechnęła się i zacytowała:

*Ów krzew wawrzynu odrodzony w maju,
Nagie klony wśród jesiennych gajów,
Stare i smutne jak samotne święta —
Cóż to takiego? Zda się, nie pamiętam.*

— Wiem, że nigdy nie zapomnę Dorothy Parker — uśmiechnęłam się. — Jest to pierwsza rzecz, jaką wypakuję w Nowym Jorku. I będą ją czytała codziennie jak Biblię.

— Ja też — przyznała Cecie. — Ja będę czytała dla ciebie głośno w myślach, a ty dla mnie, i wtedy będziemy nadal mogły się razem śmiać, zupełnie jak byśmy były w tym pokoju.

— Och, Cecie... — zaczęłam, lecz rozpłakałam się.

— Nie waż mi się ryczeć! — powiedziała ostro Cecie. — Nie mam czasu na płacze. Popłaczemy później. — Powiedziała to i wyszła do biblioteki, a ja do McCandless.

Pracę magisterską miałam już na ukończeniu i praktycznie każdą chwilę spędzałam w pracowni przy desce kreślarskiej lub z moim promotorem. Czułam w sobie jakiś wewnętrzny przymus, aby wykonać pracę dyplomową najlepiej jak można. Paul napisał list do Carla Seaborna, swego szefa z McKim, Mead and White, z prośbą o zatrudnienie mnie, i już następnego dnia Carl zadzwonił do nas z informacją, iż będzie miał dla mnie zarówno miejsce na stanowisku młodszego projektanta w biurze wystroju wnętrz, jak i jakieś małe mieszkanie przy First Avenue, bo właśnie jedno z nich opuścił były pracownik firmy, który przeniósł się do Korpusu Pokoju. Robotę tę mam już zapewnioną, lecz gwoli formalności powinni jeszcze zobaczyć moją pracę dyplomową. Tak więc zaczęłam wyciskać z siebie siódme poty i cały czas poświęcałam na doskonalenie mojego projektu. Paul natomiast regularnie robił zdjęcia, aby utrwalić postępy mej pracy i jednocześnie przysyłać je do Carla Seaborna. W firmie McKima stwierdzili, iż rzeczywiście projekt ten zapowiada się bardzo dobrze, więc będą naprawdę dumni z tego, że będą mogli ze mną współpracować. I chyba mieli rację, bo nawet ja wiedziałam, że jest to bardzo dobry projekt. Oczywiście wybrałam temat urzędnika wnętrza domu nad morzem: wstawiłam tam masywne meble we wszelkich odcieniach błękitu i zieleni, a także szarości i bieli, gdyż kolory te zawsze kojarzyły mi się z morzem, plażą i mewami. Projekt zda się sam wyrastał mi spod palców.

— Nasze pokoje urządzimy dokładnie w ten sposób — powiedział Paul, przyglądając się mojej pracy. — To wprost idealne. Nic dodać, nic ująć. Tak więc ja wybuduję dom, a ty go urządzisz i nie będę się w ogóle mieszać do twoich decyzji.

Ogarnęło mnie wielkie szczęście i aż rozpłakałam się z radości.

Chyba wszyscy bez wyjątku w miasteczku akademickim byli bardzo zapracowani i ciągle się gdzieś śpieszyli. Przez cały ten

semestr Paul miał zajęcia związane z projektem pewnego dworca autobusowego w Tuskegee, więc spędzał jeszcze więcej czasu przy desce kreślarskiej niż ja. Spotykaliśmy się na krótkie chwile, uprawialiśmy miłość w pośpiechu, szybko piliśmy kawę, spotykaliśmy się na schodach i parkingach, aby się uściskać i ucałować, po czym znowu podążaliśmy w pośpiechu każde w swoją stronę. Nadal uczył się z Fig trzy razy w tygodniu, lecz teraz ona przestała się tym tak pasjonować i rozgłaszać wszystko wszem i wobec, a on zapominał nawet o tych zajęciach, jeśli mu o nich nie przypominałam. Niemniej rzadko się tym interesowałam. Na zakończenie semestru letniego miał z angielskiego czwórkę, więc chyba nauka Fig nie poszła w las.

Przez cały ten semestr Ginger rzadko bywała u siebie, gdyż odbywała właśnie praktykę w szkole podstawowej w pobliskiej miejscowości Montgomery. Mieszkała tam przez cały tydzień w ogromnym starym domu swoich krewnych, a w piątki wieczorem, gdy tylko skończyła lekcje, wsiadała w pierwszy autobus i przyjeżdżała do Randolph.

— W każdą środę ciotka urządza przyjęcia dla swoich psiosiółek, a wujek nie umie rozmawiać o czymkolwiek innym poza Martinem Lutherem Kingiem — powiedziała nam kiedyś z obrzydzeniem. — Oświadczyli mi też kiedyś, że mój tata był biedakiem, na co odpowiedziałam, że wszyscy są zdania, że jak na Alabamę jesteśmy bogatą rodziną. Wydaje mi się, że oni tak samo jak i ja będą zadowoleni, kiedy wreszcie skończy się ten semestr.

Nigdy do tej pory nie widywałam Fig tak rzadko. Być może było to spowodowane nawałem pracy. Nawet nie zauważałam jej obecności. Kiedy kilka razy zajrzałam do jej i Ginger pokoju, Fig leżała jak zwykle na łóżku i pisała swój pamiętnik. Cały czas utrzymywała jego zawartość w głębokiej tajemnicy i nawet mnie nigdy nie chciała go pokazać.

— Zaczęłam pisać powieść — stwierdziła któregoś wieczora. — Zrobię ciebie i Paula znanymi bohaterami, podobnie jak Cathy i Heathcliffa. Ale dopóki nie skończę pisać, nie będziesz mogła przeczytać nawet jednego zdania.

— No cóż, mam nadzieję, że osiągniemy z Pauliem lepszy koniec niż oni — powiedziała. — A Paul już wie, że zapewniasz mu życie wieczne na kartach twojej książki?

— Tak, ale on też tego jeszcze nie może przeczytać. Już powiedział, że pogruhocze mi wszystkie kości, jeśli kiedykolwiek będę się starała to opublikować.

Uśmiechnęła się głupio.

Wróciłam do swojego pokoju z myślą, że istotnie będzie miała nie lada szczęście, jeśli Paul nie dotrzyma tej obietnicy. Byłam już przemęczona i zaczęłam tęsknić za Paulem i za Cecie. Jedno było w pracowni, a drugie w bibliotece. W końcu ułożyłam się na łóżku pod kocem i zgasiłam światło. Upłynęło jeszcze wiele czasu, zanim wróciła Cecie.

W tym semestrze miała podwójną ilość zajęć, gdyż starała się nadrobić zaległości wynikłe z choroby w lecie. Jednakże szybko zorientowałam się (choć ona jeszcze nie zdawała sobie z tego sprawy), że nie wytrzyma takiego zabójczego tempa. Pod koniec listopada wyglądała tak samo źle jak wtedy, gdy zawiozłam ją do przychodni — była blada, wychudzona, często spocona i miała matowe, bardzo brzydko wyglądające włosy. Cierpiała na katar i ból gardła. Przestała chodzić na posiłki do stołówki i zaczęła żywić się jedynie zupkami, coca-colą, herbatą i innymi potrawami, które było jej łatwo przełykać. Nawet nie chciała słyszeć o pójściu do lekarza.

— Jeszcze tylko cztery tygodnie i nadrobię wszystko, a wtedy będę mogła jechać do domu na Boże Narodzenie — przekonywała mnie zachrypniętym głosem. — Nie dotykaj mnie ani nie pij z tej samej szklanki, a nie zarazisz się ode mnie. I nie próbuj mnie przekonywać o czymkolwiek, bo i tak wiesz, że nie mogę już stracić więcej czasu. Później zacznę chodzić wcześniej spać. Może wtedy lepiej się poczuję.

I rzeczywiście tak robiła. Po dawnej Cecie Hart został już tylko cień. Stała się blada jak śmierć, a do tego jej włosy straciły swój naturalny połysk i zaczęły wypadać. Kiedyś powiedziałam jej, co myślę o jej wyglądzie. Czytała właśnie *Paragraf 22*. Jej jedyną odpowiedzią był śmiech, choć nie śmiała się tak beztrudnie jak zawsze.

Nie pojechałam do domu na Dzień Dziękczynienia. Gdy zadzwoniłam do matki, że chciałabym przyjechać na święta z przyjacielem, aby mogła go poznać, odparła mi, iż właśnie wybiera się na wczasy na Selmę razem z panem Jessupem, jego zamężną córką oraz jej rodziną. Wolałaby więc nie zabierać ze sobą jeszcze dwóch dodatkowych osób.

Ton jej głosu zabrzmiał w moich uszach tak, jakby pochodził od osoby, której nigdy osobiście nie spotkałam, a która z pewnością należała do klasy średniej. Wiedziałam, że nawet i to udaje. Została potem żoną prałata z kościoła metodystów, zanim w ogóle zorientowała się, co czyni. Podobnie jak wiele lat wcześniej, kiedy mój ojciec wywiózł ją na Południe USA, z najwyższym trudem dotarło

do jej świadomości, iż nie musi już pracować jako kelnerka. Dlatego też zawsze wydawało mi się, że równie dobrze mogłaby żyć na Saturnie.

— To może przyjedziemy w piątek, w tydzień po świętach — zaproponowałam. — Chciałabym, abys poznała Paula. I tak będziesz musiała kiedyś się z nim spotkać, bo prawdopodobnie za niego wyjdę.

Po drugiej stronie telefonu nastąpiła długa cisza.

— Jaki Paul? — zapytała w końcu.

Sibley — odpowiedziałam. — Z Miami.

— Nigdy nie znaleźliśmy nikogo z Miami — powiedziała matka podejrzliwym tonem. — A kim jest jego rodzina?

Natychmiast pomyślałam o jej rodzinie mieszkającej w starej chacie w Missisipi. Zdenerwowałam się.

— To indiańska księżniczka z plemienia Seminoli i murzyński ksiądz z Everglades — powiedziałam słodko. — Wspaniale mówi w kilku językach. Jest pełen wigoru i pomysłów. Ale nie można określić, czy jest po prostu Świętym czy też Wielkim Duchem.

— Jeśli nie potrafisz mówić do mnie grzeczniej, to nie musisz nawet się trudzić i przyjeżdżać tutaj — powiedziała stanowczo.

— To chyba dam sobie spokój z odwiedzaniem ciebie. Nie potrafię już mówić grzeczniej niż teraz.

Tak więc nie pojechaliśmy do domu i — o dziwo — nie żałowałam tego. Przypuszczałam, że Paul chyba nigdy nie pozna mojej matki, lecz nie miało to dla mnie żadnego znaczenia. Już i tak od dłuższego czasu wydawała mi się osobą zupełnie dla mnie obcą. Cały weekend spędziliśmy więc w jego mieszkaniu, podczas gdy właścicielka domu wyjechała do swego syna w Teksasie. Kochaliśmy się, słuchaliśmy muzyki, uczyliśmy się i jedliśmy kaczkę w pomarańczach, którą zapijaliśmy suto winem. I jeszcze raz się kochaliśmy, a potem znów dolewaliśmy sobie wina.

— Czy przeszkadzałoby ci to, gdybyś jej miał nigdy nie spotkać? — zapytałam.

— Tylko wtedy, gdyby tobie na tym zależało. Mogę poznać ją teraz albo później, ale i tak to nic nie zmieni. Choć nie podoba mi się, że pokłóciłaś się z matką z mojego powodu.

— Już dawno temu powinnam była odejść od niej i usamodzielnić się, ale dopiero teraz to zrozumiałam. Moment przełomowy nastąpił chyba po śmierci ojca. Już wtedy nic do niej nie czułam. Teraz jest jeszcze gorzej. Zdaje się, że jedynym ogniwem łączącym nas był mój ojciec.

— No, a teraz jesteśmy we dwoje — powiedział Paul. — Więc może udalibyśmy się w kierunku tamtego łóżka, aby to przypieczętować.

I słowo stało się ciałem.

W drugim tygodniu grudnia broniłam pracy magisterskiej. Choć egzamin był rano, wyniki miały być wywieszane na tablicy ogłoszeń dopiero po południu. Paul odłożył wtedy swoją pracę na bok i cały ten czas przesiedzieliśmy w kawiarni u Harry'ego. Serce waliło mi jak młot kowalski, a w uszach cały czas mi szumiało. Byłam tak zdenerwowana, że nie zdołałam wrócić do McCandless, aby dowiedzieć się o wyniki. Dlatego też wysłałam tam Paula. Okazało się, że zdałam na piątkę.

Mój promotor, który wyglądał jak wiejski chłopak z Alabamy, był w rzeczywistości bardzo utalentowanym dekoratorem wnętrz. Na zakończenie pocałował mnie w policzek i powiedział, że jeśli kiedykolwiek znudzę się Nowym Jorkiem, pracą czy też Paulem, zawsze będę mogła wrócić do Randolph, by uczyć studentów.

— Przecież mogę się z tobą ożenić i wtedy zaprojektujesz mi mój biały dom nad rzeczką w Randolph! — powiedział.

Jeszcze raz mnie uściśnął i podał rękę Paulowi. Rozpłakałam się. Paul musiał wrócić do pracowni, a ja zostałam jeszcze w kawiarni i zamówiłam sobie następną kawę. Jeszcze wczoraj byłam studentką Randolph, a teraz obroniłam i zrozumiałam, że jestem już w innym świecie. Cały Randolph zaczął mi się rozpląwać przed oczami. Przeraziłam się, gdyż musiałam teraz wziąć się w garść, a zawsze byłam wielką panikarą. Siedziałam przy stoliku pod oknem i próbowałam chociaż oddychać normalnie. Nie chciałam, aby ktoś inny zauważył mój przestrah. Byłam cała mokra i bardzo, bardzo zmęczona. Wreszcie wstałam, zapłaciłam za kawę, wsiadłam do MG i pojechałam do akademika „Tri Omega”. Nic jeszcze nie zrobiłam w pokoju, a musiałam wszystko posortować, zapakować, a nawet pozbyć się niektórych rzeczy. Co najmniej trzy dni zajmie mi wyprowadzanie się z tego pokoju, akademika i całego miasteczka studenckiego. Więc zamiast brać się za robotę, położyłam się na łóżku i od razu usnęłam. Oczywiście Cecie nie było. Nawet nie słyszałam, jak przyszła późnym wieczorem.

Dzień przed oficjalną uroczystością rozdania dyplomów Ginger przyniosła do naszego pokoju trzy zamrożone butelki jakiegoś francuskiego wina, zamknęła drzwi na klucz i urządziła mi pożegnalne przyjęcie. Żadna z nas nie lubi, gdy coś się kończy, zwłaszcza, jeśli jest to coś miłego, więc pierwszą butelkę opróżniłyśmy, jakby była to

zwykła cola. Kiedy zaczynałyśmy drugą, smutek z powodu nadchodzącej rozłąki minął i zaczęłyśmy się śmiać, śpiewać piosenki, opowiadać kawały i wspominać stare dobre czasy. Rozpłakałyśmy się wszystkie z wyjątkiem Cecie.

— Ja będę płakała po twoim wyjeździe, Kate — powiedziała, popijając szampana. — Nie chcę, abys pamiętała mnie zapłakaną. *Toujours gai* — oto jest moja dewiza!

— *Toujours gai!* — krzyknęłyśmy wszystkie. Fig wybuchnęła płaczem i rzuciła mi się na szyję.

— Nie mogę znieść tego, że już wyjeżdżasz, Effie — wymamrotała przez łzy. — Mam takie przeczucie, że już cię nigdy więcej nie zobaczę!

— Zobaczysz mnie w marcu w Nag's Head — powiedziałam, uwalniając się z jej uścisku. — A potem jeszcze wiele razy. Nie rób tak, bo ja też się rozpłaczę. I nie mów mi „do widzenia”, tylko jutro rano wstań jak codziennie i idź na zajęcia, jakby to był środek semestru. Jeśli nie przestaniecie się mazać, całkowicie wyprowadzicie mnie z równowagi.

Tak więc wypiliśmy resztę wina i szampana i po zakończeniu imprezy odprowadziłam Ginger i Fig do ich pokoju, jeszcze raz uścisnęłyśmy się i wycłowały. Obydwie płakały. Poszłam do łazienki wykapać się i kiedy wróciłam do pokoju, Cecie już spała. Bardzo dobrze, że usnęła, bo i tak będziemy musiały powiedzieć sobie „do widzenia”, więc lepiej później niż wcześniej.

Jeszcze spała, kiedy następnego ranka wstałam i poszłam do McCandless zabrać swoje rzeczy. Wieczorem wróciłam do pokoju i na łóżku znalazłam karteczkę, że Cecie czuła się tak źle, iż Trish znowu musiała zabrać ją do lekarza na zastrzyki penicyliny, oraz że spotka się ze mną następnego dnia na uroczystości rozdania dyplomów.

Fig i Ginger gdzieś poszły, a ich pokój wyglądał o wiele czysiej niż zazwyczaj i bardzo pusto — jakby mieszkała tam śmierć. Nie mogłam uwierzyć, że nie będę ich widziała przez najbliższe trzy miesiące. Wiedziałam, że teraz wszystko całkowicie się zmieni. Przecież i tak już się z nimi pożegnałam. Poczułam ogromną pustkę. Spakowałam swoje rzeczy i wymeldowałam się z akademika. Nie mogłam już znieść tego pustego pokoju, więc wsiadłam do samochodu i pojechałam do mieszkania Paula. Weszłam po cichu po schodach i gdy tylko zadzwoniłam do drzwi, otworzył mi.

— Chcę być z tobą — powiedziałam. — Nie chcę już nigdy być sama.

Tej nocy kochaliśmy się kilka razy. Może nawet w ogóle nie mieliśmy czasu na spanie. Czasami płakałam, a raz nawet wydało mi się, że on też płakał. Jednakże na ogół milczeliśmy. Była to miłość cicha i gwałtowna. Paul wciąż szeptał mi coś do ucha, tylko w pewnej chwili zaczął nieomal krzyczeć: „Pośpiesz się! pośpiesz się!”

Zakończyliśmy nasz akt wybuchem łez, gorącym opanowującym nasze ciała i przyspieszonym oddechem. Kiedy obudziłam się rankiem następnego dnia — był to dzień rozdania dyplomów — policzki nadal miałam mokre od łez. Paul siedział w fotelu i popijał kawę. Miał na sobie tylko majtki i bawełniany podkoszulek. Patrzył w okno na szary, zimny dzień.

— Właśnie tak kończy się świat — powiedziałam, nie podnosząc się z łóżka. — Nie ma żadnego wielkiego huku, tylko szept.

— Nie, on właśnie się zaczyna — zaprzeczył i podszedł do łóżka, aby mnie pocałować. — Nie szept, lecz potężny huk.

Niewiele pamiętam z samej uroczystości. Odbyła się w sali balowej Stowarzyszenia Studentów i była o wiele skromniejsza niż wiosenne rozdanie dyplomów. Większość ludzi wyjechała już na święta Bożego Narodzenia, więc absolwenci odbierający świeże dyplomy z rąk samego dziekana witani byli zaledwie słabymi oklaskami. Dostałam dyplom z wyróżnieniem, lecz nawet moja matka nie przyjechała mi pogratulować, a Ginger i Fig wyjechały do domu już poprzedniego dnia. Wśród publiczności szukałam rudej głowy Cecie, ale jej też nie widziałam. Nie przeszkadzało mi to — przecież i tak opuszczałam to miejsce. Już to zresztą zrobiłam dzisiaj w nocy.

Paul wrócił ze mną do akademika, aby pomóc mi zabrać ciężkie walizki i znieść je do samochodu, podczas gdy ja chciałam pożegnać się z Cecie. Jednakże okazało się, iż walizki wystawione już były na korytarz, a drzwi do pokoju zamknięte. Przeszył mnie nagły ból. Łzy cisnęły mi się do oczu. Czy chciała mi tym samym powiedzieć, iż nigdy już się nie spotkamy?

— Chodź już — powiedział Paul bardzo delikatnie. — Po prostu niektórzy ludzie nie potrafią się żegnać. Tak jak na przykład ja. Spotkacie się w marcu w Nag's Head. Więc daj sobie i jej trochę przerwy.

Wzięłam jedną z toreb i zaczęłam schodzić za Paulem po schodach. Nagle zawróciłam, otworzyłam drzwi do pokoju i zajrzałam do środka. Panował tam półmrok, gdyż zasłony były zaciągnięte. Cecie spała w najlepsze — ostatnio bardzo dużo spała, niemal o każdej porze dnia i nocy, gdyż nadrabiała zaległości w odpczynku.

Leżała odwrócona do ściany, nakryta kołdrą. Przez moment pomyślałam, że nie oddycha, lecz potem zauważyłam, że jej oddech jest lekki i równomierny. Chciałam podejść do niej i obudzić ją, lecz powstrzymałam się i wyszłam cicho z pokoju. Zamknęłam za sobą drzwi i pomyślałam, że Paul znowu ma rację. W Nag's Head będziemy miały dla siebie sporo czasu.

Zatrzymaliśmy się tuż przed stacją kolejową, lecz nie wysiadaliśmy z samochodu i nawet nie mieliśmy odwagi na siebie spojrzeć. Uzgodniliśmy, że Paul zatrzyma MG, gdy ja będę w Nowym Jorku. Zaoszczędzę w ten sposób na opłatach za parkowanie, a także pozbędę się ciągłych kłopotów. Zdecydowaliśmy, że postaramy się nie spędzać razem świąt Bożego Narodzenia. Carl Seaborn zaprosił mnie, abym przyłączyła się do niego i jego rodziny w Bridgehampton na Long Island, podczas gdy mama Ginger zaprosiła Paula na obiad świąteczny w domu Fowlerów. Jednakże Paul nie chciał tam jechać.

— Chciałabym, abys jednak ich odwiedził — powiedziałam. — Nie będę mogła znieść myśli, że spędzam sobie święta w Hampton miło i przyjemnie, a ty siedzisz w domu sam jak ten palec.

— Tam będą nudy na pudy! — powiedział. — Ale może do nich pojedę. Warto byłoby zobaczyć przy okazji miejsce urodzenia sławnej Fig Newton. Chyba że jesteś przekonana, iż wyskoczyła Zeusowi prosto z głowy.

Daleko na torach zobaczyliśmy światła Crescent Limited, pociągu z Nowego Orleanu do Nowego Jorku przez Montgomery i Atlantę. Gardło ścisnęło mi się z żalu i z trudem przełknęłam ślinę. Paul zamknął oczy.

— Och, Kate — powiedział, lecz nie pocałował mnie. Przytulił mnie do siebie i położył rękę na piersiach. Przesunął ją pod swetrem po brzuchu i plecach, jakby chciał dokładnie zapamiętać kształt mojego ciała.

— Idź już i nie mów ani słowa — powiedział w końcu. — Jedź i szybko przyjeżdżaj do Nag's Head. Kocham cię. Zadzwoń do mnie, kiedy tylko dojedziesz.

— Paul...

— Idź — powiedział. Jego głos był gruby i szorstki. Wsiadłam z samochodu i poszłam na peron, gdzie mój bagaż czekał już na załadowanie. Dałam bagażowemu jakieś drobne i odwróciłam się, aby jeszcze raz spojrzeć na Paula, lecz MG już nie było. Słyszałam jeszcze tylko daleki warkot silnika niczym zabawki na baterię. Nad Randolph zaczęła zbierać się gęsta mgła, a pociąg z wolna ruszył ze

staq'i. Z trudem znalazłam wreszcie miejsce siedzące. Powstrzymałam łzy, lecz gardło miałam cały czas ściśnięte. Naprawdę płakać zaczęłam dopiero wtedy, gdy minęliśmy już granicę między Georgią a Alabamą.

Już w chwili, gdy po raz pierwszy stanęłam na granitowych chodnikach ulic Nowego Jorku, miasto to bardzo mi się spodobało. Zmęczenie po całonocnej podróży, żal za pozostawionymi w Randolph Paulem i Cecie... wszystko to minęło bez śladu, gdy tylko stanęłam na schodach przed stacją kolejową Grand Central przy 43 ulicy. Serce zabiło mi radośniej. Myślałam, że będę czuła się samotna i wystraszona, przynajmniej na początku, i dlatego ciągle wmawiałam sobie, że mam już tyle praktyki we wchodzeniu w nowe środowiska, iż chyba będę umiała ukryć swoje zagubienie i niepewność. Na szczęście czułam się jak rodowita mieszkanka Nowego Jorku. Podobnie jak moje serce znalazło sobie dom i schronienie nad morzem, tak moje ciało — na tętniącym życiem Manhattanie.

Już w tę pierwszą noc spędzoną w Nowym Jorku czekało na mnie kilka niespodzianek. Carl Seaborn przysłał po mnie młodego, eleganckiego mężczyznę, który przyszedł na stację kolejową odebrać mnie z pociągu. Śmiał się niewyraźnie, a w rękach trzymał bukiet szklarniowych fiołków. Dał mi kwiatki i zabrał mój bagaż do czekającej przed wejściem limuzyny. Nie był to samochód firmowy, a kierowca nie miał specjalnej liberii, niemniej była to przecież prawdziwa limuzyna.

— Och, Boże! Ależ powitanie w Nowym Jorku! — uśmiechnęłam się.

— Słyszałem, że pani narzeczony jest już prawie naszym pracownikiem, choć jeszcze nie skończył studiów. Tym bardziej jest nam miło mieć panią pośród nas — odparł młody mężczyzna.

— Oczywiście — odpowiedziałam, trochę może za ostro, i zwróciłam swą uwagę na widoki miasta. Padał gęsty, lodowaty deszcz, więc samochody jeździły z zapalonymi światłami halogenowymi, a opony pozostawiały po sobie równoległe ślady na mokrych jezdniach. Co bardziej nerwowi kierowcy wyładowywali swą złość na klaksonach. Do tego prawie na każdym skrzyżowaniu stał Święty Mikołaj, który dźwiękiem dzwonek zwracał na siebie uwagę przechodniów. Wydawało mi się, że chodniki zrobione są z diamentów — tak bardzo lśniły od wody.

Powiedziałam nawet coś o tych diamentowych chodnikach, ale w końcu stwierdziłam, że lepiej będzie, jeśli zamilczę. W tym momencie przejechaliśmy tuż obok Centrum Rockefellera i nagle zobaczyłam przed nami wielką ubraną choinkę. Ależ to był widok!

— Na pewno wszyscy mieszkańcy Nowego Jorku uwielbiają to drzewko — powiedziałał mojemu towarzyszowi.

— Widzę, że nie muszę ci tego mówić — powiedział śmiejąc się. — Od razu widać, że jesteś przyjezdna.

Wniósł moje bagaże do mieszkania. Przeszliśmy ciemnym, wąskim korytarzem. Portier spał. Młodzieniec, który przywiozł mnie tutaj, otworzył drzwi i ceremonialnie podał mi klucze. Mieszkanie to było mniej więcej wielkości całego segmentu, w którym mieszkałam z dziewczynami w akademiku. W pokoju stało łóżko wbudowane w ścianę, mała amerykanka w kolorze stalowym, stół, ogromny fotel oraz dwa krzesła. Kuchnia okazała się jeszcze mniejsza niż w mieszkaniu Paula, a w łazience chyba nawet krasnoludki nie mogłyby się wygodnie ochlapać, nie mówiąc już o porządnej kąpieli. Parkiet był dość zniszczony. Jeden z kątów pokoju ozdabiała piękna, rozłożysta palma, która rosła w plastikowej donicy. Ktoś przystroił ją w choinkowe ozdoby.

— Wspaniałe! — powiedziałał zachwycona. — Ależ przytulne mieszkanko!

— Cieszę się, że ci się podoba — powiedział i odwrócił się w kierunku drzwi. — Czynsz za pierwszy miesiąc zapłacony. Potem, będą ci płacić za to dodatkowo. Witaj w Nowym Jorku i baw się dobrze.

W końcu pożegnał się i wyszedł, zostawiając mnie samą w nowym mieszkaniu.

Podeszłam do okna i wytarłam parę, która osiadła na szybach. Wyrzałam przez okno i pod samym blokiem zobaczyłam alejkę utworzoną przez duże pojemniki na śmieci, a potem dachy sąsiednich domów oraz szczyt pobliskiego Empire State Building. Łzy napłynęły mi do oczu.

— Jestem w Nowym Jorku — szepnęłam do ciemnej szyby. Odwróciłam się od okna, uściśniełam samą siebie, zamknęłam oczy i krzyknęłam na całe gardło JESTEM W NOWYM JORKU!!

— A JA CHCIAŁBYM BYĆ NA WYSPACH KANARYJSKICH!
— usłyszałam jakiś głos zza ściany. Usiadłam w fotelu i wybuchnęłam takim śmiechem, aż zabrakło mi tchu i zaczął mnie boleć brzuch. Śmiałam się jeszcze, kiedy kończyłam rozpakowywanie swoich rzeczy późno w nocy. Rozłożyłam łóżko i od razu wsunęłam się pod kołdrę. Pomyślałam sobie, że przynajmniej nie będę

potrzebowała dodatkowego koca. Było mi niestety trudno zasnąć, gdyż elektryczny kaloryfer, który stał w pokoju, cały czas grzał jak smok ziejący ogniem. Kiedy obudziłam się w środku nocy, byłam zlana potem.

Miałam dobrą pracę, a przynajmniej wydawało mi się, że jest dobra. Przydzielono mi anonimową deskę kreślarską ustawioną w anonimowym wielkim pokoju pełnym światła i młodych poważnych mężczyzn oraz kobiet, nachylonych podobnie jak ja nad podobnymi deskami. Wszyscy oni byli elegancko ubrani i wypachnieni, tak jak i pozostali mieszkańcy Nowego Jorku, których spotykałam na ulicach. W całym biurze panowała atmosfera ruchu, zaangażowania się w pracę i niemego podniecenia. Już od samego początku wszyscy byli dla mnie bardzo mili i uprzejmi, a Carl Seaborn zachowywał się w stosunku do mnie wyjątkowo życzliwie, przyjaźnie, a nawet po ojcowsku. Miał pociągłą szczupłą twarz i siwe rzadkie włosy. Wygląd zupełnie typowy. Już z samego rana w dzień Bożego Narodzenia przysłał po mnie samochód z kierowcą, który dowiózł mnie do wielkiego domu Seaborna w Bridgehampton. Od razu zakochałam się po uszy we wspaniałym widoku małych miasteczek koło

Nowego Jorku, pokrytych grubą warstwą białego śniegu. Waincott, Southampton, Water Mili... wszystkie one wyglądały bardzo bogato i przypominały mi miasteczka, w których mieszkali moi znajomi z wakacji w Cape. Dlatego też nie powinnam czuć się w nich obco. I rzeczywiście, nie miałam problemów ze znalezieniem miejsca dla siebie w tej społeczności. W domu Carla Seaborna znalazłam się w towarzystwie całej jego rodziny: uśmiechniętej, opalonej żony o popielatych włosach, identycznie wyglądającej córki, która właśnie wróciła z Wellesley do domu na święta, dwóch dobrze wychowanych synów uczęszczających do Choate, uśmiechniętej służącej, zawsze ubranej w nieskazitelnie biały fartuszek, oraz przyjaznego owczarka górskiego, który ciągle leżał na swoim dywaniku w przedpokoju lub w bibliotece. Nasz świąteczny obiad składał się ze specjalnie przyrządzonej wołowiny na główne danie oraz z budyniu na deser. Włączono magnetofon i w pokoju unosiły się radosne dźwięki kolęd. Wznieśliśmy także toast za Nowy Rok, za moją nową pracę oraz za Paula, który niewątpliwie już wkrótce przyłączy się do firmy. Piliśmy przy tym wspaniałego wytrawnego szampana, jakiego jeszcze nigdy dotąd nie miałam w ustach. Nawet jeśli miałyby się to wszystko okazać jedynie snem, i tak warto by było przeżyć coś takiego. Postanowiłam sobie wtedy, że ja i Paul będziemy musieli zrobić wszystko, co będzie w naszej mocy, by spędzać wszystkie święta

razem z jakąś rodziną, nawet jeśli nie będzie to nasza rodzina. I koniecznie nad morzem.

— Przypominało mi to sztukę teatralną, której akcja toczyła się w latach trzydziestych w pewnym angielskim szlacheckim domu na wsi — powiedziałam następnej nocy do Paula, kiedy dzwoniłam do niego. — Czekałam nawet, aż przyjdzie pastor z żoną, by wypić symboliczny kieliszek brandy po obiedzie.

— A może oni są Żydami? — zapytał Paul rozbawionym tonem. — A jak z twoim mieszkaniem?

— Jest wspaniałe. Oczywiście strasznie małe i nie ma tam żadnych normalnych mebli, nawet łóżko trzeba wyciągać ze ściany — powiedziałam. — Pomyślałam sobie na początku, że może będę mogła dokupić parę drobiazgów w komisach, lecz nawet używane rzeczy są na razie za drogie jak na moją kieszeń. A wiesz, że jestem teraz na stażu? Niestety, długo to jeszcze potrwa, zanim zacznę dostawać normalną pensję prawdziwego projektanta...

— Nie martw się, czas szybko ci zleci i zanim przyjadę do Nowego Jorku, ty już będziesz starym wyjadaczem w firmie. Tuż przed moim przyjazdem namówię ich, aby sprawili ci jeszcze nowe meble.

— Oj, chyba nie przyjdzie ci to łatwo, zwłaszcza że i tak nie zamierzasz z nimi pracować — odparłam. — Ale przecież nie ma o czym mówić, bo i tak mnie wyrzuca, zwłaszcza kiedy w ostatniej chwili się na nich wypniesz.

— Skąd niby mają się dowiedzieć, że z nich zrezygnuję? Przecież poinformuję ich o tym, kiedy już wszystkie meble będą stały w naszym mieszkaniu. Poza tym jesteś zbyt dobra, aby cię wyrzucali. Naprawdę tak jest, Katie. Naprawdę.

— A jak upłynął ci obiad u Fowlerów? — zapytałam. — Był pieczony nadziewany indyk? Jak wygląda ten ich drugi dom?

— Przypomina bibliotekę publiczną w Bostonie — powiedział Paul. — W pewnym momencie zacząłem nawet szukać, gdzie leżą dzieła Prousta. Wszystko jest dokładnie na swoim miejscu, a kwiatki i wszelkie roślinki ozdobne są sztuczne, aby było z nimi mniej roboty. Nad łóżkiem, w którym przygotowali mi spanie, rozwieszony został jedwabny baldachim w kolorze czerwonym. Do tego obiad składał się z samych tradycyjnych potraw, podawanych w dodatku przez prawdziwego lokaja-Murzyna.

— Och, Boże! — krzyknęłam. — Nigdy byśmy się tego nie dowiedzieli od Ginger, prawda?

— Chyba nie. Potem dołączyła do nas Fig.

— Fig? A dlaczego nie była na obiedzie świątecznym u swojej rodziny?

— Nie wiem. Nie chciałem o to pytać, a ona nic nie mówiła. I tak niewiele się z nią widziałem — tłumaczył. — W ostatni wieczór mojego pobytu tam wziąłem ją i Ginger do kina, lecz większość czasu spędzałem z ojcem Ginger. Pojechaliśmy na polowanie na kaczki do Warrior i kilka razy graliśmy w pokera. Chyba mnie polubił. Wyraźnie widać, że bardzo chciałby mieć syna — próbował wychować Ginger na chłopaka, ale mu sienie udało. W zamian za to dziewczyna panicznie się go teraz boi.

Przez moment nie powiedziałam ani słowa, a potem dodałam:

— A jak długo tam byłeś? Miałeś być tam tylko jeden dzień...

— I tak było. Ale gdy wróciłem do swojego mieszkania, okazało się, że wysiadło ogrzewanie, więc wróciłem do Fowlerów. No wiesz, to tacy bezpośredni ludzie... Nie mieli nic przeciwko temu. Przy okazji przygotowałem im projekt basenu, który zamierzają budować latem, więc nawet na tym skorzystali.

— Tak bardzo tęsknię za tobą — powiedziałam, czując nagły przypływ tęsknoty.

— Ja też tęsknię za tobą, kochana Katie — odrzekł. — Nie wiesz nawet jak bardzo. Chyba od tej chwili aż do wyjazdu do Nag's Head będę musiał siedzieć cały czas pod zimnym prysznicem.

— Wiem o tym, ale myślę, że nie wytrzymam tak długo — powiedziałam ze łzami w oczach.

— Pracuj ciężko, w dzień i w nocy, abyś nie miała czasu o tym myśleć ani wychodzić na randki z młokosami z Nowego Jorku. Czas minie bardzo szybko, ani się spostrzeżesz. A wtedy nadejdzie chwila, że znowu będziemy razem.

Ale to nie było takie proste. Pracowałam, ile tylko mogłam. Nie tylko po to, by jakoś spędzić ów dzielący nas czas, lecz także w tym celu, by szybciej otrzymać tytuł pełnoprawnego projektanta wnętrz, a co za tym idzie — wyższą pensję, dzięki której mogłabym dokupić kilka rzeczy potrzebnych mi w domu. Lecz i tak czas włókł się niechętnie. Nag's Head i wielki dom Ginger nad samym morzem wydawały mi się bardzo odległą, mglistą przeszłością. Niewiele miałam czasu na rozrywki. Ciągłe odkładałam wizyty w muzeach, galeriach czy teatrach, które planowałam odwiedzić, jeszcze gdy byłam w Randolph. Po pierwsze, bilety były dla mnie jednak zbyt drogie. Po drugie, ciągle powtarzałam sobie: „Poczekam, aż przyjedzie Paul, i pójdziemy razem”. Natomiast sporo czasu spędzałam na spacerach po mieście. Bardzo dużo czytałam i jeszcze więcej pracowałam.

Codziennie wieczorem pisałam do Paula listy i po kilka razy czytałam korespondencję, która przychodziła od niego dwa razy w tygodniu. Niestety, mimo prośb nie udało mi się go namówić na pisanie do mnie tak często, jak ja to robiłam. W każdą środę i niedzielę wieczorem dzwoniłam do niego. I czekałam. Cały czas czekałam.

W pierwszym tygodniu lutego nie otrzymałam jego poniedziałkowego listu. Kiedy zadzwoniłam w środę, zapytałam:

— Czy coś się stało? Dlaczego nie napisałeś?

— Och, Boże! — krzyknął. — Nie, nic się nie stało! Po prostu zapomniałem. Tak mi przykro, Kate. Każdą wolną chwilę spędzałem w pracowni przy desce, gdyż przygotowuję się do konkursu Raytheon za trzy tysiące dolarów. Chciałbym zdobyć tę główną nagrodę...

— Wspaniale — odpowiedziałam. — A co projektujesz w ramach tego konkursu?

— Prawdę mówiąc — odparł — robię kryty basen dla Fowlerów. Ma to być projekt zespołu wypoczynkowego w prywatnej bogatej willi.

— Ach, tak — odparłam. — Bardzo dobrze. Przywieziesz jakieś rysunki do Nag's Head, dobrze?

— Oczywiście — zapewnił.

— To już za pięć tygodni.

— Już?! No widzisz, jak ten czas szybko zleciał? — powiedział zdumiony.

W niedzielę, gdy zadzwoniłam, nie było go w domu. Nigdy wcześniej to się nie zdarzało. Zdenerwowałam się i jeszcze raz spróbowałam dzwonić do Paula po północy.

— Byłem w bibliotece — powiedział na usprawiedliwienie. Słysząc było, że był przemęczony i rozkojarzony. — Naprawdę jest mi bardzo przykro, kochanie. Ten semestr jest bardzo dla mnie ciężki. Mam zbyt dużo nauki i musisz mi wybaczyć, że kiedy dzwonicz, może nie być mnie w domu.

— Nie, tak być nie może. Przecież już dawno umówiliśmy się, że...

— Wiem. Postaram się poprawić — odpowiedział.

W następny poniedziałek znowu nie dostałam listu, a w środę i w niedzielę telefon w mieszkaniu Paula nie odpowiadał. Tydzień później, w poniedziałek, dostałam wreszcie list, lecz był on bardzo krótki i ogólnikowy. Złe przecucie, które dotąd chowałam głęboko w sercu, opanowało mnie teraz całkowicie. Zachorował, oblał egzaminy, wyrzucili go ze studiów... Ciągłe dzwoniłam, a jego nie było w domu kilka nocy z rzędu.

Pewnej nocy pokonałam swą dumę i zadzwoniłam do Cecie, by dowiedzieć się, czy może słyszała coś o Paulu. Telefon dzwonił i dzwonił bardzo długo, aż w końcu słuchawkę podniosła Fig.

— Och, Effie, to by! — krzyknęła uradowana. — Myślałam, że opuściłaś nas na stałe. Poprzedniej nocy rozmawiałam właśnie o tobie z Cecie i stwierdziłam, że zrobiłaś się już taka światowa, że zapomniałaś o starych koleżankach...

— A Cecie jest teraz w pokoju? — zapytałam. Serce biło mi tak głośno, że prawie nie słyszałam własnego głosu.

— Nie, chyba siedzi w czytelni. A ja ci nie wystarczę?

— No, prawdę mówiąc, szukam Paula, więc pomyślałam sobie, że może...

— To znaczy, że on nie dzwonił do ciebie ani nie pisał? — zapytała. Miała przyciszony, przerażony głos, jakbym powiedziała jej, że jestem co najmniej chora wenerycznie. — Ale z niego brzydal! Jutro wieczorem mam z nim zajęcia, więc zmyję mu głowę za opuszczanie się w obowiązkach. Wiem, że strasznie dużo pracuje, Effie, ale i tak mu się za to oberwie...

— Nie, nie rób mu od razu awantury — powiedziałam. — Poproś go tylko, aby zadzwonił do mnie, kiedy będzie miał chwilę czasu.

Po rozmowie odłożyłam słuchawkę i czekałam na telefon. Ale nie zadzwonił.

Dwa dni i dwie noce spędziłam w otępieniu i bezsenności. Potem znowu zadzwoniłam do Cecie i znowu odebrała Fig.

— Cecie znów jest w szpitalu — rzekła. — Już od dawna powinna była iść do lekarza. Ostatnio cały czas tylko spała. Nawet nie chodziła na obowiązkowe zajęcia. Wydaje mi się, że obleje ten semestr. A Paul dzwonił do ciebie? Powiedziała, że zadzwoni.

— Tak — skłamałam.

Dwa dni później zadzwoniłam ponownie. Poddałam się już zupełnie czarnej rozpacz. Tym razem telefon odebrała Lucy Davenport, która mieszkała dwa segmenty dalej.

— Pojechała do domu — powiedziała Lucy. — Chyba się rozchorowała. Słuchaj, a jak ci jest w Nowym Jorku? Strasznie ci zazdrościmy i nawet wczoraj przy kolacji rozmawialiśmy o tym.

— Bardzo mi miło to słyszeć.

— A może byśmy wszystkie przyjechały cię odwiedzić? Na pewno chciałabyś teraz porozmawiać jeszcze z Fig?

— Nie, nie — zaprzeczyłam.

Następnego dnia, kiedy wróciłam z pracy, bardzo źle się czułam, jakbym zapadła na jakąś tropikalną chorobę. W skrzynce pocztowej czekał na mnie list od Paula. Był bardzo cienki. Nie czekałam nawet na windę i szybko wbiegłam po schodach ma moje czwarte piętro, wpadłam do mieszkania i nie zamykając drzwi, rzuciłam się na fotel i zaczęłam czytać. Wszystko teraz się wyjaśni i będę mogła uśmieć się ze swojej głupoty lub bezpodstawnych podejrzeń wobec Paula, wreszcie wyśpię się, a za dwa tygodnie będziemy już razem w Nag's Head...

Napisał w liście, że następnego dnia po obronie pracy Ginger Fowler wezmą ślub w Outer Banks. Przeprowadzają się tam, gdyż dom ten dostali od ojca Ginger w prezencie ślubnym. Paul już zaprojektował cały kompleks wypoczynkowy, łącznie z wymarzonym basenem. Budowa zacznie się w kwietniu, na wysokich wydmach w pobliżu domu. Jest mu ogromnie przykro, że tak ze mną postąpił. Przyznał przy tym, że nie ma na to żadnego usprawiedliwienia. Wie o tym, że jest bezduszny i okrutny, ale co ma na to poradzić? Kocha mnie naprawdę, ale jednocześnie kocha też Ginger, a ona jego. Poza tym potrzebuje pieniędzy Ginger, a ona zgodziła się poślubić go na takich warunkach i da mu te fundusze. Tak więc ma nadzieję, że jakoś mu się przyszłe życie ułoży. To nie była jej wina — on sam to wszystko wymyślił. A teraz muszę o nim zapomnieć. Wyraził też nadzieję, że z moimi wspaniałymi umiejętnościami świetnie sobie poradzę i zrobię zawrotną karierę w mojej firmie w Nowym Jorku. Na pewno dalej zajdę sama, niż gdybym była z nim. Przynajmniej cieszy go to, że mógł zorganizować dla mnie start w dobrej pracy.

„I tak wcześniej czy później zraniłbym Twoje uczucia”, napisał. „Dlatego też chyba dobrze się stało, że zrobiłem to teraz. Potem mogłoby być o wiele za późno dla nas obojga”.

Pod listem podpisał się tylko swoim imieniem — Paul — i nic więcej.

W środku nocy leżałam półprzytomna z rozpaczą i już nawet myśl, że przeżyję jeszcze jedną godzinę czy nawet minutę, przyprawiała mnie o mdłości i wydawała się nieprawdopodobna... — Czy to możliwe, abym zebrała wszystkie swoje siły i jakoś dotrwała do świtu? Myślałam też o Cecie. Myśl ta podziałała na mnie jak kubeł zimnej wody, jak noc, jak sen. Wstałam i potykając się o wszystko podeszłam do telefonu. Podniosłam słuchawkę, lecz przypomniałam sobie, że jej tam już nie ma. Wiedziałam, że mogę zawsze zadzwonić do Tidewater, jej rodzinnego domu, ale zrezygnowałam. Cecie nawet nie przysłała na rozdanie dyplomów, kiedy skończyłam studia. Nie

pożegnała się też. Nigdy nie lubiła Paula, a czasami nawet miałam wrażenie, że się go bała. I w końcu do niej nie zadzwoniłam.

Jakiś czas potem wzrok mój padł na stary, podniszczony zbiorek poezji Dorothy Parker, ten sam, który przywiozłam ze sobą z Randolph. „Będę czytała ją codziennie wieczorem i ty też, więc będziemy mogły śmiać się razem”. Podniosłam ją. Książka otworzyła mi się sama na wierszu pod tytułem *Łańcuch*. Strona ta zabrudzona była czymś na czerwono — był to deser truskawkowy, który pewnego dnia dostałyśmy na obiad. Zaczęłam czytać ten wiersz:

*Smutne i nudne są noce zimowe,
jak słuchanie piosenek głupawych.
Lecz okropnie jest leżeć, czekając
Aż nadejdzie poranek łaskawy.*

Podeszłam z książką w rękę do okna, otworzyłam je szeroko i z całą siłą wyrzuciłam ją na zewnątrz. Na wschodzie widać już było pierwsze nieśmiałe przebłyski porannego słońca. Wiał lekki, rześki wiaterek. Odczekałam chwilę, póki nie usłyszałam, jak książka spada na ziemię.

Potem usiadłam na podłodze i czekałam na nadejście świtu.

Rozdział 9

Alan obudził mnie o siódmej, gdy słońce chyliło się już ku zachodowi. Wstałam, wykapałam się, założyłam czyste spodnie i bluzkę oraz zaplotłam sobie francuski warkocz. Dawno tak się nie czesałam. Pomimo długiej przerwy moje palce nadal układały się w odpowiedni sposób i zaplatały idealny warkocz. Od bardzo dawna nie przywiązywałam wagi do swojego wyglądu i muszę przyznać, że trochę dziwnie się poczułam, stojąc przed lustrem.

Byłam sztywna i niezdarna, jakbym miała wielkiego kaca. Nic w tym dziwnego — przecież nieźle sobie popiłam. Skrzywiłam się. Powrót do normalnego stanu zawsze zajmował mi przynajmniej kilka dni, gdyż nigdy nie umiałam w odpowiednim momencie powiedzieć sobie: dość.

Alan siedział na tarasie przy stoliku pod parasolem i popijał kawę. Chłodne promienie słoneczne odbijane od tafli morskiej wody oświetlały jego siwiejącą brodę i głowę. Podkreślały także delikatne zmarszczki wokół oczu. Z początku mnie nie zauważył. Siedział na krześle wygodnie oparty. Miał nogi wyciągnięte przed siebie i głowę opuszczoną na pierś, jakby spał. Ale wiedziałam, że nie śpi. Widziałam jego mięśnie napięte na szyi i na ramionach. Na pewno ktoś, kto go nie znał, nie zwróciłby na to uwagi. Ale ja wiedziałam, że myśli o mnie i że bardzo się martwi. Poczulałam wyrzuty sumienia, że naopowiadałam mu dzisiaj po południu o powracającym nowotworze. Pobiegłam szybko przez taras. Objęłam go od tyłu i pocałowałam w czubek głowy. Jego włosy były bujne i faliste.

— Przykro mi, że ci to powiedziałam — zaczęłam. — Nie ma sensu, żebym piła ani żebym powracała myślami do tamtych czasów.

Powinłam była to wiedzieć, jeszcze zanim otworzyłam ten cholerny list. A teraz przebac mi i zrób coś do jedzenia — no tak: dokładnie w tej kolejności — najpierw przebac, a potem daj coś do jedzenia.

— Dobrze, chodźmy na kolację — powiedział, lecz nawet nie odwrócił się do mnie. — Przebaczę ci, a potem nakarmię, lecz najpierw chciałbym z tobą porozmawiać. Usiądź tu na chwilę.

— Ojejku! — powiedziałam. — Brzmi to jak propozycja bardzo poważnych negocjacji na szczeblu międzynarodowym.

— Prawie — odrzekł. — Miałem nadzieję, że nie będzie takiej konieczności, ale chyba się myliłem. Kate...

Zamilkł i spojrzął na mnie. Poczułam skurcz żołądka i oblał mnie zimny pot. Znałam to spojrzenie — przepowiadało, iż za chwilę zostanie zadane jakieś pytanie, na które nie będę przygotowana. Może będzie to nawet rozkaz. Alan czasami potrafił rządzić innymi. W końcu płynęła w nim jeszcze ukraińska czy białoruska krew. Wykorzystywał to jednak tylko wtedy, gdy rzeczywiście nie widział innego wyjścia. I chyba właśnie teraz tak było. Przeklinałam siebie w myślach, bo była to moja wina.

— Z twojego spojrzenia wnoszę, że będzie to coś złego.

— Kiedy ty spałaś, zadzwoniłem do Ginger Sibley i powiedziałem jej, że do niej przyjedziesz — powiedział spokojnie i rzeczowo, chociaż z drżenia głosu łatwo było wywnioskować, że wcale spokojny nie był.

— Nie, nigdzie nie jadę — odpowiedziałam mu równie spokojnie. Serce jednak mówiło mi coś innego.

— Pod koniec tego miesiąca jadę do hrabstwa Bucks. Muszę zająć się tym projektem Conroya — powiedział. — Dzwoniłem też i do nich i wszystko załatwiłem tak, że już nie mogę się z tego wycofać. Nie mogę przecież zostawić ciebie w domu w takim stanie, w jakim teraz jesteś. Poza tym i tak mnie nie oszukasz — jestem pewien, że cały czas o tym myślisz. Zabiorę cię teraz do McCrackena, lecz w zamian za to będziesz musiała sama pojechać do Nag's Head. Nie możesz przecież wymagać ode mnie, abym zrezygnował z mojej pracy, bo z czego będziemy żyli?

Byłam na niego zła, gdyż nie postąpił w stosunku do mnie fair. Obiecał, że odłoży projekt w Bucks aż do jesieni i zabierze się za niego dopiero po moich ostatnich badaniach. Złamał jednak obietnicę. Poza tym, dzwoniąc do Ginger, właściwie mnie zdradził, choć dobrze wiedział, że naprawdę nie chcę się z nią spotkać. Był to szantaż — jego uparta twarz wyraźnie wskazywała, że w pełni był tego świadom.

— Chyba wiesz, co myślę o tych obydwu sprawach, prawda?
— zapytałam oburzonym głosem.

— Wiem i twierdzę, że masz całkowitą rację. Przykro mi, że musiałem właśnie tak postąpić, ale nie zamierzam robić sobie z tego powodu wyrzutów. Ja też mam swoje życie, które muszą jakoś przeżyć. Nie mogę zwalniać swojego tempa tylko dlatego, że ty zdecydowałaś się zatrzymać w miejscu.

— Alanie, nie mam nic przeciwko siedzeniu samej w domu — odpowiedziałam. — Powiem ci nawet, że to lubię, a poza tym będę szczęśliwa, gdy ty będziesz mógł pracować...

Wstał.

— Zadzwoń teraz do McCrackena i załatwię ci od jutra szpital, aby zrobili ci wszystkie możliwe badania — odrzekł.

— Nie, nie dzwoń — powiedziała delikatnym głosem. Alan z powrotem usiadł na krześle i popatrzył na mnie wyczekująco. Wiedziałam, że nie mogę już nic zrobić ani powiedzieć, by skłonić go do zmiany zdania. Tylko pozornie jest bardzo delikatny i zgodny, ale w rzeczywistości to chyba najbardziej uparty człowiek, jaki w ogóle chodzi po tej ziemi. Rzadko kiedy przyznaje się do winy i bardzo powoli i starannie obmyśla każdą, nawet najdrobniejszą decyzję.

— I co ze mną zrobisz? — zapytałam niepewnie.

— Próbuję ocalić ci życie — powiedział. — Próbuję zwrócić ci je i... uratować nas oboje. Wydaje mi się, że takie trupy, jakimi teraz jesteśmy, nie będą w stanie przetrwać chociażby następnego miesiąca. Może i pozostaniemy jeszcze razem, ale będzie to już coś innego. Nie mogę tego dłużej znosić, Katie. Chyba opuściłbym cię. Skoro nie myślisz już o sobie, to dlaczego tak bronisz się przed pojechaniem na tydzień w odwiedziny do dawnych przyjaciółek? Tak trudno ci wybrać się do Nag's Head? Przecież tamto już dawno dla ciebie umarło. A co ze mną, Katie? Myślisz choć trochę o mnie?

Znowu zaczęłam płakać. Wydało mi się, że w moim ciele jest więcej łez niż krwi, kości i tkanek razem wziętych. Zostały już we mnie tylko łzy i komórki nowotworu.

— O wiele więcej niż kiedykolwiek dotąd — odrzekłam — ale i tak myślę, że to wciąż za mało.

— No to zdecyduj się i mi powiedz.

Odwrócił się i wszedł do domu. Chwilę potem usłyszałam warkot silnika naszego volvo, który powoli oddalał się w kierunku drogi do Potato i Bridgehampton. Jeszcze przez jakiś czas siedziałam na tarasie. Zaczął zapadać zmierzch, a ja zastanawiałam się ciągle, jak wyglądałoby moje życie, gdybym nie spotkała Alana.

•
f Odpowiedź była oczywiście bardzo prosta — w ogóle by nie istniało.

Spotkałam go akurat wtedy, gdy Ginger Fowler brała ślub z Paulem Sibleyem, a ich przyjęcie weselne odbywało się w Nag's Head nad samym morzem. Wyszliśmy wtedy na cały wieczór i upiliśmy się. Potem już rzadko kiedy się rozstawaliśmy. Kilka lat później jedna z naszych znajomych podpisała umowę na napisanie książki pod tytułem *Dziwne spotkanie* i koniecznie chciała opisać nasze poznanie się.

— Wszystko w tym jest — twierdziła — seks, romans, odwet, obopólne zainteresowanie i szczęśliwy koniec.

Jednakże nie zgadzałam się na to. Nie uważałam, żeby w moim życiu było coś na tyle niezwykłego, aby opisywać to w książce. Kiedy spotkałam Alana, jeszcze nie byłam zdecydowana, czy chcę dalej żyć czy też nie. Chociaż nie zdawałam sobie wtedy z tego sprawy, właśnie on dał mi główny powód dalszego istnienia. Kiedy tej nocy stuknęliśmy się kieliszkami z ginem i tonikiem, powiedział *Uchaim*. Były to najbardziej prawdziwe słowa, jakie słyszałam z jego ust aż do dzisiaj. Byłam zbyt przesadna, aby pozwolić opisać nasze pierwsze spotkanie w jakiejś książce.

Śmierć jest niewątpliwie jedną z możliwości rozwiązania niektórych problemów. Nawet jeśli myśl o samobójstwie wydaje się na pozór odstrasżająca, akt ten nadal pozostaje w wielu przypadkach najlepszym rozwiązaniem — przecież tylu ludziom udało się pozbyć w ten sposób wszystkich problemów. Nie chodzi o to, że ktoś chce sam sobie zadać śmierć, lecz o to, iż nigdy nie może zaistnieć taka sytuacja, w której mógłby powiedzieć: „Nigdy tego nie zrobię”. Stwórca zabijał, więc i on może zabijać. Przez wiele nocy po otrzymaniu listu od Paula leżałam w łóżku i bez przerwy nachodziła mnie ta myśl: „Zawsze mogę umrzeć. Jeśli to wszystko stanie się nie do wytrzymania, zawsze mogę to zrobić”.

Świadomość ta nie opuszczała mnie przez cały czas.

W ten sposób spędziłam pierwsze chłodne dni wiosny. Był to dla mnie wieczny zmierzch, wieczny wieczór, noc. O świcie chodziłam do pracy i pracowałam do późnego wieczora. Powoli wracałam do domu i od razu włączałam stary telewizor. Nie mogłam wtedy oglądać żadnych sztuk teatralnych ani przez cały rok słuchać swoich płyt. Idiotyczne teleturnieje i głupawe komedie ułatwiały mi przetrwanie kolejnych nocy. Czasami nawet zaglądałam do książek. Nie

pamiętam tylko, abym płakała — wydawało mi się, że łyzy ponownie sprowadzą mnie do otchłani. Prawdę mówiąc, w ogóle niewiele pamiętam z tego, co robiłam w te pierwsze miesiące wiosny, gdyż okres ten kojarzy mi się z bardzo długą i ciężką chorobą, której jednym z objawów była wysoka gorączka. Przypominam sobie straszny ból, jaki wtedy czułam. Poza tym doznaniem wokół mnie panowała całkowita próżnia. Alan nazywa ten okres pierwszą epoką lodowcową.

W drugim miesiącu tego letargu (w kwietniu) wymyśliłam pewien sposób na pokonywanie bólu. Po prostu siadałam i rozmyślałam nad tym wszystkim: — Jak to możliwe, że kobieta, która jest teraz tak bliska śmierci, mieszka jeszcze w Nowym Jorku? — zastanawianie się nad tym pytaniem pozwoliło mi przeżyć owe najgorsze chwile. Podobnie zresztą wychodziłam z opresji, gdy byłam jeszcze dzieckiem i nastolatką. Taktyka ta zawsze wychodziła mi na dobre. Nie wiem, dlaczego tak się działo, i pewnie nigdy tego nie zrozumie.

Młoda kobieta w Nowym Jorku, mająca taką dobrą pracę, powinna być energiczna, szczęśliwa i zaangażowana w robienie kariery zawodowej. Tak więc uśmiechałam się, poznawałam nowych ludzi i pracowałam ile sił i jak najlepiej potrafiłam. Od czasu do czasu chodziłam z różnymi osobami na lunch, w każdą sobotę czytałam „Timesa”, a przede wszystkim kolumnę o sztuce, aby zawsze być na bieżąco, gdy przychodziło mi znaleźć się w towarzystwie osób dyskutujących o najnowszych książkach czy sztukach teatralnych. Nikt nie zapraszał mnie na typowe randki, gdyż wszyscy w biurze wiedzieli, że jestem zaręczona z chłopakiem, który niedługo ma dołączyć do firmy. Lubili mnie i powinnam być im wdzięczna za miłe i lekkie rozmowy urozmaicające mi codziennie czas. Czasami jednak nie mogłam przypomnieć sobie imienia osoby, z którą rozmawiałam w danej chwili. Niemniej zawsze byłam wdzięczna za zwracanie na mnie uwagi. Chwile ciszy oznaczały nadchodzące niebezpieczeństwo, otchłani, której powinnam unikać.

— Co u Paula? — często pytał Carl Seaborn, zatrzymując się przy mojej desce kreślarskiej.

— W porządku — odpowiadałam lakonicznie i uśmiechałam się słodko.

— Już od dawna nie mam od niego żadnych wiadomości.

— Jest strasznie zabiegany. Opracowuje w tej chwili jakiś ogromny projekt.

„Gdybyś mógł wiedzieć, jaki to projekt, usiadłbyś z wrażenia!”

— dodawałam w myślach. Wzbierał we mnie szalony śmiech i musiałam ugryźć się w język, aby nie powtórzyć tego głośno. Sama już nie wiedziałam, jak powinnam się zachowywać.

Pomimo odgrywania roli Kate — kobiety interesu, na początku maja zaczęłam miewać napady paniki. Czasami, kiedy szłam Third Avenue do domu, nagle doznawałam takiego lęku, że nogi uginały się pode mną, jakby były z waty, i oblewał mnie zimny pot. Do tego wszystkiego serce przestawało bić regularnie. Opierałam się w takich chwilach o najbliższy słup lub szybę wystawową i po jakimś takim dojeździe do siebie człapałam mozolnie do domu, włączałam telewizor, by ułożyćwszy się na łóżku oglądać po kolei wszystkie audycje. Stan ten powracał po kilku dniach lub tygodniach, o różnych porach dnia i nocy. Nie wiem, jak ja to przeżyłam — gdyż było to wręcz straszne i niewiarygodne. Wmówiłam sobie, iż napady te są spowodowane obawą, że na zawsze zostanę sama i że mogę stracić pracę, gdy tylko Carl Seaborn dowie się prawdy o Paulu. Jednakże w głębi duszy zdawałam sobie sprawę, że ich podłoże jest zgoła odmienne, chociaż nie potrafiłam jeszcze określić jakie. Od dawna byłam przecież przedstawicielką „otchłaniowców”, co stanowiło swego rodzaju zapłatę za sukces odniesiony w pracy. Na szczęście szybko nauczyłam się prawdy: Jeśli nie będziesz się trzymać kurczowo codziennych realiów, na pewno zapłacisz za to w jakiś sposób. Zatem pokonuj ból. Od tej reguły nie ma wyjątków. Radziłam więc sobie z tym bólem, tak jak i dawniej radziłam sobie z podobnymi. Jak prawdziwy Bernhardt.

Mniej więcej w tym okresie poszłam wreszcie po raz pierwszy do kina na film *Zabić drozda*. Towarzyszyła mi koleżanka z biura, której imienia nawet teraz nie pamiętam, ale założę się, że ona pamięta mnie doskonale aż do dzisiaj. Już po kilku minutach filmu zaczęłam płakać, a w momencie, gdy Atticus Finch wyszedł z sali rozpraw, a tłum Murzynów zgromadzonych przed gmachem sądu powitał go milczeniem, za którym krył się podziw, tak głośno zapłakałam ze wzruszenia, że musiałam przeprosić koleżankę i wyjść z sali. Zmoczyłam twarz zimną wodą i dwa razy próbowałam wrócić na salę, lecz nie mogłam powstrzymać się od płaczu. Przystojna twarz Gregory Pecka działała na mnie tak, jak widok Chrystusa lub krzyża działa na wampira. W końcu poszłam do domu (o czym oczywiście nie uprzedziłam swej towarzyszki). Usiadłam na wersalce i wypłakałam się chyba za wszystkie czasy. Płakałam z powodu prawdy nie ujawnionej do końca, z powodu wszystkich zmarłych ojców oraz dobroci, której nigdy nie doświadczyłam. Kiedy w końcu się opanowałam,

zadzwoiłam do owej koleżanki z biura i przeprosiłam za swe karygodne zachowanie. Była w stosunku do mnie grzeczna, ale bardzo chłodna, co nie powinno mnie przecież dziwić. Pomyślałam sobie, że w ramach przeprosin zaproszę ją następnego dnia na lunch.

Potem zadzwoniłam do Cecie Hart. Nie dzwoniłam do akademika „Tri Omega”, lecz do jej starego domu w Tidewater. Nie chciałam ryzykować, że usłyszę głos Ginger czy chociażby Fig. Nie wiem, dlaczego zachciało mi się do niej dzwonić. Chyba nadal byłam pod wrażeniem tego filmu, lecz nie zastanawiałam się nad tym głębiej. Wiedziałam tylko, że chcę porozmawiać z Cecie.

Jakiś starczy, drżący głos odpowiedział jednak, że Cecie jest w Bostonie i zapytał, czy może chciałabym zostawić jakąś wiadomość.

— Jestem koleżanką Cecie z Randolph. Nazywam się Katie Lee — przedstawiłam się. — Mieszkałyśmy razem w akademiku. Kiedy Cecie wróci do domu?

— Lee? — dopytywała się babcia. — A Cecylia ma pani numer telefonu, panno Lee? A z których Lee ty jesteś? Może z tych naszych Lee? Bo wiesz, u nas w rodzinie mamy sporo osób o nazwisku Lee...

Podaliśmy jej mój numer telefonu, krzycząc ile sił, ale i tak babcia sprawiała wrażenie całkowicie głuchej, więc nie było sensu wypytывать ją dalej o Cecie. Ale dlaczego miałyby być teraz, w środku semestru, w Bostonie?

— A na długo pojechała do Bostonu? — zapytałam.

— Tylko z krótką wizytą do rodziny — powiedziała babcia, a ja dałam za wygraną.

— Proszę przekazać jej, aby do mnie zadzwoniła — krzyknęłam.

Ale Cecie nigdy nie zadzwoniła, więc i ja też zrezygnowałam z prób skontaktowania się z nią.

Wiele lat później napisałam do niej list, ale ona nie odpisała.

Usiadłam na łóżku i zaczęłam rozmyślać nad strachem, samotnością i prawdą. Zrozumiałam, że zawsze byłam sama — nawet obecność Paula nie zmieniała tego stanu rzeczy. Wszystko wydało mi się nierealne i złudne. Dlaczego w ogóle tak rozpaczałam? Przecież nic się nie zmieniło. Następnego dnia poszłam do biura Carla Seaborna i opowiedziałam mu o mnie i o Paulu oraz o tym, że najprawdopodobniej nigdy nie będzie pracować dla firmy McKim, Mead and White.

— Wiem, że teraz będzie pan musiał dobrze przemyśleć, czy nadal mnie zatrudniać, czy może zwolnić — powiedziałam. —

Chciałabym, aby pan wiedział, że jakakolwiek będzie pana decyzja w tej sprawie, zrozumie ją.

Spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

— Naprawdę myślałaś, że cię wyrzucę, Kate? — zapytał.

— No cóż — odparłam — wiem, że głównym powodem, dla którego pan mnie zatrudnił, był właśnie Paul. Był to rodzaj przysługi jemu wyświadczonej. Wiem też, jak bardzo firmie zależało na zatrudnieniu go. A może...

— Teraz jednak wiem, jak bardzo ty jesteś potrzebna naszej firmie. Jesteś utalentowana, masz ogromne wiadomości i pracujesz o wiele lepiej niż jakakolwiek inna młoda osoba, którą miałem okazję zatrudniać w całej swojej karierze. Nawet nie zamierzam zastanawiać się nad tym, czy cię zwolnić czy nie. Wręcz przeciwnie, chciałbym przenieść cię do innego działu na stanowisko młodszego asystenta. Dawno już powinienem był to zrobić. Przeniesiemy cię, jak tylko znajdziemy najbardziej odpowiednie zadanie. Będę czuwał nad tym i od razu dam ci znać. Aha, Kate... Przykro mi z powodu Paula.

— Dziękuję — odpowiedziałam. Tym razem nie rozpłakałam się na korytarzu. Wytrzymałam, aż dotarłam do damskiej toalety. Kiedy uspokoiłam się i poprawiłam makijaż[^] wróciłam do sali projektów, aby pogodzić się z koleżanką, z którą ostatnio tak niefortunnie wybrałam się do kina. Pomyślałam, że może jednak jeszcze trochę pożyję na tym świecie. Jednakże nie wiedziałam jeszcze, jak tego dokonać.

Jedna z najdziwniejszych rzeczy związanych ze stratą i bólem polega na tym, że bardzo silnie odczuwa się je w sposób fizyczny. Przez ponad trzy miesiące nie rozróżniałam twarzy ludzi wokół mnie. Spotykałam nowe osoby, przyjaźniłam się z nimi, spędzaliśmy razem popołudnia i wieczory, chodziliśmy na lunch, śmialiśmy się i rozmawiali, lecz już dwie minuty po rozstaniu nie mogłam sobie przypomnieć nawet twarzy dziewczyny, z którą spędziłam ostatnich kilka godzin. Wydawało mi się, że Paul jest przez cały ten czas gdzieś obok mnie; Paul, którego nigdy później już nie zobaczyłam, żył ze mną i wszędzie mi towarzyszył. Natomiast ludzie otaczający mnie wtedy wydawali mi się nierealni. Nie przeszkadzało mi to, lecz wzmagało jedynie poczucie przemijania i próżni. Byłam gotowa rozpocząć nowe życie, ale nie miałam powodu, dla którego mogłabym to zrobić. Miotalam się bez celu, lecz przynajmniej miałam tę świadomość, iż jestem już na powierzchni otchłani, więc mam wszelkie szanse wrócić do normalnego życia.

W pierwszą sobotę po rozdaniu dyplomów w Randolph pojechałam do biura już o ósmej rano i pracowałam aż do ósmej wieczorem. Wiedziałam, że jeśli nie zajmę się pracą, cały czas będę wyobrażać sobie różne dziwne rzeczy: Ginger wstającą rano z łóżka, już po raz ostatni w panięńskim stanie, Ginger jedzącą śniadanie w towarzystwie wniebowziętych i przejętych ważnością dnia rodziców, Paula spacerującego samotnie wzdłuż plaży lub jadącego samochodem, Paula usiłującego nie widzieć narzeczonej aż do momentu ślubu, gwar zjeżdżających się gości oraz służby przygotowującej weselne przyjęcie, liczne bukiety białych kwiatów ustawione na stołach, kwartet smyczkowy umilający gościom chwile dzielące ich od właściwej ceremonii. Wreszcie Paula wychodzącego wraz ze swym świadkiem... Kto to może być?... I w końcu Ginger, ubrana w piękną białą suknię, uśmiechniętą i przepełnioną szczęściem i miłością...

Tego dnia pracowałam jak maszyna, ale nawet pomimo to obraz, który ciągle starałam się wymazać ze świadomości, powracał do mnie jak bumerang. Oczywiście zawsze widziałam siebie, a nie Ginger, która szła do niego odprowadzana przez ojca. O ósmej wieczorem, gdy na dworze zapadł już zmrok, a Ginger i Paul bawili się na swym weselu, odłożyłam wreszcie ołówek, podparłam głowę rękoma i zaczęłam płakać. Chciałam tylko trochę odpocząć po całym dniu intensywnej pracy, lecz łzy pojawiły się od razu same, jakby brały swój początek z jakiegoś obfitego źródła. Nie broniłam się już przed nimi, gdyż byłam tym wszystkim zmęczona. Od południa sama siedziałam w pokoju, więc i tak nikt mnie nie słyszał ani nie widział. Nawet nie pomyślałam, że przecież powinnam się wstydzić takiego zachowania w miejscu pracy. Wszak od kilku miesięcy nie zależało mi na tym, jak widzą mnie inni. Miałam jednak przecucie, że kiedy minie ów dzień ślubu, łzy obeschną, a ból ustanie i odejdzie w niepamięć. Czekałam i czekałam, aż się uspokoję, lecz ulga nie nadchodziła.

W pewnym momencie usłyszałam za sobą jakiś męski głos z typowym akcentem z Brooklynu:

— Upić się, oto jest odpowiedź, ale jak brzmi pytanie?

Podniosłam głowę i po raz pierwszy od marca wyraźnie zobaczyłam przed sobą ludzką twarz. Była to męska twarz o ostrych rysach, ciemnych oczach, dużych ustach i wystających policzkach. Uśmiechał się, odsłaniając małe białe zęby. Był mały, szczupły i dobrze umięśniony. Nosił czarne dżinsy, bawełniany podkoszulek i adidas. Jego twarz miała ów szczególnie jasnooliwkowy kolor, typowy dla większości młodych mężczyzn w tym regionie USA.

Jego włosy były czarne i kręcone, a broda krótko przystrzyżona. Pamiętam, że pomyślałam sobie wtedy dwie rzeczy: że może być tylko Żydem oraz że jego włosy są twarde i sztywne jak u dobrze wypielęgnowanego teriera.

Pomyślałam również, jeszcze nim się odezwał, że jestem teraz z nim sama w pokoju, a najprawdopodobniej i w całym budynku, lecz mimo to nawet nie wiem, jak się nazywa. Nie przypominał mi żadnego z pracowników naszej firmy. Nie szło mi o to, że nie było u nas żadnych Żydów, lecz o to, że wszyscy pracownicy nosili starannie wyprasowane koszule khaki i garnitury w stylu Ivy League. Wyglądali, jakby właśnie mieli jechać do Brooklynu na lotnisko La Guardia lub jakby spieszyli się na pociąg do Hamptons. Ten zaś mężczyzna był ubrany na czarno, mówił pospolitym językiem i poruszał się jak kot. Ogarnęły mnie jednocześnie przestrasz i zderwowanie.

— Jeśli nie wyniesie się pan stąd w przeciągu jednej sekundy, natychmiast dzwonię po policję! — powiedziałam, wyciągając rękę do telefonu stojącego na parapecie tuż za moim biurkiem.

— A to dlaczego? Dlatego że mam na sobie taki brzydki podkoszulek? — zapytał i znowu się uśmiechnął. — Spokojnie, panno. Grunt to spokój. Przyszedłem tylko zabrać pannę na Long Island, ale równie dobrze możemy jechać tam w następnym tygodniu...

Patrzyłam na niego głupim wzrokiem, świadoma, że moje oczy są spuchnięte od długiego już płaczu, a nos — kompletnie zatkań.

— Nie jesteś przypadkiem Kate Lee? — zapytał nagle.

— Owszem...

— Jestem Alan Abrams. Pracuję dla McKima jako architekt. I właśnie teraz projektuję dom na plaży, do którego masz zrobić wystrój wnętrz już w następnym tygodniu. Przyszedłem dziś do biura i kiedy zobaczyłem, że wpisałaś się na listę obecności, wpadłem na pomysł, że może wybrałabyś się ze mną jutro do Sagaponack obejrzeć dokładnie ten dom. Moglibyśmy wrócić do miasta już około czwartej po południu. Ale chyba wybrałem niezbyt odpowiednią porę...

— Mam robić jakiś dom na plaży? — zapytałam zdumiona.

— Carl powiedział mi wczoraj, że przydziela go tobie. Jeszcze nic ci nie mówił?

— Nie — odparłam. — Nic o tym nie wiem... Może zresztą zmienił już plany. Nigdy nie robiłam takiego dużego projektu, z wyjątkiem tych szkolnych...

— Nie martw się, nie zmienił zdania — zapewnił mnie Alan Abrams. — Powiedział mi, że widział wewnątrz jakiegoś domu nad morzem, które właśnie ty zaprojektowałaś, i był całkowicie zaskoczony. Dlatego też stwierdził, że może będzie się nam dobrze współpracowało i zaproponował, abyśmy wybrali się do tego domu, zanim zabierzemy się do właściwej roboty. Prawdopodobnie powie ci o tym w poniedziałek. Chciałem więc zadzwonić do ciebie dzisiaj wieczorem, ale skoro zobaczyłem twoje nazwisko na liście obecności...

— Dom nad morzem... — powtórzyłam bezmyślnie.

— Tak — przytaknął. — Dom nad samym brzegiem oceanu. Większość zamożnych ludzi ma tutaj takie rezydencje. Nad samym oceanem... Cholera! Przepraszam cię! Czasami moje słowa mogą zabrzmieć sarkastycznie, chociaż wcale nie chcę być taki. Ale coś cię trapi, więc może lepiej będzie, jeśli zostawię cię w spokoju aż do poniedziałku i wtedy będziemy mogli pójść gdzieś na kawę i spokojnie porozmawiać. Co ty na to?

Już się odwrócił i skierował do drzwi. Spojrzałam za nim. Szedł tanecznym krokiem. W drzwiach zatrzymał się na chwilę i spojrzał w moim kierunku.

— Ale przecież nie mogę cię tu zostawić w ciemnościach, samą i w dodatku płaczącą — powiedział. — Idź do toalety i umyj sobie twarz, a potem postawię ci jakiegoś drinka i pójdziemy na obiad. Powiedziałem już, że najlepszą dla ciebie odpowiedzią będzie upicie się. Nie obawiaj się, nie zadam ci tego pytania.

— Nie musisz mi stawiać obiadu — powiedziałam słabym głosem.

— Nie muszę nic robić — odparł. — Po prostu chcę postawić ci obiad. Będę teraz spędzał z tobą wiele czasu, więc chciałbym zobaczyć, jak wyglądasz, kiedy nie płaczesz. Przystaniesz płakać, prawda?

— Tak...

— I zjesz obiad, jeśli ktoś podsunie ci go pod nos, prawda?

Dopiero wtedy przypomniałam sobie, że oprócz małej kanapki na śniadanie nic jeszcze nie jadłam.

— Tak — przytaknęłam. Udało mi się nawet do niego uśmiechnąć. Usta nadal mi drżały, lecz łzy przestały płynąć.

— No więc chodź. Do P. J. Clarke'a na drinka i hamburgera, a potem na obiad do Village Vanguard, aby posłuchać Gerry'ego Mulligana. Lubisz jazz?

— Uwielbiam, ale przecież nie jestem odpowiednio ubrana.

— Żartujesz chyba? Wyglądasz wspaniale! Może tylko troszkę zmoczona, zupełnie jak Ondine, ale dzięki temu świetnie pasujesz do domu nad oceanem.

Kiedy wróciłam z toalety, Alan siedział przy moim stoliku i przeglądał rysunki. Spojrzał i uśmiechnął się do mnie. Był to szczególnie miły uśmiech, na który nie można było odpowiedzieć inaczej, jak tylko podobnym uśmiechem.

— Coraz lepiej — powiedział. — Zupełnie jak Grace Kelly grająca Ondine. Jestem już prawie zdecydowany i najprawdopodobniej oświadczę ci się, zanim jeszcze dotrzemy do deseru. Nigdy nie mogłem się oprzeć takim blondynkom jak ty. Ta cecha charakteru jest zmurą mojej matki.

— Więc prawdopodobnie nie zaakceptowałaby mnie — powiedziałam, wychodząc za nim na dwór. Nastął zmierzch i zapalano właśnie neony na Third Avenue. Wydały mi się niezwykle piękne. *Uheure bleue* — jak to nazywają Francuzi. Może zresztą wymyślili to określenie przede wszystkim dla Nowego Jorku. Już bardzo dawno nie zwracałam uwagi na takie szczegóły.

— Jakbyś zgadła! Już wynajęła płatnych gangsterów, aby cię usunęli — rzekł ze śmiechem, zatrzymując na ulicy pierwszą lepszą taksówkę. — Znalazła też swatkę, która pozna mnie z jakąś miłą ortodoksyjną dziewczyną. Wydała na nią całą fortunę.

— Czyli znalazła ci już kogoś?

— Ależ skąd! Okazało się, że ostatnia podesłana przez nią kandydatka miała wąsy.

U P.J. Clarke'a usiedliśmy sobie na wysokich stołkach przy barze i zamówiliśmy gin z tonikiem. Stuknęliśmy się kieliszkami.

— *Uchaim* — powiedział.

— *Uchaim* — odrzekłam i wypiałam duży łyk. Napój był wspaniały, lodowaty i orzeźwiający. Wypiłam do dna i spojrzałam na Alana. Znowu się uśmiechnął i zamówił następną kolejkę, a ja znów wypiałam od razu do dna. Westchnęłam, odstawiłam kieliszek na blat barku i usiadłam wygodniej na stołku. Ból trochę się zmniejszył, a wyimaginowane łańcuchy, ściskające mi pierś już od wielu miesięcy, trochę się poluźniły.

— Masz rację — powiedziałam. — Najlepiej jest się upić. Szkoda, że nie pomyślałam o tym wcześniej.

— Pozwolisz, że zapytam wreszcie, jakie jest to tajemnicze pytanie? — rzekł.

— Chyba jeszcze za wcześnie. Ale jeszcze jeden taki kieliszek, a będziesz mógł mnie pytać, o co zechcesz.

W głowie kręciło mi się i szumiało, ale jeszcze nie byłam pijana. Czułam się o wiele bardziej czujna i trzeźwa niż podczas ostatnich kilku miesięcy. Otaczająca mnie mgła nareszcie podniosła się o tyle, iż mogłam zobaczyć, co się dookoła mnie dzieje. Poczułam się bardzo dobrze.

— Prawdę mówiąc — powiedział, spoglądając na mnie z ukosa — chyba wiem, jak brzmi to pytanie. Nie chciałbym, abyśmy zaczęli współpracę od nie dopowiedzianych rzeczy. Carl opowiedział mi o tym twoim dotychczasowym chłystku, który podobno miał złote ręczki, ale zwiął i od ciebie, i z naszej firmy.

— Carl nie miał prawa ci o tym mówić — powiedziałam, czując że dobry humor wywołany przez gin zaczyna już mijać. — To moja prywatna sprawa.

— Miał wszelkie prawo, aby powiadomić pracowników, że Sibley nie będzie już pracował w firmie — stwierdził spokojnie Alan. — Przez dwa lata perspektywa pracy z nim wisiała nad nami niczym miecz Damoklesa, więc naszą radość i śmiech słychać było chyba aż w Newark. Większość z nas poznała go, gdy przyjechał na rozmowę z Carlem. Nazwaliśmy go Kapitanem Sztyniakiem.

— Nie mieliście nawet szansy, aby go poznać naprawdę — powiedziałam cicho. Nagle zamilkłam, gdyż zorientowałam się, że przecież bronię Paula Sibleya.

— Nie, mieliśmy wystarczająco dużo czasu, aby zorientować się, że wystawi Carla i całą firmę do wiatru, zbierze sobie jak najwięcej klientów i zniknie, gdy tylko będzie mógł — powiedział. — Zawsze rozpoznaję cwaniaków i nigdy się nie mylę. Carl powiedział mi też, co ten skurczybyk teraz robi: żeni się z twoją bogatą przyjaciółką. Nikomu więcej o tym nie opowiadał, bo wtedy inni mogliby się do ciebie odnosić niechętnie. Dlatego też świadomość tego faktu daje mi ogromną przewagę nad tobą w stosunku do innych. Przepraszam za to wyrażenie.

— Ale nie musimy już o tym więcej rozmawiać, prawda? — zapytałam i znów poczułam ucisk w gardle.

— Nie — odparł i spojrzął mi w oczy. — Miał się żenić w ten weekend, prawda?

— Ślub odbył się właśnie godzinę temu — powiedziałam, siląc się na ironiczny uśmiech, który nawet dobrze mi wyszedł. — Mniej więcej wtedy, gdy ty mówiłeś, że odpowiedzią jest schlanie się, on mówił, że bierze ją za żonę. A teraz już po wszystkim. I nigdy więcej nie zamierzam o **tym** mówić. Koniec.

W Przez moment siedzieliśmy w milczeniu i popijaliśmy drinki. Wyciągnął rękę i dotknął mojej dłoni leżącej na kolanie. Jego ręka była ciepła i twarda.

— Rozluźnij się — powiedział. — Rozluźnij.

Bardzo dużo wypiliśmy tej nocy. Nie pamiętam nawet, ile tego było. Bar wypełnił się stopniowo roześmianymi, młodymi, przystojnymi i dobrze ubranymi ludźmi. Pamiętam z tej nocy jedynie kolejne stawiane przede mną kieliszki oraz ów śmiech. Ja też dużo się śmiałam — ostatnio śmiałam się tyle jeszcze wtedy, gdy mieszkłam w akademiku z Cecie, podczas naszych nocnych rozmów. Alan i, mówił wyraźnie i jasno, był bardzo uprzejmy i ujmujący. Wykazywał <) wyjątkową trzeźwość umysłu i inteligencję. Okazało się, że czytał . I tych samych autorów, których czytałyśmy razem z Cecie, lubił ten sam typ muzyki, sztuki, dramatu, architektury i mebli, a co ważniejsz (e — nie cierpiał tych samych rzeczy, których ja nienawidziłam. ' Właśnie o tym wszystkim rozmawialiśmy tamtej nocy i co chwilę wybuchaliśmy śmiechem. Jeszcze zanim przyniesiono nasze hamburgery, wiedziałam już, że jestem zupełnie pijana. Nie zachowywałam się jednak źle czy śmiesznie. Cały otaczający mnie świat zaczął wydawać mi się wyraźny, kolorowy i bardzo ciekawy. Nie mogłam tylko zrozumieć, dlaczego Alan nie był pijany, chociaż pił tyle samo co ja albo jeszcze więcej. Trzymał mnie pod ramię, gdy wychodziliśmy z baru i wsiadaliśmy do taksówki, która zawiozła nas do Vanguard. Szedł lekkim, pewnym i szybkim krokiem.

— Umiesz tańczyć? — zapytałam, gdy wysiadałam z taksówki.

i — Chodzisz jak profesjonalny tancerz i masz takie małe, zgrabne ; pośladki jak u tancerki. O cholera! Mam nadzieję, że tego nie słysza- i łoś. Zazwyczaj nie mówię takich rzeczy.

I — Jestem bokserem — odpowiedział z uśmiechem. — Wagi \ piórkowej. Ćwiczyłem w NYU oraz w wojsku, we Francji.

I — Francja jest chyba bardzo popularna wśród architektów — i stwierdziłam. — To chyba kwestia wina.

I — Chyba tak — powiedział. — Tam właśnie Carl spotkał po raz ; pierwszy Kapitana Sztynniaka. Na szczęście Kapitan nie wszędzie pozostawił swoje ślady, więc i dla nas, zwykłych zjadaczy chleba, też I jeszcze trochę zostało.

Wkrótce potem, gdy usiedliśmy przy zacienionym stoliku w następnej restauracji, a Mulligan zaczął grać kolejny utwór jazzowy, zaczęłam powoli wycofywać się z realnego świata. Pamiętam tylko jakieś oderwane dźwięki, światła, fragmenty rozmów. Pamiętam też, że stałam i klaskałam razem ze wszystkimi innymi gośćmi, podczas

gdy Mulligan grał na saksofonie. Przypominam sobie, że w chwilę potem stałam z Alanem na ulicy przed Vanguard, trzymaliśmy się mocno za ręce i śpiewaliśmy na całe gardło *Na ulicy, przy której mieszkam*. Potem wsiedliśmy do samochodu i nadal nuciliśmy różne piosenki, wpatrując się to w ciemny pejzaż za oknem, to znów w zielone światółko włączonego odtwarzacza samochodowego. Recytowałam też fragmenty poezji Dorothy Parker. Wydaje mi się, że Alan też recytował jakieś wiersze. Powiedział mi później, że sparodiowałam prawie całą jej twórczość.

— Chciałbym kiedyś poznać tę twoją Cecie, o której tyle opowiadasz — powiedział. — Z tego, co o niej mówisz, mógłbym podejrzewać, iż nad jej głową unosi się prawdziwa aureola, podobnie jak u wszystkich świętych.

Jednak zupełnie nie pamiętam, abym tamej nocy opowiadała coś o Cecie. Chyba na dość długo urwał mi się film, gdyż całkowicie straciłam pamięć. Zaczęłam przypominać sobie zdarzenia poprzedniej nocy dopiero wtedy, gdy spacerowałam po pustej plaży nad oceanem i podziwiałam z Alanem wschód słońca nad Atlantykiem. Pod moimi stopami był zimny piasek, a obok — srebrnoróżowe morze, bardzo spokojne i ciche. Leżałam na boku na jakimś dużym ręczniku kąpielowym, przykryta męską kurtką. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłam zaraz po przebudzeniu się, było srebrzyste morze. Usłyszałam też krzyk mew fruujących nade mną. Alan Abrams siedział w kucki, obejmując rękami kolana, i patrzył na ocean. Daleko na horyzoncie widać było kutry rybackie wypływające na poranny połów. Słyszałam także równomierny, spokojny oddech Alana. Wdychałam czyste, zimne, morskie powietrze. Oblizałam wargi pokryte cienką warstwą soli. Do tego należałoby jeszcze dołączyć doznania związane z nadchodzącym kacem, których chyba nie muszę szczegółowo opisywać. Usiadłam z niemałym trudem, rozejrzałam się dokoła, ale nie byłam w stanie przypomnieć sobie, na jakiej plaży jestem. Lecz nawet przez moment nie zapomniałam, kim jest Alan.

Odwrócił się do mnie i uśmiechnął. Wydało mi się to niesamowite, ale wyglądał tak samo świeżo jak poprzedniej nocy, gdy podszedł do mojego biurka.

Jakież to światło bije z twych okien? — zacytował. — *Czyżby to był już wschód?*

— Gdzie jesteśmy? — zapytałam. — I która jest teraz godzina?

— Jesteśmy na plaży w Sagaponack — odpowiedział. A jest za dziesięć szósta. Zanim powiesz następne zdanie, pozwól, iż zapewnię cię, że wszystko, co wydarzyło się tej nocy, było jak najbardziej

• zgodne z ogólnie przyjętymi zwyczajami. Koniecznie chciałaś zobaczyć wschód słońca nad domem, który razem robimy, lecz gdy tylko doszliśmy do plaży, położyłaś się na piasku i usnęłaś. Jeśli nie liczyć ; chwili, gdy musiałem cię czymś przykryć, abyś się nie przeziębiła, . nie dotknąłem cię nawet najmniejszym palcem. Z drugiej jednak ; strony miałem całe trzy godziny bezecnych, nieczystych myśli, gdyż ¹ mogłem się na ciebie napatrzeć do woli, kiedy spałaś sobie smacznie na pustej plaży.

— Chyba umrę na miejscu, jeśli nie dostanę gdzieś tutaj filizanki kawy i kilku tabletek aspiryny — powiedziałaś stanowczo. —
• A w chwili, gdy sobie wszystko przypomnę, zacznę żałować, że się w ogóle urodziłam. Śpiewałam, prawda?

— Owszem — odpowiedział. — Śpiewałaś bardzo ładnie i głośno. Tysiące ludzi biły ci brawa.

— Och, Boże!

Znaleźliśmy jakąś całodobową przydrożną knajpę przy Sunrise Highway w Bridgetown, gdzie mogłam umyć twarz i wyszorować zęby, po czym kupiliśmy sobie kawę w plastikowych kubeczkach i poszliśmy do samochodu ją wypić. W tym miasteczku, u Seabornów, spędziłam ostatnie Boże Narodzenie, ale wtedy cała okolica, otulona śniegiem, wydawała się bardzo cicha i spokojna. Teraz wszystko było zielone i świeże i tętniło życiem: zielone pola ziemniaczane, szare stodoły, małe stawy, wąskie polne drogi prowadzące prosto na plażę. Przypominało mi to Nag's Head. Kiedy wjechaliśmy do Sagaponack i skręciliśmy w ulicę Potato, zobaczyłam wysokie wydmy porośnięte trawą. Serce ścisnęło mi się z bólu. Widok ten tak bardzo przypominał mi Outer Banks, przypominał mi...

Zaparkowaliśmy samochód na poboczu i weszliśmy na owe wydmy. Wzięłam głęboki wdech. Trawa i różnego rodzaju większe lub mniejsze krzaczki porastały wydmy aż do samej złocistej plaży.

Tafla wody miała jasnoczerwony kolor, gdyż odbijała promienie |k| wschodzącego słońca. Zamknęłam oczy i poczułam pod powiekami H łyzy, bo przez chwilę wydawało mi się, że ponownie jestem w Nag's H Head. Gdy oprzytomniałam, myśl że jest inaczej przeszła moje W serce jak ostra strzała.

I| — Znasz ten wiersz Eliota? — zapytał nagłe Alan, który stał • I obok mnie. — *Nadsłuchując, jak syreny śpiewem zwołują się gdzieś. Nie K sadzę, aby kiedyś dla mnie zaśpiewały.* To chyba z *Prufrocka*. Tak mi jakoś R przyszedł na myśl.

B Odwróciłam się i spojrzałam na niego. Kim był ten człowiek?

II — Znam — powiedziałaś — ale nienawidzę tego wiersza.

Zapadło na chwile milczenie, gdyż zajęliśmy się pićm stygnącej kawy.

— Dlaczego mnie tutaj przyprowadziłeś? — zapytałam.

— Bo chciałem zobaczyć, jak reagujesz na widok oceanu — stwierdził poważnie. — Ten dom na plaży jest dla mnie bardzo ważny, podobnie jak każdy inny dom nad samym morzem. Kocham morze o wiele bardziej niż wszystko inne na świecie i dlatego nie mógłbym współpracować nad takim projektem z kimś, kto miałby inne odczucia.

— No i co o mnie myślisz?

— Myślę, że pod tym względem jesteś do mnie podobna. Kiedy ktoś budzi się i ma kaca, raczej nie może niczego udawać. Widziałem, jak oczy ci zabłyśły już na sam widok oceanu.

Przeszliśmy się wzdłuż plaży. Chłodna woda morska moczyła nam stopy. Nawet piasek był taki sam jak w Outer Banks — zbyt miękki, aby po nim chodzić. Dlatego też musieliśmy iść tuż przy samym brzegu, gdzie mokry piasek nie zapadał się pod nami. Alan wyciągnął rękę i wskazał na białą budowlę na horyzoncie.

— Nasz dom ma stać tuż obok tamtego budynku — powiedział. — Mając tutaj tyle dzikiego, nie zagospodarowanego wybrzeża, Friedmanowie musieli kupić działkę akurat obok ulicy Maginot Line. Może bardziej im to odpowiada. Oni już tutaj wariują. Kiedy pan Friedman zdenerwuje się z jakiegoś powodu, wsiada do swego prywatnego samolotu i wraca do domu w Sneden's Landing, a kiedy jego małżonkę ogarnia zły humor, dzwoni po pilota, aby przyleciał i zabrał ją stąd. W takiej sytuacji jest mi naprawdę trudno określić, kiedy skończymy robotę w tym domu. Jediną dobrą rzeczą jest to, że Friedman pozwala mi robić, co mi się podoba, i nie wtrąca się w moją pracę. Prawdopodobnie tobie też da taką swobodę. W tym tygodniu powinniśmy już zalać fundamenty.

Przerwaliśmy rozmowę i szliśmy dalej w milczeniu. Tylko raz pomyślałam wtedy o Paulu i Ginger, którzy prawdopodobnie właśnie teraz obudzili się po raz pierwszy w małżeńskim łóżu i spojrzeli na to samo morze i identyczną plażę. Chyba był już najwyższy czas, aby zacząć o nich zapominać.

— Może byśmy poszli gdzieś na śniadanie? — zaproponowałam.

— Za chwilę. Najpierw chciałbym ci coś pokazać.

Zauważyłam, że w pewnym miejscu linia brzegowa załamuje się i plaża przekształca się w małą zatoczkę, otoczoną z trzech stron bardzo wysokimi wydhami górującymi nad całym terenem. Trawy

kołysały się poruszane lekkim wiatrem. Było to miejsce przepiękne, dziewicze i wspaniałe. W zatoczce stało kilka białych jachtów, które najwyraźniej musiały być dobrze zabezpieczone, aby nie zostały porwane przez przyływ i odpływ.

— Wspaniały widok! — krzyknęłam wzruszona. — Jestem zauroczona!

— To moje — powiedział z dumą w głosie. — Kiedy przyjechałem tu pierwszy raz miesiąc temu, aby obejrzeć działkę Friedmana, teren ten zawładnął moją duszą do tego stopnia, że jeszcze tego samego tygodnia kupiłem tutaj dwa akry ziemi. Wybuduję tu dom, dokładnie za samymi wydmami. Zrobię też ogromne studio, którego okna będą wychodziły prosto na ocean. Zajmie mi to całe setki lat, ale muszę to zrobić. Już mam przygotowane wszystkie plany.

Odwrociłam się gwałtownie i spojrzałam na plażę. Woda obmywała mi nogi. Serce biło bardzo mocno. Kimkolwiek był ten człowiek, miałam już dość tego naśladowania Paula. W moim życiu nie ma miejsca nawet na sobowtór Paula Sibleya. Muszę iść do Carla Seaborna i zrezygnować z tego projektu...

Alan podszedł bliżej i odwrócił mnie.

— O co chodzi? — zapytał. — Co się stało?

— Paul Sibley chciał dokładnie tego samego — powiedziałam. — No wiesz, ten wasz Kapitan Sztyniak, czy jak wy tam go nazywaliście. No i buduje teraz taki dom, tyle że w Nag's Head. A mój wystrój wewnątrz, o którym opowiadał ci Carl, był właśnie do tego domu. Wiedziałeś o tym, prawda? Na pewno wiedziałeś.

Patrzył na mnie i przecząco kręcił głową. Potem zaczął się śmiać.

— Och, Boże! — powiedział. — Dlaczego my, Żydzi, zawsze musimy być o jeden krok za tymi wspaniałymi białymi gojami?

Zamarłam w bezruchu i patrzyłam bezmyślnie na podnoszące się słońce. Nagle zaczęłam się śmiać, aż rozboleł mnie brzuch i usiadłam na piasku.

— Daleko mu do typowego białego goja — wykrztusiłam, zanosząc się od śmiechu. — On jest w połowie Indianinem z plemienia Seminoli!

Alan Abrams również parsknął śmiechem i usiadł obok mnie. Siedzieliśmy tak dosyć długo, aż w końcu musieliśmy wstać i wracać do samochodu. Kiedy wyjeżdżaliśmy z Bridgehampton do Manhatanu, nadal śmialiśmy się jak wariaci.

— No dobrze, Kate Lee — powiedział, gdy podwiózł mnie pod sam dom. — Najwyższy czas wrócić do pracy.

Rozdział 10

Tamtego lata dzięki pracy i śmiechowi zaczęłam znów żyć normalnie. Już od pierwszego dnia, kiedy zajęłam się domem Friedmana, zapomniałam o wszelkich obiekcjach związanych z moim dotychczasowym zatrudnieniem w firmie McKima. W miarę potrzeb wpadałam na różne trafne pomysły dotyczące koloru, typów materiałów i innych szczegółów. Okazało się to podejrzenie proste.

— Przecież praca nie może być zawsze taka prosta — powtarzałam ciągle Alanowi. Alan poprosił Carla, aby na okres naszej pracy nad domem Friedmana zezwolił przenieść moją deskę kreślarską do jego gabinetu. Tak więc codziennie spędzaliśmy razem osiem godzin.

— Masz rację. Prawie nigdy tak nie jest, aby praca zawodowa była lekka, łatwa i przyjemna — powiedział. — Ten projekt idzie nam zbyt łatwo. Coś wreszcie musi się zepsuć i to mnie najbardziej niepokoi. Nawet Friedmanowie nie kłócili się ze sobą, odkąd zalaliśmy fundamenty. My też się jeszcze nie pokłóciliśmy, a przynajmniej o sprawy kluczowe. Nie mieliśmy nawet opóźnienia spowodowanego przez deszcz. Najlepiej by było, gdybyśmy w ogóle nie rozmawiali o tym, jak to nam dobrze idzie, bo zapeszymy.

Tak więc temat ten został zamknięty. Willa nad morzem rosta nam niemalże z minuty na minutę i wydaje mi się, że już nigdy nie będę tak lubiła swojej pracy jak wtedy.

Dopiero teraz widzę, że większość naszej radości i naszego śmiechu zawdzięczaliśmy przede wszystkim ogromnemu talentowi Alana i sposobowi, w jaki o nim mówił. Alan rzeczywiście był bardzo utalentowany, może nawet tak samo jak Paul Sibley, lecz trochę w innym stylu. Jego prace nie były tak mroczne i oderwane od

rzeczywistości jak Paula. Alan był łatwy we współpracy, cierpliwy, może czasami zbyt drobiazgowy... lecz mimo to zawsze odbierał swoje projekty jako coś radosnego. Czasami, kiedy coś go szczególnie uradowało, podskakiwał z radości i krzyczał, aż wszyscy z sąsiednich pokoi przybiegali do nas zobaczyć, co się stało. Projekty Alana zawsze miały charakter całościowy: otaczały ciebie, spowijały w bezpieczeństwo i ciepło oraz nierozzerwalnie przywiązywały do wszystkiego co ziemskie i rzeczywiste. Mieszkanie w domu zaprojektowanym przez Alana Abramsa oznaczało odczuwanie wyraźnego pulsu ziemi, oddechu morza i chłodnego schronienia oferowanego przez niebo. Oznaczałoby także odpoczynek kojarzący się ze statkiem zakotwiczonym w zatoce. Natomiast mieszkanie w domu Paula Sibleya pociągałoby za sobą gwałtowne bicie serca i nierówny oddech. Oznaczałoby niemalże wyjście z siebie, opuszczenie swojej własnej osobowości. Na pewno w takim domu nie można odpocząć, w przeciwieństwie do domu Alana. Już nawet sama obecność Alana Abramsa działała kojąco i uspokajająco, dlatego też bardzo dobrze się stało, iż mogłam właśnie z nim spędzić całe to lato.

Pracowaliśmy od wczesnego ranka aż do późnej nocy. Rozmawialiśmy, sprzeczaliśmy się, szamotaliśmy ze sobą i śmialiśmy się. Drugie śniadania jadaliśmy przy naszych biurkach lub w pobliskiej kawiarni znajdującej się tuż za rogiem. Przynajmniej dwa — trzy dni w każdym tygodniu spędzaliśmy na miejscu budowy. Byliśmy ładnie opaleni i ciągle spoceni, a nasze włosy, schowane pod wielkimi kapeluszami przeciwsłonecznymi, były wiecznie mokre. Sprzeczaliśmy się z całą ekipą i właścicielami domu, których zwyczajem stało się już nagabywanie robotników i przeszkadzanie im w pracy. W końcu państwo Friedmanowie zdecydowali się choć raz wyjechać razem na Manhattan. W podjęciu tej niezwykle dla nich trudnej decyzji pomógł im Alan, który pewnego dnia w lipcu nastraszył ich, że jeśli nie przestaną się wtrącać w przebieg pracy i opóźnić realizację planów, to ich dom nigdy nie znajdzie się na łamach „Architectural Digest”. W końcu Friedmanowie wsiedli do swego samolotu na lotnisku McArthur’a i polecili do Nowego Jorku.

— Wiesz, jak to się nazywa? Szantaż — powiedziałam. — Jak możesz wpłynąć na to, czy w „Digest” opiszą ten dom czy nie? Nie jesteś przecież tak bardzo znany.

— To już załatwione, jeśli zdążymy do grudnia — powiedział. — Carl doniósł mi o tym w zeszłym tygodniu. Większość domów projektowanych przez McKima jest przedstawiana w „Architectural Digest”. Friedmanowie też już o tym wiedzą. Może zresztą tylko

dlatego zgłosili się do naszej firmy: chcą w ten sposób podratować swoje małżeństwo.

Dom rósł jak na drożdżach i w miarę postępowania prac zaczęliśmy powoli zapominać o podziale kompetencji — byliśmy po prostu my i firma oraz nasz dom (mój i Alana). Na jednej z konferencji pracowników McKima Carl przedstawił nas jako idealny przykład bardzo dobrej współpracy architekta i projektanta wnętrz. Początkowo wszyscy zaczęli opowiadać sobie dowcipy na nasz temat, lecz później przyzwyczajono się do tego, a zarząd firmy zaczął przydziałać nam także i inne projekty. Gdyby wybór mojego współpracownika zależał wyłącznie ode mnie, nie mogłabym znaleźć innej osoby, która by mi tak bardzo odpowiadała pod każdym względem.

Wydaje mi się, że nieuniknione było przeniesienie naszej współpracy także na inne dziedziny życia. Gdy o mnie chodzi, nie miałam wielu przyjaciół, jeśli w ogóle mogłam o kimkolwiek powiedzieć, że był moim przyjacielem, więc byłam całkowicie zadowolona z obecności Alana. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że przez całe to lato mógł mieć jakiś inne niezależne ode mnie życie. A przecież musiał mieć jakieś prywatne sprawy — miał rodzinę, której nie znałam, i wielu przyjaciół, których chyba odsunął na bok. Przez kilka miesięcy budowy domu Friedmanów byliśmy jak bliźniaki syjamskie (podkreślam słowo „bliźniaki”). W okresie tym Alan nigdy nie posunął się dalej niż wzięcie mnie za rękę, co i tak zdarzało się bardzo rzadko. Ja natomiast tylko raz posunęłam się tak daleko, że rzuciłam mu się na szyję, gdy opanowała mnie radość z osiągniętych już wyników pracy.

Alan pokazał mi wtedy prawdziwe oblicze Nowego Jorku. Robiłam z nim wszystko, co jeszcze niedawno odkładałam do przyjazdu Paula. Nigdy wcześniej (ani też i nigdy później) to miasto nie podobało mi się tak, jak w tym okresie. Pokonałam już ból po utracie Paula, a obecność Alana obok mnie, jego śmiech, radość życia i dobry humor sprawiały, że bardzo szybko powróciłam do swego poprzedniego stanu. Odłożyłam do szufladki przeznaczonej na sprawy do zapomnienia wszystko, co kojarzyło mi się ze zdrażliwym Południem, i całkowicie poddałam się wpływowi tego marzycielskiego i utalentowanego mężczyzny. Nie chciałam nawet myśleć o swoim własnym domu rodzinnym, który zresztą odwiedziłam dopiero po wielu, wielu latach.

Nie pamiętam nawet, co dokładnie robiliśmy: przypominam sobie jedynie dużo pracy, muzyki, jedzenia, picia, długie spacerunki, noce spędzone w różnych dziwnych, zadymionych i egzotycznie

pachnących miejscach. Zwykle kończyliśmy nasze długie dni ciężkiej pracy właśnie w takich knajpach, do których przychodziliśmy przede wszystkim napić się kawy lub zjeść coś na kolację i posłuchać dobrej muzyki. Po tej pierwszej nocy spędzonej wspólnie wtedy, gdy Ginger i Paul brali ślub, nie piliśmy już dużo, gdyż żadne z nas nie potrzebowало topić swych smutków w kieliszku.

Pokazał mi wszystko, co powinnam według niego znać w Nowym Jorku... Statuę Wolności, szczyt Empire State Building, Bibliotekę Publiczną, Carnegie Hall, Central Park, Zoo, Ogród Botaniczny w Brooklynie, Akwarium, Metropolitan, Modern oraz zaskakującego Guggenheima. Oglądaliśmy sztuki w teatrach, filmy, wystawy, a raz czy dwa razy — Jankesów na Stadionie Jankeskim w Bronxie. Alan był zagorzałym kibicem sportowym. Zabierał mnie więc na mecze bokserskie w Garden, wyścigi w Belmont i na mecze tenisowe w Forest Hills. Kiedyś udaliśmy się nawet do Bridgehampton, gdzie wynajął małą łódkę, abyśmy mogli pożeglować. Był w tym bardzo dobry, szybki i zdecydowany.

— Gdzie nauczyłeś się żeglować? W NYU? — zapytałam, kiedy wróciliśmy wieczorem do domu.

— Nie. We Francji — odpowiedział. — A ty gdzie? Nie jesteś taka zła, za jaką się uważasz.

— W Cape Cod. Już od pierwszej chwili wiedziałam, że nigdy mi się to nie będzie podobać.

— Ja też za tym nie przepadam — uśmiechnął się. — Chce mi się wymiotować i jeszcze przez kilka następnych dni mam zachwianą równowagę. Przywiozłem cię tutaj, gdyż wydawało mi się, że może będziesz sobie chciała popływać (podobnie zresztą robiła Grace Kelly, którą tak przypominasz).

— No to nie róbmy już tego nigdy więcej — powiedziałam z wdzięcznością. — Życie jest zbyt krótkie.

W Nowym Jorku zawsze było wiele ciekawych rzeczy zdolnych wypełnić nie tylko jedno lato. Pewnej niedzieli pojechaliśmy do Cloisters i spędziliśmy tam cały dzień. Właśnie wtedy narodziła się we mnie nowa miłość: miłość do ogrodów zielnych zakładanych na wzór średniowiecznych. Liczne weekendowe wieczory spędzaliśmy w Muzeum Historii Naturalnej i w Metropolitan. Oglądaliśmy sztuki Szekspira i słuchaliśmy muzyki symfonicznej, spacerowaliśmy po Chinatown i braliśmy udział w każdym festiwalu folklorystycznym, jaki się właśnie odbywał. Zjedliśmy przynajmniej po jednej potrawie z każdej kuchni oferowanej przez lokalne restauracje (w każdym razie usilnie próbowaliśmy). Nie pamiętam, abym przez cały ten

czas, we wszystkich miejscach i wśród tych wszystkich ludzi, chociaż raz się czegoś bała. Nowy Jork wydawał mi się teraz innym miastem. Poza tym byłam przecież z Alanem.

Postanowił nauczyć mnie gotować. Mieszkał w małym mieszkanku przy 18 Wschodniej, blisko parku Gramercy. W jego malutkiej kuchni udawało nam się przyrządzić wiele wspaniałych potraw. Jego umiejętności kulinarne były takie jak jego mieszkanie: całkowite zaprzeczenie Paula. Panował ogólny rozgardiasz i nieporządek, a całe wyposażenie było możliwie najtańsze. Książki leżały porzucane wszędzie, gdzie się dało, podobnie zresztą jak warzywa, które kupował na pobliskich ulicznych straganach. Do tego należałoby dodać pokrywające ściany, stoły i podłogę zdjęcia i plakaty przedstawiające ulubione projekty Alana. Nie było tam żadnych rzeczy zrobionych ze szkła, metalu czy betonu; Alan uwielbiał drewno i kamień, więc dowody tej miłości były w jego mieszkaniu wyraźnie wyeksponowane. Na samym środku jadalni stała duża makieta domu Friedmanów. Nie było tam już praktycznie miejsca na nic i dlatego jedliśmy naszą kolację na podłodze, siedząc na wielkich poduchach, gdyż na sofie leżały ogromne stopy rysunków i szkiców.

— A gdzie śpisz? — zapytałam.

— Tam — powiedział, wskazując ową sofę.

— No to musisz żyć chyba w celibacie, bo i tak nie ma tu jednego wolnego centymetra, abyś mógł przespać się z jakąś dziewczyną.

— Rzeczywiście trudno byłoby to zorganizować, ale przecież nie ma rzeczy niemożliwych — powiedział. — Zawsze znajdzie się chociażby miejsce stojące pod prysznicem lub...

— Dobrze, dobrze — przerwałam mu szybko. Nie wiem dlaczego, ale poczułam, że się czerwienię. Pomyślałam sobie o jego drobnym, pięknym ciele lśniącym w strumieniu wody z prysznica i obejmującym równie piękną kobietę...

— Co robimy dzisiaj wieczorem? — zapytałam.

— Chateaubrianda — odpowiedział.

— Dlaczego nie jadasz częściej w domu? — zapytałam zaciękawiona; ojciec i wujek Alana mieli sklep z koszerną żywnością przy ulicy Fulton w Brooklynie, więc matka miała w kuchni ogromne pole do popisu. Trzeba przyznać, że gotowała wspaniale.

— Żartujesz chyba? Ważyłbym chyba ze sto kilo! Matka zawsze wpychała we mnie wszelkie jedzenie, jakbym był tuczoną gęsią. Łapała mnie za ramiona, przytrzymywała głowę i wlewała różne zupki. Zawsze stawiała mi za przykład mojego ojca, wujka Daniela, ciotkę Rosę i brata Eliego, który mieszka teraz w Astorii i jest rabinem...

— Alanie, nie układa ci się dobrze z rodziną, prawda? — zapytałam. — Z tego, co wiem, przez całe to lato byłeś w domu nie więcej niż dwa razy. Czy to o mnie chodzi? Może im się nie podoba, że współpracujesz tak blisko z jakąś... kobietą, która nie jest Żydówką?

— Nie ma to dla nich znaczenia — odrzekł powoli. — Nie mogą przecież być nastawieni negatywnie do kogoś, kogo nawet nigdy nie widzieli. Chodzi tylko o te żydowskie tradycje, wszelkie zakazy, tabu, religię... Wszystko musi być po staremu, niczego nie można zmienić...

— A dla ciebie nie jest to ważne?

— Tak naprawdę to jeszcze nie wiem, Kate — powiedział. — Jeśli chodzi o religię, na pewno nie znaczy ona dla mnie więcej niż zeszłoroczny śnieg. Może, kiedy się zestarzeję, stwierdzą jednak, że przydałby mi się jakiś litościwy Bóg. Jeśli chodzi natomiast o całą tę kulturę, wydaje mi się trochę dziwna. Muszę się najpierw przygotować do przyjęcia jej, bo nie jestem jeszcze gotowy. Ale to przyjdzie z czasem. Nigdy nie jest za późno na pojednanie z rodziną, która przecież będzie musiała kiedyś zacząć przyjmować obcych, dzieci o niebieskich oczach i blond włosach, o imionach takich jak Sally czy Michael, białą żonę czy męża z nosem jak na obrazach Gainsborougha. Świat jest zbyt różnorodny, aby ograniczać się tylko do jego jednego fragmentu.

— Nie chciałabym być przyczyną nienasiek między tobą a twoją rodziną — powiedziałam.

— Ależ co ty wygadujesz! — krzyknął. — Nienasiki, jak je nazywasz, zaczęły się już wtedy, gdy mając siedemnaście lat, zacząłem chodzić z blondynką. W porównaniu z tym reszta to pestka.

— No — powiedziałam — dobrze, że to przynajmniej nie ja.

Przez całe lato nie poznałam żadnych jego przyjaciół. Spotkałam tylko kilka osób w różny sposób związanych z Alanem. Poznałam na przykład starego mężczyznę, który mieszkał w sąsiednim apartamencie, a który przyszedł do Alana po kolację przygotowaną specjalnie dla niego. Był on bardzo nieśmiały i nawet nie odezwał się do mnie ani słowem. Wziął talerz, wymamrotał jakieś podziękowanie i wyszedł. Kiedy wychodziliśmy, na wycieracze przed drzwiami wejściowymi zauważyliśmy starannie urny ty talerz przykryty papierową serwetką, aby się na niego nie naprószyło.

— Jego córka ma przynosić mu posiłki, ale zawsze zapomina o kolacji — powiedział krótko Alan. — Kiedyś spotkałem go, gdy grzebał w koszu na śmieci. Jakie znaczenie ma jedna mała porcja chateaubrianda, skoro przygotowaliśmy całą ucztę?

Spotkałam też czarnego listonosza, który pewnego wieczora przyszedł do Alana cały roześmiany i przyniósł zaklejoną kopertę, w której znajdowało się zdjęcie murzyńskiego chłopaka w czerwonych szortach i rękawicach bokserskich.

— Kiedyś pomogłem temu chłopakowi dostać stypendium w NYU — powiedział Alan. — Nie miałem z tym speq'alnych trudności, gdyż jest to bokser chyba już od urodzenia. Pożyczyłem mu też trochę pieniędzy na dobry początek, a teraz oddaje mi stopniowo całą należność.

Poznałam też trochę szaloną sąsiadkę z wyższego piętra, która przyprowadziła nam kiedyś swego znudzonego starego pudła, zaskakująco podobnego do swej właścicielki, by Alan wychodził z nim na spacer w czasie weekendu. Raz poprosiła nas, abyśmy zaopiekowali się psem przez cały tydzień, podczas gdy ona będzie u córki mieszkającej od niedawna w nowym domu na Long Island.

— Nie pozwala mi zabierać Suzette — powiedziała do mnie i zabrudziła popiołem z papierosów Marlboro dywan w mieszkaniu Alana. — Mówi, że mój piesek śmierdzi. Odpowiadam jej, że Suzette śmierdzi tak samo jak jej dom, w którym ciągle gotuje ryby, ale i tak nie chce wpuścić suczki do środka. Na szczęście ten anielski chłopak zawsze chętnie opiekuje się moim największym skarbem. Suzette go uwielbia, prawda, skarbie?

Skarb westchnął po psiemu, położył się w kącie obok sofy i czekał na obiad. Gdy właścicielka sobie poszła, Alan otworzył puszkę wołowiny. Suzette zjadła całą zawartość tak szybko, że jej brzuch stał się okrągły. Po najedzeniu się od razu poszła spać. Z kąta, w którym wybrała sobie posłanie, dochodził do nas silny, niezbyt przyjemny zapach.

— A teraz przez siedem kolejnych dni będzie tylko srała na wszystko — stwierdził Alan. — Wydaje mi się, że gdy ma przyjść do mnie na przechowanie, właścicielka nawet nie zadaje sobie trudu, aby ją najpierw nakarmić. Kiedy wychodzę z Suzette na spacer w weekendy, zawsze idziemy do White Castle i kupuję po jednym hamburgerze: dla siebie i dla niej.

— Jesteś zbyt uległy — zarzuciłam mu. — Pozwalasz ludziom, aby wchodzili ci na głowę.

— No co ty? Po prostu lubię tę starą psicę. A ona lubi mnie. Powinnaś ją zobaczyć, gdy wracam wieczorem do domu po całym dniu pracy w biurze. Pomyślałabyś, że nie widziała mnie co najmniej przez kilka miesięcy. „Och, Boże! Wróciłeś! Wróciłeś! Och, Boże! Jestem najszczęśliwszą suczką w całej dzielnicy! Och, Boże! Pozwól, że nawalę ci w pokoju!”

Wybuchnęłam szalonym śmiechem. Miał wszystko, co w cząłku wieku może być ważne dla psa. Potrafił wspaniale naśladować chyba wszystko, co porusza się na tej ziemi.

— Po prostu wiem, co ona czuje — odpowiedziałam, śmiejąc się cały czas. — Jest bezpieczna jak dziecko i szczęśliwa niczym kochanka. A poza tym ty wspaniale karmisz, Alanie Abrams. Mną też się podobnie zajmujesz. A jak ja mogę okazać ci swoją wdzięczność?

— Nie wiem — odpowiedział, patrząc na mnie swymi brązowymi błyszczącymi oczami. — Możesz mnie obsikać.

— A może lepiej cię objąć? — zapytałam i zrobiłam to. Poklepałam mnie po plecach i delikatnie odsunął od siebie.

— Dlaczego mnie nie pocałujesz? — zapytałam uwodzicielskim tonem. Czyżbym naprawdę próbowała go uwieść?

— Nie jesteś koszerka — zażartował.

— Nie o to chodzi. Albo nie jestem dla ciebie sexy, albo ty nie jesteś zainteresowany kobietami.

Nie wiem, dlaczego tak było, ale nie mogłam tego już tak zostawić.

Alan spoglądał na mnie dość długo, a potem uśmiechnął się szeroko. Wyciągnął rękę i ujął moją dłoń, po czym dotknął nią swego krocza. W jego niebieskich džinsach poczułam bardzo twarde wyrzuszenie. Wyrwałam dłoń, jakbym poczuła ogień. Zrobiło mi się nagle gorąco.

— Czy to wygląda na brak zainteresowania? — zapytał.

Po tym wydarzeniu wiele rzeczy się dla mnie zmieniło. Nadal robiliśmy to samo: pracowaliśmy, gotowaliśmy, chodziliśmy po mieście, słuchaliśmy muzyki, jedliśmy, piliśmy, śmialiśmy się, rozmawialiśmy. Jednakże cały czas miałam w myślach to twarde wyrzuszenie. Nie bardzo rozumiałam jego postępowanie. Potem nie starał się już mnie dotknąć.

Prawie na początku naszej znajomości opowiedziałam mu o swoim życiu w Kenmore, o ojcu i matce, o Cecie, Fig, Ginger i Paulu. Kiedy wyjaśniłam mu, że ten rozdział mojego życia jest już zamknięty, nie powracał więcej do tego tematu. Jeśli o mnie chodzi, zerwałam wszelkie kontakty z tamtymi ludźmi i próbowałam o nich zapomnieć. Zrezygnowałam z prenumeraty miesięcznika studentkiego z Randolph, która przyznawana jest wszystkim absolwentom. Wyrzuciłam też trzy lub cztery listy od Ginger z Nag's Head, nawet ich nie otwierając. Kiedy znalazła mój numer telefonu w książce telefonicznej „Tri Omega” i zadzwoniła, rozłączyłam się z nią, a potem zastrzegłam swój numer. Odwołałam też subskrypcję magazynu „Tri

Omega". Prawdę mówiąc, czytałam bardzo mało gazet. Kiedy moja matka zadzwoniła do mnie pod koniec sierpnia i powiedziała, że wychodzi za pastora oraz że chciałaby, abym przyjechała na małą uroczystość w tamtejszym kościele baptystów, powiedziałam jej, że przyjadę, ale pod warunkiem, że razem z moim przyjacielem.

— To ten Indianin? — zapytała matka.

— Nie, tym razem jest to Żyd o nazwisku Abrams — odpowiedziałam.

— Robisz mi specjalnie na złość — odparła chłodno.

— Niemożliwe. Przecież ani razu o tobie nie pomyślałam — powiedziałam i odłożyłam słuchawkę. Nie pojechałam na jej ślub, wysłałam tylko bukiet kwiatów. Wiedziałam, że najprawdopodobniej już nigdy nie pojedę do domu w Kenmore w Alabamie.

W listopadzie „Architectural Digest” opublikował cały artykuł o dziele Paula Sibleya w Nag's Head. Zamieszczono kolorowe zdjęcia starych, znajomych wydm i błękitnego oceanu. Jedno z tych zdjęć przedstawiało samego Paula pochylonego nad projektem oraz Ginger, ubraną w wąską spódnicę i szeroki sweter, podziwiająca dzieło swego męża. W wielkim kominku płonął ogień, a meble były koloru oceanu i nieba i wyraźnie kontrastowały z bielą ścian. Bardzo dobrze znałam te meble i osoby przedstawione na zdjęciu. Spojrzałam na Alana, który specjalnie przyniósł mi czasopismo, abym przeczytała ten artykuł. Byliśmy w jego biurze. Na ulicach Nowego Jorku zapadał właśnie zmierzch.

— Hmm — mruknął, uśmiechając się smutno. — Zauważyłem. Jest tutaj nawet drobna informacja pod zdjęciem.

Spojrzałam jeszcze raz i dopiero wtedy spostrzegłam w dole strony mały napis: Projekt wnętrza — K. S. Lee.

— A to skurczybyk! — powiedziałam oburzona. Czułam, że jeszcze trochę, a się rozpłaczę. — Wykorzystał mój projekt i zrealizował go dla niej.

— A ja myślę, że wybudował to dla siebie — powiedział spokojnie Alan. — Nigdy i nigdzie nie zdobyłby tak dobrze zaprojektowanych wnętrz. Jest to idealny pokój, Kate. Teraz nieważne, kto w nim mieszka. Gdybym był na twoim miejscu, cieszyłbym się z tego, że wymieniono twoje nazwisko. Kiedyś zaprojektujesz swój własny dom jeszcze lepiej niż ten.

Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu rzeczywiście bardzo szybko zapomniałam o tym drobnym incydencie: zarówno o zdjęciu nowego studia, jak i Paula z Ginger w pokoju, który miał być moim. Przy najmniej wydawało mi się, że o nich zapomniałam. Może czasem

nawiedzali mnie niczym jakieś pradawne duchy w czasie długich wieczorów zimowych, lecz nie byli zbyt natarczywi.

Tuż przed Bożym Narodzeniem zakończyliśmy pracę nad domem Friedmanów, którzy wydali małe przyjęcie dla nas, naszej firmy i kilku swoich znajomych. Na dworze zamieć śnieżna szalała po wydmach, plaży i oceanie, a w domu liczne świece i wielki ogień na kamiennym kominku oświetlały i ogrzewały cały salon. Było to bardzo udane przyjęcie z dużą ilością muzyki, toastów, śmiechu i jeszcze większą szampana. Państwo Friedmanowie mieli wtedy bardzo dobry dzień i nawet nie pokłócili się ze sobą ani razu. Pracownicy z „Architectural Digest” także zostali zaproszeni i przy okazji robili zdjęcia do czasopisma. Nawet cztery osoby z sąsiedztwa zgłosiły się z pytaniem, czy architekt, który to robił, mógłby udzielić także i im konsultacji. Wszystkim bardzo spodobało się nasze dzieło.

W biało-szaro-zielonym salonie Carl Seaborn wznosił szampanem toast za Alana i za mnie. Staliśmy przed kominkiem, rozglądając się po całym pokoju. Ginger określiłaby nas z pewnością jako krowy stojące pośrodku pastwiska i zastanawiające się, którą trawkę skubnąć. Oboje wypiliśmy już sporo szampana i czułam, że moje policzki są rozpalone. Oczy Alana błyszczały coraz mocniej.

— Za wspaniałą parę twórców, Abramsa i Lee — powiedział Carl — którzy nadali nowy sens starym ideom. „Całość jest lepsza niż suma części”. Obyście jak najdłużej pracowali w naszej firmie. Obyście też jak najdłużej mogli współpracować ze sobą.

Wszyscy zgromadzeni zaczęli bić brawa i wznosić okrzyki na naszą cześć, a Alan pochylił się nade mną i pocałował. Nie był to bynajmniej pocałunek przyjacielski czy braterski. Byłam tak zaskoczona, że stanęłam jak wryta, gapiąc się na niego.

— Będziemy współpracować, jak długo tylko Kate będzie miała na to ochotę — powiedział. — Może nawet będzie to trwało do końca naszego życia? Co o tym myślisz, Kate Stuart Lee?

— Bardzo bym chciała, aby tak było.

Gdy Stephen zmarł, ktoś podarował mi egzemplarz *Godzinek* Juliany z Norwich, zamierzając bez wątpienia przynieść mi ukojenie w słowach tej starej i strasznej zakonnicy. Upłynęło wiele czasu, zanim mogłam cokolwiek przeczytać, ale gdy wreszcie zdecydowałam się, otworzyłam książkę na sentencji: „Wszystko będzie dobrze, wszystko będzie dobrze, wyjątkowo dobrze”. Drżąc z wściekłości, wrzuciłam książkę do kominka i zaczęłam rozniecać ogień,

lecz Alan uratował ją i przeczytał to zdanie. Zapłakałam strasznie i rozdzierająco. Płacz ten przechodził od czasu do czasu w jęk, jakiego dotychczas nigdy z siebie nie wydałam. Nielicho się wystraszył. Wypłakałam całe wodospady, rzeki, morza bezsilnych, boleściwych łez. A on nie uronił ani jednej.

Mogliśmy porozmawiać o naszym problemie dopiero później, gdy płacz złagodniał i stał się spokojny, słaby, lecz czysty i w jakiś sposób kojący.

— Nienawidzę o tym rozmawiać — powiedziałam usprawiedliwiając się, dlaczego próbowałam spalić tę książkę. — Wszystko będzie wyjątkowo dobrze. To straszne. Nic nie będzie lepiej. Jest to przecież najgorsza rzecz, jaka się mogła wydarzyć. Jak może być znowu dobrze?

— Nie jest to jeszcze najgorsza rzecz, jaka się kiedykolwiek wydarzyła, Kate — odpowiedział. — Jest to najgorsza rzecz, jaka wydarzyła się nam. Nam. A teraz już nic złego nie może się stać. Wydaje mi się, że autorka właśnie o tym myślała, pisząc to zdanie. Przecież nie jest głupia i prowadzi bogobojne życie. Od dłuższego już czasu, moja droga, wszystko nam się dobrze układało. Może znowu tak będzie, kto wie?

Byłam na niego zła od wielu dni. Nie potrzebowałam optymizmu, aby żyć. Wcześniej zrozumiałam, że był on bardziej potrzebny Alanowi, by mógł normalnie funkcjonować w czasie tych okropnych dni. Kiedy jednak przeczytał te słowa, poczułam, iż rzeczywiście ma rację mówiąc, że do tej pory wszystko układało nam się dobrze.

Od samego początku naszego wspólnego życia ufortyfikowaliśmy się przed resztą świata. Jak mawiał Kahlil Gibran, stanowiliśmy wielką parę, podczas gdy nasz świat zawsze był mały, nie obejmował nawet firmy i ludzi, którzy z nami współpracowali. Nawet nasze rodziny nie wtrącały się do naszego życia.

Moja matka rzuciła słuchawkę telefonu, gdy zadzwoniłam do niej i powiedziałam, że wyszłam za Alana. Mogę sobie ją wyobrazić, jak mówi do swojego męża: „Ktoś pomylił numer”. Jestem pewna, że obawiała się, aby pastor nie porzucił jej pod pretekstem małżeństwa córki z nowojorskim Żydem. Matka Alana natomiast dzwoniła do nas raz po raz i zawsze krzyczała. W końcu zawitali do nas jego ojciec i brat-rabin. Wszyscy oni byli przekonani, że doprowadzę Alana do ruiny. Po narodzinach Stephena teściowa dała się wreszcie udobruchać i po raz pierwszy mieliśmy okazję poznania jej nielicznych dobrych stron charakteru. Wszystko zmieniło się drastycznie po śmierci naszego synka i wtedy na dobre zatrzasnęła przed

nami swoje serce. Nie miałam u niej żadnych szans. Według niej byłam winna odebrania jej syna i śmierci wnuka. W takiej sytuacji nie mogła mnie przecież tolerować. Nawet Alan rzadko i niezbyt chętnie ją odwiedzał. O ile wiem, niezbyt za nią tęsknił i nie był smutny, że nie ma jej na co dzień blisko siebie. Oboje zawsze sobie wystarczaliśmy. Często w pierwszych latach małżeństwa z Alanem wydawało mi się to istnym cudem, że zwinęłam w końcu do bezpiecznej przystani. Kochałam i nadal Kocham Alana Abramsa z nieskończonym oddaniem, a zarazem wyrafinowaniem, o jakie nigdy przedtem się nie podejrzewałam. Wiedziałam, że mąż odwzajemnia te uczucia.

Nie pamiętam, kiedy pojęłam, że zakochałam się w moim mężu. Było to w pierwszym roku po ślubie cywilnym w domu Carla Seaborna w Bridgehampton. Gdy poślubiłam Alana, byłam przekonana, że go Kocham oraz że będzie to najtrwalsza przyjaźń, jakiej mogę się spodziewać na tej ziemi. Większa nawet niż przyjaźń z Cecie, która przestała już dla mnie istnieć. Byłam przekonana, że nikt na świecie tak mnie nie rozumie jak on, tak nie rozśmieszy, nie zaspokoi czy nie ochroni. Uwielbiałam go również w łóżku — jego wysmukłe, elastyczne i muskularne ciało zaspokajało moją próżność i podsycalo żądze jak pustynny wiatr. Przez bardzo długi czas nie zastanawiałam się nawet, czy to wystarczy, aby określić moje uczucie względem Alana mianem „zakochania” czy jeszcze nie. W Paulu byłam zakochana trochę inaczej — tamto zakochanie, beznadziejne i wszechogarniające jak woda otaczająca topielca, wydawało się odległe o całe lata świetlne od lekkości, słodyczy i bezpieczeństwa, jakie odczuwałam przy Alanie. Pewnej nocy, gdy mąż musiał wyjechać daleko w interesach, miotałam się po mieszkaniu bez spoczynku i broniłam się przed ogarniającym mnie uczuciem pustki. Czułam się wtedy niepotrzebna jak piąte koło u wozu. Przeraziła mnie myśl, że może nadal Kocham Paula oraz że tak będzie już do końca mojego życia. Ogarnął mnie przypływ uniesienia, a po nim — fala strachu. Gdybym była religijna, upadłabym na kolana modląc się: „Dobry Boże, nie pozwól, abym to wszystko utraciła”.

— Czy wiesz, że tak cię Kocham, że aż drętwieją mi palce u nóg i nie mogę oddychać? — powiedziałam Alanowi, gdy zadzwonił później tej nocy.

— Przejdzie ci to z czasem — powiedział śmiejąc się.

Na początku drugiego roku naszego małżeństwa Alan kupił dwie piękne, stare, poszarzałe od słońca i słoty stodoły i przeniósł je na szczyt wydm na jego działce przy ulicy Potato. Całe lato budowaliśmy dookoła nich werandy i wiatrochrony, które łączyły je obie.

Umieściliśmy nawet na kalenicy jednej z nich bocianie gniazdo. W tym samym czasie założyłam ogród. Chociaż wprowadziliśmy się do tego szarego, nadmorskiego domu dopiero w rok później, stał się on centralnym punktem naszego życia, odkąd tylko można było w nim przemocować. Często organizowaliśmy tam przyjęcia dla naszych przyjaciół. W tym celu pociągami lub poobijaną toyotą Alana zwoziliśmy z Manhattanu jedzenie na weekendy. Szybkie obiady przygotowywaliśmy w prowizorycznej kuchni zbudowanej w większej stodole. Chyba każdy, kto kiedykolwiek siedział z nami na naszej werandzie wśród powodzi niesfornych kwiatów i oglądał fale oceanu oraz dziką plażę, musiał poczuć prawdziwy smak tego domu i pobliskiego morza. Nawet matka Alana, która podczas wszystkich tych lat spędziła tylko jedną noc pod naszym dachem, zaaprobowała ten dom, chociaż uznała, że szum morza zbyt ją denerwuje.

— Ładnie urządziliście się tutaj, Kate — powiedziała. — Oczywiście, jeśli lubicie takie rzeczy.

— Dziękuję ci, Golda — odpowiedziałam, usiłując nie uśmiechać się do Alana, który stał za plecami matki, przewracał oczami i udawał, że za moment ją zasztyletuje.

— Nie ma za co — odrzekła.

— Jeżeli ten dom podoba się twojej matce, to musi w nim być coś szczególnego — powiedziałam Alanowi tej nocy. — Wiesz może, co to jest? Jest to największy dom w Hampton.

— Jest to najszczęśliwszy dom — poprawił mnie poważnie. — Został zbudowany przez ludzi, którzy kochają się wzajemnie. Służył ludziom, choć nieco inaczej, zanim jeszcze został przebudowany na dom mieszkalny. Wszystko w nim pasuje do siebie i ma swoje przeznaczenie — jest zharmonizowane z całą resztą jak w zgranym zespole. Chyba wyczuwasz to czasami w różnych domach?

— Czy jest to coś, co określa się jako „artystyczną integralność”? — zapytałam uśmiechając się.

— Do diaska, mam nadzieję, że nie! — odpowiedział Alan.

Tej jesieni Carl otworzył filię biura w Bridgehampton dla obsługi nawału prac związanych z nadmorskimi rezydencjami. Hampton rozpoczął swą odyseję od wielkich inwestycji i pozbawiania domów wszelkich cech przeciętności. Różne firmy przepychały się i ostro konkurowały ze sobą o zdobycie jak największej liczby jak najbardziej opłacalnych zleceń na nadmorskie nieruchomości. Carl bardzo polubił tę miejscowość i zdecydował się spróbować tu szczęścia. Przekazał więc pod zarząd swoją nową filię Alanowi i mnie.

— Jeżeli coś ma być w ogóle wykonane, powinno być wykonane dobrze — mawiał. — Widzę, jak niewidzialna ręka pisze na ścianie: „Jeśli nie zatrudnisz ich w tej filii, to stracisz ich dla tych ich stodoł. I tak wiem, że stanie się to wcześniej czy później, ale lepiej później niż wcześniej”.

W ten sposób przeprowadziliśmy się ze wszystkim na ulicę Po ta to. Zaczęliśmy nowe życie, które było nieporównanie lepsze i ciekawsze od poprzedniego. Właśnie tam pewnej nocy, gdy wiał silny wiatr listopadowy, poczęliśmy Stephena... Dobrze to pamiętam, gdyż wiatr północno-wschodni wieje tu przez cały listopad i niemal przez okrągły miesiąc byliśmy pozbawieni prądu. Tak więc następnego lata urodził się Stephen Daniel Abrams. Dobudowaliśmy wtedy w poprzek wydm wielkie studio, które Alan od dawna planował i o którym marzył. Nie chciałam już niczego ani nikogo więcej na świecie. Nasza trójka była już wystarczająco wielkim tłumem.

Po pierwszym urodzinowym przyjęciu Stephena, gdy siedzieliśmy o zmierzchu na werandzie przyglądając się, jak cytrynowe świece wytapiają się powoli, a Stephen zasnął w ramionach Alana, powiedziałam: — Pięć lat temu zamierzałam poślubić błyskotliwego architekta i zamieszkać w domu na plaży. I tak się też stało. Z tym, że zamieszkałam na innej plaży i z innym architektem, a teraz mam jeszcze Stephena. Wszystko, czego pragnę, spełnia się... chociaż w nieco inny sposób. Boję się czegokolwiek pragnąć, bo przecież wszystkie moje życzenia realizują się na odwrót.

— To czego jeszcze pragniesz? — zapytał Alan.

— Niczego — odpowiedziałam. — Poza możliwością utrzymania tego, co już mam. Muszę się tego trzymać.

W ciągu kilku następnych lat udawało się nam osiągnąć ten cel. Trzy lata później opuściliśmy firmę McKima i Meada, by założyć swoje własne biuro projektów. Tak więc nie tylko mieszkaliśmy w naszym domu, ale i pracowaliśmy ciężko. Mogę powiedzieć, że szło nam dość dobrze. W tym czasie i w tej miejscowości trudno było źle zarabiać na projektowaniu nadmorskich rezydencji i ich wyposażaniu. Wszystkie wolne chwile poświęcaliśmy na pracę. Musieliśmy zatrudnić na stałe kucharkę i opiekunkę dla Stephena. Znaleźliśmy jednak trochę czasu, aby zaprzyjaźnić się z niektórymi stałymi mieszkańcami Hampton... pisarzami, rybakami, artystami, prawnikami, lekarzami, właścicielami małych sklepików i firm, którzy nie wyjeżdżali z tej wioski nawet w czasie srogich i długich zim. Nie poznaliśmy tylko jej letnich mieszkańców, a przynajmniej większości z nich. Ale i tak chyba niewiele straciliśmy. Mieli oni tyle

pieniędzy, że nie musieli posiadać już niczego więcej — liczyło się dla nich tylko konto w banku. Kiedy przyjeżdżali na wakacje, Hampton stawało się zupełnie inną miejscowością. Zaprojektowaliśmy i zbudowaliśmy dla nich kilka najwspanialszych domów w okolicy... Nigdzie nie widziałam podobnych rezydencji. Dzisiaj jednak, po upływie tylu lat, wyglądają one jak silosy do przechowywania rakiet balistycznych. Zapraszali nas oni potem na wystawne przyjęcia, lecz Alan nigdy nie chciał brać w nich udziału.

— Dlaczego miałbym ich tu polubić, nad samym oceanem, jeżeli nie lubię takich ludzi nawet na Manhattanie? — pytał. — Jeżeli zaczniemy chodzić na te przyjęcia, to będziemy musieli kupić nowy samochód i nowe ubrania, zaczniemy urządzać podobne przyjęcia u nas, potem Stephen zostanie uwiedziony przez jedną z ich pięknych, pustogłowych cór, ożeni się z nią, a wtedy...

Roześmiałam się. Dla mnie nie byłoby to takie złe. Nie chciałam, aby Stephen żył w trudnych warunkach i musiał ciężko pracować. Chciałam, aby żył w świecie, który dla niego zbudowaliśmy wspólnie z Alanem — w domu nad morzem.

Na pewno mój mały głupiutki synek też by tak wolał. Przez kolejne trzy lata wszystko szło po naszej myśli. Cios dosięgnął nas w sierpniu, gdy Stephen skończył pięć lat. Chłopiec utonął w basenie naszych przyjaciół Montagów na oczach ich trojga dzieci i opiekunki, która myślała, że założył sobie maskę i płetwy, aby pobawić się w okręt podwodny. Byliśmy wtedy na koktajlowym przyjęciu w Sag Harbour. Było to nasze pierwsze przyjęcie w tym sezonie. Nagle Alana wezwano do telefonu. Gdy powrócił do mnie na taras, miał twarz zapadniętą i podkrążone oczy. Właśnie zmierzchało, a ja piłam gin z tonikiem i rozmawiałam z panią o nazwisku Haralson na temat Richarda Nixona. O ile pamiętam, była bardzo miłą kobietą. Obie nienawidziłyśmy Nixona i bałyśmy się go i obie bywałyśmy w siódmym niebie na płomiennych zebraniach republikańskich. Jednak po tej nocy nie mogłam sobie przypomnieć ani jej twarzy, ani nazwiska, chociaż nieraz spotykałam ją w sklepach, a kiedyś nawet minęłyśmy się u dentysty. W następnym tygodniu przyszła odwiedzić mnie i przyniosła przepyszna babkę posypaną cukrem pudrem oraz biały filodendron. Wkrótce zaczęłam nienawidzić tej kobiety. Cierpiałam już na sam jej widok, więc unikałam jej, gdy tylko mogłam. Pewnie dziwiła się, dlaczego. Nie mogłam jej przecież wyjaśnić, że w jakiś irracjonalny sposób wywołuje we mnie monstrialny, straszny ból.

Nie ma potrzeby mówić o roku, który upłynął tuż po śmierci Stephena. Brak mi słów — każdemu by ich zabrakło. Wiem tylko, że

dwie rzeczy nie opuszczały mnie w pierwszych dniach po tym nieszczęśliwym wypadku: Alan, który zawsze był przy mnie mimo własnego druzgocącego bólu, oraz myśl, że kiedy ból stanie się nie do wytrzymania, mogę ze wszystkim skończyć jak mój ojciec. Jak już mówiłam, legalność samobójstwa nie zawsze jest nieuchronnym przekleństwem. Uratowała mi życie tamtej jesieni i zimy, podobnie zresztą jak i mojemu mężowi. Wiem, że wielu małżeństwom nie udaje się przetrwać bolesti, poczucia winy i przekleństwa utraty dziecka, ale nigdy nie przydarzyło się to Alanowi i mnie. Trzymaliśmy się razem jak rozbitkowie na tratwie. Pamiętam, co mi powiedział tej nocy, gdy zabrano maleńkie, sine ciało Stephena do domu pogrzebowego, a ja przeżyłam to chyba dzięki środkom uspokajającym, które dał mi zaprzyjaźniony lekarz.

Gdy odzyskałam już jako tako świadomość i pamięć, czułam się, jakbym była otoczona zimnym, czarnym i słonym morzem. Zobaczyłam wtedy przed sobą twarz Alana, który szybko mnie objął i powiedział:

— Jednej rzeczy nie wolno nam robić: oskarżać samych siebie. Oczywiście, nigdy by się to nie zdarzyło, gdybyśmy nie poszli na to straszne, pieprzone przyjęcie, ale pamiętaj, Kate: przecież nikt z nas nie chciał, aby Stephen umarł. Każde z nas oddałoby życie, aby temu zapobiec. Możemy więc płakać, chodzić w żałobie, załamywać się lub nie, ale nie możemy nawzajem się obwiniać. I zamierzamy przejść przez to razem, minuta po minucie, dzień po dniu. Tak jak teraz. Razem.

Od tego czasu wiedziałam, że i tak jakoś przez to przebrnityny. Alan przedstawił mi plan, jak to osiągnąć — zawsze dobrze wiedział, co jest mi potrzebne, abym mogła żyć dalej.

Po tej tragedii nasze horyzonty bardzo się skurczyły. Nie czułam się dobrze w świecie i ciągle wydawało mi się, że straciłam wątek. Przez pięć lat byłam matką Stephena i gdy odszedł, moje ramiona i wnętrze stały się puste, zwiotczałe i bezużyteczne. Nie mogłam już być po prostu Kate, żoną Alana, projektantką wewnątrz. Było już dla mnie zbyt późno. Nie wiedziałam w końcu, kim jestem. Świat, do którego należałam bez Stephena, wydawał się nie tylko nierealny, lecz także straszny. Często później myślałam, że gdyby nie ta wewnętrzna pustka, nie wtargnęłaby do mnie moja jeszcze straszliwsza choroba. Było to głupie myślenie, gdyż tak naprawdę nie miałam na to wpływu. Ale tak mało chciałam przecież od życia, a zabrano mi tak wiele. Kiedy umarł Stephen, zaczęłam powoli oddalać się od świata i kryć się w sobie.

— Trzeba to przerwać — powiedział później Alan. — Powiniennem być domyślić się od razu, dokąd prowadzi takie zachowanie. Powiniennem być po prostu zmusić cię do chodzenia po ziemi. Powiniennem załatwić, aby Carl przyjął cię z powrotem do firmy, lub sam powiniennem tam wrócić, zabierając cię ze sobą. Idealnie szła nam współpraca zawodowa, prawda? Bardzo mi się podoba wszystko, co wtedy zaprojektowaliśmy. Wspaniale nam szło, nieprawdaż?

Owszem, kiedyś wszystko było dobrze. Po wielu dniach ślepych i zupełnie bezbarwnych, gdy jedynym moim zajęciem było oddychanie i poruszanie się mimo bólu, weszłam w świat zbyt jasny, zbyt ogromny i zbyt widzialny, w którym nasza mała praca wydawała się całkiem możliwa. Tak więc Alan i ja rzuciliśmy się w wir zajęć. Pozwoliłam sobie utonąć w rytmicznym czarodziejstwie formy, koloru i przestrzeni. Pracowałam jak nigdy dotąd, wstając o różowym, nadmorskim świcie i ślęcząc nad deską kreślarską aż do późnej nocy. W naszym ogromnym studio Alan pracował równie twardo i zapamiętałe. Namawiał mnie, abym przeniosła swoją deskę do wielkiej, pięknej, zalanej słońcem przestrzeni studia, lecz jakoś nie mogłam się na to zdecydować. Potrzebowałam w tym czasie zamknięcia, ciszy, spokoju, małych przestrzeni i przyćmionego światła. Dlatego też ulokowałam się w niszy okna wychodzącego na werandę i ogród. W tym czasie ogród nasz był niemal całkowicie odgradzony od świata przez dom, wysoki płot, wiatrochrony i wydmy. Wykreowałam sobie w nim swój nowy własny świat, którym mogłam dyrygować i sterować jak chciałam. Wolałam więc mieć go cały czas na oku.

Nasza firma rozkwitała. Zaczęliśmy zdobywać nagrody, najpierw niezbyt ważne, a potem jedną czy dwie bardzo prestiżowe. Nigdy nie przestałam się temu dziwić. O naszych pracach pisano w krajowych magazynach poświęconych architekturze, a raz nawet w jakimś międzynarodowym czasopiśmie. Zaczęli nas nawiedzać dziennikarze z aparatami fotograficznymi i kamerami. Po pierwszej czy drugiej takiej wizycie, gdy poczułam się chora z powodu tych intruzów, Alan i ja zawarliśmy porozumienie. Sam obsługiwał dziennikarzy i reporterów, z dala ode mnie. Już myśl o tym, że moja twarz, a jeszcze gorzej — nazwisko — ukaże się na jednej ze stron jakiegoś magazynu, aby świat mógł je sprawdzić, a może nawet zapamiętać, przepełniała mnie zabobonnym lękiem podobnym do tego, jaki odczuwają Aborygeni przed kamerą. Przypominało to pierwotny i okropny strach, że mogą ukraść ci duszę.

— Nie chciałybyś wziąć kredytu? — zapytał kiedyś Alan. — Mamy do niego prawo.

— Proszę cię — odpowiedziałam — daj mi spokój i nie pytaj mnie o to. Ja niczego nie potrzebuję.

I rzeczywiście nie potrzebowaliśmy niczego więcej. Pracowaliśmy ciężko, dając z siebie wszystko. Nasza współpraca polegała na ścisłym podziale czynności i obowiązków. Alan załatwiał sprawy na zewnątrz, projektowaliśmy razem, on nadzorował wykonawstwo, a ja stałam w oknie, przygotowując specyfikacje, zamówienia i przesyłki oraz sprawdzając próbki materiałów. Gdy mąż był poza domem, co się dosyć często zdarzało, czytałam, słuchałam muzyki, pielęgnowałam ogród lub spacerowałam po plaży. Czułam się całkowicie bezpieczna, gdy zanurzałam ręce w urodzajnej ziemi, którą specjalnie zwiozłam dla swoich kwiatków, ziół i warzyw. Wypielęgnowany ogród pokazywałam tylko nielicznym przyjaciółom, chociaż sama widziałam niewiele więcej poza nim.

Nieraz rozmawialiśmy o tym, aby mieć jeszcze dzieci, lecz nie mogę powiedzieć, abyśmy się o to usilnie starali. Nie próbowaliśmy też unikać ciąży. Nie robiliśmy żadnych testów, pomiarów temperatury, nie stosowaliśmy kalendarzyka ani niczego takiego. Często zresztą myślałam, że nawet jeśli poczniemy dziecko, to i tak zostanie ono pożarte we mnie przez raka. Wszyscy mówią, że nowotwór rozwija się latami, zanim zostanie wykryty. Nie chciałam jednak rozmawiać o tym z Alanem.

— Nie możesz tej przekłętej choroby upodabniać do człowieka — powiedział pewnego razu. — Wystarczająco trudno jest walczyć z rzeczywistością, a nie mogę przecież pozwolić, abyś sama sobie podsuwała w tej grze kiepskie karty.

Naprawdę był na mnie zły. Dobrze więc się stało, że rzadko dzieliłam się z nim moimi rozważaniami o raku i jego żarłocznej paszczy. Jak określił to wtedy, już sama rzeczywistość była dla niego wystarczającym ciężarem, na szczęście do zniesienia, szczególnie wtedy, gdy rozwijaliśmy naszą firmę.

Pewnego razu zapytałam go, czy nie odczuwa braku dzieci.

— Nie — odpowiedział. — Strasznie, okropnie brak mi Stephe-
na i zawsze będzie mi brakować tej konkretnej, maleńkiej osoby,
a nie dziecka w ogóle. Nie wydaje mi się, abym kiedyś odczuł brak
kogokolwiek poza nim, tobą, firmą i tym domem.

— Rzeczywiście tak jest? — dopytywałam. Leżeliśmy na werandzie w poświacie księżycy, na wielkiej kanapie z wyblakłym, drelichowym obiciem. Obejmowaliśmy się. Był wrześnieowy wieczór, a księżyc oświetlał przestrzeń i wodę dookoła nas równie jasno jak w lecie.

— Rzeczywiście tak jest — odpowiedział. — Często budzę się w środku nocy i muszę się uszczyplnąć, aby sprawdzić, czy to wszystko jest prawdą. Czasami boję się, czasami myślę... nie wiem... że jest w naszym życiu jeszcze coś więcej. Inni ludzie. Szczególnie dla ciebie. To gadanie o naszej jedności może okazać się groźne. Wygląda to zbyt doskonale i bogowie mogą nam to odebrać. Czasami myślę, że musimy się dzielić... Tak dla zasady, aby ich przebłagać...

— Z kim? — zapytałam. — Z kim chcesz się dzielić?

— W tym cały problem. Nie ma z kim.

— Dobrze, ale nie martw się — powiedziałam, skubiąc go w ramię. — Bogowie jeszcze cię do siebie nie wzywają.

I nie wezwali go. Wezwali natomiast mnie. Nie zdając sobie wcześniej sprawy, że byłam w ciąży, w czterdziestej drugiej wiośnie życia przeżyłam poronienie, które w rezultacie skończyło się rozpoznaniem raka jajnika. Jest to straszny, zjadliwy i tajemniczy rak, który zawsze dokonuje nienaprawialnych spustoszeń, zanim jeszcze zostanie wykryty. Ginekolog powiedział mi, że moje nie narodzone dziecko uratowało mi prawdopodobnie życie.

— Lub popatrzmy na to z innej strony — powiedziałam. — To rak zamordował mi moje dziecko.

— Może, ale nie rozumowałbym w ten sposób — odpowiedział Alan. — Ta tkanka była tak chora, że nie mogła nieść życia. Nie możesz więc przydawać jej twarzy i imienia.

Starałam się posłuchać jego rady, ale i tak twierdziłam, że rak narodził się właśnie tego dnia, a jego morderczy, zadowolony z siebie i żarłoczny wizerunek stał się rzeczą najtrudniejszą do zabicia.

Lekarze twierdzą, że zabili ten nowotwór. Ale czy mogą to wiedzieć na pewno? Przecież rak jajnika jest tak przerażający i dziki, szczególnie dlatego, że nie sygnalizuje swojego istnienia ani nie wywołuje odpowiednio wczesnych symptomów. Nawet w późniejszym stadium jest niewyraźny i łatwo go przeoczyć lub pomylić się w diagnozie, a w tym czasie możesz się już stać jego kolejną śmiertelną ofiarą.

Niemniej mój rak został wykryty bardzo wcześnie, to znaczy już w drugim stadium. Pomimo to zdążył opanować obydwa jajniki. Niezbędna w takich przypadkach chemioterapia powoduje szybkie i całkowite łysienie, ogólne osłabienie, ciągłe nudności, owrzodzenie wszystkiego, co się da, oraz jadowity trądzik, który wygląda najgorzej. Wszystko po to, aby, jak mówią lekarze, powstrzymać dalszy rozwój raka.

Miałam dwóch lekarzy. John McCracken był starym, dobrym przyjacielem z Madison Avenue. To właśnie on nadzorował moją ciążę i odbierał Stephena. Drugim był Carter Hilliard — błyskotliwy, przystojny i bardzo uzdolniony onkolog, który leczył mnie aż do operacji i przepisywał mi lekarstwa o takich strasznych nazwach, jak Leukeran, Neosar, Adriamycyn, Adrucil czy Folex. Wprawiały mnie one w nieporównanie gorszy stan fizyczny niż ten sprzed poronienia. Po rocznej chemioterapii przeprowadzono drugą operację rozpoznawczą, aby zobaczyć „na czym stoimy”, a po dwu następnych latach kolejną. Dopiero potem mogłam wrócić do domu i do mojego ukrytego ogródka, z którego wyrzuciłam wszystkie byliny, zostawiając tylko rośliny jednoroczne. Czekałam, aby zobaczyć, czy będą żyć czy umierać. W końcu października miałam już tylko jedną roślinę wieloletnią — biggie. Alan, Carter i John cieszyli się już pewnością zwycięstwa. Z niecierpliwością oczekiwałam na listopad, nasłuchując w napięciu, czy znowu poczuję, jak komórki nowotwora pożerają mnie od wewnątrz.

Nie jest to historia raka, a nawet jeśli jest, to inne kobiety o większych talentach językowych lepiej opowiedzą o strachu i letargu, o momentach dzikiego uniesienia i następujących po nich zawrotnych nurkowaniach w rozpacz, wściekłość, depresję i bezsilny protest. Doświadczyłam wszystkiego, poczynając od pierwszego strasznego momentu w gabinecie Johna na Madison Avenue, gdy powiedział mi o raku. Wszystko dookoła rozświetliło mi się w oczach jak podczas małego cichego wybuchu nuklearnego. Wszystkie rośliny drgały w radioaktywnym powietrzu. Patrzyłam przez dłuższą chwilę na Johna, a potem zwymiotowałam do kosza na śmieci. Od samego początku zdawałam sobie sprawę z trzech rzeczy. Po pierwsze: we wszystkim znajduje się i zawsze się znajdowała przepaść, po drugie: muszę odnaleźć świat bez tej otchłani i zamieszkać w nim na stałe, a po trzecie: zawsze mogę umrzeć jak mój ojciec, jeśli stwierdzę, że dalej nie mogę już żyć. Chociaż może zrozumiałam nawet aż pięć rzeczy: że znajdę czystą ponadczasowość w moim domu i w ogrodzie nad morzem, pod upalnym niebem, oraz że Alan nigdy mnie nie opuści, ani na chwilę, ani na jeden dzień.

Świadomość tych pięciu rzeczy ułatwiła mi niewątpliwie sytuację w porównaniu z innymi chorymi na raka. A najważniejszą z nich była beczasowość — dzięki niej mogłam żyć.

Chciałabym umrzeć, zanim jeszcze Alan zapyta mnie o to, czy wybieram jego czy owo beczasowe trwanie.

Gdy rosa zaczęła opadać, a słaby wiatr od morza zrobił się nagle zbyt chłodny, wstałam i poszłam do domu, aby dorzucić brzoźowych bierwion do kominka. Zrobiłam sobie kawę, wzięłam z półki atlas samochodowy i rozłożyłam go na desce kreślarskiej. Zaczęłam go przeglądać popijając. O, znalazłam! Tutaj jest Nag's Head. Leży daleko na południu w tej wielkiej, wietrznej niebieskości. Zobaczyłam w wyobraźni wielki czarny dom ze skrzydłem skierowanym ku morzu, zda się mewę zrywającą się do lotu, a w tym domu trzy dziewczyny czekające na mnie, aby wspólnie dokończyć książkę, która leżała otwarta i nie czytana przez ponad dwadzieścia pięć lat. Zaczęłam więc studiować mapę. Powinnam najpierw jechać drogą nr 95 do Filadelfii, potem 13 do Norfolk, potem 158 i w końcu 12 do Nag's Head. Powinno mi to zająć nie więcej niż jeden dzień ciągłej jazdy. Wezmę wóz sportowy, który rozwija większą prędkość. Będzie to piękna droga, przede wszystkim dlatego, że wzdłuż brzegu morza. Trzeba przejechać wiele mostów. Największym jest most tunelowy przy Chesapeake Bay przed Norfolk. Mogą występować na nim silne podmuchy wiatru, dookoła niebieska przestrzeń, na wysokim niebie słońce, a w dole, jak wielka tundra, niespokojne połyskiwanie morza...

Nagle zrozumiałam, co powinnam zrobić: powinnam pojechać i spędzić czas na słońcu razem z nimi, z Ginger, Fig i Cecie... Cecie... Będę tam akurat tyle czasu, ile potrzebuję. Potem wsiądę do mojego czerwonego alfa romeo i wystartuję do domu, aby przyjechać wcześniej, niż Alan będzie mnie oczekiwać. Wyjadę wcześniej rano, gdy jeszcze na dworze będzie perłowo i szaro, a kiedy znajdę się na tym wielkim moście nad zatoką Chesapeake, wystarczy tylko mocniej szarpnąć kierownicą...

Myślę, że w pewnym punkcie, w powietrzu, niełatwo będzie określić, gdzie jest niebo, a gdzie woda, i może będzie tak, jakbym wznosiła się na spotkanie z malutkim synkiem.

Na zewnątrz usłyszałam chrzęst opon samochodu Alana na żwirowej drodze i wysłałam mu na spotkanie na frontowy ganek, aby mu powiedzieć, że w końcu zdecydowałam się pojechać do Nag's Head.

Rozdział 11

Gdy tylko minęłam granicę Delaware, w powietrzu i słonecznym świetle zaszła subtelna zmiana (lub po prostu tylko ją sobie wyobraziłam). Było to typowe Południe. Niezależnie od tego, czy zmiana ta była realna czy tylko wyimaginowana, zwolniłam tempo jazdy, aby dokładniej przyjrzeć się wszystkiemu. Wyciągnęłam ręce i nogi, biorąc kilka głębokich wdechów. Uśmiechnęłam się do siebie. Nie byłam na Południu niemal od trzydziestu lat, lecz jego spokój wciąż na mnie oddziaływał. Kiedyś jeszcze zastanawiałam się nad tym, ale teraz nie miało to już znaczenia.

Autostrada nr 13 przez Delaware do Norfolk jest ponabijana jak pas kowbojski małymi miasteczkami, farmami, polami i lasami. Tego złotego wrześniowego poranka było w nich coś niemal magicznego i niespotykanego. Być może nie było to nic więcej, jak tylko światło odbijające się od chorągiewek wskazujących kierunek wiatru czy od przydrożnej budki, w której można było kupić jabłka z tegorocznych zbiorów. Czasami promienie słoneczne odbijały się także od znaku informacyjnego „STOP. STACJA BENZYNOWA”. Cały czas byłam rozbawiona i miałam coraz lepszy humor. Gdy wyjeżdżałam już z Pensylwanii, śpiewałam nawet razem z radiem.

Wczesnym popołudniem, gdzieś pomiędzy Laurel i Pepper w Delaware, ujrzałam puste pole, po którym, jak mi się na pierwszy rzut oka wydawało, maszerowało stado słońi. Zwolniłam i zaczęłam się przyglądać temu niecodziennemu zjawisku. Rzeczywiście, po wysokiej zielonej trawie szły wielkie, szare, podobne do okrętów słońie, trzymając trąbami ogony poprzedników. Obok maszerował drugi rząd słońi, przypominający fortecę. Wtedy zauważyłam

w oddali ciężarówki, ogromne czasze wielkich, brudnych namiotów i usłyszałam hałas pracujących w oddali robotników. Słonie prowadził człowiek, który szedł z przodu karawany i trzymał w ręku długi kij.

Dawno się tak nie uśmieślałam jak na ten widok.

— Jezusieńku! — wykrzyknęłam wprost w słodkie, drgające powietrze. — Cyrk przyjechał do miasta! Każdy rzuca wszystko i biegnie kupić bilety!

Ogarnęła mnie wielka fala radości tak szalonej, że odrzuciłam w tył głowę i zamknęłam oczy, a wirujące światełka zatańczyły mi pod powiekami. Pamiętam podobne uczucie z okresu, gdy byłam jeszcze małą dziewczynką i czasami tak się cieszyłam, że tańczyłam dookoła i obejmowałam sama siebie. Od tamtego odległego czasu nigdy mi się to nie zdarzyło. Przypomniałam sobie, jak Cecie opowiadała kiedyś o tańcu pewnego kota. Obserwowała go na jakiejś łączce, gdy nagle poderwał się i zaczął dziko podskakiwać. Okrążył w ten sposób dwa razy całą łąkę, a potem równie nagle ułożył się z powrotem do spokojnej drzemki w ciepłych promieniach słońca.

— Ten kot — powiedziała — miał wtedy chyba atak zachwytu. Tak by to określiła moja ciotka Martha. Czy wiesz, co czuje się w takich chwilach?

— Ja też jestem zachwycona! — powiedziałam do siebie i pojechałam dalej wzdłuż słonecznej drogi, śmiejąc się na cały głos. Każdy, kto przejeżdżał wtedy obok mnie, musiałyby chyba pomyśleć, że jestem szalona lub pijana.

I rzeczywiście, byłam niemal szalona i pijana: dosłownie upiłam się słońcem, niebem i szybkim wiatrem, muzyką dochodzącą z blaupunkta oraz nadzwyczajnością chwili i swobodą. Nad otwartym dachem mojego małego, czerwonego alfa romeo spider rozpościerało się wczesnojesienne stalowoniebieskie niebo, a słońce było tak mocne i słodkie, jak płynny syrop z trzciny cukrowej. Włosy rozwiewały mi się na wszystkie strony i wpadały do ust i do nosa. Czułam, że policzki zaczynają mi się zbyt silnie i szybko opalać. Pod tymi wszystkimi doznaniem rozbrzmiewała pieśń sekretnej radości na myśl o rozkosznym i ukrytym szaleństwie. Było to bowiem prawdziwe szaleństwo. Każdy, kto planuje swoją śmierć i wyznacza jej dokładną datę i miejsce, musi być szalony, chociaż być może nie w takim sensie tego słowa, jaki jest powszechnie przyjęty.

Lecz to właśnie śmierć... czy raczej idea żywej chwili swobodnego lotu, myśl o radości zapomnienia w chwili, gdy będę płynęła przez jasne powietrze ku czystej wodzie... Właśnie to dodawało mi

w tym dniu silnego uczucia słodyczy i radości. Śmierć wyostrzała kolory nieba do pełnej krystaliczności, zatrzymywała czas, i obiecywała, że ani zima, ani ból czy starość nigdy już nie nadejdą. A nawet sama śmierć w jakiś przedziwny sposób nigdy nie nadchodziła. Znowu uśmiechnęłam się: umieram i dlatego nie umrę naprawdę... Ależ to szaleństwo! Pomimo to cały czas miałam świadomość całkowitego kontrolowania sytuacji. Dzięki mojej zaplanowanej śmierci mogłam przynajmniej dowodzić całym światem.

— Śmierć jest matką piękna — powiedziałam głośno do siebie. Kto to powiedział? Gdzie to przeczytałam? Przypomniałam sobie nagle zimową salę uniwersytecką z brudnymi, wysokimi szybami, syczącymi kaloryferami i wilgocią parującą z naszych swetrów. Na dworze było wtedy zimno, szaro i mokro. Na pewno było to w Randolph. Zapytam Cecie. Ona będzie wiedziała najlepiej. Uwielbiałyśmy ten typ cytatów. Jeżeli usłyszałam jakąś podobnego typu sentencję, powtarzałam ją Cecie, a ona od razu zapamiętywała. — *Niemal zakochana w spokojnej śmierci* — dodałam, tym razem z Keatsa. Zawsze lubiłyśmy z Cecie wtrącać do rozmów różne cytaty...

Po południu zatrzymałam się na światłach w małym miasteczku w Wirginii. Chyba było to Onacock, w połowie drogi pomiędzy długim półwyspem nad zatoką Chesapeake a Atlantykiem. Zaraz wyobraziłam sobie ogromny most wyłaniający się tuż za tunelem oraz wielkie wody z obu stron, chociaż znajdowały się one poza zasięgiem wzroku. Prowadziłam bez żadnych postojów do godziny piątej po południu. Wszystko już mnie bolało: ręce, nogi i pośladki. Rozejrzałam się dookoła i w furgonetce przed moim samochodem zobaczyłam, jak młoda kobieta dotyka ręką twarzy kierowcy, a on przykrywa jej rękę swoją dłonią, przysuwa swą twarz do niej i całuje. Ona przytuliła się do jego prawego ramienia i pojechali dalej. Cały czas obejmowali się czule. Przeszył mnie nagły, ostry ból, jakby ktoś szarpnął strunę znajdujących się wewnątrz mnie skrzypiec. Jak mogłam opuścić Alana? Dlaczego zawsze ja go opuszczałam, a nie on mnie?

Po co zresztą zadawałam sobie to pytanie? Przecież i tak znałam na nie odpowiedź. Znacznie lepiej byłoby chyba pozwolić mu dręczyć mnie i złościć niż być rozrywaną na śmierć przez raka. Och, znacznie lepiej, o wiele lepiej jest kochać... nawet jeśli żyje się w poczuciu beczasowości. Taka rzecz jak wieczność nie istnieje. Mogłam chyba napisać do Alana długi list w nocy przed wyjazdem do Nag's Head. Zrozumiałby mnie. Tego poranka nie powiedziałam mu nawet „żegnaj”. Przez całą ostatnią noc leżeliśmy obok siebie, dryfując od

snu do przebudzenia, po czym wstałam o czwartej rano, zabrałam spakowane już wcześniej rzeczy do samochodu i odjechałam. Kiedy opuszczałam ciemną sypialnię, Alan podniósł zaspaną głowę i zapytał: — A więc jednak jedziesz?

— Cicho! — szepnęłam. — Idź spać. Jeśli będziesz próbował się ze mną żegnać, w ogóle nie będę w stanie wyjechać, a wtedy jeszcze bardziej zdenerwujesz się na mnie. Zadzwoń do ciebie, gdy tylko będę na miejscu.

— No to do zobaczenia za tydzień — powiedział i odwrócił się do ściany, aby spać dalej. — Kiedy wrócisz, będę już czekał. Kocham cię. Uważaj na siebie.

— Ja też cię kocham — powiedziałam i przełknęłam łzy, które zaczynały powoli napływać mi do oczu. Wysłam z domu i poczułam, że chłodny wiatr osusza moje mokre policzki. Zasalutowałam teatralnie w kierunku oceanu i wsiałam do samochodu. Staralam się nie myśleć o niczym.

W miarę upływu czasu było mi coraz łatwiej znieść moją sytuację. Nie zaproponowałam Alanowi, aby pojechał ze mną do Nag's Head. Nie wzięłam też ze sobą Kate Abrams, która i tak już dawno temu zmarła. Kate Lee prowadziła alfa romeo i jechała spotkać się z przyjaciółkami ze studiów. Kate Lee chciała przy okazji dowiedzieć się prawdy o czterech dziewczynach, które zerwały ze sobą kontakty tyle lat temu.

Chciałam, aby prawdą okazały się nasze marzenia i wyobrażenia sprzed dwudziestu lat. Byłoby to wspaniałe pod warunkiem, że wszystkie te dziewczyny nadal żyły, pracowały i zachowywały się tak jak w młodości. Z drugiej jednak strony i tak wiedziałam, że próżne jest to oczekiwanie: wiadomo było, iż prawda jest zupełnie inna. Wiedziałam to już od momentu, gdy zadzwoniłam do Ginger Fowler Sibley, aby powiedzieć jej, że przyjadę.

Jej głos nic się nie zmienił. Brzmiał tak, jakby Ginger stała przez te wszystkie lata w pokoju tuż obok mnie. Usłyszałam w słuchawce lekkie westchnienie, które skłoniło mnie do uśmiechu. Cały czas była tą samą Ginger, chociaż czytałam gdzieś, że głos najmniej się zmienia z wiekiem.

— Och, mój Boże! Kate! — krzyknęła uradowana. — Nie mogę w to uwierzyć! Jezu! Twój miły mąż dzwonił do mnie wcześniej i już mnie uprzedził, że przyjedziesz.

— No cóż, zastanawiam się właśnie, czy przyjechać czy nie —< powiedziałam, lecz jakoś nie mogłam wykrztusić z siebie prostych słów, że przyjadę na pewno.

— Och, Kate, proszę cię! — błagała Ginger. — Chciałabym się spotkać ze wszystkimi dziewczynami, ale najbardziej tęskniłam właśnie za tobą. Bardzo nam ciebie brakowało, a nikt nie miał pojęcia, co robisz, gdzie mieszkasz, aż dopiero niedawno znalazłam twój telefon w książce telefonicznej. Nawet Cecie nie mogła cię zlokalizować... Kate, posłuchaj mnie, przez całe te lata nienawidziłam już samej świadomości, że nie przyjaźnimy się ze sobą. Wiem, że postąpiłam bardzo źle w stosunku do ciebie i domyślam się, jak bardzo cię to dotknęło i uraziło... Chciałam koniecznie jakoś się z tobą skontaktować i pogodzić, ale nie wiedziałam, jak cię znaleźć. Paul... — zawahała się na chwilę — będzie w tym czasie w naszym domu w Norfolk. Tak więc będziemy w Nag's Head tylko my cztery. Ale chyba cię zrozumiem, jeśli nie zechcesz przyjechać...

Serce podskoczyło mi do samego gardła; przypomniałam sobie swoją starą miłość. Minęło przecież ponad ćwierć wieku, odkąd byłam po uszy zakochana w Paulu Sibleyu, a ta dobra, biedna Ginger cierpiała z tego powodu przez te wszystkie lata. Cóż to musiało być za cierpienie!

— Oczywiście, że przyjadę — powiedziałam. — Mnie też was wszystkich brakowało. Naprawdę! Ale Ginger, gdzie ty do diabła znalazła Fig?

Po moim pytaniu nastąpiło dość długie milczenie.

— Kate, naprawdę nie wiesz, kim jest teraz Fig? — zapytała zdumiona Ginger.

— Nie, a kim?

— Kate... Fig jest teraz Georgina Stuart. No wiesz, te wszystkie książki z półnagimi kobietami na okładkach... A te wszystkie wywiady w telewizji? A te głupoty wypisywane w „People” i w „Entertainment Weekly”?

Zatkało mnie z wrażenia. Naprawdę tego nie przypuszczałam. Fig? Georgina Stuart? Te wszystkie podrzędne bestsellery, skandale publiczne z nimi związane, nagłówki w głównych gazetach USA, późne programy telewizyjne z modelkami w topllessach i obnażone piersi na okładkach jej romansideł. A któż to niby miał całe plutony mężów? Chociaż przez te wszystkie lata odgrodziłam się od swojej przeszłości i starałam się o niej zapomnieć, nie było możliwe, aby mieszkając w USA nie wiedzieć, kim jest Georgina Stuart. Jak to się stało, że nie skojarzyłam jej z Fig?

— Stuart? — zapytałam bezmyślnie.

— Stuart przez „u” — zaczęła śmiać się Ginger. — Wiesz, co do ciebie czuła. Zawsze wydawało mi się, że chciała być tobą i chyba

próbowała wcielić to swoje marzenie w życie. Nic więc dziwnego, że pożyczła sobie nawet twoje nazwisko, podobnie zresztą, jak ciągle pożyczła od ciebie różne rzeczy, pamiętasz? Nawet wygląda podobnie jak ty. Na pewno byś jej teraz nie poznała. Mogę się założyć. Tylko Bóg jeden wie, ile kilogramów straciła po różnych dietach cud oraz ile przeszła operacji plastycznych.

— O mój Boże! Fig Newton jest Georginą Stuart — powiedziałam i zaczęłam się śmiać. — Nie mogłabym więc przeoczyć takiej okazji za żadne skarby świata! Będę musiała przeczytać chociaż jedną z jej głupich książek, zanim do was pojedę. A ona potwierdziła już, że przyjedzie?

— To był jej pomysł — powiedziała Ginger. — Zadzwoiła do mnie pewnego dnia i powiedziała, że właśnie wybiera się w *tournee* lansować swoją kolejną książkę, więc skoro i tak będzie w pobliżu, byłoby wspaniale zorganizować spotkanie nas wszystkich w moim domu na plaży, tak jak spędziłyśmy kiedyś przerwę międzysemestralną. Pamiętasz, Kate? Zaofiarowała się nawet, że pokryje wszelkie koszty, ale oczywiście nie zgodziłam się. Chyba dziesięć razy powtarzała mi, że mam stanąć na głowie, ale muszę zrobić wszystko, abyś i ty przyjechała. Stwierdziła, że jest to konieczny warunek, aby spotkanie w ogóle się odbyło. Poprosiła mnie, abym napisała do ciebie, gdyż ona sama działała ci na nerwy i dlatego nie chciała odstraszać ciebie już na samym początku. Zaproponowała mi też, że przyśle po ciebie prywatny samolot. Powiedziałam jej, że jestem pewna, iż nie będziesz chciała lecieć żadnym prywatnym samolotem, ale skoro mnie prosiła, abym cię spytała, to dostosowuję się do jej prośby. Wiem, jak za tobą chodziła i prześladowała cię w szkole, ale teraz jest osobą zupełnie inną, znaną na całym świecie. Nie pozwól, aby przykre wspomnienia wpłynęły na twoją negatywną decyzję. Fig naprawdę się zmieniła...

— Nie, na pewno nie będę się sugerować wspomnieniami o niej sprzed ponad dwudziestu pięciu lat — odpowiedziałam. — Umieram wprost z ciekawości. — „I z powodu raka” — dodałam w myślach. Nie powiedziałam tego głośno, lecz zaczęłam się śmiać. — Ale wolałabym bez żadnych samolotów. Mogę przecież przyjechać samochodem. Przystudiowałam już nawet mapę i wydaje mi się, że będę mogła dojechać do was nawet w ciągu jednego dnia. Posłuchaj, Ginger... a co z Cecie?

— Cecie też przyjedzie, jeśli tylko będzie mogła znaleźć kogoś do pilnowania swojej teściowej, która jest przykuta do wózka inwalidzkiego. Na razie nie ma z kim jej zostawić.

— Teściowa...—powiedziałam bezmyślnie.
— Nic w ogóle nie wiesz o Cecie? — zapytała Ginger. — Utrzymywałam z nią sporadyczne kontakty...

— Nie — powiedziałam — nic o niej nie wiem.

— Ma bardzo ciężkie życie — powiedziała Ginger. — Wyszła w Bostonie za policjanta włoskiego pochodzenia. Kiedyś, tuż po szkole, pojechała do Bostonu odwiedzić jakąś rodzinę i właśnie tam go poznała. Od razu przyłgnęła do niego całym sercem. Nazywał się Vinnie Fiori, Vincente Fiori. Kiedyś spotkałam go nawet — wysoki, ciemny, czarne oczy, strasznie przystojny i czarujący. Cecie była jego oczkiem w głowie. Mają dwóch chłopców i kiedy dzieciaki były jeszcze małe, Vinnie został postrzelony w czasie napadu na bank, w wyniku czego został sparaliżowany od pasa w dół. Cecie przestała pracować, by móc się nim zajmować. Gehenna ta zaczęła się już dwadzieścia lat temu. Potem doszła do tego jeszcze teściowa. Nawet nie wiem, kiedy się do niej sprowadziła. Vinnie zmarł dwa lata temu, a synowie ulotnili się z domu, gdy tylko nadarzyła się im okazja. Cecie została więc sama z tą megierą i nadal mieszka w małym, skromnym domku w Quincy. Nigdy nie wróciła już do Tidewater. Nie wydaje mi się, żeby miała chociaż jedne wakacje od chwili, gdy jej mąż został postrzelony. Nie wiem nawet, z czego żyje. Nigdy nic nie mieli. To było straszne. Myślałam, że wiesz o tym...

— Och, Cecie — westchnęłam — naprawdę nic nie wiedziałam.

— Powiedziała mi, że zrobi wszystko, co w jej mocy, aby do nas przyjechać, ale pod warunkiem, że i ty będziesz, więc odparłam jej, że spróbuję cię namówić — rzekła Ginger. — Wiesz jednak, że ona nie ma prawa jazdy i wciąż boi się samochodów. Dlatego też Fig posyła po nią ten pieprzony samolot, a potem nowym rollsem Fig pojedziemy we dwie odebrać ją z lotniska Currituck. Zastanawiałam się, że może nie będzie chciała przyjechać... Fig i ja żyjemy w dość komfortowych warunkach, ty najprawdopodobniej też... a ona nie miała nawet czasu na robienie kariery. Ale nie skarżyła się. Przez cały ten czas, kiedykolwiek otrzymywałam od niej jakieś listy czy dzwoniłyśmy do siebie, ani razu nie usłyszałam, by narzekała na swój los...

Zrobiło mi się bardzo żal Cecie, która czytała razem ze mną *Królewskie romanse*. Cecie, która chciała objechać świat dokoła, zanim zamieszka w jakimś domku nad rzeką, gdzie promienie słoneczne tańczyłyby po suficie i po białych ścianach, a woda szumiałaby koło domu. Nie zwiedziła świata ani nie zamieszkała w takim domku. Przez wiele lat ciężko walczyła o życie swojej nieszczęśliwej rodziny, mieszkającej daleko od wody...

„Ale teraz nie będę o tym myśleć”, postanowiłam. „Jeszcze nie teraz”.

— Miło mi będzie spotkać ją po tylu latach — powiedziałam. — Ciebie też, Gingerrooney. Oraz Fig, a może przede wszystkim Fig.

— No to pośpiesz się — powiedziała radośnie Ginger Fowler Sibley. — Już za osiem dni spotkamy się w Nag's Head!

— Już jestem w drodze — odrzekłam.

Do mostu nad Chesapeake dojechałam około czwartej po południu. Ruch uliczny był mały, więc mogłam zwolnić, aby popatrzeć w dół i rozejrzeć się dokoła. Chciałam napatrzeć się na wielką przestrzeń rozpościerającą się dokoła. W połowie mostu, gdy nie widziałam już ani ładu, ani błyszczącej wody, lecz tylko bezkresne niebo, zrozumiałam, iż jest to właśnie owa otchłań, która czekała na mnie cały czas, od chwili moich narodzin. Otwarty dach samochodu dodatkowo wzmaczał moje wrażenia. Czułam otchłań wszystkimi zmysłami. Nic mnie już od niej nie oddzielało. Zwolniłam jeszcze bardziej, tak że niemal zatrzymałam się w miejscu. Zaczęłam nasłuchiwać: tak, tutaj było moje przeznaczenie. Z przestrzeni pode mną dochodził do mnie jego głos, czułam jego oddech. Niespokojny wiatr szumiał pod mostem, nad nim i tuż przy mnie, i zdawał się wykrzykiwać moje imię: Kate! Kate! Oblał mnie zimny pot, ale tajemniczy uśmiech nie schodził mi z ust. Przez kilka ostatnich lat myślałam się: to nie rak czekał na mnie, lecz właśnie otchłań, nie nowotwór, ale przestrzeń czysta, niebieska, gotowa przyjąć mnie jak najrychlej. Nadszedł wreszcie ten czas i będę mogła spełnić swój plan.

Zauważyłam tylko, iż nie będę mogła zstąpić do tej otchłani samochodem: bariereki wzdłuż jezdni były zbyt wysokie i zbyt gęsto ustawione. Alfa romeo nigdy by ich nie mógł pokonać. Nie ma to speqalnego znaczenia: przecież mogę pójść tam sama. Zostawię samochód gdzieś na poboczu i sama wejdę w ten wieczny błękit. Nie będę schowana pod niczym, nawet pod czerwoną skórą mojego alfa romeo. I będę tylko ja, moja własna skóra — czysta, gładka i bez żadnych ozdób. Wyciągnę ręce jak kochanek do zbliżającej się kochanki, będę się śmiała i śpiewała... *Lecz* nagle potrząsnęłam głową i nacisnęłam gaz. Wrażenie spowodowane tą ogromną przestrzenią i błyszczącą wodą było bardzo silne. Tamtego pięknego popołudnia byłoby bardzo łatwo zrealizować moje plany. A może za tydzień będzie to jeszcze prostsze? Nie będę już miała żadnych zobowiązań, żadnych wspomnień. Kamień spadł mi z serca. Wiedziałam już, jak rozwiązać mój problem, więc wjeżdżałam do Wirginii w bardzo dobrym humorze i ze śpiewem na ustach.

Dość powoli przejechałam ostatnie sto mil. Zjechałam z autostrady i skierowałam się ku wybrzeżu. Wybrałam jakąś małą, asfaltową drogę, która jednak okazała się zapchana różnymi samochodami. W Barco skręciłam z niej na drogę nr 158, która doprowadziła mnie wprost do Nag's Head, gdzie mogłam wreszcie rozkoszować się wspaniałym widokiem oceanu z okna mojego samochodu. Po lewej stronie miałam Currituck Sound, więc jeszcze kilka kilometrów, a będę już w Outer Banks. Serce zaczęło mi szybciej bić. Dłonie zwilgotniały zupełnie. Trzydzieści lat, prawie trzydzieści lat...

Przejechałam przez most Wright Memoriał w Point Harbor i wjechałam do Outer Banks. Po lewej stronie widziałam ów wielki, ciemny ocean, który na stałe zapisał mi się w pamięci. Widziałam też małe drewniane domki letnie, sklepiki, hotele i restauracje. Nie mogłam jednak czegoś tu zrozumieć. Nie była to droga wzdłuż brzegu, jaką pamiętałam. Nie była to idylliczna okolica, za jaką ją zawsze brałam. Było to skupisko małych domków, anten telewizyjnych, marnych sklepików z pamiątkami, moteli, punktów gastronomicznych oferujących pizzę i potrawy z krewetek na wynos. Nawet o zmierzchu w powszedni dzień wrześniowy uliczki były nieprzejezdne z powodu korków. Niecierpliwi kierowcy ciągle trąbili, a samochody zanieczyszczały powietrze spalinami. Równie dobrze mogłoby to być Ocean City, Daytona czy Myrtle Beach, gdzie ciągle zjeżdżają się ogromne rzesze urlopowiczów. Niemiłe zaskoczenie było tak silne, że niewiele brakowało, a dostałabym mdłości.

Po prawej stronie minęłam Jockeys Ridge. Jakieś wielkie, czarne kształty latały po niebie niczym prehistoryczne pterodaktyle lub coś w tym rodzaju. Jednak ludzie mieszkający tutaj nadal lubili zabawy z latawcami. Dziwne hobby. Minęłam port rybacki, w którym kręciły się całe tłumy. Powietrze było gęste i ciepłe. Wyraźnie czułam w nim sól. Złamałam swą zasadę: opuściłam dach i włączyłam klimatyzację. Niewiele to pomogło. Zawahałam się na chwilę, ale w końcu uśmiechnęłam się do siebie. Dlaczego miałabym z niej nie korzystać? Czy miało to jakieś znaczenie? Włączyłam więc dmuchawę na cały regulator.

Tuż przy posterunku straży nadbrzeżnej skręciłam w wąską, polną dróżkę, która prowadziła na wydmy. Kilka metrów dalej ukazały się przede mną duże, stare, szerniałe domy arystokratów, które tak dobrze pamiętałam sprzed lat. Serce waliło mi jak młot i z wrażenia ledwo wiedziałam, co się wokół dzieje. Znajome widoki, *deja vu*, przebłyski pamięci, doznania, obrazy z przeszłości, odrodzone dźwięki i zapachy, które były do tej pory uśpione — wszystko to otaczało mnie coraz ciaśniej, jakby miało mnie zaraz przytłoczyć.

— Tak — powiedziałam do siebie — tak.

Na końcu uliczki wyznaczonej przez owe wille stał dom Ginger, a raczej Ginger i Paula. Wreszcie go zobaczyłam. Czerwone promienie zachodzącego słońca oświetlały go bajecznie, a kilka okien rozjaśniało żółte światło elektryczne. Dom ten nic się nie zmienił przez ostatnie ćwierć wieku. Nawet pomimo lat nie stracił nic ze swej świetności. Nadal wywoływał okrzyki zachwytu nad jego dobrym rozplanowaniem i dostojnym, wiekowym pięknem. Łzy napłynęły mi do oczu, lecz nie były to łzy krzywdy i bezsilności. Zaparkowałam alfa romeo na piaszczystym podjeździe z tyłu domu i wysiadłam.

Przez moment stałam w bezruchu, ze zdziwieniem witając panujący dookoła całkowity spokój. Nie widać było oceanu, ale jak zawsze mogłam wyraźnie słyszeć szum fal dochodzący zza wydm i piaszczystej plaży. Byłam prawdziwie wzruszona ową niezwykłą dla mnie chwilą i miejscem. Nie przeszkadzało mi nawet wielkie studio, które widziałam już na zdjęciach w „Architectural Digest”, oraz wielki land rover i traktor, który na pewno należał do Paula. Pamiętam, jak przyjechałam tutaj kiedyś i po raz pierwszy zrozumiałam, że morze nie poddaje się czasowi. Zauważyłam, iż miejsce to ma dziwne właściwości leczące różne rany, przede wszystkim psychiczne. Skierowałam się wreszcie piaszczystą dróżką w stronę domu.

Z otwartych okien studia dochodził śmiech. Był to bez troski śmiech kobiet, który wydał mi się wspaniałym, magicznym śmiechem, jakiego nigdzie więcej na świecie nie usłyszę. Zaczęłam biec, potykając się co chwila i grzęznąc w piasku.

— Życie jest wspaniałym cyklem piosenek, różnorodną ciekawą mieszanką — biegłam śmiejąc się i płacząc na przemian.

Wśród głośnych wybuchów śmiechu usłyszałam z otwartych okien studia: — *Miłość to coś, co nie może pójść źle...*

— A JA JESTEM MARIĄ RUMUŃSKĄ! — krzyknęłyśmy obie z Cecie, spotykając się na krętej klatce schodowej.

Cecie Hart i ja padłyśmy sobie w ramiona i stałyśmy tak bardzo długo obejmując się i płacząc. Od naszego ostatniego spotkania minęło tyle lat!

Pierwszą rzeczą, o jakiej pomyślałam wtedy, był fakt, że Cecie bardzo mało się zmieniła. Poznałabym ją chyba wszędzie, i to od razu, nawet gdyby była ukryta pod zakonnym habitem i wraz z innymi świętymi kobietami śpiewała hymny pochwalne w jakiejś

świątyni w Nepalu, wysoko w Himalajach. Odnalazłabym ją nawet w tłumie przechodniów na ulicy St. Peter w niedzielę wielkanocną.

Uświadomiłam sobie również, że jest bardzo mała. Wiele lat upłynęło, odkąd myślałam o Cecie w kategoriach rozmiarów, lecz przypominałam sobie, iż właśnie w pierwszych miesiącach naszej przyjaźni fascynowała mnie przede wszystkim jej filigranowa figurka.

Dlatego też pierwszą rzeczą, jaką powiedziałam wtedy do niej, było:

— Cecie, jesteś tak bardzo mała. — Wyszło to bardzo głupio. Podczas swej całodniowej podróży dokładnie zaplanowałam sobie, co komu powiem i w jaki sposób, lecz wszystko w ostatniej chwili uciekło mi z głowy. Nic nie mogłam sobie przypomnieć, zupełnie zgłupiałam.

— No tak, ale co można na to poradzić? — powiedziała swoim wyraźnym akcentem z Wirginii, który wydał mi się nagle tak znajomy jak mój własny głos.

Bardzo długo patrzyłyśmy na siebie i uśmiechałyśmy się poprzez łyzy. Wyzwoliłyśmy się z uścisku. Wydało mi się, że moje ramiona są wyjątkowo ciężkie i niezdarne. Nie wiedziałam, co mam z nimi zrobić. Chyba Cecie ogarnęły takie same myśli, bo podobnie jak ja przebierała beładnie palcami. Miała dłonie czerwone i zniszczone przez ciężką pracę. Moje były takie same — wpłynął na nie wiatr morski, sól i ziemia w moim ogródku.

Nagle ni stąd, ni zowąd znów zaczęłyśmy się śmiać. Nie wydaje mi się, aby któraś z nas potrafiła wskazać przyczynę tego śmiechu. Był on zdecydowanie lepszy niż cisza i milczenie. Z Cecie zawsze tak było: śmiech, śmiech i jeszcze raz śmiech.

— Wyglądasz dokładnie tak samo jak kiedyś — powiedziała Cecie, uśmiechając się do mnie. — Cały czas tak samo chuda, nadal z tym samym słynnym nosem rodu Lee — najwyraźniej nikt ci go jeszcze nie złamał, jak się domyślam. Nawet ubierasz się tak samo. Nadal popijasz sobie sok z cytryny i wylegujesz się na słońcu?

— Wcale nie — odpowiedziałam. — Teraz aplikuję sobie białe wino, lecz rzeczywiście masz rację, gdyż cały wolny czas przesiaduję na słońcu. Ale ty, Cecie... gdyby nie te twoje włosy, nadal nikt by ci nie sprzedał nawet kufła piwa w żadnym pubie w Ameryce. Ty chyba sprzedałaś swoją duszę diabłu?

— Pudło! Nie zgadłaś! Ach, te mijające lata, *c'est tragique!*

I rzeczywiście była to prawda, chociaż niecałkowita. Cecie nadal była ruda, podobnie jak w czasie studiów, choć już ze śladami siwizny. Nic się nie zmieniła. Może tylko mi się tak wydawało, może inni

dostrzegali w niej mijające lata, lecz dla mnie pozostała moja bliska przyjaciółką z Randolph, która do tej pory jakimś tajemniczym sposobem zachowała swą młodość. Reszta świata widziała natomiast siwiejące już loki, wodniste niebieskie oczy i liczne zmarszczki powiększone dodatkowo przez ból i cierpienie. Była bardzo szczupła, jeszcze chudsza niż podczas swej długotrwałej choroby na uniwersytecie. Miała trochę pochylone plecy i zaczynała się garbić. Z twarzy i szyi zniknął już ów dziewczęcy rumieniec, który zawsze się tak bardzo wszystkim podobał. Cecie była tak blada, że jej cera stała się prawie przeźroczysta. Oczy były podkrażone i pod nimi kładł się siny cień. Zamiast wielkich okularów z grubymi oprawkami, które tak dobrze pamiętam sprzed dwudziestu pięciu lat, miała na nosie szkła korekcyjne wstawione w cienkie metalowe oprawki w kolorze srebrnym. Były one bardzo delikatne i kobiece. Z siwymi włosami i bólem wymalowanym niemalże na twarzy, Cecie wydawała mi się bardzo ładną kobietą... ładniejszą nawet niż Cecie, którą znałam z Randolph.

— Wyglądasz wspaniale — powiedziałam. — Naprawdę. Mam nadzieję, że twoje dzieci też tak wspaniale wyglądają.

— Nie, zupełnie nie. Wyglądają jak Vinnie. Ten typ urody bardzo pasuje do chłopców i dlatego zawsze dziękowaliśmy Bogu, że nie mieliśmy córek. Jeszcze trochę, a będą mieć piękne, czarne wąsy.

— Tak bardzo mi ciebie brakowało — powiedziałam zmieniając temat.

— Mnie też — powiedziała tonem nieco sztucznym; zawsze tak mówiła, gdy była zawstydzona.

Nagle usłyszałyśmy za sobą tupot nóg i zobaczyłyśmy Ginger zbiegającą do nas po schodach. Krzyczała z radości, śmiała się i płakała na przemian. Wreszcie dobiegła do nas i próbowała objąć obie naraz.

— Boże, spójrz na te dwie dziewczyny — krzyknęła, poklepując nas i obejmując. — Można by pomyśleć, że witacie się po wiosennych wakacjach. Żadna z was nie zmieniła się ani trochę. To jest niesprawiedliwe: dlaczego to ja jestem tą, która najbardziej się postarzała i utyła? Och, Kate, jestem strasznie szczęśliwa, że wreszcie mogę cię zobaczyć! Popijałyśmy gin i liczyłyśmy upływające minuty czekając, aż przyjdiesz. Ale wchodź już na górę. Zaraz zajmujemy się bagażem. Chodźcie ze mną.

Odwróciła się i szybko zaczęła pięć się po schodach do studia. Cały czas się śmiała. Cecie i ja podążyłyśmy za nią. W przeciwieństwie do Cecie, trudno mi było odnaleźć w Ginger tę dziewczynę,

którą znałam z Randolph. Stała się dość gruba, chodziła ciężko i nie poruszała już tak biodrami, jak to miała w zwyczaju młoda Ginger Fowler. Ciało kobiety idącej przede mną było pulchne i miękkie, a jej włosy — żółte, podkrecone i polakierowane. Miała na sobie żółtą sukienkę o bardzo szerokich rękawach i dużym dekolcie w kształcie litery V, z którego wyzierały piersi ładnie opalone na brązowy kolor. Na równie brązowych nogach miała cielistej barwy sandały. Paznokcie u stóp malowała na kolor platynowy. A przecież Ginger Fowler nigdy by nie zrobiła sobie takiego makijażu. Wyrzuciłaby z pokoju każdego, kto by jej coś takiego zaproponował.

Jednakże jej ciepłe niebieskie oczy były takie jak zawsze, chociaż jakby ginęły w okragłej tłustej twarzy skrytej pod kilkoma warstwami pudru. Zauważyłam, że chociaż na rękach miała kilka bransolet z diamentami, paznokcie przycinała krótko i nie lakierowała ich. Uśmiechnęłam się do jej pleców. Znowu miałam przy sobie tę samą Ginger, nieśmiałą dziewczynę, która złamała kiedyś paznokciec i wypaliła papierosem dziurę w sofie w salonie „Tri Omega”.

— Cholera! — powiedziała nagle Ginger, co mnie jeszcze bardziej rozbawiło. Jej uczucia i myśli nie były ukryte tak głęboko, jakby się to wydawało na pierwszy rzut oka.

Stałam w drzwiach studia Paula i zajrzałam do środka. W jakimś sensie bałam się tej chwili, bałam się zobaczenia tego pokoju na własne oczy, bałam się wspomnień dni z nim spędzonych, lecz nie lękałam się jego samego ani jego rzeczy. Pokój ten i tak był jakby moim pokojem, moim prezentem dla niego. Nie powinnam się była tak o to gniewać. Ale teraz nie pozostało tu nic ze mnie ani z Paula: nie zdołały tu przetrwać żadne skojarzenia nieba ani morza. Zmrużyłam oczy na widok tego znajomego wnętrza. Niestety, nie potrafiłam objąć wszystkiego jednym spojrzeniem; nawet dwa lub trzy spojrzenia nie wystarczyłyby na to.

Przestrzenny pokój wychodził na różowosrebrne morze i niebo, dokładnie tak jak planował Paul. Była tam nawet półokrągła ściana, jaką sobie wymarzył. Brakowało jednak sąsiadującego ze studiem białego pokoju. Kolor, forma, dobór mebli i innych urządzeń idealnie harmonizowały z ogólnym charakterem posiadłości i wszystko bardzo do siebie pasowało. Biała podłoga przykryta została zielonobiałą wykładziną, na której porozrzucane były w tak zwanym artystycznym nieładzie białe chodniki przypominające wyspy na oceanie. Znajdowały się tam także wyściełane meble poprzykrywane narzutami pod kolor. Część z nich stała przed kominkiem, przy okiennej ścianie od strony morza oraz w kątach pokoju. Pod ścianą,

przy której zaprojektowałam półki na książki, stały dwa zestawy rozkładanych kanap. Do tego trzeba jeszcze dodać pudełka i opakowania po zabawkach porozrzucane po całym pokoju. W jednym z kątów studia widać było dziecinne meble: stoliki, krzeselka, fotele bujane, domki dla lalek, piekarniki, lodówki itp. W drugim końcu ogromnego pokoju, tuż przed kamiennym kominkiem, ustawiona była wielka sofa, a obok niej — fotele, niski stolik oraz wspaniałe barek oświetlony dwiema lampami z brązu.

— Wspaniałe — powiedziała zachwycona. Pokój ten wyrażał wszystkie zamierzenia Paula i moje.

Ginger spojrzała na mnie dziwnie, a potem zaśmiała się.

— Och, Kate! Całkowicie zapomniałam — powiedziała — że był to twój pokój, zaprojektowany przez ciebie, śliczny biały pokój. Przepraszam... Ale już od niepamiętnych czasów Paul nawet tu nie urzęduje: całkowicie opanowałałam to studio wraz z dziećmi i wnukami, więc on prawie wcale nie ma tu wstępu. Ale oczywiście kiedyś spędzał tutaj niemal całe dni. Na pewno widzicie, że salon ten emanuje miłością i tętni życiem. Dzieci uwielbiały tutaj się bawić, a potem przyszły wnuki i też upodobały sobie właśnie ten pokój. Ja też bardzo lubię tu siedzieć, szczególnie wtedy, gdy Paula nie ma w domu, co zdarza się bardzo często.

— A gdzie jest jego studio? — spytałam zaskoczona całkowitą metamorfozą tego pokoju, który był przecież owocem mojej pierwszej miłości.

Ginger pokręciła przecząco głową.

— Przez ostatnie dwadzieścia pięć lat w ogóle nie zajmował się architekturą — powiedziała. — Przez kilka lat po ślubie trochę pracował w tym studiu, lecz jakoś mu nie szło... Mówił, że ten pokój jest tak wspaniale zaprojektowany, że nie może oderwać od niego wzroku i zabrać się do roboty... Właśnie wtedy zachorował mój ojciec, więc Paul powoli zaczął wciągać się do pracy w młynie. Kiedy ojciec zmarł, Paul przejął całe przedsiębiorstwo. Nie jest chyba z tego powodu nieszczęśliwy, gdyż wyjątkowo dobrze mu idzie w interesach: już trzykrotnie powiększył majątek i zbudował dwa nowe młyny. Jednak czasami myślę, że to wstyd, aby taki utalentowany architekt zajmował się taką pracą. Przecież w ten sposób marnuje swój talent... Teraz jest w Norfolk lub w Alabamie. Nawet dokładnie nie wiem. Rzadko kiedy tutaj przyjeżdża i dlatego nawet nie bardzo się sprzeciwiał, gdy pozbawiliśmy go tego studia. Zresztą i tak zawsze oddawał co najlepsze naszym trzem córkom, a potem ich dzieciom. Będzie bardzo szczęśliwa, gdy wreszcie pójdzie na emeryturę i będzie

więcej czasu spędzał tutaj z nami. W tym roku wszedł do tego salonu chyba tylko ze dwa razy...

— A więc masz córki... — nie było to bynajmniej pytanie. Ich zdjęcia wisiały na ścianach pokoju. Były to dziewczyny śniade, szczupłe, długonogie, ubrane we wspaniałe suknie, sfotografowane w dniu ich ślubów i narodzin ich dzieci.

— Trzy. Wszystkie mają teraz po dwoje lub więcej dzieci i mieszkają w promieniu stu mil. Latem dom ten jest chyba jeszcze gorszy od więzienia dla kobiet z dziećmi. Najstarsza córka, Geni, znowu jest w ciąży. Zrobiła sobie już wszystkie badania i wie, że będzie to kolejna dziewczynka. Paul powiedział kiedyś, że jeszcze jedna dziewczynka w rodzinie, a zaciągnie się na frachtowiec i ucieknie z domu na jakieś trzy — cztery lata.

Jedna z córek wstała wtedy z sofy i podeszła do mnie, aby się przywitać. Uśmiechała się do mnie, więc i ja uruchomiłam swój automatyczny uśmiech, który zwykle włączałam w takich okolicznościach. Jej obecność zaskoczyła mnie jednak niemile, gdyż byłam przekonana, że będziemy tylko my cztery.

— Kochana Effie! — powiedziała dziewczyna i rzuciła mi się na szyję. Byłam jeszcze bardziej zaskoczona. Przecież to Fig Newton! Jak mogłam jej nie poznać? Ginger stała za Fig i patrzyła na mnie. Niezłe się z nas uśmieły razem z Cecie.

— Boże! — powiedziałam, obejmując Fig i poklepując ją przyjacielsko. — Fig! Mój Boże!

— Nie sposób — stwierdziła Fig — lekceważyć kobiety, która ma trochę zielonych i zna dobrego chirurga plastycznego.

Na'wet jej głos był trochę inny, niższy i bardziej gardłowy. Przypominał śmiech. Niemal szeptała, podobnie jak Jackie Kennedy Onassis, nad którą trzeba było się nachylać, aby cokolwiek usłyszeć.

Odsunęłam ją od siebie i obie zanosiliśmy się śmiechem. Uniosła rękę do góry i wykonała obrót. Miała na sobie obcisłe dżinsy w kolorze wody morskiej, wsunięte do cholewek zamszowych trzewików. Do tego był różowy kaszmirowy sweter, o wiele za duży na nią i zwisający do samych kolan. Był prześliczny. Nagie piersi ukryte pod nim usiłowały przebić się przez wełnę. Wyraźnie widać było wypukłe sutki. Jeśli nie liczyć złotego łańcucha i wielkich, złotych kolczyków, nie miała na sobie wiele biżuterii. Pachniała jakimiś orientalnymi perfumami. Nadal była niska, jak zawsze, lecz tym razem szczupła i o stosownych proporcjach. Wyglądała jak lalka naturalnych rozmiarów, a jej skóra na twarzy, szyi (i z pewnością także

na pośladkach) była idealnie naprężona i elastyczna jak u niemowlęcia. Miała kolor kawy z mlekiem. Twarz była gładka, policzki trochę za małe, usta — pełne, a nos... — identyczny jak mój (nawet pieprzyk był na swoim miejscu). Zęby miała bardzo białe i idealnie równe. Włosy — lekko podkrecone, barwy złocistobrazowej. Nie wyglądała realnie, bo i tak przecież nie była prawdziwa: była jednocześnie Barbie, Tiną Turner, Leną Horne i Michelle Pfeiffer... a także... może w pewnym sensie... Kate Lee. Wyglądała na dwadzieścia pięć lat.

— Czy jest tutaj jakaś Fig? — zapytałam.

— Nie, nie ma tutaj Fig, którą znałaś — odpowiedziała śmiejąc się i obejmując mnie. — Teraz wszyscy mówią na mnie „Gina” lub „Georgina”. Doskonale wiesz, skąd wzięło się nazwisko Stuart. Przestałam być Fig, odkąd wyszła moja pierwsza książka, a było to tyle lat temu, że lepiej o tym nie wspominać. Ale jako że wynikała wyjątkowa sytuacja, przez najbliższy tydzień będę dla was z powrotem Fig. Sama też chcę takiej odmiany. Właśnie dlatego zorganizowałam to spotkanie, abyśmy mogły ponownie być sobą.

— Nawet nie wiem, czy będę mogła w takiej sytuacji myśleć o tobie jako o Fig — powiedziałam. — To jest... jesteś... to jest tak nieprawdopodobne! Po prostu mnie zamurowało. Przez cały ten tydzień będę pod wrażeniem twojej sławy i książek. Nigdy w życiu nie widziałam czyjeś tak ogromnej zmiany. Nie chodzi o to, że wcześniej byłaś zła, czy coś w tym rodzaju...

Znowu parsknęła śmiechem.

— Kpisz sobie! Przecież byłam okropna! — zaprzeczyła. — Wprost makabryczna! Ale nie przejmuj się tym. Zawsze chciałam przeobrazić się w inną osobę, gdy tylko będę miała odpowiednie fundusze. I właśnie tak zrobiłam. Nigdy nie brakowało mi roboty, odkąd moja pierwsza książka ukazała się na liście w „New York Times”. Dieta, zęby, podnoszenie zmarszczek, zrobienie nosa i policzków, dodatki do kości policzkowych, piersi, szkła kontaktowe, odsysanie tkanki tłuszczowej, peeling skóry... Zaaplikowałam sobie wszystko, co tylko było można. Zajęło mi to dwa lata. Nigdy, nawet przez minutę nie żałowałam tego. Nawet nie wiesz, jak bardzo chciałam być tobą, gdy mieszkaliśmy w Randolph. A teraz nawet cię prześcignęłam!

— Co najmniej dziesięć razy — dodałam. — Boże! Fig, musisz sobie zapamiętać, że ja nawet w szkole średniej nie wyglądałam tak wspaniale jak ty teraz. Musisz to zrozumieć.

— Wydawało mi się, że tak właśnie wyglądałaś — powiedziała z uśmiechem. — To mi zupełnie wystarczyło.

Usiadłyśmy w wielkich fotelach i na sofie i przyglądałyśmy się, jak nad morzem powoli zapada zmrok. Piłyśmy po kolei wszystkie drinki, jakie przygotowywała dla nas Ginger. Przynosiła je w zbyt dużych jak dla nas szklankach, a poza tym były bardzo mocne. Z błysku w oczach i brzmienia jej głosu domyślałam się, że wypita już niejeden kieliszek. Miała rozpalone policzki i mówiła coś bez większego sensu. Fig popijała białe wino, a Cecie — bourbona. Rozmawiałyśmy, jakbyśmy rozstały się dwa dni temu. Buzie nam się nie zamykały, podczas gdy morze stało się wpierw fioletowe, potem szare, aż wreszcie czarne. Rozmawiałyśmy o tym, o czym mówiłyśmy, gdy ostatni raz siedziałyśmy w naszym segmencie w akademiku: o osobach, które znałyśmy, o rzeczach, które pamiętałyśmy, o piosenkach, które śpiewałyśmy, o filmach, które oglądałyśmy, o naszych wykładowcach i o ciuchach. Na przemian śmiałyśmy się i piłyśmy kolejne drinki. Nawet podśpiewywałyśmy trochę. Wszystkie te lata minęły nam zupełnie niepostrzeżenie. Zamiast czuć się dojrzałymi kobietami, które wspominają siebie, gdy były jeszcze młode, czułyśmy się tymi dziewczynami sprzed lat. Miałyśmy po dziewiętnaście i dwadzieścia wiosen. Wszystko, co do tej pory było dla nas zamknięte, otwarło się teraz i wydawało się możliwe. Ból i rozczarowania, jakich doznałyśmy w życiu, gdzieś nagle znikły, a czas cofnął się raptem o ćwierć wieku. W czasie tego tygodnia zdarzyło się to nam kilka razy. Trudno było pozostać w kręgu rzeczywistości. Wiedziałyśmy, że kiedyś będziemy musiały wreszcie opowiedzieć o swoim dorosłym życiu, ale jeszcze nie teraz. Jeszcze nie teraz. Wszystkie chciałyśmy odsunąć jak najdalej nieunikniony powrót dojrzałości. Kiedy Ginger zaczęła pytać o naszych mężów, dzieci i pracę, zakrzyczałyśmy ją.

— No dobrze, zróbmy to tak, że każda z nas po kolei powie: kto, co, kiedy, gdzie i jak — powiedziała — a potem będziemy mogły powrócić do naszych siostrzyczek z „Tri Omega”. Ja zaczynam. Ginger Fowler Sibley Od dwudziestu ośmiu lat żona Paula Sibleya, właściciela młynów. Nie pracuje zawodowo, matka i babcia. Trzy córki, siedmioro wnucząt, adres zimowy — Norfolk, adres letni — Nag's Head, Outer Banks, Północna Karolina.

Wskazała na Fig.

— Georgina Stuart, Fig Newton — powiedziała Fig. — Pisarka, autorka bestsellerów, pięciu mężów, legiony kochanków, żadnych dzieci, cztery filmy, dwie mini-serie, trzysta milionów wywiadów w telewizji, w czasopismach. Domy na Manhattanie, w Aspen, Malibu i Puerto Yallarta. Obecny kochanek — nie, to jeszcze tajemnica!

Nastąpiła krótka przerwa zakończona wreszcie przez Cecie: — Cecylia Rushton Hart Fiori. Wdowa po Vinnim Fiori, sierżancie policji miejskiej w Bostonie. Matka dwóch chłopców: Leo i Roberta, po jednym dla każdej strony rodziny. Babcia Susanny Fiori, dwa latka. Mieszkam w Bostonie razem z teściową, Cosimą Fiori, która jest inwalidką. Nie pracuję zawodowo. Pielęgniarka, kucharka, sprzątaczką, średniowieczną zielarką.

Wszystkie parsknęłyśmy śmiechem. Cecie nie pozostawała w tyle.

— Naprawdę — powiedziała Cecie. — Przez wiele lat studiowałam średniowieczne zielarstwo i zioła ogrodowe oraz ich zastosowanie. Z tyłu domu zrobiłam specjalny ogród, gdzie uprawiam różne rośliny lecznicze. Teraz, po śmierci Vinniego, wzięłam się za spisywanie wszystkich wiadomości o ziołach w formie książki. Dzieło jest już prawie gotowe.

Spojrzałam na nią ze zdumieniem i podziwem.

— Cecie, to wspaniałe — rzekłam. — Znając ciebie, mogę się założyć, że będzie to niezwykła książka. Na pewno wszyscy będą chcieli ją opublikować. Ile jeszcze ci zostało do końca?

— Mój czas już się skończył. Teraz twoja kolej — powiedziała i od razu wszystkie ją poparły.

— Kate Lee Abrams — powiedziałam. — Od dwudziestu ośmiu lat żona Alana Abramsa, architekta. Współpracujemy przy wykonywaniu kompleksowych projektów rezydencji nadmorskich. Mieszkamy w szarym domu, podobnym do tego, nad samym oceanem w Sagaponack, Long Island. Jestem też ogrodnikiem (tak mi się przynajmniej wydaje). Tak, jestem projektantką wnętrz i ogrodnikiem.

— Dzieci? — zapytała Ginger.

— Nie ma.

Ginger zaczęła znosić zdjęcia swoich córek i wnuczek, więc znowu zaczęłyśmy protestować.

— I do tego też dojdziemy — stwierdziła Cecie.

— Może lepiej w ogóle nie dochodzić do oglądania zdjęć — powiedziałam.

Fig spojrzała na mnie. W świetle ognia z kominka jej twarz wyglądała jak twarz gwiazdy filmowej lub manekina w sklepie odzieżowym. Widząc ją znów, poczułam się dziwnie. Była taka... Zupełnie nie przypominała Fig...

— Ale chcę wiedzieć wszystko — powiedziała. — Chcę wiedzieć wszystko o tobie, Effie. Chcę znać każdy najdrobniejszy szczegół.

— Nie pozwolę ci, abyś umieszczala mnie w jednej z twoich ksiazek — odpowiedzialam jej usmiechajac sie.

— Nie zrobię tego — zapewnila mnie. — Dzis nie pracuje. Poza tym wszystkie jesteśmy po prostu za nudne jak na potrzeby moich ksiazek. Nigdy by sie nie sprzedaly, nawet w supermarkecie.

— Ty masz byc nudna? Po tych pieciu mezach i tylu kochan-
kach? — krzyknela Ginger.

— Och, Boze! Ginger! Przeciez ja sama to wszystko wymyslilam — zaprzeczyla Fig. — No, prawie wszystko. Jaka bylaby pisarka, gdybym nie potrala obmyslic ciekawego zyciorysu nawet dla samej siebie? Dobrze wiecie, ze odkad skonczylam osiemnascie lat, zaczalam spisywac swój zywot w pamietniku.

— Ach, ten pamietnik! — krzyknelysmy wszystkie trzy.

— A tak, pamietnik! I zgadnijcie jeszcze cos! Przywiozlam go ze soba! Zawsze go pilnowalam, aby mi sie nie zgubil. Codziennie wieczorem po kolacji bede czytala wam po jednym rozdziale. Jak wam sie to podoba? Dokladnie sobie wszystko przypomnicie.

— Och, tak! Wysmienity pomysl! — krzyknela Ginger. — Boze, ale bedzie uciecha!

— Zupełnie jak Szeherazada — powiedzialam. Lecz mysl o czytaniu tego pamietnika nie byla dla mnie zbyt przyjemna.

— Miejmy nadzieje, ze nie — odparla Fig. — Miała umrzeć, gdy tylko skonczy opowiadac swe baśnie. Wiec uwazajcie! Kiedy skonczę... nastapi smierc!

— Czyja? — zapytala zaciekawiona Cecie.

— Nas wszystkich — powiedziala Fig, usmiechajac sie do niej. Byl to slodki, pelny i naturalny usmiech. — Nas wszystkich, takich, jakimi bylyśmy.

— Wolałabym myslec, ze bedzie na odwrot — rzekla Cecie. — Utrzymałoby to nas przy zyciu... Takim, jakie teraz prowadzimy.

— Zamiast o tym mowic — wtracila Ginger i wstala niemrawo z fotela — po prostu to zrobmy.

Tak wiec pierwszej nocy po przyrzadzeniu i zjedzeniu ogromnych porcji spaghetti, wrócilyśmy do studia i nałozylasmy drewn do kominka, aby podtrzymac przyjemny ogien. Ginger nalala nam po kieliszku brandy, a Fig usiadla na dywaniku przed komin-
kiem, otworzyla znajomy nam wszystkich zeszyt i zaczela czytac. Przy blasku ognia wrócilyśmy myslami jeszcze raz ku tamtym bez-
troskim i szczesliwym czasom.

Przeczytala nam rozdzial o swej inicjacji w „Tri Omega”. Miała jakis zda sie nowy, dziwny głos. I oto ujrzałam nagle sama siebie

w tamtym pokoju w Randolph, czułam gorące powietrze pachnące goździkami i topiącymi się świecami. Do tego doszła jeszcze woń tłumu młodych ciał. Dobiegały skądś dźwięki trójkątów i dzwonek. Dźwięk ten był bardzo intensywny. W głowie mi się kręciło i ścisnęło w żołądku. Zamknęłam oczy. Pokonałam w wyobraźni wiele mil i jeszcze więcej lat i zobaczyłam przed sobą twarz Fig. Jednakże była to inna Fig — Fig o tłustej, nalanej gębie, małych oczkach schowanych pod grubymi okularami, rozwartych ustach i wilgotnym języku, który rytmicznie wysuwał się na zewnątrz i chował... te usta, straszne włosy, język, pękaty tułów, krótka szyja...

— *...tuż przed samym pocałunkiem, który winien ze mnie uczynić pełnoprawną członkinią „Tri Omega”, moja siostra, która miała się wszystkim zająć, była pod takim wielkim wrażeniem, że zemdląca i musiałyśmy ją cucić — przeczytała Fig. — A mnie serce aż podskoczyło z radości, gdyż wiedziałam już, że na zawsze będę związana z „Tri Omega” i wszystkimi siostrzyczkami. Wiem też, że moja starsza siostra uświadomiła sobie wtedy nierozzerwalną już więź między nami. Och, Effie, moja siostrzyczko! Zawsze będę cię kochać i zawsze będę starała się ci dorównać! Ty też będziesz ze mnie dumna. Nigdy też nie zapomnę o tobie, podobnie jak o tej świętej nocy.*

Przeczytała jeszcze kilka stron w tym samym stylu, a potem wszystkie zamilkłyśmy. Nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Na pewno widziała mnie, jak wymiotowałam do zlewu w kuchni. Nie mogła przecież tego nie zauważyć. Czy ona naprawdę myślała przez te wszystkie lata, że byłam w niej zakochana, ale bałam się uzewnętrznic te uczucia?

— No cóż, mój Boże...! — powiedziałam. — To było wspaniałe.

— Ależ to jest bzdurnie napisane! — zaśmiała się Fig i wtedy coś się we mnie przełamało i ja też wybuchnęłam śmiechem. Polubiłam tę śmieszoną pękata dziewczynę sprzed prawie trzydziestu lat, kimkolwiek naprawdę była.

— Ale tylko jeden Bóg wie, jak dużo to wszystko dla mnie wtedy znaczyło — powiedziała Fig. — Nigdy nie zapomniałam tamtej nocy, nawet pomimo to, że opisałam to w taki sposób, jakby pisała to Harriet Beecher Stove, mając wyjątkowo kiepski dzień. Nigdy tego nie zapomnę.

— Ja też — odparła Cecie. — Nawet jeśli Kate nie wytrzymała, to ja dałam sobie radę. Ta ceremonia zawsze trwa zbyt długo. Ciekawe, czy nadal to praktykują w „Tri Omega”?

— A wątpisz w to? — zaczęłam się śmiać. — Oczywiście, że

tak. Zawsze muszą być dzwonki, pocałunki i spadające z oczu opaski. Słuchajcie, czy któraś z was pamięta jeszcze ten uścisk i te straszne słowa, które trzeba wypowiadać w takiej chwili?

Zaczęłyśmy się śmiać i objęłyśmy się tak, jak to się robiło w „Tri Omega”. Starałyśmy się przypomnieć sobie owo święte zakłęcie, lecz był to próżny wysiłek. Usiadłyśmy więc, by zrobić sobie następnego drinka. Zaśpiewałyśmy też kilka piosenek „Tri Omega”, które śpiewało się podczas przyjęć, i wreszcie poszłyśmy spać.

Fig poprosiła, aby mogła spać na sofie w studio:

— Chcę po obudzeniu podziwiać wspaniały widok słońca wschodzącego nad oceanem. O świcie widok z tych okien musi być naprawdę niezwykły. Nie mogę więc przegapić takiej okazji.

Cecie i ja poszłyśmy za Ginger do starej części domu. Zauważyłyśmy otwarte drzwi do wielkiej sypialni, która, jak sobie przypominam, była kiedyś sypialnią jej rodziców. Ginger potknęła się i zachwiała, ale utrzymała jakoś równowagę.

— Wszystko w porządku — zastrzegła się. — Rano będę jak skowronek. Potrzebuję tylko trochę odpoczynku i snu. Nic mi nie jest.

Zamknęłyśmy drzwi i weszłyśmy do pokoju, w którym już raz spałyśmy razem. Okna wychodziły na ogródek i dalej na morze. Usiadłam na łóżku, na którym wtedy spałam, i spojrzałam na Cecie.

— No i koło się zamyka — powiedziałam. — Wcześniej czy później rzeczy, które się kiedyś zdarzyły, wracają do nas znowu. Chce ci się spać?

— Strasznie — odpowiedziała i poczułam w jej głosie, że nadal czuje się w mojej obecności jakoś dziwnie i nieśmiało. Wiedziałam, że za chwilę pójdzie korytarzem do łazienki, gdzie wykąpie się i przebierze w nocną koszulę. Opanowała mnie fala miłości i wspomnień. Nagle zapragnęłam wziąć Cecie w objęcia i przytulić do siebie. Chciałam czuć jej szybkie bicie serca.

Kiedy wróciła do pokoju, zgasiłam światło i leżałam cicho w łóżku, patrząc na morze. Pomyślałam sobie o tamtej nocy, gdy rozszalał się straszny sztorm, a ona poszła na plażę. Obserwowałam ją wtedy, jak naga pływała po dzikich, wzburzonych fałach, jakby odprawiała jakiś pogański rytuał. Oświetlały ją tylko potężne błyskawice. Pamiętam, jak odwróciła się na plecy, aby przyjąć na siebie całe uderzenie sztormu...

Podobnie jak tamtej nocy słyszałam, że kładzie się do łóżka i przez chwilę dobiegał mnie jeszcze jej lekki równomierny oddech. Wiedziałam, że nie śpi.

— Czy wiesz, że tamtej nocy widziałam, jak pływałaś w morzu podczas sztormu? — zapytałam z zamkniętymi oczami.

— Tak mi się wydawało — odpowiedziała. W jej głosie po-brzmiewało rozbawienie i tłumiony śmiech, lecz nic więcej nie powiedziała.

Wreszcie usnęłam i śnił mi się Stephen. Miał pięć lat, a więc tyle, ile miał, gdy utonął. Śniło mi się, że ja i Alan byliśmy z nim w cyrku. W pewnej chwili na arenę wyszły słonie, a Stephen odbiegł od nas, bo chciał przyjrzeć im się z bliska. Zgubiliśmy się w tłumie widzów. Biegłam za nim, krzyczałam i płakałam, ale nie mogłam się przebić przez ten cały tłum. Słyszałam jednak, jak wołał do mnie: „Tutaj jestem, mamó. Pójdę teraz ze słoniami i wrócę do ciebie, kiedy program się skończy”.

Obudziłam się cała zapłakana. Poduszka była mokra. Leżałam bez ruchu i próbowałam powstrzymać się od płaczu, aby nie budzić Cecie, lecz i tak słyszałam, jak przeciąga się w swoim łóżku i siada, chcąc zobaczyć, co się dzieje.

— Wszystko w porządku? — zapytała, nie paląc światła.

— Miałam małego synka — powiedziałałam zapłakany gło-sem. — Stephena. Miał pięć lat, gdy utonął.

Zapadła chwila milczenia i wreszcie Cecie odezwała się:

— Wiem. Fig powiedziała mi, zanim przyjechałaś. Ale Ginger chyba o tym nie wie.

— A skąd Fig wiedziała?

— A skąd Fig wie o wszystkim? Zdołasz jakoś usnąć, czy chcesz szklankę mleka lub może coś innego do picia?

— Nie, nie martw się o mnie — powiedziałam. — Przepraszam, że cię obudziłam.

— Nie masz za co przepraszać — powiedziała Cecie. — I tak nie spałam.

Leżałyśmy nic nie mówiąc, aż Cecie przerwała milczenie:

— Nie tracimy ich, Kate. Jeśli kochasz dzieci, to one nigdy nie umierają. Musimy w to wierzyć. Jest to jedyna rzecz, którą wiem na pewno. Każdy, kogo kochasz, żyje, dopóki ty żyjesz.

— Och... chciałabym, aby tak było — powiedziałam. — Bardzo bym chciała.

— Wiem, ale teraz śpij.

Zanim jeszcze zdołałam jej odpowiedzieć, pogrążyłam się w głębokim śnie.

Rozdział 12

— Jesteś na mnie zła? — spytała Ginger następnego ranka. — Od początku byłaś na mnie zła?

Spacerowałyśmy wzdłuż linii przypływu po kolana w wodzie. Cała plaża była pusta aż po sam horyzont. W otaczającej niebieskości i silnych promieniach słonecznych my dwie — Ginger i ja — byłyśmy jedynymi poruszającymi się istotami. Wiatr ucichł, więc nawet trawy porastające wydmy były nieruchome.

Był późny poranek. Zimne powietrze nocne jeszcze się nie ogrzało, lecz nasze ramiona i głowy pieściło już słońce. Miałyśmy na sobie koszulki i szorty. Buty i skarpetki zostawiłyśmy na schodach prowadzących na plażę. Ciemny dom wznosił się majestatycznie ku stalowoniebieskiemu niebu, a stare zabudowania stały wzdłuż plaży jak ciemno ubrani patriarchowie. Tu i tam unosił się dym z komina, świadcząc o istnieniu mieszkańców, lecz nikogo nie było widać ani na gankach, ani na werandach czy w podcieniach. Woda okazała się wyjątkowo ciepła. Pamiętam, jak dawno temu ojciec Ginger opowiadał nam, że w okolicy Outer Banks ciepły prąd spotyka się z zimnym, ogrzewa wodę i rodzi wielkie sztormy. Powietrze było tak przejrzyste, że bez problemu mogłyśmy odczytać znaki śmigłowca marynarki z Norfolk, który właśnie przecinał niebo. Warkot jego silnika stanowił jedyny dźwięk, jeśli nie liczyć delikatnego szumu fali morskich. Odpoczywałam i byłam idiotycznie wprost zadowolona z siebie i z całego świata. Czas ukołysał nas i zatrzymał się w miejscu.

— Dlaczego, do diaska, miałabym być na ciebie zła? — zapytałam, uśmiechając się do niej. — Mogłabym gniewać się na jakiegoś gówniarza, ale nie na ciebie.

— Wczoraj w nocy całkiem się zalałam, a wiem, że w takich momentach jestem dość zabawna. Czy rzeczywiście ty i Cecie zapakowałyście mnie do łóżka, czy mi się to tylko przyśniło?

— Nakierowałyśmy ciebie na łóżko — sprostowałam. — Sama dokonałaś reszty. No, chodźmy już, Gingerooney, nie zamierzam gniewać się na ciebie tylko za to, że upijasz się w swoim własnym domu. Taka już jestem.

Uśmiechnęła się.

— Nikt mnie tak nigdy nie nazywał, tylko ty i Paul — odpowiedziała. — A on tego nie robi już od lat. Dobrze jest znowu to usłyszeć. Przypuszczam, że przez cały ten czas nienawidziłaś mnie z powodu... Paula. Wiem, że byłaś strasznie rozdrażniona i wściekła, gdy wyszłam za niego, ale miałam nadzieję, że po jakimś czasie przestanie to być dla ciebie takie istotne, ponieważ twoje życie i bez Paula układało się cudownie...

— Nawet wtedy nie byłam na ciebie zła — powiedziałam szczerze. — Nigdy cię nie obwinałam. Wiedziałam, jaki on był, jakim mógł być... Sama nie mogłam się temu oprzeć i — jak dobrze wiesz — nie oparłam się. Ale zaraz po tym spotkałam Alana i rzeczywiście tamto przestało się liczyć. Alan jest najlepszym człowiekiem, jakiego mogłam spotkać, i chyba dlatego powinnam napisać wtedy do was list dziękczynny. Nie wyobrażam sobie życia bez niego.

— Jestem taka szczęśliwa. Naprawdę jestem — odpowiedziała Ginger. — Strasznie mi było przykro. Aż do dziś mam wyrzuty sumienia. Od samego początku wiedziałam, że robię źle. Ale... szalałam za nim, Kate. Dla niego popełniłabym nawet morderstwo z zimną krwią. I chyba do tej pory moje uczucia się nie zmieniły. Czasami pytam się, czy ktokolwiek tak mnie lubi jak ja jego. Nawet jeśli z jego strony chodzi przede wszystkim o pieniądze. No, ale w każdym razie chciałam oficjalnie ci powiedzieć, że cię Kocham i że zawsze było mi przykro z tego powodu. Powinnam była ci to wyjawić wcześniej. Kilka razy chciałam do ciebie napisać, ale nie mogłam cię nigdzie odnaleźć.

— Wiem — odpowiedziałam. — Do jakiegoś momentu chyba się ukrywałam, ale nigdy przed tobą. Chodź tutaj i obejmij mnie.

Zrobiła to, a ja objęłam ją mocno. Trzymała mnie przez dłuższą chwilę. Jej ciało w moich ramionach było bardzo miękkie, ospałe i jakby chore. Pomimo to była teraz bardziej podobna do Ginger sprzed trzydziestu lat niż wczoraj wieczorem. Zmyła mocny makijaż, tak że pęgi i pierwsze oznaki starzenia się wyraźnie prześwitywały spod

jasnej opalenizny. Platynowe włosy zaplecione były w gruby war-¹ kocz, który zwisał jej na plecach. Jej szorty były wyblakłe i postrzępione. Do tego miała na sobie bardzo starą koszulkę z napisem Currituck Yacht Club. W niebieskich oczach, w których nadal czaiło się dawne zuchwalstwo, zaznaczały się wyraźne czerwone żyłki. Pomimo tych wszystkich mankamentów urody i stroju, wydawało mi się, że wygląda znacznie młodziej niż wczoraj, gdy ją po raz pierwszy ujrzałam po tak długiej przerwie.

— Czas na Krwawą Mary — powiedziała. — Do diabła z kawą, wodą mineralną i świeżymi sokami. Wyjdźmy wreszcie z tego bagna i pomyślmy raczej o naszych perspektywach.

— Jeżeli teraz zacznę od Krwawej Mary, to jeszcze przed południem znajdę się nieprzytomna w łóżku — odparłam. — Przecież dopiero co wstałam. Ale kawa brzmi zachęcająco.

Odwróciłyśmy się i pobrnęłyśmy przez miękki piasek w kierunku schodów domu zatrzymując się, by zabrać buty. Przystań była pusta. Harmonię widoku zakłócały tylko buty i pończochy Cecie rzucone pod hamakiem. Ciekawa byłam, czy to ten sam hamak, który wiele lat temu zrzucił nas na ziemię, półnagich i zaślepionych żądzą. Wyglądał odpowiednio staro. O dziwo, nic nie czułam, patrząc nań.

— Czy widziałas dzisiaj rano Cecie? — zapytałam nagle. — Kiedy się obudziłam, już jej nie było w pokoju.

— Poszła na plażę w poszukiwaniu różnych okazów do swojego skalnego ogródka — odpowiedziała Ginger. — Myśli, że zdoła przewieźć nadbrzeżne pierwiosniki i groszek oraz złote astry do Bostonu. Podobno jest tam słona gleba, choć przecież o wiele zimniejsza. Cecie eksperymentuje więc z nowymi rodzajami obornika, który zakopany głęboko w ziemi ma pomóc roślinom przetrwać ciężką zimę. Straszne to, że straciła dom nad wodą w Wirginii — byłby dla niej najlepszym ratunkiem po śmierci Vinniego i wyprowadzeniu się chłopców. Znalazłyby się tam nawet jakiś pokój dla tego starego potwora — teściowej. Cecie miałyby swój ogródek, łódkę, zatoczkę i wszystkich przyjaciół dokoła. A tak musi mieszkać w dwóch pokojach tego straszego, małego domku, przy pozostałych pokojach zamkniętych z powodu oszczędności prądu. Vinnie nigdy nie zdołał go wykupić, więc Cecie wciąż musi go wynajmować. Jeden Bóg tylko wie, jak sobie z tym wszystkim radzi.

Czyżby Cecie nigdy nie zasługiwała na coś lepszego w życiu? Ani na wody ulubionej Chesapeake, ani na wielki, odrapany stary

dom, w którym dorastała? Wiedziałam, że kiedyś go odziedziczy, gdyż jest jedyną rodziną dla babci i ciotek.

— A co się stało z tym domem? — zapytałam. — Myślałam, że jest już jej własnością, że mieszka w nim chociażby tylko w lecie...

— Ciotka, która odziedziczyła ten dom, całkowicie oszalała na stare lata i zapisała całą posiadłość jakiemuś równie szalonemu pastorowi — odpowiedziała Ginger ze smutkiem. — Nawrócił ją na łono Kościoła, odciągając jednocześnie od Cecie i pozostałych ciotek, oraz skłócił je wszystkie ze sobą. Dla niego i jego Kościoła porzuciła wszystko. Cecie próbowała wnieść sprawę do sądu, lecz w tym czasie Vinnie czuł się już bardzo źle, chłopcy chodzili do szkoły średniej, a do tego wprowadziła się do nich ta stara teściowa. Cecie zabrakło po prostu pieniędzy. Być może mogłaby go jeszcze odzyskać, lecz upłynęło już zbyt wiele czasu. Zresztą i tak chyba nadal nie ma na to funduszy. Nie mów jej, że opowiedziałam ci o tym — to by ją pewnie zabiło. Nigdy nie chce o tym rozmawiać.

— Cieszę się, że chociaż tobie to powiedziała — odrzekłam, czując w sobie nagły przypływ zazdrości, rozszerzający się niczym pożar lasu. — Rzadko rozmawiała z innymi o swych problemach, a przecież to tak bardzo pomaga.

— No tak, ale wolałabym, aby powiedziała mi o tym sama. Prawdę mówiąc, dowiedziałam się o tym od Fig, gdy poprzysięgłam jej milczenie — odpowiedziała Ginger.

— Skąd Fig się o tym dowiedziała? — zapytałam zdumiona. — Był taki czas, że Cecie wolałaby odgryźć sobie język, niż powiedzieć cokolwiek Fig. Nie wyobrażam sobie, aby kiedykolwiek mogły dojść do takiej zażyłości.

— Fig po prostu wie o wielu rzeczach — stwierdziła pobłaźliwie Ginger. — Wiesz przecież, że zawsze była wszystkiego ciekawa i zawsze wszystko wykrywała. A teraz jest znaną pisarką, przyzwyczajoną do rozwiązywania różnych tajemnic. Myślę, że ona ma po prostu swoje sposoby. Ze mną utrzymywała ciągły kontakt. Cecie też mówiła, że dostawała od niej wiele listów i telefonów. Musisz, Kate, przyznać, że Fig nie jest już taka jak kiedyś. Nie biorąc nawet pod uwagę sławy i pieniędzy, wyrosła na wiele lepszą, niż myślałam. Jak to jednak sukces może zrobić z człowieka kogoś zupełnie innego.

— Powiedziałabym raczej, że sukces plus operacje plastyczne — dodałam ze smutkiem.

Daleko na plaży pojawił się punkcik, którym, jak się domyślałam, była Cecie. Szła wolno wzdłuż linii brzegu i w miarę zbliżania

się do nas stawała się coraz wyraźniejsza. Niosła wielką papierową torbę i małą motyczkę. Szła z opuszczoną głową, jakby badała oświetlone słońcem mielizny, na których woda rozbryzgiwała się i pieniała, by potem wrócić do morza. Od czasu do czasu schylała się nad owymi strumieniami piany. Słońce błyszczało w jej białych włosach, jakby były z włókna szklanego lub z cukru.

— Ciagle wygląda jak małe dziecko, nieprawdaż? — zapytała Ginger.

— Tak — uśmiechnęłam się. — Wygląda jak mały chłopczyk w peruce. Na te dzikie loki nałóż jeszcze czerwoną kokardę i będziesz miała przed sobą Cecie Hart sprzed trzydziestu lat. Jaki ten świat jest niesprawiedliwy!

Nagle spomiędzy wydm wyskoczył jakiś pies myśliwski i obłądnie szczekając dopadł Cecie. Natychmiast rzuciła torbę i motykę i wyciągnęła do niego ręce. Pies skoczył na nią i liżąc ją po twarzy, machał energicznie ogonem. Uścisnęła go mocno, chowając twarz w jego złocistym futrze. Pies stał na tylnych łapach i z daleka wydawało nam się, że jest nawet wyższy od niej. Wreszcie puściła go, odwróciła się i pobiegła z nim wprost w morskie fale. Pluskała się z nim, bawiła i na wszystkie strony siała diamentowymi rozbryzganiami wody. Zwierzę wyszczekiwało swoją radość, a Cecie wtórowała mu cichym śmiechem. Po chwili wyszła z wody i podreptała po plaży w naszym kierunku, machając ręką, podczas gdy pies tańczył wokół niej. Nagle szczeknął ostatni raz i ostro skręcił, biegnąc w kierunku domu.

Ginger i ja wybuchnęliśmy zgodnym śmiechem, gdy Cecie podbiegła do nas, całkowicie przemoczona i z uśmiechem zadowolenia na twarzy. Wszystko bym oddała, aby móc w tej chwili owinąć ją morską ponadczasowością i po prostu tam ją zatrzymać. Cecie należała przecież do wody jak ryby czy mewy.

— Cecylio Rushton Hart, idź i przebierz się natychmiast — powiedziała Cecie, starannie artykułując każde słowo i spoglądając na siebie. Wydawało mi się, że słyszę głosy zakonnicy, starych ciotek i babki.

— Lepiej to zrób szybko, bo rzeczywiście coś podłapiesz — dodała Ginger, uśmiechając się złośliwie.

— Wiek nie złągodził ani nie zużył twojej nieskończonej różnorodności — odpowiedziała zgryźliwie Cecie. — Nie powściągnął również twego języka. Dzień dobry, Kate. Myślałam już, że będziesz spać wiecznie. Zamierzałam wstrząsnąć tobą za pomocą *Uwertury 1812*, lecz Ginger posiada jedynie stare nagrania Elvisa Presleya.

Taka z niej filistynka. Wybaczcie mi. Zaczyna... wiecie... robić się chłodno, nieprawdaż?

Gdy tylko Cecie pobiegła do domu, z kręconych schodków studia zeszła Fig. Spodnie z miękkiej czarnej skóry i płasko tkany włoski sweter rozlewały się na jej szczupłej figurze. Miała krótkie purpurowe botki i wielkie okulary przeciwsłoneczne. Lwią grzywę włosów podwiązała z tyłu czerwoną szarfą, której pochodzenie mogłam rozpoznać nawet bez żadnych wyjaśnień. Podobnie jak Ginger, nie miała na sobie jeszcze makijażu prócz delikatnego śladu czerwonej szminki na ustach i białego tlenku cynku na nosie. Jej skóra wyglądała w złotym świetle poranka jak marmur bez jednej skazy. Żadnych zmarszczek, żadnych kurzych łapek czy bruzd. Nie wyglądała dziecinnie jak Cecie, lecz młodo i staro zarazem; jak stary posąg lub ożywiony obraz...

— Jest to Joan Collins we własnej osobie — powiedziała Ginger.
— A może Jackie?

— Żadna z nich — zamruczała Fig swoim gardłowym głosem.
— Wyglądam lepiej niż Joan i lepiej piszę niż Jackie. I inaczej niż one zmarnowałam swoje wielkie pieniądze. Jak się macie, kurczaczki? Czyż ten poranek nie jest przepiękny?

Cecie wyszła w czystych bermudach koloru khaki i w koszulce „Tri Omega”. Usiadłyśmy przy okrągłym stole w słońcu, które wznosiło się po nieboskłonie, sięgając zenitu. Ginger przygotowała koktajl Krwawa Mary i przyniosła go na tacy razem z krakersami i marynowanymi krewetkami. Ukołysane słońcem i słonym wiatrem, piłyśmy koktajl, poddając się biernie nieskazitelnej doskonałości wrześnieego dnia i głębokiej prostocie otwartego morza. Wypiłyśmy drugą kolejkę i następną. Rozmawiałyśmy przy tym mało i leniwie, lecz za to cały czas śmiałyśmy się. Około godziny pierwszej powietrze wokół mnie zaczęło drgać, co niezmiennie świadczyło o zbyt dużej dawce alkoholu. Zerknęłam z ukosa na Cecie, lecz jej twarz rozpyływała mi się w oczach. Przymknęłam jedno oko i znowu ją zobaczyłam. Cecie zauważyła to i roześmiała się.

— Jestem szczęśliwa, że nie widzi mnie teraz moja teściowa — powiedziała. — Puściłaby cały ten dom z dymem, zapalając świece na intencję ratunku mojej zbłąkanej duszy. Jest absolutnie pewna, że jak tylko ułożą wieczorem spać, pociągam sobie w kuchni sherry. I rzeczywiście tak robię.

— A ja jestem szczęśliwa, że nie widzi mnie Paul. — Ginger wypiła już cztery czy nawet pięć drinków, podczas gdy my tylko po trzy, i wydawało się, że jej twarz trochę się już zarumieniła od alkoholu.

Jej głos stał się niewyraźny, podobnie jak poprzedniego wieczoru. — Bardzo się wścieka, gdy piję. Patrzy wtedy na mnie jak sęp i jestem pewna, że po powrocie z podróży przelicza butelki. Staje się wtedy tym przeklętym... no, jak to się nazywa? Taki, który żyje samotnie i mało je, a jeszcze mniej pije? Jakiś taki... oderwany od rzeczywistości... nie pamiętam tego słowa... I nawet nie pije wina do posiłków. A ja lubię sobie wypić i do obiadu, i po obiedzie. Nawet nie zabiera mnie na przyjęcia, ale i tak nie mogę nic pić, gdy on jest w pobliżu. Lecz, święty Boże! Co mam niby robić, gdy go nie ma w domu?

Roześmiała się głośno. Fig zawtórowała jej wesołość, lecz ja i Cecie pozostałyśmy poważne. Poranek stracił dla nas już cały urok i piękny złoty blask.

— Pamiętasz tę noc, gdy weszliśmy na dach i upiliśmy się, Ginger? Tę noc, kiedy uzyskałaś pierwszy stopień do inicjałi? — zapytała Fig.

Wszystkie aż jęknęłyśmy.

— To był największy kac, jaki do tej pory miałam — powiedziała Ginger.

— A ja myślałam, że to była najświetniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłam — stwierdziła Fig. — Nawet po tylu latach nadal tak myślę.

Wszystkie trzy spojrzałyśmy na nią z niedowierzaniem. Ta noc, gdy Ginger zaczęła płakać, a Fig wymiotowała, mogła obrazować jedynie naszą naiwność, lecz nazwanie jej najświetniejszą rzeczą byłoby zupełną przesadą.

— Chodź tu, Fig — wymamrotała Cecie. — Powiedz nam, jaką rzeczywiście najświetniejszą rzecz zrobiłaś w życiu? Ale taką, którą można jeszcze powtórzyć. W życiu, jakie prowadzisz, musisz mieć całe tuziny takich przygód.

— Dobrze — odparła Fig, przechylając głowę na ramię tak, że włosy zwisały jej jak ogon kucyka. — Być może było to podczas karnawału w Wenecji, gdy tylko ukazała się *Melissa*, gdy kochałam się w gondoli z imponującym nieznanym ubranym na czarno i z maską lwa na twarzy. Nigdy zresztą nie zobaczyłam, jak on naprawdę wyglądał. Co prawda, nie widziałam jego twarzy, ale za to widziałam jego szyldwacha, jak mówiono kiedyś w czasach elżbietańskich w Anglii. Był długi, miał ze trzydzieści centymetrów, i był obwiązany czerwoną wstążką...

— Fig! — wykrzyknęłyśmy razem, tak jak kiedyś krzyczałyśmy na nią w Randolph. Z tym, że teraz nie chodziło nam o jej przerażającą naiwność.

— Ach! — powiedziała Ginger, kręcąc się niewygodnie na krześle. — Względem tego, to i owszem, jak chyba powiadane* — w czasach elżbietańskich.

— A może podczas podróży przez Maroko, gdy przyjechałam zaproszenie na lunch w namiocie szejka i zostałam tam do rana — rozpoczęła Fig, oblizując wargi. — To, co mówią o Beduinach, jest zupełną prawdą, moje drogie.

— A co mówią? — wyszeptała Ginger.

— Że mają długie na siedemdziesiąt centymetrów — powiedziała Fig z niebiańskim uśmiechem na ustach — i natarte tygrysim tłuszczem.

— A może wielbłądzim gnojem? — zapytała Cecie i znów wybuchnęłyśmy śmiechem.

— A może rzeczywiście... — odpowiedziała Fig. — Myślę, że tamtej nocy istotnie mogło tak być.

Z dużej skórzanej torby wyciągnęła swój słynny pamiętnik i przeczytała nam fragment o nocy na dachu akademika „Tri Omega”.

Zdębiałyśmy z wrażenia, słuchając jej czytania, i spoglądałyśmy po sobie ze zdumieniem. Kwieciste słowa, które tryskały z pamiętnika, były bez wątpienia słowami dawnej Fig i rzeczywiście mogłyśmy z nich odczytać ogromny zachwyty, z jakim patrzyły na to wszystko jej oczy ukryte za grubymi szklami, zobaczyć wilgotne usta wymawiające te słowa, czuć drzenie ekstazy w jej sopranie. Opisywała jednak noc, której nigdy w rzeczywistości nie było. Jej noc była usiana gwiazdami, zaczarowana oraz pełna cudownych znaków i obietnic. Była tak uduchowiona, tak czysta i tak nasycona romantyzmem, że nie mogła się przydarzyć nikomu z krwi i kości. Tym bardziej taka noc na pewno nigdy nie przydarzyła się czterem pijanym, głupim studentkom, które kończyły ją kłiwymi łzami i wymiotami. Fragment dotyczący inicjacji w „Tri Omega” był równie zdumiewającą historią pierwszego transcendentnego kontaktu Fig z alkoholem. Moje słowa i czyny przedstawione w jej opisie nie mogły się nawet przytrafić średniowiecznym świętym.

— *Effie i ja leżałyśmy pod gwiazdami w towarzystwie naszych najdroższych przyjaciółek i sióstr, ślubując sobie ciche oddanie i czując w naszych żyłach muzykę sfer niebiańskich* — skończyła bardzo kwiecicie Fig.

— Kto może dorównać takiej prozie? — zapytała, gdy żadna z nas nawet się nie odezwała.

— Nikt chyba tego nie potrafi — odrzekłam. — Fig, wprost nie mogę uwierzyć, że kiedykolwiek mnie taką widziałaś. Wypowiadam

się niczym święty Jan, Mały Kapral lub Elizabeth Barret Browning, a raczej jak oni wszyscy razem wzięci. Wiesz przecież, że ja nigdy nie byłam tak dobra. Często nie byłam nawet dla ciebie uprzejma.

— Nie, nie! Zawsze byłaś miła, Effie — zaprzeczyła energicznie Fig. — Wiem, że niektóre inne dziewczyny nie były takie, ale ty byłaś. Wszystkie trzy byłyście doskonałe.

— Ależ nie, mylisz się — przerwałam jej, przypominając sobie z zażenowaniem, że tej nocy leżeliśmy z Cecie w łózkach i dusiliśmy się ze śmiechu z Fig i z tego, jaką przedrzeźniałam.

— Musiałaś przecież wiedzieć, że czasami wyśmiewałam się z ciebie i przedrzeźniałam cię — powiedziałam. — Teraz jest mi z tego powodu wstyd, ale to prawda i nie możesz mnie tak uszlachetniać na siłę. Nigdy nie byłam tak czysta i dobra, jak piszesz. Żadna z nas nie była.

— Posłuchajcie, pozwoliliście mi być jedną z was, a tego nikt wcześniej nie zrobił — odpowiedziała Fig poważnie. — Nie dbałam o to, co mówiłyście o mnie. Wiem, że dokuczaliście mi w ten sposób, ale nawet to lubiałam. Nikt przedtem nawet mi nie dokuczał; po prostu nie zwracano na mnie uwagi. Zmieniłyście więc całe moje życie i nigdy wam tego nie zapomnę.

Wstałam i niezbyt pewnym krokiem okrążyłam stół, aby wiać Fig w ramiona. Przyjaciółki poszły w me ślady. Uściskała nas tak mocno, że poczułam, jak jej paznokcie wpijają mi się w ciało.

Miałam łzy w oczach, gdy usiadłam z powrotem na swoim miejscu.

— Przepraszam za to, że byłam tak wstrętna — powiedziałam. — Jest mi bardzo przykro. Ale czułabym się jeszcze gorzej, gdyby się okazało, że ja i my wszystkie razem rzeczywiście ciebie raniłyśmy. Wystarczy jednak teraz popatrzeć na ciebie i od razu robi się człowiekowi lżej na duszy.

— Właśnie! Patrzcie na mnie! — krzyknęła Fig.

Wstałyśmy i chwiejnym krokiem poszłyśmy do domu na lunch, a potem do łóżek, by przespać całą wódkę wypitą od rana i uspokoić się trochę po dzisiejszych emocjach. Fig, Ginger i ja poszłyśmy spać od razu, a Cecie skuliła się na hamaku na werandzie.

— Nie warto tak marnować oceanu — powiedziała. — Lepiej, gdy zasnę przy jego pełnym widoku. Może zechce mi się popływać, kiedy się obudzę?

Poszłam do swojego pokoju i położyłam się na łóżku przy otwartym oknie czując, że chłodzi mnie wiatr od morza. Zapadłam w doskonały sen, słodki i głęboki. Obudziłam się, czując czystość

i wszechobecną jasność, jaką jeszcze pamiętam z czasów, gdy budziłam się jako nastolatka. Przeciągnęłam się jak kot i wtedy przyszła myśl, która usunęła na bok wszystkie inne: „Mam raka i w przeciągu tygodnia umrę”.

Szok, zaskoczenie i całkowite osamotnienie wyrwało mnie z łóżka i popędziło do przedpokoju. Czułam gdzieś w głębi trzewi, że muszę znaleźć Cecie. Siedziała na hamaku w wyblakłym kostiumie kąpielowym, pamiętającym chyba jeszcze czasy szkolne, huśtała się, pomagając sobie w tym jedną nogą, mruzczała coś pod nosem i spoglądała na kobaltowe niebo.

— A, cześć! — uśmiechnęła się. — Doktor Lhdngstone, jeśli się nie mylę?

Stałam przed nią cała spocona, z mocno bijącym sercem i usiłowałam uśmiechać się do niej w sposób naturalny mimo szoku wywołanego przez ową niesforną myśl. Czułam, że niedługo zacznie się przypływ.

— Wspominałaś o pływaniu — powiedziałam. — Może byśmy poszły razem?

Spojrzała na mnie przenikliwie.

— Jak mawia pewien zaufany mojej babki, stary emeryt o nazwisku Titterbaby, wyglądasz, jakbyś po pijanemu przeczołgała się przez piekło — powiedziała.

— Nigdy nie piję po południu — odparłam — bo wtedy jestem rozbita aż do wieczora.

Wypłynęłyśmy daleko w niebieskie morze. Rzeczywiście zaczynał się już przypływ i wiał silny i zimny wiatr, ale woda, po pierwszym szoku termicznym, była cudowna. Wydawało się, że pływamy w jasnych pęcherzykach szampana lub w winie. Byłyśmy w wodzie niemal godzinę, a gdy wyszłyśmy na brzeg, od razu padłyśmy zmęczone na ręczniki. Oddychałyśmy szybko i ciężko, poddając się działaniu słońca, które wysuszało naszą skórę i tuliło do snu. Jeszcze raz ponadczasowość morza weszła we mnie, ukojiła i wyciszyła strach przed gwałtem śmierci. Była to bardzo dobra chwila.

— Przykro mi z powodu twego małego synka — powiedziała Cecie, nie podnosząc głowy.

— To było tak dawno — odpowiedziałam automatycznie. Zawsze tak mówiłam, gdy ktoś wspominał Stephena. Nie myślałam przy tym o niczym specjalnym. — Stop. Nie mów nic więcej — dodałam.

— To nie pomniejsza bólu — odpowiedziała. — Wiem. Dziesięć lat już upłynęło, odkąd Yinnie... i ciągle czuję ból, każdego dnia.

Zwróciłam ku niej twarz. Przez wszystkie lata, gdy byłam blisko Cecie Hart, nie słyszałam jej nigdy mówiącej tak otwarcie o bólu.

Jej twarz wyrażała spokój, ale pojawiły się na niej zmarszczki, jakby rozmowa o stratach odnowiła je i wyźłobiła nowe.

— Chciałabym go znać — powiedziałam. — Ginger mówiła, że był absolutnie czarujący. Musiał być rzeczywiście nadzwyczajny, jeżeli tak się w nim zabujałaś.

Uśmiechnęła się.

— Był nadzwyczajny — powiedziała. — Był przystojny, romantyczny i okropnie nierozsądny. Nikt nie potrafił mnie tak rozśmieszyć jak on, oczywiście poza tobą. Ponadto był chyba najbardziej szowinistyczną męską świnia, jaką kiedykolwiek spotkałam. Jakby doskonały stereotyp włoskiego mężczyzny. Nie wiem, dlaczego tak się w nim zakochałam. Był wszystkim, co, jak myślę, nienawidziłam. Jednak na dłuższą metę nie miało to znaczenia.

— Raczej nie — przyznałam jej rację. — Znacznie lepiej jest, jeśli miłość jest taka stała i niezmienna... możesz wtedy pokonywać wszelkie przeszkody. — Pomyślałam jednak, iż nie zawsze tak jest. Ale dlaczego?

Cecie potrząsnęła niecierpliwie głową.

— Nie powiedziałabym, że lepiej — zaprzeczyła. — Nie jest to takie proste. Miłość może być stała, lecz w najcięższych czasach nawet to nie wystarcza. Koniec końców, zawsze trzeba wszystko robić samemu. Zanim Vinnie zmarł, niemal go już znenawidziłam. Była to nienawiść zależności, manipulowania, wykorzystywania... Nie można nie doceniać słabości, Kate. Tkwi w niej straszna siła. Vinnie był bardzo prostym i dzielnym człowiekiem i nie mógł przebaczyć życiu, że tak go okaleczyło. Ani mnie, że mu pomagałam i utrzymywałam dzieci. Gdy się zorientował, że wkrótce umrze, poprosił matkę, aby porzuciła jego siostrę, u której mieszkała, i przeniósł się do nas. Mówił, że będzie mi towarzyszyć, kiedy on odejdzie. A tak naprawdę myślał o dodatkowym łańcuchu, który zwiąże mnie z nim nawet po śmierci. Właśnie teściowa miała być tym łańcuchem. Wiem o tym. Teraz nadal go kocham jak wtedy, gdy go spotkałam, i zawsze będę go kochać. Brak mi go każdego dnia i za to go nienawidzę. Za parę innych rzeczy również. Czasem wydaje mi się, że w zamian za tamte lata kazano mi z czegoś zrezygnować, odrzucić przyszłość. Jest to rodzaj śmierci za życia. Mam już tego dość.

Nie odzywałam się. Spod dawnej Cecie wyjrzała teraz nowa. Nie znałam tej kobiety i dziwiłam się, że jeszcze potrafię się z nią zaprzyjaźnić. Kobieta leżąca obok mnie była bardzo silna. Natomiast

Cecie, którą opuściłam w Randolph w dniu swojej promoq'i, nie była taka.

— Nie podoba mi się, co zrobili z twoim domem — powiedziałam, zmieniając nagle temat. — Wiem, ile to dla ciebie znaczyło. Cecie... czy ty masz w ogóle pieniądze?

Roześmiała się. Był to swobodny śmiech, dziewczęcy, jak za dawnych lat.

— Jezu miłosierny! Wcale! Jestem potwornie biedna. Jak mysz kościelna albo i jeszcze gorzej. Jego polisa ubezpieczeniowa wygasła tuż przed śmiercią, zabezpieczenia socjalnego prawie nie miał, bo nie pracował długo, a jego matka jest w stanie pokryć zaledwie wydatki leczenia i lekarstw. Sama nie mam żadnego zabezpieczenia — nigdzie odpowiednio długo nie pracowałam. Poza tym nie była to stała praca: przez jakiś czas prowadziłam w okolicy objazdową księgarnię, udzielałam trochę korepetycji, trochę szyłam. W każdym razie nic takiego, co zapewnia emeryturę. Głównie opiekowałam się nim i wychowywałam dzieci, a później doszła jeszcze jego matka. Jego brat, Gino, przysyła mi czasami niewielkie sumy, abym opłaciła wieczorowe kursy zawodowe. Oczywiście zwrócę mu to kiedyś, jak tylko uzyskam dyplom prawnika. Dzieci także będą mogły już wkrótce pomagać mi finansowo.

Jej głos był jak zawsze zimny i prosty. Twarz miała pogodną, powieki opuszczone dla ochrony przed ukośnymi promieniami zachodzącego słońca. Przyglądałam jej się uważnie.

— To nie masz jeszcze dyplomu? — zapytałam ze zdumieniem.

Otworzyła oczy i patrzyła na mnie przez chwilę.

— Nie — odrzekła. — Myślałam, że wiesz.

— Nie — powiedziałam. — Nic nie wiedziałam.

— Tak... — wzięła głęboki oddech. — Wróciłam do domu w dniu, w którym otrzymałaś dyplom, i przeszłam załamanie nerwowe. Chyba nazwali to „depresją kliniczną”. Musiałam to mieć już od dłuższego czasu, a przynajmniej od roku — stąd ta skłonność do sennaści. Nie zdawałam sobie wtedy z tego sprawy. Myślałam, że to nic groźnego. Gdy wróciłam do domu, ciotka Claire, ta, która jest zawsze mądrzejsza od reszty świata, zorientowała się, że dzieje się coś naprawdę niedobrego. Wysłała mnie do wujka Williama do Bostonu, a ciotka Susan, jego żona, jeszcze tego samego dnia zamknęła mnie w dyskretnym i okropnie drogim szpitalu. Zawsze byłam jej za to wdzięczna, chociaż wiem, że nie mogła znieść, gdy wpatrywałam się tępo w podłogę. Była to straszna rzecz, Kate, taka absolutna, wysysająca ciemność. Jesteś po prostu pewna, że to się

nigdy nie skończy. Śmierć nie tylko nie wygląda strasznie, lecz wydaje się absolutnie jedynym wyjściem. Zaczęli mi podawać lekarstwa psychotropowe i stosować terapię, zalecaną przez lekarzkę, która wydawała mi się najbardziej rozsądna. Po ośmiu czy dziewięciu miesiącach doszłam do stanu umożliwiającego wyjście ze szpitala i właśnie po powrocie do domu spotkałam Vinniego. Mieszkał z matką i młodszą siostrą w sąsiednim domu. Patrzyłam na niego, jak buńczucznie zmierzał rano do pracy podśpiewując i zerkając na mnie spod bardzo długich rzęs. Wczesne ranki spędzałam zwykle na zewnątrz, uprawiając ogródek. Byłam wtedy ogromnie słaba. Myślę, że to właśnie dzięki flirtowi doszłam do normalnego stanu. Niemal wszystkie rozmowy prowadziliśmy przez płot ogródka, pod czujnym okiem mamy, która nie była zadowolona, że jej jedyny synek zadaje się z jakąś rudą. Chyba właśnie dlatego zdecydowałam się za niego wyjść — aby zrobić tej starej na złość. Uciekliśmy potem do Elkton w Maryland, a dziewięć miesięcy później urodził się Leo. Nigdy już nie powróciłam do domu. Czekałam, aż dzieci skończą szkołę podstawową, ale Vinnie został w tym czasie postrzelony.

— I nigdy nie wróciłaś do Tidewater?

— Utrata domu w Tidewater była jedyną rzeczą, której w życiu żałowałam. Tak jak teraz żałuję, że nie mogę zobaczyć Cloisters w Nowym Jorku. Oddałabym życie, aby zobaczyć jakiś profesjonalny ogród zielarski i porozmawiać ze średniowiecznymi zielarzami.

— Nic nie mogę już zrobić w sprawie twojego domu, ale na pewno zdołam kiedyś zabrać cię do Cloisters — zapewniłam ją. — Przyjedź do mnie tej zimy, a spędzimy tam cały tydzień... — zamilkłam nagle.

— Byłoby wspaniale zobaczyć twój dom — powiedziała. — Na zdjęciach wygląda przepięknie. Lecz cały wolny czas muszę poświęcać мамie Fiori. Może na wiosnę.

— Chciałabym powiedzieć ci głośno, tu i teraz, że uważam cię za Kogoś, Cecie Hart Fiori — powiedziałam. — Każdy na twoim miejscu skomlałby o jakąś pomoc lub odgrywał świętą męczennicę. Nawet nie możemy się z tobą równać.

— Och, Boże! Kate! Nie rób mi tego! — powiedziała niecierpliwie. — Jedyną przyczyną, dla której nie daję się losowi, jest w tej chwili mój charakter. Słuchaj, bardzo kocham życie, ale nie jestem szlachetna. Nie ma absolutnie niczego, co bym chciała mieć. Może z wyjątkiem pieniędzy, ale da się to jakoś rozwiązać. Mam też oczywiście kilka rzeczy, których bym nie chciała, jak na przykład mama Fiori...

— Powiedz tylko słowo, a wynajmę kogoś, kto by się nią zajął — powiedziałam. — Ale powiedz, Cecie, co najbardziej lubisz robić?

— Och, Kate. Wspaniale jest uprawiać ogród. Sprawia mi to ogromną radość. Całe podwórko zamieniłam na ogród. Kwiaty przed domem, zioła i warzywa z tyłu. Kilka lat temu przyjechali z magazynu „Boston” i zrobili kilka zdjęć. Wyślę ci artykuł, gdy tylko wrócimy do domu. Ciekawe są też książki zielarskie. To jest rzeczywiście warte uwagi, Kate. Niczego równie pięknego i interesującego nie widziałam do tej pory w księgarniach. Mam nadzieję, że kiedyś będę mogła wykupić je wszystkie. Są też i moi chłopcy. Nie są niezwykli, każdy to zauważy, lecz są zabawni i mili. Niestety, nie mogę się nimi dość nacieszyć. Chciałabym częściej ich widywać. Uczę się też wielu rzeczy, na przykład astronomii i ornitologii. Pomagam w rejestracji ptaków w Audubon i jestem ochotniczką w Massachusetts. Należę do trzech różnych klubów czytelniczych. Ciągłe czytanie. Nawet, Panie Boże, wybacz! czytam wszystkie zadziwiające i przerażająco głupie wycieczki Fig. Wypożyczam tysiące kaset oraz katorzniczo oglądam programy o sztuce i rozrywkę. Jestem chyba światowym autorytetem, gdy idzie o książkę *Klejnot w koronie*. Mam przyjaciół, trochę szyję i mam trzy absolutnie beznadziejne i ekscentryczne koty. Oraz inne rzeczy. Chce mi się wymiotować na ludzi, którzy uważają, że mój umysł i dusza są upośledzone z powodu portfela.

— Ja tak nie myślę. Chciałabym jedynie... aby wszystko układało ci się jak najlepiej — powiedziałam.

— Dobrze, wszystko dobrze — odparła z uśmiechem. — A co z tobą, Kate? Wiem o twym pięknym Alanie... to zabawne: my obie, rasowe białe kobiety jedynego słusznego wyznania protestanckiego, wychodzimy za mąż za Żyda i Włocha! To tak jak w podłym filmie z okresu drugiej wojny światowej... Ale co z resztą? Jak ci się żyje, Kate?

— Prowadzę czarujące życie — odpowiedziałam lekko. Zawsze odczuwam pewne zażenowanie, gdy o tym mówię, ale jest to szczerą prawdą.

— Och, Kate, pomówmy teraz serio — odrzekła z uśmiechem. — Czy niczego nie żałujesz? Nie wydaje mi się, żebyś żałowała cokolwiek związanego z pięknym i utalentowanym Paulem, lecz cokolwiek...

— Jedyną rzeczą, której żałuję w moim życiu, oprócz Stephena, jest to, że nie pożegnałam się wtedy z tobą. Mogłam też zadzwonić lub napisać do ciebie. Chciałam usprawiedliwić się jakoś przed tobą, ale nie wiedziałam jak.

— Nie żałuję tego — uśmiechnęła się Cecie. — Nie wytrzymałamby, gdybyś powiedziała mi „do widzenia”. Dlatego wyniosłam twoje bagaże do holu. Taka byłam odważna! Przecież ja też mogłam do ciebie napisać lub zadzwonić. Ale nie zrobiłam tego. Chyba obie chciałyśmy zapamiętać siebie takimi, jak niegdyś.

— Jestem taka jak dawniej? — spytałam.

— Jak najbardziej — odpowiedziała.

Miała oczywiście rację, gdyż pozostałyśmy takimi jak niegdyś. Przede wszystkim Ginger i ja, ponieważ najbardziej nad tym pracowałyśmy. Fig już sobą nie była, chociaż zachowała odrobinę dawnej figowatości. Cecie też stała się inną osobą. Śmiała się razem z nami, śpiewała, tańczyła, piła drinki i wywoływała wspólne wspomnienia, lecz wyglądało na to, że siedzi jakby w oddaleniu i przygląda się nam z dziwną mieszaniną czułości i niepewności. Wywoływało to we mnie niewielkie napięcie, niczym jakiś przedziwny cień niezrównoważenia. Nie wiedziałam, dlaczego tak mi się przygląda.

Fig również nas obserwowała. Przynajmniej to się w niej nie zmieniło. Kiedy chichotałyśmy, śpiewałyśmy, baraszkowałyśmy i brykałyśmy po plaży, a potem wieczorami pozwalałyśmy sobie na niewinne głupstwa, Fig nie przestawała nas obserwować. Uśmiechała się, zachęcała do wspomnień i podpuszczała wszystkie do opowiadań o sobie oraz oczywiście odczytywała dziwaczne i podniosłe fragmenty wszechobecnego pamiętnika. Nie przestawała przy tym bacznie się nam przyglądać.

— Wyglądasz jak mała sowa obserwująca wszystko znad stołu — powiedziała raz Ginger, gdy Fig odczytywała fragment o tym, jak recytowałam poezję, zmieniając tym samym jej życie. Jęknęłyśmy wszystkie protestując i chichocząc.

— Mam nadzieję, że nie wpadłaś na pomysł pisania o nas w książkach.

— O czym tu pisać? — uśmiechnęła się Fig. — Cały czas postępujecie tak, jak kiedyś w szkole, a to już dawno temu opisałam.

— Gdybym przywiozła kamerę, mogłabym was potem szantazować w Legii Młodzieżowej, towarzystwach krajoznawczych, radach projektantów czy gdziekolwiek, gdzie się kręcicie — powiedziała Cecie któregoś popołudnia, gdy ja i Ginger opowiadałyśmy dowcipy i śpiewałyśmy piosenki z czasów „Tri Omega”, występując w kostiumach kąpielowych z tylną częścią ciała oblepioną mokrym piaskiem.

— Mam świetny pomysł — powiedziała ironicznie Cecie. — Ubierzmy się w nasze dorosłe ubrania i wybierzmy się gdzieś na

obiad. Chciałabym zobaczyć was, jak będziecie wyglądać, gdy do-
rośnięcie.

— *Ringading-ding-ding-ding-ding, poderwijmy tyłki-ki* — zaśpie-
wałyśmy bardzo głośno z Ginger. — *Dobre czasy są tuż tuż!*

Wtedy Cecie wstała, poszła do domu i nie wróciła już do nas. Znalazłam ją potem śpiącą w łóżku. Nic nie wspomniałam o tej sce-
nie. Lekko mnie to podenerwowało i, co gorsza, z jakichś powodów
trochę przestraszyło. Co w tym złego, że przez chwilę pocujemy się
jak dziewiętnastolatki? Sama chciała z nami tańczyć i tańczyła, choć
nikt jej nie zmuszał. Przecież przyjechałyśmy do Outer Banks
odnaleźć swoją młodość.

Pogoda była tak doskonała, że aż niewiarygodna. Nigdy nie
widziałam takiej świetlistości, nigdy nie czułam takiej miękkiej,
czystej i oszałamiającej woni powietrza, nigdy nie smakowałam sło-
nej świeżości dymu z porannych ognisk. Jedzenie było fantasty-
czne, więc jadłyśmy jak wilczyce; alkohole smakowały jak nigdy
dotąd, więc piłyśmy więcej, niż mogłam przypuszczać. Mam nadzie-
ję, że Ginger już nigdy więcej nie zajrzy do kieliszka. Przywio-
złam z Fig kilka skrzynek różnych wysokowych specyfików i dla-
tego codziennie wieczorem musiałam razem z Cecie odprowadzać
ją do łóżka. Miałabym wyrzuty sumienia, gdyby nie to, że zala-
na Ginger stawała się zupełnie taką samą jak kiedyś: słodką,
zabawną, przymilną i niezręczną jak przerośnięta dziewiętnasto-
latka, która przyszła do, nas trzydzieści lat temu. Pijana Ginger
cały czas była pijaną Ginger sprzed lat. Taką ją przynajmniej wi-
działam.

Jeden dzień zaczął się stapać z drugim. Jeśli nie liczyć wypraw
do sklepu spożywczego, nie opuszczałyśmy plaży. Początkowo pla-
nowałyśmy fantastyczne wycieczki do Manteo, do Ogrodu Botanicz-
nego, na spektakl „*Elżbieta II*”, przejażdżki traktorem plażowym,
wyprawy na połów ryb i krabów, rejs łódką Paula po cieśninie o za-
chodzie słońca. Niestety, większości tych planów nie udało nam się
zrealizować. Zawsze mówiliśmy, że zrobimy to później, że mamy na
to jeszcze mnóstwo czasu. Pamiętam, że tak samo było, kiedy przyje-
chałyśmy tutaj z Randolph na ferie jesienne. Planowałyśmy, plano-
wałyśmy, ale koniec końców nie opuściłyśmy złotej wrześnieowej
plaży aż do ostatniego dnia, kiedy to udałyśmy się daleko w dół
wybrzeża do Ocracoke i obejrzałyśmy wielkie słynne wydmy, pier-
wotną roślinność nadmorską i dzikie morze oraz okropny i jedno-
cześnie cudowny motel „Carolina Moon”. Uśmiechnęłam się wspo-
minając go.

— Ginger, czy „Carolina Moon” jeszcze stoi? — spytałam. — Czy pamiętasz, jak pojechaliśmy tam samochodem twojego ojca?

— Ciągle tam stoi i rozwija działalność, włącznie z Magicznymi Palcami i podobnymi akcesoriami. Czy wiecie, że Paul Sibley zabrał mnie tam w noc poślubną? Czy można wyobrazić sobie większą ekstrawagancję?

Nie odpowiedziałam jej. Cecie też milczała.

— Boże, pamiętam, że zamierzał zabrać tam Effie Lee — wesoło krzyknęła Fig. — Widzisz, Effie, od czego uciekałeś?

— Całkiem o tym zapomniałam — odpowiedziała Ginger przeprasząco. — Naprawdę zapomniałam, Kate.

— Och, Gingerooney, ja również — odrzekłam. — Nawet o tym nie myślałam.

— Przepraszam, moje drogie — powiedziała ze skruchą w głosie Fig. — Mam po prostu niewyparzony język.

— To prawda — stwierdziła beznamiętnie Cecie. Spojrzałam na nią.

— Nie masz zamiaru nic jej wybaczyć? — zapytałam później, gdy zostałyśmy same w pokoju. — Chciałabym, abyś jej tak nie docięła na każdym kroku. Tak dobrze zorganizowała nam pobyt tutaj i na pewno zrezygnowała z wielu zajęć. Jeden Bóg wie, ile wydała na te wszystkie alkohole i paliwo do tego ogromnego samochodu, a także do samolotu, który przywiózł cię tutaj i zabierze z powrotem do domu. Gdzie się podziała twoja wdzięczność?

— A jak myślisz, gdzie powinna być? — zapytała Cecie bez żadnej skruchy. — Nie potrafię jej przywołać. Przynajmniej, gdy chodzi o Fig. Ona jest straszna. Jest teraz... sama nie wiem kim... lub może czym. Denerwuje mnie.

— Możliwe, że jest taka, na jaką wygląda — odpowiedziałam. — Kobieta sukcesu, która wypruwa z siebie flaki, aby całkowicie nad wszystkim dominować, pracuje jak wół i gromadzi majątek. A przy tym spędza cudowne chwile.

— Kate — przerwała mi poważnie Cecie — Fig nie jest taka, na jaką wygląda, ani też nie jest taka jak kiedyś. Wszystkie powinnyście to widzieć.

Pomimo to nie byłam skłonna widzieć czegokolwiek, co nie leżało przede mną jak na dłoni. Słońce, gwiazdy, woda, horyzont, złociste światło, lawendowy zmierzch i dziewczęta, które kochałam wiele lat temu — tylko to się liczyło. Nie chciałam też być kimkolwiek innym niż jedną z nich. Później jednak, później...

Później nie zostało mi z tego zbyt wiele.

W końcu tygodnia nadeszła noc, która wszystko zniszczyła. Myślę, że wszystkie się jej spodziewaliśmy. Dni mijały szybko w swej doskonałości, a śmiechy ciągnęły się zbyt długo. Dziewczeta tamtej odległej jesieni znowu musiały zejść z obłoków. Żadna nadprzyrodzoność nie trwa długo, chociaż próbowałyśmy wszystkich sił, aby cofnąć się do tamtych lat.

Po kolejnym codziennym rytuale opalania się i drinków, zebrałyśmy się nocą, aby posłuchać urywków dziennika Fig jak opowieści Szeherezady. Byłyśmy, a przynajmniej ja i Ginger, mocno przywiązane do przepełnionych emocjami słów Fig. Czułam, że każdego dnia, w miarę odczytywania kolejnych fragmentów pamiętnika, Cecie zanurza się coraz głębiej wewnątrz siebie samej. Chyba Ginger i Fig nawet tego nie zauważyły. Ja natomiast często widziałam ją w takim stanie, więc od razu zorientowałam się w czym rzecz.

Siedziałyśmy o zachodzie słońca w wielkim studio przyglądając się, jak morze powoli różowieje, a potem staje się srebrzyste niby zmięta folia, później zaś fioletowe, a w końcu szare i czarne. Ginger zapaliła bierwiona pięknego, szarego drewna wyrzucanego na brzeg przez fale. Ożyły nagle w ogniu, a ich syczenie i trzask stały się jakby ukrytym tętnem pokoju. Noc była bardzo ciemna, pełna głębokiej ciszy. Zadrżałam. Niewidzialny, nieuchronny kres zbliżał się niczym wielki drapieżny ptak.

Nie mało wypiłyśmy tej nocy. Wydawało się, że jakiś niepokój wdarł się do domu i do nas. Nie wiedziałyśmy, co z tym począć i jak się zachować. Ciągłe zmieniałyśmy pozycje przed kominkiem, szybciej piłyśmy drinki i częściej sobie dolewałyśmy. Wydawało mi się, że trzeba coraz usilniej się starać, aby nadal podtrzymać młodzieńcze wygłupy. Potrafiłyśmy wleźć w skórę tych młodych dziewcząt sprzed trzydziestu lat, lecz nie na długo. W końcu każdy ogień szybko się wypala — nawet taki, któremu towarzyszy wielki żar.

Popatrzyłam na nie wszystkie w migocącym blasku kominka. Płomień zrodził dziwny rodzaj półmroku: poprzez ciała podstarzałych kobiet jasno prześwitywały prężne, mocne mięśnie młodych dziewcząt, a pod nimi — mocne, młode kości. Głębiej biły równie młode serca. W tym momencie byłyśmy Kate, Cecie, Fig i Ginger z „Tri Omega” w Randolph. Nawet Fig przypominała dawną Fig. Wyglądało to tak, jakbyśmy przez cały ten tydzień odprawiały jakiś tajemniczy rytuał cofania się w czasie i nagle, ku naszemu wielkiemu zaskoczeniu, skończyło się to sukcesem.

Weźmy dla przykładu Ginger: w postrzępionych dżinsach z dziurą na tyłku, w wyblakłej koszulce, kapciach z dziurą na

palcach, w słomkowym kapeluszu nałożonym na mysie ogonki, do tego z tą piegowatą opaloną twarzą — jakże inna od owej wymalowanej i wypachnionej otyłej kobiety, którą spotkałam na schodach pierwszego wieczoru po przyjeździe. Albo Cecie: chciała tego czy nie, ale ukryła mijające lata pod starym nylonowym kapeluszem rybackim na siwiejących lokach oraz pod parą starych, wypchanych z tyłu czerwonych szortów, które pamiętały chyba jeszcze czasy szkolne. Była to znowu Cecie, moja kochana Cecie. Fig, siedząca w poprzek sofy, nie była dawną Fig, lecz nie wyglądała również na jakąś skandalicznie wymalowaną chimere, która przybyła na wakacje do Nag's Head. Śpiewała i śmiała się razem z nami, i wtórowała nam akompaniując na drżących strunach ukulele, lecz przede wszystkim nas obserwowała. Czyniąc swoje obserwacje, ciągle się uśmiechała. Był to według mnie uśmiech słodki i otwarty. Tak jakby wszystko, co widziała w nas, zadowalało ją i radowało. Poczułam w stosunku do niej nagłą falę sympatii.

Podnosząc się, aby wziąć sobie kolejnego drinka, zobaczyłam swoje odbicie w szybie okiennej. Stałam jak wryta. Od bardzo długiego czasu nie widziałam twarzy tej dziewczyny, która oto patrzyła na mnie z okna. Dobrze ją znałam. Pierwszy raz zobaczyłam ją w starym lustrze w Kenmore, stojącą obok wysokiego, przystojnego mężczyzny, który był jej ojcem. Pomimo tylu lat nadal słyszę jego głos: „Ta dziewczyna nie należy do tego miasta”. „Masz rację, tato”, pomyślałam, odczuwając nagły przypływ smutku. „Zapomniałeś jednak powiedzieć, czy w ogóle do czegoś należę”.

Nie chciałam się smucić, więc szybko zrobiłam sobie drinka i jeszcze szybciej wypiałam go do dna. Smutek ustąpił, a jego miejsce zajęło rozbawienie.

— Ginger, jaką znasz najbardziej sprośną piosenkę? — krzyknęłam głośno, aby przekrzyczeć dźwięk ukulele.

— Czy słowa na *p* są dozwolone? — odkrzyknęła Ginger. Oczy jej błyszczały, a na policzki wystąpiła czerwień żaru. Wyglądała, jakby miała wysoką temperaturę. Dobrze wiedziałam, że wypiała już cztery drinki.

— Pewnie! — odpowiedziałam.

— NIE! — krzyknęła Cecie.

— Och, bierz to na sportowo, Cecie! — uśmiechnęła się Fig. — Używam tych słów na co dzień i jeszcze płacą mi za to nieźle sumki.

— Tak, ale mogę to czytać lub nie! — stwierdziła Cecie. — A gdy Kate i Ginger zaczynają śpiewać, nikt nie ma wyboru!

— No, dobrze, więc bez tego *p...* Może to — zaproponowała Ginger, uderzyła w struny instrumentu i zaśpiewała:

*Piękna plaża, wielkie morze,
Chwyć tę babę, jeśli możesz,
Ale gdyby cię nie chciała,
Możesz robić za pedała.*

*Ajak nie jest zbyt ponętna
I buntuje się czasami,
Kropnij prosto ją w piersięta
Ugotowanymi jajami.*

Ginger i ja zanosiliśmy się od śmiechu. Fig też się nieźle uśmieła i ciągle krzyczała głośno: „Jeszcze! Jeszcze!” Ginger przystała na to ochoczo i ponownie zawyła:

*Kiedyś nad brzegiem Michigan,
Gdy księżyc zaświecił blady,
Spotkałem mą piękną Flangan,
Zwaną kurwiszczem z Kanady.*

*Jedni golili gorzałę,
Inni już legli pokotem,
Ajam dołapał tę Flangan,
By mym uraczyć ją knotem...*

— To jest okropne! — zaprotestowała Cecie, zatykając uszy. — Wystarczy już! Stop! Dajcie następnego drinka.
Ginger jednak zanuciła kolejną piosenkę:

*Mały skurwiel, brudny,
Kumpel tego gnoja,
Rozbił kielich cudny
I obrzezał goja.*

Cecie postawiła z trzaskiem kieliszek i wstała.

— Wystarczy! — krzyknęła. — Będziecie pokutować po pięć lat za każde takie słowo. Jeżeli dalej będziecie wyrzaskiwać te bezeceństwa, pójdę robić kanapki.

Nie wiem, dlaczego wydało mi się to takie zabawne. Być może

— Racja! — wrzasnęła Fig. — Odejdź ze swym przeklętym jutrem!

— Dobrze — odpowiedziała Cecie wstając. — Zabiorę to swoje jutro.

— Cecie, poczekaj — powiedziałam, nieco już trzeźwiejąc. — Będziemy grzeczne. Chodź. Zostań z nami. Posłuchamy spokojnie pamiętnika. Proszę cię, bardzo proszę.

Popatrzyła na mnie uważnie.

— No dobrze — odparła uśmiechając się . — Traktuję was jak Matka Przełożona i nawet sama się sobie dziwię. No to już, Fig.

Tak więc Fig niezwłocznie przystąpiła do czytania i rozsiadła się wygodnie na dywanie przed kominkiem. Płomienie oświetlały jej lwią grzywę, egzotyczna twarz chimery pochyliła się nad zeszytem, gorzki perski zapach „Detchemy” uniósł się w powietrzu nad wycięciem w kształcie litery „V” w jej jedwabnej bluzce. Zaczęła nam czytać fragment z czasów, gdy pierwszy raz spotkałam Paula Sibleya. Przypomniała przyjęcie w jego apartamencie, gdy ona pierwsza znalazła się pod jego urokiem. Z początku śmiałyśmy się z tego. Sowa, wypowiedane z lekka zdyszany głębokim głosem, były po prostu tak absurdalne i nieprawdopodobne, że wydawało nam się, iż z tamtych

z powodu alkoholu. Ryczałyśmy z Ginger ze śmiechu aż do upojenia, klepałyśmy się po plecach i tarzałyśmy po dywanie przed kominkiem.

— Nie odchodź, Cecie — powiedziała Fig, śmiejąc się głośno. — Teraz pora na pamiętnik, a potem coś zjemy i wytrzeźwiejemy.

— Dlaczego nie możemy odpuścić sobie dzisiaj lektury twojego dziennika? — zapytała dobrodusznie Cecie. — Wydaje mi się, że Kate i Ginger potrzebują raczej jedzenia niż czytania. Ja też.

— Ale ten fragment jest najlepszy — odparła Fig. — Zachowałam go specjalnie na dzisiejszy wieczór i gwarantuję, że przeniesie nas on z powrotem do naszego ukochanego wczoraj.

— Czy tylko ja jedna myślę tu o jutrze? — odpowiedziała Cecie ze złością. — Rano po waszym dobrym humorku nie będzie ani śladu.

— Hej, Cecie, a to pamiętasz? — przekrzyczałam hałas. — Pamiętasz Dorothy Parker?

*Szukaj, kochanie, szukaj nowej drogi;
Nie zaznam smutku, nie doświadczę trwogi.
Dopóki jeszcze wczoraj jest za nami,
Swoim przeklętym jutrem mnie nie zmamisz.*

czasów nic nie pamiętamy. Stopniowo jednak przestawałyśmy się śmiać. Pomimo naiwnych hiperboli i pełnych czci wzmianek o Paulu, jak o jakimś księciu czy bóstwie, a o mnie jak o księżniczce i małżonce, jawiły się nam wyraźnie dwie rzeczy: otchłanna głębia mojej bezradnej miłości, moje nieśmiałe szczęście owych dni oraz dzikie, bolesne i beznadziejne uczucie Fig do Paula. Skończyła czytać po fragmencie o naszym pobycie w Quter Banks we wrześniu, tuż przed moją obroną. Siedziałyśmy dalej nieruchomo i cicho, z pochylonymi głowami. A z nami siedział tu także Paul Sibley, autentyczny i żywy. Siedział obok mnie, przywołany naszymi wspomnieniami i myślami, niczym rzeczywista istota z krwi i kości. Nie czułam żadnego podniecenia, lecz dotyk i ciepło jego ręki na moim ramieniu. Wyczuwałam jego woń, coś w rodzaju mocnego piżma. Zamknęłam oczy, gdyż przestraszyłam się, że rzeczywiście go zobaczę.

Nagle zabrzmiał w ciszy srebrzysty głos Fig:

— Boże! Czegóż ja wtedy nie robiłam! Byłam niczym bezwolna kukła. Ty też, Effie. Chodziłam wtedy za wami całe lato i jesień, ale byliście zbyt zajęci sobą, aby mnie zauważyć. A kiedy otrzymałaś już dyplom, przez cały następny rok snułam się za nim jak wierny pies. Wiedziałaś o tym? Założę się, że nigdy ci tego nie wyjawiał, ale naprawdę tak było. Gdyby nie pojawiła się Ginger, myślę, że chyba bym mu się oświadczyła. Zaoszczędziłaś nam wielu kłopotów, Ginger.

Milczałyśmy. W całkowitej ciszy usłyszałam czyjś szloch. Był to cichutki płacz, jakieś miękkie chlupanie. Zda się dziecka, które za chwilę wybuchnie strumieniami łez. Stephen tak robił. Otworzyłam oczy. To płakała Ginger. Wiedziałam, że to musiało się stać.

— Och, Ginger! Najśłodsza! Nie... — zaczęłam.

Podniosła głowę i spojrzała na mnie. Jej usta wykrzywił grymas bólu. Wykonała głęboki, drżący oddech.

— On mnie nigdy nie kochał — zaszlochała. — Zawsze kochał ciebie, Kate. Wiem o tym teraz i zawsze wiedziałam. On też wiedział. Mówił, że mnie kocha, ale kochał tylko moje pieniądze i... Czasami mówił o tobie, gdy robiłam coś, co go zdenerwowało lub zażenowało. Wiem też, że myślał o tobie przez większość czasu, gdy milczał...

— Nie, nie! Nie mów tak! On nie mógł...! — wyszeptałam słabym głosem maleńkiej dziewczynki. Nawet w moich uszach zabrzmiało to głupio. — Byłaś dziesięciokrotnie bardziej sprytna niż ja. Paul też tak myślał i to mu się w tobie podobało. Mówił mi o tym...

— Nieceeee! — zawyła Ginger. — Nie, nie mówił. To nie on... To ty... Wiesz przecież, **jak** bardzo starałam się być taka **jak** ty...

Być dobra... być taka, jak on chciał: cicha, zabawna, inteligentna i z taką klasą jak ty... Chciałam być dla niego tak dobra...

Dotarło wreszcie do mnie, że Ginger była po prostu pijana. Ja również byłam w takim samym stanie. Chciałam już zakończyć te infantylne idiotyzmy, lecz nie wiedziałam jak.

— Nie mówmy o tym więcej. Pośpiewajmy trochę — zaproponowałam uśmiechając się pocieszająco.

— Nie, nie! Wyrzućcie to z siebie — powiedziała Fig, sadowiąc się przed kominkiem. Nachyliła się lekko do przodu, rozwierając wargi. — Zamiast bez przerwy jątrzyć, lepiej wyrzućcie to z siebie, a wtedy wszystko się szybciej zagoi. Chodź, Ginger, moja najsłodsza! My obie...

Cecie skrzywiła się z niesmakiem. Natomiast Ginger głęboko zaczerpnęła powietrza i wybuchnęła jeszcze większym płaczem:

— Zawsze myślałam, że jeśli będę dobrą dziewczyną, wszystko ułoży się dobrze. Myślałam, że jeżeli będę słodka i wystarczająco sprytna, jak wy to nazywacie, będę miała godziwe życie, będę dobrą matką i utrzymam Paula przy sobie. Nawet sądziłam... że jeżeli będę wesoła, czarująca, kochana i cudowna... nie będę musiała wiedzieć, że umieram. Może nawet nie umrę. Zbyt się tego boję. Zawsze się bałam...

Coś zimnego i jadowitego wiło się w moim brzuchu jak wąż. Czułam, że to coś wydobywa się na zewnątrz i nawet nie próbowałam tego zatrzymać.

— Dobrze, Gingerooney — powiedziałam chłodno. — Przegrywasz tę rundę. Umierasz. Nawet ty nie potrafisz ocalić dziecka i ono też kiedyś umrze. Umierają nawet najlepsi i najbardziej cwani...

Patrzyłam na nią niewiele mogąc ujrzeć, dygocąc z trwogi przed samą sobą. Ginger schowała twarz w dłoniach i głośno płakała. Pobladła Cecie wpatrywała się we mnie. W świetle kominka Fig sprawiała wrażenie osoby sympatycznej i zachwyconej sytuacją. W kącikach jej ust zagościł jakiś krzywy uśmiezek.

— No cóż, przepraszam, ale to głupio mówić takie rzeczy — podjęłam nerwowo. Cecie skoczyła na równe nogi, jej twarz zbladła jak papier, a niebieskie oczy ciskały błyskawice.

— Pomyślcie trochę! — krzyknęła. Stała z zaciśniętymi pięściami i ze łzami w oczach. Wszystkie patrzyliśmy na nią w milczeniu. — Niedobrze mi się robi, kiedy was słucham — ciągnęła. — Ty, Kate, i ty, Ginger... postępujecie przez cały tydzień jak nieposłuszne dzieci. Mój Boże! Jakieście wy cwane i zabawne... Nie ma w was nic rzeczywistego, normalnego...

— Przypuszczam, że mówisz to również o sobie — stwierdziłam gniewnie. Ale pod gniewem tym gromadził się szybko żal.

— Co wy robicie? — odpowiedziała pytaniem. — Przeszłyście już same siebie i wszelkie idee „Tri Omega”. Panie Boże, co za ciężar każesz dźwigać ludziom, którzy męczą się z wariatami bujającymi w obłokach! Praca, smutek i ból spadający na nich jest... niezmierny. Cały wysiłek, cała praca... a tu dwie kobiety w średnim wieku odgrywają sztubackie numery i świetnie się bawią. Gówno prawda! Wyzwalacie we mnie wściekłość! Wiedźcie, że dziwię się waszemu zachowaniu. Myślałam o tym całymi godzinami i fantazjowałam, jak to będzie wspaniale, gdy wszystkie spotkamy się po tylu latach i wtedy dowiem się o was wszystkiego. I wreszcie jesteśmy, a ja ciągle nic nie wiem. Pomyślcie o tym. Przecież to straszne. Tyle lat życia, a ja nadal nie mam pojęcia, jakie jesteście naprawdę. Nie wiem, co robiłyście w życiu... Nie wiem, jak się czujecie, będąc tutaj wszystkie razem. Nie wiem, w co wierzycie...

Poczułam, że chce mi się płakać. Oczy napełniły mi się łzami. Ale przecież nie miałam powodu do płaczu. Narastał tylko we mnie głęboki rozdzierający smutek i świadomość końca czegoś bliżej nieokreślonego.

— Chyba trawi nas rzeczywistość — stwierdziłam. — Do diabła z nią! Życie jest zbyt straszne... — nie mogłam już dalej mówić.

— Chryste! Kate! A co ty o tym wiesz!? — niespokojnie spytała Cecie. — Jeżeli ten tydzień wziąć jako przykład, zamierzasz umrzeć, nie zaczynając nawet życia. Nienawidzę śmierci, podobnie jak każda z was, i chociaż mam powody nie gorsze od waszych, aby pograżyć się w nieszczęściu, jednak nienawidzę takiego życia bez życia. To jest po prostu śmierć. Zakamuflowana śmierć. A więc również jest grzechem. Jest to grzech przeciwko ludziom wokół was, którzy muszą potem żyć w gorszym i smutniejszym świecie, ponieważ wy nie chcecie żyć...

Odwróciła się i wybiegła z pokoju. Słyszałyśmy na krętych schodach oddalające się kroki a także otwieranie i zatraskiwanie drzwi wejściowych do domu. Cicho powstałyśmy z krzeseł. Ginger przestała płakać. Ja też się uspokoiłam, lecz pomimo wypitego alkoholu odczuwałam palący wstyd i wielki szok. Wiedziałam, że jeżeli wszystko to zacznie na mnie działać, będę zgubiona.

— A więc nasz maleńki ogóreczek się ugotował — powiedziała lekkim, rozbawionym tonem Fig. — Chodźmy dołożyć do ognia i nalać sobie brandy, a ja wam jeszcze trochę poczytam...

— Nie — zaprotestowała Ginger. — Chcę iść już spać. **Jestem** strasznie zmęczona i wydaje mi się, że jutro rano będę chorować.

— Chcesz, żebym ci pomogła? — zapytałam.

— Nie — odpowiedziała. — Dam sobie radę sama.

Fig i ja przyglądałyśmy się, jak wchodziła po schodach do domu. Potknęła się raz lub dwa, ale dała sobie radę. Jednakże stapała bardzo ciężko. Ramiona zwisały jej bezwładnie, jakby nie miała siły ich podnieść. Nie wyglądała już jak młoda Ginger Fowler, lecz jak kobieta w średnim wieku, która waży zbyt wiele, pije za dużo i która właśnie zrozumiała okrucieństwo świata i banalną prawdę swego życia.

— Przepraszam — wyszeptaliśmy do niej.

— Jutro rano poczuje się lepiej — powiedziała Fig. — Tak samo Cecie. Ale mam teraz cudowny pomysł. Bardzo dobry na wszystkie te choroby. Weźmiemy się za to z samego ranka.

— Ale co to takiego? — spytałam bez większego zainteresowania. Na niczym mi już nie zależało. Nie wyobrażałam sobie nawet, po co miałyby mi w ogóle na cymś zależeć.

— Zobaczysz jutro rano. Coś naprawdę specjalnego i magicznego — uśmiechnęła się.

Gdy dobrnęłam do swojego pokoju, Cecie jeszcze nie było. Zawahałam się i poczłapałam na poszukiwanie jej w ciemnym domu. Nie mogłabym usnąć bez pogodzenia się z nią. Nigdy wcześniej nie gniewałam się z Cecie.

Gdy doszłam do przystani nad morzem, zobaczyłam, że Cecie leży skulona w wielkim starym hamaku. Przykryła się kocem i huśtała się. Tam i z powrotem, tam i z powrotem. Łańcuchy przytrzymujące hamak skrzypiały regularnie, jak reje na wietrze. Chciałam się odezwać, ale nie mogłam. Nie wiedziałam zresztą, co jej powiedzieć. Wiedziałam tylko, że miała rację, ale jakoś nie mogłam się do niej zwrócić i chyba nigdy bym się na to nie zdobyła. I tak by to chyba niczego nie zmieniło.

Tej nocy długo leżałam bezsennie, słysząc skrzypienie łańcuchów hamaka.

Od mprza wiał mocny wiatr.

Rozdział 13

Ów przepiękny dzień rozpoczął się od dźwięku dzwonów i huku armat. Próbowałam zamienić te doznania w marzenia senne, leżąc zwinięta w kłębek z poduszką-pocieszycielką wokół głowy. Były one jednak zbyt głośne i musiałam wstać, gdyż dezorientowały mnie i niepokoiły. Wrażenie czegoś często kiedyś spotykanego utkwіło mi głęboko w pamięci. Dzwony, armaty i Cecie...

Otworzyłam oczy i zobaczyłam ją trzymającą w ręku mały magnetofon tuż koło mojego ucha. Właśnie kończyła się *Uwertura 1812* Czajkowskiego. Wygramoliłam się z łóżka i zaczęłam gonić Cecie po korytarzu. Śmiejąc się do utraty tchu, dobiegłyśmy do przystani i dopiero wtedy zorientowałam się, że jestem prawie naga. Miałam na sobie tylko figi. Ranek wstał umyty perlistą bryzą morską i pierwszym przymrozkiem. W dole na plaży, w przejrzystym kryształowym powietrzu, szumiały przybrzeżne fale. Odwróciłam się i pobiegłam do swego pokoju. Cecie podażyła za mną. Wdzięcznie naciągnęłam ciężki sweter, przypominając sobie kiepski koniec poprzedniego wieczoru. Gdy odwróciłam się do Cecie, na jej twarzy pojawił się grymas!

— Wiem, przykro mi — powiedziała. — Zrobiłam z siebie idiotkę. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie, może z wyjątkiem tego, że zbyt dużo wypiałam i wściekłam się widząc, że Fig wszystko sobie ukartowała i podpuszczała nas. Ale teraz mamy tak piękny poranek, że niemal już jej przebaczyłam. Gdy tylko i ty mi wybaczysz, zamknę się w pokoju i znowu nastawię 2522. Taśma ta kosztowała mnie majątek.

— Proszę, nie martw się o mnie — uśmiechnęłam się. — Niepo-

trzebne są też przeprosiny. Naprawdę. Postępujemy, jakby nic się nie stało. Nie wiem zresztą, czy Ginger w ogóle pamięta, co robiła.

— Chyba jednak nic nie pamięta. Poszłam już do niej, aby ją zobaczyć i zanieść jej trochę kawy. Chodźmy, śniadanie jest już gotowe, a Fig chce nam coś pokazać.

— Ty przygotowałaś śniadanie? — zapytałam ogromnie zdziwiona. Cecie zawsze uważała się za okropną kucharkę, więc na początku naszego tygodnia w Nag's Head ustaliłyśmy, że przynajmniej ze zmywaniem winna sobie poradzić, na co ochoczo się zgodziła.

— Teraz wiesz, jak mi przykro z powodu wczorajszej nocy — uśmiechnęła się.

Ginger siedziała już w kuchni grymasząc nad tostami, jajecnicą z bekonem i kawą. Nie powiedziałabym, aby było to odpowiednie pożywienie na kaca. Chyba raczej odwrotnie. Ginger zawsze miała delikatne podniebienie i lubowała się w smażonych mięczakach z puszki, podobnie jak Fig w wykwintnych pasztecikach na kolację.

— Dzień dobry, słoneczko — powiedziałam.

— Nie widzę w nim absolutnie nic dobrego — odrzekła. Ręce jej się trzęsły, a oczy były porządnie podpuchnięte. Nawet się jeszcze nie uczesała, więc włosy okalały jej głowę jak wióry drzewne w skrzynkach do pakowania owoców. Miała na sobie sukienkę ze strzyżonej wełny z dziurą na łokciu. Przypominała w ten sposób Shirley Booth z filmu *Wracaj, maleńka Szabo*.

— Nie chcesz jeść pięciogwiazdkowego śniadania, które przygotowałam specjalnie dla ciebie? — spytała sucho Cecie.

— Nie, nie chcę — odpowiedziała Ginger. — Wyrzucę je. Nie mogę jeść. Ależ musiałam zrobić z siebie oślicę! Nie wiem, jak się zachowywałam, ale wszystkie was za to przepraszam.

— Nie ty byłaś oślicą — powiedziała Cecie. — To ja i Fig przepraszamy. Nie podejrzewałam jej o to, ale ona chce zrobić wam dzisiaj niespodziankę. To chyba taki jej sposób usprawiedliwiania się. Skończmy kawę, ubierzmy się i lećmy. Zabiorę was w różne miejsca.

— W jakie miejsca?

— Żadnych pytań. Ruszajmy — powiedziała Cecie. Ginger wyszła z kuchni, by doprowadzić się trochę do porządku, a Cecie i ja wymiotłyśmy do czysta talerze z jajecnicą na bekonie. Była tak niesmaczna, jak przewidywałam. Jadłam jednak łapczywie, bo byłam strasznie głodna. W tym świeżym poranku narastało coś, co mnie przepełniało zwyczajnym zadowoleniem mimo przykrości ubiegłej nocy. Nie chciałam dociekać przyczyn tego zadowolenia, lecz tylko

rozkoszować się nim. Na dworze światło odbijające się od tafli wody skrzyło się jak rozsypane diamenty. ..__ -

Ginger wróciła do nas przebrana w szorty i tenisówki. Była też w wielkim brązowym wełnianym swetrze, który musiał chyba należeć do Paula. Sięgał jej do samych kolan i nawet rękawy były o wiele za długie. Wyglądała w nim jak dobroduszny, włochaty mamut lub jak opatulona w skóry kobieta wikingów. Obrazu dopełniały podkrążone niebieskie oczy, jasne włosy i długi warkocz.

— Potrzeba ci teraz tylko tarczy i włóczni — powiedziałam na jej widok.

— Czuję się nazbyt podle, aby zgadywać, co miałaś na myśli — odpowiedziała znużona. — Coś mi się wydaje, że tą niespodzianką będzie po prostu jakiś morderca. Jeśli nie, to wracam do łóżka.

Cecie wepchnęła mi do ręki kluczyki do poobijanego land rovera.

— Mam nadzieję, że możesz prowadzić taki samochód — powiedziała. — Ja na pewno nie będę tego próbować. Dzisiaj nie wybrałabym się na przejażdżkę z Ginger nawet dziecinnym samochodzikiem. Fig prosiła, aby spotkać się z nią na przystani w Sound. Wiesz, gdzie to jest?

— Trzeba chyba zjechać z autostrady w prawo, pół mili stąd — powiedziała Ginger. — Ale po co mamy jechać do przystani?

— Zobaczysz — odrzekła Cecie i głośno się roześmiała tym swoim cudownym śmiechem.

Przejechałam jakoś wielkim roverem przez piaszczyste podwórko i powoli dojechałam autostradą do małej piaszczystej łączki przy nabrzeżu. Samochód był wielki i bezwładny i miałam uczucie, jakbym go raczej wlokła za sobą, niż nim kierowała. Siedząc tak wysoko, czułam się dziwacznie i niebezpiecznie. Droga i łąka były praktycznie puste, a łodzie w publicznym akwenie unosiły się cichutko na płaskim, różowym zwierciadle morza. Było jeszcze bardzo wcześnie.

Zobaczyłyśmy wtedy Fig obok niebiesko-białego hydroplanu, kołuszącego się bardzo delikatnie na satynowej powierzchni fal tuż przy srebrzystym nabrzeżu Roanoke Sound. Fig miała na sobie białe spodnie i purpurową kamizelkę pilotów bombowców. Włosy podwiązała z tyłu czerwoną szarfą, a wielkie ciemne okulary całkowicie zasłaniały jej oczy. Pośród sfatygowanych łodzi rybackich i luksusowych jachtów, kanistrów z olejami i paliwem oraz mokrych, brudnych lin wyglądała niesamowicie egzotycznie i bogato. Przypominała jakieś cudowne zjawisko lub gwiazdę z filmu kręconego

w małej, obskurnej roboczej przystani. Uśmiechała się czarująco. Wczesne promienie słoneczne odbijały się w jej białych, idealnie równych zębach. Obok niej w niedbałej pozie stał bardzo wysoki młody mężczyzna w brudnych niebieskich dżinsach, kowbojskich butach i w baseballowej czapce na głowie. Większą część jego brązowej twarzy zakrywały lustrzane okulary lotnicze. W jednej ręce trzymał filiżankę kawy, a drugą obejmował Fig.

— Psiamać! — jęknęła Ginger. — Ona chyba kupiła ten przekłety hydroplan.

— Raczej wynajęła. I to nie jakiś tam pierwszy lepszy hydroplan — wesoło stwierdziła Fig, biegnąc nam na spotkanie. — Maszyna ta należy do Poolie Prouta, niegdysiejszego pijaka z Nag's Head... o czym na pewno wiecie... zawodowego kombinatora i wszędobylskiego kocura. Czyż nie jest piękny? Nie mówiąc już o hydroplanie, który jest po brzegi wypełniony szampanem i gotów zabrać nas teraz wszystkie aż do Ocracoke. Jak wam się ten pomysł podoba, trzy Omegi?

Bardzo nam się to podobało. Więcej nawet — pokochałyśmy ten samolotik już od pierwszego wejrzenia. Było to właśnie wymarzone, wielkie i ekscentryczne wydarzenie, o które wołał wspaniały rodzajcy się dzień, antidotum na ciężar upływającego czasu. Bylejakość i szpetota ostatniej nocy zostały natychmiast zmyte z naszej świadomości.

Wspinająca się przede mną Ginger znowu miała ów podniecający tyłek młodej Ginger Fowler, a opalone nogi wchodzącej na pokład Cecie zostały nagle oczyszczone z plamek, szram i smutnych żyłaków pod kolanami i na udach. Moje własne nogi i ręce poruszały się tak sprawnie, jakby mi ktoś naoliwił wszystkie stawy. Fig wśliznęła się na fotel obok wyjątkowo małomównego Poolie Prouta i wyglądała jak gwiazda z filmu o wędrownych aktorach. Podrzucała swoje ciężkie włosy i unosząc w górę butelkę szampana ukazywała kciuk gestem pilotów z drugiej wojny światowej. Było niemożliwością oprzeć się jej czarowi.

Od razu zrozumiwałyśmy też, do kogo należy sam Poolie Prout. Miałyśmy wrażenie, jakby nas w ogóle nie zauważał, kiwnąwszy jedynie głową, gdy Fig nas przedstawiała. Regularnie natomiast kierował swój lustrzany wzrok w stronę Fig i po wzbiciu się w powietrze spokojnie prowadził maszynę wzdłuż wybrzeża, kładąc zgrubiałą rękę na jej udzie. Od czasu do czasu pochylał się do niej i szeptał jej coś do ucha, a ona śmiała się i kokieteryjnie poprawiała sobie włosy. Raz ujrzałam nawet jego uśmiech — mięśnie twarzy,

świadczące o regularnym bliskim kontakcie z tytoniem firmy Read Man, napięły się wtedy i ujawniły liczne zmarszczki, widoczne nawet pod okularami. Na tablicy przyrządów pokładowych przykleił sobie nalepkę: „Urodzony do zdobycia piekieł”, a na jednej z dźwigni wisiały cieniutkie jak pajęczyna, czarne damskie figi. Fig przytykała mu często do ust butelkę szampana, a on przełykał trochę napoju, nie troszcząc się nawet o wycieranie ust z piany.

— Myśli, że poderwał Dolly Parton — powiedziała Ginger, gdy unosiliśmy się wzdłuż białego grzebienia przylądka Hatteras National Seashore. — Popatrz tylko na niego, przebywa w rajach dla knurów. Myśli chyba, że jesteśmy starymi ciotkami tej dziewczyny lub kimś w tym rodzaju.

— Nie dbam, o czym on myśli, dopóki trzyma ten wehikuł jako tako w powietrzu — szepnęła Cecie. — Otworzyli już drugą butelkę szampana. Podaj i nam butelkę, Kate. Jeśli mam się upić, to też wolę pociągnąć sobie „Joueta Perriera”.

— Niezły sposób, nieprawdaż? — odrzekłam w zamyśleniu. — Niebieskie niebo nad tobą, niebieska woda pod tobą, a szampan pieni się w twojej krwi...

— Inaczej byłoby gorzej — powiedziała Cecie. — Boże! Kate! Cicho bądź! Wypij swój szampan i spójrz przez okno. Czy kiedykolwiek w swym życiu widziałaś taki dzień?

To była prawda. Nigdy nie widziałam takiego poranka i nigdy już nie zobaczę. Lazur przepływał i drgał we wszystkim; kryształowo niebieskie brzegi wydm, horyzont oraz niebo nad cieśniną miały odcień kobaltu. Powietrze było zalane płynnym blaskiem, pod nami uciekały wielkie dzikie wydmy, ciemne bory przybrzeżne i maleńkie wioski, zda się namalowane pędzlami starych mistrzów. Pomyślałam o doskonałych, brązowo-niebieskich obrazach Van Gogha z Arles i o półprzezroczystych, płonących, tropikalnych pejzażach Winslowa Homera. Wszystko to było teraz bardzo blisko mnie, lecz jednocześnie nigdzie. Żadna ludzka ręka nie mogłaby wiernie oddać blasku tego dnia. Można chyba mieć takie wspaniałe dni tylko raz czy dwa razy w całym życiu. Pamiętam tylko jeden: dawno temu, gdy jechaliśmy z Pauliem tą samą autostradą, która właśnie rozwijała się teraz pod nami, do miejsca, skąd odpływa prom do Ocracoke.

— To taki ogień rozplądowy burzy — powiedziała Ginger, pociągając z zadowoleniem szampana. — Pogoda ta jest zbyt piękna, aby trwała długo. Widzicie na wszystkim niebieskie otoczki? Coś się gdzieś rodzi. I w ogóle nie ma wiatru... Czy którakolwiek słuchała dziś rano wiadomości? Co się dzieje w tropikach?

Żadna z nas nie słuchała radia, ale Poolie Prout rzucił przez ramię swym nosowym tenorem, który kontrastował z mięśniami ramion, szyi i szczęk:

— Nic wielkiego. Zbliży się do wybrzeża małe dmuchanko, które idzie do nas przez zatokę. Ostrzeżenie dla małych statków w Georgii i Południowej Karolinie. Lecz skieruje się chyba prosto na morze, nim jeszcze do nas dotrze. Kilka następnych dni będzie mglistych i ponurych.

— Cieszę się, że zorganizowałyśmy to dzisiaj, a raczej, że ty to zorganizowałaś, Fig — powiedziałam. — Nie chciałabym lecieć tędy we mgle.

— Mogę pilotować tę maszynę i we mgle, i w każdych innych warunkach atmosferycznych — stwierdził Poolie roztargnionym tonem, lecz oczy utkwiał w Fig. — Latałem w dziesiątkach wichur, gdy wiatr tłukł deszczem c szyby jak karabin maszynowy. Pamiętam, leciałem kiedyś do domu, gdy flagi huraganowe wywieszono były wzdłuż całego wybrzeża.

— A gdzie mieszkasz? — zapytałam. Szampan buzował w mojej głowie rozlewając słodycz, sycząc w żyłach i tętnicach. Czułam się cudownie.

— Poniżej mamy Avon, a tam prosto — wskazał palcem — po prawej stronie, przystań i rybackie moło w Pamlico Sound.

Fig zachichotała. Był to śmiech małej dziewczynki. Zdjęła okulary, a oczy jej błyszczały, jakby zażyła narkotyk. Nagle zaczęłam się zastanawiać, że może rzeczywiście coś zażyła. Cały ranek śmiała się często i radośnie bez wyraźnego powodu. Wszystkie miałyśmy zawroty głowy wskutek pogody, lotu i szampana, ale nigdy nie widziałam Fig w takim dobrym nastroju. Ani tej dawnej Fig, ani dzisiejszej.

— Avon! — zapiszczała. — Czy to nie ten Avon, w którym jest motel „Carolina Moon”? Znasz „Carolina Moon”, Poolie?

— Czy znam „Carolina Moon”? — powtórzył. Wyciągnął rękę do Fig, pogłaskał jej włosy, a potem przesunął dłoń na jej szyję, aż do kołnierzyka żakietu, i tam ją zatrzymał. — A czy papież jest katolikiem? Słuchaj, próbowałem już tych Magicznych Palców we wszystkich pokojach motelu. W jednym z nich powiesili brązową tabliczkę, na której jest napisane, iż jest to pokój Poolie Prouta. Robię spe'alny znak na ścianie za każdym razem, gdy...

— Oszczędź nam szczegółów — przerwała mu Fig. — Jeszcze mnie opanuje ciężki atak zazdrości. Dobrze, już dobrze. W każdym razie chciałabym zobaczyć wnętrze jednego z tych pokoi...

— To się da załatwić — odpowiedział i uśmiechnął się nieszczę-
rze. — Mogę wpaść do Nag's Head, kiedy tylko zechcesz. To nie wię-
cej niż godzina lotu przy każdej pogodzie.

— Nawet w nocy? — dopytywała Fig niskim, gardłowym
głosem. Pasażerki na trzech tylnych fotelach uśmiechnęły się do
siebie.

— Nawet w nocy — odpowiedział Poolie Prout. — Nawet
wtedy, gdy nie będzie świecił księżyc ani gwiazdy. Nawet we mgle
i deszczu. Lądowałem już na tym wybrzeżu w każdą pogodę, jaką
możesz sobie tylko wyobrazić. Jeżeli zapragniesz któreś nocy zoba-
czyć „Carolina Moon” od środka, to zadzwoni do mnie i natychmiast
tam cię zabiorę.

— Zapamiętam to — roześmiała się Fig, spoglądając na nas do
tyłu i mrugając znacząco. Poolie Prout położył dłoń na jej kolanie.
Fig nawet na to nie zareagowała.

Wodowaliśmy w małej zatoczce w Ocracoke i zjedliśmy lunch
w barze na targu rybnym przy stoczni. Poolie zniknął nam z oczu na
jakiś czas, by zagrać w jakąś grę i spróbować się z pobratymcami na
ręce. Słyszałyśmy ich ochrypłe, zapijaczone śmiechy. Poolie bez
wątpienia opowiadał o swym najnowszym podboju kilku starych
kobiet. My natomiast piłyśmy zimne piwo i pałaszowałyśmy niebie-
skie kraby oraz cytrynowe ciasto upieczone przez żonę właściciela
knajpy. Jeśli rzeczywiście ona upiekła to ciasto, to nie jest dużo
lepsza od Cecie. Tak więc śmiałyśmy się i jadłyśmy ową gumowatą
masę. Nie pamiętam już nawet, co nas tak rozbawiło, lecz przypomi-
nam sobie ten śmiech, po którym nastąpił smutek podobny do zimnej
rosy na trawie.

Gdy skończyłyśmy już z ciastem i kawą, Ginger ogłosiła
niewyraźnym głosem (z powodu wypitego szampana, piwa i przy-
pływu łez):

— Bardzo was kocham! Nie chcę, aby się to kiedykolwiek skoń-
czyło!

— My też nie chcemy — odpowiedziała Cecie. — Jeżeli jednak
nie wrócę za trzy dni, mamę Fiori ogarnie jeden z tych wrzeszczą-
cych ataków szału i wyrzuci ją na ulicę. Nawet państwo nie zechce
trzymać jej ani minuty dłużej.

— Dlaczego po prostu jej nie spakujecie i nie odesłacie do
córkę? — zapytałam. — Albo do Ginę. Z pewnością oni poradzą
sobie z nią lepiej niż ty. Pewnie, gdy jesteście tu same...

— Dlatego, że moja święta szwagierka, Celeste, natychmiast
opuści Ginę, gdy tylko ten sprowadzi do domu matkę — kwaśno

odpowiedziała Cecie. — Nie mam wyjścia. Ale kiedyś Gino zmieni poglądy. Miałam nadzieję, że ona umrze lada dzień, ale najwyraźniej nie ma takiego zamiaru. Ona jeszcze i mnie przeżyje, więc odziedziczą ją moi biedni synowie. Będzie przechodzić przez kolejne pokolenia Fiorich jako dziedziczna choroba.

— Czy nie będzie ci trudno wracać tam po tutejszych wrażeniach — zapytała Fig.

— Będzie to najtrudniejsza rzecz w moim życiu — powiedziała Cecie. Nie śmiała się już. Sama czułam łzy w oczach i nagle zapragnęłam przychylić jej nieba: załatwić za nią wszystkie jej sprawy, poprawić jej los jednym wielkim zamaszystym gestem. Miałam na tyle pieniędzy, aby móc coś zrobić: na przykład opublikować jej książkę, ulokować ją na rocznym studium w Cloister, czy opłacić jej starej teściowej miejsce w domu starców. Lecz póki co, nie miałam na to czasu...

— Ustalmy przynajmniej, że będziemy się tak spotykać co rok — zaproponowała Ginger. — Będziemy przyjeżdżać tutaj o tej samej porze roku... koniec lata jest chyba najlepszy, prawda? Och, zróbmy tak! Co roku! Będę miała czego oczekiwać...

Umilkła. Nie patrzyłyśmy ani na siebie, ani na nią. Ta krótka wypowiedź powiedziała mi o małżeństwie Ginger i Paula Sibleya więcej, niż chciałam wiedzieć.

— Dobrze, ale teraz mamy jeszcze trzy dni — powiedziałam szybko. — Wykorzystajmy je jak najlepiej. Zróbmy coś, o czym będziemy pamiętać do następnego roku. Niech każda z nas zorganizuje kolejny dzień. Cecie, jesteś pierwsza, ponieważ jesteś najmiłsza z nas wszystkich. Wymyśl coś, a my to wykonamy dzisiaj popołudnia.

— Chciałabym wybrać się do ogrodów Currituck — odpowiedziała, uśmiechając się do mnie. — Chciałabym też powłóczyć się trochę... pójść nad cieśninę i obejrzeć tam zachód słońca.

— Masz to załatwione — odrzekłam.

Gdy wróciłyśmy do Roanoke Sound, dochodziła godzina druga. Resztę szampana wypiliśmy w drodze powrotnej, aż mi się lekko zakręciło w głowie. Śmiałam się i śmiałam. Praktycznie bez powodu. Gdy wróciłyśmy do domu, rozłożyłyśmy się leniwie na przystani. Dzień był ciepły i bardzo pogodny. Panował zgęstniały upał o słodkim zapachu, ale gdzieś niedaleko czaił już się orzeźwiający chłód. Powiał lekki popołudniowy wietrzyk. Zaczynał się właśnie odpływ.

— To nie dla mnie, jeżeli mamy zamiar zjeść obiad — powiedziała sennym głosem Ginger. — Właśnie myślę o łóżku. Weźcie

rovera i jedźcie same do Currituck. A jeżeli interesuje was włóczęga, mam coś, co się wam spodoba. Leży pod tamtym żeglarskim płótnem. Powiedźcie tylko Bobby'emu, że zabieracie to ze sobą. Kluczyki leżą na spodku na ladzie kuchennej. A w ogóle to potraficie obsłużyć łódkę?

— Żartujesz chyba! — powiedziała Cecie. — Przecież urodziłam się w łódce.

— Więc dobrze, *sayonara*, jak mówią Japończycy — wymamrotała Ginger. — Idę spać.

— Fig? — zapytała Cecie.

— Myślę — odrzekła powoli Fig — że powinnam polecieć z Poolie kawałek wzdłuż wybrzeża. Chciałabym zobaczyć wiele rzeczy w okolicach Duck i Corolla.

Uśmiechnęła się do nas i skierowała wzrok w stronę Poolie Prouta. Wyraz jego twarzy wcale się nie zmienił; poczerwieniał mu tylko kark.

— Założę się, że zobaczy na pewno sporo — przyznała Cecie, kiedy już wyjechałam land roverem na autostradę i skierowałam się na południe ku grobli w Manteo. — Bez wątpienia zobaczy wszystko, o co jej chodzi, byle tylko rozpięta, co trzeba.

— Cecie Hart Fiori! — roześmiałam się. — Nigdy nie słyszałam, byś opowiadała takie głupstwa.

— No cóż, przecież oni nie zamierzają grać w madżonga — odparła. — Boże, ależ jej się zachciało! Nigdy nie widziałam, żeby ktoś tak się napalał. Przecież on musi być od niej młodszy co najmniej o dwadzieścia lat.

— Myślę, że nie jest to najważniejsze — uśmiechnęłam się. — Może chce doszlifować swoją książkę.

— Chyba masz rację — odrzekła Cecie, opierając nogi o deskę rozdzielczą. — Przecież Fig nie należy do takich, które robią coś bez powodów. Nawet w podobnej sytuacji.

Gdy przyjechałyśmy do Ogrodu Botanicznego Currituck, zostało już tylko pół godziny do zamknięcia. Pospacerowałyśmy więc po drózkach wysypanych żwirem, zanurzając się w jaskrawy przepych jednorocznych roślin i bylin. Ogród był urządzony na wzór angielskiego parku z siedemnastego stulecia, z licznymi posągami, pięknymi widokami, mnóstwem udiwnień, wierzbowymi labiryntami i wieloma tryskającymi wodą fontannami. Podziwiałam wszystko dookoła mnie, lecz jakoś nie mogłam odzyskać dobrego humoru i nic mnie nie bawiło. Wszystko to było zbyt oswojone, zbyt wypiełgnowane i raq'onałnie zaaranżowane. Moje oczy szukały

dostojnego chaosu, przypadkowej obfitości i awanturniczej słodyczy. Podążałam za Cecie, śledząc jej reakcje. A Cecie przyglądała się wszystkiemu, wydawała okrzyki zachwytu, klękała, aby wachać kwiaty, lub też z uwagą przechylała głowę. Przy końcu drogi zatrzymałyśmy się zaskoczone przed różowawym ceglany murem.

Porośnięty był różami i wyglądał jak żywy, złoto-różany ogień. Cały zdawał się drgać życiem, światłem i zdrowiem. Wydawało się że tutejsze powietrze przepełnia świetlisty blask. Chyba przy dobrej pogodzie mur ten mógł być widoczny i z odległości czterdziestu mil.

— Wiesz, gdzie wyglądałby on najwspanialej? — zapytała Cecie. — Obok twego ogrodu na wydmach, które mi pokazywałaś na zdjęciu. Odciałyby wtedy ogród od plaży. Przechodniom oczy wyłaziłyby z orbit. Jest to *rosa rugosa*, której nic nie uśmierci, więc mogłaby rosnać całe wieki.

— Po co mi one, jeślibym nie widziała ich z okien mojego domu? — zapytałam rzeczowo.

— Nie wiem — odrzekła Cecie patrząc mi prosto w oczy. — Wydaje mi się, że one głosiłyby wtedy całemu światu: „Hej, jestem Kate Lee! Byłam tu i jestem!”

Odwróciłam się i poszłam ścieżką do samochodu. Cecie zatrzymała się przy kasie, aby kupić kilka pocztówek. Wsiadłam do wozu, odchyliłam głowę do tyłu, włączyłam radio i zamknawszy oczy słuchałam muzyki. W ciepłe powietrze popłynęły manieryczne dźwięki piosenki, za którą tak przepadałam w Randolph: *Lison Antigua*. Przeżywałam ponowne narodziny i zakończenie lata.

Ona wie — pomyślałam. — Nie wiem skąd, ale wie.

Próbowałam nie myśleć o niczym więcej, tylko o wylewających się z radia dźwiękach. Utonęłam w nich, odchodząc myślami daleko do naszych stron rodzinnych, nim jeszcze Cecie zajęła fotel obok mnie.

Potem urządziliśmy sobie maleńką wyprawę łódką od Sound do cieśniny Oregon. Gdy przepływałyśmy pod mostem Umsted, prowadzącym do Manteo, znalazłyśmy się w okolicy bardzo dzikiej. Małe mieszkalne barki, zmurszałe przystanie i bary rybne ustąpiły miejsca pofałdowanym, złoto-zielonym bagnom otaczającym płytkie rozlewiska ciepłej wody. Wiatr kołysał trawą morską, trawami zielonych łąk i krzewami bawełny. Cecie przełączyła silnik motorówki na luz i dryfowałyśmy po czarnej powierzchni wody jak wałki czy zeschnięte liście. Czasami pomagała sobie trochę wiosłem, szczególnie wtedy, gdy byłyśmy blisko brzegu, aby wyczuć błotniste dno.

Prowadziła tę egzotyczną małą motorówkę tak zręcznie i pewnie, jakby się rzeczywiście w niej urodziła. Czułam jednak, że nigdy nie pływała w tak wychuchanym, drogim czerwono-strzelistym cacku. Ginger powiedziała nam, że motorówka jest nowiutka. Paul zakupił ją podczas wiosennej wystawy jachtowej w Nowym Jorku.

Chociaż autostrada do Hatteras National Seashore była osłonięta od strony plaży roślinnością, od czasu do czasu słychać było przejeżdżające samochody. Lecz mimo to poczucie osamotnienia było dotkliwie i wszechogarniające. Nadchodził zmierzch. Pas nieba nad dalekim zachodnim brzegiem przyjął purpurową barwę, a szara woda zaczynała się w środku różowić i srebrzyć. Drgnęłam.

— Wydaje się, jakby rodził się tutaj czas — powiedziałam. — Czekam tylko, aż z tych bagien powstanie coś ogromnego i ryczącego.

W tym momencie z długiej łachy zerwała się wielka niebieska czapla, kłapiąc mokrymi skrzydłami. Zasrebrzył się grzbiet sporej latającej ryby, która ciężko wyskoczyła ponad wodę, niemal nad nasze głowy, opryskując nas kroplami ciepłej jak krew wody.

— No i mamy pterodaktyla — zażartowałam z bijącym sercem. Cecie podniosła wiosło i zasalutowała.

— Dobrych łowów, *amigol* — krzyknęła za oddalającą się czapłą.

— Powinnaś zostać przewodnikiem myśliwych i rybaków — powiedziałam. — A jeszcze lepiej białą boginią Indian. Ależ by cię kochali ci mali, czerwoni chłopcy! Ogniste włosy, dzikie, niebieskie oczy i biała cera. Tańczyliby dookoła ciebie przy uroczystych ogniskach, częstując najlepszymi kęsami placka z suszonym mięsem i owocami.

— Placek i ogniska! — parsknęła Cecie. — Boże, Kate! Tacy są tylko Indianie z prerii. Ależ jesteś ignorantką! Roanokowie jedzą głównie ryby i kraby, są złaści i wysocy. Ale chyba zaczynam rozumieć, o co ci chodzi. Wszystko tutaj wygląda niezwykle pierwotnie, prawda? Słone bagna są chyba najstarszą częścią Ziemi, która prawie się nie zmieniła przez te wszystkie tysiące lat. Zdaje się, że są takie same jak w czasach, gdy wiosłowali tutaj Indianie Manteo i Wanchu. Są też bardzo bogate. Dookoła ciebie roztacza się teraz najbogatszy i najbardziej zagęszczony ekosystem Ziemi. Jest całkowicie samowystarczalny i nie potrzebuje niczego z zewnątrz. Tutaj jest chyba więcej istot żywych niż na terenach wzdłuż Gangesu.

— Dla mnie wygląda to na zakisłe błoto — odpowiedziałam przyglądając się, jak wiosło podnosi z dna muł podobny do gęstej chmury dymu.

— Tak, ale w tym mule jest wszystko, od planktonu do wszelkich gatunków ryb, krabów, krewetek i małw. Do tego są tu jeszcze węgorze, żółwie morskie i rzeczne, a na brzegach szopy, myszy i miliony ptaków...

— Mogłabyś zostać biologiem morskim — zauważyłam. — A może również średniowieczną zielarką. Dlaczego nie piszesz o tym?

— Inni znają się na tym lepiej — odpowiedziała z zadowoleniem. — Ja tylko chcę żyć w środku tego świata. Chciałabym wrócić pewnego dnia do Tidewater lub do innych słonych rozlewisk. Wyrzuciłabym mamę Fiori do jakiegoś domu starców, a sama chciałabym tam powrócić.

Gdy zbliżyliśmy się do wielkiego przecięcia Outer Banks przez cieśninę Oregon, woda stała się głębsza. Liczne silne fale marszczyły jej powierzchnię. Powietrze znacznie się ochłodziło. Widoczna linia zieleni odgradzająca nas od cywilizowanego świata nie niweczyła poczucia bezmiaru. Cecie zgasiła silnik i wyrzuciła kotwicę za burtę. Łódka zakołysała się na różowiejącej powierzchni wody. Powoli jednak kołysanie to ustało.

— Odpłynęliśmy już wystarczająco daleko — powiedziała. — Nie chcę mieć bezpośrednio do czynienia z wysokim przypływem w cieśninie Oregon. Za dużo wody tamtędy przepływa i zbyt szybko. Czy wiesz, że przed rokiem 1846 cieśnina ta w ogóle jeszcze nie istniała? Był tutaj po prostu dalszy ciąg Outer Banks, ale we wrześniu tamtego roku silny huragan rozciął w poprzek wybrzeże i w ten sposób wytworzyła się ta cieśnina. Nazwano ją Oregon od nazwy statku, który pierwszy tędy przepłynął do Sound.

— Skąd ty to wiesz? — zapytałam zdziwiona. — Więcej wiesz o Outer Banks niż sama Ginger.

— Pożyczyłam kilka książek z biblioteki, gdy dowiedziałam się, że tu jeszcze raz przyjadę. Większość z nich to opowieści o duchach i trudno w nich znaleźć jakiegokolwiek konkretne informacje o wybrzeżu. Dokładnie tu, gdzie stoimy, miał podobno zatonać okręt, który do dzisiaj wypływa w zimowe noce, świecąc tajemniczym światłem. Płynie do Ocracoke, ale nigdy tam nie zawija. Tak głosi stara legenda.

— Nas może wkrótce spotkać ten sam los — odpowiedziałam, lekko dygocząc. Cieśnina, bagna i niebo wydawały się absolutnie puste. Dzień na dobre chylił się ku zachodowi.

— Poczekajmy jeszcze chwilkę — powiedziała Cecie. — Czasami tutaj przed zachodem słońca zdarza się coś, co warto zobaczyć.

Jeżeli przez kilka minut nic się nie stanie, popłyniemy z **powrotem** do domu. Obiecuję ci. _____ *L*

— A niby co? — zapytałam naprawdę zaciekawiona.

— Niespodzianka! — uśmiechnęła się.

— Lepiej niech będzie to coś rzeczywistego!

— Rzeczywistsze od żałobnej opaski Dicka — odpowiedziała.

— Jeżeli w ogóle to się dzisiaj wydarzy.

Nie chciała powiedzieć nic więcej. Siedziałyśmy cicho, odczuwając nieubłagane obniżanie się słońca i narodziny ogromnej, bezkształtnej nocy. Powietrze było w dalszym ciągu czyste jak źródłana woda. Na niebie rozgorzały łuny zachodu. Wszystko było purpurowe, czerwone, różowe i złote, poprządkane pasmami czystej, ciemnej zieleni. Nigdy nie widziałam czegoś równie pięknego, ale szkoda mi było przerywać ciszę. Cecie odwróciła się i uśmiechnęła do mnie przez ramię, lecz również nic nie powiedziała.

Łuna była ogromna, z lekka zielonkawa. Wiedziałam, że jeszcze przez półtorej godziny będzie widno, lecz nagle zapragnęłam wracać do domu. Chciałam zobaczyć żółte światła okien, usłyszeć dźwięki jazzu czy rocka dolatujące ze studia, poczuć zapachy kuchni i cieszyć się z salw śmiechu. W tym płaskim miejscu, gdzie ład ucieka do wody, rzeczywiście wszystko mogło się wydarzyć. Dosłownie wszystko.

Cecie chyba wyczuwała mój nastrój, gdyż przechyliła się przez ławkę i powiedziała: — Czy wiesz, że nigdy nie mówiłaś mi o Alanie? Nie chcesz o nim mówić, nie chcesz mówić, jakie masz względem niego zamiary, ani jak chcesz żyć następnego dnia, tygodnia czy miesiąca. Nie masz żadnych planów, Kate?

Zaczęłam kombinować, jak ją odciągnąć od tego tematu. Nie chciałam teraz mówić o Alanie — rzeczywiście nie chciałam. Alan należał do innej kobiety, która już nie istniała. Chciałam się tego trzymać tak długo, jak tylko się da. Jeżeli ta kobieta nie istnieje, to i on nie istnieje.

— *Nie ma już jutra* — zanuciłam. — *Jest tylko noc.*

— Dziękuję ci, Jean Paul Sartre — rzuciła ostro Cecie. — Piękna filozofia egzystencjalizmu. Ale czy nie jesteś ciekawa? Czy jutro nie będziesz miała nic do powiedzenia?

— Nie jestem pewna, czy dużo będzie tych jutrzejszych dni — odrzekłam. Chciałam to wypowiedzieć lekko, ale tutaj, na ciemniejszej wodzie, zabrzmiało to inaczej.

Potrząsnęła swą białą głową.

— W pewnych szpitalach są ludzie tacy jak ty — odpowiedziała. — Boję się ich jak samej śmierci. Nie są do ciebie podobni, **ale**

mówią te same rzeczy. Nie wybiegają myślą do przodu ani o minutę, ani o sekundę. Nje mają na co stawiać w przyszłości. Nie chcą jej. To mnie przeraża. Mówiąc tak, ty również mnie przerażasz.

— Powiedz mi, co takiego widzisz w tym jutrze? — zapytałam. — Co może zdarzyć się jutro, czego nie ma dzisiaj?

— Może jutro zobaczę z bliska kanadyjskie gęsi, może wygram na loterii, może któryś z chłopców ożeni się z Brooke Shields lub ludziki z Wenus wylądują na moim poletku tymianku — odpowiedziała. Mówiła to z prawdziwym przekonaniem. — Możliwości, Kate. Jutro ma wiele możliwości.

— Nie — odparłam niskim, zdenerwowanym głosem. — Jutro wiąże się ze śmiercią. Czai się w nim śmierć. Jutro nie przywróci Stephena. Ani Vinniego.

— Skąd, do diabła, to wiesz? — zapytała gwałtownie. — Nic nie wiesz! Nigdy nie będziesz wiedziała! Nie powinnaś się martwić o śmierć, Kate. Jeżeli chodzi o ciebie...

Nagle coś stuknęło o łódkę. Następny stuk rozległ się, zanim zdążyłam obrócić głowę. Usłyszałam, jak Cecie miękko westchnęła i wtedy je zobaczyłam. Łódka była okrażona przez wielkie, gładkie, mokre, szare, fokopodobne głowy, które podskakiwały i kołysały nami. Zaczęłam krzyczeć. Cecie położyła rękę na moim kolanie, aby mnie uspokoić. Dwie głowy wychyliły się z wody i spojrzały mi prosto w oczy przez dulki. Zobaczyłam szeroko rozstawione oczka, czarne niczym guziki, i zadarte ryjki stulone jakby do uśmiechu. Z otworów nosowych wydobywały się dziwne, delikatne i mokre oddechy silnie pachnące morzem. Delfiny. Okrażyły nas delfiny.

Wstrzymałam oddech, a Cecie powiedziała cicho: — Nie skrzywdzą cię. Są to najśodsze, najprzyjemniejsze stworzenia morskie. Są bardzo ciekawe. Chcą się zabawić. Siedź cicho i patrz, co się wydarzy.

Tak też zrobiłam. Było to nieprawdopodobne. Wyglądało jak cudowny, dziecinny sen lub przepiękna bajka. Delfiny wyczyniały cyrkowe figle, przyjaźnie poszturchiwały łódkę, lecz nie byłam całkowicie wolna od strachu i poczucia niesamowitości, gdyż były one tak wielkie i w dodatku znajdowały się tak blisko. Legendarne i mityczne potwory morza, równie dzikie co dobroczynne. Po prostu... czarujące.

Przypłynęło ich, jak policzyłyśmy, dwanaście. Dwanaście błyszczących, ogromnych stworów o mokrej bardzo gładkiej skórze. Wiem o tym, bo jednego dotknęłam. Wyciągnęłam prawą rękę i dotknęłam jednego z nich, gdy stawał dęba na wodzie i **patrzył**,

pozdrawiając mnie uśmiechem. Skóra jego była gładka jak szkło, twarda i żywa, niepodobna do czegokolwiek, czego dotychczas dotykałam. Wydawała się... wręcz transcendentalna.

— Och! — westchnęłam miękko. — Och! Och!

Przedstawienie to trwało pół godziny, dopóki nie zaczęły gasnąć zielone promienie światła. Delfiny pływały w szyku dookoła łódki. Zawracały w jednej linii i nurkowały w naszym kierunku jak artyści uprawiający balet wodny. Wyskakiwały parami i trójkami z wody, wynurzając się niemal w całości, uderzały ogonami i zapadały w głąb. Pływały też w szyku wstecz, gapiąc się na nas uporczywie. Wydawało się, że gdyby były na lądzie, tańczyłyby na swoich ogonach. Znowu zanurkowały i wypłynęły obok łódki, rozpryskując wodę szarymi gumowymi ogonami, wygięły się w łuki i unosząc się nad falami, bryznęły w nas całymi strumieniami wody. Gdy zaczęłyśmy klaskać, wyskakiwały jednocześnie w górę niby podwodne pociski. Gdy krzyczałyśmy, cofały się, aby później powrócić parami, czwórkami, szóstkami — cały czas w jednej linii. Przytykały głowy do łódki, popiskiwały, poświstywały, wydając też inne dziwne, niesamowite dźwięki. Czasami leżały cicho w wodzie, kładąc głowy na burtach łódki, i inteligentnie spoglądały nam w oczy. Wydawało się, że gdybyśmy chciały, mogłybyśmy wskoczyć do wody i pojeździć na nich. Śmiałyśmy się i śpiewałyśmy im, krzyczałyśmy i klaskałyśmy, pogwizdywałyśmy i pieściłyśmy ich skórę. Cecie objęła nawet jedną wielką głowę.

— Ondine — powiedziałam. — Prawdziwa Ondine.

Nagle wszystkie delfiny znikły. Uderzyły jeszcze raz ogonami i zanurkowały. Za chwilę ciemne satynowe morze stało się spokojne i ciche, jakby wokół nigdy nie było żadnych figlujących delfinów. Spojrzałyśmy na siebie. Obie płakałyśmy cichutko.

— Po to jest jutro — załkała Cecie. — Właśnie po to.

— Kocham cię, Cecie — wykrztusiłam i ucałowałam ją, przyciskając mocno do siebie.

— Ja też cię kocham — rzekła. Przez chwilę siedziałyśmy nieruchomo, tuląc się do siebie mokrymi od łez policzkami. Nigdy dotąd tego sobie nie mówiłyśmy. Spłynął na mnie dziwny spokój.

Wreszcie Cecie uruchomiła silnik, zapaliła główne światła i skierowała motorówkę w górę cieśniny, w kierunku przystani w Nag's Head. Pokonując ciemne błękity drogi powrotnej, nie rozmawiałyśmy ze sobą prawie wcale. Wkrótce po obu burtach łódki światła pojawiły się w Nag's Head i znalazłyśmy się w pobliżu świata ludzi.

— Czy im powiemy? — spytała Cecie, gdy skręciłyśmy na wschód i zaczęłyśmy zbliżać się do przystani.

— Nie — odpowiedziałam. — Lepiej nie. Myślę, że powinnyśmy zatrzymać to dla siebie.

— Też tak myślę — odpowiedziała.

Cecie zaczęła pogwizdywać przez zęby i nagle zachichotała w ciemności.

— Znasz Masłowa? Strasznie doświadczony facet. Powiedział, że najwyższe doświadczenie mówi o współzależności z harmonią istnienia. Napewno by pokochał te delfiny — dodała.

— To piękne — powiedziałam. — Bardzo piękna myśl.

— A niech tam... — odrzekła Cecie.

Gdy zbliżyłyśmy się do przystani, wskazała ręką na wschód.

— Widziałas to światło? To najwyższe? To studio w domu Ginger. Zakładałam się dziesięć do jednego, że stara Fig siedzi tam z teleskopem i podpatruje nas. Hej, Fig! — wesoło pomachała w ciemności.

Roześmiałam się.

— To dziwne. Skąd wiesz? Po co by to robiła?

— Ponieważ poszłam tam pewnego dnia, gdy jej nie było, i znalazłam teleskop Paula ustawiony w oknie tak, aby było widać dom, ogród, drogę dojazdową i przystań. Fig go tak ustawiła. Rozgląda się za tobą. Wstań, Kate, i daj się jej zobaczyć...

— Co u diabła...? — zapytałam.

— Wstań! — krzyknęła Cecie. Zrobiłam to. Łódka zakołysała się gwałtownie i zatoczyłam się. Starałam się opanować strach.

Cecie zarzuciła mi ramiona na szyję, mocno objęła i pocałowała w usta, a potem krzyknęła, obracając się twarzą do światła: — Patrz, Fig! Kate i ja jesteśmy lesbijkami! Za trzy dolary numer! Homoseksualne jak gęsi! Zawsze nas o to podejrzewałaś! Więc popatrz sobie, Fig Newton!

Wyciągnęła rękę i wykonała nią wymowny gest w ciemności.

Wybuchnęłam śmiechem. Śmiałam się tak żywiołowo, że nie mogłam przestać. Osunęłam się na ławkę, trzymając w objęciach Cecie. Pociągnęłam ją za sobą. Łódka zakołysała się gwałtownie. Cecie także zaczęła się śmiać. Płakałyśmy, jęczałyśmy i rechotałyśmy. Nie śmiałam się tak serdecznie od owych nocy w Randolph, dawno temu. Wtedy również śmiałam się z Fig Newton.

— *Uchaim*, stara Kate — szepnęła Cecie, gdy przystań wyłoniła się przed nami z ciemności.

— *Uchaim*, stara Cecie — odpowiedziałam.

Nadal chichotałyśmy, gdy wysiadałyśmy na piaszczystej plaży. Ginger zeszła niepewnie po żelaznych stopniach ze studia. Ubrana była w żółty jedwabny kaftan, który nosiła, kiedy znalazłam się tutaj po raz pierwszy. Włosy miała upięte na czubku głowy w błyszczący lakierem hełm, a cynobrowa szminka rozmazywała się idiotycznie w kącikach ust. Niosła w ręku pełny kieliszek i dwa razy się potknęła.

— Znowu razem! — powiedziała, łącząc ze sobą słowa i chichocząc. — Mam dla was niespodziankę. Chodźcie i same zobaczcie.

Coś ścisnęło mi z tyłu kark. Czułam, jakby zimny wiatr zmarszczył moją spaloną słońcem skórę.

— Co? — zapytałam podejrzliwie.

— Paul. Przyjechał, gdy was nie było — wesoło powiedziała Ginger. — Czeką na was w studio. Oczywiście czeka na was wszystkie.

Taki był koniec tego dnia.

Rozdział 14

Późną nocą nadeszły pierwsze zwiastuny sztormu. Długie, pierzaste chmury przesłaniały powoli wysoko zawieszony księżyc. Niegdyś ojciec Ginger pokazywał je nam o tej samej porze roku i na tym samym niebie. Leżąc w łóżku tak ułożyłam głowę na rozgrzanej poduszce, by móc obserwować morze i chmury przypominające warkocze srebrnych włosów miotane wiatrem w poprzek nieba. A może były to włosy syreny? Gdy opuszczaliśmy studio, udając się na spoczynek, Paul powiedział, że wszystkie syreny opuściły już Outer Banks, lecz — być może — nie odeszły zupełnie. Jeżeli można usłyszeć ich śpiew, to z pewnością w taką noc jak dziś, gdy pluskają się w srebrnym cichym morzu przed sztormem. Odwróciłam się na łóżku tyłem do okna i odrzuciłam przykrycie. Noc była cicha i parna. Od morza nie wyczuwało się najmniejszego powiewu. W zalanym poświatą księżycą pokoju brakowało powietrza mimo otwartego okna. Leżałam tak aż do jedenastej i nie mogłam usnąć. Wiedziałam, że już nie zasnę.

Tydzień się kończył. Dziewczęta września zdołały się rozejść, nim jeszcze naprawdę odjechały do swoich domów. Mogłyśmy pozostać tu jeszcze trzy dni, jak było uzgodnione, lecz nie byłybyśmy już tymi samymi młodymi dziewczynami. W tym wielkim domu, w Outer Banks, śmiałybyśmy się i spały, jadłybyśmy i piły, będąc już jednak całkiem innymi osobami. Pomyślałam, że lepiej, iż to się skończyło, nim rzeczywiście skończył się nasz pobyt. Nie wyobrażałam sobie, jak mogłabym wytrzymać do końca. Łączące nas spoiwo nie mogło już dłużej trzymać i rozsypało się. W świetle promieni księżycy nie leżała już teraz młoda Kate Lee ani też nawet

Kate Abrams. Nie znałam tej kobiety... bo była to z pewnością kobieta. Mroczne, dojrzałe i gwałtowne pożądanie rozpalało jej żyły bardziej niż nagrzana pościel.

Nie miało nic wspólnego z czułością, subtelnością czy intelektem. Po prostu chciałam pójść do ciemnego studia Paula Sibleya i kochać się z nim do utraty tchu, do całkowitego wyczerpania, po którym nastąpi śmierć.

Gdybym była przygotowana na spotkanie z nim, nie doznałabym tak głębokiego szoku i ukryłabym się w kruchej skorupce zadowolenia i beczasowości. Myślę, że gdybym otrzymała wcześniej jakiegokolwiek ostrzeżenie, wszystko ułożyłoby się normalnie. Ale nie było najmniejszego sygnału ostrzegawczego. Słowa Ginger rozbiły skorupkę, a jego widok dokonał reszty. Znowu stałam przed nim jak zawsze: naga, odarta z odzienia i narażona na ciosy całego świata, narażona jak pieszy na rozedrganym moście. Czułam, jak iskry życia przeskakują z jego ciała w moje, gdy mnie dotykał. Moje ciało reagoowało piorunami fluidów życia.

Pocałował mnie jedynie lekko w policzek, tak jak Cecie. Musnął ustami moją rozpaloną twarz i powiedział:

— Mój Boże, Kate, zawarłaś chyba pakt z diabłem! Wyjdź na chwilę z pokoju i nie wracaj, zanim nie postarzejesz się o dwadzieścia lat, tak jak my.

Głos Paula przeszył mnie do szpiku kości i ciągle dźwięczał mi w uszach, gdy odrzekłam:

— Hej, wspaniale znów cię tu spotkać!

Uśmiechnął się, bo gdzie indziej mielibyśmy się spotkać, jeśli nie w jego własnym białym pokoju nad morzem, nawet jeżeli nie jest już biały? Zrozumiałam, że mówię głupio i zarumieniłam się.

— Jeszcze to potrafisz! — odrzekł z uśmiechem i zasiadł w fotelu na biegunach przy kominku. Wtedy narodziła się we mnie ta kobieta, zdecydowana i głodna, której się bałam i której nienawidziłam. Była samym głodem i pragnieniem, strachem i złością; wgrzyzała się we mnie, wrzeszczała i szalała w środku mojego ciała.

Na zewnątrz tej kobiety uśmiechałam się ja, Kate. Rozmawiałam, piłam moją szkocką i słuchałam, jak Cecie, Fig i Ginger opowiadają mi o naszym tygodniu. Usiadłam jak najdalej od niego w głębokim skórzanym fotelu. Podciągnęłam nogi i objęłam je mocno rękami, aby nie zauważył, jak silnie bije moje serce.

Przypatrywałam mu się, gdy słuchał rozmowy, rozbawiony, ale uważny. Zmienił się; nie był to już ten energiczny młody architekt, którego pozostawiłam w Randolph. Był teraz bardziej masywny

i ciężki, lecz nie otyły. Tak jakby jego długie kości pogrubiały. Muskuły grały na jego rękach i szyi. Musiał być bardzo silny. Ładnie opalony, tak — opalony i masywny jak Ginger, ale oczywiście jemu było z tym do twarzy. Wiem, że Kate, którą kiedyś znałam, odczuła przykrość z tak niesprawiedliwego porównania. Jego czarne włosy znaczyły pasemka siwizny. Było to wstrząsające i widowiskowe. Nie potrafiłabym o nim zapomnieć. Wyróżniałby się w każdym tłumie. Zawsze tak było. Pod tym względem nic się nie zmienił. Jego obecność oczarowała nas, kobiety, jak coś niesłyszalnego, lecz istniejącego niczym przyczyna eksplozji.

— Wyglądasz jak arystokratyczny śmierdziel — powiedziała Cecie.

Roześmiał się. Miał lśniące białe zęby. Pod oczami znaczyły mu się bladożółte podkrążenia, a na czole i policzkach długie bruzdy, ale ciągle był w jakiś sposób tym samym młodym Paulem, który oszałamiał wszystkich swą muzykalnością, francuskim wykwintnym jedzeniem i winem. Pamiętam, że na jednym z takich przyjęć poznały go Ginger, Cecie i Fig. Tamta noc zmieniła wiele rzeczy.

— Wyglądasz jak Piotruś Pan cokolwiek starszy, lecz nie całkiem dorosły — powiedział. — Wyglądasz tak, jak przypuszczałem. Ty i Kate. Ja i Ginger nie sprawiliśmy się tak dobrze. A Fig... Cóż mogę powiedzieć? Czy to właśnie Fig widzę przed sobą?

— We własnej osobie — powiedziała Fig z gardłowym pomrukiem, jakiego używała wobec Poolie Prouta. Cecie uśmiechnęła się do mnie, a ja do niej. Byłam ciekawa, gdzie przebywa Poolie i w jakiej jest teraz kondycji. Bo Fig wyglądała wspaniale.

— Bardzo poważna osoba — odrzekł Paul. — Na szczęście byłem przygotowany na twój widok. Widziałem ciebie na milionach obwolut książek i w programach telewizyjnych. Ale Cecie i Kate...

Spojrzał na Cecie i popatrzył dłużej na mnie.

— Przygotuj nam kolejną rundę, kochanie — powiedziała Ginger. — Pójdę zrobić coś do żarcia.

Spojrzał ciężko na Ginger. Ja również. Była to w pewnym sensie trudna i nieprzyjemna sytuacja. Patrząc na nią, zawsze czułam falę ciepła i bezpieczeństwa, ale teraz nie pozostało nic z dawnej Ginger. Jeszcze mniej jej zostało od czasu naszego spotkania na schodach. Czyżby to było tylko kilka dni temu? Myślałam, że na dobre straciłyśmy tę smutną, rozbitą psychicznie i mocno umalowaną kobietę, lecz ona odnalazła się z powrotem. Uśmiechała się szeroko i natarczywie do swego męża. W biżuterii jej połyskiwały płomienie kominka. Umalowaną i zmienioną twarz okalały okropne, zmierzwione włosy,

a pod drobnymi bryłkami tuszu do rzęs błyszcząły oczy. Na czoło i górną wargę wystąpił pot, który plamił też pod pachami jej żółty/jedwabny kaftanik. Kołysała się lekko na obcasach złotych sandałów.

— Zrobię coś do przeżucia — powiedział Paul. — Nie chciałbym, abyś zeszała ze schodów głową w dół. Dobrze, że wygrzebałaś się z ostatniego upadku. Dziewczyny, zróbcie sobie następną kolejkę; ja chyba spasuję. Muszę wcześniej wstać. Przede mną długa droga.

— Nie zostajesz? — zapytała z nutą zawodu Ginger. Wydawało mi się, że w oczach zabłyśły jej łzy, choć może było to tylko pod wpływem alkoholu?

Potrząsnął przecząco głową:

— Nie mogę. Muszę być pojutrze w Alabamie na zebraniu dyrektorów, praktycznie o świcie. Przyjechałem tylko po kilka pełnomocnictw. Jutro będę jechał samochodem aż do północy. A pogoda nie zapowiada się dobrze. Z zatoki nadchodzi coś groźnego i dojdzie tu chyba jutro po południu. Wszyscy myślą, że pójdzie inną drogą, lecz to nieprawda. Mogłybyście pomyśleć o skróceniu pobytu i odjechać jutro rano, chyba że wytrzymacie sztorm. Może wiać tylko dzień, ale może to trwać również dwa lub trzy dni i zrobić nielichy rozgardiasz. Nie znacie Outer Banks we wrześniu.

— Och, nie! Nie wyjeżdżajcie! — zapłakała Ginger. — Jeżeli nawet rzecz się przedłuży, to zakopimy się tutaj przy ogniu, alkoholach i nagraniach. Będzie cudownie. Outer Banks słynie z huraganowych przyjęć...

— Nigdzie nie jadę — powiedziała rozmarzona Fig. — Uwielbiam oglądać prawdziwe sztormy z okna tego pokoju. Z innego też, oczywiście. — Uśmiechnęła się głupio.

— Poolie Prout został bliskim osobistym przyjacielem Fig — zachichotała Ginger. Był to śmiech głupi, wysoki i sztuczny.

— Mój Boże, Fig! Poolie Prout jest przecież tylko zwyczajnym śmierdzielem — uśmiechnął się Paul. — Jeżeli chcesz wdepnąć w coś niesmacznego i niezbyt zabawnego, zakręć się koło niego. Od wielu lat jest zwolennikiem federalistów i aktywnie działa na terenach wzdłuż tego wybrzeża. Jest to tylko kwestia czasu.

— Przyda mi się trochę morskiej soli w moim... eee... mięsie — odrzekła Fig.

— Słyszałem i wiedziałem — odpowiedział Paul uśmiechając się.

— To twoja sprawa. Kto nie ma dużego, solidnego samochodu, lepiej niech ucieka na złamanie karku. Czyj alfa tu stoi?

— Mój — powiedziałam. — Lecz chyba nie sądzisz...

— Lepiej wcześniej wyrusz w drogę, Kate — przestrzegł mnie.
— Ja nie żartuję. Podczas wielkich sztormów widywałem drogi nadbrzeżne zalane falami na wysokość metra. Pogonią cię w głąb lądu, jeżeli wiatr nie zepchnie ich do morza...

— Nigdzie nie wyjeżdżam — powiedziałam głośno. Serce mi łomotało, a w uszach czaił się lęk. W oczach miałam wielki most wyprężony w porannym powietrzu nad zatoką Chesapeake. Widziałam przewalające się przez niego fale deszczu tak wyraźnie, jakby to było w tym pokoju... Dziewczyna, która nie bała się mostu i była w nim niemal zakochana, teraz gdzieś odeszła. A tę nową kobietę oblewał zimny pot już na samą myśl o nim. Nie, nie mogę wyjechać. Wyjazd wymagał spotkania z mostem.

Głęboko w sobie poczułam tępy ból, jakby raniło mnie coś od środka.

— Nie — powtórzyłam z uporem.

— Och, będzie doskonale! — zaśpiewała Fig odmienionym głosikiem. Wszyscy spojrzeliśmy na nią. Jej twarz była rozpromieniona, oczy błyszczały, a drobne ciało zdawało się wibrować i migotać. Czuło się promieniujące z niej ciepło. Nikt nawet się nie odezwał.

— Tak pięknie, cudownie, świetnie! Tak jak tamtej zimy podczas śnieżycy, gdy zamknięto wszystkie szkoły. Pamiętasz, Effie, jak my, wszystkie cztery siostry, byłyśmy zamknięte w domu bez światła? Owinęłyśmy się w koce w pokoju twoim i Cecie, jadłyśmy jabłka i piłyśmy kawę zaparzoną na gorącej wodzie z kranu, a ty czytałaś przy latarce wiersze...

Był to głos prawdziwej Fig. Nie Georginy Staurt, lecz Fig Newton. Fig takiej jak niegdyś: piskliwej i zezującej... Co ją przywołało? Czyżby sztorm? Nie, to oczywiście Paul. Chyba ona dalej się w nim podkochuje.

Dlaczegoż miałoby się to zmienić? — pomyślałam gorzko.

— A więc dobrze. Wszystko ustalone. Oblejmy to! — zachichotała Ginger. Chwyciła ciężką butlę whisky Waterforda i upuściła ją na podłogę. Butla rozpadła się w bezlik kłujących odłamków, a bursztynowy płyn rozprysnął się dookoła. Zobaczyłam, że oblał jedwabiste piersi Fig i powoli spływał ze śniadej twarzy Paula. Nastała długa i straszna cisza. Widziałam, że Cecie zamknęła oczy. Fig przyglądała się jej z szerokim uśmiechem, a Ginger po prostu się rozpłakała.

— Przepraszam — jęknęła, patrząc w twarz Paula. — **Tak** mi przykro...

— Chodź, Gingerooney — powiedział obojętnie. — Zaprowadzę cię do łóżka, zanim rozbijesz cały barek.

— Och, nie, proszę...

— Chodź. Przyjęcie skończone — rzekł, ujmując śniadą dłońią jej przedramię. Ginger drgnęła, lecz nie opierała się.

— Trochę poczytam i też się położę — powiedział, spoglądając na nas przyjaźnie. — A wy bawcie się dalej. Rano zrobię naleśniki, jeżeli któraś z was wcześniej wstanie. To specjalność tego domu.

— Załatwione — odpowiedziała Cecie, a ja przytaknęłam jej. Ogarnęło mnie poczucie ulgi, lecz nowa kobieta, którą teraz jestem, zaczęła mnie zwodzić. — Nie odchodź! — krzyknęłam za nim w myślach.

— A pamiętasz syreny? — zapytała Fig swoim staro-nowym głosem.

— Pamiętasz, Ginger, że syreny śpiewają podczas sztormu, aby spowodować zatopienie statku? Może właśnie teraz je usłyszymy. Czy kiedykolwiek słyszałeś tu syreny, Paul?

— Ani razu — odpowiedział, odwrócił się i zaczął schodzić po zewnętrznych schodach, prowadząc przed sobą Ginger. Długo jeszcze słyszałam jej głos. Błagała jak mała dziewczynka. Natomiast jego głos w ogóle tu nie dobiegał.

— Kto pije ze mną? — zapytała pogodnie Fig.

— Może ja, jeszcze jednego — odpowiedziała Cecie.

Byłam zaskoczona; Cecie piła rzadko i nie widziałam, aby poszukiwała towarzystwa Fig. Ale zaskoczenie to zostało szybko stłumione i okazało się, że nowa kobieta we mnie miała inną namiętność.

Zamknij się! — krzyknęłam w głębi samej siebie, zakłócając tę ciłą gęstą noc, i pomaszerowałam przez cały hol dużego domu wprost do mojej sypialni. Zatrzasnęłam drzwi i wczołgałam się do białego łóżka, nie myjąc twarzy i nie nakładając koszuli nocnej. Nie mogłam już z nimi pić. Ale i nie miałam też nadziei na sen.

Wstałam około trzeciej nad ranem, naciągnęłam sukienkę i wyszłam na przystań. Wiem, że była to trzecia, bo słyszałam ten okropny zegar z kukułką, który stoi w kuchni Ginger. Cecie położyła się godzinę temu lub wcześniej i zapytała mnie, czy jeszcze nie śpię. Nie odpowiedziałam jej. Ani młoda Kate, ani nowa kobieta nie miała tej nocy nic do powiedzenia. Niech już wszystko się wreszcie skończy... Cecie poruszyła się i nie powiedziała nic więcej. Usłyszałam jej miarowy oddech, co oznaczało, że znowu zasnęła. Teraz, gdy

przechodziłam obok jej łóżka, poruszyła się, lecz się nie obudziła. Ciekawa byłam, jak ona sobie radzi z horrorami kobiety w średnim wieku, które mrozą krew w żyłach i chwytają za gardło. Może ma tylko same przyjemne sny, a może w ogóle ich nie ma... Myślę, że gdyby ktoś mógł być od nich wolny, to byłaby to właśnie Cecie Hart Fiori. Nocne horrory dotyczą śmierci. A Cecie była samym życiem, bardziej niż ktokolwiek inny.

Noc na przystani okazała się jeszcze ciemniejsza. Chmury zastygły nad księżycem i wybrukowały całe niebo. Płynęły wolno szare, poszarpane, przetykane w głębi pasmami srebra. Tam, gdzie morze rozpalało zimne srebro, widać było teraz niepokojące odcienie ołowiowo-cynowe. Wiatr był jakiś dziwny; szeptał i jęczał, ucichał zupełnie i znowu się budził. Noc przenikała chłodem, w przeciwieństwie do gorącego i wilgotnego wiatru, niosącego jakby zapach tropikalnych drzew.

Zamierzałam zejść na brzeg morza, ale księżyc, zasłonięty przez stada szarych chmur, oraz niesamowite, ciche pojękiwania ciepłego wiatru zamieniły plażę w straszne miejsce. Przypomniałam sobie filmowy horror z lat dziecińczych, *Spacer z żywym trupem*, w którym ciepły wiatr zawodził nad czarnym, tropikalnym morzem, a wychudły i czarny „żywy” trup-gigant laźł i laźł po plaży, powłócząc ogromnymi nogami. Dzisiaj wiatr był taki sam. Odwróciłam się od wydm i od morza i obeszałam przystań dookoła, znajdując olbrzymi hamak ukryty głęboko pod okapem. Zakończę tutaj noc na oczekiwaniu świtu.

Rzecz jasna on tam był. Wiedziałam, że tam będzie. Przynajmniej wiedziała o tym nowa kobieta znajdująca się we mnie; przeczuwała to wierzchem swoich dłoni, miękkością stawów biodrowych i kolanowych. Widziałam tylko jego cień na tle szarości oraz lekkie ruchy hamaka. Nie było jednak wątpliwości, kto to taki. Zawróciłam w dzikim popłochu w kierunku domu, lecz on usłyszał stąpanie mych bosych stóp i zobaczył mnie.

— Nie odchodź — zawołał miękko. — Siedzę tutaj od dwóch godzin z nadzieją, że przyjdiesz. Zostań. Porozmawiamy chwilę.

— Nie mogę — odpowiedziałam. — Muszę iść...

— Przyszłaś tutaj i jesteś — odpowiedział Paul uśmiechając się. W ciemności zobaczyłam błysk jego zębów. — Chodź tutaj. Nie mam zamiaru cię napastować. Tym razem nie będzie wypadania z hamaka. To inny hamak.

Podeszałam i usiadłam obok niego na zielonym bostońskim fotelu bujanym. Paul wyciągnął się wygodnie w hamaku, podkładając

ręce pod głowę. Był ubrany w szorty i biały sweter. Stopy miał bosc. W ciemności wyglądał na trzydzieści lat. Nie usiadł, lecz tylko odwrócił do mnie głowę.

— Nie możesz zasnąć — powiedział. Nie było to pytanie, lecz raczej stwierdzenie.

— Nie. Jest tak duszno i wiatr tak dziwnie wyje. Od czasu, gdy tu jestem, po raz pierwszy jest tak strasznie gorąco.

Wydało mi się, że zabrzmiało to zbyt sztucznie i zaczerwieniłam się. Nie mógł tego zobaczyć, ale usłyszałam jego miękki śmiech.

— To tropikalne powietrze napływające z zatoki — odpowiedział. — W takich przypadkach dwanaście lub czternaście godzin później zawsze nadchodzi sztorm. Ten huragan nie będzie chyba wielki, niemniej pragnąłbym, abyś zabrała się stąd jak najwcześniej rano.

— Wszystko będzie dobrze — powiedziałam. — Mogę zjechać tutaj z innymi. Potrafię prowadzić samochód w każdych warunkach. Czasami u siebie, na Long Island, też miewamy podobnie nieokrzesany wiatr północno-wschodni.

— Ty i te twoje sportowe wozy... — odpowiedział. — Nigdy nie zapomnę tego małego MG. Long Island... czasami nie wyobrażam sobie twojej osoby w tamtej części świata. Byłaś zawsze dla mnie kwintesencją Południa. Ale w końcu masz swój ocean. Cieszę się, że nie pozbawiłem cię przynajmniej tego.

— Paul...

— Nie martw się, Kate. Jakoś damy sobie radę. Miałem jedynie na myśli, że masz życie, na które zasłużyłaś. Jak mi opowiadała Ginger, wszystko osiągnęłaś własną pracą. Chciałbym poznać twojego Alana. Słyszałem o twoich sukcesach: Abrams i Abrams. To naprawdę ładna rzecz, Kate Lee. Znacznie bardziej niż ładna. Wiesz co? Przez długi czas nie wiedziałem, że drugi Abrams to ty. Straciłem cię ostatecznie...

Załamiał się i powtórzył miękko:

— Zupełnie straciłem.

Ciepło zrodziło się w moim łonie i popłynęło wzdłuż nóg i rąk. Ramiona miałam jak z ołowiu. Zawsze tak działał na mnie jego głos.

— Skąd wiesz o tym wszystkim? — zapytałam. „Trzymaj się od tego z daleka...” — poradziłam sobie w myślach.

— Przypuszczam, że Fig powiedziała to Ginger, a ona mnie. Chyba Fig interesowała się tobą przez jakiś czas.

— A co myślisz o niej — zapytałam pogodnie — jako o żyjącej legendzie? — Przynajmniej było to bezpieczne pytanie.

— Co można myśleć o kobiecie, która kompletnie sama siebie stworzyła, włączając w to twój nos? Tak jest, przecież wiesz. Ona wypoczywa chyba tylko ósmego dnia tygodnia. Wydaje mi się, że ją podziwiasz i to w taki sposób, który mnie razi. Zawsze była... nieubłagana, jak mi się wydaje. Nigdy nie wątpię, że zawsze zdoła osiągnąć to, czego zapragnie.

Roześmiałam się. Zabrzmiało to całkiem naturalnie.

— Nie wszystko — sprostowałam. — Póki co, pragnęła ciebie bardziej niż kogokolwiek. Z jej dzisiejszego zachowania wnioskuję, że w dalszym ciągu pragnie. Myślałam, że staniesz się kością niezgody między nami wszystkimi.

Roześmiał się i on.

— Tak samo Cecie — powiedział. — Cały czas siedziała blisko Fig, aby ją mieć w zasięgu ręki.

Ogarnęło mnie rozbawienie z powodu odkrycia nowej miłości Cecie.

— Nieprawdaż? — powiedziałam. — Trochę się tym zdziwiłam. Maleńka stara Cecie siedzi i przełyka z trudem drinki, aby nie usnąć, i wypatruje oznak zainteresowania Ginger.

— Nie wydaje mi się, aby wypatrywała oznak zainteresowania ze strony Ginger — powiedział Paul.

— Nie myślałam nic złego, Paul — powiedziałam.

— Wiem, przepraszam — odrzekł. — Opowiedz mi o swoim życiu. Powiedz mi, co porabiasz.

— Przecież widzisz — rzekłam. — Nic się nie zmieniło. — Oddychałam z trudnością. Jego ciało, ledwie widoczne w ciemności, działało na moje jak magnes, lecz przestrzeń między moimi rękami i nim wydawała się ogromna, zimna i obca.

— Och, Katie, wszystko, wszystko się zmieniło — powiedział.

— Opowiedz lepiej o sobie — poprosiłam desperacko. — Opowiedz, co robisz. Oprócz bycia przemysłowcem. Ginger mówiła nam trochę o tobie. Podobno właśnie potroiłeś produkcję młynów. Jesteś strasznie bogaty?

— Okropnie — przyznał. — A co porabiam? Jeżeli mnie nie ma w Alabamie czy w Norfolk, to coś kombinuję tutaj. Dużo poluję i łowię, biegam po plaży, szybuję na lotni nad przepaścią i siedzę dużo w wodzie. Głównie łowię. Pamiętasz stary motel, który napotkaliśmy, przyjeżdżając tu po raz pierwszy?

— „Carolina Moon”?

— Tak. Znajduje się pośród najlepszego łowiska na Wschodnim Wybrzeżu. Ryby, Pamlico i ocean ściągają tam ludzi z całego świata.

W „Carolina Moon” mam nawet swój stały pokój. Przyjeżdżam i odjeżdżam, kiedy mi się spodoba. Tam rzeczywiście nie ma nic dookoła. Znam wielu chłopców od Miami do Bangoru gotowych mnie zamordować z powodu tych kluczy.

— Ten motel przysłał mi teraz cały mój pobyt tutaj — westchnęłam lekko. — Niezrównany Poolie Prout mówił dziś, że on również ma w nim stały pokój.

— Taaak... — powiedział Paul. — Ale nikt na niego nie zwraca uwagi. Właściciel motelu, Ed Tinsley, wie piekielnie dużo o jego kombinacjach tu i tam, ale się nim nie przejmuję. Połowę czasu Eda w ogóle tam nie ma. Bywamy tam, kiedy się nam podoba, a raz do roku płacimy mu szmal. Ale ja jestem zadowolony, gdy rozmijam się również i z Pooliem.

— Trudno myśleć o tobie jako o sportowcu, myśliwym czy wędkarzu — powiedziałam. — W szkole byłeś tak absolutnie jednostronny. Opowiedz lepiej o Fig...

— Hm. Przecież wiesz. Jako rodowici Amerykanie mamy to we krwi — odpowiedział.

— Nie projektujesz już więcej? — spytałam.

Milczał przez chwilę i zrozumiałam, że palcem dotknęłam mu serca. Chciałam sobie odgryźć język.

— Gdy tylko zdobyłem pieniądze, nie potrafiłem więcej — odpowiedział. Jego głos wydawał się daleki. Odwrócił głowę w kierunku morza. — Straciłem dużo czasu, aby zrozumieć, że palę się do robienia pieniędzy, a nie domów. Byłem przez jakiś czas bardzo rozgoryczony; obwinałem o to wszystkich. Obwinałem również Ginger. Było to dla niej bardzo krzywdzące. Obwinałem córki. Nie było to dla nich łatwe. Ale w końcu ulokowałem winę tam, gdzie powinna się znaleźć. Żałuję tylko, że nie znałem siebie wcześniej. Powinienem studiować księgowość i zaoszczędzić sobie mnóstwa zgryzot.

Jego głos był suchy i w jakiś sposób martwy.

— Myślę, że doskonale znasz samego siebie — odpowiedziałam. Jego martwy głos przenikał mnie boleśnie. — Byłeś najlepszym architektem, jakiego kiedykolwiek znałam.

— Jestem chyba lepszy w robieniu pieniędzy — odburknął.

Siedzieliśmy w milczeniu. Rozmyślałam gorączkowo, co by tu jeszcze powiedzieć, aby w ciepłej głębi mojego ciała nie wzbudzić bolesnego skurczu.

Nie mogłam wymyśleć nic bezpiecznego. Lecz jeszcze niebezpieczniej było milczeć w ciemności, wśród poszumu morza.

— Jak wiesz, to nie wystarcza — powiedział rzeczowo. — I nigdy nie wystarczało.

— Wcale nie... — wyszeptalam. Mógł mnie nie usłyszeć.

Odwrocił do mnie twarz i uśmiechnął się. Znowu zobaczyłam błysk jego zębów i coś więcej: blask łez na jego twarzy. Znalazłam się przy jego hamaku wcześniej niż zrozumiałam, iż opuściłam fotel. Objęłam go ramionami, przyciągnęłam jego głowę do moich piersi, a on po prostu dotykał ich poprzez cienki materiał sukienki i siedział spokojnie. Poczułam, że jego usta przyciskają się do mojej skóry, a palce poruszają się powoli na moich sutkach. Pomyślałam, że mogę umrzeć od niezwykłości jego dotyku. Pamiętam to uczucie; nigdy mnie nie opuściło, lecz leżało gdzieś w głębi mnie jak nasienie rośliny, która rozkwitła wiele, wiele lat później. Gdy poczułam jego oddech w zagłębieniu szyi i ciepły, mroczny zapach jego ciała, coś wewnątrz mnie się rozwiązało, roztopiło i zaczęło palić.

— Zrobiłem największy błąd mojego życia, gdy pozwoliłem ci odejść, i od tamtego dnia codziennie płacę za to każdą upływającą minutą — powiedział. Jego głos był przytłumiony przez moje ciało. Czułam jego krótki oddech.

— Nie, nie, nie... — zawodziła Kate. — Tak, tak, tak... — krzyczała nowa kobieta w ekstazie triumfu. — Tak...

— Próbowałem przerobić Ginger na ciebie — powiedział. — Chciałem, aby ona stała się dla mnie tym, czym ty byłaś, ale ona tego nie umiała. Kate, ona nigdy nie wyrosła. Nie mogłem nic zrobić. Niemal nas to zabiło, ale nie przestawałem jej tyranizować. Popatrz na nią, popatrz, co stworzyłem, próbując przywrócić ciebie! Ona o tym wie, ale tylko do pewnego stopnia; nie może znieść samej siebie i pije, pije... Jeżeli przestanie, wyrosła i zrozumie, kim jest jej mąż i dlaczego się z nią ożenił...

Podniósł głowę i spojrzał na mnie.

— Oddałbym resztę swego życia na tej ziemi, aby cię osiąść właśnie teraz — powiedział.

Odkoczyłam od hamaka i oparłam się o ogrodzenie przystani. Odzienie spadło ze mnie, a on przyglądał mi się. Nieomal czułam dotyk jego wzroku.

— Mój Boże! — powiedział. — Mój Boże!

Nogi zrobiły mi się jak z waty i nie mogły mnie już podtrzymywać. Owinęłam się sukienką. Mogłam go pociągnąć za sobą na deski przystani, wchłonać go pospiesznie i natychmiast umrzeć od drżącego spełnienia. Pragnęłam tego tak gwałtownie, że drżałam, jak gdybym przemarzała do szpiku kości. Wydawało się, że mój

ochrypły i chropawy głos wydobywał się przez gorące gardło innej osoby.

— Nie. Wracam do środka. To jest niedobre. Wracam do domu... Straciłeś to trzydzieści lat temu, Paul. Mam do kochania innego mężczyznę, a ty podobno kochasz inną kobietę. Nie sposób zawrócić...

— Nie! — powiedział, dysząc głęboko. — Nie mogę zawrócić, lecz możemy pójść do przodu, Kate. Możemy to zrobić. Możemy... Żyłem trzydzieści lat bez życia. Co ty sobie wyobrażasz, że co Ginger mi daje? Pieniądze? Nie potrzebuję więcej pieniędzy. Obojętnie, ile czasu mi zostało, chciałbym go przeżyć, przeżyć z tobą...

— Wcale tak nie jest.

— Wiem, że ty tak samo pragniesz mnie, jak ja ciebie. Czuję to w każdym calu twojego ciała.

— Mylisz się — zaprzeczyłam.

— Ależ nie, Kate. Przynajmniej na jedną noc, Kate. Przynajmniej tyle. To mi pozwoli żyć następne trzydzieści lat...

— Nie! Nie! Nie! Tak nie można!

— Słuchaj, Kate, jutro rano... powinienem jechać do Alabamy. Zadzwoń do nich i powiem, że nie mogę się przebić przez sztorm. Pojadę w dół do Avon, do motelu. Wyjadę wcześniej; każdy pomyśli, że pojechałem do pracy. Powiesz im, że zdecydowałaś się zmierzyć ze sztormem i wyjedziesz w południe. Przyjedziesz do motelu. Zajmie ci to tylko kilka godzin; sztorm nie powinien być jeszcze zbyt silny, tylko trochę deszczu... Przyjedź, Kate. Bądź razem ze mną w motelu „Carolina Moon”. Zamierzałem zabrać tam ciebie w noc poślubną. Zamiast tego będziesz miała tę noc. Popołudnie i noc, i następny poranek, sami podczas sztormu...

— Nie zrobię tego — odpowiedziałam.

— Skręć za ostatnim domem w kierunku oceanu — powiedział. — Zobaczysz tam mój wóz. Nie potrzebujesz przechodzić obok biura, chociaż Eda i tak tam nie będzie. Zawsze ucieka przed sztormem w głąb lądu i pije. Prawdopodobnie nikogo więcej podczas sztormu nie będzie. Będę na ciebie czekał.

— Nie!

— Ja i tak tam pojadę — odpowiedział. — Będę tam od jedynej nastej. Rozpalę w kominku, schłodzę szampana, przyniosę trochę kanapek i radio. Zdejmę też ubranie i będę cię oczekiwał w łóżku. A kiedy wejdiesz... pamiętasz, Kate Lee? Miałaś zwyczaj wrzeszczeć jak szalona. Błagam cię, nie rób tego. Tym razem sam sprawię, że będziesz krzyczeć jak szalona, Kate Lee...

Odwrociłam się i pobiegłam do domu przez hol.

— Przyjeźdź, Kate! — usłyszałam za sobą jego okrzyk.

Wlazłam do łóżka i naciągnęłam przykrycie na głowę. Leżałam jak skamieniała kłoda, wstrząsana dreszczami i zwykłym, strasznym pragnieniem. Tej cichej i gorącej nocy mocno się spociłam, a sądzę, że i sporo płakałam. Ale spod pościeli nie wyszłam. Obok mnie, w innym łóżku, grzecznie spała Cecie, odwrócona do morza, z piąstką pod policzkiem. Postanowiłam leżeć tak długo, aż ona się rano ubierze i opuści pokój; będę udawać sen, nie poruszę się. Będę leżeć tak długo, aż on wyjdzie. Nie będę reagować na czyjekolwiek wołanie. Gdy tylko Cecie wyjedzie, zamknę drzwi, aby nikt mnie nie budził. Ubiorę się i wyjdę z pokoju dopiero wtedy, gdy uzyskam całkowitą pewność, że on wyjechał. A wtedy spakuję się i pojadę do domu. Lub... do mostu. Dobrze więc, do mostu. Ta podróż jest już skończona.

Nie myślałam, że mi się to uda, lecz w końcu zasnęłam o szarym świcie.

*

Obudziłam się o szarówce, gdy wielkie krople deszczu uderzały nierównomiernie w dach, a do drzwi dobijał się Paul wołając:

— Kate, Kate! Do diabła, wstawaj! Telefon do ciebie...!

Był jednocześnie zdenerwowany i rozbawiony. Zwykły poranny głos. Przeciągnęłam się, czując każdy cal mego ciała, nasłuchując odprężającego chrzęstu stawów. Uśmiechnęłam się, nie otwierając oczu. Głos Paula o poranku i deszcz bijący o dach...

Obudziłam się.

— Nie chcę śniadania! — krzyknęłam. Serce zaczęło mi łomotać. — Chcę jeszcze trochę pospać...

— Twój mąż dzwoni do ciebie. Jest teraz gdzieś poza domem! — odrzyknął Paul. — Powiedział, żeby cię wyciągnąć z łóżka! Musi z tobą natychmiast porozmawiać!

— Och... Jedną minutkę! — odpowiedziałam rozdrażniona i zaniepokojona. Nie chciałam widzieć Paula ani rozmawiać z Alanem. Alan...

Naciągnęłam figi i koszulę i podreptałam boso do kuchni, w której znajdował się telefon. Gdy wchodziłam, moje ręce automatycznie wiązały potargane włosy.

— Zostaw te włosy. Chcę zobaczyć, czy masz trochę siwych — powiedział Paul.

Uśmiechał się. Był to przyjemny, lekki uśmiech. Włożył szare ** flanelowe spodnie i włochatą niebieską koszulę z Oksfordu pod szary żeglarski sweter. W jego włosach widoczne były mokre ślady od grzebienia, a twarz błyszczała po świeżym goleniu. Oczy były dobre i czyste. W rękę trzymał łyżkę do naleśników. Cecie i Fig siedziały przy kuchennym stole i zajadały owe naleśniki. Nigdzie jednak nie było widać Ginger.

Skinał łyżką w kierunku telefonu i spytał: — Naleśnika? — Kiwnęłam potakująco głową i podniosłam słuchawkę.

— Alan? — zapytałam.

— Kate — odpowiedział dźwięcznym, zda się rzeczowym tonem, jakiego używał, gdy miał głowę pełną planów i pomysłów. — Kate, chcę, abyś wróciła do domu. Dzisiaj. Wystartuj, jak najszybciej możesz. Chciałbym, abyś była z powrotem jak najwcześniej. Ten sztorm...

— No tak. Dzień dobry, kochanie — powiedziałam. — Dziękuję ci. Cudownie spędzamy tu czas. Żałuję, że nie jesteś teraz z nami.

— Na miłość boską, Kate! Przykro mi, ale jestem na Manhattanie i ktoś tutaj również czeka na telefon. Nie mam czasu... Czy możesz być już w drodze o dziesiątej? Właśnie minęła dziewiąta.

— Dlaczego nie, myślę, że mogłabym — odpowiedziałam przeciągle. — Ale do diaska, po co? — Alan wiedział, że nienawidzę, gdy ktoś mnie przynagla w taki sposób. Co mu się stało?

— Dlatego, że straszny huragan czy coś takiego idzie prosto na ciebie — a ponadto umówiłem się jutro w południe z Carterem Hilliardem. Może cię przyjąć tylko wtedy albo dopiero w końcu października. Nie zamierzamy przecież czekać aż tak długo.

— Carter Hilliard... Nie! Nie przyjeżdżam! — odrzekłam. — Nie mam zamiaru go oglądać. Chcę się spotkać z Johnem McCrackenem, ale nie wcześniej niż w środku miesiąca. Nie miałeś prawa umawiać mnie z Carterem Hilliardem...!

— Wpadłem na Johna wczoraj w Jacht Klubie na obiedzie i powiedziałem mu o tych głupstwach z... nawrotem choroby — odpowiedział Alan. Jego głos złagodniał tak, jakby mówił do krnąbrnej dziewczynki. Tego głosu też nie lubiłam. — Powiedział, że także uważa to za głupstwo, ale chciałby, abyś spotkała się najpierw z Carterem, a dopiero później z nim. Mówił, że takie nieokreślone odczucia mają często racjonalne uzasadnienie. Zadzwoił do Cartera, a ten

powiedział, że może się z tobą spotkać, ale tylko jutro rano. Pojutrze zamierza wyjechać na urlop. A więc ruszaj w drogę i będziemy mieli to za sobą. Gdy przyjedziesz nocą, będę już w domu. Rano cię podrzucę na tę wizytę.

— Nie jadę — odrzekłam. Wszyscy tu zostają jeszcze trzy dni. Nie mogę uciec... To nie będzie wielki sztorm. Nikt tutaj się nie boi...

— Carter może zobaczyć się z tobą tylko jutro. Kate, czy mnie słyszysz?

— Więc poczekam na spotkanie z Johnem, tak jak zamierzałam — odpowiedziałam. — Nie rozumiem cię, Alanie. Wcześniej nie przejmowałeś się. Mówiłeś, że jesteś pewny, że to nic poważnego, a teraz ciągniesz mnie, jakby od tego zależało całe moje życie...

„I chyba zależy” pomyślałam. „Ale nie w taki sposób, jak myślisz.” Znowu pomyślałam o moście, o moście w deszczu, o moście w huraganie, o moście w różowości świtu, o moście w słodkości nieujarzmionej przestrzeni...

„Nie teraz”, powiedziała do mnie nowa kobieta i do mężczyzny na drugim końcu linii. „Nie teraz, gdy żyję nowym życiem, gdy spalam się żywcem i rozświetlam wszystko dokoła. Nie teraz...”

— Poczekam do niedzieli — odpowiedziałam. — Tak postanowiłam i tak zrobię. Przepraszam. Zadzwoń do Cartera lub ja tam zadzwonię.

— Czy on też zostaje tak długo? — zapytał Alan.

— Kto? — zapytałam uczciwie.

— Przecież wiesz, Kate. Twój stary przyjaciel. Ten z tym głosem, który usłyszałem w słuchawce. Mały bóbr, Paul Doskonały, czy jak go tam nazwać. Myślałem, że jego nie będzie w rezydencji. Domyślałem się, że zmienił poglądy. Ciekawe, czy ty też.

Zalała mnie wściekłość. Oczy wypełniły łzy złości.

— Nie, nie zmieniłam. Ale mam jeszcze trzy dni do podjęcia decyzji, nieprawdaż? — krzyknęłam i odwiesiłam słuchawkę. Odwróciłam twarz do Paula, Cecie i Fig.

— Przepraszam — powiedziałam. — On chce, abym wyjechała do domu już teraz, aleja nie chcę. Czarująca scenka małżeńska przed śniadaniem...

— W porównaniu do nieporozumień moich z Winnie wyglądało to na japońską ceremonię picia herbaty — odpowiedziała Cecie z poczuciem humoru i dalej zajadała naleśniki z gorącą czekoladą.

— Podaj talerz, Kate, to ci rzucę jednego — powiedział Paul. — Nie zamierzasz chyba załamać się zaraz po śniadaniu.

Zjadłam naleśniki i wypłam czekoladę, nie patrząc na niego. Fig pociągała czekoladę i bacznie się nam przyglądała. Ciągłe miała drgawki czy coś takiego... z trudem skrywane, pełzające po niej jak języki ognia, który trawił ją poprzedniej nocy. Rano coś w kółko mruczała pod nosem. Gdy odwiesiłam słuchawkę, uśmiechnęła się do mnie promiennie, tak jakbym coś dobrego dla niej zrobiła, coś delikatnego i spełnającego. Entuzjastycznie potakiwała Paulowi, potrząsając głową niczym dziecko. Ciężkie żółtawobrazowe włosy falowały w górę i w dół.

— Słuchasz Paula, Effie — wymamrotała. — I wysłuchałaś męża. Wszyscy cię kochamy, ale w drodze do domu nie powinnaś narażać się na niebezpieczeństwo. Ten głupi maleńki samochód będzie fruwał, jeśli poczekaś dłużej. Słyszysz, jak wiatr się już wzmacnia?

Tak było rzeczywiście. Spienione fale wymieszane z piaskiem sięgały grzbietów wydm i wirowały w gwałtownych podmuchach. Towarzyszyły im silne strugi deszczu. Wszystko inne przycichło, lecz ja ciągle słyszałam ten dziwny jęk, który rozpoczął się wczoraj. Morze nie było jeszcze nazbyt wzburzone, ale w oddali powstawały już wielkie, wolno toczące się fale. Miałam wrażenie, że to bóle porodowe czegoś monstrualnego.

— A ty, Cecie? — spytałam — Za czym głosujesz?

— Tkwij tutaj — odpowiedziała. — Do jutra rana wszystko się skończy. Pobiję cię w szachy i dziś wieczorem zrobię ci pastę *fagioli*.

Spojrzałam na Paula. Uśmiechnął się mile i wziął ode mnie pusty talerz.

— Decyzję zostawiam tobie — odpowiedział. — Sama wiesz, co o tym myślę. No, dobrze, moje panie. Muszę wybywać, aby to najgorsze dopadło mnie daleko od wybrzeża. Nie mówię „żegnajcie”, bo liczę, że się jeszcze nieraz spotkamy. A teraz pozbieram od was całusy. Komu w drogę, temu czas.

Podchodził do każdej z nas, delikatnie całował i przytulał. Cecie uśmiechnęła się i lekko odwróciła głowę. Gdy przytulił Fig, jej twarz przypominała oblicze nowicjuszek składającej śluby zakonne. Przypomniała mi się młodzianka Fig, jak unosiła twarz podczas inicjacji w klubie „Tri Omega”. Płonęła silnym, gwałtownym ogniem uduchowienia. Gdy jego usta dotknęły jej ust, przytknęła oczy.

Podszedł do mnie, objął i pocałował w czoło. — Zobaczymy się, Kate Lee — powiedział, poklepując mnie po tylnej części ciała. Zabrał płaszcz przeciwdeszczowy i teczkę, po czym wyszedł z kuchni. W chwilę później usłyszałyśmy, jak uruchomił wielkiego mercedesa i wyjechał z porzutej koleinami dróżki.

Popatrzyłyśmy po sobie w tej cichej jasnej kuchni. Uśmiechnęłyśmy się. Wydawało się, że atom wyrwany został ze swojej orbity przez jakąś wielką siłę, która przemknęła i znikła.

— *Gdy zawołam cię* — zaśpiewała nagle Fig wysokim sopranem — *nie mów nigdy nie...*

Popatrzyła na nas i nieznacznie się uśmiechnęła.

— Słyszałam śpiew syren — dodała. — Ty też słyszałaś. Ostrożnie jedź do domu, Effie Lee, abyś przez przypadek nie została rozbitkiem — zachichotała i roześmiała się głośno.

Do kuchni weszła, powłócząc nogami, Ginger. Na gołe ciało narzuciła jedwabny szlafrok; widać było, jak przelewają się pod nim jej wielkie, miękkie wdzięki. Przez cienki materiał prześwitywały szerokie ciemne obwódki wokół jej sutków. Włosy miała w dzikim nieładzie, a twarz spuchniętą i bladą. Założyła okulary przeciwsłoneczne. Bił od niej odór nie przetrawionej whisky.

— Czy Paul już odjechał? — wymamrotała, otwierając lodówkę i zaglądając głębiej. Nie spojrzała na mnie. Nie spojrzała na nikogo.

— Tak. Właśnie się z nim minęłaś — odrzekła Fig. — Namawiamy również Effie Lee, aby wyjechała. Dzwonił do niej Alan i praktycznie rozkazał wracać do domu.

— Dobry ruch — powiedziała Ginger Fowler Sibley, trzymając ciągle głowę w lodówce.

Cecie wykonała wdech, a błogi uśmiešek Fig wyraźnie się nasilił. Poczułam, jak twarz mi sztywnieje i robi się gorąca. Nie mogła podsłuchać nas w nocy. Nie powinna...

Odwrociłam się i poszłam do swojego pokoju, aby się spakować. Zajęło mi to tylko kilka minut. Gdy wróciłam do kuchni, Ginger już nie było.

— Ma kaca — powiedziała Cecie, przypatrując mi się z zażenowaniem. — Poradziłam jej, aby poszła do łóżka, rozumiesz, a ty zadzwonisz do niej, gdy już dojedziesz do domu, dobrze?

— Oczywiście — odparłam. — Chociaż może dopiero za kilka dni. Alan załatwił mi pewne spotkanie na Manhattanie jutro z samego rana, a dojadę tam późną nocą, więc nie będę miała chyba czasu od razu zadzwonić.

Gdy opuszczałam kuchnię, Fig mocno mnie objęła i szybko pocałowała w usta. Lekko rozchyliła wargi. Poczułam, jak jej paznokcie wbijają mi się w żebra. Potem odsunęła się do tyłu śmiejąc się, drżąc i mrużąc.

— Szczęśliwej drogi, Effie Lee — powiedziała. — Teraz, gdy cię znaleźliśmy, nie pozwolimy, abyś znowu zniknęła.

Cecie rzuciła mi się w ramiona i stałyśmy cicho, obejmując się wzajemnie. Mój policzek spoczywał na jej lokach.

— *Toujours gai* — wyszeptałam w jej włosy. Czułam w nich słońce i sól moich łez.

— *Toujours gai* — odpowiedziała. — Mimo wszystko zadzwoni do nas. Uważaj, stara. To długa droga.

— Pożegnaj ode mnie Ginger — poprosiłam ją i wyszłam z kuchni. Ominięłam przystań i zeszłam do samochodu. Jeszcze i łzy zalewały mi rozpaloną twarz, a w gałęziach pobliskich drzew śpiewał wiatr. Nie widziałam horyzontu. Nie można było w oddali oddzielić morza od nieba. Wrzuciłam torbę na tylne siedzenie i przystanąłam na chwilę, spoglądając jeszcze raz na wielki czarny dom. Poza kuchnią nigdzie nie paliły się światła. Dom oglądany z bliska przysłaniał niemal całe niebo.

Wsiadłam do alfy. Wyjechałam z piaszczystej ścieżki na starą przybrzeżną autostradę. Zamiast skrócić w prawo, w kierunku lądu i centrum stanu, skręciłam w lewo, w kierunku przylądka Hatteras National Seashore.

Rozdział 15

Powinny mi wystarczyć cztery godziny, aby tam dojechać. Od Nag's Head do Avon jest około siedemdziesięciu ośmiu mil wąskiej asfaltowej drogi przez National Park. Deszcz zaciął niemal poziomo i tak mocno, że małe wycieraczki, pracując na najwyższych obrotach, zaledwie nadały utrzymać minimum widoczności. Wiatr huczał wysoko nad głową. Jego wycie przechodziło czasami w głośny lament. Nie było ciemno, lecz raczej dziwnie jasno; wydawało się, że cały świat zanurzony jest w jasnej płynącej pianie. Gdzieś nad morzem powinno świecić słońce, lecz sztorm nadchodzący ze wschodu pożerał chyba jego blask. Z powietrza, wody i wiatru powstał całkiem nowy żywioł — jękliwa synteza wszystkich możliwych żywiołów na ziemi. Niewiele widziałam poza rozlewającym się stopem cynowo-ołowiowym oraz, niekiedy, światłami nadjeżdżających samochodów. Słyszałam tylko ryk sztormu, głuchy grzmot fal szalejących za wydmami po lewej stronie i ciche trzaski radia. Słyszałam też głębokie kołatanie własnego serca. Powinnam być przestraszona. Powinnam przystawać od czasu do czasu, by oczyścić szyby, trzymając się prawą ręką samochodu. A przede wszystkim powinnam zawrócić. Jednak nie zrobiłam żadnej z tych rzeczy i nie byłam przestraszona. W końcu jechałam już dwie godziny i piętnaście minut. Przejechałam te ryczące mile w pożerającym mnie niezmiennym płomieniu złości, równie oślepiającej i gorącej jak przysłonięte słońce.

W samochodzie tego ranka jechały dwie kobiety, a złość należała tylko do jednej z nich. Stara Kate skuliła się, bezskutecznie skomlała i błagała tę drugą, aby się zatrzymała, zawróciła i pojechała

z powrotem przybrzeżną drogą w stronę spokojnego mostu, zwykłych poranków i cichej śmierci. Lecz ta nowa kobieta ją zlekceważyła. Sycząc i drżąc, delektowała się złością.

Byłam zła na całe moje życie, zła na mojego ojca i matkę, zła na młodego Paula, na Ginger i Cecie. Zła na Stephena za to, że zmarł, i na moją, nigdy do końca nie ukształtowaną osobowość. Ta złość wypełniła cały świat, samochód i moją głowę. Nie próbowałam jej zrozumieć ani uśmierzyć. Złość jest sama przyczyną i skutkiem; nie potrzebuje pomocy swojego właściciela. Nigdy dotąd nie odczuwałam takiej złości, chociaż zawsze obawiałam się jej wybuchu. Wyrzuciłam ją z mojego umiłowanego spokoju i beczcasowości. Teraz tę złość wyzwoliły we mnie dwie wielkie sprawy: Alan i śmierć.

Pokonywałam dziką nadbrzeżną drogę na skrzydłach złości. Tego ranka mogłabym poprowadzić moje alfa romeo przez sam środek piekła.

Jechało ze mną szaleństwo. Wiem, że wbrew pozorom obie kobiety we mnie nie różniły się zbyt. Wiatr przepływał nad samochodem jak sztormowy ptak. Zmusił nas obie, starą i młodą, do podśpiewywania poprzez lawę złości, do głośnej rozmowy, a nawet, raz czy dwa razy, do śmiechu.

Śpiewałyśmy *Tańczącą Matyldę*, *Gdy raz się zakochałam* oraz *Przypływ-odpływ*; krztusząc się od śmiechu i łapiąc powietrze, nuciłyśmy piosenki *Człowiek, który odszedł* i *Sztormowa pogoda*. Wykrzykiwałyśmy wiersze Yeatsa, Dylana Thomasa i Dorothy Parker:

*Śmierć będzie moim kochankiem
Rozpustnym, dzikim, srogim.
Jeżeli umrę rankiem...
Ze mną nie poswawoli.*

A także:

*Zgrzybiały, bez koloru.
Popatrzysz wzrokiem dzikim:
Będę pełnym wigoru,
Kwitnącym nieboszczykiem.*

Dyrygowałyśmy orkiestrą grającą wielką, huczącą, sztormową uverturę Wagnera do *Latającego Holendra*, śpiewając bez słów. Głośno recytowałyśmy wesoły okrzyk kapitulacji Molly Bloom z *Ulissesa*:

*...J wtedy poprosiłam go oczami, by zapytał znowu tak
i wtedy zapytał mnie, czy może tak
i pierwsza zarzuciłam na niego ramiona tak
i przyciągnęłam go do siebie tak, aby poczuł piersi i perfumy tak
i jego serce zabiło jak oszalałe
i tak powiedziałam, tak chcę, tak.*

A także z Szekspira:

*jak cudownie, cudownie.
Fantastycznie cudownie
I znów cudownie.*

— Jesteśmy patentowanymi oślicami — powiedziałyśmy sobie nawzajem. — Gdzie jesteśmy? Jaki to rok? Kto jest prezydentem?

Ale pod tym i nad tym była tylko ognista i zatwardziała złość.

— Dlaczego jesteś tak wściekła na Alana? — zapytałam tę nową kobietę.

— Ponieważ nie przyjechał i nie zabrał cię, mimo iż tak bardzo chciał, abys wróciła; ponieważ nie przeszkodził ci tutaj przyjechać; ponieważ nie zapobiegł śmierci Stephena; ponieważ nie zapobiegł twojemu zachorowaniu na raka; ponieważ nie powstrzymał cię przed...

— Przed czym?

— Dobrze wiesz, przed czym.

— Nie wiem, powiedz mi.

— Przed śmiercią. Tak, przed śmiercią.

— To nie jego wina...

— I nie twoja.

— Do diabła z nim. Znowu możesz mieć wszystko. Możesz to mieć tak długo, jak zechcesz. Jedziemy tam po to, aby to otrzymać. To wszystko, o co tu chodzi...

— Nie mogę tam pojechać. Musiałabym przejechać most. Wiesz o tym...

— Więc — krzyknęła nowa kobieta — spieprzaj na ten przekłety most jak lwica lub kocica. Spieprzaj tam szybko, ale najpierw pokochaj się z facetem jak prawdziwa kobieta, choć jeszcze jeden raz!

— Nigdy taka naprawdę nie byłam.

— Więc teraz będziesz.

Daleko z przodu, poprzez zwarte strugi ulewnego deszczu, zobaczyłam niewyraźne czerwone światła. Zbliżałam się do wąskiego

cypla łądu, gdzie zatoka Oregon wylewała się z morza do Pamlico Sound. Automatycznie zdjęłam nogę z gazu. Po ściszeniu silnika usłyszałam nowy dźwięk: głęboki dziki ryk wściekłych fal uderzających w beton mostu, a nie w piasek wydm. Fale były blisko, na wyciągnięcie ręki. Podjechałam na luzie trochę bliżej. Przy wolnej jeździe deszcz na szybach samochodu stawał się pełną i nieprzeniknioną ścianą. Wyglądało to tak, jakbym była całkowicie zanurzona w wodnych odmętach.

Wylazłam z samochodu i osłaniając oczy ręką usiłowałam przeдрzeć się wzrokiem przez nieprzeniknioną ścianę deszczu. Siła wiatru dociskała mnie do mojej alfy i wbijała kłujące igły deszczu i wody morskiej w ręce i w twarz. Wiatr był coraz bardziej wściekły i przechodził w silny sztorm. Wiedziałam, że samochód przez to nie przejedzie. Z przodu widziałam niewyraźny most Herberta C. Bonnera nad zatoką Oregon. Biała woda przykrywała go na dwa lub trzy cale, a co trzecia czy czwarta fala wściekle się o niego rozbijała, przepychając się do zatoki. Morze było wielkim szaro-białym zwierzęciem przewalającym się przez most. W pobliżu nie było nikogo, ani policji, ani samochodów ratunkowych. Tylko zawieszona na słupach światła połyskiwała w deszczu.

Powróciłam do samochodu. Byłam całkowicie przemoczona. Wszędzie czułam sól. Samochód kołysał się na wietrze mocno niczym szalone dziecko na koniu na biegunach.

— Nie przejadę tędy takim małym samochodem — powiedziałam do nowej kobiety. — Pierwsza większa fala zmyje mnie z tego mostu, a co najmniej zaleje silnik.

— Cóż to za różnica, jeżeli nawet tak się stanie? — spytała. — I tak pójdziesz na dno.

— Ale wolałabym zginąć na innym moście — odpowiedziałam. — Może nad Chesapeake.

— Co za różnica, na którym? Most to most.

— Ale mam wybór. To będzie mój wybór.

— Wal gaz do dechy i przeskoczysz.

— Nie!

— Teraz! — krzyknęła. — Wal! Kto wie, może ten mężczyzna to zrobi; może wypieprzy z ciebie śmierć! Nie mógł tego zrobić Alan Abrams, więc co tracisz próbując? Ten człowiek... może cię wyskrobać od wewnątrz do czysta!

Wiedziałam, że dotykamy sedna sprawy. Po to przyjechałam do Outer Banks; po tojechałam przybrzeżną drogą wśród szalejącego sztormu. Właśnie po to. Aby przepędzić śmierć i napełnić się życiem.

Paul Sibley jest mi winien życie.

Fala rozbiła się o most i cofnęła, pozostawiając syczącą pelerynę rozbryzgów wody. Wiatr wył przeraźliwie. Nacisnęłam do oporu pedał gazu małego, lecz potężnego silnika i zamknęłam oczy. Wtedy usłyszałam śpiew.

To było czyste szaleństwo; oczywiście byłam szalona. Byłam w tym momencie bardziej szalona niż kotka w marcu. Ale słyszałam ten śpiew. Dobiegał z morza, z oddali. Był czysty, jasny i niemożliwie wysoki; płynął poprzez sztorm jak biały ptak. Był to głos syren śpiewających dla mnie.

— Utoniemy — wyszeptałam i ruszyłam do przodu. Wóz uderzył w wodę na moście Herberta C. Bonnera jak mały czerwony pocisk. Poczułam, że alfa szybkuje, podnosi się i płynie po wodzie, rycząc jak wyścigowy bolid. Wydawało się, że ma ogon jak ryba. Przeskoczyliśmy most wśród srebrnych dźwięków śpiewu z morza, w ryku wiatru i diabelskim chichocie obu kobiet, które w końcu stały się jedną osobą.

Śmiałam się bez przerwy przez całą godzinę, aż w końcu dojechałam do samochodu Paula schowanego za ostatnim domkiem motelu „Carolina Moon”.

Otworzył drzwi, zanim jeszcze zdażyłam zastukać. Wpadłam do środka na skrzydłach wiatru i w gwałtownych strugach zimnego deszczu. Pochwycił mnie w ramiona i odciągnął od drzwi.

— Boże, patrzcie na nią! Wygląda strasznie, ale jednocześnie przepięknie — powiedział, trzymając mnie mocno i kołysząc się tak samo jak ja. Zatrzasnął drzwi kopniakiem. Ryk sztormu zmalął i przypominał teraz głośny szum wodospadu. Usłyszałam bicie własnego serca podobne do stuku saperskiego młotka, głębsze, wolniejsze uderzenia jego serca, ciche trzaski radia tranzystorowego i miękkie syczenie drew w kominku. Czułam nasze oddechy na mojej mokrej twarzy. Od strony morza dolatywał daleki, dźwięczny głos dzwonów na bojach. Słyszałam delikatny chrzęst, jakby lód przesuwał się w wiadrze z wodą, i stukot deszczu o małe szyby domku. Od czasu do czasu z komina spadało z sykiem trochę wody na płonące drwa. Były to odgłosy wszechogarniającego, głębokiego spokoju i bezpieczeństwa. Westchnęłam przeciągle i ukryłam twarz w miękkich fałdach jego swetra.

— Trzymaj mnie — prosiłam. — Ledwo tutaj dojechałam. Most nad cieśniną znalazł się pod wodą. Nie widziałam żadnego samochodu od czasu, gdy po nim przejechałam.

Odsunął mnie od siebie i popatrzył w oczy.

— Jak po nim przejechałaś? — zapytał. — Zamykają go, gdy woda sięga nawierzchni.

— Po prostu przejechałam. Wcisnęłam gaz do dechy i przejechałam go jak ujeżdżacz koni — odrzekłam, śmiejąc się bez opamiętania.

— Dam ci drinka przy kominku — powiedział, prowadząc mnie do łazienki. — Lecz najpierw weź gorący prysznic. Mało co go nie straciłaś, Kate Lee.

I

Przeprowadził mnie przez zagracony mały pokój do niewielkiej łazienki. Włączył prysznic, który najpierw zaczął się krztusić i spluwać. W końcu woda popłynęła cudownym, ciepłym strumieniem. Kabina prysznica, umywalka i sedes były jaskraworóżowe, a maleńkie kafelki podłogi — różowe i brązowe. Osłonę prysznica ktoś okleił disnejowskimi różami. Firanki w małym okienku, odgradzającym pomieszczenie od wściekłego morza, także były różowe. Cienki kordonkowy dywanik i ręczniki, teraz wyblakłe, również kiedyś były tego samego koloru. Zaśmiałam się jeszcze głośniej. Podczas gdy Paul zdejmował moje przemoczone ubranie, łazienka wypełniła się parą, a ja już prawie popłakałam się ze śmiechu.

— Wyżmę twoje ubranie i rozwieszę przy ogniu — powiedział Paul. — Krzyknij, gdy skończysz. Dam ci wtedy swój płaszcz kąpielowy.

Otworzył drzwi, przez które buchnęła na zewnątrz para, a do wewnątrz wdarło się zimne powietrze.

— Paul! — zawołałam. Odwrócił się do mnie.

— Umyj mnie — poprosiłam. Stałam w strugach wody, krztusząc się ciągle od śmiechu. Czułam, że słabną mi ręce i nogi, lecz wyciągnęłam do niego ramiona.

— Jak sobie życzysz — odpowiedział i zawrócił.

Zerwałam z niego sweter, ciągnąc go przez głowę, i pourywałam mu guziki koszuli. Krzyknęłam i przyciągnęłam go do siebie, gdy tymczasem on walczył jeszcze z butami i skarpetkami. Wciągnęłam go pod prysznic jeszcze z majtkami ściągniętymi do kolan. Gdy znalazł się przy mnie, wdrapałam się na jego ciało i owinęłam wokół niego ręce i nogi; przyciągnęłam jego włosy, przygryzłam usta i gniotłam paznokciami jego ramiona i plecy. Podrapałam mu pośladki. Nie mogłam spokojnie czekać. Odnalazłam jego centrum, rozwarłam się i wchłonęłam go do głębi. Nadziałam się jednym ruchem. Gdy poczułam go głęboko w sobie, krzyknęłam jak sokolica. W strumieniach gorącej wody walczyłam z nim, przyciskałam się, gryzłam i lizałam. On oparł się o ścianę, a ja ujeżdżałam go jak

gryząca i rycząca tygryśca. Osunęliśmy się w dół i skończyliśmy tam, zalewani wodą. Czułam, jak życie i ciepło przepływa z niego we mnie. Szturchnęłam go, gdy leżał w stygnącej wodzie z rozrzuconymi nogami, i spytałam: — Czy chciałbyś coś poczytać?

Leżał na plecach, śmiał się i obejmował od tyłu moje namydlone piersi. Pluskaliśmy się jeszcze jakiś czas, aż woda zrobiła się nieprzyjemnie chłodna. Sztorm na zewnątrz nasilił się o kreskę lub dwie, a światła zaczęły mrugać.

— Brakowało mi tego przez te wszystkie długie lata — powiedział. — Oprócz twego nieprawdopodobnie długiego i szczupłego ciała, brakowało mi światła twej poezji i twojego śmiechu. Nawet nie doświadczyłem od tamtych czasów jednocześnie śmiechu i miłości.

— Jak mogłeś współżyć z Ginger bez radości? — zapytałam.

— Można było śmiać się, ale z niej — odpowiedział. — Lecz trudno śmiać się wraz z nią.

Wyszliśmy spod prysznic. Owinał mnie w swój wielki aksamitny płaszcz kąpielowy. Włosy związałam sobie cienkim ręcznikiem. Usiedliśmy na dywaniku w kształcie serca przed kominkiem i popijaliśmy wino schłodzone w plastikowym wiaderku. Nie wiadomo skąd przyniósł trochę sera, bagietek i dobrych zakąsek. Jedliśmy i dorzucaliśmy kawałki węgla z zakopconego wiadra do trzaskającego ognia. Nadsłuchiwalismy, jak sztorm chwyta w zęby Outer Banks i potrząsa nim. Nie mówiliśmy wiele. Wiedziałam, że będziemy, ale jeszcze nie teraz. Czułam się jak na początku tygodnia, gdy przybyłam do Nag's Head i gdy wszystkie cztery opowiedziałyśmy trochę o swoich przeżyciach. Miałam wrażenie, że my, Paul i ja, powinniśmy ze sobą porozmawiać, zanim jeszcze wstanie nowy dzień. Myślałam, że możemy, a raczej musimy wypowiedzieć rzeczy, które wiele zmieniają. Z jakichś powodów wzdrygnęłam się. To, co zrobiliśmy wspólnie, miało już siłę nieubłaganego zjawiska, jak sztorm, ale słowa, które dobieramy i pozwalamy im wyfrunąć w powietrze, były aktami rozwagi, akceptacji i zamiarów... Lecz przyjdzie na to czas. Póki co mamy spokój wyczerpania i omdlenia, wino, wiatr, ogień i chyba sen; nareszcie czystość i lekkość. A teraz... teraz nie czułam i nie słyszałam w sobie pragnienia śmierci.

— Precz z tym — pomyślałam sennie. — Spuśćmy z wodą te pijawki.

— Nie przypuszczałem, że przyjedziesz — powiedział Paul. — Rzeczywiście nie przypuszczałem. Myślałem, że posiedzę w tej dziurze, aż przejdzie sztorm, potem pojedę do Alabamy i więcej cię nie zobaczę. Ale nie byłem też zaskoczony, gdy przyjechałaś. A gdy

weszłaś prosto z wichury i deszczu, to... Boże, to było jak wielkanocony poranek czy coś takiego. Nie, to tak jakby część mojego ciała, amputowana wiele lat temu, sama wróciła na swoje miejsce i przyrosła. Co teraz, Kate? Czy nie uważasz, że wszystko się zmieniło?

Ogarnęło mnie zmęczenie.

— Nie rozmawiajmy jeszcze — powiedziałam. — Może później. Teraz pragnę pospać, potem wypić trochę wina i zrobić jeszcze raz tę piękną rzecz, którą zrobiliśmy przed chwilą, a potem powtórzyć to raz czy dwa, tyle razy ile trzeba, a potem może... może porozmawiamy. Chociaż tego nie obiecuję.

Usnęliśmy jak dwoje niewinnych dzieci; mój tyłek idealnie pasował do jego brzucha. Położyliśmy się przy kominku buzującym ogniem. Przykryliśmy się włochatym, różowym kocem. Spałam głęboko, bez jakichkolwiek marzeń sennych. Nie wiem, jak długo. Tego popołudnia sztorm się nasilił. Powietrze ściemniało, ryczący z dużą siłą wiatr wyrwał mnie ze snu. Gdy podniosłam głowę, światło zamrugało i zgasło. Szum fal na plaży wydał się nagle o wiele głośniejszy. Wstałam, zbliżyłam się do okna i rozchyliłam zasłony. Niczego nie było widać oprócz deszczu. Nadal szalał wiatr. Mały domek dygotał w posadach, dach skrzypiał. W pobliżu uderzył grom. W jego świetle ujrzałam ciemne zarysy innych domków. Nigdzie nie paliły się światła, a nasze dwa samochody były jedynymi, jakie ujrzałam. Zadrzałam. Kate... młoda Kate... oprzytomniałam momentalnie i zaczęłam się zastanawiać, co ja tu robię na końcu świata z tym mężczyzną, w taki sztorm, tuż obok tego monstrualnego, szalejącego oceanu. Nie jest to nawet właściwie ocean. Gdzie jest mój ocean? Gdzie jest Alan?

Ale gdy Paul podszedł do mnie i objął nagą od tyłu, odwróciła się ta inna kobieta i powiedziała: — Proszę, włącz swój silnik.

Zrobiliśmy to od nowa. Dwa lub trzy razy. W łóżku, na podłodze, przy ogniu kominka i pod tym głupim, nadpalonym stolikiem do herbaty, który stał przy oknie. Obtłukiliśmy sobie głowy, pośladki poobcieraliśmy o dywan, posiniaczyliśmy ciała i zdarli gardła. Nowa kobieta znała sposoby, o których Kate nic nie wiedziała i korzystała z nich bezwstydnie i zachłannie.

Paul również odkrył pewne rzeczy, których w młodości nie znał. Wykonał je wszystkie i znajdował w jej wysmukłym ciele nowe źródła ciepła i światła, wydobywał z niej nowe akordy i wywoływał nagłe potrzeby gorącej krwi. Brałam wszystko, co mi ofiarował, z absolutnym, dzikim apetytem, prosiłam o więcej i otrzymywałam. Dochodziła ósma, gdy po ostatnim fechtunku znowu legliśmy przed

kominkiem, mając spocone włosy, twarz, plecy i nogi, a ciała wyczerpane i drżące. Wyraźnie widziałam zielonkawą poświatę roleksa na ręce Paula. Wiatr i deszcz nie zelżały, a głuchy huk fal ani się nie zmniejszył, ani też nie wzrósł. Nie było tylko błyskawic i grzmotów.

— Ustaje? — spytałam. Gardło mnie tak bolało, że mogłam mówić tylko szeptem. Byłam osłabiona, jakbym uległa wypadkowi. Pamiętam, że podobnie słabo czułam się po narodzinach Stephena. Kto się urodził dzisiaj?

— Nie. Będzie jeszcze wiać i padać przez sześć do dwunastu godzin — odpowiedział Paul. — Ale nie będzie się już pogarszać. To nie jest prawdziwy huragan. Wiatr zaraz zacznie się powoli uspokajać, a rano most będzie znowu przejezdny. Prawdopodobnie będziesz mogła przejechać samochodem już o północy. Ale nie radzę próbować. Czy to takie ważne? Przecież jeszcze nigdzie się nie wybieramy.

— Jeszcze nie — odpowiedziałam. Wypiłam trochę letniego wina z nowo otwartej butelki, gdy on podsycił ogień. Dziwny pokój o rokokowym wystroju pogrążył się w półmroku.

— Póki żyję, nie zapomnę motelu „Carolina Moon” — powiedziałam, sadwiąc się w zmiętej pościeli łóżka. Miało jego zapach. Zapach miłości.

— To będzie nasze miejsce — odpowiedział i uśmiechając się lekko wiodł powoli palcem od mojego policzka w dół do pępka. Moje ciało drgało jak skóra konia, gdy siądzie na niej mucha.

— Będziemy tu przyjeżdżać przynajmniej raz w roku — powiedział.

Nie odpowiedziałam. Przysunął się bliżej. W ciemności, rozjaśnianej tylko płomykami ognia, wydawał się ogromny. Czułam promieniujące ciepło z jego tułowia, długich rąk i delikatnie owłosionego ciała.

— Kate — mówił w głąb moich potarganych włosów — co ci jest? Coś nie gra...? Nie wiem co. Jeszcze coś nie jest w porządku? Co to jest? Powiedz, a ja to naprawię.

Westchnęłam. Coś wewnątrz mnie związało się i zmroziło, ale maleńki lodowy zameczek był otwarty, więc mogłam mu odpowiedzieć. Niczego bym przed nim dzisiaj nie ukryła. Mogę mu powiedzieć.

— Nie możesz tego naprawić — powiedziałam. — Nikt nie może.

— Ja mogę. I chcę. Tylko mi powiedz.

Patrzyłam w ciemność. Czułam jego ramiona, ich ciężar oraz powolne i silne pulsowanie krwi.

— Jestem chora — stwierdziłam. Wypowiedzenie tych słów nie było takie trudne. Nawet łatwe. Zupełnie łatwe. — Od dłuższego już czasu jestem chora i nie mam nadziei na wyzdrowienie.

Poczułam, że jego mięśnie zesztyniały. To nie było uczciwe. Miałam idiotyczne przekonanie, że gdybym dotknęła ręką jego włosów, poczułabym, że stanęły dęba i kłują jak kolce. Znieruchomiałam.

Wstał z łóżka, obszedł je dookoła i spojrzał na mnie, stojąc z boku. Ledwo się zorientowałam, że wstał. Patrzyłam na niego z zapartym tchem, bez słowa. Jego twarz białała nade mną w ciemności, a oczy połyskiwały. Mimo wiatru i szumu fal słyszałam jego oddech i mocne, szybkie bicie serca. Daleko za nami dzwonek boi Diamond Shoals zawodził i wołał w ciemności.

— Na co chorujesz, Kate? — spytał. Jego głos był ledwo słyszalny. — Na AIDS?

— AIDS? — zapytałam głupio. — AIDS?

Popatrzył na mnie, na swoją nagą pierwszą miłość. W czerwonym od ognia półmroku widziałam go całkiem wyraźnie. Jego piękne, czarno-białe włosy opadły mu na oczy, usta miał otwarte. Widać było koniec języka oblizującego wargi. Były nabrzmięte i pogryzione przeze mnie. Nic nie odpowiedziałam: po prostu patrzyłam na niego.

— Zrobiłaś to, prawda? — szepnął. — Zrobiłaś to i mnie pozwoliłaś. Całe popołudnie, całą noc... zemściłaś się, czy tak? Kate, niech cię szlag, powiedz mi...

— Cecie miała rację — uśmiechnęłam się. — Wyglądasz na arystokratycznego śmierzdźla. AIDS. Tak, dobrze, w istocie go mam, Paul. Po prostu AIDS.

— Wszechmocny Chryste, Józefie i Mario... — Przebiegł przez pokój, wciągając ubranie, a ja zaczęłam się śmiać. Śmiech ten był jak wymioty: wydobywał się z moich wnętrzności i wypływał pomiędzy ustami. Nie mogłam go powstrzymać. Nawet gdyby moje życie od tego zależało. A w pewnym sensie zależało. Śmiałam się i śmiałam; tarzałam się po pościeli, zachłystując się i łapiąc powietrze, a gdy mi się to udawało, śmiałam się jeszcze głośniejsze. Podciągnęłam nogi do policzków, wpychałam pięści do ust i ryczałam ze śmiechu. Śmiałam się nawet wtedy, gdy trzasnął drzwiami, wybiegając z półotwartą walizką i ciągnąc za sobą krawat w niebiesko-czerwone paski. Śmiałam się, gdy uruchomił mercedesa i długo hałasował, próbując

wyjechać po żwirze, oraz wtedy, gdy warkot silnika nagle ucichł. Nie przestałam, gdy wrócił na chwilę i zajął z powrotem do pokoju, by krzyknąć ze strasznie zmienioną twarzą:

— Kate, ty kurwo! Jeżeli nawet kłamiesz, to i tak mnie zabiłaś! — I zaraz potem ucichł oddalający się szum silnika. W końcu uspokoiłam się, a śmiech przeszedł w szloch. Leżałam w łóżku z Magicznymi Palcami, w motelu „Carolina Moon”, płacząc bez ustanku i bez nadziei, aż usnęłam. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętam, był dźwięk dzwonu przy Diamond Shoals.

Miałam sen. Śniłam, że stoję pod prysznicem w maleńkiej, zapchanej łazience w akademiku „Tri Omega” w Randolph. Leje się na mnie zimna woda. Byłam już spóźniona na egzamin, a pomimo to cały czas nie mogłam z siebie zmyć tej lepkości, która mnie pokrywała. Panicznie bałam się spóźnić na egzamin, a jednocześnie śmiertelnie wstydziłam się owej lepkości: wiedziałam, że jest to miesiaczka, lecz nie chciałam, aby to zobaczyły Cecie, Ginger i Fig. A one stały pod drzwiami i stukały, stukały, stukały, a ja nie pamiętałam, czy zamknęłam drzwi czy nie...

Obudziłam się nagle, lecz stukanie do drzwi nie ustało. Woda lała się dalej. Dźwignęłam się na ramionach, pościel zsunęła się ze mnie. W pokoju było zimno. Potrząsnęłam mocno głową, aż włosy zasłoniły mi twarz. Stukanie rozlegało się w dalszym ciągu.

Zrozumiałam, gdzie jestem, i zalała mnie wściekłość, ledwie tylko uświadomiłam sobie owo natarczywe pukanie do drzwi. A więc powrócił. Po co? Aby się usprawiedliwić? Aby wydobyć ze mnie prawdę? Albo nadal kochać się ze mną? Niech puka całą noc. Niech porani sobie palce do krwi. Niech go zatopi deszcz, a błyskawice... Nie otworzę. Nie odpowiem mu nawet, gdy zawoła.

Kate! Kate, czy jesteś tam? Otwórz, Kate...

Niesamowity ten głos płynął ponad hukiem wiatru i deszczu, ale to nie był on. Stałam jak wryta, otulając się aksamitnym płaszczem i gapiąc się na drzwi. Mój mózg wyskoczył na chwilę z głowy i swobodnie wędrował w czasie i przestrzeni. Nie mogłam się poruszyć ani myśleć.

— KATE! WPUŚĆ MNIE!

To był głos Cecie. Przebiegłam pokój i szarpnęłam drzwi, a ona wpadła do środka, tak jak ja dwanaście godzin temu. Wiatr przygiął ją niemal do ziemi, a deszcz zmoczył tak mocno, że zdawało się, iż ktoś przy drzwiach wylał na nią wiadro wody. Zatrzasnęłam drzwi, zamknęłam na klucz i po prostu stałam, patrząc na nią. Spoglądała za siebie, jej pierś falowała w ciężkich szlochach uniemożliwiających

mowę. Miała na sobie swój stary, żółty płaszcz przeciwdeszczowy i szkolny kapelusz. Jej twarz pod strugami deszczu była białoszara, oblepiona jasnymi kosmykami włosów. Okulary były całkiem mokre. Niebieskie żyłki pulsowały jej na skroniach. Wydawała cichy, dziwny dźwięk, jakby skowyt maleńkiego zwierzątka. Kolana ugięły się pod nią i upadłaby pewnie na ziemię, gdybym jej nie przytrzymała. Zaciągnęłam ją na wymyślnie toczone krzesło i odchyliłam jej głowę. Kapelusz spadł na zniszczoną podłogę, powiększając dodatkowo wrażenie bałaganu.

Przyniosłam ręczniki i wytarłam jej twarz i włosy. Zdjęłam z niej płaszcz i owinęłam ją w koc, ponieważ miała silne dreszcze. Widziałam, że wciąż nie mogła mówić, chociaż wielokrotnie próbowała. Popatrzyłam w okno, czy ktokolwiek przyszedł z nią lub ją śledził, ale nie było nic widać poza domkami, moją alfą i land roverem Paula. Czy on tu jest i czeka w samochodzie? Nie, odjechał swoim mercedesem... Rozwidlająca się błyskawica dowiodła, że land rover jest pusty.

— Czy Paul jest z tobą? — zapytałam.

Potrząsnęła głową, ale nie mogła wymówić ani słowa. Jej oddech był ciągle głęboki i drżący, lecz zaczął się już uspokajać. Dołożyłam do ognia i podałam jej szklankę czerwonego wina; nie potrafiła utrzymać jej przy ustach. Przytrzymałam jej szklankę, pogłaskałam po policzku i wtedy wypija. Nigdy nie widziałam Cecie w stanie nawet lekko przypominającym szok. Z jakiegoś przedziwnego powodu przydarzyło się to jej właśnie dzisiaj. Ale, co dziwne, nie czułam się wstrząśnięta. Obserwowałam ją z lekkim niepokojem i z pełnym dystansu zainteresowaniem. Jak tylko odzyska mowę, opowie mi o dzisiejszej nocy. Porozmawiamy o tym. Wszystko zrozumiem. Wszystko sobie wyznamy.

— Teraz opadną mi klapki z oczu — powiedziałam głośno.

Cecie uniosła głowę, spojrzała na mnie i wykonała głęboki oddech.

— Widziałaś Fig? — zapytała. Jej głos był słaby i cieniutki, zupełnie jak u chorego dziecka. — Czy Fig była tutaj?

— Fig? Nie. Jak Fig mogłaby się tutaj znaleźć? — zapytałam. — Czy to ona przywiozła cię tutaj? Czy to ona prowadziła rovera?

Cecie zamknęła oczy i potrząsnęła głową. Jej usta były białe jak kreda. Westchnęła głęboko i powiedziała:

— Nie. Ja prowadziłam — i zaczęła płakać.

Uklękłam przy niej i objęłam ją, a ona szlochała jak śmiertelnie przestraszone dziecko, przytulając głowę do mojego ramienia. Serce

biło jej jak oszalałe. Kołysałam ją i szeptałam do jej mokrych, potarganych włosów:

— Wszystko w porządku. Już dobrze. Jestem tutaj, a sztorm wkrótce ucichnie. Jest nam ciepło i bezpiecznie. Nie ruszymy się stąd, zanim się nie skończy.

Potrząsnęła energicznie głową i jęknęła:

— Nie! Nie! Musimy uciekać!

Pogłaskałam ją po plecach czując, że łzy znowu napływają mi do oczu. O ileż straszniejsze były te nie kończące się mile drogi w ciemnościach, gdy otaczał ją szalejący sztorm.

A błyskawice, fale... o Boże!... Fale cieśniny Oregon!... Przecież ona nigdy nie prowadziła! Prowadzić taki wielki, wierzgający samochód...!

— Szszsz! — powiedziałam. — Cicho. Cokolwiek to jest, nie jest to na pewno tak straszne, abyś musiała wsiąść do tego samochodu podczas sztormu. Cokolwiek to jest, za chwilę to załatwimy.

Cecie zaczerpnęła powietrza, wyprostowała się i otarła łzy. Popatrzyła mi w oczy, zimnymi rękami przytrzymała moje dłonie i powiedziała:

— Paul odszedł. — Nie było to pytanie.

Kiwnęłam głową.

— Ach tak. Uciekł kilka godzin temu jak naparzony kocur. Wszystko mi teraz opowiedz, Cecie.

Opróżniła szklankę i odpowiedziała: — Chodź bliżej ognia. Nie mogę się rozgrzać. Słuchaj i nie pytaj, aż skończę. Myślę, że nie mamy zbyt wiele czasu.

Usiadłyśmy na dywanie obok niebieskawego ognia. Cecie zaczęła opowiadać. Piła powoli wino. Od czasu do czasu wstrząsały nią silne dreszcze. Od ciepła rozpalonych węgli z kominka zaczęły parować spodnie i sweter. Spoglądała na zamknięte drzwi i podskakiwała nerwowo, jak kot na najmniejszy trzask ognia. Ciągle spoglądała na zegarek. Było już blisko północy, gdy zaczęła mówić o Fig Newton.

— Kate, ona jest szalona, a my nie wiedziałyśmy. Naprawdę szalona — powiedziała. — Zawsze była chora, przez wszystkie te lata. Od samego początku. Od początku chodziła za tobą i teraz, jak myślę, też nadchodzi...

— Cecie... kochana...

— Nie! — potrząsnęła gwałtownie głową. — Przyrzekłaś! Nic nie mów. Pozwól mi dokończyć... Kate, kiedy nas opuściliście, ty i Paul, Fig była przez całe popołudnie jakby rozpalona. Biegała

zdeenerwowana w kółko, terkocząc bez większego sensu jak karabin maszynowy. Tak jak ostatniej nocy, pamiętasz? Tylko dużo, dużo gorzej... Tuż przed południem przygotowała Krwawą Mary i zaczęła pić z Ginger... Ginger nie była w dobrej kondycji, widziałas ją przecież... Około drugiej Ginger padła i zostałam z nią sama. Sztorm stał się rzeczywiście straszny; zaczęłam się bać. Nigdy nie widziałam takiej wichury, a ona przepijała do niej, wybiegała na zewnątrz, śpiewała i wrzeszczała... Mówiła, że słyszy śpiew syren... Poszła do studia i coś tam robiła do piątej, a ja się zdrzemnęłam... Potem przyszła, obudziła Ginger i zaczęłyśmy od szkockiej. Powinnam coś zauważyć, ale nic nie widziałam. Wszystko było takie dziwne... W końcu zorientowałam się, że ona nie pije. Sama robiła drinki i najwyraźniej usiłowała nas upić. Jestem pewna, że chciała to zrobić. Ginger zalała się w trupa już o siódmej. Leżała na sofie i nie sposób było jej obudzić. Mnie też film się urwał i gdybym nie zwróciła wszystkiego kilka godzin później, nadal leżałabym tam, na dywanie przed kominkiem. Z łazienki wyszłam dopiero około dziewiętej. Byłam w opłakanym stanie. Próbowałam obudzić Ginger, ale się nie udało. Oddychała bez trudu, więc spróbowałam dodzwonić się do Fig, która siedziała w studiu, ale okazało się, że dzwonek nie działał. Wtedy zobaczyłam, że schodzi ze schodów z bagażami, rozglądając się dookoła i śmiejąc... Takim straszliwym śmiechem. Boże! Wsiadła do samochodu i odjechała. Poszłam więc do studia, nie bardzo wiedząc, po co. Była tam notatka dla Ginger od Fig, że zdecydowała się powalczyć ze sztormem i pojechać do domu; dziękowała też za tygodniowy pobyt. Wiedziałam, że coś nie jest w porządku; nikt nie mógł prowadzić samochodu podczas takiego sztormu... — Cecie się uśmiechnęła ponuro. — A więc... rozejrzałam się trochę dookoła. W łazience znalazłam paskudztwo, którego nam dosypała. Była to dalmana. Usypia cię raz na zawsze, jeżeli weźmiesz jej wystarczająco dużo. Domyśliłam się, że dosypywała nam tego do szkockiej. Kiedyś dawano mi to w szpitalu i zawsze po dwu godzinach wymiotowałam. Było tam też inne paskudztwo: percodan czy coś takiego. Mogła to być deksamina. Znalazłam także jeszcze inne świństwo, którego nie znałam, i jeden lub dwa środki antydepresyjne. Musiała to zażywać wczoraj i dzisiaj, a może ciągle...

Popatrzyłam Cecie prosto w oczy. Co za bzdury mi opowiada? Może to ona oderwała się od rzeczywistości; to się jej zdarzało przed...

— Do diabła, Kate! Mówię ci prawdę! — krzyknęła na mnie. — Lepiej byś mnie słuchała uważniej!... Więc dobrze, rozejrzałam się dokładniej i znalazłam jej dziennik. Przeczytałam go... w całości.

Siedziałam tam i czytałam... teraz wiem, że ona oszalała. Ponieważ to wszystko kłamstwa. Wiesz, co ona nam czytała w ostatnim tygodniu? Te wszystkie słodkości, wszystkie te kawałki o tym, jak nas mocno kocha, że ty jesteś jej duchową siostrą, a Paul bogiem. To wszystko kłamstwa, Kate. Tego nie ma w dzienniku, tam wszystko jest opisane nie tak! Tam pisze... Boże, jak ona nas nienawidzi! Nienawidzi mnie za to, że jestem bliżej ciebie niż ktokolwiek inny. To prawda, ale ona sądzi, że jesteśmy lesbijkami. Nazywa nas... i nienawidzi też Ginger, a najbardziej ciebie. Za to, że ją przedrzeźniałaś i śmiałaś się z niej. Wszystko słyszała przez ścianę. Nawykła do podsłuchiwania i robiła to co noc. Kate, mówiłam ci... Nienawidzi cię za to, że tak wyglądasz, że masz arystokratyczny nos i nazwisko. Na Boga, ona właśnie tego nienawidzi. Nienawidzi cię nawet za to, że jesteś dla niej miła. Ale najbardziej dlatego, iż wie, że Paul zawsze ciebie pragnął. Wie, że ożenił się z Ginger jedynie dla pieniędzy. To ona podrzuciła Paulowi Ginger wtedy, kiedy wyjechałaś; ciągle mówiła mu o pieniądzach, a kiedy rzucił ciebie i z nią się ożenił... wtedy znienawidziła i ją. Och, Kate Lee, wiedziałam o tym i nigdy ci nie mówiłam...

Potrząsnęłam spokojnie głową i popatrzyłam na nią. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

— Przeczytałam resztę tego pamiętnika — powiedziała Cecie, spoglądając na swoje splecione ręce. — Śledziła cię przez wszystkie te lata w Nowym Jorku, Kate. Nie wiem, dlaczego. Nie pisze o tym. Ale wie wszystko o twoim życiu i wiem, w jaki sposób cię tutaj sprowadziła. Przynajmniej wiem, dlaczego właśnie teraz, a nie kiedy indziej. Ona od lat ma romans z twoim doktorem i to on jej powiedział. Ona wie... wie, że ostatnią kontrolę masz w następnym miesiącu. Wszystko wie o... o twojej chorobie, wszystko. Napisała, że to musi być teraz, ponieważ możesz się dowiedzieć o... nie, tak się nie stanie... Nie chciała ci pozwolić się wymknąć. Wszystko po to, aby mnie zranić. Tak napisała. Och, moja droga Kate... dlaczego mi nie powiedziałaś? Wiedziałam, że coś w tym jest, ale nie wiedziałam co...

Patrzyłam na nią, ciągle potrząsając głową.

— Tak. W każdym razie wyreżyserowała ten tydzień i dzień wczorajszy... i poprzednią noc... wtedy zadzwoniła do Paula do Norfolk i powiedziała mu, że ciągle jesteś w nim zakochana, że prosisz, aby przyjechał do Nag's Head. Podsłuchiwała i podpatrywała was ostatniej nocy w hamaku. Tak jak poprzednio przez wszystkie noce... Wiedziała, że przyjedziesz tutaj, Kate. Jest to

w dzienniku. Napisała to ostatniej nocy. Inaczej nie wiedziałabym o tym. Nie byłabym tutaj.

Nic nie odpowiedziałam. Tylko patrzyłam.

Ona tutaj jedzie, Kate — powiedziała Cecie. — Nie wiem jak. Nie widziałam żadnego samochodu na drodze, może się zatrzymała, aby przeczekać sztorm. Lecz ty powinnaś stąd wyjechać. Obie powinnyśmy natychmiast...

Nie odzywając się nadsłuchiwałam odgłosów wiatru, szumu fal i dzwonu boi. Wszystko to dobiegało jakby z oddali. Błyskawice wciąż rozświetlały niebo, lecz odgłosy piorunów dochodziły już z głębi wybrzeża, a nie znad morza. Oddech Cecie stał się miarowy, chociaż nadal był płytki i szybki. W kominku zaskwierczał węgiel.

Głęboko pode mną zawyła nagle otchłań. Coś w głębi mnie zaśpiewało. To dobrze.

— Czy kiedykolwiek słyszałaś śpiew syren, Cecie? — zapytałam.

Ramiona jej opadły i zamknęła oczy.

— Nie wierzysz w ani jedno słowo? — wyszeptęła.

— Dobrze... wiem, że nie kłamiesz — powiedziałam ostrożnie. — Nie przejechałabyś takiej strasznej drogi... lecz Cecie, to wszystko jest szalone. Jak w złym horrorze lub kiepskiej powieści. Zresztą ona tutaj nie przyjedzie. Jak mogłaby się tu dostać? Posłuchaj, co się dzieje na zewnątrz... Nikt nie może prowadzić samochodu w takich warunkach...

Jej niebieskie oczy nabrały życia i spojrzała na mnie zrezygnowana. Pomyślałam: czegóż ona nie dokonała! Poczułam na moment, że niebezpieczeństwo, o którym mówi, może istotnie czai się wokół nas. Zrozumiałam cały ogrom jej poświęcenia dla mnie. Ale znów ogarnęła mnie niewiara i głębokie, słodkie, paralizujące nogi znużenie. Tego już za wiele; niech się już stanie, co się ma stać...

— Co to będzie? — spytała Cecie, znów wybuchając płaczem. — Co to będzie?

— Mój lekarz nigdy by tego nie zrobił — powiedziałam i nagle poczułam pod stopami solidną i niezatapialną tratwę pewności, która kołysała mnie lekko. — John McCracken nie mógłby nigdy w życiu mieć z nią romansu ani jej opowiedzieć... o tym wszystkim. Jestem tego pewna, Cecie.

— To nie był McCracken — odpowiedziała. — To był ktoś o nazwisku Hilliard. O ile wiem, twój specjalista...

Siedziałam nieruchomo długi czas, gapiąc się w ogień. Chyba jednak nie tak długo, jak mi się wydawało. Widziałam nas, jak

pijemy kawę w kawiarni u Harry'ego w Randolph, wszystkie cztery. Widziałam, jak ładujemy się do mojego samochodu z dachem otwartym wprost na mleczną biel letniego nieba. Zobaczyłam, jak leżymy w świetle gwiazd na dachu akademika „Tri Omega”, pijane i rozspiewane. Zobaczyłam, jak w zimowych strojach nocnych siedzimy na łózkach, Cecie i na moim, i pijemy gorącą czekoladę. We wszystkich scenach śmiejemy się bez przerwy. Śmiejemy się, jesteśmy młode i szczęśliwe.

— Daj mi ten pamiętnik — wypowiedziałam zdrętwiałymi wargami. Cecie podała mi ów zeszyt.

— Zaznaczyłam ci niektóre miejsca — powiedziała.

Wzięłam ten szmatławy manuskrypt. Strony były poluzowane, okruszyny kleju spadły mi na ręce, a kawałki pożółkłego papieru posypały się na podłogę. Każda kartka była gęsto i dokładnie pokryta dziecinnym, koślawym pismem Fig. W tej książce i innych podobnych zapisano chyba setki tysięcy słów. Słowa, słowa i jeszcze raz słowa. Most słów rozpostarty od tamtych lat aż do... końcowego filaru ostatniej nocy...

Pierwszy fragment zaznaczony przez Cecie był odczytany przez Fig jako pierwszy w tym tygodniu. Opisała w nim wieczór jej inicjacji w żeńskim kole studenckim. Patrzyłam na te strony. Pamiętałam, co nam wtedy przeczytała. Były to słowa przesyczone adoracją, siostrzanymi uczuciami i dziwną, skomlącą miłością do nas. Skręcałyśmy się ze śmiechu. Ten fragment w pamiętniku kończył się tak:

Niemal na mnie zwymiotowała. Podniosłam twarz do pocałunku i zobaczyłam jej gębę. Nie mogła na mnie patrzeć. Mój widok wywołał u niej mdłości. Myśl o ucałowaniu moich ust spowodowała torsje. Uciekła do kuchni i zwymiotowała do zlewu. Wydawało się jej, że nie wiem dlaczego. A ja wiem. Zawsze wiedziałam. Wszystko wiedziałam o niej. I zawsze będę wiedzieć. Nigdy jej nie zgubię, nigdy nie pozwolę jej zniknąć. Będzie żałować, że wcześniej nie zmarła, zanim omal na mnie nie zwymiotowała. Nadejdzie taki dzień.

Następny fragment dotyczył nocy, kiedy poszłyśmy na dach dla uczczenia zdanych egzaminów Ginger. Fig czytała wtedy o muzyce sfer niebieskich i boskich więzach, które nas łączą. O mojej twarzy w świetle gwiazd, jej usilnych staraniach o zdobycie mojego zaufania i poświęceniu dla mnie życia.

Twarz Effie wyglądała w świetle księżycy jak płaskorzeźba na grobie krzyżowca — napisała. — Twarz czysta, cnotliwa i doskonała. Nikt nie ma takiej twarzy jak Effie, ale ona mnie nie chce. Mówiła mi o tym tysiące razy na różne sposoby. Ona interesuje się jedynie Cecie. Wiem o tym. Wiem, co

robię razem po zgaszeniu światła. Słyszałam je. Podstuchuję je każdej nocy. Effie nie jest czysta. Effie jest diabolicą, której ciało płonie brudną żądzą do innej kobiety...

Podniosłam zmienioną twarz i spojrzałam na Cecie. Skinęła głową i popatrzyła przed siebie.

Ostatni fragment, także przeczytany nam kilka dni temu, opisywał noc, kiedy wszystkie razem poszłyśmy na obiad do Paula. Pamiętam, jak śmiałyśmy się podczas czytania, a Fig sama powiedziała chichocząc: Boże, sama się zmieszałam. On chciał mnie utopić jak szczeniaka. Tego roku wszędzie za nim łąziłam...

Opis w pamiętniku był jednak zupełnie inny: *Słyszałam je tej nocy przez ścianę. Znowu to robiły. Przedrzeźniały mnie. Mówiły moim głosem. Wyobrażały sobie, co powiedziałam do Paula i co on mi odpowiedział. Mówiły, co chciałabym, aby ze mną zrobił, i co by on na to powiedział... Co ona wie? Co ona wie o miłości? Ona myśli, że to, co on mówi do niej czy to, co razem robią, jest miłością. Ale to nieprawda. Miłością jest to, co on przekazuje mi w myślach czy spojrzeniach, kiedy jesteśmy sami. Ona nie ma o tym pojęcia i dlatego mnie przedrzeźnia. Śmieje się ze mnie. Ale nie będzie się już długo śmiała. Znam go lepiej niż ktokolwiek na tym świecie i wiem, czego on chce i jak mu to dać. Zrobię to, a ją zabiję. Za ten śmiech zabiję ją pewnego dnia. I jego. Kiedy nadejdzie jego pora.*

Przeszły mnie zimne dreszcze. Dobięły do serca i zmroziły go na skałę. Przewracałam dalej kartki pamiętnika. Wszystkie były takie same: długoletnia nienawiść, jad, obsesja, wściekłość i szaleństwo stanęły teraz przede mną realne i żywe.

Znalazłam ostatnią stronę. Była napisana tej nocy, zaledwie kilka godzin temu. Było tak, jak mówiła Cecie. Dokładnie tak. Pismo Fig stało się większe i bardziej nierówne. Ostatnich kilka linii pokrywało całą stronę, a końcówka pióra darła cienki papier. Tekst był jednak czytelny:

Nadszedł już czas. Wszystko dobrze. Wszystko pasuje. Oni są tam razem, a czas nadszedł. Będę w połowie drogi do Manhattanu, gdy inni się obudzą. Ona już nigdy nie będzie się ze mnie śmiać. Już nigdy. Tak, już czas. Nawet za późno. Czas wybił dwadzieścia osiem lat temu. Ostatnie zdanie brzmiało: Jakaż książka powstałaby z tego!

Ostrożnie odłożyłam pamiętnik, opuściłam dłonie na kolana i spojrzałam na Cecie, prawie nie widząc jej.

— Och! — westchnęłam.

— Kate — powiedziała Cecie wstając — wstawaj i ubieraj się. Uciekamy. Ty będziesz prowadzić, a ja wskażę drogę. Chodź, pomogę ci...

To nie może się zdarzyć — odpowiedziałam pogodnie.

To się właśnie dzieje — krzyknęła Cecie. — Zrozumiałam wszystko, gdy ty to czytałaś. Oczywiście to Poolie Prout... Zadzwoniła, aby po nią przyjechał, więc od razu się zjawił, pamiętasz? Wtedy, kiedy pojechała z nim do przystani w Sound na randkę... A teraz jedź tutaj. Za chwilę tu będzie...

Przeciągnęłam się, poruszając zdrętwiałą szyją.

— Wszystko mi jedno — powiedziałam.

Cecie spoliczkowała mnie. Odchyliła rękę do tyłu tak daleko, jak tylko mogła, i uderzyła z całej siły, aż mi głowa odskoczyła. Dotknęłam dłońmi rozpalonego i bolącego policzka. Spojrzałam na nią. Złapała mnie za ramiona, potrząsnęła i wrzasnęła prosto w twarz:

— Chcesz zginać, tak?! — krzyczała. — Zaplanowałaś to? Powinłam się domyślić! Przypuszczałam to wcześniej w szpitalu. Wiem, co chcesz zrobić. Pojedziesz do domu i zrobisz coś grzecznego, pięknego, niewielkiego, zamiast pójść do lekarza... Mówiłaś do mnie cały tydzień, a ja nie chciałam słuchać. Niech cię cholera, Kate! O co chodzi? Rak powrócił? Czy o to chodzi? Dobrze! Pozwól, że ci coś powiem! Pieprzysz to wszystko? Myślisz, że lepiej będzie dla Alana, jeżeli dziś zginiesz, niż jeżeli ma cię zabić rak? Myślisz, że dla mnie też tak będzie lepiej? Myślisz, że twój mały chłopczyk podziękuje ci za to, tak jak twoi przyjaciele? Czy czułaś się lepiej, gdy zrobił to twój ojciec? Czy łatwiej było ci z tym żyć? Śmierć jest zła, ale umizgać się do niej to... ohyda! Jeżeli się zabijesz, to zamordujesz wszystko, co się wiąże ze Stephenem. Zabijesz też Alana. I mnie, Kate... Nie mam zamiaru znowu ciebie stracić. Po prostu tego nie zrobię. Ubieraj się i chodź. Zaraz. Zabijaj się kiedy indziej, bo dopóki jestem z tobą, NIE POZWOLĘ CI UMRZEĆ!

Poderwała mnie na nogi, rzuciła mi ubranie i stała, trzęsąc się z niecierpliwości, gdy się ubierałam. Popatrzyłam na nią. Jej twarz i całe ciało wydawało się płonąć. Drżała tak, jak Fig ostatniej nocy. Pomyślałam jeszcze raz, że jest piękną kobietą.

Popatrzyłyśmy na drzwi. Błysnęło i rozległ się grom. Znowu bardzo blisko.

— Czekaj, weź pamiętnik — krzyknęła przez ramię.

— Poco...?

— ZABIERZ!

Odwróciłam się i wzięłam pamiętnik.

Cecie szarpnęła drzwi. Błyskawica oślepiła nas niebieskobiałym światłem. Wiatr wył, a ja usłyszałam go znowu. Czysty i srebrny głos z głębi czarnego morza. Śpiew. Śpiew...

W drzwiach stała Fig. Stała bardzo spokojnie, patrząc na nas nieprzytomnym wzrokiem, cicha jak topielica. Włosy przylepiły jej się do czaszki, szminka znikła z szerokich ust, a policzki zdawały się wyrzeźbione z białej kości jakiegoś potwora. Wpatrywała się w nas. Stałam za Cecie w otwartych drzwiach, ale nie przypuszczałam, aby nas widziała. Nie wiem, co widziała. Mogła być tutaj od dłuższego czasu, wyglądała, jakby dopiero co wyłoniła się z morza. Błyskawica znowu oświetliła wszystko, a Fig przesłała nam skąpy, oficjalny uśmiech. W rękę trzymała dziwnie mały pistolet z krótką lufą i kolbą obciążoną czarno-białą skórą.

Pomyślałam z całym przekonaniem: „To tylko straszak. Jedna z teatralnych zabawek Fig. Wszystko będzie dobrze, bo to tylko zabawka”.

— Do diabła, Effie Lee — powiedziała Fig i wystrzeliła. Wpierw zobaczyłam strumień białego ognia, a dopiero potem usłyszałam huk. Jednocześnie uderzył piorun i nie byłam pewna, czy w ogóle słyszałam strzał. Ale, oczywiście, musiałam go słyszeć.

Cecie upadła. Fig popatrzyła na nią z góry. Potrząsnęła lekko głową jak ktoś niezadowolony z przykrego błędu.

— Teraz zrób to dobrze, Newton — powiedziała, zwróciła broń ku sobie i wypaliła.

Upadła na wznak, prosto w deszcz.

Rozdział 16

Było mniej więcej południe, choć wnosząc z faktu, że promienie słoneczne grzały mnie w plecy, można było przypuszczać, iż minął już środek dnia. Zaskakujące, jak różne bywa światło dnia znacznie dalej, na północy, i ile zmian przynosi upływ chociażby dwóch tygodni. Ostatnim razem, gdy klęczałam razem z Cecie wśród kwiatów w ogrodach Currituck w Outer Banks, promienie słoneczne biły nam prosto w twarz. Dziś oświetlają ramiona i kark oraz cętki na starym, niebieskim swetrze Alana, który zawsze zakładam do pracy w ogródku. Rano mieliśmy nawet dość spory przymrozek. Wiatr, dopóki nie ucichł ledwie kilka minut temu, też był zimny.

Zapadła głęboka cisza, którą tak lubię, a która oznacza kolejny przypływ. Znowu słyszeć odgłosy ziemi. Nawet nie przypuszczałam, że będę jeszcze tego słuchać. Słyszę więc jej głos i miękkie chlupotanie fal na plaży poniżej mojego ogrodu. I to wszystko. Nie słyszę wiatru nad otchłanią. Nie słyszę też raka. Dzisiaj po południu dowiem się, czy noszę go jeszcze w sobie. Mam nadzieję, że John McCracken powie, że go już nie ma. Chyba odszedł wraz z inną Kate, która zmarła w Outer Banks. Ona rzeczywiście zmarła. Nie od małej, ołowianej kuli ani od fal zimnego morza, ale naprawdę zmarła.

Lecz jeżeli rak ciągle tu jest, będzie to bardzo poważna sprawa. Teraz wiem znacznie więcej o życiu i umieraniu, świadomość ta zmieniła wszystko.

Teraz, dokładnie w tej chwili, świat znowu zamarł poza czasem — jest ciągle oświetlony wysoko stojącym słońcem i oczekuje na niebieski wiatr jesieni, mający nadejść wraz ze zmianą przypływu.

Wiem, że nigdy ich nie zobaczę, moich ukochanych przyjaciół, Ginger i Paula. Paul znaczy teraz dla mnie mniej niż nic, mniej niż zero. Wiem, że nie będziemy wspominać tej nocy ani w rozmowach telefonicznych, ani w listach. Skończyliśmy już z tym. A stało się to w Outer Banks. Muszę całkowicie o nich zapomnieć.

Nie pamiętam już kobiety, którą tamtej nocy zostawiłam leżącą w domku motelu „Carolina Moon”. Nie pamiętam też smutnej i strasznej, młodej Fig Newton ani nawet dalece straszniejszej, szalonej i pięknej Georginy Stuart, która przyjechała do Nag's Head. Niczego nie pamiętam. Gdy o niej myślę, widzę w ciemności strumień białego ognia i nic więcej.

Pamiętam dziwną rzecz pod koniec tej nocy, dziwniejszą niż wszystko, co się dotychczas zdarzyło: widzę, jak w moich oczach dojrzeva kobieta. Chciałabym widzieć to wyraźniej, szczególnie gdy chodzi o moją rolę w tym wszystkim. Gdy powróciłam do domu w Nag's Head nazajutrz wczesnym rankiem, jeszcze przed świtem, Ginger ciągle spała tam, gdzie zostawiła ją Cecie, na leżance w salonie. Przez kilka minut potrząsałam nią i wołałam, zanim się wreszcie przebudziła. Gdy się ocknęła, jej twarz skrzywiła się z żalu i nienawiści do mnie. Opowiedziałam jej wszystko, a jej twarz stała się wtedy zupełnie inna: znacznie starsza, w jakiś sposób twardsza, a oczy nieodwołalnie straciły ów dziecinny wyraz, który zawsze tak lubiłam.

Ciągle nie wiedziałam, co ona myśli. Wiedziała, że byłam gdzieś z Paulem, ale chyba również wiedziała, że wszystko przeminęło bez śladu. Nie wiedziałam, co Ginger zrobiła Cecie, że ta wyjechała bez ubrania. Nie wiedziałam też, co zrobiła Fig, którą znaleziono martwą w pokoju motelu „Carolina Moon” w Avon, w domku wynajmowanym stale przez Paula Sibleya. Wiedziałam, że Paul był już w Alabamie w tym czasie, kiedy — jak ustalono — zginęła Fig. Udowodnił to i został oczyszczony z zarzutów. O ile wiem, nikt nie wątpił, że Fig sama się zastrzeliła. Wskazywały na to odciski palców, ślady prochu i inne rzeczy. Nie jest w tej chwili tak istotne, co myśli o tym Ginger ani co będzie myślała. I tak nic nikomu nie powie. Odzyskała swojego męża, a sądząc po wyrazie jej twarzy, gdy odjeżdżałam, będzie go od tej pory trzymać bardzo krótko. Będzie potrzebował jej ochrony i starania. Pojechałam do niej właśnie po to, aby jej to powiedzieć. Chciałam też zapewnić ją, że ją kocham i będę za nią tęsknić.

Ale nie wydaje mi się, aby ona w ogóle zechciała o tym rozmawiać. Wszystko moglibyśmy sobie wyjaśnić, nawet pomimo tej nagonki prasowej. **PISARKA ZABITA W NADMORSKIM MOTELU**

PODCZAS HURAGANU... ŚMIERTELNA BROŃ ZNALEZIONA...

Gdybyśmy tylko chcieli... Paul Sibley nie miał jednak zamiaru do tego wracać. Ginger też nie. Podobnie z Poolie Proutem. Ciekawa jestem, jak on się czuł, budząc się rano w drugim końcu motelu i mając jeszcze w ustach smak wczorajszych narkotyków, podczas gdy Fig leżała już nieruchomo w sąsiednim domku. Może ją sam znalazł, a może obudziły go syreny. Jestem pewna, że gdy tylko zorientował się, jak się rzeczy mają, natychmiast uznał za wskazane przenieść swoją bazę operacyjną pod bardziej sprzyjające nieba. Chyba wyjechał stamtąd, podobnie jak i ja, jeszcze tego samego ranka przed świtem.

Zaczęło świtać, gdy przejeżdżałam przez most nad zatoką Chesapeake. Zgodnie z moimi wcześniejszymi planami skręciłam najpierw do Nag's Head. Większość drogi jechałam w deszczu, prawie cały czas płacząc. Myślałam o Cecie, Stephenie, Paulu, Ginger i Fig — o młodej Fig — a także o Alanie, i płakałam, wciąż płakałam. W moim małym samochodzie tej nocy jechało wiele osób, żywych i martwych. Przejeżdżałam w słabnącym deszczu obok czarnego morza. Gdy dojechałam do największego po drodze mostu, deszcz przeszedł już w lekką mżawkę. Przypomniałam sobie wtedy wiersz, który Cecie tak lubiła:

*Niechaj nastanie noc, z deszczu lirycznym trenem,
I niech wietrzyk podejmie dzwonu mego ton.
Tak kocham dżdżu melodię, że opatrzyłam ją
Łagodnym i przyjaznym, miłym mi refrenem...*

Smutek przygiął mnie do kierownicy, ale znów uniosłam głowę. Cecie jest teraz ze mną i pozostanie na zawsze. Będę na nią uważać i nigdy nie pozwolę jej odejść. Myślałam o tym, co mi powiedziała na plaży w Nag's Head: „Jak długo my żyjemy, tak długo żyją oni”.

Dobrze więc — pomyślałam. — Najważniejsze, że żyję. Dopóki żyję, Stephen żyje również. Dopóki żyję, oni wszyscy też żyją. Żyjemy wszystkie cztery tak jak niegdyś: całe, czyste i roześmiane. Ze wszystkimi naszymi nadziejami, marzeniami i głupstwami. Wystarczy nam to. Więcej niż wystarczy.

Tej nocy przerobiłam z Cecie Hart Fiori lekcję z mojego życia. Życie można utrzymać, pozwalając tylko, aby się toczyło. Wtedy rozkwitnie prawdziwie.

Dojechałam do najwyższego przęsła mostu i zatrzymałam samochód. Wysiadłam i oparłam się o barierkę. Wiedziałam, jak to

zrobić — czyż nie zaliczyłam już tego zaledwie tydzień temu? Tak, wiem, jak to zrobić. W dole ostatki deszczu marszczyły płaską, oleistą, wezbraną taflę wód wielkiej zatoki. Niebo nad morzem już pojaśniało i szybkimi krokami nadchodził kolejny ranek. Dzień powinien być piękny.

Podniosłam wysoko rękę i rzuciłam pamiętnik Fig w wilgotne powietrze. Nie odeszłam od barierki, zanim nie usłyszałam plusku wody, gdy wpadł.

I

Georgina Stuart została pochowana na prywatnym cmentarzu na Long Island. Abramsowie i Sibleyowie nie brali udziału w pogrzebie. Przybyli za to dziennikarze z „People”.

*

Usłyszałam skrzypięcie otwieranych drzwi. Spojrzałam wzdłuż linii wydm i zobaczyłam Alana machającego ręką z werandy. Taszczył tacę z Krwawą Mary i uśmiechał się. Klęczałam na czarnej ziemi, którą rozwoziłam taczka po ogrodzie. Wszystko wyglądało prosto, dobrze i przejrzysto: dom, weranda, Alan, purpurowe drinki. — Wszystko.

— Co robisz? — zapytał.

— Sadzę róże, odmianę *rugosa* — odpowiedziałam. — Są to specjalne róże plażowe. Właśnie nadeszły dzisiaj w ogrodów Currituck w Nag's Head, o których tyle ci opowiadałam.

Cecie wysłała je na nasz adres, gdy tam byliśmy. To była niespodzianka dla mnie. Dołączona była do nich kartka *Uchaim*. Trzeba to wymawiać *La hitne*. Nigdy tego nie wymówisz dobrze, Mrs. Fiori.

— To nie ja! To ktoś inny! — rozległo się nagle wołanie Cecie z bryczki, która zatrzymała się właśnie w słońcu przed werandą. — Ja umiem wymówić *L'chaim*!

Wyglądała teraz dużo lepiej, troszkę tęższa, lekko opalona. Pod kołnierzykiem jej bluzki widać było cienki zarys bandaży na ramieniu. John McCracken wyjął jej kulę z rany i natychmiast ją zgubił. Bez skrupułów zapomniał również wypisać rachunek i wpisać ten

zabieg do swoich dokumentów. Zastrzegł tylko, że może podjąć „normalne zajęcia” dopiero za tydzień. Cecie koniecznie chciała jechać na leczenie właśnie do niego. Na szczęście długą drogę i silny ból zniosła bardzo dzielnie i w miarę pogodnie.

— Każdy inny lekarz doniesie o tym policji — mówiła. — A przecież nie boli to tak bardzo.

Chyba wtedy rzeczywiście jej nie bolało. Cecie po prostu jakby zamknęła się w sobie. Krwawienie było minimalne i całkiem ustało, gdy tylko opuściliśmy Wirginię.

Zainaugurowaliśmy zajęcia w Cloisters. To będzie nasz punkt startowy. Pójdziemy dalej do przodu, zawsze do przodu. Cecie przywróciła mi życie na małą chwilkę lub na długi czas. A ja zamierzam przywrócić jej radość.

— Nie będziemy widzieć tych róż, jeżeli je tutaj posadzisz — powiedział Alan. Mówiąc to uśmiechał się.

— Może nie, ale z plaży będą wyglądać fantastycznie — odpowiedziałam. — I będą żyć wiecznie.